



ANTOLOGIA
POETÓW FRANCUSKICH

XIX wieku



MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu

P. 32537



Antologia

~~4192~~

POEZJI FRANCUSKIÉJ

XIX wieku

w układzie i tłumaczeniu

Seweryny Duchińskiej.



WARSZAWA.

NAKLAD I DRUK S. LEWENTALA.

Nowy-Świat № 41.

~~Z KSIĘGOZBIORU
STEFANA HEMPLA~~



MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu

P.
1967

Довволено Цензурою.
Варшава, дня 8 Декабря 1898 года.

PRZEKŁADY Z WIKTORA HUGO.

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
ul. Radomi

8-8
Duch
Anto

P. 32537

~~1967~~

~~P. 28083~~



11603

840-1(082.2)

I. Z LEGENDY WIEKÓW.

1. Aymerillot.

Karol z brodą zarosłą, z groźną w oku chmurą
Wraca z kraju Hiszpanów i woła ponuro:
„Nieszczęsny Roncevalu! zdrajco Ganelonie!”
Bo żal ściska mu serce po Rolanda skonie,
I po skonie tych parów dwunastu, co razem
Z dzielnym wojskiem pod wroga poległ żelazem.
Góral powraca w góry, wchodzi w próg swój śmiało,
Ściska żonę i rzecze: — „Ha! dobrze się stało!”
Krwawy łuk zmywa w źródło, co w pobliżu płynie,
A kości bohaterów bieleją w dolinie.

Dobry król czuje ciężki żal w sercu stroskanem,
I koń jego Syryjczyk żaloszny wraz z panem.
Płacze mocarz — och, łzami płacze on krwawemi
Za wodzami dwunastu, kwiatem Franków ziemi,
Których ramię waleczne nigdy nie omdlało,
On płacze za Rolandem, za straconą chwałą,
Bo złowrogim przecuciem w mętną przyszłość sięga;
On, przed którym hiszpańska runęła potęga.
Wie, że z gór tych wnet rozgrzmi pieśń po świecie całym
O męźnych, co poległi pod chłopstwa nawalem.

Karol jedzie trzy doby nie ustając wcale,
Aż stanął na najwyższej Pirenejów skale
I wzrok orli wlepiwszy w przestrzeń niezmierną,
Widzi zdala, na wzgórzu, za mglistą osłoną
Warownię, wkrąg objętą potrójnymi murami;
Przy każdej bramie baszty dwie sterczą do góry,

I niby las, owiany w powietrzne błękity,
Trzydziestu groźnych wieżyc najeżone szczyty.
Saraceńskie krużganki świecą się wokoło,
Grubo zewnątrz oblane żywicą i smołą.
A za niemi z pośrodku warownego miasta,
Olbrzymich kształtów wieża w obłoki wyrasta;
Blanki jej ołowiane, a w każdej strzelnicy,
Ze wzrokiem wyteżonym czatują łucznicy,
A na złotym jej szczycie, wielki jak tarcz słońca
Dyament lśni wokoło blaskiem barw tysiąca
I strumieniem światłości oblewa krąg cały.

A na lewo poważnie kipią morskie wały
I do podnóża grodu białe niosą żagle.
Karol z góry dopatrzył gród i zadrzał nagle.

O! mądry mój Naimie, patrz, patrz, tam daleko,
Jakiż to gród potężny polyska nad rzeką?
Kto posiadzie go, wieczną okryje się chwałą,
Jam smutny, mnie się raczej weselić przystało.
Gdybym tu z lat dziesiątek strawił w ciężkiej zbroi!
Hej łucznicy, wodzowie, towarzysze moi,
Dziatki moje, lwy moje, przysięgam na duszę,
Nim na krok wstecz ustąpię, ten gród zdobyć muszę.

Dreszcz trwogi nawskroś przejął starego Naima:
— „Kup go, królu! przemocą nikt go nie otrzyma;
Bo prócz dzielnych Bearnów, niezachwianych w wierze,
Bitnych Turków dwadzieścia tysięcy go strzeże,
Niegdyś o naszych czynach brzmiały głośnie wieści,
Lecz dziś, królu, czyż stanie za zastęp niewieści
Ta garstka zmordowana i dachu spragniona!
Jam starzec najdzielniejszy z twych rycerzy grona.
Panie, pozwól, niech słuszne powody wyliczę, —
Kędyż mamy tarany? kusze obłąnicze?
Konie padły w pochodach, a żołnierz syt boju,
Radby wreszcie odpocząć po trudach i znoju;
Szaleniec chyba mniema — wyznam, królu, szczerze,
Iż pociskiem kul ręcznych rozwali te wieże.”

A król na to z słodyczą rzecze nieudaną:
„Książę, jam ciebie pytał, jak ten gród nazwano.”

— „Chybia pamięć, gdy człeka wiek ciśnie do ziemi;
Ależ panie, miej litość nad barony twemi;
Daj powitać ogniska i progi domowe!
Na co nam nowe trudy i podboje nowe?
Małożeśmy to ziemi krwią zdobyli własną?
W twém olbrzymiem cesarstwie jeszczeż ci za ciasno?
Chcesz, by wróg ci urągał z wierzchołków tych wieży,
Gdy w lot mu zbrojny zastęp na odsiecz przybieży,
Skoro śmiałków szalonych zaoczy z oddali!
Bo trzy drogi mu w ziemi Turcy wykowali;
Pierwsza z nich prosto wiedzie w wąwozy Bastana
Druga do morza, trzecia w kraj ciemny szatana.”

Król się słodko książęcej przysłuchiwał mowie;
„Ależ powiedz mi — rzecze — jak się gród ten zowie?”

„To Narbona!”

— „Narbona! — król woła z zapalem,
Jak piękna! mieć ją muszę! nieraz podziwiałem
Słynne z cudnej urody narbońskie dziewice,
Czarodziejskim ich wdziękiem wnet oczy nasycę.”

I Karol po rycerstwie wzrok powiodł dokoła.
„Niech Dreus z Montdidier przyjdzie tu” — zawoła.
— „Hrabio! już serce w starym strupiało Naimie,
Ty, bracie, weź Narbonę! twe ramię olbrzymie,
Zagarnie gród potężny, jać zapłacę wzajem
Trud, szerokim tej ziemi aż po morze skrajem;
Tyś ojcem walecznego ojca, przyjacielu,
Twój stryj, mąż świątobliwy, był opatem w Szellu;
Wszak idą torem ojców nieodrodne syny,
Dalej, mężny rycerzu, każ stawiać drabiny,
Do dzieła!”

Na to hrabia: — „Królu mój a panie,
Ledwie mi do odwrotu ostatka sił stanie.
Dość chadzałem w pancerzu, hełmie i kolezudze,
A dziś, łoża miękkiego twemu trzeba słudze:
Jam chory, krew mi kipi gorączkowym warem,
I barki się ugięły pod zbroi ciężarem.
Już gromem strzaskancmu nie dźwignąć się drzewu!”

A Karol nie okazał ni żalu ni gniewu:
Lecz wzrok powiódł i szuka Huga z Kanektynu,
Wodza cześci niezłomnej, skorego do czynu.
— „Hugonie! czegoż dzielne ramię nie dokona?
Wyciągnij śmiało rękę, n twoja Narbona!”

Hugo przed królem głowę pochylił wyniosłą;
— „O, panie! jak szczęśliwe rolnika rzemiosło!
Idzie z plugiem na rolę, a gdy łąn zaorze,
Wraca spocząc do chaty, nim zagasną zorze.
Jam pokonał Gajfera, Tessala, Tryfona,
A czy w mróz, czy w skwar letni, gniecie mi ramiona
Ten pordzewiały pancerz; a spoczynek senny
Co ranek mi przerywa huk trąby wojennej.
Dość tych nocy bezsennych, dość krwi i zasługi,
Jam już strudzon: Narbonę niech posiędzie drugi.”

Smutno król zwiesił głowę i dumal głęboko.
Znów na wiernych baronów baczne zwraca oko,
I Ryszera z Normandji przyzywa do siebie:
— „Tyś, książe, doświadczony w rycerskiej potrzebie,
Chcesz-li ród twój odwieczny odziać w nowe blaski,
Zdobądź oto Narbonę!”

— „Jam już z bożej łaski
Książęciem od pradziadów, potężny Karolu!
Mnie zadość, nie chcę chwały zbierać na tém polu.”

Ku hrabiemu z Gandawy król zwrócił oblicze;
— „Tyś zwalczył Magierona zgraie rozbójnicze!
Gdy ci w dni twoich progę pierwsza błysła zorza,
Dzielność w pierś twą wpłynęła z czystém technieniem morza.
Zacną była twa matka, tyś wziął cnotę po niej,
A miecz chyba ci zdradą wróg wytrącił z dłoni:
Lecz z upadku tém dzielnieć duch pełen zasobu
Powstawał. Nie przepomnę téj chwili do grobu!
Jakaż zuchwała radość tliła w twej źrenicy,
Gdyśmy obaj zbłąkani w obcej okolicy,
Nagle, lanc saraceńskich postyszeli szczęki;
Z jakim szalem tyś oręż pochwycił do ręki:
Boś ty nigdy na sercu nie upadł w złyj dobie,
Hrabio! zdobądź Narbonę, a oddam ją tobie!”

— „O panie! mnie do Flandry co żywo biedz trzeba,
Jam głodny i drużyna moja łaknie chleba.
Po co w kraju przeklętym nowe wszczynać boje?
Zamiast mąki pszenicznej, tu rycerstwo twoje
Jadło szczury i myszy, a gdy tych nie stało,
Stary rzemień z obuwia cheiwie pożerało!
A potem, skwar słonecznych w tym kraju promieni
Czerni skórę, i dziwnie krasę lica mieni.
Kto wie, czyli małżonka, którą cenię drogo,
Wziąwszy mnie za Maura, nie odtrąci z trwogą.
Mnie pilno już powitać dom i żonę młodą.
Gdybyś mi, panie, dawał za ten gród w nagrodę
Cały skarb Salomona i Pepina złoto,
Po kęs chleba do Flandrji wracałbym z ochotą.”

— „Te pocziwe Flamandy — król rzecze — im trzeba
Bardziej niżli wawrzynów, ogniska i chleba.
Lecz co szukać zdobywcy, gdy w rycerstwa kole,
Ty jesteś, hrabio Nancy, mój stary sokole!
Wierny mój Eustachy, patrz ten gród wspaniały
Ma trzydzieści wież bronznych i potrójne wały;
Przy każdój bramie sterczą dwie baszty na straży,
A kto w miasto przez wyłom wedrzeć się poważy,
Ten ledwie począł dzieło: trud go czeka nowy,
Dopóki nie zdobędzie wieżycy środkowej.
Twarda sprawa, lecz tobie wszak sił na to stanie,
Tyś przecie stary sokół!”

— „Jam gołabek, panie!
Licha zięba, co rada ukryćby się w chrósty
I ulecieć do gniazda; mój skarbiec już pusty.
Nie mam solda przy duszy, a głodna drużyna
Niecierpliwie się nędznej płaty dopomina.
Jam zgrzybiały już, panie, tak duchem jak ciałem,
Dawno téj staréj pięści z krwi nie oplókałem;
Wojna zużywa człeka, aż przyjdzie nań pora,
Że dziś to znieawidzi, co ukochał wczora!
Niegdyś patrzył w twarz śmierci przeze mgłę różową,
A dziś, wszystko mu w oczach zezerniało grobowo;
Lata wloką podagrę, radość z serca płoszą,
Kto biegł z gniazda sokołem, powraca kokoszą.
Jam chwałą przesycony, dość mi w śmierci progę
Odpocząć starym kościom na garści barłogu.”

Dzielny rumak królewski grzebał nogą ziemię,
 Jakby słowa rozumiał, a czarne chmur brzemię
 Wlokło się ponad górą, a poniżej skały
 Gerarda z Russyllonu dzielne rotę stały.
 Król przystąpił z uśmiechem:

— „Mężu walk świadomy!

Twardy w boju jak męże starożytnej Romy;
 U ciebie niczém trudy, sam żywot w pogardzie!
 Patrz! ten gród będzie twoim, zdobądź go, Gerardzie!”

A Gerard z Russyllonu pogląda ponuro
 Na garstkę niedobitków, co stała pod górą,
 Na zbroję rdzą na wylot przegryzioną z laty
 I na starą chorągiew podartą na szmaty.

— „Tys zaduman — król rzecze — niby żak z Sorbony.
 Nie chcesz-li w upominku z rąk moich Narbony?”

„Królu! mam własnej ziemi dość!” — Gerard odpowie.

I takto przemawiali ci dumni wodzowie,
 A wśród dębów poważnie potoki szumiały.

Król spał konia, objechał wojsk swych zastęp cały.
 I z kolei wyzywa dzielnych Franków syny,
 Eudesa lennika z Burgundów krainy,
 Samona dziś w legendach głośnego po świecie;
 Garyna, co lwa uniósł na szerokim grzbiecie,
 Z przedsiönka onęj sławnój Marka bazyliki.
 Ożjera, co wiódł śmiało do boju Duńczyki,
 I Rogera, co gotów zawdy w harce nowe,
 Lecz wszyscy odmówili.

A król podniósł głowę,

Wspiał się — oparłszy stopy o strzemiona twarde.
 W zbłądłém króla obliczu znać gniew i pogardę.
 Dobył miecza, szerokie ogniem błysło ostrze,
 I jak orzeł, gdy skrzydła nad ziemią rozpostrze,
 Sypiąc iskry złowrogie z rozwartej źrenicy
 Jak grom straszliwym głosem ryknął: „Nikezemnicy!”

„O! wodzowie, polegli u tych gór podnóża!
 Olbrzymy, których czoła zdruzgotała burza,

Z wami niegdyś sam szatan nie śmiał iść w zapasy.
 Oliwierze! Rolandzie! gdzieżeście w te czasy?
 Snadnoby wam, rycerze, zdobyć gród Narbony,
 Boście w dłoniach dzierżyli oręż nieskażony!
 Bo wam w sercu krew wrzącym kipiała potokiem,
 Boście śmiało szli naprzód, wstecz nie mierząc okiem.
 Wy, których dzielne ramię skrył grobowiec głuchy,
 Z wami świat-bym pokonał, moje wierne druby!
 Boże! wskaż mi co czynić w tej nagłej potrzebie,
 Próżno serca dzielnego szukam blisko siebie,
 Daremnie wokół wodzę oczyma trwożnemi,
 Od podłych do walecznych, co śpią w chłodnej ziemi!
 Mój język do zelżywych słów nie zaprawiony:
 Precz mi z oczu! precz, mówię, nikczemne barony!
 Wy, coście na me hasło biegli do zapasów,
 Normandy, Lotaryngi, wy z giermańskich lasów
 Dziedziczni margrafowie, Burgundy, Bretony,
 Pikardy, Flandry, Franki, precz w rodzinne strony!
 Precz z obozu, gdzie trąby grzmią, gdzie oręż błyska,
 Precz stąd, idźcie powitać domowe ogniska!
 Idźcie, gdzie was ponętnie wzywa głos niewieści:
 Tam ostrożni, szczęśliwi bez sławy, bez cześci,
 Snujecie ostrożnie życia pasmo niezmacone,
 Ja sam bez waszój łaski zdobędę Narbonę!
 Sam zostanę tu, pełen otuchy i siły;
 A kiedy wy spoczniecie w ojcowiznie milęj;
 Wy, co ze mną gromili saksońskie narody,
 Wsparliszy nogi w kominie o dębowe klody,
 Zdała szczęku oręza i wojennę wrzawę,
 Gdy was tam kto zapyta pomny waszój sławy,
 Co ją pieśń tak rozgłośnie po świecie powtarza,
 Gdzieżeście to wodzowie odbiegli cesarza?
 Wy natenczas ze sromu rumieńcem na czole
 Rzekniecie: — My w dzień biały rzuciliśmy pole,
 Strach tak nagłym do domu popędził nas krokiem,
 Ze nam znikł ślad cesarza za kurzu obłokiem.”

Tak przemawiał król Franków, Karolem Wielkim zwany,
 On, co berło cesarskie dzierżył nad Giermany.
 Wiatr powiał i daleko grzmiące słowa niesie,
 A pastuszki z trzodami rozpięzchli po lesie
 Mniemali, że nad niemi grzmot rozległ się z góry.
 Baronowie wlepili w ziemię wzrok ponury.

Przestрах odjął im mowę; wstyd pali im czoła,
Wtém młodzieniec wybiega z szeregów i woła:
— „Niech święty Dyonizy króla Franków strzeże!”

Na te słowa w serdecznej wyrzeczone wierze,
Wlepił oko w młodzieńca król zdumiony cały,
Jako Saul, gdy mu Dawid pojawił się mały,
Patrząc na ręce białe na różane lice,
Chwilę mniemał, że widzi przebraną dziewicę;
Taka słodycz i ufność na młodziana czole.
Nie ma tarczy ni herbu ubogie pachole,
Lecz postać jego świeci pod prostą siermięgą
Dziewiczą niewinnością a męską potęgą.

— „Czego żądasz?—król pyta—w tej stanowczej chwili?”

— „Błagam cię o to, panie, czém wszyscy wzgardzili,
Chcę być tym, o kim z chlubę wieki nieskończone
Powtarzać będą wiekom: On zdobył Narbonę!”
Prawda jaśnieje w słodkim pacholecia słowie;
Z prostotą spojrział w stronę, gdzie stali wodzowie.

Hrabia z Gandawy pierwszy podniósł w górę czoło,
Rozśmiał się, do rajtarów swych rzecze wesoło:
Patrzcie, to Aymerillot, co służy nam z młodu.”

— „Aymerillot — król rzecze — a z jakiego rodu?”

„Imię moje Aymery — ród nieznany, panie,
Moje mienie dla konia na obrok nie stanie,
Nie, oprócz lat dwudziestu i szkolnego wieńca,
Nie mam; snać los przepomniął biednego młodzieńca;
Gdy drugich wyposażał dziedzictwy lennemi,
Mnie i marnego kęsa nie wydzielił ziemi.
Lecz pierś moja młodzieńcza takim ogniem pała,
Że przestrzeń widnokregu jeszcze jęj zamała;
Ja wkroczę do Narbony, bo śmiało mam serece,
A skoro gród zdobędę, poskromię szydercę!”

A Karol promienisty, jak archanioł z nieba,
Zawoła:

„O! sere takich zaprawdę mi trzeba!

Dziś ubogi młodzieniec z imieniem nieznanem,
Będiesz wodzem wojsk moich i Narbony panem.
Rychło pod skrzydły memi cześć walecznych wzrasta!
Idź!”...

Nazajutrz Aymery — został panem miasta.

2. L w y.

Lwy w głębokim podziemiu, bez pastwy, bez wody,
Odzywały się rykiem do wielkiej przyrody,
Co po kniejach plemiona zasila zwierzęce,
Głodne lwy, nie trzy doby nie miały w paszczęce.
Owóz gdy ziemia szarym zabiegała mrokiem,
Przez kraty i łańcuchy, nienawistnym wzrokiem
W krwawy obłok zachodu poglądały srodze,
Trwożąc rykiem przechodnia, co na pustej drodze
Szedł, zdala powietrzniemi owiany błękitny,
Smutne lwy były hoki kudłatemi kity,
Jaskrawy płomień buchał z rudego ich oka,
A od ryku w posadach aż drżała opoka.
Jaskinia była wielka, niegdyś w głębi skały,
Olbrzymy ten podziemny pałac zbudowały,
I pogoń nie dosięgła tam, w oteblań grobową,
A gdy trwoga minęła, rozsadziły głową
Twardą skałę, i potok słonecznych promieni
Uroczo się po czarnej rozplynął przestrzeni;
A pałac lazuruwem pokrył się sklepieniem.
Aż Nabuchodonozor, którego ze zdrzeniem
Ludy szeptały imię grożące zatrata,
Zaparł wgórze jaskinię łańcuchem i krata,
I odtąd przez Tytanów wykowane progi,
Zamieszkał z woli króla zastęp lwów złowrogie.

Czterech było, a wszystkie zapalczywe w złości,
Zamiast słomy, ich łozem były stosy kości,
Z po za kraty ponuręj chrzęst ucho uderza,
Gdy po szkielecie człeka, lub szkielecie zwierza,
Z dziko rozdętym nozdrzem stąpa lew łakomy.

Pierwszego sprowadzono z pustyni Sodomy,
Niegdyś on wiatr na stepie prześcigał z swobodą,
Spiekłe piasku tumany chłonał piersią młodą,
I w samotnym więzieniu wciąż sprawując czaty
Nie wypuszczał zdobyczy z pod łapy kudłatęj,
Był to mieszkaniec piasków zacięty w zapasach.

A drugi zrodzon w ciemnych Eufratu lasach
Gdy schodził do krynicy poić pierś spragnioną,
Drżał wszelki zwierz, nie łatwo nań siła stawiono;
Aż dwóch potężnych królów połączone siły
Leśnej kniei mieszkańca przemocą zwalczyły.

Trzeci zrodził się w czarnej rozpadlinie góry,
Za krwawym jego śladem szedł postrach ponury;
Widywano, jak gnane niby wihrem burzy
Stada owiec i wołów zbiegały z podgórzy,
Dalej psy i pastuszki gromadą pierzchliwą,
A nad nimi lew wstrząsał zamaszystą grzywą.

Czwarty, okropny potwór płowy a kudłaty,
Nad brzegiem oceanu zrodził się przed laty-
Chciwie szumu fal morskich słuchał on za młodu,
A nad morzem sterczały groźne mury grodu,
Dym buchał w górę z ognisk, a przystań wspaniała
Las masztów szerokiemi skrzydły otulała.
Tam, co dnia na targ z manną garnie się niewiasta,
Siwy prorok na osle podąża do miasta,
A naród w onym mieście roi się wesoły,
Jakby w gnieździe ptaszęta, albo w ulu pszczoły.
Na wielkie targowisko, tam wszystkie krainy
Ślą płody swe bogate, a morza bursztyny,
Askala świeży nabiał, Aser czyste zboże,
Od statków aż się mąci oceanu łoże.
A lew na owo miasto patrzył gniewnym okiem,
I nieraz pogrążony w milczeniu głębokiem,
Przemyślał, jak z niem skończyć; a do miasta nocą,
Ledwie pierwsze na niebie gwiazdy zamigoją,
Przystęp aż potrójnemi lud zapiera brony.
Między blankami sterczy szereg najeżony
Wielkich rogów bawolich: mur bezpiecznie stoi,
Twardy, gruby i prosty jak bohater w zbroi;

Morze pryska tam pianą i huczy zuchwale,
Gdy w fosę niezglębioną przetacza swe fale;
I nikt nocą do brony zbliżyć się nie waży,
Bo tam, zamiast brytanów, czuwają na straży
Dwa smoki, ułowione w sitowiu nilowem,
Zaklęte czarodzieje tajemniczym słowem.
Otóż lew się nie uląkł, i jednym poskokiem
Przesadził mur olbrzymi. Wraz z murem szerokim
Startł na miazgę, paszczęką w ostre kły zjeżoną,
Potrójne mury miasta, i zwałoną broną
Przygniótł oba na straży czatujące smoki.
A gdy na brzeg powrócił, już ciszy głębokiej
Głos ludzki nie przerywał, bo gród runął cały,
Tylko o nim po świetle głuche wieści brzmiały,
A w złomach starych wieżyc zagnieżdżone sępy
Lecąc na zér, o gruzy ostrzyły dziób tępy.

Lew wyciągnięty leżał na ziemi niedbale.
Otwierał paszczę, ziewał, lecz nie ryczał wcale,
W tym lochu, gdzie człek marny gniótł go stopą bardą,
Nudził się, on nie gniewem płacił, lecz pogardą.

A tamte obiegając niespokojnie wkoło,
Wzrok zatopily w ptaka, co dziobkiem wesoło
Trącał w żelazną kratę, i kły zjeżonemi
Żując z rykiem powietrze, błyskały z pod ziemi.

Nagle w kącie pieczary, za mroku zasłoną
Skrzyły rdzawe zawiasy: kratę uchylono,
I człowiek w loch popebnięty przemocą okrutną,
Stanął w białym całunie milcząco a smutno:
Kratę nielitościwi wnet zwarli strażnicy,
I sam człowiek ze lwami pozostał w ciemnicy.
Lwy jeżą straszne grzywę, toczą piany kłęby:
Aż spadły nań jak burza, wyszczerzyły zęby,
I rykną tym porykiem, który snać porywa
Z gardła dzikiego zwierza nienawiś krwi chciwa
I ten instynkt zniszczenia, drapieżny a srog!

— „Pokój z wami, lwy!” — człowiek wyrzecz bez trwogi-
I dłoń podniósł ku niebu — lwy wstecz odskoczyły!

Wilk zgłodniały i trupa wywlecze z mogiły,
Niedźwiedzie z płaską czaszką, zacięte szakale,
Gdy śledzą ciał topielców na podmorskiej skale,
Okrutne są; hiena niespokojnym wzrokiem
Patrzy w łup, tygrys jednym chwyta go poskokiem;
Tylko lew, król pustyni, wzniesione do góry
Gotów czasem od łupu odwrócić pazury.

I lwy depczą po gruzach tytańskiej budowy,
Aż pospołu mądrymi jęły radzić słowy:
Rzekłby kto, że to starców okazałe grono,
Gdy widzi wąs ich biały i brew najeżoną.

A on lew, co w pustyni spiekle deptał piaski,
Rzecz: „Gdy wszedł ten człowiek, jam dojrzał odblaski,
Jakie żar południowy rozsiewa w przestrzenie,
Kędy przebiega *Symun* i uczulem technienie
Pustyni, znać pustynia śle tego człowieka.”

A lew z lasu odrzecz: „Kiedy mi zdaleka
Cedry, palmy i figi szumiały tajemno,
Gdy niosły gwar wesela w mą pieczarę ciomną,
W milczeniu nocy nawet, oni bracia leśni
Kolysali mnie chórem czarodziejskich pieśni,
Gdy ten człowiek przemówił, słowa jego brzmiały
Jak szum ziół chwianych wiatrem w rozpadlinie skały.
Człowieka tego lasy przysłały zielone!”

A czarny lew z gór rzecz, odbiegłszy na stronę:
„O, bracia lwy, podobna ta postać wysoka
Do Kaukazu, którego nie zadrzy opoka;
Wspaniały on, jak Atlas; gdy dłoń podniósł w górę,
Mniemałem, że to Liban, upowity w chmurę,
Powstał i niebios czołem dosięgnął wyniosłem,
Człowiek ten jest niechybnie wybranym gór postem “

A lew, co wiecznie krążył po nadbrzeżnej skale,
I straszny głuszył rykiem oceanu fale,
Wzrok ognisty w postaci utkwil tajemniczej,
I rzekł: „Wobec wielkości, nie pomny goryczy,
Dlatego jam się bacznie wpatrywał w głęb morza,
A gdy fale kipiały — jam na dnie przestworza
Śledził księżyc, mgły z czola strząsający skrycie,
I ciemną nieskończoność tonącą w przedświcie.

Od tej doby jam przywykł, o! bracia kochani.
Czytać w łonie wieczności i w łonie otchłani,
A nieśw iadom imienia, jakiem świat go mieni,
W oku jego blask widzę niebieskich promieni.
Ten człowiek z jasnem czołem zesłany od Boga!”

A gdy zapadł mrok nocny, do jaskini proga
Przyszedł stróż, co nad więźniem baczne sprawiał czaty.
Przycisnął twarz wybladłą do żelaznej kraty
I ujrzał w głębi lochu proroka Daniela,
Jak stał i z okiem pełnem bożego wesela
Tonął wśród gwiazd i zdierał przyszłości zasłonę;
A stopy mu lizały lwy w proch ukorzone!

3. Wskreszenie Łazarza.

Onego czasu Jezus chodził po Judei.
Uwolnił opętana;—a potem z kolei
Uzdrowiał trędowatych, słuch wrócił głuchemu,
A kapłani szemrali z cicha przeciw niemu.
Kiedy obrócił kroki w strony Jeruzalem,
Że Łazarz zmarł w Betanii, powtarzano z żalem.
Łazarz bratem był Marty i Maryi tej samej,
Co zmyła Panu stopy wonnemi balsamy
Żywiąc w sercu wspomnienie win ciężkich niestarte.
Jezus miłował Maryę, Łazarza i Martę.
Ktoś rzekł doń: „Łazarz umarł”.

I nazajutrz zrana
Gdy wokół otaczała go rzesza zebrana,
On nauczał ją prawa, — pisma tekst głęboki
Tłómaczył przypowieścią, — jak niegdyś proroki,
I rzekł: „Kto idzie za mną, ten istnym aniołem.
Bo gdy człek w skwar słoneczny cały dzień, z mozołem
Idąc, nie znalazł w drodze gospody ni zdroju,
Gdy nie wierzy, to płacze, narzeka i w znoju
Pada bez tchu, bez mocy na ziemię spaloną;
A jeśli we mnie wierzy, niech błaga, ja w lono
Technę mu potrójną siłę i znów pójdzie dalej...”
I przerwał, i do uczniów, co na boku stali,
Rzekł: „Łazarz, nasz przyjaciel, śpi; zbudzę sennego”.

Ci rzekli: „Mistrzu! ucznie w twoje ślady biega.”
 A z grodu, gdzie Salomon wniósł w przybytku progi
 Świętą arkę, — do Betanii trzy dni było drogi.
 Jezus poszedł, a za Nim niezliczona rzesza,
 I kiedy zamysłony sam naprzód pośpiesza,
 Od szat Jego bił odbłask cudownych promieni.
 Gdy przyszedł Jezus, Marta wybiegła do sieni,
 I objęła Mu stopy, tłumiąc w piersi łkanie:
 „Gdybyśmy Cię tu mieli, nie umarłby, Panie!
 Lecz zbyt późno — zagadnie — nawiedzasz to miasto,
 On umarł.”

Jezus na to: „Co ty wiész, niewiasto!
 Tylko-li żniwiarzowi pora żniw wiadoma.”

Marya sama żaloszna pozostała doma.
 Marta wola: „Chodź, siostrzko, nauczyciel w mieście!”
 Przyszła, a Jezus pyta: „Przecż te łzy niewieście?”
 A Marya smutno rzecze, ściszkając Mu nogi:
 „Gdybyśmy Ciebie mieli, nie zmarłby brat drogi.”
 Jezus odrzecze na to: „Jam światło i życie,
 Szczęśliw ten, kto ogląda stóp moich odbicie
 I podąża za niemi! kto wierzy, ten żywy,
 I grób go nie okuje twarżem ogniw!”

Jan z Piotrem, mili uczniu, szli w ślady za Panem,
 A zwróciwszy się Jezus ku rzeszom zebranyż,
 Pyta: „Gdzieście złożyli zmarłego?” a oni
 W milczeniu ukazali grób skinieniem dłoni,
 Przy potoku, co z szumem po żwirze się toczy.
 Jezus rzewnie zapłakał.

Rzesza zwraca oczy
 Ku niemu: „Patrzcie, mówią, jak Go śmierć ta boli;
 On, co czynił szatana podległym swęj woli,
 Czemuż-li będąc Bogiem, jak wieść brzmi zdaleka,
 Pozwolił na skon sercu miłego człowieka?”

Owóz żaloszna Marta za Pana rozkazem
 Powiodła go do grobu. Przyciśnion był głazem.
 — „O, Panie! jak ci uczniu i ja ufam Tobie,
 Ale, rzecze, — dzień czwartý nasz brat leży w grobie!”

Pan wyrzekł: „Milcz, niewiasto, duszą ufaj całą,
 A ujrzysz Boga wieczną odzianą chwałą!”

I dodał: „Niechaj kamień oddaną na stronę”.
 Stało się; widać wnątrze grobu otworzone.
 A Jezus spojrział w górę i postąpił krokiem,
 Gdzie, otoczon zgnilizną i grobu pomrokiem,
 Leżał zmarły, w całuny spowity dokoła,
 Schylił się, wielkim głosem: „Łazarzu!” — zawoła.

I wnet na rozkaz pana Łazarz powstał w grobie;
 Chustami powiązane miał on nogi obie.
 A pan rzekł do obecnych: „Rozwiążcie mu ciało:
 Niech sam pójdzie, jak człeku żywemu przystało”.

Lud obecny uwierzył w moc Pańskięj potęgi.

A tłum Faryzeuszów, jako piszą księgi,
 Przed pretorem zelżywe wciąż skargi powtarza,
 Świadom, że Jezus wskrzesił zmarłego Łazarza,
 Iż moc grobu zwyciężył głos Bożego Syna,
 Wyrzekli: „Niechaj umrze! wybiła godzina!”

4. B i w a r.

W głębi ciemnego lasu, opatrzony murem,
 Groźny, jak stary olbrzym z obliczem ponurem,
 Wznosił się zamek Biwar. Z czterech jego boków,
 Cztery wysokie baszty sięgały obłoków.
 Tu wjechał na podwórzec przez bramę sklepioną
 Wódz Maurów, później zwieńczon Toledu koroną,
 Przybył odwiedzić Cyda.

Saraceński książe
 Widzi, jak giermek w stajni klacz do żłobu wiąże,
 Odwrócony obliczem; tuż przy nim, na ziemi,
 Stos rzeczy, które przyniósł rękoma silnemi:
 Wór owsa, kubel z wodą, siodło ze strzemiony,
 A na wieży zamkowej porporzec zatkniony
 Świadczy, jako dziedzicznym panem zamku tego,
 Ojciec Rodryga Cyda, sędziwy Dyego.

Z odkrytemi łokciami, ze spotniałym czołem,
 Giermek, zgięty ku ziemi, pracuje z mazołem



A kaftan na nim prosty, ze skóry surowej.
Saracen go nie uczcił pozdrowienia słowy,
Lecz zawołał: „Hej giermku, co służysz w tym dworze,
Daj mi wieść o Rodrygu, wielkim Kampeadorze
Chcę go zobaczyć”.

A giermek wlepił w Maura oko,
I rzecze: „Jam Cyd...”

„Panie! ty, coś tak wysoko
Podniesion w Kastylji, któremu nadano
Wielkiego Kampeadora, bohatera miano,
Ciebie widzę, o, Cydzie! — woła Maur struchlały —
Ty, na którego hasła z Hiszpanii całej
Biegnał hufce walecznych, gdy trąby bojowe
Zwiastują nowe harce i podboje nowe;
Ty, za którego śladem, jak rój pszczoł po lesie,
Wiatr na skrzydłach zwycięstwa i tryumfy niesie!
Gdym cię widział rok temu, twój jenice w niewoli,
Ciebie, Cydzie, zwyciężcą w pałacu twych króli,
Majestatem królewskim lśniło czoło twoje,
Bo dokonane świetnie nad Ebro podboje
Uczyniły cię słońcem, co nad ziemię własną
Promienistym odbłaskiem świeciło tak jasno...
Słusznieś tam nad Hiszpany górował twą sławą,
Snadniej-by świeże zgliszcze porosło murawą,
Nizby wynaleźć zucha, coby do wyścigu
W odwadze i wziętości szedł z tobą, Rodrygu.
Nie jeden nowy przybysz przewodził nad pany,
Skoroś go między twoje przygarnął dworzany,
Bo Cyd odbłaskiem chwały i wielkości swojej
Poił wszystkich, jak matka mlekiem dziatwę poi.
Owi, czczym dymem pychy nadęci grandowie,
Co od chwili, jak noszą pióropusz na głowie,
Na sam majestat tronu nie baczą zuchwali, —
Gdys przechodził, przed tobą ze czcią powstawali,
Szlachta kastylska biegła na twoje posługi;
Cyd miał swe majordomy, jak monarcha drugi:
Guzman nosił twą tarczę, Leon — helm bogaty,
Od złota i klejnotów plonęły twe szaty;
Rój giermków bacznie śledził skinienia w twym wzroku,
Bo nikt nie stał nad Cydem, nikt przy Cyda boku,
Nikt, choćby na królewskim zrodzon majestacie!
Książę, Infant do ciebie nie śmiałyby rzec: „Bracie!”

Bo z czoła twego, Cydzie, bił blask tak uroczy,
Że émił wszystko, jak słońce olśniewając oczy,
A gdyś na czele hufca wystąpił bojowo,
Jak odwieczny dąb w puszczy, tyś wybujał głową;
I znęczone z obłoków promieniem twój chwały
Stada orłów poważnie nad tobą wzlatowały.
Wszystko jak dym pelzało, wodzu, twemi tory;
Tyś sam jeden nie zaznał jarzma, ni zapory.
Jak bohater niezłomny przy zwycięskim znaku,
Z włócznią w dłoni, z powiewnym piórem na szyszaku,
Tyś nad wszystkiém panował, wielki Kampeadorze!”

Cyd rzecze: „Tak, bo byłem na królewskim dworze”.

— „A dziś, skąd ta przemiana? — pyta Maur zdumiony,
Przybywam tu przed Cydem bić korne pokłony;
Widzę go w tym przyborze... Mów, Cydzie, co znaczy
To zgrzebło w twój prawicy, ten kaftan prostaczy?
Wszakże cię lada giermek zastąpić w tym może?”

— „Nie! rzecze Cyd, bo jestem na ojcowskim dworze!”

5. Ojciec i syn (La Paternité).

Ojciec dał w twarz synowi.

Oba jak Tytany.

Syna zowią don Askań — przez potok wezbrany
Rzucić się w pław, isé śmiało w zapasy z kudłaczem,
Być hrabią z sercem twardém jak stal, a prostaczem!
Tak ćwiczył się od dziecka, w takiej wyrósł szkole.
Góry się zdumiewały, gdy nieraz pacholę,
Jak pasterz za kozami, żartkami poskoki
Zbiegało nad przepaścią sterczące opoki.
Dwa dziesiątki lat chłopcu jeszcze nie dobiegły, —
Od Irun do Lokaris zdobył kraj rozległy,
Zburzył Tormes, a Sangrę rozkruszył taranem,
Pięciu królów arabskich starł w proch nad Zabanem.

Ojciec zwał się don Haim, do walk on zaprawny,
Tell byłby mu łuk oddał, Roland róg przesławny;

Herkules-by go własną obdarzył maczugą;
 Czém przy dziarskim junaku olbrzym z brodą długą,
 Tém Haim przy Askanie. Włos ma śnieżno-biały;
 Nietknięte ludzką stopą śnieg pokrywa skały,
 Tylko niezgięte czola starość w brózdzie orze.
 Snadniej powstrzymać w biegu rozbukane morze,
 Twardym złodem granitu, lub piaszczystą lawą;
 Lecz Haim się nie cofnie, gdy czuje swe prawol
 Być mężnym, to powinność: on ją spełnia święcie,
 Góry na widnokregu toną w chmur odměcie,
 Nad niemi stara baszta straż od wieków trzyma,
 A nad basztą góruje duch wielki Haima,
 Przed nim Kernosza druhów pierzeńnęła éma duża.
 Gdyby stanął Anibal u tych gór podnóza,
 „Jestem tu!” — rzekłby Haim z podniesioną głową.
 Gród stoi w miejscu pustém; nad groźną budową
 Wieczna harcuje burza, chmura pędzi chmurę,
 Wzdętą potwornie paszczą dmą wichry ponure.
 I wściekle ryczą, zwarte piekielnym uściskiem;
 A deszcz głucho pluskocze nad starym zameczyskiem,
 Z góry, jak przez rzeszoto, kroplisto się toczy.
 Haim nieraz ogląda huraganom w oczy;
 Gdy rozdarł piorunem pęknie chmury łono
 W jasny grom on źrenicę utkwi zasępioną,
 Zmarszczy brew tak złowrogo, że cień od niej pada,
 A pasterz, co w dolinie strzeże owiec stada,
 Mniema, że ten pan stromych potoków i wzgórz,
 Stanął jako rozjemca, wśród gromów i burzy.

Jego baszta się wokół bluszczami zieleni,
 Ku niemu wciąż o pomoc wołają zwaśnieni.
 Haim godzi walczących, w sposób znany sobie,
 Po za kres widnokregu sypcha strony obie.
 Jakby oka źrenicy, on poddanych strzeże,
 Od włości swoich mieczem odgania grabieże.
 Mściciel krzywd, on oręża nie wypuści z ręki,
 Słowo jego tak szczere, jak stali poszczęki.
 Cudzego nie ulaknie: równa dlań ohyda,
 Wydrzeć panu trzos złota, lub towar z rąk żyda.
 Klnie rzadko, sypia mało, w radzie sercem prosty,
 Chroni się złud niewieścich. Drżą zwodzone mosty,
 Gdy żelaznym taranem druzgoce łańcuchy;
 Bez trwogi, bez obludy, na pochlebstwa głuchy,

Wierzy w Boga, nie kłamie, nie ma w duszy jadu;
 Zniewaga nań rzucona prześliznie bez śladu.
 Zaduman o prawnukach, miłuje naddziady,
 W nienawiści ma wielkich podstępny i zdrady,
 Dla złych pełen litości, lecz go złość nie trwoży,
 Kiedy prawda przemawia, rad głowę ukorzy.
 Pan gór, i na dolinie po królewsku włada:
 Słynąca jedwabiami uroczą Grenada
 I Segowia dumna swych trzód miękką wełną,
 Położyły w nim ufność i wiarę zupełną,
 Sześćdziesiąt lat on rządzi w Hiszpanów krainie;
 Nigdy z pod powiek ludzkich łza tam nie popłynie.
 Ilekroć obozowe roztleją ogniska,
 Kiedy hasło bojowe od gór do gór błyska,
 Zaczém lud oręż z pochwy do walki dobędzie,
 Zrywają się z gniazd sępy i śnieżne łabędzie,
 By spojrzeć na rycerskie Haima obroty;
 Sępy czczą jego męstwo, a łabędzie — cnoty:
 On dobry!

W piersi syna gra też krew junacza,
 Lecz ojciec po zwycięstwie pobitym przebacza:
 Większy zatém od syna był Haim wspaniały.

Już dzierżą w mocy Reuss i Kantabrow skały;
 Ich gniazdem zamek Arkol, tam, u góry szczytu
 Don Maldrias, król Wandalów, dźwignął go z granitu
 W miejscu, gdzie stoczył walkę ze skrzydlatym smokiem,
 U stóp Ebro przepływa korytem szerokiem;
 Stąd Ludwik jedenasty, pchan podbojów żądzą,
 Zbity, z hańbą ustąpił.

Stary don Alonzo
 Ojcem był Haimowym: proch, widmo w tej chwili,
 Trup, — lecz większy od obu, którzy go przeżyli.

Wielkie on spełnił czyny, ludzie ich nie zliczą.
 Nieraz też, upowity w chmurę tajemniczą,
 Zawieszon ponad światem, żałośnie coś marzy,
 O nim-to przy ognisku rozprawiają starzy,
 Jego posąg w głębokiej pod wieżycą krypcie.
 Siedzi na sarkofagu, — niby sfinks w Egipcie.
 Olbrzym spiżowém czołem dotyka powały.
 Grób wiernym jest obrazem umarłego chwały:
 Wielki, gdy mąż był wielkim. Alonzo w tej dobie
 Widmem w nocy pomroku, olbrzymem na grobie.

Od lat tysiąca pięćset świat uznał moc krzyża;
 Ale serca się psują, duch ludzki się zniża.
 Rycerstwo było służbą zacną i zaszczytną,
 Piękno, dobro i prawda wspaniale w niem kwitną;
 Być rycerzem znaczyło — być obywatelem,
 Prostą drogą za słusznym uganiać się celem,
 Łaskawym być dla słabych, dla mocnych przeskodać.
 Zwycięzać z czystym sercem było niegdyś modą;
 Tego się obyczaju stary Haim trzyma.
 Odmianą poszedł drogą Askań, syn Haima!...

Nieraz ojciec, gdy żarem pierś jego wybucha,
 Widzi z boleścią w synu skarłatego ducha.
 Żartko rycerz na krwawe biegł zapasów pole,
 Póki wiarę miał w sercu, i honor na czole;
 Paladyn swego rodu, strzegł czei niesplamionój.
 Orzeł szersze miał skrzydła, lecz tępsze miał szpony;
 Inny czas, inni ludzie: wszystko dziś inaczej!
 Dzisiejszych zapaśników nie peha sza! junaczy:
 Nim zetrą się pierś z pierścią i z ramieniem ramię,
 Obludnemi podstępny wróg wroga okłamię.
 Wielki Cyd-by nie przyjął tej taktyki nowój,
 Ze wzgardą ją odrząca w pustyni lew płowy.
 Krótkie bywały szturmy,—dzisiaj miasta jęczą,
 Nazbyt długo żelazną ścisniętę obręczą,
 Nim rzecz zakończy grabież i płomień pożarny.
 Smutne też dziś zwycięstwo, sam tryumf dziś czarny;
 Tęm serce okrutniejsze, im uderza słabięj.

Askań obległ gród Altros. Bronią się Arabi,
 Wśród mężnego oporu zapal w sercach wzrasta,
 — „Próżno walisz taranem, nie damy ci miasta!” —
 Wołają oblężeni. Askań, z gniewu wściekły,
 Skruszył twarde wrzeciędze; strugi krwi pociekły,
 Zropaczzone żołnierstwo, za wodza rozkazem,
 Pustoszy gród nieszczęsny ogniem i żelazem;
 Z pogwałceniem praw bożych, spraw ludzkich zakała,
 W zgliszcząca płonących domów rzueca dziatwę małą.
 Z trzaskiem wał się wrzęby,—pożar bucha słupem.
 Trzy dni trwała biesiada, aż zdobytym łupem
 Obciążone żołdaństwo w góry wódz zagania.
 Mordem pijana tłuszcza ciągnie w ślad Askania.
 Liczy złoto, ze śmiechem gwałty przypomina —
 I dlatego-to Haim uderzył w twarz syna.

Na to rzekł syn: „Ja pójdę, gdzie mnie wzrok poniesie.
 Com ja zniósł, niech utonie w niedostępnym lesie.
 Taka straszna zniewaga, to niby rzut z procy,
 Głęboko nas pograża w czarną otchłań nocy.
 Krewka młodość do gniewu nadaje mi prawo.
 Ten policzek ojcowski, co okrył niesławą
 Twarz moję, wiek dziecięcy przywiódł już do końca!
 Pójdę skryć swoją hańbę przed obliczem słońca,
 Pójdę rozmyślać nad nią w ciemnej lasów głuszy.
 Jakto? że krew zawrzała w mój młodzieńczej duszy,
 Żem ten motloch niesforny skarcił ostrzem stali,
 Na drogę powinności zwrócił tych wassali,
 Żem kilku mieszczan zdusił w płomieniach i dymie,
 Tyś mnie, ojeze, znieważył, zbezczescił me imię,
 Zniewagę mi ojcowska zadała twa ręka!
 I poznałem, czém hańba, czém piekielna męka:
 Nie móż strasznej zniewagi odplacić wet za wet!
 Do dziś dnia nikt mi żywy nie dał poznać nawet,
 Co to jest drżać, na twarzy mieć rumieniec sromu!
 Pustynia mi przystała — więc uciekam z domu.
 Zwierz leśny, gdy do walki ma kły i pazury,
 Rad szerokiemi kroki zbiega las ponury;
 Lew dojrzały porzueca niewolniczą knieję,
 Ptak na gnieździe drapieźny pomału dziczeje,
 Gdy poczuł krzepkie siły, opieka mu zbrzydła,
 Orle pisklę do lotu gdy rozpostrze skrzydła,
 Zakracze i źrenice zatopi w twarz słońca:
 Czém mu ojciec,—gdy przed nim błękitny bez końca!
 Ojciec... och!.. ona szyba, którą czas odechli
 Przed duszą niemowlęcia w urodzenia chwili
 Jakaż ciemna!.. ja ojcu przebaczyć nie mogę
 Tej nieszczęsnej godziny, gdem w żywota drogę,
 Nie własną wolą moją, lecz przezeń popechnięty,
 Począł snuć nieświadomie wątek dni przeklęty!
 Choćby nas jakieś dawne łączyły ogniwa,
 Te pękły już na wieki: on sam je rozrywa.
 Mamże temu być wdzięcznym, kto mą cześć znieważył?
 Złowrogą, jak noc czarną mam plamę na twarzy,
 Niczym już dziś synem być mi nie przystało!
 Nie chcę patrzeć na ojca: me serce zdziecało.
 Łańcuch, co mnie krępował, na wieki dziś pryska:
 Porzucam ciebie, ojeze, i ten próg zameczyska;

Idę w góry, gdzie piorun w czarnej wzbiera chmurze,
 I w duszy mojej wściekle szamocą się burze.
 Idę, gdzie złomy opok światła nie przepuszcza.
 Tyś jedyną ochroną temu, straszna puszczo,
 Komu pamięć zniewagi przyrosła do czoła!"
 Tak rzekł syn — potem odszedł.

I głucho dokoła.

Zbyt pochopnie zapala gniew serce człowiecze,
 Za chwilowym polyskiem czarny cień się wlecze:
 Ten ojciec kochał syna!

Z baszty zamku staręj

Smętném okiem zamglone ogarnął obszary.
 Postać odchodzącego maleje mu w oku.
 Gdy znikła w oddalenia błękitnym obłoku,
 Starzec zstąpił do krypty, gdzie śpi ojciec zmarły.
 Przez kratę, którą dawno rdze nawskroś przeżarły,
 Słabiuchny ledwie odblask rozprasza noc ciemną.
 Często odwiedza Haim tę kryptę podziemną.
 Naprzeciw drzwi żelaznych u zgiętej w łuk ściany
 Siedzi na grobie olbrzym ze spiżu ulany;
 W miarę, jak się z pomrokiem godzi oko twoje
 Ujrzysz tu snów promiennych wzlatujące roje.

Bohater na kolanach ręce wsparte trzyma,
 Łagodnym tchną spokojem źrenice olbrzymia;
 Lecz niech je gniew zapali — piorunem uderzał
 Nie słyhać ludzkich głosów pod samotną wieżą,
 Śpiew ptactwa, ani okrzyk tryumfu i trwogi,
 Ni szum wichru nie wnuknie w te mileżące progi.
 Co zajmuje człowieka, nęci myśl i ucho,
 Co przemawia do żywych bólem czy otuchą, —
 Nie poważy się zmącić tej ciszy grobowej.
 Zadumany na grobie siedzi mąż spiżowy.
 Trzy stopnie, ludzkim nigdy nie tknięte sandałem,
 Dźwignęły w górę posąg. Dziś krokiem nieśmiałym
 Wstąpił na nie don Haim, cały jak liść drżący;
 Utopił smętne oko w ów posąg mileżący,
 A potem, jak przed sędzią, upadł na kolana —
 I piers starca, szaloną boleścią wezbrana,
 Wybuchła głośnie łkaniem i przez zgasłe oczy
 Łez próżno wstrzymywanych strumień się potoczy
 I zawoła:

„Ach! ojezel! tyś w innym już świecie!

Zaliż ojca rodzone porzucać ma dziecię?
 Czemuż zdala to jabłko padło od jabłoni?
 Ojezel syn twój przed tobą niech głowę nakłoni.
 Jam tu, w oném podziemiu, przy twym drogim grobie,
 Klęczę u kolan twoich pogrążon w żalobie.
 Ty mnie widzisz, twe oko spiżowe zadrgało.
 Jam żywot przebiegł w trudzie, jam uwiecznon chwała!
 Walczyłem, zwyciężalem, trąba sławy grzmiąca
 Z wieścią moich tryumfów szczyty gór potraça.
 Gdy brzmi, trzęsą się króle i wodze od trwogi;
 Dziś ukorzon z miłością całuję twe nogi.
 On rycerz, w bohaterskim nie wstrzyman zapędzie,
 W domu ojca maluczkiem niech dzieciątkiem będzie.
 Kiedy błogosławieństwo z ócz ojca mu błyska,
 Radosna jego dusza, ona Bogu blizka.
 Gdy brak ojca, wnet krzepkie wątłej mu bary.
 Ty sam wszechwładnym panem tej siedziby staręj,
 Olbrzymem tego zamku, w górze po nad światem,
 Oblicze twe polyska chwaly majestatem.
 Przed okiem twojem wschodzi wiekuista zorza...
 Ochl spuść na chwilę oczy z jasnego przestworza
 Na ten padół, gdzie ludzie gną się niby kłosa.
 Patrz, u nóg twoich klęczy starzec siwowłosy,
 Do piersi twój spiżowej z otuchą kołacze.
 Samotny wobec śmierci, on szłocha, on płacze,
 Ach! i któż mu odpowie, jeśli groby mileżą?

Syn porzucił me gniazdo jakby knieję wileżą;
 Tej szalonej ucieczki jak nędzna przyczyna!
 Policzek z ojca ręki maż obrażać syna?
 Ani Bóg, ani ojciec obrazić nie może:
 Kto karci, ten miłuje. Oceanu łoże,
 Choć skrzydło uraganu wściekle nim pomiata,
 Nie wyschnie i spokoju nie zamąci świata!
 Ręka boska nie haubi, dłoń ojca nie plami;
 Wiecznemi Bóg ogniwy sprzągl ojców z synami.
 Tyś pień, jam słabą plonką wzrosłą z serca twego;
 Ja cię kocham. Tyś umarł, a jeszcze mnie strzegą
 Cienie konarów twoich w długiej życia męce:
 Przy ojcu się nie kończą synom dni dziecięce.
 Jakabądź człowiekowi tu wytknięta droga,
 Ma on ojca na ziemi, a w niebie ma Boga!

Czuje w sobie utkwione w żywota pomroczu,
Dwie gwiazdy, dwoje śmiercią spromienionych oczu!
Ach! czemuż ciębie niema? byłbyś moim panem,
Stróżem, sędzią, doradcą w paśmie dni spletanem;
Chciałbym jako niewolnik uznać twoją władzę,
Czuć, żeś żyw, choćby uledez chłößeie i zniewadze:
Pocisk z ręki ojcowskiej bolesny, lecz zdrowy.
Niechby grom twego gniewu dosięgnął mój głowy!
Wszystko, co z góry płynie, za serce pochwyca;
Z piorunem zawsze jasna świeci błyskawica.
Mieć ojca — jakie szczęście!

Olbrzymie przeszłości,
Policzkuj mnie, znieważaj, zsiecz do szpiku kościł
Bądź gromem, lecz bądź ojcem; bacz, zali czyn szpetny,
Nie zmącił we mnie zdroju twojej krwi szlachetnej.
Strzeż we śnie i na jawie; bodajbym w twym progu
Jako pies leżał nocą na garści barłogu,
Bylem się czuł przy sercu, byleś był mym panem!
Od sześciu lat dziesiątek pod moim taranem
W proch grodów saraceńskich wałily się mury.
Trzydziestu-m ja Emirów przepędził za góry,
Z powalonych baszt śmieci zmiatałem pajęczce,
Kruszyłem twardą garścią żelazno obręcze;
Na karkach drżących ludów, przez dni mych bieg długi,
Zebrałem plon niemały rycerskiej zasługi.
Jeślim kiedy przekroczył — uderz mnie, masz prawo!
Gród mój silny, mój oręż połyskuje sławą,
Sieroce ludy moje błogosławia imię.
Wrogie gniazda runęły w zwaliskach i dymie;
Jam tu jak król potężny i głośny po świecie,
Poczczony włos mój siwy — lecz jam twoje dziecię!

Tak przemawiał don Haim w skrusze i żalobie
Do ojca spizowego, co siedział na grobie,
Do widma, w którym żywo drgały zbiegłe wieki.
W miarę jak mówił, Haim przymruzył powieki,
I siwa głowa starca, bólem skołatana,
Obwisła na posągu szerokie kolana.
I on, mąż pełen chwały, a syty wawrzynów,
Wybuchnął rzewnym płaczem. — O! bo miłość synów
Bezdena, jak bezdeną boleś w ojców duszy!
On płacze!

Coś się nagle w ciemności poruszy:

Straszno-to, kiedy wieczna zbudzi się martwota,
Gdy w oteblaniach grobowych drgnie iskra żywota;
Lecz siła czasem w łonie śmierci tajemniczym
Rozbudzi tę iskierkę. Nad starca obliczem
Powiał chłód, — z głębi serca wybuchnął zdroj nowy:
Ach! on uczył pieszczotę prawicy spizowej!

6. Biedni ludzie.

I.

Noc. Chata znać uboga, lecz zamknięta wkolo;
Izdebka ocieniona, a jednak wesolo.
Jakiś promyk tajemny wśród pomroku świeci:
Wokół izby, rybackie rozwieszone sieci,
A na półce dębowej, szczelnie wbitej w ścianę,
Rzędem misy i dzbanki błyszczą polewane.
Naprzeciw stoi łoże pod obrazem świętym,
A przy nim, na tapczanie, słomą potrząśniętym,
Śpi dziateczek pięcioro: gniazdeczko to raczej,
Które Bóg zlepil duszom do drogi tułaczęj.
Słaby płomień z ogniska rzuca blask na łoże.
Przy niem klęczy niewiasta, modli się w pokorze.
To matka, sama czuwa. A porykiem fali
Niebu, wichrom i skałom ocean się żali,
I noc głuche roznosi jęki po przestworzu.

II.

Mąż popłynął! on z młodu rybakiem na morzu;
Czy to zamieć, czy słońca, po wszystkie to czasy
Z srogim wichrem i burzą stacza on zapasy,
Bo dziatwa łaknie chleba. O słońca zachodzie
Wypływa śmiały rybak po wezbranęj wodzie.
Wiatr dmie w żagle i łódka pomyka jak strzała,
A żona sama w chacie z dziatkami została.
Ona przyrządza wędkę, lata sieci stare
I warzy na wieczereć drobnych rybek parę;
A gdy dziatki posnęły, trwożliwa i blada,
Z pokorą do modlitwy na kolana pada:

Bo on biedny pehnął łódkę w rozbukane wały,
 Po omacku, w noc czarną, i wskroś zziębły cały
 W kłębach kipiącej fali bacznie śledzi okiem,
 Gdzie ma siatkę zapuścić, i w morzu szerokim
 Bada miejsca, skąd polysk tajemniczo strzeli;
 Gdy w mroku pomknie ryba o srebrzystej skrzelu,
 Lecz trudno ją dopatrzeć, bo w głębię się chowa,
 A wokół, słoni przestrzeń gruba mgła grudniowa.
 Musi chwilę przypływu obliczać kolejną
 I łódź wątlą skierować tam, skąd prądy wieją.
 A gdy spiętrzone fale mącą wód głębiny,
 Gdy z głuchym jękami maszty pękają i liny,
 On myśl swą ku Joannie zasyla tajemno;
 I Joanna go z płaczem woła — i w noc ciemną
 Krzyżują się ich myśli jak ptaszęta boże!

III.

Ona rzewnie się modli oparta o łożo,
 A szyderczy krzyk mewy przenika ją trwogą.
 Drży na ryk oceanu, i widma złowrogo
 Snują się w błędnej myśli, i widzi trwożliwa,
 Jak wicher słabą łódkę żeglarza porywa...
 Nagle zegar ponuro zadzwonił na ścianie,
 I kroplę nową w czasów przetoczył otchłanie,
 Kroplę, z jakich się sączą dni, pory i lata,
 A z których uderzeniem wśród przestrzeni świata
 Duszom — stadom gołąbków, lub stadom jastrzębi—
 Otwiera się kołyska — lub grób w ziemi głębi. —

Ona klęczy i duma nad dolą ubogą...
 Działki zimą i latem chodzą bosą nogą,
 Jadają chleb jęczmienny: nie starczy pszenicy.
 O, Boże! wicher szumi, niby miech w kuźnicy!
 Skala jęczy jak twarde kowadło pod młotem;
 Gwiazdy zgasły, spłoszone czarnym chmur namiotem,
 Jak w dymie gasną iskry wybiegłe z ogniska,
 To chwila, kiedy północ śmiałym okiem błyska,
 Unosząc płochą młodzież w obłęd biesiadniczy;
 To chwila, kiedy północ, zbrodzień tajemniczy,
 Kryje słotną zamiecią swe czoło zuchwałe
 I kruchą łódź rybaka roztrąca o skałę.

O zgrozo! jęk człowieka głuży wściekła burza,
 On czuje, jak łódź zwolna w głębi się zanurza,
 I w bezdennnej otchłani, w ciemności bez końca,
 Widzi przystań w marzeniu — i złoty blask słońca.
 Te czarne myśli dręczą jej umysł strwożony:
 Drży i płacze.

IV.

Ha! biedne wy rybaków żony!
 Któraż z serdeczną w duszy boleścią nie powie:
 Wszystko, co kocham — ojciec, mąż, bracia, synowie —
 W tym odmęcie szalonym — łódce się powierza!
 Jednoż być lupem fali, albo lupem zwierza?
 Dość pomysłu, że woda igra z głowy temi,
 Z głową starca i z dziecka kędziorki złotemi,
 Że wicher wściekły, w trąby gdy zahuczy nagle,
 Roztacza po nad niemi z chmur utkane żagle;
 Że może łódź ich wątlą już w otchłan się chyli:
 Bo któż zdoła odgadnąć, co czynią w tej chwili!
 Wszak, aby bezdennemu stawić czoło morzu,
 Gdy drobna nawet gwiazdka nie lśni na przestworzu,
 Mają tylko deszczulkę i skraj płótna mały:
 Z tém-że się między groźne zapuszczają im skały?!
 Fala rośnie i kipi; niewiasta z rozpaczą
 Woła: „Ocal ich, Boże! niech próg swój zobaczą!”
 I nie wie, myśl obłądną w którą zwrócić stronę,
 Bo myśl jej zawsze czarna — wciąż morze wzburzone.

Lecz Joanna biedniejsza. Mąż sam jeden pływie,
 Sam pod tém chmurnym niebem, w tej strasznój godzinie;
 Działki drobne: któż ojca od szkody uchowa?
 „Gdybyć urosły!” Matko! odwołaj te słowa!
 Później gdy pójdą z ojcem — pierś twą zbiegną dreszcze,
 Rzekniesz płacząc: „O! gdybyć małe były jeszcze!”

V.

Bierze płaszcz i latarkę; to właśnie godzina,
 Gdy patrzy, czy już morze opadać poczyna,
 Czy światełko polyska na maszcie wysokim.
 Wyszła z chaty. Wokoło, jak zasięgnąć wzrokiem,

Noc czarna; słycać tylko głuchy łoskot fali.
 Jeszcze biała jutrenka nie świta w oddali.
 Deszcz mży! — Smutnoż, gdy rankiem niebo się rozplacze,
 Rzekłbyś, iż jako dziecię na dolę tulacze
 Dzień rodzący się zżyma i trwoży tajemno...
 Idzie, pogląda w okna, ale w oknach ciemno.

Nagle, gdy po omacku szuka śladu drogi,
 Mignął jęj przed oczyma, niby cień złowrogi,
 Ta napół rozwalona, mehem porosła chata.
 Ni w nięj ognia, ni światła; wiatr drzwiami kołata,
 I potrąca krokwiemi, i miota na strony,
 Czarne, przegniłe snopy strzechy nastroszonęj.

Tu Joanna, jak wryta, stanęła wśród drogi:
 — „Patrzcie! jam przepomniała o wdowie ubogięj—
 Rzecz — a mąż mi mówił, że sama i chora!
 Muszę zajrzeć, czy lepiej biedaczce od wczora!”

Puka we drzwi i słucha: nie widać nikogo.
 Joanna drży jak listek, wskroś przejęta trwogą.
 Ona chora, a dziatki kto karmi w tej dobie?
 Prawda, ich tylko dwoje; ależ ojciec w grobie!
 Znow kołacze. — Hej, matko! — zawoła co siły,
 Lecz chata głucho milezy. — „O, mój Boże miły,
 Jakże ona śpi twardo! daremne me słowa.”
 Wtém drzwi, jakby je litość przejęła chwilowa,
 Same przed nią na oścież rozwarły się w cieniu.

VI.

Weszła... i przy latarki gasnącym płomieniu
 W głąb ubogięj izdebki spojrziała z obawą.
 Deszcz pada jak przez sito przez strzechę dziurawą;
 W głębi na potrząśniętym barłogu, na ziemi,
 Leży na wznak niewiasta z nogami bosemi.
 Oczy jęj mgłą zmroczone, a postać — straszliwa.
 To trup, niedawno matka serdeczna i tkliwa...
 Dziś blade widmo głodu w postaci niewieściej,
 Szczałek ludzki, po długiej walce i boleści.
 A z pomiędzy barłogu ohydnie wystąpiła
 Ręka jęj sucha, zimna, zzółkła i skostniała,
 A z ust, na pół otwartych, wieje chłód grobowy,

Z nich dusza, snadź rzucając śmiertelne okowy,
 Wyrwała straszny okrzyk, co się rozległ w niebie.

Przy barłogu matczynym leży koło siebie
 Dwoje maleńkich dzieci, w kołysce jedynęj.
 Cudnież się uśmiechają te śpiące dzieci! —
 Biedna matka, śmiertelne czując dreszcze, z trwogą
 Otuliła dziecięta w swą odzież ubogą,
 By na nie chłód grobowy nie powiał z jęj łona,
 Aby im ciepło było, gdy skostnieje ona!

VII.

Jak one śpią w kołysce, choć ją wiatr tak chyli!
 Ich oddech tak spokojny! zda się, że w tej chwili
 Nic uspionych sierotek z snu zbudzić nie zdoła;
 Gdyby nawet zagrzała trąba archaniola,
 Duszy dziecka niewinnęj wszak sąd nie zatrwoży!
 A na zewnątrz w chmur kłębach toną brzaski zorzy.
 Deszcz leje, istny potop; przez dachu szczeliny
 Spada kropla po kropli na twarz matki sinej...
 Jakby z oczu zagasłych zdroj lez tryskał nowy,
 Fala huczy o skałę, jak dzwon pogrzebowy.
 A trup słucha łoskotu z twarzą osłupiałą...
 Bo gdy duch już uleci, wtedy martwe ciało
 Zda się stróża aniola przyzywać z oddali.
 I trup, niby zdumiony, mileżąc się żali;
 Nieme usta i zgasłe zapytują oczy:
 Gdzie twoje ciepłe technienie? gdzie twój blask uroczy?
 Żył kochaj! zrywaj kwiaty, młodości swobodna!
 Płasaj, żartuj, płoń sercem, spełniaj puchar do dna!
 Jak strumienie w ponurym oceanie toną,
 Tak wszystkiemu na ziemi jeden kres znaczone:
 Matkom, którym uroczym brzmia dziecięcych głosy,
 Miłości, która duszę porywa w niebiosy,
 Wdziękom w pełnym rozkwicie, pieśni w pełnej sile,
 Znależć chłód i ostoję w milczącej mogile!

VIII.

Co tak długo Joanna bawiła u wdowy?
 Cóż to niesie pod płaszczem, dążąc w próg domowy?
 Czemu tak pilnie bieży w ciemności głębokiej,
 Z sercem mocno bijącym i drżącymi krokami?

Czemu błotnistą ścieżką w cwał pędząc w pomroczu,
Nie śmie za siebie zwrócić bojaźliwych oczu?
Cóż to wbiegłszy do chaty, zdyszana, wespół żywa,
Sklada cicho na łożu, i w pościel ukrywa?

IX.

Ledwie do dom wróciła, błysnął świt poranny.
Siadła drżąc przy łóżku. Na licu Joanny
Odbija groźny wyrzut; twarz jęj dziwnie blada,
Czoło jęj, ciężkie troską, na wezgiowie spada.
Jakieś słowa bezładne z ust rwą się chwilowo,
A morze groźnym rykiem huczy jęj nad głową. —
— „Biedny mąż! co on powie? mój Boże, czyż mało
Ma trudów! mnież przyczyniać jeszcze ich przystało?
Pięcioro dziecięci cięży na ojcowskiej głowie,
I te ciężko wyżywić! a cóż gdy się dowie,
Że mu dwoje przybyło: — To on!.. nie... drzę z trwogi...
Jeżeli mnie wybije, rzeknę: „dobrze, drogi!”
On-że to?... tęp lepiej; drzwi się poruszyły,
Jakby kto wszedł... nie jeszcze... O, mężu mój miły,
Na myśl o twym powrocie krew ścina się we mnie.”
A potem, zadumana poczęła tajemnie,
Zstępować, jak po szczeblach, w ciemną otchłań myśli,
Gdzie bojaźń i zgryzota czarne widma kręśli;
Nie słyszy już biedaczka, ani huku burzy,
Ni krzyku kormoranów, owych czarnych stróż,
Ani groźnego wichru, ani plusku fali.

Nagle drzwi się rozwarły — brzask błysnął z oddali.
Rzeźki rybak sieć mokrą wlece do ogniska
I woda się szeroko po izbie rozpryska.
Stanął i rzecze smutno: „Oto połów cały!”

X.

— „To ty! — woła Joanna, wlepie wzrok nieśmiały
W męża; ku niemu żywo biegnie w progi chaty,
Przyciska drżące usta do przemokłej szaty.
Rybak rzecze łagodnie: — „To ja, żono miła”.
A w kominie płonąca głównia rozświeciła
Swobodny jego uśmiech i wydatne czoło.
— „Złupiono mnie jak w lesie!” — zagadnie wesoło.

— „Zły czas miałeś?” — „ot twardy!” — „a połów?” — „nie tęgi”.
Ale gdy cię już widzę, nie pomnę mitręgi.
Nic zgoła nie złowiłem! na domiar pociechy
Podarłem sieć! sam szatan musiał dać dziś w miechy.
Cóż za noc? istne piekło! wiatr zerwał mi linę,
Mniemałem, że się łódka zanurzy w głębiny,
Lecz Bóg ustrzegł od złego: a ty, żono droga,
Coś robiła?”

— „Nic... — cicho odrzeczcie nieboga;
I zimne dreszcze trwogi przejęły struchlałą —
Łatałam sieć i drżałam, bo morze huczało
Tak straszno! — twardaż zima, lecz Bóg czuwa przecie!”
Wtedy trwożna jak zbrodniarz, gdy go wyrzut gniecie,
Rzecz z cicha: „wiiesz, mężu, umarła już chora;
Wczora biedna skonała, zapewne z wieczora.
W chwilkę potem gdy z siecią wpłynąłeś na morze,
Zostało dwoje sierot... Dziwne sądy boże!
Córce imię Magdzia, a Wilhelm synowi;
Jedno jeszcze nie chodzi, drugie ledwie mówi;
Biedaczka! w ciężkiej była za życia potrzebie!”

Rybak utonął w myślach, rzucił preez od siebie
Czapkę, którą zmoczyła na wylot ulewa:
— „Tam do licha! pomruknął, człek się nie spodziewa
Co nań spadnie, z pięciorga będzie ich siedmioro;
Już i tak, kiedy zimą połów szedł nie sporo,
Szliśmy spać bez wieczery... Ot, jakaż tu rada?
Żle!.. ależ jam nie winien. Snadź Bóg ciężar wkłada;
Trzeba przyjąć, kark poddać, skoro wyrok taki.
Czemuż pozbawił matki te biedne robaki?
A małe to jak piąstka... Dziwnieź świat się toczy,
Ten to pojmie, kto biedzie spojrział nieraz w oczy.
Trudnoż je gnać do pracy, gdy nie starczą siły!”

— „Żono! ruszaj co żywo, może się zbudziły,
Same przy trupie matki drżą z bólu i trwogi;
Czy słyszysz? duch umarłej zakolał w progi;
Otwórzmy je sierotkom. Dalej w Imię Pana!
Będzież to nam wieczorem lazło na kolana;
Spólnie z pięciorgiem naszych wychować je trzeba,
A gdy Pan Bóg dostrzeże z wysokości nieba,
Że nam chleba zabrakło dla tych biednych dzieci,
Więcej ryb przy połowie napędzi mi w sieci.

Będę pił czystą wodę, a pracę podwoję;
 — No idź, żono! — Co widzę? chmurne czoło twoje?
 Nie lękaj się daremno, gdy ja się nie trwożę!”
 — „One już tu!” odrzekła — wskazując na łożo.

7. Mściciel.

Pyszne Generalefu Cyd przekroczył progi,
 Wszedł i zabił kalifa: był nim Ogrul srogi.
 Truchlały przed nim sługi — drżeli domownicy,
 Plomień w Kampeadora połyska żrenicy.
 Ma on duszę pocziwą a pięści spiżowe.
 Przystąpił do kalifa, ugodził go w głowę
 I odszedł i zatonął wzrokiem pełnym dumy.
 Przed mścicielem w milczeniu rozbiegły się tłumy,
 Snadź jakąś czarodziejską zakłętą potęgą.

Wtém ukazał się Medant: nad Koranu księgą
 Pochylon od pół wieku starzec białowłosa
 Co z gwiazd Aldebaranu wróżył przyszłe losy,
 Pokłoni się głęboko i przed Cydem stanie,
 „Spotkałeś Cydzie kogo?”

— Grom spotkałem, panie!
 „Wiem o tém—rzcze mędrzec—tam, na onęj górze,
 Gdym się modlił przed chwilą, by oddalić burzę,
 Zbiegł do mnie jasny piorun, szepnął mi do ucha:
 Obudziły mnie ze snu poszczęki łańcucha,
 Zbiegłem tam, wtém posłyszę Kampeadora kroki,
 Cyd zastąpi mnie godnie! powracam w obłoki!”

8. Pawełek.

Przyszło na świat dzieciątko; w tejże samej dobie
 Matka zesła ze świata.

Gdy spoczęła w grobie,
 Dziadek podjął niemowlę; nieraz to, co *było*,
 Strzeże tego, co *będzie!* Serce nową siłą

Drgnęło w nim, gdy dziecinę przytulił do łona,
 Sam je tuli i niańczy jak matka rodzona.
 On stary, już mu tylko na żywota drodze
 Słodkim być przewodnikiem; niech ku niemu w trwodze
 Idzie ten, czyja dusza boleścią przejęta;
 Niech ku niemu dzieciątko wyciągnie rączęta,
 Gdy widnokrag zasłany chmury tak czarnemi,
 Wypada, by ktoś jeszcze był dobrym na ziemi,
 By w sercu miłosierdzia przechował zdroj czysty,
 A gdy zabraknie dziecku piersi macierzystej,
 By kozę karmicielkę przywiódł mu z parowu,
 Uczył słowa *kochajmy* i w myśl temu słowu,
 Poranek dni sierocych otoczył pogodą;
 By z doświadczeniem starca łączył duszę młodą.
 To też Bóg, jeśli matkę całunem spowinie,
 Kochającego dziadka przysyła dziecinie,
 Wskresza iskrę z pod lodu i cudem pomieści,
 W stygnącej piersi starca, kwiat uczuć niewieści.

Od pierwszej chwili życia Pawełek sierotką.
 Wielkiem okiem błękitném patrzy na świat słodko,
 Jakieś niezrozumiałe belkocze wyrazy;
 Ciało jego niewinne, duszyczka bez skazy;
 Istny boży aniołek! Z miłością głęboką,
 Starzec na pół zagasłe utopił w nim oko,
 Wié, że zachód dni jego zbliża się do końca;
 Jak mu duszę raduje ta zorza wschodząca;
 Dziadek zabrał do wioski maleńką dziecinę.
 Ogarniesz stąd oczyma szeroką dolinę;
 Na polu falującym podzwania kłosa nowy,
 Kłębem żywicznej woni bucha las jodłowy.
 Za domem piękny ogród, pełen drzew i kwiatów,
 Wpółśród takiej przyrody i tych aromatów
 Pod żywotném ich tehnieniem krzepko dziecię rośnie,
 A kwiatki na Pawełka nie patrzają zazdrośnie.

W cieniu grusz i jabłoni, koleczysta jeryzna
 Szeroko swe gałązki po ziemi rozpina.
 Przez wierzbowe konary coś tam się zabieli:
 Czy wodnica z głębokiej wybiegła topieli?
 Nie, to promyk słoneczny odbił się na wodzie.
 Roje ptasząt na gniazdkach świergoczą w swobodzie;

W błękitach zasłyszane powtarzają wieści;
Ukryty pod murawą zeicha zdrój szeleści.

Ogród śliczny—wszak prawda, gdy rozkwitnie w lesie?
O, ileż on cudniejszy, gdy w nim ujrzysz dziecko,
A przy wnuczku dziadunia z głową jak śnieg białą.
Dziecięciu obok róży, starcu być przystało
U boku niemowlęcia, gdy z nóżki bosemi
Pół-zanurzone w trawie, tarza się po ziemi.
Pawełek zrazu wątły, istna pajęczynka:
Azaliż grób za matką nie powoła synka?
Gdy się rodził, wiatr zimny powiewał zdradziecko.
Koza karmi go mlekiem, i wyrasta dziecko.
Braciszkiem mu koziołek, co płąsa po łące,
Dziecię goni oczyma to koźlą skaczące,
Chciałoby wstać na nóżki:—Chodź-że — dziadek rzecze:
Słusznie! chodzić po ziemi, to prawo człowiecze!
Dzieciątko drży jak listek, ramionka się chyla,
Každy mu sprzęt czy kamień, Charybdą lub Scylą,
Słaba stopka się chwieje, kolanko się zgina,
Drży, a przecież wesoło spogląda dziecina.
I gałązka, choć drżąca, wszak rozkwita wiosną!
Pawełek rok już skończył i siły w nim rosną,
Już postawił krok pierwszy, potem drugi!.. Matki!
Chcecież widziéć Pawełka — patrzcie na swe dziatki!
Cudny obraz, ach! dziwnieź raduje nam oczy.
Trop w trop, stary dziadunio za dziecięciem kroczy.
— „Ostrożnie. Daléj. Naprzód. Tak. O własnej sile!”
Dziecię słucha i patrzy, zawaha się chwilę,
I ruszy coraz żwawieź!.. Dziadunio schylony
Pobieży ku dzieciątku, ogarnie ramiony,
Chwiejący, chwiejącemu podpory udziela,
Ileż potem tryumfu, śmiechu i wesela!
Nie opisać nam gwiazdki, co na niebie świeci,
Ni jasnego słoneczka, ani śmiechu dzieci.
Chwała, miłość, pogoda, dzwoni w nim tak słodko.
Jakaż duma niewinna wstrząsa tą istotką,
Jak szczęśliwa w prostocie, w niewinności swojej,
Pyszni się, że raz pierwszy na nożętach stoi!
Śmiech dziecka, ileż mówi o Bogu, o Niebie!

Starzec, postać poważna jak Mag na Horebie,
Przy drogim swoim wnuczku dziaduniem był tylko,

Zapatrzony w dziecinę, śledzi z każdą chwilką,
Jak promyk coraz głębiej młody mózg przenika,
Wsluchując się rozkosznie w szezebioty chłopczyka,
Widzi, z jakim się trudem dziecka myśl skrzydłata
Płacze w sieć słów nieznaných, to w górę ulata,
Znów spada, i gdy wątku zabrakło dziecinie,
Myśl w słowo niezwiązana, piosnką się rozplynie.

Pawełek wciąż bełkocze: o domowe ściany
Rozlega się tych gwarów dźwięk niezrozumiany,
To grzechocze wesoło, to krzyczy, to śpiewa,
Szumem liści w ogrodzie wtorują mu drzewa.
I Pawełek szczęśliwy, och! bardzo szczęśliwy!
On całym trząsa domem i dziadunio siwy
Ulega Pawełkowi: — Stój, dziaduniu! on staje:
— Chodź... idzie. Daj mi rękę! on rękę podaje.
Nad zimą, wiosna musi zapanować młoda,
Zawsze trwa między nimi niezmacona zgoda;
Wnuk zawsze rozkazuje, dziadek zawsze słucha;
Chodzą razem, pieśń ptasząt wpływa im do ucha.
Wciąż bawią się wesoło jak zwyczajnie dzieci,
Ten ma lat osiemdziesiąt, a tamten rok trzeci.
Wątek myśli rozwija w chłopcu dziadek stary,
Dziecko w starcu rozpala zgasał iskrek wiary.
Rzekłbyś, że zamieniając myśl, duszę i słowo,
Jeden drugiemu wskazał stronę Boga nową.
Słodkie we dnie wrażenia przyjmują w połowie,
Jedne sny im zbiegają nocą na wezgłowie,
I nigdy dusza z duszą nie sprzęgła się szczerzej;
Nigdy jeden drugiego na krok nie odbieży.
Niewinne serca oby łączy miłość święta;
Wiecznie gwarzą jak w bajce niebieskie ptaszęta.
— Strzeż się, patrz, rów przed tobą! zamoczyłeś nogi!
— Umyślnie wszedłem w wodę, przebacz, dziadziu drogi!
— Nie stąpaj po kamykach, biegnij tam po łące.
Niebo tak jasne było; słoneczko błyszczące
Patrzy na nich, wspólnemi ogarnia pieszczoły
Bieluchny włos dziadunia i włos dziecka złoty!

A ojciec gdzieś opodal z żoną mieszka nową.
Próżno drży biedne serce pod darnią grobową,
Gdy żywa po umarłej praw się dopomina.
Już w kołyse maleńka pokwila dziecina,

Pawełek nie wie o tém, dni mu płyną słodko,
Przy dziadku nikt go nawet nie nazwał sierotką,
Aż w końcu na śmiertelną legł starzec pościeli.

Gdy Booz rzekł do Ruty, Jakób do Racheli:
Zapłaczcie, bo umieram! niewiasty płakały.
Ale z dzieckiem rzecz inna! czyż zna chłopiec mały
Co to śmierć? Starzec ciężką złamany chorobą
Ezekł do wnuka: Pawełku, mnie krótko być z tobą!
Ja umrę, ty zostaniesz biedny sam na świecie!
Zadumaną zrenicą patrzyło nań dziecię.
A potem znowu radość połyska mu z oczu,
Znów śmieje się wesoło.

Przy wsi, na uboczu
Stoi mały kościółek: uderzyły dzwony,
Pomnę, lud wkoło trumny licznie zgromadzony,
Ksiądz odmówił modlitwę i pokropił ciało;
Widzę słodkiego starca głowę posiwiiałą,
Wyżółkłe jak wosk lica, i spokój na czole.
Wzięto trumnę i orszak pociągnął przez pole.
Wkoło buchają wonią macierzanki świeże,
Lud idzie za umarłym, w głos mówi pacierze.
Przy drodze leży krówka i żałośnie ryczy
I zwraca na przechodni wzrok pełen słodyczy.
A za trumną podąża Pawełek sierota.
Ot, kościółek i cmentarz; rozwarłe już wrota,
Nie rosną tu wawrzyny ni smukłe cyprysy,
Nie dopatrzeć marmurów z szumnemi napisy,
Wśród krzyżów i mogilek wiedzie wązka droga,
Jak tu cicho, poważnie! Tu pod okiem Boga
Śpi lud, skwarnym żywota utrudzony znojem,
Wkoło parkan oplecion bluszczem i powojem.
Pawełek idzie zwolna i milczy głęboko,
I we wrota cmentarne pilne wlepił oko.

Życie snem dla dziecińcy! czasem promyk słońca
Zgaśnie wprzód, zaczm dzieńek dobieży do końca,
Pawełek miał trzy lata.

— „Ha! psotniku brzydki!
Precz stąd, bo cię wytłukę, popamiętasz zbytki!

Gdy patrzę na dzieciaka, żółc się we mnie burzy,
Precz stąd! — ja przy mym stole nie ścierpię go dłużej,
Zjadł z garnka wszystko mleko, posadzę ja ciebie
Za pokutę w piwnicy o wodzie i chlebie!”

Do biednego Pawełka te okrutne słowa?
Ledwie nad starym ziemia zapadła grobowa,
Gwar jakiś o domowe rozległ się wnet ściany,
Dom zajął obcy człowiek, chłopięciu nieznanym.
To był ojciec Pawełka, z nim przybyła żona
Maleńkie niemowlętko przytuła do łona.

Serce młodej niewiasty twarde dla sierotki.
Gdy pieści własne dziecię, uśmiech jej tak słodki,
Oko płonie miłością, pieśń jej cudnie dzwoni,
Lecz wara Pawełkowi przybliżyć się do niej!
Ze wstrętem, z nienawiścią patrzy w cudze dziecię.
Cierpieć nawet bez winy, rzecz zwykła na świecie,
Człowiek brzemię ofiary dźwiga z własnej chęci.
Tak cierpią męczennicy, prorocy i święci.
Ach! straszniej, gdy dziecięciu żywot już dopieka,
Choć nie ma jeszcze woli, ani bark człowieka!

Dąb oceniał mu głowę, jakaż dziś odmiana!
Sam w śród ostów i pokrzyw ugrzął po kolana.

Co się stało? Pawełek zrozumieć nie może.
W izdebce jego czarno i pusto jak w norze.
Idzie spać, płacze biedny, i nikt o tém nie wie,
Chwieje się niby trzcinka, drży jak liść na drzewie,
Otworzy rankiem oczy... spojrzy... i znów płacze,
On sam, ręka życzliwa w drzwi nie zakołacze,
Blask nie wnuknie przez szybę, wkoło pomrok siny,
Dziwny żal ścisła biedne serduszek chłopczyny.
Czyż go jasne słończko jak dawniej nie kocha?
Wszedł w progi; — „precz stąd” gniewnie zakrzyczy macocha,
Biedaczek do ogrodu, pod cień drzew ucieka,
A gdy kwiatki sierotę ujrzały zdaleka,
Ze smutkiem jasne główki ku ziemi pochyla,
I ptaszęta na gniazdkach żałośnie mu kwilą.

— „Gdzieś był? Jaki brudny! cały starzan w błocie!”
Macocho wszystkie cacka zabrała sierocie,

Oddała niemowlęciu: ojciec nie przeszkadza,
Nad kochającym mężem wielka żony władza.
Pawełek na zabawki ogląda ze smutkiem,
Aniołkiem był w tym domu... a teraz... odrzutkiem.
— „Uciekaj! precz mi z oczu!” krzyknął głos niewieści.

Inaczéj brzmią jéj słowa, gdy niemowlę pieści,
— Chodź do mnie, moje złotko, moje ty kochanie,
Cherubinka z niebiosów zesłałaś mi, Panie!
Leczka twoje różowe, istny promyk zorzy,
Oczęta jak gwiazdeczki — to aniołek boży!
Cudownież mi z tych ocząt światelko połyska,
Jedynym światem dla mnie ta mała kołyska;
Daj nóżkę ucałować i jedną i drugą.
Długo matka niemowlę pieści — bardzo długo.
Pawełek stoi z boku. Wątpa pamięć dziełek,
Tyleż on zapamięta jak jagnię lub kwiatek,
Przecież słabiuchne rysy na dniu serca chowa,
On wié, że słyszał niegdyś te rozkoszne słowa.

Jadał w kącie na ziemi obiad i wieszczkę,
Zrazu płakał, lecz w końcu i łez się przebierze,
Obeschła mu powieka, usta zaniemiały.

Pilnie oczyma ściga drzwi Pawełek mały.
Raz wieczorem po całym szukano go domu,
Ale nigdzie go niéma — uciekł pokryjomu.
Było to w twardą zimę; śnieżna dmie szaruga,
Ni gwiazdeczki na niebie; noc czarna i długa.
Dziecię znikło bez wieści. Daremne zabiegi,
Ślady maleńkich stopek zasypały śniegi.

W bliżkiéj wsi znaleziono sierotkę o świcie.
Wieczorem jedni drugim rzekli: — „czy słyszycie?
Jakiś głos tam żałośny w ciemności pobrzmiwał?”
— „To wichery, mówią drudzy. To szeleszczą drzewa!”
— „Może wilcy gdzieś wyją lub harcują duchy!”
„Dziaduniu!” słaby głosik brzmi wśród zawieruchy.
Strach wielki padł na serca, każdy drży jak listek,
Rankiem w stronę kościołka wybieży lud wszystkich,
Pod wroty cmentarnemi odkryto dziecinę,
Zimny, sztywny jak kamień, rączęta ma sine,
Oczy wpół przymrużone, lica śnieżnéj bieli,
Śpi, takim snem spokojnym śpią boży anieli!

Jak trafił tu maleńki, sam jeden w noc czarną?
Opiera prawą rączką o bramę cmentarną,
Jakby ją chciał otworzyć — lecz nie pękły wrota,
Dziadunia umarłego przyzywał sierota,
Snadź w głąb zimnéj mogiły jęki się nie wdardı,
Wołał długo, aż upadł na ziemię umarły,
Biednemu Pawełkowi sen zawarł powieki;
Nie rozbudził dziadunia, śpi przy nim na wieki!

9. Wstęp do Legendy wieków II-éj seryi.

Czémże jest ona księga, której każde słowo
Tchnie przeszłością, otchłania i nocą grobową?
To gruz odwiecznych podań, co w chwili przewrotów,
Pod naciskiem rzuconych ręką bożą grotów,
Skrzył ziemię, gdy się do dna wstrząsały jéj posady;
Gruz, oświecon zaledwie blaskiem jutrzni bladéj,
To wrzób wysiłkiem wieków podźwignion ku górze,
Pełen cieniu, lecz skąpan w idei lazurzel
To wielki gmach, a raczéj kostnica straszliwa,
Powalona wichrami, kędy śmierć przebywa;
Gdzie zaledwie chwilową w pomroku mgły sinéj
Leciuchno, jak płomyczek, lub skrzydło ptaszyny,
Wolność obok nadziei na dachu przysiędzie.
To zwał, gdzie przez spiętrone rumowisk krawędzie
Zmija, bluzgając jadem, głucho się prześliska,
Gdzie czarna gnije chmura, nim ku słońcu wbieży.
Ta księga, to okrucha strasznej Babel wieży,
Dźwigniętéj ludzką pychą! to pomnik on stary
Zła i dobra, żaloby i łez i ofiary!
Gmach, co niegdyś widnokrag émił olbrzymiém czołem,
Dziś zgliszczce zasypane pożarnym popiołem,
Sterczące tajemniczo z czarnej nocy łona,
To ludzka epopeja w gruzy powalona.

10. Pochód Kserksesa.

Różne ich obyczaje: naprzód idą Scyty,
 Burzyciele zachodu, lud mordów niesyty,
 Idą nadzy. Makrowie zdążają za niemi,
 Głowy ich, miast szyszaków, strojne lby końskiem.
 Dwoje kosmatych uszu sterczy im u skroni.
 Dalej w tygrysiach skórach kroczą Paflagoni;
 Daki, których król budę z gliny ma zlepioną,
 Przez pół pomalowani białą i czerwono.
 Dalej przy huku bębnow, wśród wojennej wrzawy
 Podąża z czarną twarzą Etyop kędzierzawy.
 Dalej Persy w turbanach zielonych na głowie;
 Z długimi na stóp dziesięć włóczniami Trakowie,
 Za wyroczni marsowej wieszczym idą głosem;
 Nie policzysz Saspirów z przyplaszczonym nosem,
 I Ligów, co w plugawej kąpią się kaluży.
 Dalej Saków i Mików i Partów tłum duży
 Dadyki od perskiego morza idą brzegów,
 Na czole mają wieńce splecione z warzyków.
 Kaspiowie w kozich skórach zgorzali na słońcu,
 Niosą długie dziiryty przypalone w końcu.

Niby woda w kotlisku wciąż powódź się wzdyma,
 Chmury idą a idą... i któż im dotrzyma?
 Ci, ze stepów azyjskich, ci z pustyń Afryki
 Idą Sardy, zachwali pogromce Korsyki.
 Moskowie z twarzą skłóta, w szłykach z twardej kory,
 Tłoczą się kupy Gotów strasznych jak potwory,
 Zdążają Baktryany: Mag Histap ich strzeże,
 Tybaryny z żorawich piór niosą puklerze,
 Zypsy, Negry z puszczy leśnych, brzęczą w turze rogi,
 Abrody istne dyabły nie ustąpią z drogi;
 Zbrojni w łuki palmowe i kamienne spisy
 Syryjczycy okuci w drewniane kirysy.

Wtém zabrękiły ligawki i śpiewne fujary,
 Górali abisyńskich gromadzą się chmary,
 Pędzą tabuny źrebców gwarliwe Numidy,
 Z kraju, kędy olbrzymie sterczą piramidy.
 Kroczą Sydye w szyszak przybrane miedziany,
 A dalej jasnowłose śpieszą Milijany.

Ludy wielce przezorne: ta strona w nich znana,
 Że nigdy nie obrażą Boga ni szatana.

.....
 Żartko podąża naprzód za plemieniem plemię.
 A król Kserkses na wozie swym siedzi i drzemie.
 Pyszny on, nieprzystępny... jego myśl ukryta,
 Ziewnie... która godzina? niekiedy zapyta.
 Artaban, stryj królewski, mąż ćwiczony w słowie;
 — Potężny synu bogów! — z pokłonem odpowie —
 Ty, co w mocy troiste dzierzysz Ekbatany,
 Gdzie płyną rzeki święte obrosłe w platany.
 Słońce krąży wysoko, płomień bucha z nieba,
 Śpij jeszcze, wielki królu, spoczynku ci trzeba.
 Mnie obliczyć za ciebie one zbrojne chmary,
 Co niby orłów stada zaległy obszary.
 „Śpij, Panie!” I król Kserkses przymrużył znów oczy,
 Wielki wóz hebanowy wartko się potoczy,
 Stryj królewski w pochodzie sam oblicza siły,
 Tyleich, że w dniu jednym Skamander wypiliły.
 Gdzie pomkną, dym pożarów, ziemia od krwi ślizka,
 Za niemi z pysznych grodów sterczą rumowiska!

.....
 Morskie wały z porykiem piętrzą się dokoła,
 Kserkses utkwiał wzrok w morzu, jak wściekły zawoła:
 „Jam tu pan, wnet poskromię twą butę szaloną,
 I wytnie trzysta biczów w oceanu łono,
 Każdy pocisk w dumnego ugodził Neptuna.
 A bóg zakipi gniewem i oto Fortuna,
 Wiecznie z nim sprzymierzona, z błękitu przybieży,
 Z trzystu razów, wnet trzystu powstało żołnierzy,
 I powstał Leonidas z prawicą szeroką,
 Kserkses ich w Termopilach spotkał oko w oko.

11. K a s s a n d r a

*Argos, dziedziniec przed pałacem. Cassandra na wozie.
 Klitemnestra. — Chór.*

CHÓR.

Ona córą królewską, jęj miasto zgorzało,
 To jęj wóz, ona siłą przyrosła doń cała,

Żadne słowo nie zbiegło z ust branki ponurój,
Nad śnieg z wyżyn tulijskich, nad Syrty marmury,
Zimniejszy lód jój serce zamroził dziewicze.
Duchem zbiega przyszłości drogi tajemnicze.
Bóg milczący a groźny przepelnia jój łono;
Apollo, który wstrząsnął przed wieki Dodoną,
— A gdy lirę potracał, mury Tebów drżały—
Wieszczym światła płomieniem podsycą jój szaly.—

Myślą przyszyłych zapasów ogarnęła pole,
Żar pomsty na wybladłym połyska jój czole,
Ta kapłanka, ta wieszczka, z płomienną źrenicą;
Dziwneż losu koleje... ona niewolnicą!
Siedzieć na złotym wozie, jój, królewskiej dziewie?
A ta nieczemna tłuszcza, co w bezmyślnym gniewie
Pcha żelazne dziryty w bosc jeńców nogi
Rażona jój milczeniem, cała drży od trwogi.

KLITEMNESTRA.

Niewiasto! zsiądź-że z wozu, piechotą iść tobie.

CHÓR

Zsiądź z wozu, to królowa! opór nie na dobie!

KLITEMNESTRA.

U drzwi mego pałacu daremnoż-bym stała?
Śpiesz się, nim król nadjedzie, zsiądź, branko zuchwała.
Jeśli tobie nieznane mowy naszej dźwięki,
Odpowiedz mi oczyma lub skinieniem ręki,
W tym, coś go porzuciła, barbarzyńskim kraju,
Taki sposób rozmowy może w obyczaju.

CHÓR.

Słowa-by jój zdradziły duszy tajemnicę.
Kiedy na tę królewską patrzymy dziewicę,
Rzekłby kto, że dzikiego ujęliśmy zwierca!

KLITEMNESTRA.

Milczmy, jeszcze z krwi rana nie ociekła świeża,
Żalosa, nad pogodną nigdyś duma Trojał
Lecz wargi jój do uzdy łatwo się przyswoją,
Nie długo krwawa piana pryskać z nich już będzie.

CHÓR.

Zsiądź z wozu, próżny opór, miej los twój na względzie,
Daj nogę oku w pęta, czyż więzy tak boją?

KASSANDRA.

Nieba! wielcy bogowie! ratunku! Apolo!

APOLLO (*ukazując się*).

Jam tu!.. żyj!.. wnet nad Argos ujrzy oko twoje
Płomień z onych popiołów, co pożarły Troję!

12. Marżoryn.

Obrazek dramatyczny.

(*Giermania. Las. Zmierzch wieczorny. Obóz. Marżoryn poprzedzie legionów. Wielka cna ludzi w oddaleniu*).

CZŁOWIEK (*z pomiędzy hordy*).

Chcesz wsparcia, Marżorynie, my pomoc ci damy.

MARŻORYN. Kto tam?

CZŁOWIEK. Ocean ludzi kołacze w twe bramy.

MARŻORYN. Ludu! Kto twoim wodzem?

CZŁOWIEK. Wódz zwie się gromada!

MARŻORYN. Masz li władców?

CZŁOWIEK. Pragnienie i głód nami włada.

MARŻORYN. Kto wy?

CZŁOWIEK. My przednią strażą piorunów i cieni.

MARŻORYN. Wasz kraj?

CZŁOWIEK. Noc...

MARŻORYN. Wasze imię?

CZŁOWIEK. Zwiem się niezliczeni!

MARŻORYN. Wasze-li one wozy, co stoją pod borem?

CZŁOWIEK. Część ich tu ledwie mała zaległa taborem,

Bóg tylko, skoro wzrok swój na ziemi zatrzyma,

Te ogromne zastępy ogarnie oczyma.

MARŻORYN. Cóż umiecie?

CZŁOWIEK. Pchać naprzód nasze koczowiska.

MARŻORYN. Obliczysz-li tę chmarę, co mój obóz ściska?

CZŁOWIEK. Tak...

MARŻORYN. By przejść pod tym orłem błyszczącym na tarczy,

Ile wam czasu trzeba?

CZŁOWIEK. Tydzień ledwie starczy!

MARŻORYN. Cóż wy chcecie?

CZŁOWIEK. Nieść pomoc. My z odmętu łona
Możem króla wydobyć? w nas pewna obrona.
MARŻORYN. Cezar was zmógł...
CZŁOWIEK. Kto?.. Cezar?
MARŻORYN. Zaprzeczyć nie śmiecie,
Dentatus wasze hordy rozproszył po świecie.
CZŁOWIEK. Zapytaj Dentatusa prochu; on ci powie!..
MARŻORYN. Sprynks pokonał was...
CZŁOWIEK. Bajka...
MARŻORYN. Zmogli was Cymbrowie.
CZŁOWIEK. Zaledwie hełmów naszych tknęły ich szabllice.
MARŻORYN. I któż was tu przypędził?
CZŁOWIEK. Wichry! nawałnice!
Burze, grady, pioruny, szaruga straszliwa,
Moc żywiołów, lecz ręka nie tknęła nas żywa.
My potężni na ziemi, walki nas nie trwożą,
Pędzim tu, gnani siłą nie ludzką, lecz bożą.
Pragniemy spocząć ogrzani ciepłym żarem słońca,
Daj nam jel.. będziemy z tobą: więdźmy rzecz do końca.
Chcesz-li? pokój czy wojna?.. odpowiedź!.. czekamy!..
MARŻORYN. Przestraszam was?
CZŁOWIEK. Bynajmniej...
MARŻORYN. Znacież mnie?
CZŁOWIEK. Nie znamy.
MARŻORYN. Któż jestem?
CZŁOWIEK. Nic... Rzymianin... człowiek...
MARŻORYN. Gdzie dążycie?
CZŁOWIEK. Ziemia naszym gościńcem, naszym celem życie,
Z łona nieskończoności błyska promień złoty,
Gdy dobiegniem do kresu, rozbijem namioty,
Nie wstrzyma nam pochodu, aż nadejdzie chwila.
MARŻORYN. Dziwne słowa! Kto jesteś? powiedz?
CZŁOWIEK. Jam Attyla!

13. Król Perski.

Król perski ma stolicę wielką a bogatą,
Przez zimę w Ispahanie, w Tyflisie przez lato,
W ogrodach róż tysiące bucha kłębem woni,
W ręku straży królewskiej tysiąc szabel dzwoni.

Bo mocarz własnym krewnym nawet nie dowierza.
Rankiem wyszedł na łąkę, tu spotkał pasterza,
To starzec, jego włosy bieluchne jak mleko,
Śpiewa, a wiatr piosenkę unosi daleko.
Przy ojcu za kozami stąpa chłopiec młody.
— Ktoś ty starcze? król spyta.

Pasterz siwobrody
Przestał śpiewać i głowę pochylił głęboko
I rzecze: „Zwę się Karam, pod stromą opoką,
Siedzę tam, w niskiej chacie, ze mną syn jedyny;
Kocham go, więc gdy kozy pędzę na doliny,
Śpiewam jak niegdyś Hafiz, jak dziś Sadi śpiewa,
Jak drobny konik polny wśród kłosów pobrzmiwa.

Na to młodzian ku ojcu przystąpi nieśmiało,
Całuje kornie rękę na słońcu zgorzałą
Starca, któremu płyną z ust Hafiza tony,
„On cię kocha, król rzecze, choć twój syn rodzony!

14. Kto poeta?

Ten poeta, kto w siebie wszystek świat pochłonie.
Rzym się cały szamotał w Plautowém łonie,
Homer ślepy a w prawdę wnikał tak głęboko,
Choć mrok nocy pogodny mu zasępił oko;
Hektora z Achillem wypiastrował w duszy.
W Eschilu żył Prometej, co kajdany kruszy,
Rabelais piersią własną wykarmił wiek cały,
Každy olbrzym, myśliciel, spowity w blask chwały,
Czy potężny on Szekspir, czy to Homer wielki,
Czuł w duchu jakby w łonie matki rodzicielki
Życiem drgającą dziatwę. Miłość ich też sama,
Gdy jeden nianczył Lira, a drugi Pryama,
Obaj własne jak matka przeleli w nich życie.
Poeta, w jasnym nieba skąpany błękiecie,
Oddycha błogo piersią lub drżący od grozy,
Słyszy, jak grzmia w przestrzeni płomieniste wozy,
Gdy prorocze natchnienie rozpala mu ducha,
Pędzi naprzód a naprzód, nie widzi, nie słucha,

Mknie myślą rozpląsaną po bezdennym wirze.
 Archiloch śmiało kroczy wsparty na Satyrze,
 Eurypid złowrogie chwyta Fedry słowo.
 Molier patrzy w ciemną duszę Alcydową;
 Chwast i kwiaty do jednych zaplata on wieńców,
 W chór zlewa skargi mądrych, ze śmiechem szaleńców,
 Cervantes z Donkiszotem coś gwarzą tam oba,
 Szatan zradnemi rady płące myśl Hijoba.
 Dant w otchłań duszy własnej wzrok puszcza na zwiady,
 Horacy widzi Faunów tysięczne gromady,
 Marlow goni oczyma niewidzialne światu
 Wylęgle z piekieł, sfory czarnego sabatu.

Tak wieszcz rośnie, otoczony siły potężnemi;
 Ulubieniec niebiosów i kochanek ziemi,
 Tkanka dłań jakby z miękkich utkana jedwabi,
 W skwar letni chłodna grota ponętnie go wabi,
 Przyroda czuwa nad nim, wciąż pomoc mu niesie,
 Uchrania od zasadzki, gdy w cienistym lesie,
 Jeżyna kolezystemi pochwyci go spinki
 I zawoła: „Stój w miejscu!” Różowe barwinki
 Drżą pod jego stopami wśród konarów drzewa,
 Drobne ptaszę na gniazdku słodko mu pobrzmiwa.
 Do wiatru coś gardziółkiem gwarzy rozśpiewanem;
 „Milcz, to Szekspir z Makbetem, Molier z Don-Żuauem,
 To Dante z Beatryczą!” i wiatr głucho mileży,
 A ciernie, co zasłały wstęp do kniei wilczęd,
 Usuwają gałązki, i dąb rosochaty,
 Olbrzym puszczy, długimi nie potyran laty,
 Schyla poważną głowę: niech pod jego strażą,
 Z nieśmiertelnymi duchy mimowolnie gwarzą!

II. Z ROKU STRASZLIWEGO 1871.

1. Wykup ziemi (Libération du sol).

Nie! jam nie oswobodzon! O nie!.. kiedy głowę
 Chcę podnieść, trącam czołem w sklepienie grobowe,
 Duszno mi, czarna zmora na pierś moję padła,
 Nocą patrzą mi w oczy okropne widziadła.
 Tu widzę Metz, tam Strasburg, a dalej tam jeszcze
 Naszę cześć poteraną i widmo złowieszcze
 Przyszłych walk, i wesołe bożej dziatwy grono
 I ten miecz, co rozedrze biednych matek łono;
 Widzę w różnych poskokach jasnowłose chmary;
 Ich piosnka z rosą płynie w dalekie obszary,
 Potrąca gór wierzchołki, tonie w głębi lasów,
 Zwiastunka przyszłej chwały i przyszłych zapasów.
 O! rychło czarny łucznik do ust róg przyłoży,
 I krew zakipi w żyłach onęj dziatwy bożej,
 I zaszcękną znów miecze i zarykną działa!
 Bo gdy kopce graniczne przemoc rozorała,
 Gdy lud patrzy w swe rany, niby Łazarz nowy,
 Niech wiosna błyska słońcem, niech szumią dąbrowy,
 Niechaj ptastwo w skrzydełka trzepocze wśród kwiatów,
 Ależ te czarne stopy bomb, kul i granatów,
 Drżą jakoś gorączkowo, ich sen nie ugłaszcze!
 Ale te nieme działa roztworzyły paszcze,
 Chwytają głos proroczy, co do serca spiżu
 Tajemniczemi zgłoski przemawia w pobliżu!

Co! kiedy wam z ust płynie piosenka swobody,
 Nie słyszycieź, jak łkają dwa nieszczesne grody?
 Nie widzicieź wy, roje śpiewaków słowicze,
 Jak Alzat w Lotarynga wzrok utkwiał oblicze?

„Bracie — mówi — niedola nasza zapomniana,
Oni bez nas szczęśliwi!...”

O nie! na kolana
Paść nam przed waszą męką, nędzny, kto się mieni
Oswobodzon, gdy czoło hańba mu rumieni,
Gdy Francyci kęs płaszcza odcięto przemocą,
Gdy Alzat z Lotaryngiem w bólu się szamocą,
Gdy ku nam wyciągają z miłością ramiona,
Kiedy na szkolnych ławach w gromadkę skupiona
Drobnouchna dziatwa nasza podnosi głos słaby,
Rok dziewięćdziesiąt drugi uklada w sylaby,
Gdy poznaje zawczasu, jaki zapal szczery
Ożywał niegdyś Hosze i dzielne Klebery,
Gdy się uczy, jak w one chwały naszój lata,
Walczył lud bohaterski dla spokoju świata!
Myśl o was w sercu mojem wznawia rany świeże
Wy, groźne wały Metzu, wy Strasburga wieże!
Pruski orzeł, ptak nocy, zatopił w was szpony,
Och! tak potężnie z naszym byt wasz zespolony,
Pierś nasza tak się zrosła, że z tych klęsk powodzi,
Metz tylko ze Strasburgiem Francją oswobodzi.
Inne oswobodzenie kłamstwem jest i sromem!
To cień, co czarne skrzydła rozpostrze nad domem,
To plama, co splugawi naszych dziejów karty!
Co? wy oswobodzeni? a kraj nasz rozdarty?
A naród nogą jedną w ciasnej uwiązał trumnie?
A miasta nasze w zgliszczach! O! dopóty u mnie
Verdun okuty w więzy, a Belfort ofiarą,
Póty Paryż świetnością nie odkwitnie starą,
Póki Strasburg w niewoli a Metz dźwiga pęta.
Nad nami wisi chmura ohydy przekłęta!

2. Wykrzyk boleści podczas walki domowej 1871.

Wstrzymajcie, zapaśnicy, ten zapęd szalony!
Jak płomień, co kłosisie pożera zagony,
Zabijacie cześć waszą, przyszłość i nadzieję.
Stójcie! na kraj żałoba z waszjej chwały wieje.

Każdy strzał, bratnią ręką wymierzony w pierś brata,
Sieje śmierć i zagubę i srom wobec świata!
Kędyż was ta piekielna pędzi zawierucha?
Byłóż bohaterskiego odzyskać wam ducha,
By nędzną bratobójstwa okryć się sromotą?
Biada wam, nieszczęśliwi!

Czy widzicie oto
Tę chorągiew ementarną nad waszemi głowy?
Ach, straszna! istny całun, czarna do połowy,
Do połowy znów biała jak żgło, wieje górą!
Rządzi tu, sprawia czaty glucho a ponuro!
Plugawi waszych fortów upiętrzone szczyty,
Gniecie was, tak jak Egipt gniótł Izraelity.
Ach! ta wojna domowa, co w pierś wam się wbodła,
Bolesna po Austerlic, po Sedanie... podła!
Zgubion ten, kłątwa wieków nędznika obarczy,
Kto na zlanej krwi bratnią opiera się tarczą,
Kto na trupach buduje kolumnę swęj chwały,
Kto wznosi nienawiści rozorane wały,
Kto tchem własnego ducha podnieca z niesławą
On płomień, co z dwóch główni wybucha tak krwawo;
Kto wobec klęsk i gruzów o zwycięstwach tuszy,
Gdy Francya morduje dziś duszę swęj duszy,
Paryż, to słońce świata; kto bez dreszczu trwogi
Obeych tryumfatorów słyszy śmiech złowrogi!

3. Do choręj wnuczki Joalki podczas oblężenia Paryża.

Jeśli będziesz oddychać, o dziecinko blada,
Tą atmosferą duszącą,
Pod cieniem, co od starca tak złowrogo pada,
Na ciebie wątłą i drżącą;

Jeśli ujrę dni naszych popłatany wątek
Ja, co u twojej kołyski,
Patrzę na życia twego promienny początek
I na grób patrzę mój blizki;

Jeśli ku mnie rączęta bieluchne jak płótno
Będziesz wyciągać żaloso,
Biedne piskłę, w gniazdeczku skulone tak smutno
Zaczem mu piórka wyrosną;

Jeżeli nie zapomnisz na długo, mój kwiecie,
Korzenia w bujnej tej ziemi,
Ale jak błędny ognik masz chwilę po świetle
Oczyrna powlec tęsknemi;

Jeżeli krasą róży — pogodnie a jasno
Twe nie zakwitną jagody,
Jeżeli się za tobą one drzwi zatrzasną
Które przysłaś na gody;

Jeśli nie ujrzę ciebie z wesołą twarzą,
Nie spojrzę w hożą twą postać
Śmiejącą, rozpląsaną... och! powiem, duszyczko,
Że nie chcesz z nami pozostać!

Że na ziemię, gdzie w pasmie półsennych mamideł
Całun z pieluszką się splata,
Zbiegłaś po to, aniele, by w cieniu twych skrzydeł
Unieść mnie z sobą ze świata!

4. Gallowie i Giermany.

O zgrozo! lud nad ludem pastwi się szalony!
A jeden nasz początek i ród, o Saksony!
Z jednego w mroku dziejów my wyszliśmy lona,
Gallowie i Giermany, dwa bratnie plemiona.
W tej bratniej Europie, skąd zdroj dziejów tryska,
Wzrastaliśmy pospołu, i jedna kołyska
Tuliła nas, i pieśni jednakie nam brzmiały,
I małego Abła tulił Kain mały.

Była nas wielka chmara jak kłosów na łanie,
O nas to mówił Tacyt i o was, Giermanie:
„Bóg mocny rządzi nimi, dusza ich zacięta,
U nich niewiasta płacze, mąż krzywdy pamięta!”
Jeśli Rzym w pola nasze zapuścił zagony,
Posłyszal okrzyk Celta Wend nieustraszony.
Zbito spolem pretora, wyparto konsula,
Biegł co tchu Teutates na głos Irmensula,

Wspierano się wzajemnie piersią i żelazem,
I ku niebu z modlitwą dusze biegły razem,
I nieraz w ciemnym gaju pod dęby świętymi
Przed kamiennym ołtarzem klęczeli na ziemi
Teutony kolońscy i Bretony Galle.
A gdy w skrzydła Walkiryja zaszumi wspaniale,
Gdy przemknie u was Herman, u nas Brennus dzielny,
Widzę gwiazdę na czole Dziewy nieśmiertelnej.

O Niemcy! w jasne niebo podnieścieby wam oczy!
Gdy wasz miecz, tak zawzięcie krew z serca nam toczy,
Giermaninie, gdy ręka twa morduje Galla,
Gdy stopa twa go depta i gmach praw ubala,
Zaczęłam tryumf zdradziecki twą własną cześć zmaże,
Patrz tam! ujrzesz twych ojców obok naszych — w parze.

5. Kto winien?

— Ty spaliłeś księgozbiór?

— Tak, wśród nocy ciemnej

Podłożyłem sam płomień.

— Zbrodniarzu nikczemny!

Zmącone twe pojęcia szal piekielny głuszy,
Wiesz-li ty, że zabiłeś promień twojej duszy;
Zdmuchnąłeś sam rozumu twojego pochodnię.
To, co ty, nikczemniku, zburzyłeś wyrocznie,
Było drogim twym skarbem, twą świętą chudobą:
Księga zawsze i wszędzie świadczyła za tobą.
Bo i czémże księgozbiór? to wyznanie wiary
Zmarłych dawno pokoleń, co przez pomrok szary
Swych grobów, świadczą zorzy wschodzącej nam jasno!
W on skarbiec prawd, gdzie mędrcy złożyli myśl własną.
W te arcydzieła twórczej potęgi człowieka,
W tę hekatombę czasów, gdzie z pod trumny wieka
Świeci złota nie podań, którą przędą dzieje;
W tę przeszłość, co przyszłości zakreśla koleje,
W to, co źródło, co bystreml rozłacza się rzeki,
W to, co raz się poczęło i trwać będzie wieki,
W te otchłanie biblijne, w te prorocze chóry,
W onych Hiobów, co głowy dźwigają nad chmury,

Homerów, w Eschilosów, co czołem w lazurze
Kreślą zapasy bogów i serc ludzkich burze;
W Molierów i Kantów, w czystej myśli lono,
Ty rzucasz, nikczemniku, pochodnię zatloną,
I wszystek rozum ludzki, ty, opętany szałem,
Zamieniasz w tuman dymu!

W pasmie wieków całem,

Kto był rzecznikiem twoim? księga, zawsze księga!
Ona stuletnie węzły przesądów rozprzęga;
Ona świeci jak słońce. Z niej świat blaski bierze,
Nią zwalczy głód i pomór, powali pręgierze.
Na głos jej z karku Negra twarde powróz zleci,
I Parya się strząśnie z swych wiekowych śmieci.
Otwórz księgę, odczytaj Platona, Kornela,
Szekspira i Dantego, cudnie się udziela
Ich wielki duch twej myśli, z uspienia ją budzi,
I czujesz się człowiekiem na modłę tych ludzi!
Czytasz i poważniejesz, i marzysz radosno,
Czujesz, jak w duchu twoim te olbrzymy rosną;
W miarę jak płomień wnika do dna duszy twojej,
Podnosi ją, ukrzepia, ożywia i koi.
Już myśl twoja, porwana prądem myśli nowej,
Gotowa odpowiedzieć i czynem i słowy,
I czujesz się być dobrym, potem lepszym jeszcze;
Jak śnieg taje na słońcu, tak widma złowieszcze
Wścieklej pychy przesądów topnieją powoli,
Wpływ wiedzy cię uzacni i z błędów wyzwoli;
To światło, co nad ziemią rozprasza mrok ciemny,
Ty śmiesz gasić twą ręką, zbrodniarzu nikczemny!
Cel, za którym szalony gonisz tak zażarcie,
Rozwiązali go mędrcy wprzód na księgi karcie.
Księga myśl twą przenika, w błędnych rojeń tłumie,
Ona prawdę od kłamstwa oddzielić w niej umie;
Ona gordyjski węzeł w sumieniu twém przetnie,
Ona ciebie wyleczy z tych trądów, co szpetnie
Splugawiły twe serce nienawiści jadem.
Ona ci przewodniczy, ty masz iść jej śladem;
Ona wytrzeźwi z szału twą głowę pijaną,
A ty ją w proch niweczysz ręką rozpasaną?
Księga twojém bogactwem, to twój skarbiec złoty
Prawa, wiedzy i prawdy, postępu i cnoty,

Bez niej bożą iskierkę my w duszy przytłumiem,
A tyś ją zniszczył nędzny?

— Ja czytać nie umiem!

5. List do pani ... posłany balonem 10 stycznia 1871 r.

Paryż walczy wesoło. Pozdrawiam cię, pani!
Czuję się ludem, światem, duchowo zbratani,
Żyjem jedni dla drugich, nie bacząc na siebie,
Bez trwogi, bez oparcia, bez słońca na niebie,
Byle tylko nie zasnąć, a złe się przebierze.
Dałem piętnaście franków za trzy jajka świeże
Dla wnucząt. Paryż w szanice opasany mury.
Bezpieczny. Jemy osły, niedźwiedzie i szczury.
Brzuch nasz arką Noego, tam wstęp nie wzbroniony
Żadnemu dziś zwierzęciu; pigmeje, mammony,
Wszystko tam społem wkracza i legnie pokotem,
Słoń spotyka się z myszą, pies spotyka z kotem,
Brakło drzew, toporami w pień lipy strzebiono,
Już Pola Elizejskie na kominach płoną;
Pokostniały nam ręce, szron okna osłania,
Żadna praczka bielizny nie bierze do prania,
Bez ognia płótno nie schnie, ładnie czy nie ładnie,
Już nie zmieniamy koszul. Gdy wieczór zapadnie,
Szmer głuchy na ulicach niby w szczelnym roju,
Zabrzmiał pieśń, albo trąbka da hasło do boju.
Sekwana ciężko płynie, bo na grzbiecie toczy
Archipelagi lodu, czasami w pomoczy
Przemknie kanonierka, i wstęgę spienioną
Rzuci za ślady swemi na ciemne wód lono.
Żyjem wszystkiem i niczém, ale myśl wesoła.
Na stole bez obrusa, kędy głód nas woła,
Kartofel istnym królem, szarpiem go po szczypcie;
Cebulki tu bożkami jak niegdyś w Egipcie.
Brak węgla. Nasz chleb czarny i twarde jak z głazu,
Paryż śpi pod całunem, zabrakło nam gazu,
O szóstej noc rozściela zasłonę grobową,
Tylko bomby szalenie huczą nam nad głową.
Gdy piszę, maczam pióro w czerepie z granatu:
Paryż kona, lecz ran swych nie odkrywa światu.

Lud wszystek strzeże fortów, gród zdał mu swe losy,
 Ojce, męże i bracia, ścieczeni w pokosy,
 Jak mur stoją na wałach, otuleni w koce,
 A tysiące kartaczów w powietrzu furkoce.
 Niech Moltke bombarduje, Bismark głodem ściska,
 Paryż po bohatersku pilnuje ogniska,
 Jednoczy dzielność męża, z niewieścim urokiem!
 Radośnież po błękiecie zatacza on wzrokiem,
 Za gołąbkim, co wieści przynosi ze świata,
 Za balonem, co w szlaki powietrzne ulata...
 Patrzą na gród niezłomny wśród bólu i trudu,
 Wolam: przebacz urazy, walcz, kochaj, mój ludu!
 Wroga tylko zwij wrogiem! skąpan nowym chrzestem,
 Nie znam mego imienia, sam nie wiem, kim jestem,
 Dziś me imię ojczyzna!

W tej zapasów chwili,
 Kiedy wszystko się chwieje, rozprzęga i chyli,
 Chwała naszej niewieście, bo wielka prostotą!
 I cóż było ozdobą rzymskich matron? oto
 Miłość progów domowych, umysł hartu pełny,
 Dłoń twarda od wrzeciona, zczerniała od wełny,
 Żrenica wciąż rozwartą, której sen nie zmrzą,
 Gdy mężowie i bracia stoją u stóp wzgóry.
 A gdy Anibal ściska gród w żelazne kleszczel
 Te czasy powróciły, widzimy dziś jeszcze,
 Jak olbrzym, tygrys paszczę, w ostre kły zjeżoną,
 W drgające żywem tętnem wnurzył grodu łono.
 Pod uściskiem piekielnym wśród katuszy miasta,
 Mąż jest tylko Francuzem, Rzymianką niewiasta!
 Ona się nie pożali, ani lżą, ni słowem,
 Drżąc przy zgaslém ognisku, na chłodzie zimowym,
 Pod śnieżną zawieruchą, ona w progu jatki,
 Czeką na kęs koniuy, by nakarmić dziatki!
 Głód, nędza, niezem dla niej, huku bomb nie słucha,
 Ona wie, czém powinność, i moc czerpie z ducha.
 Wciąż sypią nasze forty rżęsim kul gradem,
 Paryż ze snu ockniony, wstaje z licem bladym.
 O świcie huczą bębny, grzmi bojowe hasło,
 Pobudka krzesze w płomień skrę w piersi niezgasłą,
 Każdy dzielnie wystawia, jutra nieświadomy,
 Serce na błysk nadziei, a czoło na gromy;
 Spromienion aureolą boleści i chwały,
 Bądź co bądź gród nasz wita pokłonem dzień biały!

Chłodnoź będzie i głodno, bez chleba i słońca,
 I cóż stąd? co się trwożyć? wytrwajmyż do końca!
 Po nocy wschodzi zorza, tak to świat się toczy...
 Za miesiąc może wroga nie ujrzym na oczy;
 Wówczas ja i synowie trudami złamani,
 Do ogniska twojego przytulim się, pani.
 W marcu, miłą gościńę przygotuj, gdy łaska,
 Jeżeli granat w lutym głów nam nie roztrzaska!

7. U m a r l i.

Zawalili ciałami w polu przestrzeń dużą,
 Krew ich ścieka po ziemi czerwoną kałużą,
 Sęp zatopił im w brzuchu dziób i szpony krwawe,
 Zwał trupów dzikich, zimnych wkrąg zasłał murawę.
 Straszni, czarni, w kłęb zwici, jawią się jak one
 Tytany, piorunowym strzałem powalone;
 Ich czerepy bezwładne, istne złomy skały,
 W tajemnicze je kształty oblepił śnieg biały;
 Ręka w kulak ściśnięta, jeszcze w górę sterczy,
 Gotowa wnet pochwycić za oręż morderczy.
 Z ócz światło już nie błyska, z ust nie zbieży słowo,
 Noc rzuca na uśpionych swą płachtę grobową.
 Już robak w nich się leże, gad pełza pod niemi,
 Już ciało ich napoly zanurzone w ziemi.
 Jak statek, co brnie w odmęt, gdy wichry maszt strąca,
 Blade kości pokryte zgnilizną cuchnącą;
 Jak te, o których słowa Ezechiela brzmiały,
 Jedne kulą ognistą szarpane w kawały,
 Tamte zsieczone mieczem na miazgę obrzydłą,
 A nad niemi wiatr chłodne rozpościera skrzydło.
 Nadzy, we krwi starzani, zwaleni na kupy!.....

8. Po zwaleniu kolumny Vendôme.

Ludu mój! wiek podziwiał twój trud niesłuchany,
 Gdy w drżącą Europę były twe tarany;

Gdziekolwiek stawię stopę w trop za twemi kroki,
 Wszystko się przeistacza po ziemi szerokiej..
 Siejesz myśl i zielone wnet falują plony
 Z cudownego posiewu. Twoje legiony
 To woły rozhukane, co szaloną mocą
 Biją w górę, i twarde skał szczyty druzgocą.
 Ludu! tyś szczerze z piersi toczył krew ofiarną,
 Blaskiem, co bił od ciebie, tyś zwalczał noc czarną,
 I promień twego czoła rozrzucił po ziemi;
 A kiedy szedłeś naprzód szlaki gwiazdzistemi,
 Ludy z czcią i podziwem wzrok wlepiały w ciebie!
 Lat dwadzieścia tyś orłem szybował po niebie
 Od Nilu do Adygi, od Tybru do Łaby,
 Przed tobą z swych się węzłów rozpręgał świat słaby,
 O ludu mój! w historii wszak dowodów stanie,
 Gasł nawet sam wódz olbrzym przed tobą, tytanie!
 I stają dwa pomniki, szczyt ich niebios sięga,
 Twój tryumf zwieńczon łukiem, kolumną potęga!
 One tobą, twém sercem, w nowy kształt spowitem,
 Jak ty, jeden z nich spiżem a drugi granitem!
 Słuszna, gdy dawnych zwycięstw karmimy się chwałą:
 O! te oba pomniki jak nam cześć przystało!
 Z miłością pielęgnować, strzedz nocą i we dnie,
 Bo kiedy nasz widnokrąg zamgli się i zblednie,
 Mścicielem naszym pomnik, świadek naszej doby,
 Będziem patrzeć na oba przez całun żałoby,
 I ostrzyć o nie oręż, i ujrzym tam w górze,
 Bite na gładkim spiżu, na twardym marmurze
 Imiona wielkich mężów, co po świecie słyngą,
 Bo godzina upadku jest dumy godziną,
 Bo z pod kiru żałoby tém jaśnieję połyska
 Słoneczny blask tryumfów, bo z tego ogniska
 Bierzem światło, i życia iskry tajemnicze.
 Dobrze małym spoglądać w olbrzymów oblicze,
 Och! ucześć nam pomniki wzniesione prawicą
 Tych zmarłych, których czyny takim blaskiem świecą,
 Tych zmarłych, co pioruny miotali z obłoków,
 Że dziś jeszcze po ziemi brzmi odgłos ich kroków,
 Ach! żywi nie tak błyszczą! mniej słońca nad niemi,
 I głębiej niż ci zmarli pogrzebani w ziemi!
 Czy słyszycie te działa? te młoty nad głową?
 Kto śmie walić w tę bramę? w kolumnę spiżową?
 To wy!...

III. Z WIERSZY RÓŻNYCH.

1. Do Joalki.

Wczoraj skończyłaś roczek, droga ty dziecino!
 I szczebioczesz jak leśną pokryte gęstwiną,
 W ciepłych gniazdkach ptaszęta szczebioczą radosno,
 Kiedy czują, że piórka do lotu im rosną.
 Joalko! twoja buzia istny róży pączek.
 W tych księgach, które chwytasz skwapliwie do rączek,
 A które ja na rozkaz oddaję twój, dziecicę,
 Choć je rączka bezmyślna zszarpie i pogniecie,
 W tych książkach jest niejedna dziwnie piękna karta,
 Lecz jednę twój pieszczoty zaprawdę nie warta.
 Żaden mistrz takich cudów nie stworzył przez wieki,
 Jak myśl, co z twój półsennęj rozkwita powieki,
 Jak ta cichą zaduma, co bije ci z czoła,
 Kiedy patrzysz na ludzi źrenicą anioła.
 Joalko! Bóg stąd blisko, bo ty jesteś z nami.

Wczoraj skończyłaś roczek... to mi wiek!.. czasami
 Dziwnie jesteś poważna, do uniesień skora:
 Twój wiek, to owa życia półniebiańska pora.
 Cień twój jeszcze na ziemię nie padł plamą czarną.
 Gdy głowy rodzicielskie twe rączki ogarną,
 Zda się, jakbyś tuliła w objęcia świat wszystek!
 Twoja duszyczka żyje, gdy wiotka jak listek
 Od matki Alicyi do ojca Karola,
 Naginasz się rozkosznie, bo szerszego pola
 Twój umysł nie ogarnie! cała twa uciecha,
 Gdy ona cię kołysze, gdy on się uśmiecha!

W tej pierwszej chwili życia, ach! oni dla ciebie
 Radością i nadzieją, słoneczkiem na niebie!
 Oni jedni i słusznie, a ja żyję przecie!
 Żyję, biedny dziadunio, bo cię kocham, dziecię.
 Tyś przyszła, mnie czas odejść: nim mnie noc otoczy,
 Ku twój zorzy z pociechą zwracam smętne oczy,
 Ty Joalko, ty z Jurciem, złotowłosym bratem,
 Starczycie duszy mojej, wyście dla mnie światem!
 Po zawodach żywota nie pragnę nic więcej,
 Niech tylko odbłask waszjej kolyski dziecięcój,
 Wśród słońca na milejącym odbija mym grobie!

O niewinna dziewczeczko! skądże przyszło tobie,
 W takie czasy wycisnąć pierwsze stopek ślady?
 Nad kolebką twą stoi widmo grozy bladój,
 Śmiejesz się, gdy do boju mknie dzielnych tysiące,
 Brzęczysz jak drobna pszczołka na kwiecistej łące.
 W jak dziwny chór się zlewa twoje pierwsze słowo,
 Z wrzawą miasta, gdy szczęka w zbroicę stalową,
 Jakże dźwięczny twój głosik przebrzmiewa mi słodko;
 A gdy ogarniesz twemi rączęty, szczebiotko,
 Stroskane głowy nasze, jak anioł widomy,
 Sądzę, że czarna chmura, z której biją gromy,
 Drży i cofa się nagle z porykiem szalonym,
 Że Bóg kreśli nad grobem w sto wież uwieńczonym,
 Nad okrętem, w zapasach z falą rozwściekloną,
 Nad tych dział tysiącami, co śmierć z paszczy zioną,
 Nad światem, co z rozpaczą wzrok utkwil w ruiny,
 Błogosławieństwo, rączką niewinnój dzieciny!

2. Spotkanie pod lasem.

Dzieweczko z krasnemi usty,
 Wielki masz ciężar na grzbiecie,
 Jakże udźwigniesz te chrósty?
 Drżysz cała.. biedne ty dziecię!

Nieudeptaną my steczką
 Zdążamy z lasu do wioski,
 Oset cię rani, dziewczeczko,
 Mnie czoło pęka od troski!

Przez tę polankę zieloną,
 Plon wszakże niesiem bogaty:
 Ja, myśl w zaciszy zrodzoną,
 Ty wiązkę chróstu do chaty.

3. O zachodzie słońca.

Słońce się kłoni,
 A tyś w pogoni
 Za chwałą.

Wszystko na ziemi,
 Pod stopy twemi,
 Ściemniało.

Może ci w oczy
 Tuman w pomroczy
 Nasłało.

Spojrzyj na strony,
 Kraj otulony
 Mgłą białą.

Rusałek chmary,
 Mkną przez obszary
 Nawałą.

Patrzą surowo:
 Tknąłżeś je mową,
 Zuchwałą?

Schroń się głęboko,
 Nim cię ich oko
 Dojrzało.

W blasku księżycy,
 Spojrz im na lica,
 Nieśmiało.

Twój dzień się kłoni,
 A tyś w pogoni,
 Za chwałą!

4. Dom bez dzieci.

Gdy przybędzie do domu z dzieciątkiem kołyska
Rodzina się weseli: ten promyk, co błyska
W oczach dziecięcia, tak słodki.
Zgania z lic mrok żaloby, nawet plamę sromu,
Rozjaśniają się czoła, drgają ściany domu
Życiem niewinnej istotki.

Czy maj zieleni trawy, czy listopad strąca
Liście z drzew mego sadu, wśród uciech tysiąca
Życie jak wianek się plecie,
Jasny płomień ogniska weseli nam progi
Śmiejemy się; drży matka z radości i trwogi,
Gdy stąpać zaczyna dziecię.

Czasami ktoś z nas głównię gasnącą poruszy,
I mówimy o Bogu, o pieśni, o duszy,
Jak w niebo z modlitwą wzłata,
Weszło dziecię i wątek słów w lot się rozrywa
Niemile, spoczął na ustach, dziecię to pieśń żywa,
Modlitwa duszy skrzydlata!

Nocą, gdy myśl wybiega, choć sen zwarł powieki,
Gdy potrąca nam w ucho jęk fali dalekiej
Co w trzcinach drżąca pluskocze,
Niech zorza wschód zrumieni barwami szkarłatu,
Ptastwo i spiże dzwonów zbudzonemu światu,
Dzwonią pobudki uroczce.

Dziecię, tyś moją zorzą, przez ciebie zbudzona
Woń kwiatów czarodziejskich bucha z mego łona,
Kiedy cię czuję przy boku!
Dusza moja — las ciemny z gęstemi drzew sploty
Szumi słodko dla ciebie, gdy twój promyk złoty
Błyśnie w tym nocnym pomroku.

Bo z twych ocząt tryskają słodkie miodu zdroje,
Bo te błogosławione jeszcze rączki twoje
W żadne nie wpiły się łono,
Bo twe stopki ziemskiego nie dotknęły błota,
Twe czoło, krętych włosków aureola złota,
Więczy wybranych koroną.

Tyś dla nas ową z arki gołąbką bieluchną,
Twe nóżęta po ziemi stąpają leciuchno,
Myśl twa skąpana w lazurze!
Pogodnie ścigasz okiem ten świat tajemniczy,
Bo ciało twe dziewicze, i duch twój dziewiczy;
Ziemskie nie tknęły ich burze.

Cudneż dziecię, gdy lica radość mu zapali,
Gdy wybiegnie przez one usteczka z korali
Uśmiech i pogwar pustoty,
Jego wiara tak pełna, i ufność tak szczera,
Gdy młodziuchną duszyczkę do życia otwiera,
Usta do słodkiej pieczyoty.

O Paniel Twe wyroki niech ustrzegą boże
Mych braci, krewnych, druhów, tych, co ostrzą noże,
By mój krwi stoczyć ostatek,
Niech nie widzą ci nawet, co łask twych nie warci,
Pustej klatki bez ptaka, bez pszczoł pustej barci,
Pustego domu bez dziątek!

5. Dzwon i młot.

Mrok wieczorny po cichej roztacza się łące,
Siądźmy tu, córko moja, już zorze gasnące
Czerwieni swym odbłaskiem ściany chat i płoty,
Dzwon uderza — w dalekiej kuźni biją młoty.

Anioł chwyta ze spiżu — a człowiek z kowadła
Dźwięk pełny, uroczysty — i gdy noc zapadła
Gwiazda błyska na niebie, ognisko na ziemi,
Nasz los ścisłymi węzły jednoczy się z niemi.
Dwa głosy tajemnicze, dźwięk spiżu, huk młota,
Wskazują nam wśród ciemnych manowców żywota,
Wielki cel, ku któremu myśl wiecznie się zwraca,
Dzwon powtarza: modlitwa, młot powtarza: praca!

6. Rozmowa z dziaduniem.

Bóg pyta, niech odpowie na pytanie dziecię:
„Dlaczego dwa zwierzątka najzgrabniejsze w świecie

Kot i mysz, tak się bardzo nienawidzą wzajem?
Wytłómacz to, Joalko:

Dziecięcym zwyczajem
Joalka w śmiech, tajemnic nie przebić jój główką.
I cóż?

Spojrzy na dziadka i wyszepnie słówko:
„Ja nie wiem!”

Wtém twarzyczka jój nagle skraśniała.
„Widzisz, dziadziu, kot wielki, myszka taka mała!”
„Cóż stąd!”

Dziecina oczki podniosła do góry,
„Gdyby mysz była wielka i miała pazury,
A Bóg się nie rozgniewał, odpowie szczebiotka,
Nie kotek zjadłby myszkę, ale myszka kotka!”

7. Z a p ó ż n o.

Zapóźno w krasne barwy stroisz się, stokrotko,
W chmur kłębach ciężą wichry i śnieżne zawieje,
A ty z pod żółklěj trawki spoglądasz tak słodko:
— „Przechodniul idzie zima, ja się do niej śmieję!”

Zapóźno już, gwiazdeczko, nad uspioną ziemią,
Twoje czoło tak cudnym blaskiem promienieje,
Kiedy wzmierzchu wieczornym twoje siostry drzemią!
— „Przechodniu, noc nadchodzi — ja się do niej śmieję.”

Zapóźno, duszo moja, uwikłana w sidła,
Na zgliszczach życia uganiaasz nadzieję!
Czas-li jeszcze do lotu rozpościerać skrzydła?
— „Przechodniul śmierć nadchodzi, ja się do niej śmieję!”

8. Rozmowa z tułaczem.

— Tułacz! widzisz te róże?
Maj nam je przyniósł bogaty,
Słoneczko przyświeca w górze,
Tułacz, spojrzysz na kwiaty.

— Ja słońcu niegdyś własnemu
Róże sadziłem radosny,
Tu, zdala rodzinnej ziemi,
Nie znam ni maja, ni wiosny.

— Tułacz! spojrzysz na groby,
Maj w bluszcze je zdobi na nowo,
Gołabek jękiem żałoby
Kwili umarłym nad głową.

— „Jam łzami groby rzewnemi
Zlewał sierota żalony,
Tu zdala rodzinnej ziemi,
Nie znam ni maja, ni wiosny!

— Tułacz! spojrzysz na drzewa,
Słyszysz piskłatek szmer głuchy;
Wiosna do lotu odziewa
Skrzydélka miękkimi puchy.

— Tam z gwary ptasząt słodkimi,
Szumiały dęby i sosny,
Tu, zdala rodzinnej ziemi,
Nie znam ni maja, ni wiosny!

9. Pieśń wygnańca.

Gdybyż w ogródku mym wiosną
Widziéć kwiat swojskich jabłoni!
Jak niegdyś płasac radosno
Po błoni!

Gdybyż tam drodzy rodzice,
Syn nie utulon w żałobie,
Łzawe ukazał wam lice
Na grobie!

Gdybym mógł syty boleści,
 Pod trumną, co was przygniata,
 O, bracia, szepnąć wam wieści
 Ze świata!

Gdybym mógł gołąbko biała
 Co górą latasz nad nami,
 Drogi proch twojego ciała
 Zlać łzami.

Uklęknąć przy tój, co drzemie,
 W cichój mogile pod darną,
 I usta całować ziemię
 Cmentarną!

Jak ptak na suchój gałęzi,
 Za wami tęskni i płacze,
 Smutny los kroki me więzi
 Tułacz!

Źle iść bez rosy, bez słońca,
 Gdy żalność serce nam bodzie,
 Lecz tułacz wytrwa do końca
 W pochodzie!

10. Oto wiosna.

Oto wiosna idzie młoda
 Od słonecznych idzie bram,
 Pełną trzyma straż przyroda,
 Kto tam, héj! kto tam?

— „Ja, przyroda, niosę kwiaty,
 Czyż mi do was nie czas iść?
 Rozwiń namiot mój bogaty
 Lasy w miękki uwieńcz liść.

„Przez perłową brnę ja rosę,
 Mam ja wieńców pełną dłoń,
 Snop płomieni złoty niosę,
 Na ubogich bladą skroń!

„Dalej, żywo do biesiady,
 Aksamitny chcę mieć strój,
 Prządźcie łąki, tkajcie sady
 Płaszcz królewski na grzbiet mój.

„Jam swobodna druchna ziemi,
 Mnie godową nucić pieśń,
 Wnet pieśczoły spędzę memi
 Z jój oblicza szarą pleśń.”

Ziemia słyszy głos miluchny,
 Mglisty rąbek strzęsła już,
 Pocałunek hożej druchny
 Błysł z jój lica krasą róż!

PRZEKŁADY

ze współczesnych poetów francuskich.

I. Z FRANCISZKA COPPÉE ⁽¹⁾

Żniwo mieczów.

Na śnieżno białej klaczy, w szyszaku i zbroi
U bram staje Dziewica.

„Dalej, bracia moi!
Zawoła na mieszkańców, pochwyćcie za miecze!”

Zgromadził się tłum starców, a jeden wyrzeczce:
„Próżno, głos twój umarłych pod ziemią nie zbudzi,
Anglicy nam zabili co przedniejszych ludzi,
Wczora Talbot nad nami pastwił się do syta,
Koił jego we krwi dzielnych zezerwieniał kopyta;
Dziś w grodzie sami starce, sieroty i wdowy,
Na cmentarzu nam przybył szereg kopców nowy.”

Żrenica Lotarynki tryumfem zaświecił
Wykrzyknie: „Chodźcież za mną, wy starce i dzieci!”

(¹) Franciszek Coppée, urodzony w Paryżu w roku 1842.—Od najmłodszych lat oddał się poezji, pełen życia, wesoły, dewcipny, częstokroć ironiczny, lecz wolny od goryczy i pesymizmu — to wierny typ Paryżanina. Ukochał on serdecznie rodzinne miasto i nawzajem pozyskał jego miłość. W poetycznych obrazkach, branych z życia robotników i ubogich rodzin mieszczańskich, przedstawia rzeczywistość, ale opromienioną zawsze światłem ideału. Umiął on połączyć wytworną formę wiersza z niesłychaną prostotą, przez co utwory jego stały się dostępnymi dla wszystkich. Jest on niewątpliwie najpopularniejszym z dzisiejszych francuskich poetów.

Dramatyczne utwory Coppée'go znalazły też nie małe powodzenie. Wystąpił naprzód z jednoaktowym obrazkiem p. t. *Le passant* (przechodzień), znanym u nas w pięknym przekładzie p. Kazimierza Kaszewskiego. Wielkie jego pięcioaktowe dramata: *Wojna stuletnia*, *Sewero Torelli*, *Jakobici*, a nakoniec świeżo wystawiony dramat *Dla korony*, postawiły go w rzędzie pierwszorzędnych pisarzy dramatycznych tego czasu.

Starzec głośno zapłakał, wskroś zdjęła go trwoga,
 „Niestety! oręż wszystek przeszedł już do wroga,
 Oszczepy, dzidy, miecze i łuki i strzały!
 „Iść za tobą, Dziewico, pragniem z duszy całej,
 Ale noża marnego nie znajdziesz w tém mieście.”

Ona złożyła ręce: przez usta niewieście
 Zbiegła cicha modlitwa i obraca głowę
 Ku starcom.

„Na cmentarzu macie krzyże nowe,
 Wszak słyszałam przed chwilą...”

„Tak siła ich mamy!”

„Co tchu śpieszmy tam, bracia, do cmentarzy bramy.”

Orzekła i klacz swą białą za uzdę pochwyca;
 Tłum idzie, nie jednemu srom upadł na lica,
 I nowy żar zapala starców pierś wychłodłą...

Święty Michał nie wzgardził bohaterki modłą,
 Bo zaledwie stanęła na ziemi cmentarnej,
 One krzyżów tysiące wśród zielonej darni
 Zatknięte ręką bratnią nad umarłym ludem,
 Nagle w tysiące mieczów przemieni się cudem.
 Jaskrawo promień słońca w ich głowniach odbłyska.

Wnet zawre bój ostatni, godzina już bliska;
 Posłuszne woli niebios trumny się rozwarły,
 Oręż w rękę żywemu kładzie brat umarły.

Wówczas tłum przed Joanną upadł na kolana,
 A ona słodko rzecze:

— Za mną! w imię Pana!
 Powstań, wierny mój ludu! kto żyw, miecz do ręki,
 Bóg działa mem ramieniem, Jemu cześć dzięki!

Senacheryb.

Obrazek z dziejów assyryjskich.

Senacheryb Chaldecę pokonał już całą.
 Dumny z wielkich tryumfów, upojony chwałą,
 Okuł wszystek lud w pęta, starcom wydarł oczy,
 I ręce im odrąbał: krew brózdą się toczy,

Młódz z kraju wyprowadził, — kto pozostał żywy,
 Buduje pyszny pałac, nowy cud Niniwy.

Raz, blyszczący od złota, pomknął rączym biegiem
 Po za mury stolicy: — nad Tygrysu biegiem
 Spostrzegł siwego starca o porannej dobie.
 Dziad był ślepy, i ręce odcięte miał obie.
 Dwaj dorodne młodziany wiodą go nad rzeką,
 Wlecze się zwolna starzec pod synów opieką.
 Król wstrzymał konia w biegu — utopił w nich oko,
 Rękę oparł na siodle, i duma głęboko.

Młodszy syn kęsek chleba do ust ojcu wkłada,
 Starszy objął ramieniem pochyły grzbiet dziada,
 Prawi mu coś o wzgórzach, o kwiatach na łące,
 Maluje wieże miasta w oddali sterzące,
 Snadź wszystkiem dla tułacza byli dwaj synowie,
 Jeden mu był prawicą, — drugi okiem w głowie.

Król sunie po murawie zwolna, ręką prawą
 Pogładził zadumany brodę kędzierzawą,
 Jeniec dobrych ma synów, rzecze, i dlaczego,
 Gdy widzę, jak troskliwie obaj starca strzegą,
 Ja zazdrosczę mu w duszy: azaliż nie kwitnie
 Moje liczne potomstwo? Azalim zaszczytnie
 Assura domu nie wsparł potężnymi belki?
 Pod zarząd moim synom oddałem kraj wielki.
 Drogie łupy sypnąłem działwie mojej wtedy,
 Gdym przygniótł stopą Żydów i pokonał Medy.
 Mają słoni, biegunów i złota do sytu,
 Cudne branki i pyszne pałace z granitu,
 Otoczone potworów rzędem tajemniczym,
 Ze skrzydły, z głową ludzką na tułowiu byczym.
 Wszelkie na ziemi znane sypię im rozkosze,
 Nie mieliżby mnie kochać? Ja cześć ich podnoszę.
 Dwóch starszych domu strzegą jak żrenicy w oku,
 Gdy ja siedzę na wozie, oni przy mym boku
 Tryumfalnie stąpają — dorodną to para,
 Mój drogi Adremabek, obok Sannazara.
 Ja na przyszłość do wielkich sposobię ich czynów!

Nocą padł Senacheryb pod mieczem tych synów!

R o z b i t e k.

Przed rybacką gospodą w pobliżu przystani,
 Wielki stół okrążyli majtkowie zebrani,
 A Jan z licem zgorzałem i siwą czupryną,
 Bez ręki, bo ją stracił niegdyś w Nowarino,
 Nad szklanką pełną miodu, z fajką w ustach siedzi,
 I dziwy rozpowiada ciekawej gawiedzi.

„Tak, rzecz, lat sześćdziesiąt właśnie dziś dobiega,
 Raz pierwszy z tój przystani odbilem od brzegu,
 Nasz statek trzymasztowy, stary grat wpół zgniły,
 Zdalny chyba na ogień, — a toć Boże miły,
 Zwano go „Honoratką,” i do tego „piękną,”
 Wiatr dmie w oczy, toć żagle o mało nie pękna.
 Wyrosłem ja sierota, przy stryju — on głowę
 Lubił zalewać trunkiem — co dnia plagi nowe
 Na moje biedne plecy sypały się gradem,
 Nie zliczyćby siniaków na mém czole bladym,
 Na myśl samę, po skórze zbiegają mnie dreszcze,
 Oj, byłoż na tym statku stokroć gorzej jeszcze!
 Tu ja się nauczyłem, jak cierpieć i krzykiem
 Nie ulżyć sobie nawet.

Majtki ze sternikiem

Coś gwarzą, a ja słyszę, gdzie ten statek zmierza,
 On tam na afrykańskie pędzi het wybrzeża.
 Kapitan murzynami nieludzko frymarczy,
 Co ja przy nim wytrwałem, na to słów nie starczy.
 Okrutny to był człowiek, istny kat z rzemiosła,
 Twarda mu dyscyplina do ręki przyrosła,
 Wciąż nią macha a bluzga zelżywemi słowy,
 Wszyscy drżą, ja najbardziej, chłopiec okrętowy!
 Jam wystawion na pierwsze pioruny i burze,
 Piotr czy Paweł zawinił, wszystko na mój skórze.
 Odbiło się razami, ów szturgnie, pchnie drugi,
 Do śmierci nie przepomnę tój pierwszej żeglugi!
 Ten uderzy w policzek, tamten w bok kułakiem,
 A nikt nie miał litości nad biednym dzieciakiem!
 Wszyscy wrzeszczą i wałą, drą kudły z nad czoła,
 I mówią: „dla żeglarza to jedyna szkoła.”
 Lecz się w końcu przebrało: nie płakałem wcale,
 I byłbym już bez mąk zmarł w onój przepawie;

Kiedy mnie Bóg pocieszył w doli nieszczęśliwej.
 Wśród niepocziwych ludzi był tam pies pocziwy,
 Jak ja, żył w poniewierce i strasznym ucisku,
 Szczerego przyjaciela znalazłem w tym psisku!

Piękny-bo, czarny *terre-neuve*, stąd krukiem go zwan^o,
 Oczy miał jakby złote: pamiętam co rano,
 Ledwie ze snu się zbudził, na mój głos przybieży,
 Jak cień włości się za mną, lub u nóg mi leży,
 A gdy po wrzawie dziennej wszystko milknie nocą,
 I na nieba sklepieniu gwiazdy zamigocą,
 Gdy ten i ów kącika na spoczynek szuka,
 Kładę się na pomoście, przytulam do kruka,
 I oburącz z miłością szyję mu ogarnę,
 I strugą łez gorącą zlewam kudły czarne.
 Pohany wiatrem żaglowiec na falach się waży,
 A pies grubym ozorem liże mnie po twarzy.
 Biedny mój kruk! on wiecznie na oczach mi stoi.”

Jan podniósł do ust szklankę.

„O tak, bracia moi,
 Mieliliśmy wiatr pomyślny, ale skwar dopieka.
 Nad wieczorem kapitan zwietrzył coś z daleka,
 Straszny człek, ale żeglarz dzielny, co się zowie,
 Zmarszczył brwi, jakieś troski chodzą mu po głowie.
 — „Widzisz tam czarne ziarnko?” rzecz do sternika.
 Tamten na to:

„Oj czarne, wprost ku nam pomyka.”

„Héj, służba, gość nie lada... żwawo za drabiny!
 Przytwierdzić masz do masztu, pociągnąć za liny.
 Zwinąć żagle, tam burza zbiera się okrutna!”

Poskoczą żwawe majtki, w lot zwinęli płótna.
 Kapitan przygotował wszystko jak należy.
 Lecz okręt stary gruchot...

A tu wiatr uderzy.

Tańcujem jak szaleni: choćby same czarty
 Stały tam u rudla, okręt. wichrem party,
 Nie wytrwał... trzeszczy cały, już woda na spodzie,
 Już i pomost zalany... brniemy po pas w wodzie.
 Wichem nami szamocze, ulewa wzrok ślepi,
 „Do szalupy! kto żywy, tam schronić się lepij,
 Statek przepadł!”

Wtém pomost zawalił się cały.
Huk, jakby grom uderzył lub działa zagrzały...
Wpadliśmy wszyscy w morze!

Co tam było ze mną,
Tego ludzkim językiem wyrazić daremno.
Kiedy statek tonący na dno mnie porywa,
Cała przeszłość mi w oczach stanęła jak żywa!
Widzę przystań szeroką i kościółka wieże,
I wioskę, i skaliste widzę to wybrzeże,
Gdzie zbierałem muszelki...

Już usta i uszy
Pełne wody, temu brakło, coś dławi mnie, głuszy,
Nie umiem całkiem pływać, serce ledwie bije,
Wtém kruk, paszczą zębatą schwycił mnie za szyję,
Widzę, pusta szalupa kołysze się blisko,
Jednym rzutkim zamachem dopadło jój psisko.
Wyteżam wszystkie siły, czepiam się krawędzi,
Wskoczyłem w nią, pies za mną, wiatr szybko nas pędzi,
Dwóch nas tylko łódź krucha z rozbicia uniosła,
Lecimy w siną przestrzeń bez masztu, bez wiosła.
Miałem ja dość odwagi, acz chłopak nie duży.
Pogoda nastąpiła niedługo po burzy.
Wziąłem rzecz na rozważę: jeśli jaki statek
Nie zjawi się dziś, jutro, trzebaż na ostatek
Umrzeć śmiercią głodową! Kędy powieść oczy
Spiętrzona tylko fala za falą się toczy:
Brzeg daleko, do lądu łódź dotrzeć nie zdoła.
Samemu jak tu straszno, jak pusto dokoła!
Lepiej było gryść piasek na dnie chłodnej fali!"

Jan popił trochę grogu i ciągnie rzecz dalej.

"Pięć długich dni, pięć nocy może dłuższych jeszcze,
Kołyszem się na wodzie, głód w żelazne kleszcze
Ścisnął moje wnętrzości, zrazu mi do ucha
Coś szepece: może jutro... daremna otucha!
Jutro nie nie przyniosło, czyż wytrwać w tej męce?
Kruk siedzi u mych kolan i liże mi ręce,
Na niebie ani chmurki, słońce ciska żary,
Naprawdę wzrok w błękitne zapuszczam obszary,
Zagiel na widnokręgu ani się zabieli.
W dniu piątym straszny płomień uczułem w gardzieli,
Twarz pała, krew mi w żyłach kipi gorączkowo,
Kruk wcisnął się pod ławę, nie poruszy głową,

Oczyrna ryłko zerka trwożliwie na strony,
Wzrok psa płonie jaskrawo, jak węgiel rozżłony.

— „Chodź tu, rzeknę, mój druhu, — niechże cię pogłaszczę.”
On nie ruszył się z miejsca, lecz rozmyka paszczę,
Przystąpię... wstał ponuro, kitą nie zatrzepie,
Stoi i utopił we mnie płomieniste ślepie,
Zmarszczył straszliwie nozdrza, schwyciłby mnie może,
Gdybym z oczu mu nie zbiegł...

Co to jest, mój Boże!
Do krawędzi zębami przyczepił się gniewnie,
Co widzę? piana kłębem toczy się po drownie!
Pięć dni nie jadł, nie pił, żary mózg przepiekły...
Odgadłem całą prawdę... biedny kruk... on wściekły!
On, co mnie wyrwał z toni, ocalił mi życie,
Jedyny mój towarzysz!... Bracia! czy słyszycie?
On się wściekł... on oszalał...

Ach! kto pojąć w stanie,
Ta łódka na szerokim sama oceanie,
A w niej to biedne dziecko, wobec tego zwierza!
Żar słońca południowy w głowę mnie uderza,
Drzę jak liść, oczy moje ślepną od promieni,
Odbiegnę w ką, nóż ostry dobywam z kieszeni,
Instykt rękę prowadzi, szal ogarnia zmysły...
Pies zawył przeraźliwie, kły białe zabłysły,
Wymknąłem mu się... Jak? nie wiem, garścią za kark schwyćę,
On leb nagwałt przekręca, wylupił źrenicę,
Bóg siłę tchnął cudowną w słabą dziecka rękę;
Kolanem przycisnąłem rozwartą paszczękę,
Zachrapał całą pierśią, niby miech w kuźnicy.
A ja ostry nóż w gardło utkwilem do grdyicy!...
Zabiłem jedyne i pierwszego druha!...
Jak się potem w mój piersi dopukano ducha,
Jak mnie w krwi starzanego podjęli majtkowie,
Co wracali do Hawru? ani śladu w głowie,
Nic tego nie pamiętam!

Od tych dziwnych czasów
Włos mój wpośród wojennych pobierał zapasów,
Szedłem w ogień na oślep, gdy komenda każe,
Pomny, jak straszno działa rykły w Trafalgarze,
Jak z pontonów plajmuckich zbiegałem z drużyną,
Jak mi rękę urwała kula w Nowarino,

Tylem się namozolił, i przeboleł tyle,
 A gdy obliczam w myśli te ciężkich prób chwile,
 Żadna mi tak kamieniem piersi nie przyciska,
 Jak ta, gdy m krew wytoczył z żył biednego psiska...
 Nie zamknąć mi dziś powiek. Przegwarzmy noc długą,
 Bracia moi!

Szynkarzu, daj tu szklankę drugą!"

Powoje.

Legenda czeska.

Przy mieście Egrze, z mocnemi mury,
 Na małym wzgórku, tuż po za rzeką,
 Jakieś zwaliska sterczą do góry.
 Spytaj pasterza, co niedaleko
 W zaroślach owiec gromadki strzeże,
 Kto te strzeliste budował wieże?
 Kiedy runęły — on ei wygada
 Wieść zasłyszana z dziada, pradziada.

Gdy cesarz Zygmunt gromił Husyty,
 Istniał tu klasztor, a w tym klasztorze,
 Niby wianeczek z lilii uwity,
 Kwitły dla nieba dziewice boże!
 Jaśniej nad całe przyświeca grono
 Pobożna ksieni, perła dziewicza;
 Lud ją zwie dotąd błogosławioną;
 A taki bije blask z jój oblicza,
 Że wiek za wiekiem stawał się długi,
 A brać pamięta świętej zasługi.

Tekla od dziecka Bogu ślubiona,
 Wcześniej jój płowe obcięto kosa,
 Czoło bieluchna kryje zasłona,
 Pokorną duszą sięga w niebiosy;
 Tam, w łask przeczystym skąpiana zdroju,
 Na krwią i łzami przesiąklą ziemię,
 Wraca jak cichy anioł pokoju.
 Twardeż bo na nią włożono brzemię;

Za klasztorne mi ona tu wroty,
 Istna królowa siedzi na tronie,
 Złoty pastorał i pierścień złoty
 W jój nieskażone podano dłonie,
 Ten ją majestat weale nie mami;
 Na złudy ziemskie patrzy z pogardą,
 We włosiennicę odziana twardą
 Stopy Chrystusa oblewa łzami,
 Ale bożego pełna wesela,
 Garnie sieroty, starce, kaleki,
 Hojnie łaknące łzami obdziela,
 A dziwną mają siłę jój leki;
 Skoro do rany balsam przyłoży,
 Krzepko na nogi powstają chorzy!

W naukach wszelkich mędrcom dotrzyma,
 Z księgi zawily wypłacze wątek,
 Fałsz się nie skryje przed jój oczyma,
 W Bogu wszechrzeczy widzi początek.
 Prawda przeczystém świeci jój słońcem:
 Kto był początkiem, będzie i końcem!

Pomni jej cuda lud pełen wiary.
 Było to wielkie w klasztorze święto,
 Ledwie nieszpory śpiewać poczęto
 Aż tu gwarliwe jaskólek chmary,
 Co w cieniu luków gniazdeczka lepią,
 Zakwilią razem w tak dzikie tony,
 Tak hałaśliwie w piórka zatrzepią,
 Że hymn zakonnic, wrzawą głośzony,
 Do ucha wiernym ledwie dolata.
 Nagle pastorał podniosła ksieni,
 I wnet umilkła rzesza skrzydlata,
 Wszyscy po sobie patrzą zdumieni,
 Ptastwo na gniazdkach przysiadło w górze,
 A *magnificat* rozbrzmiał po chórze.

„Cud!” mówią ludzie: i od tej chwili,
 Kto świętobliwą ksieni napotka,
 Ze czcią głęboką czoła pochyli,
 Wzrok jój tak jasny, postać tak słodka,
 Stopami ziemi nie dotknie prawie,
 To anioł z nieba w ludzkiej postawie!

W tém sercu bożą tlejącém chwałą,
 Co szuka nieba zawsze i wszędzie,
 Jedno uczucie ziemskie zostało;
 Z miłością kwiatki sieje na grzędzie,
 Kiedy na wiosnę pod oknem świętój;
 Krasne gwoździki w pełni zakwitną,
 Z ziemi bieluchne wznijdą hiacenty,
 Wzniesie barwinek główkę błękitną,
 Stokrotka z szarych wyjdzie osłonek,
 Zadzwoń słońcu na gody dzwonek,
 Kiedy stulistne rozploną róże
 Kłębami woni buchnie lilija,
 A wiotki powój pnie się po murze,
 I kwiecistemi sploty obwija
 Kratę żelazną w okienku celi,
 Jakże się szczerze ksieni weseli;
 Och! bo za ledwie tknięty jęj dłonią,
 Kwiat błyska barwą, czaruje wonią,
 Czasami jednak poduma chwilę:
 — Godziż się — pyta — miłości tyle
 Trwonić na kwiaty? wszak one z ziemi?
 Lecz kto je karmi słońcem i rosą?
 Kto je odziewa szaty cudnemi?
 Komu w podziękę woń z ziemi niosą?
 Próżny niepokój... czemuż się trwożę,
 Pozwól mi, pozwól, kochać je, Boże!

Wstrząsły się nagle klasztorne ściany,
 Ognistym gromem wieść w nie uderzy,
 Prokop, wróg Rzymu nieubłagany,
 Ciągnie z taborem krwawych szermierzy;
 Straszliwe Husa powtarza hasło;
 Podjął ze stosu głównię niezgasłą,
 Miota się wściekle, wkrag miasta płoną,
 Ziemia pocieka strugą czerwoną.
 Pobożna ksieni słyszy te wieści;
 Milczy, pod krzyżem na twarz upada,
 W celach klasztornych brzmi jęk niewieści,
 „Kto nas ocali? biada nam, biada!”

Wokół pożaru buchnęły słupy,
 Już krew zmaciła Egry łożysko,
 Po rzece nagie pływają trupy:
 — „Zbiegaj, kto żywy! Prokop już blisko!”

Ciągną Saksony, Czechy, Morawy,
 Czarna ćma kruków ulata górą,
 Zagrzało hasło do walki krwawej,
 W on bęben Żyszki obciągnion skórą
 Wałą dobosze: świat drgnął od zgrozy,
 Zwartym szeregiem turkoczą wozy,
 Trzydzieści armat ciężko się wlecze,
 Jeża się spisy, szczękają miecze,
 Straszliwy okrzyk brzmi po przestrzeni;
 „Prokop nadchodzi! już niedaleko!”

Wozy taborem ciągną nad rzeką,
 Dążą ku miastu. Widzi to ksieni,
 Woła na straż: Rozemknąć bramy!
 I most co żywo spuścić zwodzony!”
 Potém dziewice boże powoła,
 Drżące prowadzi w progi kościoła,
 Tam, przed cudownym Maryi obrazem,
 Hymn pogrzebowy zawiodły razem.

Otóż i Prokop: W lot strzały sunie
 Na skarogniadym swoim biegunie.
 W mury już pada pomrok wieczoru,
 Jaskrawiej błyska luna pożarna,
 Wiotka chorągiew braci taboru
 Szumi na wietrze: barwa jęj czarna,
 Złoty z niej kielich świeci z oddali,
 Konne rycerstwo w hełmach ze stali
 Przestrzeń pod miastem zalega całą.
 A dziesięć wołów pośrodkiem drogi
 Ciągnie za wodzem olbrzymie działo,
 Skądże ten potwór wziął się złowrogi?
 Alli, prażanin, co z piekłem trzyma,
 Tego ze spiżu ulął olbrzyma.

Prokop krogulcze wlepił źrenice
 W mury klasztoru; uzdę pochwyci,
 „Hop, hop! mój gniady!” błysło mu lice,
 W cwał śladem wodza mkną Taboryci,
 Stają za mostem: „Cóż tam u czarta?”
 Zbiegły ptaszyny... klatka otwarta.”

Wódz brwi namarszczył, z konia zeskocezy,
 Pędzi po moście, — stanie u proga,
 Światła jarzące błysły mu w oczy,
 Zatrząsł się cały... Skądże ta trwoga?
 Przez drzwi rozwarte w bocznej kaplicy,
 U stóp ołtarza Bogarodzicy,
 Bieluchne dziewic dostrzeże grono,
 Istne lilijki z głową schyloną,
 Wiankiem oplotły pobożną księżniczkę,
 Przez łukowate nawy sklepienie,
 Wyśpiewan zgodnie srebrnymi głosy,
 Psalm *de Profundis* płynie w niebiosy!

Zachwiał się Prokop, zbiegły go dreszcze,
 Włos mu powstaje dębem z nad czoła,
 Tłuszcza się wali w progi kościoła.
 „Precz stąd! wykrzyknął, nie pora jeszcze!
 Rozbić namioty, czekać do rana!”
 Drużyna spełnia, co wódz rozkaże;
 Krząta się żywo, acz rozdasana,
 Rumieńcem gniewu spłonęły twarze.
 Sam tylko butny Ruprecht z Moldawy,
 Śmie do Prokopa szczere rzec słowo,
 Niejeden przy nim stoczył bój krwawy!
 On doń przystąpi, rzecze surowo:
 — „Toć własnym oczom nie dają wiary,
 Mniszki cię swemi urzekły czary!
 Strzeż się, Prokopie, strzeż do pioruna!
 Zbyt wyteżona wnet pęknie struna!”

Prokop Ruprechta schwycił za ramię,
 Dobędzie z pochwy szablicę rdzawą,
 Tuż przy klasztornej zatyka bramie,
 W ziemi porosłej gęstą murawą.
 „Jeśli, zawoła, z tej szabli ostrój
 Puszcza do rana listki i kwiaty,
 Niechże jak dotąd, biedne te siostry
 Śpiewają w chórze swoje roraty!
 Jeden im włoszek nie spadnie z głowy!”
 Ruprecht na szabłę spojrzy z ukosa,
 W głębi klasztoru hymn pogrzebowy
 Z dźwiękiem organów bieży w niebiosy.

„Już noc zapadła, gwiazdy bez liku
 Zasiały przestrzeń jasne i drżące,
 Srebrzysty miesiąc błysł na młodziku,
 Szereg namiotów sterczy na łące.
 Wkrąg obozowe tleją ogniska,
 Coraz to ciszej drużyna gwarzy,
 Już słyhać tylko wołanie straży
 I pieśń zakonnice.

Jutrzenka błyska.

Niebo się słoni jasną purpurą,
 Dobosze biją twardymi palki
 W on bęben Żyżki obciągnion skórą;
 Nad rzeką Tabor zebrał się całki
 Prokop żelazną oblekł zbroicę,
 Do bram klasztoru z Ruprechtem kroczy,
 Stanął jak wryty, wylupił oczy,
 Trupia mu bladeść padła na lice.

Prosto szablica w murawie sterczy,
 Listek nie puścił z stali morderczój,
 Ale się powój przyczółgał cichy,
 Wiotkimi kosi oplótł ją całą,
 Rozpiął błękitne po niej kielichy,
 Z za mgły porannej słonko wyrzało,
 Wątły powoik zadrżał radośnie,
 Pociągnion siłą ciepłych promieni,
 Coraz to wyżej rośnie a rośnie,
 Jakby pod okiem pobożnej księżnicy,
 Za zielonemi nie dojrzeć sploty
 Rdzawego ostrza ni głowni złotój.

Widzi to Prokop — od gniewu wściekły:
 — Przysięgłem, rzecze, dotrzymać muszę!
 Zakłętą szablę stąd nie poruszę!”
 Krople mu potu z czoła pociekły,
 — „Czas do pochodu! konia... co żywo!
 Bracia, szablicę dajcie mi krzywą!”

Dosiadł bieguna, uzdę pochwyci,
 Pewniejszych łupów gnany ponętą,
 Żartko wślad wodza mknął Taboryci.

Wiotki powoik ocalił świętą!

D e s z c z u ł k a.

Nad brzegiem morza, u chaty progno
Do matki głowę tuli chłopczyna,
Życie im dotąd biegło po Bogu,
Dziś rozboląła dusza matczyną,
Żal toczy serce, lica się mienia.

Ot, nie ma roku, późną jesienią
Wiatr zadał wściekły, — ryknęła burza,
Nie zwalczyć prądów ludzkimi siły,
Dwadzieścia łódek wgląd się zanurza,
A kiedy wody wstecz ustąpiły
I słońko chmurę przebiło czarną,
Przy płaczu sierot, — przy matek jęku,
Druhy ponieśli na własnym ręku
Dwadzieścia trumien w ziemię cmentarną.

Pół roku zbiegło, a serce wdowy
Z jednakim bólem niebu się żali,
Patrzy, jak słońca promień różowy
W chwili zachodu igra po fali.

Pomkły po brzegu rybackie łodzie,
Niby mew stado, zdala się biela,
Suną leciuchną po tejże wodzie,
Co innym straszna była topiela,
A jój zabrała skarb życia wszystek.

Morze na słońcu blyszczy tak pięknie,
Niewiasta patrzy i drży jak listek,
Pierś jój od żalu mało nie pęknie.

Po chwili smutno rzecze do syna:
Biedny twój ojciec!.. jego w tém wina!
Wypada braci wspierać w potrzebie,
Aleć i w dobrem nie przebierz miary!
Życia nie kupisz!.. sam Pan Bóg w niebie
Takićj od ludzi nie chce ofiary.

Byłaż-to — pomnę — zamieć straszliwa,
Ojciec z dalekiej powrócił drogi,
Ciepłą polewkę smaczno spożywa,
Rad na domowe spogląda progi.

— „Dziś-bym na morzu nie chciał być wcale,
Z pogodnym do mnie rzecze uśmiechem,
Kłębami morskie pryskają fale,
Snać czart piekielnym wzdyma je śmiechem.”

Zapalił fajkę, — za próg wybiega,
A tłum gawiedzi stoi u brzegu,
Ścięga oczyma kipiące wały,
Cóż to się czerni, tam, spoza skały?
— „O słodki Jezul okręt się zbliża!”
Postrach na każdój odbił się twarzy,
Ojciec w powietrzu skreślił znak krzyża;
I mileży chwilę — coś w myśli waży;
Okręt tymczasem w szalonym pędzie,
Ugodził w strome skały krawędzie.

Zerwał się ojciec, jam skamieniała,
— „Gdzie łódź?—zakrzyknie—dalejże, druhy.”
Próżno się żżyma gromada cała,
— „Szał cię opętał!” ależ on głuchy,
Ryknie jak piorun: do łodzi nuże!
Wy dzielne majtki, nie podle tchórze.
Oto łódź moja! łódź doświadczona!
Wiatr jój nie straszny, prąd nie pokona!
Imię jój: *naprzód*, kto w Boga wierzy
Za mną!”

Szaleńcy pomkną zuchwale,
I wszystkich wściekle pożarły fale!
Odtąd ja śledzę wciąż u wybrzeży,
Ilekróć morze wstecz się odwraca,
Czy gdzie deszczulka w piasku nie leży?
Ni śladu po niej! daremna praca!
Wicher ją poniósł w świat gdzieś daleki.”
I łza spod zbrzęklój trysła powicki.

Popieści synka, znów rzecze słodko:
„Ty mi zostaleś, biedny sierotko,
Jedynym skarbem w żywota nędzy!
Rośnij mi, dziecie, rośnij coprędzaj,
Ale mi przyrzecz, synku: broń Boże!
Ty się nie puścisz nigdy na morze!”

Chłopczyna milczy, coś duma skrycie!
 O towarzyszach, jak tam, o świetle,
 Łódki rybackiej ten, ów się czepi;
 Jak śmiało wiosłem pluska po wodzie.
 W szkółce sierota uczy się lepiej
 Od rówieśników, — lecz coś go bodzie,
 Toć znużonemu trudy szkolnemi
 Zamiast ostrożnie stąpać po ziemi,
 Byłoby lepiej, wolnego czasu
 Z kipiącą falą iść do zapasu!
 Niekiedy wprawdzie matka pozwala,
 Gdy z brzegów morze ustąpi zdala,
 Na piasku zbierać drobne muszelki,
 Czasem się homar przyczepi wielki
 Do złomu skały, chłopiec go chwytą;
 Lecz na tym łupie on nie przestaje,
 Radby się napić wiatru do syta,
 Popłynąć morzem w nieznane kraje,
 Skąpać źrenice w słonecznym blasku,
 Wśród oceanu wielkiej przestrzeni;
 Rybie nie wytrwać długo na piasku,
 Dni jego biegu nic-że nie zmieni,
 Jednym się kołem życie obraca.
 Nocny spoczynek lub dzienna praca!

Biegna dni, lata, i znowuż oto
 Wichry z jesienną zadęły słotą,
 Ryknęło morze, fala się wścieka,
 Rybacy w porcie, z cicha coś gwarzą,
 Wskazują w przestrzeń, z wylekłą twarzą;
 Coś tam czarnego migło zdaleka
 Wielki żaglowiec pędzi na skałę
 „Na łódź! co żywo! kto w Boga wierzy!
 I rozgrzmiał okrzyk: hej, zuchy śmiałe!
 Za mną! do wiosel! powinność święta!”
 Kupią się żwawo starzy i młodzi;
 Strasznej przygody któż nie pamięta,
 Ale bezczynnie czyż stać się godzi?
 Zgiełk, wrzawa, zamęt, wdowa strwożona
 Objęła syna w oba ramiona
 — Pomnij, coś przyrzekł — ej, strzeż cię, Boże,
 Nie pójdziesz, synu, nigdy na morze!

Chłopiec w rozpaczy zagryza wargi,
 Nie wyrzekł słowa żalu ni skargi!
 Ależ mu lice płomieniem gore
 I łza gorąca z ocz mu pociekła,
 Kiedy na druhy pogląda skore:
 Wnet z łodzią fala porwie ich wściekła,
 Wtém ciężki balwan na brzeg się stoczy,
 Ryknął i pianą wytryska białą
 Cóż on to rzucił chłopcu przed oczy?
 Jakąś deszczulkę rzucił spróchniałą,
 Patrz! słowo *naprzód* wyryte na niej!
 Atlantyk dobył z dna swych otchłani
 Rozkaz ojcowski, syn go rozumie,
 Straszliwym płaczem zawodzi wdowa:
 „— Milez! biedna matko, próżne twe słowa!”
 Wyrwał się z rąk jej — wskok, w bratnim tłumie
 Dopadł do łodzi, chwytą za wiosła;
 Fala piorunem statek uniosła.
 Tłum, za dzielnemi powiódł oczyma.
 Ot nowy balwan straszno się pieni,
 „Ratuj, Maryjo! łódź nie wytrzyma.”
 Zniknie pod wodą, wszyscy zgubieni!
 Wtém łódź wybiegła górą nad fale,
 Pędzi na okręt... tuż .. tuż przy skale!
 O! czas był jeszcze! trud ich nie marny,
 Patrz! tłum na łodzi roi się czarny,
 — „Dzielneż to serca! zapłać im, Boże!”
 Matka drży z trwogi, jak widmo blada,
 Żwawo do brzegu napędza morze...
 Łódź pełna wody — ciężar nie lada!
 — „Rzućmyż im liny, ciągnijmy śmiało!
 „— Witajcie! — iluż tam ocalało?”
 „Wszyscy!... padł okręt zszarpan na ćwierci,
 Ale rozbitki uszli od śmierci!”

Morze się pieni, wściekle grzbiet jeży,
 Lecz wielka radość tam u wybrzeży.
 Ach! kto szczęśliwszy? niebo niech powie,
 Czy ocaleni, czy też majtkowie?
 Wdowa ogarnie syna ramiony;
 Jakiś mu wyrzut szepecze tajemnie,
 — „Przebacz! — zawoła syn ukorzony —
 Nie łaj mnie, matko! ojciec rad ze mnie!”

D o ś ć j u ż k r w i.

(wykrzyk w roku 1871).

O Francyo! twą działwą gdy wściekły szal miota,
Słowami: powinność, wstyd, hańba i cnota
Próżnym zażartych rozbroić chciał!
Te słowa szaleńcy odtrącają ze śmiechem,
Lecz twojej boleści ja pragnę być echem,
Wśród stali poszczęku, wśród huku dział!

Ach! okrzyk śpiewaka w tej wrzawie co znaczy?
Zapluty obrzydłym wymiotem kartaczy,
Powstrzyma-ż te tłuszcze pijane krwią?
Lecz imię twe święte ja rzucę w to piekło,
Ukażę krew czystą z żył twoich pociekłą,
I nóż, co w drogiej twej piersi tkwi!

Cień grozy nad miastem pomyka grobowo,
Wnet wściekle tyrany pochwycają me słowo,
I w serce jastrzębi utkwiają mi szpon!
Lecz zacząłem mnie krwawy dosięgnie morderca,
Przekleństwa pioruny dobędę z dna serca
I z pieśnią przed boski rzucę je tron!

Zestąpmyż tam, matko, w to gniazdo bezceści,
Gdzie sztandar czerwony nad dachem szeleści,
Gdzie kipi niezgody piekielny szal,
Gdzie w bratnich zatargach ta czerń się szamocze;
Ty, skreśl im na murze te słowa prorocze,
Przy których polysku Baltazar drżał!

Ty ukaż im w oczy krwi strugi, co płyną
Z twej piersi rozdartej, i ręką macezyną
Rozedrzyć ten wyrok.... wiekowy srom!...
Ten owoc ohydny występku i zdrady,
Co w wojny domowej bezecne szkarady
Pogrąża dziś, matko, twój stary dom!

A potem przekroczym za więzień tych kraty,
Gdzie starce, sterani boleścią i laty,
Pobledli pod strutym złoczyńców tehem,

Od stopni ołtarzy porwani w tej chwili,
Gdy czoło z pokorą przed Panem korzyli
W modlitwie ofiarnej za domem twym.

W lot skrzydła! na miasto popatrzeć nam z góry!
O! glucho tam, pusto i tylko drgną mury,
Gdy płomień z działowych popłynie paszcz,
Gdy groźna pobudka zadzwoni na hasło;
Pod prochu kurzawą tam słońce zagasło,
Śmierć wkóło żalobny rozwiła płaszcz!

Ubiegli stąd ludzie, jak ptacy przed słońcem,
Pod ścianą pałaców, skąd bisior i złoto
Roztacza ponętne tumany złud,
Niewiasta czy starzec przesunie się zwolna,
Bezczynnie, bo ręka do pracy niezdolna,
Gdy trwoga pierś dławi, gdy bodzie głód!

Zadrzało powietrze, czy słyszysz te strzały?
Tłum zbrojny co żywo popędził na wały,
Tnie z Wanwu i z Neully ognisty grad,
Dlatego ta pustka, żaloba ta w mieście,
Dlatego lży lica zboczyły niewieście,
Dlatego ten postrach na serca padł.

Odwróćmy stąd oczy, bo tehu nam nie stanie,
Zaślijmy wzrok lepiej po krętą Sekwanie.
Co widzę? do rzeki krew ścieka w bród!
Ach! przytul mnie, matko, ty matko rodzona,
Do piersi gorącej, nim zbrodni dokona,
Nim w pierś tę ugodzi wyrodną lud!

Niech głos twój posłyszę, gdy łkaniem zaryczy,
„O dzieci! wam skruszyć ten oręż zbrodniczy,
Te bratnie zatargi zakończyć czas!
Dość krwi już pociekło! aż ziemia skraśniała.
Niebaczni! wszak jedna przyświeca nam chwałą,
Wszak jeden porzecz oświeca nas!

„Wasz tryumf nademną kir czarny rozpostrze
Wam-że to wyrodnym poruszać to ostrze,
Co przybysz mi cudzy w głąb serca wpari?

Śmierć matki zbyt droga wasz tryumf okupi.
Szaleńcy! wy chcecie na głowie mej trupięj
Frygijskiej purpury podziwiać szal!

„Ach zgody! pokojul balsamu na rany!
Czas wrócić do ładu serc węzeł stargany.
Dalejże do pracy! pochwyćmy młot,
Wyglądźmy z pamięci te widma grobowe
A potem gdy z prochu podźwignę znów głowę,
Gdy z czoła promienie trysną mi w lot,—

„O dziatwo serdeczna! niezłomni wy Galle!
Pochwycim za oręż w młodzieńczym zapale,
I liczni, jak kłosa normandzkich pól,
Ku Renu wyrzeżom pomkniemy w lot strzały
I czoło to spłóczeniem z ohydnej zakąły,
I z serca ten ciężki wyrzucim ból!”

Ach! mów im to, matko, a piosnka jak ptaszę,
Poniesie te słowa w szeregi tam nasze,
Co bratnią krwią święty plugawią dom,
Zieloną im róższkę z miłością poniesie,
Grom dębów konary druzgocze po lesie,
Lecz leśnej ptaszyny nie tknie ten grom!

List

ochótnika bretońskiego z obozu.

Matko! ojeze mój stary, ty siostrzyczko złota,
Wieczorem, gdy się dzienna zakończy robota,
Zanim capstrzyk zadzwoni, radbym oto szczerze,
Co myślę, skreślić dla was, piórem na papierze;
Ale smutno się jakoś wątek myśli klei,
Bo chociaż Bóg mi świadkiem—nie tracę nadziei,
Choć wiem, że gdyby przyszło położyć mi głowę,
Spełnię wiernie powinność; lecz progi domowe
Czyli to w dzionek biały, czy to nocką ciemną,
I we śnie i na jawie, wciąż stoją przedemną.
Widzę izbę i półki przyparte o ścianę
I miski farfurowe, dzbanki malowane,

Na stole garść orzechów, kawał szynki tłustej,
Z misy na całą izbę bucha woń kapusty,
Matka w bieluchnym czepcu do stołu się zbliża,
Ojciec ujął chleb w rękę—i nożem znak krzyża
Kreśli na nim pobożnie, czasem kęs odkroi,
Kiwnął głową, o częstsz snąc pomyślał mojej,
Dość już o tém, wróg wszystkim na miazgę nie zetrze,
Może i wróć do was!

Pod portem w Bicetrze
Stanęliśmy obozem wszyscy z naszej wioski,
Pan hrabia z nami także: gdy kreślę te zgłoski
Na skórzanym tornistrze, dmie wichur z loskotem,
Wciska się przez szczeliny i wstrząsa namiotem,
I papier z rąk wyrzywa,—i świeczkę mi gasi.
Bicetr, to fort nielada! Bretonowie nasi,
Zaprawni do niewczasu, dzielni marynarze,
Na murach dniem i nocą trzymają tu strażę.
Dopadkiem chyba tylko, jak w morskiej przystani,
Wsparci grzbietem o działo, zasną spracowani.
Przecież te dzielne zuchy na trud się nie żalą,
Kilku dawnych znajomych spotkałem z Saint Malo,
Razem też—jak Bretonów dziatwa nie odrodna,
Po małej wina czarce spełniliśmy do dna.
Mój oddział do ostatniej należał wyprawy;
W niej Noel, syn dzwonnika legł na polu sławy,
Jak to mówią w Paryżu: sam na to patrzałem,
Gdy padł, w ramię śmiertelnym ugodzony strzałem,
Tarzał się w krwi nieborak, krzyczał w niebogłosy;
Na ten widok aż dębem powstały mi włosy,
Tehu w piersi mi zabrakło, ale trudna rada,
Grzmia bębny, toć po trupach naprzód iść wypada.
Zbieram siły, kłęb dymu wyżera mi oczy,
Pebam się naprzód, i strzelam na oślep w pomroczy.
Aż gdy światło do reszty nad głową nam zgasło,
Gdy trąby zadzwoniły do odwrotu hasło,
Wieczorem, jakiś starszy w pozłocistém *kepi*,
Z rzędu starych wiarusów, co szermierzą lepij
Szpadą niżli językiem... „Dobrze, chłopcy moi!”
Rzecz do nas, a potem klnie, na czém świat stoi,
Jakby jaki poganin,—a wiara odpowie:
Niech żyją, niech nas tacy prowadzą wodzowie!
Ten i ów rzuci słówko.... ej, odpuść im Panie!
Na siwego plebana,—co w długiej sutanie

Podąża z nami w ogień, a skoro potrzeba
 Obmyte z grzechów dusze zasyla do nieba.
 My za całą odpowiedź tej krnąbrnej gawiedzi,
 Uczym, jak człek umiera po mszy i spowiedzi.

Byliśmy i w Paryżu, mieściskoż to duże!
 Ludu w niém co nie miara, dreszcz mnie zbiegł po skórze,
 Złe jakieś przyszły wieści; naród oswiały
 Po ulicach gazety czyta przez dzień cały.
 Mieszczanie nas rekrutów goszczą, jak kto może,
 Jam z Piotrem stanął w pięknym marmurowym dworze,
 Nie brakło nam wygody, napoju, ni jadła,
 Cudnież tam... gdzie rzuć okiem, obrazy, zwierciadła,
 Podłoga jak szkło ślizka, nie śmiem stąpić kroku,
 Siadam na brzeżku krzesła, aż tu szczęściem, z boku
 Gromadka drobnych dziątek wesolo przybieży,
 Spojrzy na nas i hurmem pędzi na żołnierzy,
 Jedno drze się do szpady, drugie do felcecha,
 Pełno gwaru, tartasu, byłaż to uciecha!
 Aż jakoś i mnie w końcu ośmieliły dziatki,
 Żem raźniej począł stąpać po podłodze gładkiej,
 I takem się z rodziną zapoznał powoli,
 Jakbyśmy zjedli razem całą beczkę soli!
 Ale muszę list kończyć, czas chyżo ucieka,
 Już się capstrzyk wieczorny rozlega zdaleka,
 Czy dojdzie list rąk waszych? Bóg to wiedzieć raczy,
 Alem rad, żem się uczył w szkole, bo inaczej
 Nie byłbym dziś kapralem, i bez tej ochoty
 Do książki i do pióra, ten galonik złoty
 Nie świeciłby tak na mnie, jak dziś oto świeci,
 Mój list jutro z Paryża balonem odleci.

A teraz do widzenia, ja nie tracę wiary,
 Że was powitam jeszcze: matko! ojciec stary!
 Gdybym zaś nie miał wrócić, niech żal was ukoi
 Myśl, żem dotrwał do końca przy chorągwi mojej,
 Żem był w kraju obronie. Czekajcież w pokoju.
 A ty siostrzo, jak spotkasz Iwonkę u zdroju
 Powiedz, że o niej myślę w każdej życia chwili,
 Że w Paryżu, gdzie drudzy serca potopili,
 Ja zachowałem moje nietknięte i zdrowe,
 Powitaj ją, ucałuj za mnie włoski płowe,
 I szepnij jej do uszka, żem ja niespokojny,
 Czy mnie ktoś nie ubiegnie, zanim wrócę z wojny.

A niechtéz zbyt nie tęskni i od lez się wstrzyma,
 Bo nie chcę z czerwonemi zastać ją oczyma.
 Bądźcie wszyscy spokojni i zdrowi, Bóg z wami!
 Kochające was dziecko pisze to ze łzami!

W urodziny Wiktora Hugo.

Dąb stary, im starszy, tem szerzej rozplata
 Olbrzymie konary, a chmura skrzydłata
 Bezpieczniej się do nich uczepli,
 Gdy w kwietniu sok nowy zakrąży pod korą,
 Tém cudniej się w pączki gałęzie przybiorą,
 Im starszy, zieleni się lepiej!

On, stary ten orzeł, a z gniazda ku górze,
 Mknie coraz zuchwałej, na gromy, na burze,
 Gdy huczą orkany w krąg świata,
 I nigdy po jasnych otchłaniach błękitu
 Wspaniałej go skrzydła nie niosły do szczytu,
 Im starszy, tém wyżej ulata;

Ach! słońce to stare, a nigdy z przestrzeni
 Obficięj żywotnych nie siało promieni,
 Na kwiaty, na kłosa, na drzewa,
 I nigdy rozkoszniej, gdy życie tak trudzi,
 Ta boża żrenica nie błysła dla ludzi,
 Im starsze, tém lepiej dogrzewa!

Dzwonek na przedmieściu.

Nie umiałem ja nigdy pojać ludzkiej pychy:
 Słodką w sobie nagrodę znajdzie człowiek cichy,
 Bez zawiści też patrzę na chwałę i złoto,
 A gdy mnie trudy życia i lata przygniota,
 Niechże mi Bóg da użyć tej doli szczęśliwej,
 Jaką ma stary dziaduś przy babulce siwej,
 Kiedy po ciężkiej pracy, po długim mozole
 Kupią dworek za miastem z widokiem na pole,

Na ten obraz jak słodko raduje się dusza!
 Patrzcie, wiatr chorągiewką na dachu porusza;
 Gdzie rzucić okiem, spokój, cisza i porządek,
 Pod oknami się róże rozrosły wśród grządek,
 Otoczonych bukszpanem i opaską darny;
 Pod progiem śpi na słońcu wierny kundel czarny,
 Gospodarz odzian w bluzę szarą dreliszkową,
 W słomianym kapeluszu z pochyloną głową
 Stąpa krętymi ścieżki i plony swe liczy:
 Z kieszeni mu wygląda przyrząd ogrodniczy.
 Tu przywiąże gałązkę, co się krzywi szpetnie,
 Tam zielsko od korzenia nożykiem podetnie;
 Tu dopatrzy ślimaka, co się pnie wśród liści:
 Tam z żarłocznych chwastów łodygę oczyści.

W altanie, oplecionej powojem wokół,
 Babulka w wielkim czepcu zasiadła wesoło;
 Trzyma białą pończoszkę, snać wprawna jej ręka,
 Ni patrzy na robotę, gdy drutem w drut szczęką;
 A przy niej kotek psotnik, to klębek pochwyci,
 Potoczy go daleko i popłacze nici;
 To najeży pazurki i patrzy ochoczo
 Na ptaszęta, co w gniazdkach swobodnie świergoczą.

Słońce w górę się wzbilo, coraz mocniej pali,
 Przez drzwi napół otwarte spojrzujmy w głąb sali;
 Gdzie rusz, mody odwiecznej wydatne znamiona:
 Na brązowym zegarze biust Napoleona,
 U wydętych poręczy krzesel i kanapy
 Głowy milczących sfinksów oparte o łapy;
 Wygodnie tu i czysto, i miło tu wszędzie:
 Tak dziś, jak było wczora, i jutro tak będzie,
 Dopóki Bóg tej ciszy w głębszą nie zamieni,
 Gdzie oboje po pracy odpoczną strudzeni.
 Gad zawiści nie powstał w ich sercu, ni głowie,
 Czynią to, co czynili dziady i ojcowie;
 Szanowany tu wiernie złoty podań wątek,
 Tu modlitwą uświęcon każdy dnia początek.
 O dziatwie przy śniadaniu gwarzą sobie starzy,
 Babka zbiera owoce, konfitury smaży,
 Niechajże z tej prostoty śmieje się szyderca,
 Wszystko się zestarzało u nich oprócz serca!

Choć włos im szron ubielił, kochają jak młodzi,
 Pełną, gorącą piersią. Cóż to komu szkodzi,
 Że gdy burza zaryczy, gdy piorun się zbliża,
 Na czole i ramionach nakreślą znak krzyża;
 Iż w niedzielę, gdy dzwony kościelne uderzą,
 Idą na mszę ubrani świątecznie i świeżo;
 Iż, gdy przyjdzie rok nowy albo dzień patrona,
 Gdy się w domku rodzina zbierze zgromadzona,
 Z pod serca wydobędą zasobów ostatki,
 I ugoszczą je hojnie i obsypią w datki;
 Że pocziwa babunia pieści wnuki czule
 I placek im z migdałem piecze na Trzy Króle!

Szczęśliwi, ach, ci stokroć szczęśliwi na świecie,
 Czyja dłoń z prostych kwiatów życia wianek plecie:
 Kto zna słodycz nawyknień, komu próżność nie ęmi
 Wzroku mamidły czczemi. Syn z żoną i dziećmi
 Odwiedza rodzicielski dworek co niedziela,
 Dopieroż to w ogródku śmiechu i wesela!
 Rozbiegły się dziateczki jak rój pszczół po łące,
 Ten kopie, tamten grządki podlewa kwitnące;
 Ten wszystkie gniazdzka ptasze zliczył w każdym krzaku,
 A mały po murawie pełza na czworaku.

Dano obiad, stół przybrany w wety i owoce,
 Działwa siły pokrzepia i gwarno szczebioce,
 A słońce już się chyli, wnet zatonie w mroku:
 Wtém księżyc srebrnym sierpem błysnął z za obłoku.
 — „Czas w drogę!” — Na to hasło w lot zerwą się dzieci,
 I czemuż to niedziela tak chyżo przeleci!
 Wraz dziadka i babunię okrzyki kołem,
 Starzy im z cicha krzyżyk nakreślą nad czołem:
 „Niech was Bóg — rzece dziadek — od złego ustrzeże,”
 A babka im do ręki kładzie kwiaty świeże.

Dzięki wam! ach, to ciepło, co z waszych serc bucha,
 Zbudziło skrę wystygłą w głębi mego ducha;
 Ledwie dzień przeżył z wami, serce odtąd marzy
 O cichój doli waszój, och! dzięki wam, starzy!

Ławka

o b r a z e k.

Wsparłem się o kamienne posąg podnóże,
 Poza mną stary Sylwan twarz wykrzywił w górzel
 Tuż ukryci przed wzrokiem natrętnych tysiąca,
 W drzew cieniu siedli razem żołnierz i służąca.
 Odsunięci od siebie jak można najdalej,
 Z dwóch brzegów jednej ławki słodko rozmawiali.
 (Młoda miłość prostaczków, tak zwykle poczyrna.)
 U stóp ich w piasku drobna grzebała dziecina,
 Druga dalej... Mrok zapadł, śmielsi o tój dobie
 Zakochani uczucia lubią zwierzać sobie,
 Rozmawiali też z cicha, i potok słów szczery
 Płynął z ich serc przez usta.

Na gęste szpalery
 Coraz grubszy mrok pada, tylko jeszcze górą,
 Odblask wieczornej zorzy krasi je purpurą;
 I w zwierciadle sadzawki różowo migocze,
 Gdy wietrzyk wodę w kręgi roztrąca uroczę,
 Śliczny był wieczór letni, cisza nie zrównana,
 Słuchałem pilnie, wsparty o posąg Sylwana.
 Zrazu oboje mówią: jak się słodko gwarzy
 O przeszłości, gdy dwojgu spotkać się nadarzy,
 Przypadkiem od swój wioski rodzinnej daleko,
 Kędy dziećmi płasali po łące, nad rzeką,
 Raj szczęścia zatracony wnet odżył w ich słowie.
 — „Co też tam porabiają matki i ojcowie?
 Listy rzadkie, bo starzy ledwie kreślą znaki,
 A szkoda grosz marnować na płatne pismaki.
 Jak śliczna wioska nasza zwieńczona w topole,
 Mileż to były psoty i nauka w szkole!
 Cóż za radość, gdy im się czasami udało,
 Więcierzem lub na wędkę złowić rybkę małą,
 Lub oberwać dojrzałe czereśnie w ogrodzie,
 Jaki strach, gdy wieść starsi powzięli o szkodzie!
 Jak m , choć starszyzna surowo przestrzega,
 Siąść na łódkę i wiosłem odbić ją od brzegal
 I popłynąć na kępę; ileż to uciechy,
 Zbierać w lesie jagody, w olszynie orzechy.
 Lecz prędko ubogiemu zbiega chwilka złota
 Owych ulud dziecięcych; a potem zgryzota

W pierś młodą nazbyt rychło wpija szpon jastrzębi,
 I wylała dziewczyna z swego serca głębi
 Długo zbieraną gorycz.

Smutne-ż bo jój losy.

Bóg nie dał sił biedacze do sierpa i kosy,
 Miała-ż z chleba odjadać niedorosłą działawę?
 Wię, że biednej i słabiej zamęzcie nie łatwe,
 Do twardych prac, gdy siły nie starczą niewieście:
 Trzeba-ż było o służbę zakołać w mieście.
 Ciężkaż dola, w jój wieku, niańczyć cudze działki,
 Mieć dla nich matki serce, i starania matki
 I widziéć, że miłością serc krnąbrnych nie zjedna;
 Nieraz gorzkimi łzami zapłacze tu biedna,
 W zimnej i ciemnej kuchni, przy świeczce łojowej!
 Służy wiernie, a przecież poczeiwemi słowy
 Nikt do niej się nie ozwie, z ust pani i pana,
 Słysz tylko głos cierpki, nawet im nieznana
 Z imienia, bo imieniem zwą ją dawniej służy,
 Więc życie jój obmierzło, tych dui szereg długi
 Bóg chyba jój w przyszłości policzy za winy.

W tém do niej obie małe przybiegły dzieciny,
 Żadne się nie przymili ni słówkiem, ni wzrokiem,
 Żołnierz chwilę podumał w milczeniu głębokiem
 I tak wzajem dziewczynie powierza swe troski:

Gdy skończył lat dwadzieścia, wezwano go z wioski,
 Wybrał los, toż żołnierska przypadła mu dola!
 Rzucił domowe progi i kłosiste pola,
 Pożegnał ojca, matkę, z sercem rozżalonym
 Poszedł w świat, dziś w Paryżu stoi garnizonem,
 I ciąży mu bezczynność, serce trapią smutki,
 Dzień do dnia tak podobny, tylko dźwięk pobudki
 Przerywa jednostajny ten wątek żywota,
 Bez braci, bez przyjaciół, on tu sam sierota!
 I kędyż zwróci oczy? kędy myśl przycepi?
 Gdyby wojna wybuchła, krew stoczyłby lepiej!

To słowo w pierś dziewczyny ugodziło srodze:
 Zbiegł ją dreszcz, lica z trwogi pobladły niebodze,
 Jak siostra kochająca zbliży się powoli:

— „Nie mów tak, rzecze z cicha, mnie to bardzo boli!”

I wzięła rękę druha w miękką dłoń niewieścią,
 Na ich ustach błysł uśmiech zaprawny boleścią,
 W mileczeniu pieśni ptasząt słuchali oboje,
 A jam rzekł: błogosławię uroczą moc twojej
 Miłości, co kołyszysz biednych twemi czary,
 Błogosławię was bujne jaworów konary,
 Co tulicie im głowy w tej przelotnej chwili,
 Nim prawda czarodziejską zasłonę odchyli.

I gwiazdy wystąpiły na ciemnym błękiecie,
 I ja słyszę, jak gwarzą coś długo i skrycie.
 Ufni w siebie, szczęśliwi, z pochyloném czołem,
 Swe troski i nadzieje obliczają spolem,
 W lot krzyżują się słówka, głos brzmi coraz ciszéj,
 Ucho moje zaledwie słaby dźwięk dosłyszéj,
 Nagle wspólne westchnienie wybiegło im z łona,
 Jak skrzydlata ptaszyna z gniazdeczka spłoszona.

I oto głośny capstryk rozległ się w pomroku,
 Żołnierz porwał się z ławki, w jego ciemném oku
 Chmura smutku, znów radość przyćmiła chwilową,
 I wyszepnął tajemne pożegnania słowo;
 I cienistym szpalerem popędził w lot strzały.

A ona wzrok wlepiała w ziemię osłupiały,
 Złożyła obie ręce w modłacéj postawie
 I chwilkę sama jeszcze została na ławie,
 Dźwięk pobudki powietrze coraz lżej roztrąca,
 Aż gdy błysnęła z góry srebrna twarz miesiąca:
 Ujrzałem ją bledziuchną, lzy gradem spadały
 Z pod jéj rzęs na chusteczkę, na fartuszek biały:
 Dźwięk umilkł, ona z dziećmi wróciła do domu.

O, niechże się to śmieszném nie wyda nikomu!

P A T E R

OBRAZEK DRAMATYCZNY W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

PANNA RÓŻA.
KSIĄDZ PROBOSZCZ.
JAKÓB LEROUX.
OFICER.
ZELIA, służąca.
SĄSIADKA.

Rzecz dzieje się w Paryżu, na przedmieściu Belleville, w maju 1871 r.

PATER. 1)

DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

Scena wyobraża pokój na dole; w głębi drzwi i dwa okna wychodzą na ogródek, pełny róż rozkwitłych, opasany sztachetami. Po za ogródkiem, przez bramę otwartą, widać wąską uliczkę i kilka wysokich fabrycznych kominów. Sprzęty w pokoju bardzo skromne: kredens, okrągły stół, krzesła wyplatane słomą. Na lewo komin, nad nim statuetka Najświętszej Panny, gipsowa, polerowana; — na prawo biurko i szafa pełna książek. Na ścianie wielki krucyfiks z kości słoniowej i parę obrazów świętych. Boczne drzwi po prawej i lewej ręce.

SCENA PIERWSZA.

ZELIA.—SĄSIADKA.

(Zelia, stara służa, w czepcu bretońskim, siedzi przygnębiona. Przy niej stoi sąsiadka z koszykiem w ręku).

SĄSIADKA. A więc go rozstrzelali?... Mów! być-że to może?
(Stara służa daje głową znak potwierdzający).

Ha, lotry!... — Więc to prawda?

ZELIA. Tak, prawda! mój Boże!

Tam, przy ulicy Haxo, strumieniem pociekła
Krew pobożnych kapłanów!... Te szatany z piekła
Rozpasaly się straszno, nie dałabym wiary,
Lecz go na własne oczy widział sąsiad stary:
Gdy uczuł, że ostatnia chwila już się zbliża,
Podniósł rękę, w powietrzu nakreślił znak krzyża,

1) Pater, w znaczeniu Modlitwy Pańskiej.

Potém upadł na ziemię nasz męczennik święty!
 Kiedy z zakładnikami niedawno ujęty,
 Żegnał nas,—obie z siostrą, rzekłyśmy do siebie:
 On powróci, ujrzym go wkrótce, jak Bóg w niebie,
 Toć lud czei go jak ojca, kocha i szanuje.
 On dobry, miłosierny!... Ha, przeklęte zbroje!
 (*Słychać strzały karabinowe.*)

SĄSIADKA (*przerażona*).
 Boże mój!...

ZELIA (*powstając*). Dobrze im tak!

SĄSIADKA. Te strzały... te krzyki,

ZELIA. Co znaczą?
 Pomsta boża! Śmiało, Wersalczyki!

SĄSIADKA. Mordujcie! Niecbaj żywa nie ujdzie stąd noga!
 Oni karzą zbrodniarzy! Ależ, matko droga,
 Straszna rzecz... Wczoraj wieczór widziałam przy murze,
 Blizko stąd, za cyrkulem, krwi skrzepłą kałużę.
 Okropnyż to był widok!... dreszcz mnie zdjął do kości,
 I winnych i niewinnych sieką bez litości!

ZELIA. A któż był niewinniejszym od mojego pana?
 Ksiądz Morel, złote serce, istny wzór kapłana,
 Nie miał nic... Patrzył tylko, gdzie nędza dobodzie;
 Wnet przygarniał sieroty, karmił biednych w głodzie.
 Zabila go ta zgraja tygrysów szalona,
 Ja nie znam się na niczém, ja na wsi zrodzona,
 Ale te Paryżany, lud wściekły i dziki,
 Biją się lada o co, biorą zakładniki,
 Mordują nieboraka! ich złość tak się sroży,
 Nad tym, co czasu wojny, istny anioł boży,
 Rozpościerał nad nędzą miłosierne skrzydła;
 Nie lituj się nad niemi! ta zgraja obrzydła
 Niech cierpi, niech miecz pomsty niekzemników skarci!
 Gdy litość im nieznana, litości nie warei!

SĄSIADKA. Tak, to lotry wierutne! Bożej pomsty ręka
 Zaciążyła nad niemi. Pierś mi z bólu pęka,
 Gdy wspomnę twardą zimę przed kilkoma laty;
 Plaga spadła na miasto, zamknięto warsztaty,
 Brak pracy, widmo głodu zagląda z poddasza,
 Ten pocziwy ksiądz Morel, to opatrność naszal
 Sam głodny, niesie drugim chleb od ust odjęty...
 Dziś krew stoczył do kropli, nasz ojciec, nasz święty!
 Na tém straszném przedmieściu nie wytrwam już dłużej,
 Mów mi o jego siostrze... mów o panie Róży,

Ona go tak kochała... Pan Bóg zesłał na nią
 Ciężki krzyż...

ZELIA. Co się dzieje z biedną moją panią
 Ja tego nie wypowiem... gdy wieść doszła, z razu
 Nie rzekła ani słówka, martwa jakby z głazu.
 Myślałam, że jój boleść obłąkała zmysły.
 Strach mnie zdjął... Potém oczy żarem jój zabłysły,
 Z ust sypnęły się klątwy, niby grom za gromem,
 Aż w końcu przytloczona nieszczęścia ogromem,
 Zasnęła tam, w swém krześle...

(*ukazuje drzwi poboczne.*)

Sen to gorączkowy.
 Po tém obezwładnieniu przyjdzie wybuch nowy!

SĄSIADKA. Biedaczka!...

ZELIA. Zgrzyta w zęby, zbudzi się niedługo.

Minęło lat piętnaście, jak jestem jój sługą,
 Rodzice ich z kniecego pochodzili rodu;
 Pomyślnie gospodarka poszła im za młodu,
 Ale szczęście na ziemi długo trwać nie może,
 Choroba po jednemu rzuciła na łożo,
 Pomarli, dwie sieroty po nich pozostały:
 Dziewczę dwudziestoletnie i chłopaczek mały.
 Dla Róży oczkiem w głowie ukochany Janek,
 Czuwa nad nim, do szkoły prowadzi co rano,
 Cieszy się, gdy z pochwałą co wieczór powraca,
 Piękne plany dziecinne zapowiada praca,
 To też siostra mu szczerze chce otworzyć pole:
 Gdy podrósł, umieściła brata w miejskiej szkole,
 Z końcem roku on pierwsze odbierał nagrody.
 Wtedy sąsiad, znęcony krasą jój urody,
 Chciałby zaślubić Rózię—lecz za skarby świata,
 Różia ukochanego nie opuści brata.
 Jam—rzecze—poprzysięgła, gdy księdzem zostanie,
 Zajmę się gospodarką przy bracie kapłanie.
 Jakoż wiernie przysięgi dotrzymała sobie,
 Jedna myśl ożywiała te duszyczki obie.
 Nagle, burza zmaciła bieg życia spokojny:
 Biedny ksiądz padł ofiarą tej domowej wojny.
 Kiedy przed laty kilku przy proboszczu starym,
 Na belwilskiem przedmieściu on został wikarym,
 Włos powstał mi od grozy!—wskroś trwogą przejęta,
 Rzekłam do niej: ci ludzie to istne hydłeta,

Ale w dzielnym jej sercu nie trwogi nie budzi,
 „Tę lepiej—rzecze—brat mój przemieni ich w ludzi!”
 Ochl tę ufność krwawemi oplakuje łzami,
 Biedaczka! — Matko boża zmiłuj się nad nami!

(*Wybuch płaczem, — z przybyłego pokoju dobiega płacz i wołanie panny Róży*).

PANNA RÓŻA. Zeliol!

SĄSIADKA. Woła ciebie...

ZELIA. Już się obudziła,
 Pozostaw ją tu ze mną — idź, sąsiadko miła.
 Nowym żalem wybuchnie, skoro cię zobaczy,
 Drzę na myśl, czy jej rozum wytrwa w tej rozpacz?

SĄSIADKA. Idą... to święta dusza, złe jej się nie czepi!
 (*Odchodzi*).

SCENA DRUGA.

PANNA RÓŻA.—ZELIA.

(*Panna Róża w czarnej sukni, wchodzi przynębiona, chwiejącym się krokiem. Zelia idzie ku niej żywo, — chwyta ją pod ramię*).

ZELIA. Czy pani lepiej trochę?

PANNA RÓŻA. Pytasz, czy mi lepiej?
 Spałam... sen to straszliwy, mózg w pętach mi trzyma,
 Widzę... stoją do muru zwróceniu plecyma,
 Hałastra chwyta oręż, pędzi jak na gody.
 Brak mi tehu, płonie głowa... Wody! daj mi wody!

(*Siada. Zelia przynosi szklankę wody, panna Róża pije z chciwością*).

Cicho, zmilkły wystrzały i wściekle okrzyki—
 Wszak słyszałam je we śnie...

ZELIA. Zda się, Wersalczyki

Przemogły tę szarańczę.

PANNA RÓŻA. Wnet wszystko do ładu
 Powróci, krwi stoczonej nie będzie ni śladu;
 Słońce tak samo świeci na czystym lazurze,
 W ogródku tak zielono,—kwitną bzy i róże.
 Gdy cierpim, przyroda jednako się toczy,
 Szydzi z naszych męczarni, urąga nam w oczy;

Bezmyślny kwiat w powietrzu bucha kłębem woni,
 Ptactwo śpiewa, rój pszczołek po kwietnikach dzwoni.
 I cóż ich to obcodzi, że cierpię, że płaczę?

(*ze łkaniem*).

Biedny bracie, mój Janku! już cię nie zobaczę!
 (*do Zelii*).

Był tu kto, kiedym spała? Mów...

ZELIA. Tak, droga pani,

Sąsiadka z naprzeciwnika...

PANNA RÓŻA. Znam ją, brat mój dla niej,
 Taki był miłosierny... pomieścił jej syna
 W szkole, ojca w szpitalu—biedna to rodzina!
 Kto więcéj?

ZELIA. Był i proboszcz, powrócić tu może...

PANNA RÓŻA (*z trwogą*).

Nie, ja go widzieć nie chcę, nie mogę...

ZELIA. Mój Boże!

On przecież tak serdecznie kochał księdza Jana!
 Mam-że go niedopuszczyć? O! pani kochana,
 Nieboszyk go szanował, uczyć go przystało!

PANNA RÓŻA. Czy mówił, że powróci?

ZELIA. Tak, za chwilę małą.

PANNA RÓŻA. Niech przyjdzie, on go kochał... powie mi, że trzeba
 Z całym ducha poddaniem przyjąć wyrok nieba...
 Ja bluźnię, ależ boleść szarpała mi duszę.
 (*do Zelii*).

Pozostaw mnie tu samę.—

(*Zelia odchodzi*).

SCENA TRZECIA.

PANNA RÓŻA (*sama*).

A jednak żyć muszę,
 Przetrwąć to straszne męki, czuć, jak chwile płyną,
 I liczyć, jak godzina bije za godziną
 Na tym starym zegarze, jednako, bez zmiany!
 Ja żyję—choć dni moich wątek potargany,
 Nie skołałam pod ciosem, mnie wiek nie przyciska,
 Ta śmierć, której tak pragnę, ach! może nie bliska.

Lat dziesięć lub dwadzieścia trwać mi jeszcze dano,
 A jak tu żyć z tą w piersi wiecznie żywą raną,
 Co w serce jak pasorzyt wszczepi się do głębi,
 Rozsadzi je na części, do dna je wyziębł!
 Na wsi, gdy wół sterany, nie dźwignie już pluga,
 Podrzynają mu gardło, sprawa z nim nie długa...
 Lecz ze mną co uczynić? zabili mi dziecię,
 Zamordowali brata... cóż po mnie na świecie?
 Ha! gdyby z tych morderców wpadł mi w ręce który,
 Zdusiłabym jak żmiję, odarta ze skóry!
 Od tej okrutnej zbrodni, jam inną kobietą.
 Pobożność, co mi była do życia podnieta,
 Zagasła do iskierki w mej piersi!... daremno
 Mówić mi o nadziei!... nie już... nie przedemną,
 Tylko otchłań bez granic, i boleść bez miary!
 Nie wskrzesi we mnie proboszcz nadziei ni wiary.

*(Kiedy wymawia ostatnie słowa, proboszcz, starzec z białym włosom wzeźdł
 bramą w głębi; przechodzi przez ogródek i zatrzymuje się u progu. —
 Panna Róża, spostrzegając go:)*

Otóż on!...

SCENA CZWARTA.

PANNA RÓŻA. — KSIĄDZ PROBOSZCZ.

PROBOSZCZ *(zbliżając się po mału)*. Biedne dziecko. .
 PANNA RÓŻA *(głosem przerywanym)*, Dzięki, ojcze! . dzięki
 Za pamięć... lecz piekielne przechodzę ja męki.
 Myśli moje splątane nie wiążą się w słowa.
 Skoro przyjdzie do ładu biedna moja głowa,
 Pomówimy obszerniej... niech ojciec przebaczy,
 Lecz dziś, gdy wspomnę o tém, taki szal rozpaczy
 Ogarnia mnie, że tracę rozum; i jedyną
 Ulgą mi, gdy zapłaczę...

PROBOSZCZ. Niech w ciszy popłyną
 Łzy twoje, biedne dziecię... odejdę za chwilę,
 Ja nie chcę być natrętnym, powiem tylko tyle:
 Kobieto! niech ci będzie pociechą myśl błoga;
 Twój brat, kapłan—męczennik, dziś w niebie u Boga!

PANNA RÓŻA. Ojcze, widzisz go tylko wśród niebieskiej chwały:
 Ja widzę śmiertelnemi przeszycy strzały;

Na ohydny śmietniku, stąd o kilka kroków...
 Oczy moje nie sięgną przez tuman obłoków...
 Tam, gdzie przed bożym tronem, z palmą w dłoni świeżą,
 Czuwają męczennicy... Patrzą tu, gdzie leżą
 Trupy zamordowanych, w ulicy, tuż blisko,
 Widzę krwawą kaluzę, straszne cmentarzysko.
 Ja bluźnię, przywalona zbyt ciężką żalobą;
 Przeklinj mnie, sługo boży!...

PROBOSZCZ. Nie, ja płacę z tobą,
 Twoich bluźnierstw, biedaczko, Bóg nie zapamięta,
 Ja także ich przepomnę, lecz ta dusza święta,
 Co w majestacie chwały cała spromieniona
 Przyświeca u stóp bożych, wśród aniołów grona.
 Ach! dusza ta boleje, bluźnierstwo ją rani,
 Upamiętaj się, biedna, milcz przez miłość dla niój!

PANNA RÓŻA *(zanosząc się od płaczu)*.
 Przebac mi, dobry ojcze, jam tak nieszczęśliwa!
 Sama nie wiem, co mówię... Prawda świeci żywa
 Z twoich słów... on tam w niebie, z duchy przeczystemi.
 Lecz mnie biednej bez niego jak wyżyć na ziemi?
 Pod ciężki wyrok boży, wiem. . poddać się muszę;
 Jam grzeszna, chyłę głowę w pokorze i skrusze!
 Nie wiesz ojcze, jak dla mnie bolesną ta strata,
 Więcej byłam niż siostrą dla biednego brata;
 Gdy pomarli rodzice, tem ja nad sierotką
 Czuwała tak, jak matka, i byłoż mi słodko
 Widzieć, że w młodem sercu rośnie plon obfity.
 A kiedy przyodziany w sukienką lewity
 Ukłękął przed ołtarzem... dziwnaż to przemiana,
 Uczylałam w nim razem ojca i kapłana.
 Przecież się macierzyńskiej nie zrzekałam opieki;
 Gdy on karmił laknące, pocieszał kaleki;
 Gdy w pracy i modlitwie dni mu święcie płyną,
 Ja nad nim jak nad małą czuwałam dzieciną.
 Boleję dziś jak matka, cierpię jak sierota,
 Już na zawsze zerwana moja przedza złota!
 Stargaly ją te zbóje, ohydne potwory!
 Dobrze nam było razem... pomnę te wieczory:
 On siedział tu, i czytał z pochyloną głową,
 Ja szylałam, wkoło cisza... z ust nie zbieży słowo,
 Co mówić, kiedy dusza do duszy pogwarza?
 Myśl jedna... wola jedna... czasami się zdarza,
 Razem, jednemi słowy przemówim oboje.

Och! serce starszej siostry, serce panny starzej,
 To niby skarbiec skąpeca, uczuć w nim bez miary
 Wszystkieśmy chwile nasze przeżyli pospołu
 A dziś, do grobowego wtrącono go dołu!
 Bracie mój! bądź spokojny, żadna moc na świecie
 Nie rozdzieli serc naszych. Ból, co pierś mi gniecie,
 Wieczny; czas go nie skruszy, ludzie nie ukoją,
 Nie chcę, nie chcę pociechy! umrzeć śmiercią twoją,
 To dla mnie cała przeszłość, tej pragnę jedynie,
 Niech dni moich ostatak łzami się rozplynie,
 A gdy u życia kresu pęknie pierś zboląla,
 Niechże z ostatniem łkaniem duch wybieży z ciała!

PROBOSZCZ. Płacz! drogie mi łzy twoje, o duszo rozbita!
 Niech ożywcza ich rosa przesiąknie do syta
 Głuchy stęp, który ścigasz myślą rozżalona,
 Ta rosa go w oazę przemieni zieloną!
 Mów o twoim umarłym, pomnij w twój żalobie,
 Że on na ciebie patrzy, że czuwa przy tobie,
 Niechże rozpacz szalona nie zgasi twój wiary,
 Słuchaj... mówię, jak ojciec, jak przyjaciel stary:
 Kobieto! spojrzysz w górę!... dusza twego brata
 Jest tu, pomiędzy nami, w powietrzu przelata,
 Czuję ją, widzę, słyszę, coś szeptem jak we śnie:
 Biedna ty, siostrzo moja! odbiegłem cię wcześniej,
 Dzięki ci za twą miłość, za łez strumień żywy;
 Lecz porzuć te bluźnierstwa, ten szal rozpaczliwy!
 Płacz, ale tą łzą świętą, co w odwagę zbroi,
 Ja żyć będę w twym sercu i w pamięci twojej:
 Nie upadaj na duchu, czytaj księgę świętą,
 Zdążaj śmiało do celu drogą w niej wytkniętą,
 Czytaj w głos, czytaj pilnie, przyłóż serce do niej,
 Może tam głosu mego echo ci zadzwoni,
 Pod moim krucyfiksem, siostrzo ukochana,
 Co dzień z głęboką skruczą padnij na kolana,
 Módl się, ja będę z tobą, złączym modły nasze,
 A kiedy zakolączesz w ubogie poddasze,
 Gdy biedni dar odpłacą serdecznemi dziękami,
 W ich uścisku odczujesz uścisk mojej ręki.
 Chrześcijanko! idź naprzód wytkniętą ci drogą!
 Ciężki twój krzyż, lecz barki twe dźwignąć go mogą,
 Idź walczyć! ja ci będę przewodniczył wiernie,
 Nie bacz na to, choć stopy pokrwawisz o ciernie,

Nie pytaj, czy twa droga bliska czy daleka,
 Dojdiesz tam, gdzie brat doszedł, gdzie na ciebie czeka!"
 PANNA RÓŻA. Gdybyż to było prawdą, ach! ojczu, kapłanie,
 Gdybym miała tę pewność, że mym żalem ranię
 Duszę biednego brata!... ja woli przyłożę...
 (z głęboką boleścią).

Czemuż ja nie umarłam!...

(Słychać na nowo strzały).

PROBOSZCZ (na stronie). Znów strzały... O Boże!

Kiedyż się to zakończy?

PANNA RÓŻA (gwałtownie poruszona). Co słyszę? bój nowy,
 Krew-że jeszcze pocieka? grzmi ogień rotowy!
 Wiem... Komunę zgniółł Wersal! ten huk mnie nie straszy
 (z uniesieniem).

Tém lepiej, to mściciele łez i krzywdy naszęj!

PROBOSZCZ (pomieszany).

Rzecz straszna! wśród przestępnych kto ręczy mi za to...

PANNA RÓŻA. Co? litujesz się, ojczu nad gadzin ztratą?
 Niech ginie, niech przepada ten pomiot złowrogil
 Wytępić go, w proch zetrzeć, wyciąć co do nogil

PROBOSZCZ. Te słowa z ust kobiety!

PANNA RÓŻA.

Halastra zbójecka!

Te wściekle Belwileczyki, począwszy od dziecka
 Do starca, do kobiety, to bydło, nie ludzie...
 Mój Janek, dusza święta, żył w słodkiej uludzie,
 Że dobrocią ich umysł ulagodzi hardy.

Karmił ich, przyodziewał, a te komunardy
 Pięknie mu odpłaciły!... On ich duszą całą
 Miłował i przygarniał,—serce mu topniało,
 Gdy posłyszał o nędzy!... nie spoczął ni chwili,
 Biegł z datkiem... Ci nędznicy jak psa go zabili!
 Ostatni kęsek chleba dzielił z tą hołotą,
 Ileż to czynił dla nich!... mój ojczu, patrz oto...

(Otwiera szafę—dobywa sutannę i kapeluszą okrągły).

Sutanna polatana, kapeluszą zszarżany,
 Rzekłam raz: „Wstyd mi czynią, bracie, twe łachmany!
 Czas się tobie przyodziewać... Mam trochę pieniędzy.”
 On na to: „Duwałowie umierają z nędzy,
 Biedaki, do żywienia jest ich aż pięćcioro!
 Byłem tam, dzieci matkę otoczyli chorą,
 Wolają na gwałt chleba, wczoraj im zajęto
 Wszystkie sprzęty, mamże się stroić jak na święto,

Kiedy oni pólnadzy? Zszyj sutannę, Rózo,
Wyprostuj mi kapelusz, toć jeszcze posłużą!"

(Rzuca kapelusz i sutannę na krzesło),

W cztery dni potem Janka do lochu wtrącono!
Któryż z tych nikczemników wystąpił z obroną?
Kto wspomniał, ile swemu dobroczyńcy dłużny?
Ten lud, co od lat kilku żył z jego jałmużny,
Gdy krew strugą wyciekła z piersi męczennika,
Przyklaskiwał mordercom! Ach! z oczu mi znika
Obraz twojemi, ojcze, nakreślony usty,
Przeszłość moja, to otchłań!... step głuchy i pusty,
W martwą pierś żadna siła nadziei nie wszczepił
Niech sieką, niech mordują, tem lepij! tem lepij!

PROBOSZCZ. Znieważasz mnie, drzę cały od grozy i trwogi!
Powinienbym na zawsze opuścić te progi,
Lecz do tój, co bluźniercze wbrew rzuca mi słowo,
Winienem raz ostatni przemówić surowo:
Bóg-Człowiek, co za grzesznych oddał w okup życie,
Chrystus ukrzyżowany na Golgoty szczycie,
Ten, którego ofiarę twój brat świątobliwy
Spełniał u stóp ołtarza, Bóg dobry, Bóg żywy,
On przebacza grzesznikom, i brat twój przed zgonem
Patrzył na swych morderców z sercem rozżalonym,
A gdy czuł, że ostatnia chwila już się zbliża,
Podniósł rękę, nad niemi nakreślił znak krzyża,
A ty, nie syta pomsty, krwi i mordów głodna,
Przyklaskujesz mścicielom! Wiedz, siostró niegodna,
Gdyby twój brat, ksiądz Morel, chrześcianin prawy,
Sądzić miał dziś ofiary owej pomsty krwawej,
Przebaczyłby zbrodniarzom... Żegnaj cię, isć muszę...

PANNA RÓŻA. Ojcze mój, straszny zamęt rzuciłeś mi w duszę!
Brat mój, to święty kapłan! — jam prostą kobietą.
Prawdaż to, ów męczennik za boską podniętą,
Błogosławił swym katom! Serce mi przeszywa
To słowo... mów... co czynić?

PROBOSZCZ *(na progu)*. Módl się, nieszczęśliwa!
(Odchodzi).

SCENA PIĄTA.

PANNA RÓŻA *(sama)*. Modlić się!... Po tylekroć zaczynałam w nocy
Mój pacierz... nadaremno! w piersi mój sierociej
Wrzała zemsta... Nienawiść wpoila w nią kleszcze.
Modlić się... czy podolałam?... spróbuję raz jeszcze...
(Bierze różaniec i zaczyna „Pater Noster”).
Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się Imię
Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako
w niebie tak i na ziemi...
Te słowa już mi serce do głębi wzburzyły,
Rzekłam: „bądź wola Twoja!” Boże dodaj siły!
(mówi dalej)
Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, i odpuść
nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...
Przebaczyć! Komu? — pytam, tój tłuszczy krwi cheiwj!
Ja tych słów nie wypowiem! Boże sprawiedliwy!
Maryo! Anieli święci — ach! bądźcie mi strażą;
Nie mogę... usta moje kłamstwem się nie zmażą!
(Kładzie na stole różaniec, milczy chwilę).
„Twój brat byłby przebaczył”... — rzekł ten kapłan stary:
Ja przebaczyć nie mogę. Ach! ból mój bez miary!
Modlitwa... wczoraj jeszcze byłam jej złałkionona...
Dziś odbiega ode mnie, na ustach mi kona!

(W tój chwili, człowiek z gołą głową, włosami w bezładzie, w mundurze ze srebrnym galonem, wbiega żywo przez bramę do ogródka, bada wzrokiem ulicę na prawo, potem zapewniony, że go nikt nie dostrzegł, przebiega ogródek i zatrzymuje się w progu).

SCENA SZÓSTA.

PANNA RÓŻA. — JAKÓB LEROUX.

JAKÓB LEROUX *(głosem stłumionym)*. Ratunku!
PANNA RÓŻA *(przerażona)*. Kto tam?
JAKÓB LEROUX. Pani, miej litość nademną!
Stracili moje ślady... uciekłem tajemno,
Nikt nie wie, gdzie się podział... pędzony postrachem,
Przypadłem tu...
PANNA RÓŻA *(na stronie)*. Komunard tu!... pod moim dachem!

JAKOB LEROUX. Uciekam, jak zwierzę z kniei oblawa wyparty.
Te straszne Wersalczyki, ha! z nimi nie żarty,
Niechno tylko w swe twarde pochwyca mnie szpony,
Kulą w łeb... ot i koniec!... Pędzę jak szalony,
Widzę ogród otwarty, mknę jednym podskokiem...
Ratuj! błagam cię, pani! Podejrzliwym wzrokiem
Patrzysz na komunarda... nie bądź mi tak srogą,
Miej litość! jam nie palił — nie zabił nikogo,
Życie moje w twych rękach, tyś nie głazem przecie,
Masz męża, ojca, syna, lub brata na świecie,
W imię ich, dobra pani, kark przed tobą chylę,
Ulituj się nad zbiegiem... ukryj mnie na chwilę.

PANNA RÓŻA. Pytałeś, czy mam brata?... Słuchaj mnie, potworze:
Miałam go, ale nie mam; — zapytasz mnie może,
Kto był ten brat? On dobrze wam, nędznikom, znany,
Tym bratem był ksiądz Morel, przez was rozstrzelany!

JAKÓB LEROUX. Zginąłem... Uciekajmy...

PANNA RÓŻA (*zastępując mu drogę*). Zginąłeś, bandyto!
Już mi stąd nie uciecesz drożyną ukrytą,
Pomknę trop w trop za tobą, krzyknę co temu starczy:
Bierzcie go, to morderca! pod cieniem mój tarczy
Szukałeś bezpieczeństwa, przeklęty nędzniku!

JAKÓB LEROUX. I mnie też oburzały te gwałty bez liku,
Chciałem lud ten powstrzymać w szalonym bezładzie,
Ja wczoraj dowodziłem... tam... na barykadzie...
Litości!

PANNA RÓŻA. Choćbyś łzami błagał mnie krwawemi,
Naprózno! podłym gadom nie żyć tu na ziemi,
Mam cię w ręku, nie puszcę, stawię cię przed władzą,
Sąd wojenny nie zwłóczy, wnet wyrok wydadzą,
I krew z żył twych gorącą strugą się potoczy,
Nie; ja litości nie mam... na co zwrócić oczy,
Pobudza mnie do zemsty...
(*bierze w rękę sutannę*).

I ten łachman oto,
Nosił go brat mój biedny, a rozsiewał złoto,
Takim, jak ty, nędznikom. Błagasz mnie daremno,
Chyba, że ze mnie szydzisz...

JAKÓB LEROUX (*podnosząc głowę*). Dość już, czyńże ze mną,
Co zechcesz, staw przed sądem, mnie śmierć nie ustraszy,
Mój zgon niech nowy tryumf doda sprawie waszój;

Ja jestem Jakób Leroux, jeden z naczelników
Komuny...

PANNA RÓŻA. Ty!...

JAKÓB LEROUX. Nie licz mnie do zgrai nędzników,
Co rozdziła pożarne nad Paryżem łuny,
Co lała krew bezbronych. Działami komuny
Odpierałem wersalskie bagnety i działa.
Posłuchaj mnie, kobieto... twe serce jak skała,
Czci w kościele Chrystusa, ale nie przebaczy,
Jak On, co błogosławił z krzyża swych siepaczy.
Obłudnico!

PANNA RÓŻA (*na stronie*). Te słowa sumienie mi burzą,
Podobne do mnie wyrzekł kapłan...

SCENA SIÓDMA.

PANNA RÓŻA. — JAKÓB LEROUX. — ZELIA.

ZELIA (*wpadając żywo drzwiami w głębi*). Panno Różo!
Oddział goni za zbiegiem, on zaraz tu stanie,
Przetrzęśnie tu dom.
(*Spostrzega Jakóba Leroux — woła przerażona*)
Ha!

PANNA RÓŻA. Odejdź!

(*Zelia wychodzi drzwiami na lewo*).

PANNA RÓŻA (*na stronie*). Dobrześ rzekł, kapłanie,
Brat mój byłby przebaczył... czuję w duszy głębi...

JAKÓB LEROUX. Trzeba umrzeć! wnet wpadnę w szpony tych jastrzębi...
Żegnaj mi, żono droga, dzieci ukochane!
(*Panna Róża podejmuje z krzesła sutannę i kapelusz, podaje Jakóbowi
Leroux — drugą ręką wskazuje drzwi na prawo*).

JAKÓB LEROUX (*zdziwiony*). Ja?

PANNA RÓŻA (*nakazująco*). Pośpiesz!...
(*Jakób Leroux bierze z rąk jej odzież i wychodzi*).

SCENA ÓSMA.

PANNA RÓŻA (*sama*). O mój bracie, chcesz takięj ofiary...
Poddam się z sercem pełnem miłości i wiary,
Ten człowiek, to bezbożnik, morderca twój może,
On twą przezczystą szatę oblecze... O Boże!

SCENA DZIEWIĄTA.

PANNA RÓŻA. — OFICER. — ŻOŁNIERZE.

*(Oficer wchodzi śpiesznie drzwiami w głębi, za nim kilku żołnierzy).*OFICER *(młody, gwałtownie poruszony, zatrzymując się w progu).*

Przebacz, pani, komunard ukrył się w tej stronie,

Poznały moje straże po srebrnym galonie

Jednego z naczelników. Muszę dostać zbiega.

Biada temu, kto dzisiaj prawu nie ulega!

Kryć takiego przestępcę byłby czyn zuchwały,

Mów, pani, bo inaczej przetrząsnę dom cały.

PANNA RÓŻA. Nie ukrywam nikogo, rozpatrz się pan wszędzie...

(Oficer ogląda się wokoło: widzi krucyfiks, statuetkę Najświętszej Panny, obrazy świętych; cofa się pomieszany).

Nikczemnych komunardów miałabym na względzie?

Nie bratają się z niemi ludzie mego stanu!

*(W tej chwili Jakób Leroux, w sutannie, w kapeluszu na głowie ukazuje się we drzwiach na prawo, spostrzega żołnierzy, staje jak skamieniały).*PANNA RÓŻA *(ukazuje go oficerowi).*

Mieszkam sama z mym bratem, przedstawiam go panu.

OFICER *(podnosząc kepi na widok sutanny).*

Przebaczcież mi łaskawie...

(Do żołnierzy).

Dalej, wiara!

(Wychodzi, żołnierze za nim).

SCENA DZIESIĄTA.

PANNA RÓŻA. — JAKÓB LEROUX.

JAKÓB LEROUX *(wgciągając ręce do panny Róży, głosem cichym i przerywanym).*

Pani!

Moja wdzięczność do grobu nie wygaśnie dla niej!

PANNA RÓŻA. Milcz... więcej ani słowa! ta suknia kapłana

Zapewni bezpieczeństwo... dalej... Żegnam pana.

(Na znak rozkazujący panny Róży, Jakób Leroux wychodzi pomału przez drzwi w głębi sceny).

SCENA JEDENASTA.

PANNA RÓŻA *(sama, bierze ze stołu różaniec).*

Z błogosławieństwem twojem, bracie, jam gotowa

Mój modlitwy ostatnie dopowiedzieć słowa.

(kłęka i kończy modlitwę Pańską).

I Odsuś nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

(ZASŁONA SPADA).

ODWIEDZINY

W PRACOWNI MALARZA.

OSOBY:

RAJMUND, malarz.

HRABINA.

Rzecz dzieje się w Paryżu.

Teatr przedstawia pracownię malarza. Sprzęty skromne, gdzie niegdzie jednak przedmioty zbyt liczne świadczą, że młody artysta zaczyna używać powodzenia, na ścianach pozawieszane szkice i obrazy, gipsy na konsolkach, półki rzeźbione pełne książek i albumów. Na kominie kwiaty w wazonach, po lewej stronie stalugi, na nich rozpoczęty krajobraz, po prawej ręce kanapa. Drzwi w głębi, drugie z boku przysłonięte firanką. Pracownia oświetlona z góry.

SCENA PIERWSZA.

RAJMUND. *(sam siedzi na kanapie; nagle spogląda na zegar i rzuca cygaro).*

Piąta, ona nie przyjdzie... luję się daremnie.

Chciała pani hrabina zażartować ze mnie.

(słucha).

Znowu turkot... czy powóz u drzwi się zatrzyma?

Przejechał i ten jeszcze... jak niema tak niema.

Wypalę cygaretko...

(Kręci papieros i chodzi wielkim krokiem po pracowni).

Czekać nudna sprawa...

Onegdaj rzekła do mnie: „jam bardzo ciekawa

Poznać pańską pracownię: zobaczyćby warto

Chwalone krajobrazy: w sobotę przed czwartą

Przyjdę, jeśli mi jaka nie stanie zaporą,

Czas się wlecze... wiek cały przeżyłem od wczora.

Nie przyjdzie już...

(po chwili).

W tym życiu, jak wszystko się mieni!

Pomnę wycieczkę na wieś, rok temu, w jesieni,

Z drużyną towarzyszków... wesołe to czasy:

Pijem wino, co tylko wyciśnięte z prasy,

Jakby stado jeleni biegamy po lesie,

Z fajką, w błękitnych bluzach, wiatr daleko niesie

Nasze pieśni, w chór złane z głośniami okrzyki.

Ktoby wtedy powiedział, że ten Sylwan dziki,
Ten wesoły towarzysz, ta palka szalona,
Z kozią bródką i z długim włosom Absalona,
Po wieńcach, na wystawie zebranych majowój,
Tak się niespodziewanie przerodzi w kształt nowy!
Że ustrojon w frak czarny, zanim rok przeminie,
Podam ramię do walca prześlicznej hrabinie,
Że zachwycony czarem jej cudnej urody,
Zakochem się po uszy, jak studencik młody.
Ktoby to był powiedział, przecież tak się stało!
Tak, ja kocham hrabinę, kocham duszą całą.
Miło mi, gdy wieczorem uperfumowany
W perłowych rękawiczkach, w progi ukochanej
Wchodzę... słodko powitan miłutkim uśmiechem!
Czasem, coś mi poszeptnie, że miłość ta grzechem.
Znam męża, to pan wielki: gdy przystąpię do niej,
On z zapalem wysławia zalety swych koni.
Jakże ona mój talent podnosi wysoko!
Jakim dziwnym urokiem połyska jej oko,
Gdy rozmawia o sztuce, o źródle bogatém
Mych natchnień artystycznych. Poprzestać mi na tém!
Precz z mojej wyobraźni ta mrzonka dziecinna,
Nie, ona przyjsć nie może, ona nie powinna!
Próżne chęci niech serce głęboko pogrzebie.

(patrzy w obraz na stalugach).

Ciężko jakoś przeplęwa ta chmurka po niebie...

Do pracy...

*(Bierze w jedną rękę paletę i kijek, w drugą pędzel, zbliża się do stalug, po-
tém przysłuchuje się pilnie).*

Ha! co słyszę... po jedwabiu chrzęście

Poznałem ją... to ona... O jakie to szczęście!

(Idzie ku drzwiom w głębi — któremi wchodzi hrabina).

SCENA DRUGA.

RAJMUND. — HRABINA.

HRABINA. To ja...

RAJMUND. Ty żeś tu, pani?

HRABINA.

Cicho mów pan tylko.

O mało nie uciekłam ode drzwi przed chwilą,

Mnież saméj na ulicę wybiedz pokryjomu!
Szczęściem, stała karetka niedaleko domu;
Wpadłam do niej, chcę wołać... tchu złapać nie mogę,
Niegodziwy ten stangret odgadł moję trwoję!
Uśmiechnął się, „galopem, rzecz, co koń skoczy”!

RAJMUND. *(na stronie).*

Nikczemnik!

HRABINA.

Zapuşciłam welonik na oczy,
Śmiałam się w głębi duszy, gdy na trotuarze
O trzy kroki znajome napotkałam twarz:
Jak to było zabawnie: to dla mnie rzecz nowa!

RAJMUND. Już się nie spodziewałem.

HRABINA.

Czyż nie dałam słowa?
Dobrych przyjaciół moich nigdy nie zawiodę.

RAJMUND. Jam przyjaciół!

HRABINA.

Pan wątpisz?

RAJMUND.

Moje serce młode
Nie śmie ufać zbyt; w prostocie dziecięcej
Rzekłem sobie: to kaprys chwilowy, nie więcej!
Przebac, jeśli stęskniony przemyślałem smutno...

(ukazując stalugi).

Jakiż to ledwie farbą powleczone płótno
Może mieć urok dla niej? czyżby ona chciała
Dla mnie tu przyjsć jedynie? Precz ta myśl zuchwała.
Przyrzekła mi, to prawda, ale chęci nasze
Z gałązki na gałązkę, jak bezmyślne ptaszę,
Przelatują częstokroć i nikną bez wieści!
Jak uroczą nadzieją, kiedy serce pieści!
Lecz ufać jej nie śmiałem...

HRABINA.

Żle, nieufność rani
Serce dobrych przyjaciół.

RAJMUND.

Ach! przebac mi, pani!

HRABINA.

Przebaczam i chcę spocząć...

RAJMUND.

(przysuwając fotel).

Daruj, zapomniałem.

HRABINA.

(siadając).

Daruję!

RAJMUND.

Jam dzisiaj szczęścia uniesiony szalem!

HRABINA.

(ironicznie).

To się zowie nieśmiałość... słowa pełne zdrady.

RAJMUND.

Tak, mam tyle wad różnych?

HRABINA.

I jakież to wady?

RAJMUND. Chcesz wiedzieć? więc ciekawość główną moją winą,
Pozwól mi, niech zapytam, po coś tu, hrabino,
Przyszła do méj pracowni?

HRABINA. Szczęgólne pytanie!

RAJMUND. Niedorzeczne, mów lepiej... tak?

HRABINA. Bynajmniej panie!

RKJMUND. Powiesz?

HRABINA. Niebezpieczeństwo ma tyle uroku,

RAJMUND. Więc po to?

HRABINA. Gniewu iskra polyska w twém oku!
Ale żarty na stronę, mówmy szczerze lepiej:
O zwycięstwie nademną niech cię myśl nie ślepi,
Ani ty, ni kto inny, swych czarodziejstw siłą,
Nie sprawił, by to biedne serce uderzyło.
Mamże ja tylko serce, wątpię o tém prawie,
Czasem zadrży słabiutko... ja słucham ciekawie
I mówię zadumana: co potém, mój Boże!
Dziwisz się, przyjacielu, potępisz mnie może,
Czyżto pojmie twa dusza uczucia spragniona?
Jam ten kwiat, co w cieplarni chwije się i kona,
Więdnije bez powietrza, schnie bez rcsy świeżéj
I zieloną łodygą w górę nie wybieży!
W świecie, gdzie ja zrodzona, w tym szczęśliwym świecie,
Który mi niesie hołdy i wieńce mi plecie,
Ja wątuję samotna z półumarlém sercem.
Ten buduar kosztownym wysłany kobiercem,
Ta łoża aksamitna, wybita czerwono,
Ta karetta hrabiowską ozdobna koroną,
Te łowy, gdy na koniu sunę ptaka lotem,
Owe wspaniałe bale, gdy błyszcząca złotem
Króluję wpośród tłumów, kiedy rozpląsana
Pomykam jak sylfida w objęciu młodziana,
Kiedy róże na lieu zakwitną mi złudne,
O! jakże mi to wszystko nieznośne, jak nudne!
Mnież te nędzne mamidla do życia podnieta?
Głos tajemny mi szepcze: ja byłam kobietą,
Zmieniliście mnie w lalkę, uczyli od młodu,
Uśmiechać się i kłamać, gdy serce drży z chłodu,
Przywoływać do oka żal sztuczny, i skrycie
Szydzić z tych, co mi wierzą... ha! takie to życie
Świat mi dał, to nie życie, to sen gorączkowy!
Dośé tego! zbyt się nudzę, ja chcę z czary nowéj

Zakosztować napojul ja ocknąć się muszę!
Oceniam, przyjacielu, twoję prostą duszę;
Twoje serce młodzieńcze tchnie szczerem zapalem,
Tyś mnie nigdy nie nudził płaskim madrygałem,
Nie wzdychał mi nad głową, jak czyniło wielu.
Więc gdy bardzo się znudzę, pozwól, przyjacielu,
Siąść tu, gdyś u twych stalug, z ręką na palecie.
Niech w tym przybytku sztuki przepomnę o świecie.
Z tobą rozmowa idzie swobodniéj i prościéj,
Ty mi nigdy nie będziesz prawil o miłości!

RAJMUND. Pozwól pani być szczerem!

HRABINA. Tak, mów pan otwarcie!

RAJMUND. Prawdaż to?

HRABINA. Szczera prawda!

RAJMUND. Więc szukasz w tym żarcie
Roztargnienia wśród nudy, — i dlatego jedno
Przychodzić chcesz i dręczyć moję duszę biedną!

HRABINA. Dręczyć?

RAJMUND. Chcesz mnie na próby wciąż wystawiać nowe,
Narażać na codzienne próby Tantalowe,
I chcesz, bym odpowiedział: „dziękuję ci, pani”.
Lecz ja nie martwym głazem, spojrzenie twe rani
Moję pierś, czy rozumiesz? lecz ja kocham ciebie!

HRABINA. Żegnajcie, sny zrodzone w moich marzeń niebie!
Przyjaźń, to rajskie ptaszcę, kwiat obcy dla ludzi!
Jakże umysł oburza, jakąż litośé budzi
Owa w sercu mężczyzny pycha niesłychana.
Okaż tylko współczucie, — pada na kolana,
Przysięga że nas kocha, że chce umrzeć raczej
Niżli żyć w takich mękach, wśród szału rozpaczyl
Na te kłamstwa niegodne mój umysł się zżyma,
Na przyjaźń u mężczyzny w sercu miejsca niéma!
Podajem szczerze rękę, — on myśli o zdradzie,
Na rękę judaszowski pocałunek kładziel!...

RAJMUND. Jeśli kocha i cierpi, starczyż moc człowieka
By ukryć w sercu miłość? cóż czynić?

HRABINA. Niech czeka!

RAJMUND. To zbyt długo!

HRABINA. Jak czasem...

RAJMUND. Uroczé twe słowo!
Czyń co chcesz, ja przystaję z pochyloną głową.
Lecz ciężko...

- HRABINA. Zgoda, w sercu więc umowę spiszę,
Będiesz mi przyjacielem, wiernym towarzyszem.
W codziennych pogadankach, pod przyjaźni strażą,
Nigdy się twoje usta wspomnieć nie poważą
O uroczym serc związku, o szczęściu we dwoje.
Gdybyś miał się zapomnieć, spojrzeniem ukoję
Twe niewczesne zapędy, i na czystsza nutę
Nastroję twą piosenkę...
- RAJMUND. O dziecko zepsute,
Prowadź mnie, jam posłuszny pod twoim rozkazem,
I od czegoż zaczniemy?
- HRABINA. Obejdźmy więc razem
Tę pracownię malarską...
- RAJMUND. Chcesz pani, jam gotów!
Lecz niewiele ciekawych znajdziesz tu przedmiotów,
Chyba ten Donatello, patrz... zajmie cię może,
Lub ta chińska pagoda...
- HRABINA. *(ukazując gabinet na pół zasłonięty firanką).*
Tam ktoś jest... mój Boże!
- RAJMUND. To manekin... nie więcéj... patrz!
- HRABINA. Jakie straszdydio!
Powiedz mi, a to w ramach dziwne malowidło
Co znaczy?
- RAJMUND. Są to szkice wykonane w Rzymie,
Według mistrzów...
- HRABINA. Co znaczą te fajki olbrzymie?
- RAJMUND. Przebac mi!
- HRABINA. Dla jednego, doprawdy za wiele.
- RAJMUND. Czasem się do pracowni zejda przyjaciele.
Pojmujesz... samotnemu ciężko żyć, niestety!
- HRABINA. Nie trać pan czasu próżno...—dalej do palety!
Sama obejrzę pilnie obraz Donatella.
Co widzę? jakiś adres... ha... panna Adela,
Montmartre! pan mi przebaczy, że patrzę ciekawie.
- RAJMUND. To model do obrazu, który na wystawie
Zjednał mi złoty medal.
- HRABINA. Nie moja w tém wina,
Wypadało ten adres wziąć z po nad komina.
Schować do pularesu.
- RAJMUND. Wierz mi, mówię szczerze...
- HRABINA. To model.
- HRABINA. Mniejsza o to, ja wierzę, ja wierzę!..

- RAJMUND. Szczera prawda słów moich ciebież nie przekona?
Tém słowom i zazdrośna wierzyłaby żona.
- HRABINA. Rzecz śmieszna, do zazdrości mam-że jakie prawo?
- RAJMUND. A jednak...
- HRABINA. Dosyc o tém...
- RAJMUND. Poglądam z obawą
Na tę chmurkę na czole...
- HRABINA. Do stalug, artysto!
(przyglądając się obrazowi na stalugach).
Co to jest?
- RAJMUND. Marynarka...
- HRABINA. Tak, lawę piaszczystą
Spostrzegam tu i morze... przed laty ja trzema
Byłam w Danville, o! dla mnie morze wdzięku niema.
Noszono wtedy laskę i przystrojon pióry
Okragły kapelusik z czasów Pompadury,
Okropnie się znudziłam, brzydka była pora.
Cały wieczór deszcz padał, szaruga i błoto.
Świat bankierski panował, gdzie rzuć okiem... złoto!
Łańcuszki u zegarków błyskały wspaniale.
(patrzy na obrus).
- Podobna barwa nieba, te wzburzone fale,
Te skały, wszystko było tan jak w tym obrarku.
- RAJMUND. Ilem tu słodkich godzin przedumał na piasku!
Nie znane tu kasyna, wyścigi ni stroje,
Czém dla mnie te uludy? dość gdy pierś napoję
Ożyweżem teńnieniem morza, kiedy mi doleci
Do ucha wykrzyk majtków, pieśń rybackich dzieci!
Trzy miesiące mi zbiegło niby sen uroczy;
Codzien o wschodzie słońca, gdym rozemknał oczy,
Przybiegam tu i wzrokiem ogarniam w swobodzie
Niezmierny widnokrag i rybackie łodzie
Ładuję, aby ulżyć biedakom roboty,
I patrzę, jak cudownie odbłask słońca złoty
Maluje w letni ranek te fale kipiące.
Poglądam cheiwém okiem na żagli tysiące,
Uroczo kołysane chłodnemi powiewy,
Co po sinéj przestrzeni bielą się jak mewy.
Nieraz, pomnę, sam jeden przybywam tu nocą,
Kiedy gwiazdy na niebie i w morzu migocą,

Gdy w skał twarde krawędzie bije z pluskiem woda,
Wysłuchuję się w szum fali, i moja pierś młoda
Podwójnym bije tętnem: rzecz cudowna morze!
Pięknie się pan wyrażasz: przyroda mieć może
Wielki powab dla pana!

HRABINA.

RAJMUND.

Gdybyś pani chciała
Poznać tę czarodziejkę! moja dusza cała
Upojona rozkoszą w jej uroku tonie
I ona mi śle wzajem barwy, dźwięki, wonie
Przyroda, matka dobra, wierną działwę pieści,
Zgania chmury z jej czoła, z oka łzy boleści;
Kocha tych, którzy w zamian oddali jej życie,
Bo kwiat lubi, gdy w pełnym widzimy go rozkwicie;
Bo cudniej śpiewa słowik w swej leśnej zaciszy,
Gdy wie, że dźwięki pieśni ktoś zdala posłyszysz.
Bo cudniej gwarzy strumień, gdy wie, że pogwaru
Słucha przyjazne ucho...

HRABINA.

RAJMUND.

Prawda!

Ile czaru

Darzą ci nasze lasy ciemne i milczące,
Murawy rozpostarte kobiercem na łące,
Przetykane kwiatami, wyperlone rosą,
Dęby, co w górę czoła rosochate niosą;
Gdziekolwiek rzucisz okiem, tyleż cudów tyle!
Patrz na złociste muszki, na barwne motyle,
Na chmury, co się kłębią po modrym błękitcie!
Opodal od przyrody ubiegło mi życie;
Nie dziw się, że jej czarów tak jak ty nie cenię,
Miesiąc jeden, pamiętam, przebyłam w Badenie,
Miesiąc inny u morza, i miesiąc miodowy
U podnóży Alpejskich, wybiegły mi z głowy
Te uroczne wspomnienia łąk, pól i błękitu.
Ach! ta nieznośna zorza! miałam jej do sytu,
Kiedy po całej nocy w wagonie spędzonej,
Oślepił mi źrenice brzydki pas czerwony,
Rozpostarty na niebie.

RAJMUND.

HRABINA.

Krzywdzisz pani zorzę,
Ona tak dziwnie piękna!

Doprawdy? ha! może!

Kiedyż jej cudny urok serce mi poruszy!
Zimny świat wcześniej skrzywił polot mojej duszy,
Wypaczył wyobraźnię, ostudził mi serce;
Nad murawę ja miękkie przekładam kobierce,

Nad zorza połysk gazu milęj wzrok mój wabi,
Nad szum dębów i jodeł wolę chrzęst jedwabi.
Czyż dusza, uwikłana w te ułudne sieci,
Oswobodzić się zdoła? czyż w górę uleci
Z po za kraty więziennęj w przestrzenie bez końca,
Do powietrza, do rosy, do światła, do słońca!
Gdybyś ty była wolną!

RAJMUND.

HRABINA.

RAJMUND.

To co?

Wiosna blizka,

Jakże cudnie marcowe już słońce połyska!

HRABINA.

RAJMUND.

I cóż?

Są pod Paryżem łąki, gaje świeże,
Jeśli nam pierś zamiera w miejskiej atmosferze,
Możemy ją napoić ożywczą ziół wonią,
Tam zasumią nam drzewa, tam kłosa zadzwonią:
Tam...

HRABINA.

RAJMUND.

Proszę nie zapomnieć zawartęj umowy!

Powiedz, w czym przekroczyłem twój zakaz surowy?

Mówił-żem o miłości? pragniesz pani przecie
Poznać cuda przyrody nieznane w twym świecie,
Wskazuję tylko sposób... twa chęć mnie ośmiela...

HRABINA.

RAJMUND.

HRABINA.

A czy pojedzie z nami i panna Adela?

Szydzisz ze mnie...

Bynajmniej, ale nie czas jeszcze,

Niechaj miną marcowe przymrozki i deszcze,
Niech słońce po śnie długim rozechmurzy wprzód lice...
(oglądając się). Jakto nie masz tu wcale okna na ulicę?
Ja-bym umarła z nudów w takiej dziurze ciasnej!
Czy tak lubisz samotność?

RAJMUND.

Kto chce z duszy własnej

Motać wątek, niech wrażeń zewnętrznych nie szuka.
Skupienia sił i pracy potrzebuje sztuka!

HRABINA.

RAJMUND.

HRABINA.

Wielkie słowa!

Ja sztukę pojmuję surowo!

(oglądając pedzle).

Powiesz pan, żem ja dziecko z roztrzępaną głową,
Wszystkiego musi dotknąć mój umysł ciekawy!
Ależ bo to cudowne tej sztuki objawy!
Pęczek włosów obsadzon w drewnie albo w piórze,
Wystarczy, by odtworzyć pioruny i burze,
I poranek majowy i kwiaty na łące,
Rozhukane bałwany i dziwów tysiące.
Malarstwo to rzecz piękna!

- RAJMUND. Przyroda cudniejsza;
Sztuka ją naśladowuje, lecz powab jej zmniejsza;
Ona tylko aktorka, w jej barwy się stroi,
Oto róż i bielidło na palcu mojej...
- HRABINA. Wymalować krajobraz powiedz czy to trudno?
RAJMUND. Nadzwyczaj!
- HRABINA. A więc sztuka rzeczą bardzo nudną?
RAJMUND. Inaczej ona memu przedstawia się oku.
To mój sen promienisty w żywota pomroku,
Wyśniony w głębi ducha, co go w karby sprzęga,
Zaklęta w pierś artysty ta twórcza potęga,
Skra boża, podsycona wciąż pracą wytrwałą,
Nim ideał wyśniony zdoła oblec w ciało,
I wydobyć go na jaw, z poza formy mglistej;
O! wierz mi, niema szczęścia nad szczęście artysty!
Zdumiewasz mnie!
- HRABINA. Ta rozkosz pewno ci nieznana.
RAJMUND. Jak to błogo do pracy obudzisz się z rana,
Wyższego nad to szczęścia, nie znalazł już w świecie.
Śpiewam pieśń, gdy rozrabiam farby na palcu;
Pod tknięciem pędzla kształty coraz nowe rosną,
Jak kwiaty, gdy słończko rozbudzi je wiosną,
Oddalam się, powracam, alem nierad jeszcze,
Głowa płonie mi żarem, pierś zbiegają dreszcze!
A wtém myśl błyskawicą mignie mi przed okiem.
Zawołam: *Eureka!* i jednym podskokiem
Przebiegam *paf! paf!* pędzlem na prawo i lewo,
Widnokrag się oddalił, przybliżyło drzewo!
Nie pomnę, że na dworze śnieżna zamieć pruszy,
Na obrazie mym wiosna, tam pod cieniem gruszy
Gotówbym zasiąść z fajką... ale przebacz pani,
Znudziłem się...
- HRABINA. Bynajmniej! wy ludzie wybrani
Macie wasz piękny Eden, i kwiaty w nim świeże;
O! trudniej żyć w duszącej mojej atmosferze
Z dnia na dzień, bez zajęcia!
- RAJMUND. Widzę, moje słowa
Zasmucili cię, pani...
- HRABINA. O, nie, siła nowa
Zgnuśniała w bezczynności porywa mi duszę!
Ja tak nie wytrwam dłużej... popracować muszę!
- RAJMUND. Chcesz, odkryję ci, pani, tajemnice sztuki.
HRABINA. Zapóźno! już odwykłam dawno od nauki,

- Lecz chciiej mi wskazać inną do działania drogę!
Bądź co bądź, ja w próżniactwie żyć dłużej nie mogę...
- RAJMUND. *(po chwili namysłu).*
Już wiem, godna tej myśli twoja dusza młoda,
Ale ty się obrazisz... szkoda... wielka szkoda!
- HRABINA. Powiedz!
- RAJMUND. Skoro twój rozkaz mówić mnie ośmiela,
Ta, co mieszka na Montmartre... tak, owa Adela...
- HRABINA. *(żywo).*
Co?
- RAJMUND. Chcesz-li stłumić w sercu nudę i tęsknotę,
Każ się tam zawieść jutro, weź dwie sztuki złote;
W ciemnej, wąskiej uliczce jest dworek ubogi;
W sieni znajdziesz drabinę, wstąp na nią bez trwogi,
Uchwyc poręcz z powrozu... tam, na piątym piętrze...
- HRABINA. I cóż?..
- RAJMUND. O! nie wesołe tej izdebki wnętrzel
Na jej widok twe oko zaleje się łzami:
Lecz dobrze w oczy nędzy popatrzeć czasami!
Tam mieszka ta biedaczka, a przy niej brat mały.
Jak matka czuwa nad nim, zarobek swój cały
Oddaje, by go odziać i nakarmić w głodzie,
Żyją biedne sieroty w miłości i zgodzie,
Chłopiec chodzi do szkoły, ona ślepnie z pracy,
I często kęsa chleba nie mają biedacy;
Drżą z chłodu, na kominie wygasło ognisko,
A tu kwartał nadchodzi: Wielkanoc już blisko.
Jedź do nich jutro, pani, niech cię nie przestrasza
Ulica pełna śmieci i zaduch poddasza!
Popieś cłopeca, do małej wyrzecz słodkie słowo,
Powiedz, że ich za miesiąc odwiedzisz na nowo,
I zostaw im odchodząc złoto na kominie:
Uczyn tak, a daremno dzień twój nie przeminie!
- HRABINA. *(poruszona).*
Tyś szlachetny, Bóg w tobie znać przykład mi zsyła.
Dzięki ci, a jam z ciebie niedawno szydziła!
- RAJMUND. To cała moja zemsta! Nad biedną rodziną
Będziesz czuwać jak anioł. Wszak prawda, hrabino?
- HRABINA. Widzisz, oto ich adres zdejmuję ze ściany.
RAJMUND. W naiwny jakiś sposób dramat rozwiązany!
- HRABINA. Podajmy sobie ręce, przyjacielu młody...
- RAJMUND. *(całując rękę hrabiny).*
Pozwól ją ucałować...

- HRABINA. Nie pomnisz ugody?
Twoje miejsce u stalug...
- RAJMUND. U twych kolau raczěj
- HRABINA. *(zatrzymując go)*.
Nie waż się pan!
- RAJMUND. O, przebacz!
- HRABINA. Co ta śmiałość znaczy?
(Bierze album z pólek).
Wolnoż mi go przepatrzeć?
- RAJMUND. Nie udatne szkice!
- HRABINA. *(na stronie przerzucając kartki)*.
Popeliłam błąd wielki; wstyd płoni mi lice:
Hrabia człowiek szlachetny i zacny jak mało,
On mi dał imię swoje i ufność swą całą;
W nieznanie dotąd koło moja myśl się zwraca,
Te słowa: miłosierdzie, przyroda i praca,
Słodko brzmią w duszy mojej, czas uderzyć w skrzydła!
Mój postępek niebaczny, ta próżność obrzydła
Mogła mnie łatwo zgubić i omotać w sieci;
Jego serce...
- RAJMUND. Ty marzysz...
- HRABINA. *(ukazując kartki)*.
O! prześliczne dzieci!
Jakąż te krajobrazy tęzną wiejską prostotą,
Z jak szczerą się ta młodzież zabawia ochotą!
A ta stara kumoszka w wieśniaczej odzieży
Jak żwawo przy kominie skubie kaczkę z pierzy.
Wyborna!
- RAJMUND. *(przyglądając się)*.
Ach! to moja matka ukochana!
- HRABINA. Przebacz! co słowo rzeknę, muszę zranić pana.
Niegodziwy ten język!...
- RAJMUND. Nie lękaj, się pani;
Ani mnie, ni méj matki to słowo nie zrani;
Téj pociesznej kumoszce o gniewie się nie śni,
Od rana do wieczora pracuje przy pieśni!
A jak ona mnie kocha! jaka pyszna z syna!
Pomnę, kiedyś chłopięciem brał węgiel z komina,
I wciąż kreślił na ścianach i białej podłodze,
Ona mi nie stanęła kamieniem na drodze:
Bądź-że, chłopcze, malarzem, gdy ci tak sądzono.
Rzeczce, pobłogosławi i znów za wrzeczono.

- Poszedłem; ona pieśnią odgania tęsknotę.
Gdym jěj dał rok po roku dwa medale złote,
Byłaż-to, była radość! krząta się od rana,
Sprasza gości na ucztę, mera i plebana,
Niechaj-że biorą udział w jěj szczęściu i chlubie.
(pokazując album).
Dla nich to droga matka owę kaczkę skubie!
Dla nich zamiata izbę, rozpala ognisko!
Chwali się sławnym synem. O złote matczyisko!
(całuje album).
- HRABINA. *(z uczuciem)*.
Święte węzły rodzinne! To jedno mnie może
Uniewinnić!
- RAJMUND. Co mówisz?
- HRABINA. Sądzę się... mój Boże!
Sierota od lat ośmiu, chowana za kratą,
Dzieckiem za mąż wydano dziedziczką bogatą,
Wcześniej, bez doświadczenia pchnięto w wir światowy,
W odmęt zbytów, obłądów... stąd szale... zawrót głowy!
- RAJMUND. Cóż?
- HRABINA. Słuchaj przyjacielu... cierpliwości chwila!
Jeśli tu czasem widzisz pięknego motyla,
Jak przez otwartą szybę zabłąka się latem,
I barwiste skrzydełka rozpostrze nad kwiatem,
Patrzysz na cudne barwy, na chyże podloty,
A gdy odleci motyl twój błękitno — złoty...
- RAJMUND. Cóż wtedy?
- HRABINA. My szaleni gdy wiatr w polu gonim.
- RAJMUND. A więc?
- HRABINA. Zapomnij, drogi, tak o mnie jak o nim!
(zabiera się do wyjścia).
- RAJMUND. Chcesz odejść czyżbym ciebie obraził?
- HRABINA. Nie, wcale,
Z szczerą w sercu przyjaźnią z tych miejsc się oddalę.
Wpadłam tu jakimś szalem fantastycznym parta,
Lecz dziś, w pasmie dni moich odwraca się karta:
Od ścian twojej pracowni woń ożywcza wieje,
Twój głos wytknął mi życia poważne koleje,
Wskazał, jak w powinności znaleźć szczęścia źródło,
W miłosierdziu jak daszę odrodzić wychłódła,

Odehodzę, rozbudzona siłą twój podniety!
Dzięki ci!

RAJMUND. *(na stronie).*

Mnie nawracać światowe kobiety?
(głośno).

Ja nie miałem téj myśli... Kocham cię!

HRABINA.

Daremnie
Chcesz udawać gorszego, niż jesteś; ty we mnie
Wyżej cenisz zwrot myśli nad wdzięki motyle,
Tyś mnie lepszą uczynił... jam winna ci tyle!
Dzięki ci, przyjacielu!

(chce odejść).

RAJMUND.

Jeszcze chwilę tylko...

HRABINA. Chcesz-że zacne twe dzieło zburzyć jedną chwilką?

RAJMUND. Słodkiem słowem zbolalał chciej ukoić duszę...

HRABINA. Żegnam cię, przyjacielu, ja odejść stąd muszę!

(okazując serce).

Nową życia pobudkę tu mi echo dzwoni.

Rozłączmy się z uśmiechem i uściskiem dłoni;

RAJMUND. *(chwyta rękę Hrabiny i całuje z uczuciem).*

HRABINA. *(wysuwając rękę, odchodzi, dając znak, aby się uspokoił).*

SCENA TRZECIA.

RAJMUND. *(sam).*

(po chwili milczenia).

Naszydziłby świat ze mnie! Czém śmiech pusty świata?
Spełniłem, com powinien: to moja zapłata!

(Zasłona spada).

SKARB.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

KSIAŻĘ JAN de la Roche Morgan.

PROFESOR.

WERONIKA, bratanka profesora.

Rzecz się dzieje w Bretanii w r. 1802.

Teatr przedstawia salę sklepioną w zamku Roche Morgan, architektura XVI wieku. W głębi wielkie drzwi oplecione bluszczem i dzikiem winem: za nimi widać zielone pola. Po lewej ręce ogromny komin, ozdobiony herbami; nad nim popiersie rycerza w zbroi z czasów Henryka IV, z długą brodą, spadającą na kryzę. Poniżej popiersia napis wyryty na płycie czarnej marmurowej: „Jan XVII, książę z Roche Morgan, Marszałek Francji 1549—1610.” Po prawej ręce pierwszego planu drzwi, w głębi kredens, na półkach talerze farfurowe. W środku sali prosty sosnowy stół nakryty na trzy osoby: talerze w kwiaty, kubki cynowe, dzbanek z cydrem, wkoło drewniane stołki. Na prawo wielki fotel o złocistych, lecz wytartych poręczach, wybity ciemną skórą. W rogu sali na lewo parę pęków słomy, pług oparty o ścianę, koszyki z jajami, klatki z drobiem. Na murze zawieszono narzędzia rolnicze, strzelby i t. d. Na lewo od komina małe drzwiczki.

SCENA PIERWSZA.

PROFESOR — potem JAN.

PROFESOR (*siedzi w fotelu, trzyma rękopism*).

To akt oryginalny: według jego brzmienia
Margrabia z Roche-Morganu, Jan pierwszy z imienia,
Wódz łuczników nadwornych, dostojny pan z panów,
Wielkorządca królewski w kraju Akwitanów,
Co darł się na pielgrzymkę przez morskie odmęty,
I zmarł jako pokutnik w Palestynie świętej,
Z Izabeli z Bethunów, której cnota znana,
Miał syna jedynaka, i od tego Jana
Poszedł prostym następstwem książąt szereg długi...

(*Tymczasem Jan w wieśniaczej odzieży ze strzelbą na ramieniu, wszedł przez drzwi w głębi i zatrzymał się w progu, słuchając ostatnich słów profesora*).

JAN (*wesoło*). I oto dziś w poranku Jan dwudziesty drugi
Zbiegłszy z wyżłem i strzelbą zarośla pod lasem,
Wraca jak tryumfator z ubitym bekasem.

PROFESOR. Książę!...

JAN. Zostaw tę mitrę! co po czezym tytule,
Przy tój guni wieśniaczej, przy pustkach w szkatule!
Nosić go dłużej nie chcę, to ciężar nad siły,
Godziź się mieni księciem, przyjacielu miły,
Tego, co zagon orze w wieśniaczej sukmanie.
Czyń jak drudzy, poprostu powiedz: panie Janie!

PROFESOR. Kto? ja! to niepodobna... nigdy... strzeż mnie, Boże!
Josteś księciem i panem...

JAN. Byłem nim, być może!
Dziś do pustej kieszeni tytuł źle przypada.
Odkąd pod gilotyną spadła głowa dziada,
Odkąd wnuk tych, co władzę dzierżyli szeroką,
Z nędzą się na tułactwie spotkał oko w oko,
Musiał zniżyć na przyszłość widoki rozległe:
Wszak w Londynie mularzom podawałem cegłę...
Bieda była na próżność lekarstwem jedynem!

PROFESOR. Wiesz przecie, żeś urodzon wielkich ojców synem.

JAN. Tak, lecz ja dziś inaczej w myśli rzeczy ważę.
Wiem, że powinność idzie z przywilejem w parze,
Paść musi, kto niebacznie te ogniwa targa!
Padli więc starzy ojciec; dziś pusta ich skarga
Skonała przygłuszona straszliwą potęgą
Dział, szeroko po świecie grzmiących od Marengo!
A ja tułacz, wracam w me rodzinne strony,
Widzę włości sprzedane, mój dach rozwalony,
Z puścizny mojej całej, za progiem domowym
Znalazłem tarczę tylko z tym znakiem herbowym!
Ja też planów szerokich na przyszłość nie tworzę;
Zorać plugiem mój zagon, posiać na nim zboże,
To działań moich pole; nie żądam nic więcej,
Żartuję z pergaminów i mitry książęcej.
Na moje ciężkie trudy nie sekam dziś wcale,
Rad, jeśli moi dawni zakupią wasale
Garść owsa, co upadła pod ostrzem méj kosy,
Gdy spełniam z niemi czarę, nie pytam, co losy
Gotują mi na przyszłość!

(ukazując tarczę nad kominkiem)

Jak to godło święte
Na ścianach mego domu przetrwało nietknięte,
Przetrwa tak do ostatka w mojej piersi czystej,
Cześć rodu, drogi szczątek chudoby ojczystej,

Złe losy go nie zmożą, ni nędza nie zgniecie...
PROFESOR. Mój dzielny wychowanek, serca mego dziecię!
Pozwól, niecz cię tak jeszcze nazwę po dawnemu!

JAN (ściskając go za rękę).
Dziękuję!...

PROFESOR. Tylem ci winien! trzy miesiące temu,
Gdym powrócił z wygnania, w lachmanach i boso,
Tyś jeden tułaczowi niebieską był rosą!

JAN. Brakłoż miejsca w mym domu? żartuj, mistrzu drogi...

PROFESOR. Podjąłeś mnie z bratanką; choć sam tak ubogi,
Dzieliś z nami kęs chleba...

JAN. Nie wielka zasługa.
Kęs chleba nie tak suchy, kiedy ręka druga
Chce go z nami przełamać... lecz w jakim ty celu
Układasz mój rodowód? powiedz, przyjacielu,
Czemu drzewa padłego tak dźwigasz konary?

PROFESOR. Czemu? bo chcę otoczyć chwałą ród wasz stary!
Zbyteczna to zuchwałość!... mówić-że wypada?
Chcę skreślić tragiedyę z życia twego dziada.

JAN. Zbudziła się iekierka, stłumiona chwilowo!

PROFESOR. Wierszem napisać sztukę chcę pięcioaktową.
Mam ich już dziewiętnaście, nim dobiegnę mety,
Ileż to jeszcze rymów potrzeba, niestety!
Widzę już, jak podwoje teatr mi otwiera,
Będzie to arcydzieło w rodzaju Woltera.
Choć to straszny bezbożnik, zwierz, potwór człowieczy,
Lecz umiał pisać wiersze, nikt mi nie zaprzeczy!

JAN. A więc w rodu mego przeszłości dalekiej
Szukasz przedmiotu, ojcze?

PROFESOR. Tak, przez długie wieki
Twój ród przodował innym, rozumem i cnotą,
Wydał moc bohaterów, idzie tylko o to,
Kogo wybrać...

JAN (ukazując popiersie). Weź tego, on w boju zażartym
Trwał dzielnie, lat czterdzieści przy Henryku czwartym,
Słonił go pierśią własną, i skonał w boleści,
Gdy o gwałcie spełnionym dobiegły go wieści.

PROFESOR. Myślałem o nim naprzód, ale król nasz wielki,
Co słaby gmach Walezych mocnemi wsparł belki,
Klął w pień, rzucał pioruny i siarczyste grady,
Klasyczny przecież język wymaga oglady!
Trzeba mi go zostawić...

JAN (*z uśmiechem*). Szkoda, wielka szkoda!
(oglądając się wkoło).
 Rzecz dziwna, czemu takich dębów płonka młoda
 Umiera dzisiaj z głodu!.. stół nakryty przecie!..

SCENA DRUGA.

JAN, PROFESOR, WERONIKA.

WERONIKA (*wchodząc z wazką farfuruową*).

Ot i waza na stole...

JAN (*wesoło*).

Ha!

PROFESOR.

Witaj-że, dziecię!..

WERONIKA. Przeszłam dziś sama siebie, przyznacie panowie—
(unoszą pokrywę z wazy).

JAN. Jak pachnie ta polewka.

(Siadają wszyscy wkoło stołu i jedzą).

Smaczna co się zowie!

(Patrząc na Weronikę).

Prawdziwa czarodziejka! istne cuda czyni;
 Odkąd w domu tym rządzi miła gospodyni,
 Ściany się rozjaśniły, przyćmione żalobą,
 Nowy blask, nowe życie przyniosłaś tu z sobą.

WERONIKA. Żartuj pan! gospodarka niewiele mi znana,
 Radzę sobie jak mogę; czytałam Floryana,
 On moim przewodnikiem.

JAN.

Przebacz, nie uwierzę,

Floryan śliczne sielanki kreślił na papierze,
 Lecz gardziłby mych owiec prozaiczną trzodą,
 Bo ich na krasnej wstędze pasterki nie wiodą,
 W smakby mu nie przypadła woń mojej obory,
 Na ekliwe urojenia twój umysł nie chory.
 Ale gdzie rzucisz okiem, gdzie przyłożysz ręki,
 Kwitnie ład i dostatek. Bogu składam dzięki,
 Że promyk nad mym domem błysnął tak radośnie.

WERONIKA (*na stronie*).

Gdy w ten sposób przemawia, jak mi serce rośnie!

PROFESOR. Rad jestem, że tu z sobą przywiódł tę niebogę,
 Niech się za mnie wypłaca; ja walczyć nie mogę
 Z trudami dni powszednich, niedołączny człowiek,
 Myśl o tym nieraz nocą sen zgania mi z powiek:
 Iskierka gieniuszu przypadła mi w dziale,
 Lecz do życia zapasów jam nie zdolny wcale.

JAN. Biedny mistrzu!

PROFESOR.

A przecież godzina się zbliża,

Me księgi na świat cały wybiegną z Paryża,
 Wyniańczone w mej piersi długoletnią pracą;
 Wy je odziedziczycie, one was wzbogacą.

JAN.

Tak, lecz zanim przeciągną te nad nami burze,
 Pijmy kubkiem cynowym, jedźmy na farfurze,
 Trzeba iskrę wesela dobyć z piersi męźnej.

PROFESOR. Inne to były niegdyś obiadki u księżnej!

WERONIKA. Prawdaż to, panie Janie, że pomyslna zmiana
 Może zajść w twój przyszłości?

JAN.

A to jak?

WERONIKA.

Wszak znana

Wieść o skarbie ukrytym w twym domu.

JAN.

Dźwięk pusty!

PROFESOR.

Znałem ja te klejnoty; raz, pomnę, w zapusty

Miała je twoja matka na szyi książęcej;
 Ceniono je talarów z górą sto tysięcy.

JAN.

Tém je pewnie skradziono! mogę ręczyć słowem.

Miały one legendę w mém gnieździe rodowem.
 Wartość ich była wielka i blask téż wspaniały,
 Olsnione ich widokiem serca panien drgały,

Pomnę, przyrosła do nich jakaś tajemnica:

Kiedy syn pełnoletni brał z ręki rodzica

Te bezcenne klejnoty, ów dziedzie ich nowy,

Przysięgał milczeć wiernie do deski grobowej.

Mnie tych podań rodzinnych już nie dobiegł wążek,

Pękła nić, slysze tylko, że w jakiś zakątek

Owój sali sklepionej złożono skarb drogi;

Lecz nim z długiej włóczęgi wróciłem w te progi,

Inni tu plądrowali, jak się zwykle dzieje,

Gdzie był skarb drogocenny, byli téż złodzieje.

PROFESOR.

A gdyby się udało odkryć te klejnoty?

JAN.

Wtedy-bym rozwalone pozagradzał płoty,

Ta sala, gdzie wiatr zimny przez szczeliny dmucha,

Byłaby jak za dawnych lat ciepła i sucha,

Znów ogień na kominie szczydrze podniecany

Rozjaśniłby wesoło te sklepione ściany,

A ja tu przed zimową ukryty szarugą,

Spokojniebym nad ojców rozmyślał zasługą.

WERONIKA.

Powiedz mi pan otwarcie, nigdyż twego czoła

Po tylu próbach smutek pochmurzyć nie zdoła?

JAN. Nigdy! — nie znam zwątpienia, trwogi ni rozpaczy,
Lecz kiedy się kochałem — bywało inaczej!

WERONIKA *(na stronie)*.

Dawno już ani słówka nie wspominał o nię!..

JAN *(smutno)*. Irena! czemuż ku nię myśl jeszcze się kłoni!
Cóż się z nią wreszcie stało?

PROFESOR. Spotykam ją czasem,
Gdy na dziarskim biegunie ewaluje pod lasem,
Jak śmiała amazonka przez scytyjskie jary!

JAN *(wstając od stołu)*.

Tak, ona zdradzieckimi urzekła mnie czary!
Zniosłem wszystko, co człowiek na ziemi znieść może,
W dziwnym szale mniemałem, że w grób się położę.
Gdy pomimo imienia, tytułów i rodu
W obawie, aby księżna nie umarła z głodu,
Smutna muie z ust rodziców spotkała odmowa.
Wtedy z goryczą w sercu, jak złowroga sowa,
Zamknąłem się w tym dziuplu!... wierz że tu kobiecie!
Ona słodką nadzieją ludzila mnie przeciel
Pomnę, słówkiem uludném przed oczy mi błyska;
Lilija miała puste ożywieć zwałiska,
Szczęście nad ojezystemi rozniecić gruzami!
Płakałem nieraz gorzko, i nieraz ze łzami
Patrzyłem, jak pod gzymsem oplecionym w ziele
Jaskółka u mych okien swoje gniazdko ściele.
Podałem się nakoniec, acz pocisk był ostry:
Przyszliście... mam w nim ojca, w tobie serce siostry,
I czas zagoił ranę, zbiegł smutek powoli!
Gdy dłoń kładę na sercu, czuję, że nie boli!

WERONIKA *(na stronie)*.

Gdybyż on prawdę mówił!

JAN. Tak, czas wszystko zmienia!

Ale pocóż na puste trwonić go marzenia?

To nakrycie u stołu sprzątnąć-by nam lepiéj—

(Zabiera się żywo do sprzątniania).

WERONIKA Sama sobie dam radę...

PROFESOR *(na stronie)*. Tuman wzrok mój ślepił
Co? księżę z Rosz Morgana, z krwi dzielnych zrodzony.
Nie może, jakiej zechce, dziś poślubić żony?
Dziewięćdziesiąty trzeci rok zmaćił im w głowie,
Gdzie nasz stary obyczaj? gdzie nasi królowie?
Znikła dawna wytworność; w tym przybyszów tłumie
Nikt w ręku tabakierki utrzymać nie umie,

Ni dobyć szczypty proszku, gdy weźmie ochota,
Ni zgrabnie okruszynek otrząsnąć z żabota:
Drobnostka to napozór, lecz znaczy nie mało.
Pomnę, za moich czasów inaczej bywało!
Smutne to symptomata, upadku oznaki,
Ja może sam dziś umiem zażyć niuch tabaki. *(zażywa)*.

(Słychać z daleka turkot, wóz zatrzymuje się na dziedzińcu).

GŁOS *(z poza sceny)*.

Panie Janie! hej panie! — proszę — stójże siwa!

JAN.

To parobek mój, Marcin, z jarmarku przybywa;
Zaczem nasz skarb ukryty odnajdziem nareszcie,
Muszę go wprzód wypytać, co tam słychać w mieście;
Czy przypadnie za trudy nagroda sowita,
Po czemu ówieré pszenicy albo korzec żyta.

GŁOS.

Panie Janie!

JAN.

Już idę! *(wychodzi drzwiami w głębi)*.

SCENA TRZECIA.

PROFESOR — WERONIKA.

(Weronika układa kwiaty w wazonie, profesor bierze rękopism, przechadza się po sali).

PROFESOR.

Muszę śmiałym rzutem

Wzbić się w górę, nad poziom, na włóknie osutem
Mam utkać piękny wątek, mój plan już gotowy,
Melpomena swych względów da mi dowód nowy,
Ona mnie nie zawiedzie, mam otuchę pewną.
Zobaczmy: w drugim akcie skreślę scenę rzewną,
Pomiędzy kochankami: srogi żal ich duszy
Czule serca słuchaczom do głębi poruszy;
Ich łzami cały teatr zaplacze boleśnie!
Sen będzie w akcie trzecim, ach! ja mistrzem we śnie!
W akcie czwartym przygodę opowiedzieć trzeba,
Oddać gromy Jowisza, strzały z łuku Feba,
Każdy rys obmyślili klasyczni retorzy,
Pójdę trop w trop za niemi; mnie praca nie trwoży.

WERONIKA. Mój stryju... jedno słówko...

PROFESOR *(z niecierpliwością)*.

I cóż mi znów powie?

Ledwie że nawiązany rwie się wątek w głowie,
Goń-że w locie skowronka, gdy ubieży z klatki!

WERONIKA. Mój ojciec był szlachcicem, słyszałam od matki —

PROFESOR. Tak jest, świadczy ten pierścień z herbowym klejnotem,
Mój brat legł chlubnie w boju, mówiłem ci o tem,
Ale się nie dosłużył niczego krom szpady!
Splątałaś mi nie złotą, niema widzę rady
Z tym językiem niewieścim, nie spocznie na chwilę,
Aby rzecz wyprostować, trzeba pracy tyle!

WERONIKA. Przebacz, stryju!

PROFESOR. No dobrze, to natura wasza;
Sięde sobie w okienku mojego poddasza,
W oryginalny sposób chcę stworzyć rzecz całą,
Kogo tu naśladować? za kim iść przystało?
(*odchodzi drzwiami na prawo*).

SCENA CZWARTA.

WERONIKA (*sama*).

WERONIKA (*po chwili milczenia*).

Jego serce uludnym poilo się czarem,
Ze na gruzach przeszłości, w tém zameczysku starem
Lilija woń rozkoszną dokoła roztoczy;
Niestety! wszak się spełnić nie miał sen uroczy!
Lilija nie wionęła białemi kielichy,
W trawce tylko fijołek zakwitnął tu cichy.
Napróżno!... on ku innéj myśl i serce kloni!
Czyż go znęci fijołek wdziękiem słodkiej woni?
Lecz iskierka nadziei w mém sercu nie gaśnie,
On swoją czarodziejką nazwał mnie dziś właśnie,
Za nasze tu przybycie błogosławił niebo,
Kto wie... błoga otucha méj duszy potrzebą!
Ród mój takim nie świeci blaskiem wobec świata,
Lecz silnemi ogniwy ubóstwo nas brata,
Zycie jego tak smutne, wątek dni stargany,
Gdybyż mi Bóg pozwolił zagoić te rany,
Ukoić w biedném sercu tęsknotę sierocą!
Tak, jam go ukochała całą duszy mocą,
On nią całkiem zawładnął...

(*dobywa z kieszeu książeczkę do nabożeństwa*).

Tu oto, w téj księdze,
Zamykam co dnia złotą moich marzeń przędzę.
Ilekróć słodkie słówko z jego ust wybieży,
Pomiędzy owe kartki składam kwiatek świeży,

Ileż zielonych listków co dzień tu wysychał!
Droga księgo! mych marzeń powiernico cicha,
Powiedz mi, w jego myśli, w jego serca głębi,
Nigdyż czas dla Ireny uczuć nie wyziębi?
Powiedz, czy dziś po chwili wieczornej rozmowy,
Będę mogła do innych dodać kwiatek nowy?
Czy raczej na twe kartki spadnie łza boleści?

SCENA PIĄTA.

WERONIKA, JAN.

JAN (*wbiegając żywo*).

Ha! to istna przekora...

WERONIKA.

I cóż?

JAN.

Smutne wieści!

Jak zwykle!... Żyto spadło, owies nie popłaca,
Pożytku nie przynosi moja krwawa praca,
Bieda się zagnieździła pod tym starym progiem,
Deszcz dla mnie Jakobinem, wicher demagogiem,
Ledwie trzysta talarów w końcu się dostanie
Za całoroczne trudy!...

WERONIKA.

Ależ, panie Janie,

Wszak-to cena zwyczajna!... czego się pan trwoży?
Parę miesięcy temu było jeszcze gorzej!
Głos pana taki gniewny?

JAN.

Zbyt słuszna przyczyna

Mego guiewu! słyszałem oto z ust Marcina:
O małżeństwie Ireny w mieście prawią cuda.
Idzie za mąż!

WERONIKA.

Doprawdy?

JAN.

Jakaż to obłuda,

Jaki fałsz w téj kobiecie! Kiedy ojciec z matką
Zbyli mnie przed pół rokiem odpowiedzią gładką,
Ona, by ulagodzić gorycz téj odmowy,
Krzepiła me nadzieje kłamliwemi słowy;
Ze rodzicielski opór cierpliwością zmoże,
Wszystko po naszej myśli odmienić się może.
A głos tak drżał w jej piersi, łza krążyła w oku;
Pół roku przeminęło, i oto w pół roku,

Innemu przed ołtarzem przysięgać gotowa!

WERONIKA *(na stronie)*.

On ją tak kocha jeszcze!

JAN.

Szalona to głowa!

Córka sławnego rodu, nie ma nic na względzie,
Wiesz-li, kogo wybrała? Kto mężem jej będzie?
Ot, syn dorobkiewicza spanoszony świeżo,
Obrzydliwem matactwem, lichwą i grabieżą,
Co dobrami wyгнаńców haniebnie frymarczy!
Kiedy życie bez płamy już dzisiaj nie starczy,
By dokupić się serca, gdy ci wieniec plotą
Ręce sprzedajnych kobiet!... i gdzież moje złoto?
Gdzie mój skarb? niechaj runą tego zamku ściany,
Ja muszę z nich wydobyć skarb zamurowany!
Niechże za garść pieniędzy chwilę szczęścia kupię,
Lecz nie!... zamknę się raczej jak żółw w mej skorupie.
Przeklinać będę wiecznie nędzny ród niewieści,
Źródło naszych obłądów, wstydu i boleści!

WERONIKA *(na stronie)*.

Jak on ją kocha jeszcze!

(głośno) Niech się pan nie zraża,

Czyż niewierność Ireny jego cześć obraża?
Wszak ją kochać przestałeś... słyszałam w tej chwili.

JAN.

Ja sam siebie ludziłem, lecz serce się chyli
Z jednej ostateczności w drugą, rzecz to znana:
Pod nowym dziś pociskiem krwią wytrysła rana!

WERONIKA. A więc skoro tak jeszcze sercu twemu droga,
Dowiedz się pan, rodzice gwałt jej czynić mogą,

Ona może niewinna, próżny żal twój do niej!

JAN.

Taki to zwyczaj kobiet... jedna drugieję broni,
Wiem ja, wola rodziców Ireny nie wiąże,
Milszym jej dorobkiewicz niż ubogi książę,
Zboże dziś nie popłaca, za nic czyste ziarno!
Któraż ze mną podzieli kromkę chleba czarną?
Ty sama... wyznaj szczerze?

WERONIKA.

Nie o mnie tu mowa!

Milez pan...

JAN.

Przebacz mi, proszę, w ogniu moja głowa,
Zanadto się uniosłem... zostać tu nie mogę,
Zegnam cię, Weroniko! czas wyruszyć w drogę,
Nim dźwięk skrzypców weselnych w ucho mnie uderzy!
Nad Renem, nad Adygą płynie krwi źródło świeży,

Tam pod gradem kartaczów dzielny Bonaparte
Gromadzi swe zastępy, tam serce rozdarte
Wyleczy się z oblędu przy poszczęku stali!
Héj tornister na ramię! marsz dalej a dalej!
Twój zacny stryj te gruzy odziedziczy moje,
W zamczysku mych naddziadów mieszkajcież oboje,
Módlcie się za mą duszę, gdy mnie już nie będzie.
(Odchodzi).

SCENA SZÓSTA.

WERONIKA SAMA.

WERONIKA. On ją tak jeszcze kocha! moja myśl w oblędzie!
Jam winna!.. w jego sercu byłaż chęć zdradziecka?
Przemawiał do mnie słodko, jak mówią do dziecka!
Zakażę sobie myśleć... serce nie powinno
Nakłaniać się ku niemu, skoro kocha inną!
A przecież, to nie była jakaś bańka pusta.
Gdy wymawia me imię, zawsze mu na usta
Spływa tak słodki uśmiech! tak mu oczy płoną...
Nie!... gdybym mu wierzyła, byłabym szaloną!

(patrzy na książkę)

Tu, jam co dzień świeżuchny dokładała kwiatek,
Mój szczęśliwej przyszłości niewinny zadatek,
Wonia tych drobnych ziótek jeszcze pachniesz cała,
Powiernico snów moich!... tyżeś mi skłamała?
Odwagi — ach! odwagi! niech raz pęta skruszę,
Rzucę w płomień tę księgę, w proch spalić ją muszę,
Ucieknę z tego domu, gdzież zniosła tak wiele,
Za kratą sióstr pobożnych znajdę cichą celę,
Kąsek chleba, i serce, i opiekę tkliwą.
Oto widzę garść słomy i smolne łuczywo,
Na tém pustém ognisku niech się w proch rozwieje
Ten świadek, co me płonne podsyczał nadzieje!

(Kładzie książkę na garstce słomy, roznieca ogień, wnet płomień bucha w górę).

Płomień słupem ognistym wybucha z komina,
Iskierka za iskierką do góry się wspina,
To karty mojej księgi... wiją się i syczą,
Buchaj, czysty płomieniu! ponieś tajemniczą

Woń mych drogich kwiateczków w powietrzne lazury,
Z białemi kłęby dymu niech leci do góry,
Cicha moja modlitwa... O! nie gardź nią, Panie!
Me szczęście niech ofiarnym okupem się stanie,
Byle mu jasna gwiazda znów błysła nad czołem!

(płomień gaśnie powoli)

Zgasł płomień!... ach! me serce gruzem i popiołem!
(Spostrzega w głębi komina wielki otwór, którego wprzód nie było).

Cóż to? kamień się nagle osunął z ogniska?
Mury się osypują dzień po dniu... śmierć bliska...
Runie gmach!... Ogień dawno w tej sali nieznanym,
Zobaczymy, czy ten kamień nie naruszył ściany.

(z podziwieniem)

W głębi widzę kryjówkę... cóżby w nią złożono?
Muszę na bok usunąć tę głownię czerwoną,
O, twardy jakiś przedmiot ma ręka potrąca...
To skrzyńka... trudno dotknąć tak jeszcze gorąca...
Należę zimnej wody...

(nalewa wody dzbankiem)

Wyciągnąć ją trzeba...

(dobywa skrzyńkę, stawia ją na stolku, chce otworzyć).
Zamek pękł... spadło wieko... to skarby! o nieba!
Może senna uluda... czy mnie zwodzą zmysły?
Ale nie... dyamenty w oczach mi zabłysły...
To nie sen... wszak je widzę... moja dłoń je trzyma.
(Bierze pełną ręką perły i dyamenty ze skrzyńki).
Raz pierwszy mi te dziwy stają przed oczyma!
Tak mi serce zadrżało!... i czegoż się trwożę?
Moją cichą modlitwy tyś wysłuchał, Boże!
Ofiarą moją szczęście okupiłam Jana!
W jego sercu wnet krwawa zagoi się rana,
Znów nadzieja ukrzepi jego duszę mężną,
On poślubi Irenę, uczyni ją księżną,
Na ślubną ich koronę jakiś czar zaklęty
Łzy moje zmienił w perły, w drogie dyamenty.
Biedne serce... ty w piersi ciężysz mi ołowiem!

(postrzega nadchodzącego Jana)

Jan idzie... on tu jeszcze... także mu to powiem?

SCENA SIÓDMA.

WERONIKA, JAN.

JAN *(smutno)*. Jakiś szal mi do głowy myśl podsunał dziką.
Błagam cię, ty mi przebacz, biedna Weroniko.
Nie mam prawa opuszczać was w tak ciężkiej chwili,
Czekajmy tu cierpliwie, aż się zle przesili.
Zostaję z wami razem...

WERONIKA. Tu zaszła rzecz nowa.

JAN. Tyś nie taka jak zawsze... co znaczą te słowa?

WERONIKA *(zasłaniając sobą skrzyńkę)*.

Jam twoją czarodziejką — tak zwałeś mnie przecie,
Przyznasz sam, panie Janie, są dziwy na świecie,
Pod laską czarodziejki może pęknąć skała.

JAN. Żartujesz?

WERONIKA. Mówię prawdę... czyżbym szydzić śmiała?

Pragnieniom twego serca wnet stanie się zadość.
Będiesz-li miał dość siły na tak wielką radość?

JAN. Co? dla mnie radość wielka?

WERONIKA. Tak, małoż to znaczy

Odzyskać ojcowiznę po nędzy tułaczęj?
Na nowo tarczę ojców ozłocić spłowiłą,
Pojąć tę, której serce kochać nie przestało
(pokazując skrzyńkę).

Patrz! skarb twój...

JAN. Skarb? co mówisz!

WERONIKA. Dobyłam go z ziemi.

JAN. Prawdaż to?

WERONIKA. Masz go, panie, przed oczyma twemi,

Leżał tam pod kotliną... ogarnięty żarem,
Kamień wielki, co go przyciskał ciężarem,
Usunął się i odkrył chudobę sieroty...
Widzisz sam...

JAN. Tak, to moje rodowe klejnoty!

(przygląda się)

Może te dyamenty jak ogień błyszczące?
Te jaskrawe rubiny? tych pereł tysiące?
Drogocenne szmaragdy — opale bez ceny?

(pełną ręką dobywa klejnoty, patrzy na nie z podziwem).

WERONIKA. Możesz pan zakolatać o rękę Ireny —

Dźwignąć z gruzów odwieczny zrąb twego zamczyska,
Możesz się z ukochaną u ojców ogniska.

(*Spostrzegając rozstargnienie Jana, na stronie*).

Ależ on mnie nie słucha, muszę w twarde karby
Ścisnąć me biedne serce... czas w drogę —

JAN (*do siebie przerzucając klejnoty*).

Te skarby

Do mnie zatem należą... nie dowierzam jeszcze...
To ma być dla mnie szczęściem? dlaczegoż nie pieszcę?
Myśli tą mrzonką szczęścia? gorączkowe tętno
Nie szarpie mojej piersi, gdy w dłoń obojętną
Biorę owe kamyki, które lichwiarz stary
Jutro mi na błyszczące wymieni talary.
Czemuż promyk nadziei przed mém okiem znika?
Jam bogaty, wszak słusznie rzekła Weronika,
Mogę z gruzów podźwignąć mego domu ściany,
Odkupić moje lasy i pszeniczne lany,
Wszak rodziców Ireny me skarby przynęca,
Mogą czoło jęj mitrą ozdobić książęcą,
Gdy skinę, dorobkiewicz ustąpi mi z drogi,
I czemuż po mych żyłach przebiegł dreszcz złowrogi?
Krew przed chwilą kipiała w mojem sercu młodem,
Czyżby ją dyamenty zmroziły swym chłodem?
Nie pragnie już Ireny, i cóż mi z jęj czarów,
Skoro mogę ją kupić za worek talarów?
Dziś przebaczyć wczorajszej nie zdołam pogardy,
Bogaty, znam ubóstwo, a więc kark mam hardy.
Zmiana to niepojęta, losy szydzą ze mnie,
Lepiej było tym skarbowi leżeć gdzieś tajemnie,
Niżli mi w żywe oczy rzucać prawdę całą,
Żem dawno jęj nie kochał, że serce kłamało.
Jedną dziś zdrową prawdę wyznać jestem gotów,
Z widoku tych dla oka ponętnych klejnotów,
Którymi się prababki, dostojne zasługą,
Wierne żony i matki zdobyły tak długo,
Że przez cześć ich panięci, taką pojmem żonę,
Co imię ich przechowa skazą nie przyćmione!

WERONIKA (*na stronie*).

Zapóźno już, niestety!

JAN (*wesoło do Weroniki*).

Trzeba na początek

Ten mój niespodziewany obliczyć majątek.
Sto tysięcy talarów albo więcej może,
Nasamprzód małą kwotkę z radością odłożę

Na druki twego stryja, ileż to uciechy
Gdy stare swe szpargały wywlecze z pod strzechy,
Gdy ujrzy całą półkę w szafie założoną
Tomami błyszczącemi z oprawą czerwoną!
Ty, dobra Weroniko, mój stróżu aniele,
Nie będziesz miała odtań zabiegów tak wiele,
Twą ręką podsycany płomień nasz domowy,
Buchać będzie wesoło! ja pójdę na łowy,
Potém obiegnę pola i dzień rychło minie,
A wieczór, gdy zasiądzem wkoło przy kominie
Nasz mistrz czytać nam będzie swe klasyczne wiersze.
Niech drudzy wybierają pole działań szersze,
My, niby rój jaskólek burzą skołatany,
Rad gdy gniazdko ulepi u domowej ściany,
Żyć będziemy silni wiarą, jednością i zgodą.
Mógłżeby smutek przyćmić moję duszę młodą,
Śmiałyżbym karmić w sercu próżny żal i twogę?
Jam prawdziwie szczęśliwy, bo szczęście dać mogę!

WERONIKA. Jak mi żal, iż zamączę twój sen niewyśniony,
Lecz oddalić się muszę w inne kraje strony —
Żegnaj cię, panie Janie!

JAN (*żywo*).

Żegnasz mnie? co słyszę?

Ależ to niepodobna!

WERONIKA.

Inne mnie zaciszę

Ciągnie siłą niezłomną, uboga sierota
Z lat dziecięcych klasztorne ukochałam wrota,
Wykonać święte śluby mym jedynym celem,
Nie odwódz mnie, wszak moim zwiesz się przyjacięlem.

JAN.

Skąd ta myśl?

WERONIKA.

Tak mi serce, tak mi rozum każe.

JAN.

Nigdy jeszcze o twoim nie słyszał zamiarze.

WERONIKA.

A przecież, panie Janie, mój zamiar nie nowy,
Jeśli dotąd mnie próg twój zatrzymał domowy,
Czyniłam tu przez wdzięczność, bo wiedziałam o tem
Że byłam tu potrzebna, dziś oplacisz złotem
Roje slug; tyś bogaty, wszystko się przemienia,
Syn przesławnych naddziadów, dziedzie ich imienia,
Wprowadzisz pod dach zamku, z gruzów podźwigniony,
Towarzyszkę dni godną książęcęj korony,
Którą twoje prababki nosiły tak święcie;
Ja żyć-byłm nie umiała w światowym odmęcie,

Dla mnie cela klasztorna: wnet opuścić muszę
Ten zamek...

JAN. *(na stronie)* Ha! rozumiem, zraniłem jęj duszę.

WERONIKA. Zachowaj mnie w pamięci, nie żądam nic więcej,

Modlić się za twoje szczęście będę najgoręcej.
Mego biednego stryja, co ci tak oddany,
Otocz tkliwem staraniem; może mnie te ściany
Ujrzą po latach wielu, gdy ku ziemi zgięta,
Niańczyć będę z miłością twoje drobne wnuczeta.

JAN. Co? ty chcesz nas opuścić? odwołaj to jeszcze!
Na myśl, że cię utracę wskroś zbiegły mnie dreszcze.

Siądźmy tu, pogadajmy, wysłuchaj mnie tylko...
Wiesz-li, że te klejnoty odkryte przed chwilką
Wzbogaciły mój rozum, sprostowały chęci,
Wygnały złudną marę z serca i pamięci.
Już widmo dawnych wspomnień w myśli mój nie błyska!
Twoje miejsce pozostanie próżnem u ogniska,
Czemuż chcesz moje smutne osierocić progi?

WERONIKA. Cel mój dawno wytknięty, nie zwrócisz mnie z drogi,

Klasztornej ciszy tylko ma dusza spragniona.

JAN. Tak nie jest, Weroniko... nie... to myśl szalona!

WERONIKA. Panie!

JAN. Zwodzisz się sama, twoja myśl z sercem w sporze.

Nigdy nie wspominałaś dotąd o klasztorze,
Jakaż w biegu dni twoich stanęła zaporą?
Tak radosną piosenkę szczebiotałaś wczora,
Dziś w poranku nie było na twym czole skazy,
Jakiż powód tak nagłej do świata odrazy?
Ja wiem, co ci dolega, ja od ciebie lepiej
Czytam w biednym twym sercu! już mnie nie zaślepi
Tuman, co krył mi światło; pozwól, niech przyłożę
Rękę do twojej rany; gdybym cię, broń Boże,
Obraził, szepnij słówko, nie powiem nic więcej,
Lecz ty klamać nie umiesz w prostocie dziecięcój.
Ta rączka cała drżąca w mój dłoń, te lica
Pałające rumieńcem, ta ciemna żrenica
Odwrócona od mojej... ach! dowód to żywy.
Mów szczerze, Weroniko... takżem ja szczęśliwy?

WERONIKA. Panie Janie, przysięgam!...

JAN. Nie przysięgaj, dziecię,

Pozwól, niech zrzucę kamień, co pierś moją gniecie.
Odkąd o rozłączeniu rzekłaś pierwsze słowo,
Odgadłem, co to znaczy, i wtedy surowo

Spojrzałem w głąb mój duszy, zmierzylem ją do dna,
Przeszłość była mamidłem, tyś jedynie godna
Mych uczuć; z tobą tylko chcę podzielić życie.
Zraniłem twoje serce, ten pączek w rozkwicie.
Przebac, obłąd próżności zamącił mi zmysły,
Dziś już myśl wytrzeźwiała, tumany rozprysły,
Bez ciebie ja rozbitek, żyć nie chcę, nie mogę,
Ty jedna mi rozjaśnisz pustą życia drogę,
Szepnij słówko nadziei, wyrzecz je czemprędzej.
Przez te oczy lez pełne, przez pamięć tej nędzy,
Tych twardych prac i trudów przetrwanych tu społem,
Przebac mi, bądź jak dotąd mym stróżem aniołem,
Towarzystką dni moich, mój dzieckiem, mą żoną,
Ty płaczesz?

WERONIKA *(ze łzami)*. Po co dręczysz mą duszę zranioną?
Wczoraj spełnić twoje chęci byłam jeszcze zdolną.

JAN. Skądże tak nagła zmiana?

WERONIKA. Dziś mi już nie wolno,
Zmianę twojego losu muszę mieć na względzie,
Zy puszczoną po naddziadach staniesz w wielkich rzędzie.
Gdybym skłoniła ucho na twój głos ponętny, —
Wiesz, co by nastąpiło? Ach! obraz ten wstrętny
Przeraza mnie, lecz muszę postawić rzecz jasno:
Miałabyś ty za żonę rumienić się własną?
Wychowana wśród obcych w poniewierce długiej
Spełniać tylko domowe nawykłam posługi,
Tkać płótno, pleć w ogrodzie lub kręcić wrzeciono,
Lecz mi czoła księżącą nie zdobić koroną!

JAN. Przestań-że, Weroniko!

WERONIKA. Pozór tyle znaczy!
Postać pięknej Ireny przyświeca inaczej!
Sam chwaliłeś ten odbłask, co z jęj czoła bije,
Okazała jęj kibici i łabędzią szyję.
Gdybyż z twych ust wybiegła jedna tylko skarga,
Choć jeden gorzki wyrzut!... szal zmysły mi targa!
Umarłabym ze wstydu! — snadniej dłoń twoja skruszy
Ten brylant, zaczeń złamię opór w mojej duszy!

JAN. Ha, przeklęte klejnoty! bodajby mi było
Nie widzieć ich na oczy! swą piekielną siłą
Na wieki poplątały wątek mego życia.
Pocóż było te skarby wywłóczyć z ukrycia?

Bez nich żyłem szczęśliwy, ich to moc zdradziecka
Zmieniła w martwy kamień serce tego dziecka!

SCENA ÓSMA.

JAN, WERONIKA, PROFESOR.

(*Profesor wchodzi gwałtownie poruszony, trzyma w ręku złótki pergamin*).

PROFESOR (*za drzwiami*).

Dzicci mojej!

WERONIKA. Głos stryja!

PROFESOR (*do Jana*). Patrz, Janie kochany!

JAN. Co to jest?

PROFESOR. Radość wielka i żal niesłychany!

Wyborna tragedya, mam już tkankę całą,
Lecz gdyby ci klejnoty znalazł się udało,
Ten skarb cię nie wzbogaci, czeza bańka, nie więcej...
Jaki skarb? mówisz, ojczu?

PROFESOR. Już ci skarb książęcy!

Słuchaj mnie, wśród szpargałów, na półce, wysoko
Ten pozółtki pergamin wpadł mi nagle w oko.
Ledwie już w pół zatarte dopatrzeć litery;
On mi jasno pokazał, jak dwa a dwa cztery,
Że pradziad twój ocalon w bojów chlubnym dymie,
Co z Henrykiem wykonał dzieła tak olbrzymie,

(*ukazując popiersie*).

On, który tak się słodko uśmiecha do wnuka...
I cóż? mów!

PROFESOR. Arcydziełem będzie moja sztuka!

JAN. Przez litość, mówże dalej...

PROFESOR. Już się sposobiono

Do bitwy pod Arkami; wokoło grody płoną,
A najemne żołnierstwo dalejże w zatargi,
W krzyk o zółd, z ust się sypią przekleństwa i skargi,
Wówczas wielki twój pradziad, mąż niezłomnej cnoty,
Na talary wymienił rodowe klejnoty,
Wypłacił zółd lancknechtom i nie szepnął słowa...

JAN. Co mówisz?

PROFESOR. Wygrał bitwę... i cóż się uchowa
Przed orlim króla wzrokiem? Henryk, jak przystało,
Chciał księcia uposażyć daniną wspaniałą,

Alé wielki twój pradziad, on Rzymianin prawy,
Nie wziął nic, prócz królewskiej przyjaźni i sławy,
W mieście Dieppe, gdzie w te czasy przebywał nasz książę,
Wzywa biegłych złotników, przysięgą ich wiąże,
Każe błyszczące szkiełka poobsadzać w złoto,
W tym akcie są dowody — chodzi księciu o to,
By żony jego wnuków, obok cnót i krasy,
Nie znaly innych ozdób na potomne czasy,
Okrom tych, jakie synom przekazuje z wiarą,
Pamiętne dokonaną dla kraju ofiarą!

JAN (*wyciągając ręce do popiersia*).

Wielki mąż!

WERONIKA (*na stronie*). Bóg wysłuchał modlitwę sieroty.JAN (*odkrywając szkatułkę*).

Więc, jak mówisz, fałszywe wszystkie te klejnoty?

PROFESOR (*gwałtownie*).

Co widzisz? skarb!... to złuda... czy mnie oczy mylą?

JAN. Patrz, rodowe klejnoty odkryte przed chwilą.

PROFESOR. Jam zmałił twoją radość!... przebacz mi!... o białad
(*usuwa się na krzesło*).

JAN. Rozumiem dziś, co znaczy dar mego pradziada:
Skarb wiary, skarb miłości, skarb ofiary drogi!
On da mi radość życia w mej doli ubogiej,
Stokroć wyżej go cenię, nad wszystek blask świata,
Z pamięcią wielkich czynów on wiecznie się spleta.
Te brylanty bez ognia, te perły bez wody,
Świętej miłości kraju, — to żywe dowody,
Jeszcze gorycz bogactwa moje usta pali,
O! niechże Bóg odemnie ten kielich oddali!
Byłoz o co zabiegać, byłoz gonić za czem?
Ja wolę pracowitym pozostać oraczem!

(*do Weroniki, podając jej klejnoty*).

Ta po moich prababkach spuścizna uboga,
Niech będzie twym posagiem, Weroniko droga,
Blask twoich czarnych żrenie stokroć cudniej płonie,
Nad wszystkie te klejnoty w książęcej koronie!

WERONIKA. Skoro jesteś ubogi, kiedy Kocham Ciebie...

PROFESOR (*zrywając się*).

Coś wyrzekła, dziewczyno? ho! przez Boga w niebie!

JAN. Wnet powiemy ci, ojczu, co to wszystko znaczy,
A teraz pobłogosław twój działwie wieśniaczej.

PROFESOR. Ten związek... taki zaszczyt na me stare lata...
Taki nawał wypadków... rzecz dziwnie się splata,
Skarb... rodowe klejnoty... dawnych bogactw szczątek...
Lecz klejnoty fałszywe... cały myśli wątek
Splątał się w mojej głowie!... Dziwy! istne dziwy!
JAN (prowadząc *Weronikę do starca*).
Pobłogosław nam, ojcze!... to mój skarb prawdziwy.

ZASŁONA SPADA.

BEZROBOCIE KOWALI.

BEZROBOCIE KOWALI.

Monolog.

Powiem wszystko, jak było, krótko, węzłowato.
Kowale zniechęceni zbyt małą zapłatą,
Zabrali się do grewy. Zima twarda, wreszcie
Głód ciężki na przednówku nawiedził przedmieście.
W sobotę, w dniu zwyczajnej placy tygodniowej,
Wziął mnie oto pod rękę towarzysz cechowy,
I poszliśmy do szynku. Tam starsi kowale
(Mniejszać o ich nazwiska — nie wydam ich wcale)
Rzekną do mnie:

— „Nasz majster, sztuka nieużyta,
Jeśli nam nie postąpi, będzie z pracy kwita.
Tłusty poleć smarować namże to przystało?
Ojcie Janie, bez gniewu przedstaw mu rzecz całą.
Tyś pierwszy między nami powagą i laty.
Jeśli nam nie powiększy w dwójnasób zapłaty,
Będziem poniedziałkować tak długo, aż może
Pana majstra w zaciętym przelamem uporze —
Ojcie Janie, tyś z nami!

Ha cóż, niema rady!
Sędziowie, toć jam nie z tych, co na barykady
Śpieszą jakby do tańca. Mnie słówko nie zmami
Tych fraczkowych, co radzi kryją się za nami.
Cóż robić, druhy na mnie patrzeliby krzywo,
Więc rad nie rad do majstra pośpieszam co żywo.
Właśnie z żoną i dziećmi siedział przy obiedzie —
Jąłem długo o naszej rozprawiać mu biedzie —

Jak komorne zdrożało, wzrosła cena chleba,
I jakże tu poradzić? do pracy sił trzeba.
Obliczam jego zyski, z tych rozsądnie wnoszę,
Że powinien nam płacy dorzucić potrosze. —
On słuchał mnie cierpliwie, tłukł orzechy dziadkiem,
Wreszcie tak do mnie rzecze:

— „Mój Janie, Bóg świadkiem,
Że cię cenię, boś człowiek, jakich dziś nie wielu,
Dobrego mają posła w tobie, przyjacielu,
Dla ciebie zawsze będzie miejsce w mojej kuźni,
Lecz gdybym ich posłuchał, sam prędzę czy później
Wyszedłbym na żebraka. Więc powiedz im, bracie,
Od jutra żaden miejsca nie ma w mym warsztacie.
Powtóż-że tym próżniakom com rzekł, ojeze Janiel

Mnie serce się ścisnęło.

Rzekłem: „Dobrze, panie!”
I wracam do gospody, powtarzam do słowa
Całą rozmowę z majstrem, aż tu burza nowa,
Hałas, tartas, a każdy klnie, na czém świat stoi.
Człek jakoś towarzyszom narazić się boi,
Dość, żem przysiągł z drugimi stać silnie oporem.

Nie jeden z nas gdy do dom powrócił wieczorem,
Gdy rozsypał na stole pieniądze — ręczyć mogę,
Niemalą w głębi duszy uczuł pewno trwogę,
I nie usnął spokojnie na myśl, że mu długo
Nie przyjdzie znów się spotkać z taką kwotką drugą.
Ciężka sprawa! co począć? Ha! nasłanie boże!
Człek stary, więc do postu nawyknać nie może,
A do tego ja nie sam; żona spracowana!
Kiedy wnuczątek dwoje wzięłem na kolana,
(Zięć mój wielki ladaco, córka zmarła z młodu)
Gdym spojrział w te usteczka, co nie znały głodu,
Pokraśniałem i w sercu brakło mi otuchy.
Niebaczny! jamże pracy odprzysiągł się z drухy.
A wszak u nas przysięgi szanowane słowo!
Rzecz ciężka — juźcié muru nie przebić mi głową.
Jak nie dotrwam, u braci w niwecz moja wiara!
Dopieroż kiedy z pralni przyszła żona stara,
Pęk chust mokrych dźwigając na bezsilnym grzbiecie,
Jałem rzecz opowiadać pomału kobiecie.

Stała jak słup nieboga, bez gniewu, bez trwogi,
Tylko wlepiła oczy smutno wgląd podłogi,
Zbladła i rzecze wreszcie:

— „Stało się, mój miły.
Więsz, nie lenię się pracy, ile zmogą siły,
Ja to zmogę, bądź pewien, ale żyć potrzeba,
A my na dwie niedziele mamy ledwie chleba.

Ja na to:

— „Rzecz po myśli ułoży się może!”
Takem mówił, lecz w duchu nie żartem się trwożę,
Człek z drużyną ścisłemi pobratan ogniwy,
Wreszcie czyżby odstępca uszedł ręki mściwój?
Za zdradę słuszna kara dosięgnie go wszędzie.

I przyszła bieda ciężka. O, panowie sędzie,
Wierzcie mi, choć to skwarno niedola dopieka,
Nie zostać mi złodziejem z uczciwego czleka.
Na myśl tę włos mi wszystek na głowie się jeży,
Nic nie usprawiedliwia w mych oczach kradzieży.
Nawet rozpacz, co oczy zaślepia niekiedy —
Złodziej zawsze złodziejem, z nałogu czy z biedy,
Nigdy myśl grzeszna w moję nie wkradła się głowę,
Nawet wtedy, gdy w zimne wieczory grudniowe
Niedola mnie za bary chwytala zawzięta.
Gdym widział drżącą żonę i głodne wnuczeta,
Przy kominie, gdzie węgla wytlił się ostatek,
Ani płacz biednej żony, ani krzyk tych dzieciak,
Ni widok ich odzieży podartej w lachmany, —
Niechaj mi świadczy Chrystus ten ukrzyżowany, —
Nie sprawiły, by kiedy stanął mi przed okiem
Czyn brudny, gdy człek nocnym otoczony pomrokiem
Sięga po cudzą własność zdradziecko i zcicha.
Och! jeżeli w tej chwili zwolniła ma pycha,
Jeśli lzy z ócz mi płyną i serce się kruszy,
To dlatego, że obraz tych stanął mi w duszy,
Dla których tom uczynił, co się właśnie stało.

Z razu się jako tako biedę odganiało,
Był jeszcze chleb, co mogła zastawiała matka,
Jam cierpiał. Dla nas izba jak ptaszęciu klatka,
Żyć w czterech ścianach domu, dziękujęz ja za to!
Tożem się i z więzienną zapoznał dziś krata,

Czy tu, czy tam mi kwękać, jedno co do słów!
 A potem, żyć beczynn timerzarnia nowa,
 Niech człowiek, co od dziecka przywykł do roboty,
 Założy ręce z musu — wnet umrze z tęsknoty.
 Gdzie życie dla kowala? tylko z młotem w dłoni,
 Przy połysku ogniska — przy żelaza woni!
 Ubiegło dwie niedziele, zabrakło na życie.
 Jak błędny, wybiegałem z izdebki o świcie,
 Szedłem, gdzie oczy niosły z podniesioną głową,
 Bo zgiełk wielkiego miasta upaja chwilowo
 Lepiej niżli alkohol; chociaż głód dobodzie,
 Człowiek niby czasami przepomni o głodzie,
 Aż raz kiedy pod wieczór stanąłem w swym progu,
 Patrząc, biedne żonisko na garści barlogu
 Tuli blade dziecięcy; jakby mi wgłęb serca
 Utkwił nóż, pomyślałem —

„Jam to ich morderca!”

Wtém żona rzecze słodko:

„Wiész, mężu, nie chcieli

Wziąć w lombardzie na zastaw ostatka pościeli,
 Tylko trząsnąć, to wszystko w lachman się rozleci —
 Skądże my teraz weźmiem kęs chleba dla dzieci?”

„Zniosłaś tyle, odrzekłem — cierp chwilkę, niebogo,
 Mnie powrotu do kuźni zabronić nie mogą,
 Jam gotów znieść ich ostre przymówki i gniewy,
 I poszedłem do szynku, gdzie przewódcy grewy
 Zbierają się co wieczór. Oj! byłaż tam chmara!
 Wehodge, patrząc, nie wierzą — sen że to czy mara?
 Oni piją za stołem, gdy drudzy mrą z nędzy,
 Oni piją! tym zdrajcom, co starezy pieniądze
 Na to wino, by nasze przedłużyć męczarnie,
 To przekleństwo z ust starca nie ujdzie bezkarnie!

Do pijanej gawiedzi jam przystąpił śmiało.
 Spostrzegli wzrok mój błędny, mą twarz osowiała,
 Co mnie wiedzie? — odgadli, nim przyszło do słowa,
 Świadczy ich wzrok ponury, ich postać surowa.
 Jam rzekł:

— „Szczerosc przystala ucziwemu czleku.
 Mam sześćdziesiąt lat z góra, żona w późnym wieku,
 Dwoje wnucząt sierotek Bóg oddal mój pieczy,
 Sprzedałem wszystkie sprzęty, zastawiłem rzeczy,

Z świecą w domu nie znaleźć okruszyny chleba —
 Dla mnie łóżko w szpitalu — czegoż więcej trzeba?
 Ubogiemu starcowi domotać dni latwo,
 Lecz co będzie z mój biednym żoniskiem i z dźiatwą?
 Bądź co bądź, ja powrócić wnet muszę do kuźni,
 Lecz aby na mnie w cechu nie sarkano później,
 Więc wam się opowiadam. Dość trwałem w tój męce,
 Patrzenie na ten włos biały, na te czarne ręce,
 Jam kowalem od dziecka, przebaczyć wy bratu,
 Pozwólcie mi samemu wrócić do warsztatu!
 Chciałem zebrać, w tym celu wybiegłem na miasto,
 Godziż się do przechodnia tą rękę żyłastą
 Wyciągać po jałmużnę, póki władnie młotem?
 Oniemiały mi usta. Towarzysze mili,
 Przebaczyć wy Janowi, że pierwszy pochyli
 Stary grzbiet przyciśnięty niedoli brzemieniem,
 Dajcież wrócić do pracy! błagam was ze drżeniem!
 Cóż wy na to? czyż serca do dna wam wychłody?

Jeden wystąpił naprzód i wyrzekł:

— „Tyś podły!”

Zachwiałem się na nogach, pierś skrzepła mi lodem.
 Spojrzę w oczy śmiałkowi: Na tój czole młodem
 Zepsucie wycisnęło głęboko swe ślady.
 Oko zaszło mu bielmem, stał jak ściana bład;
 Rumieniec wcześniej z lica zegnała rozpusta,
 Patrzył i śmiech szyderyzy wykrzywił mu usta.
 Wszyscy zmilkli, dreszcz trwogi zbiegł drużynę całą.
 Jam słyszał, jak mi serce w piersi kołatało!
 Uczułem, że mnie wściekłość ogarnia szalona,
 Wolam:

— „Zmarnieją dźiatki, umrze biedna żona,
 Nie pójde do warsztatu, lecz klę się na duszę,
 Przypłacisz ty, nikiemny, ja pomścić się muszę.
 Czas drogi... tu, w tym szynku rozprawim się krwawo.
 Jam pokrzywdzon, więc oręż wybierac mam prawo.
 Z młotem ci ja obeznan z dziecka Bogu dźięki,
 Lepiej on niżli szabla przypadł mi do ręki.
 Was biorę ja na świadków, towarzysze starzy,
 Tu stańcie w rzed, wy, młodzi, u progu na straży.
 Podajcież mi dwa młoty hartowne i duże;

Tyś uragał starcowi, tyś pies podły! Nużel
Zrzuc bluzę, pluń w garść... żwawo... twój czas policzony.

Przepchnąłem się przez tłumy silnemi ramiony,
A krew mi w głębi serca bila tętnem wściekłem,
Z pośród stosu żelastwa dwa młoty wywlekłem.
Zmierzyłem je oczyma, lepszy rzucam żywo
W dłoń temu, co mnie mową skrzywdził obelżywą.
On nie dowierzał jeszcze. Na wypadek wszelki
Stanął jak do odporu, wznosił w górę młot wielki,
I rzekł:

— „Także wam, stary, gniewać się przystało?”

Jam nie pisał ni słówka. Za odpowiedź całą
Zamierzylem dłoń z młotem, wprost ku niemu kroczyć,
Młot nad głową mi straszno młyńca zafurkocze,
Idę wciąż, zuchwalcowi patrzę w oczy prosto.
Nigdy pies, gdy do ziemi przysiądzie pod chłostą,
Nie patrzy tak błagalnie na dłoń, co go smaga,
Jak on patrzył, do iskry zgasała w nim odwaga,
Nad głową się zjeżyły kudły rozczochrane.
Cofał się krok za krokiem, aż wsparł grzbiet o ścianę,
Drżący wzywał litości zézowatym wzrokiem.
Zapóźno już, niestety! Krew trysła potokiem,
Byłóż się nad kim pastwić? istny podmuch piekła,
Między nami wnet struga czerwona pociekła.
Jednym młotu pociskiem jam strzaskał mu głowę!

Wiem, jakie na morderców wyroki surowe.
Poco rzecz oklamywać mową wyszukaną,
Nie chcę, by pojedyńkiem zabójstwo przezwano.
Trup leży u stóp moich, mózg z czaszki mu ciecze,
W mą pierś ostre wyrzutu ugodziły miecze,
Skryłem oczy — och! strasznyż odwet się poczyna,
Uczułem cały ogrom boleści Kaina!
Stoję jak glaz — wtém druhy obiegają mnie kołem,
Chcą mnie ująć... drżę z trwogi... ja na nich skinąłem,
Odkoczyli jak z procy... patrzą na mnie łzawo.
Rzekłem:

— „Ustąpcie, bracia — sam się zdam pod prawo!”

Zrozumieli, jam wtedy podjął czapkę z głowy —
— „Złóżcie tu drobny datek dla dzieci i wdowy”.

Sami biedni jałmużnę posypnęli skoro.
Starszy druh poniósł żonie garstkę miedzi sporą,
A ja sam się oddałem w moc sądu bez zwłoki.

Ot i wszystko, na wasze zdają się wyroki
Moja sprawa zbyt jasna, ni zyska ni straci
Na tém, co wam przebiegli rzekną adwokaci.
Jeślim ja opowiedział tę rzecz od początku,
To aby wam wykazać, jak z marnego wątku
Nić, wysnuta niebacznie płacze się i gmatwa.
Ma już kącik w szpitalu moja biedna dziatwa,
Już zgryzota pocziwą zabiła mi żonę.
Z poddaniem przyjmę wszystko, cobądź mi sądzone,
Kara mnie nie zatrwoży, łaska nie zaślepi,
Jeśli sąd każe umrzeć — odpowiem: tém lepij!

KLEJNOTY

MONOLOG.

KLEJNOTY.

(Wytworny buduar rzęśisto oświetlony. Młoda kobieta w stroju balowym, cała błyszcząca od klejnotów, siedzi przed zwierciadłem)

Dziś ball ja na bal idę wesolo i strojnie,
Trudno wyżyćby dłużej w tej nieszczęsnej wojnie;
Cierpieć głód, ciągle slyszeć te bomby nad głową.
Kto wie... może niebaczne ja wyrzekłam słowo?
Ej! nie!... Póki pod miastem grzmiały pruskie działa,
Jam święcie mą powinność z drugimi spełniała;
Wszak rannym w ambulansie służyłam nie żartem,
Z tych rączek, oswojonych z Lisztem i Mozartem,
Jakże chętnie bez względu na zimę okrutną,
Zrzuciłam rękawiczki i szarpałam płótno,
Choć mi serce pękało od trwogi i żalu,
Wszakże byłam w Szampini, byłam w Buzenwalu,
Jak żołnierz! I cóż komu ten balik zaszkodzi?
Wśród krewnych i przyjaciół poskaczem tam młodzi.
Zbyt długo ta żaloba w uwięzi nas trzyma,
Miałaby mi bez tańca ubiedz druga zima?
Niechaj kto chce powie, nie widzę w tym grzechu,
Dawno się usta moje zaparły uśmiechu;
Dawno bez tych klejnotów ja tęsknię jak dziecię
Gdy mu zabiorą cacka.

(patrzy z zadowoleniem w zwierciadło).

Włożyłam je przecie!

Jak cudnie ten naszyjnik stroi gładką szyję,
Prześliczne te koleczki, aż luna z nich bije;
Jak ponętnie z kruczemi mych włosów uploty
Mieszają się te perły; jak ten pierścień złoty

Utkany szmaragdami zdobi rękę białą:
 Aż mi lica skraśniały i serce zadrzało.
 Widokiem tych klejnotów niechże wzrok napieszczę.
 Co to jest? jakieś zimne przejęły mnie dreszcze!

(spogląda na zegar).

Ha!... dziewiąta dopióro, a jam już ubrana.
 O tryumfach wieczornych przemyślałam od rana,
 Aby blaskiem mych wdzięków i urokiem stroju
 Nacieszyć się dowoli; chciałam w tym pokoju
 Spędzić sama godzinkę swobodnie jak dziecko,
 Z tym świadkiem, co mi pochlebstw nie szepcze zdradziecko;
 Nim uderzy dziesiąta, długo czekać muszę.

(patrzy w zwierciadło, a potem zamysła się).

(po chwili).

Pomnę ja zeszlęj zimy..., dlaczegoż mi duszę
 Wiecznie mąci ta chwila? O tej saméj porze
 Siedziałam u wezglowia chorego. Mój Boże!
 Jak to czas szybko lecił... Był to kmięć ubogi,
 Prosty żołnierz..., pamiętam, jak przyjął bez trwogi
 Smutny wyrok, gdy lekarz ogarnął oczyma
 Straszłą ranę i szepnął: ratunku już niéma!
 A gdy ksiądz z Panem Bogiem stanął u tapezanu,
 Mój nieznany bohater pokłonił się Panu,
 W miłczeniu prawą rękę przyłożył do czoła,
 Jak żołnierz pod sztandarem, gdy trąba zawoła
 Walecznych do ataku!

Czuł się coraz gorzej,

Przesiedziałam noc przy nim, a o brzasku zorzy
 Spojrzał w okno i rzecze: „Moja meta blizka,
 Ostatni raz dziś dla mnie słoneczko połyska,
 Co czynić? czekać bożej nie przelamać woli!
 Jedno dręczy mię tylko... ojciec ma kąś roli
 I chatę i winnicę w Szampanii nad Marną;
 Niemcy tam się rozsiedli, a co raz zagarną,
 Nie prędko puszcza z garści... biedniż wy rodzice”.
 I ścisnął wazkie usta i na blade lice
 Wystąpiła mu krasa, oko błysło żarem
 I z piersi przyciśniętej niedoli ciężarem
 Wybiegło ciche łkanie... i nagle mi skręśli
 Smutny obraz zrodzony w chorobliwej myśli;
 Tu, końskimi kopyty stratowane plony,
 Tam, dymiące się zgliszczą chaty rozwalonéj.

Obcy zasiadł wesoło z fajką u ogniska,
 Głód, chłód, pomór i nędza boleśnie dociska.
 I dziewczęta plochemi znieważa zaloty,
 I śpiewa pieśń tryumfu, a w nadmiar smroty
 Szablą ze krwi francuskiej jeszcze nie ociekłą
 Straszy wieśniaczą dziatwę... och, istne to piekło!

(po chwili).

Tak, ów biedak, choć z książek nie uczył się wcale,
 Jak dziwnie był wymowny w gorączkowym szale!
 Słowo jego natchnione wnikało w głąb duszy,
 Wskazał mi dom, gdzie żywot ubiegł mu pastuszy.
 Na ścianie wisi obraz, zwycięstwo pod Jeną,
 Wiekopomnej pamięci kupione krwi ceną;
 Niemiec patrzy i bluzga słowa szyderczemi,
 A dziadek, stary wiarus, pochylon ku ziemi
 Słucha, włos mu na skroni drży, biały jak mleko,
 I pyta: rychłoż trumny przytłoczy go wieko?
 Rusza zwiędłemi usty, znać modli się z cicha,
 I drząc leje szyderyc wino do kielicha!

(coraz smutniejszym głosem).

Słowa tego zmarłego wciąż dzwonią boleśnie
 W mém sercu, jego postać widzę niby we śnie.
 Słusznie mówił... — jak powódź zaleli nam siola!
 I długo pozostaną... bo Francya czyż zdola
 Wydobyć tyle złota!... ach!... trzebaż go tyle!

(spogląda w zwierciadło i uśmiecha się).

Jam doprawdy dziś piękna. . Czas jechać za chwilę,
 Śliczny strój... na tym balu nie jedna dziś może
 Pozazdrości mi w duszy!

(z goryczą).

Ten bal .. o mój Boże!

Niedawno cel mych pragnień... czemuż bez odrazy
 Myśleć o nim nie mogę... owiana w te gazy,
 Strojna w perły, w rubiny, z utrefioną głową,
 Dumna i piękna wnijdę na salę balową,
 I blask mi dyamenty rozsieją po czole;
 A tam co?.. płacz i nędza!.. tam cudze patrole
 Budzą ze snu wieśniaków... tam brzmi jęk niewieści!
 Tam nasz wiarus nieszczęśny, gdy go wróg bezceści,
 Odkrywa przed nim głowę z duszą zrozpaczoną.
 Jak mi serce uderza... jak mi lica płoną!
 Nie, ja na bal nie pójdę!

(zaciśka oczy, potem spogląda ku drzewom).

Co widzę? na Boga!
 Jego trup, jego widmo stoi tam... u proga!
 Uśmiecha się i pyta... jak drżący, jak blady...
 — Snać po tej strasznej wojnie zatarte już ślady...
 Snać wolne od najazdu nasze wsie i miasta,
 Skoro na bal pośpiesza francuska niewiasta
 Zdobna w perły, w klejnoty, w ten przystroj uroczy?
 Zatrzął się i surowo wzrok wlepia mi w oczy,
 Wskazuje z pod całuna swoją pierś rozdartą
 I w myśli niby liczy, ile złoto warto,
 Które ja mam na sobie.

(po chwili z postanowieniem).

Wiem, jak użyć trzeba
 Tych skarbów... w głosie jego słyszę wyrok nieba!
 Precz z czoła te rubiny, te perły, to złoto!
 Dziecięce te bawidła jak mi piersi gniotą!
 Ten sznur przezystych pereł ileż łez oplaci?
 Wam topazy, szafiry, isé w okup za braci.
 O! iluż ich od nędzy i sromu ocali
 Ten pierścień ze szmaragdu, ta brosza z opali;
 Ta gwiazda brylantowa, co mi z czoła błyska,
 Niech szczęście do cichego przywróci ogniska;
 A ten drogi naszyjnik ocenion tak wiele,
 On dwudziestu rodzinom przywróci wesele!

(W miarę jak mówi, zdejmuje klejnoty i składa je w pudełka rozrzucone po stole).

Teraz pójde na wieczór bez sztucznej ozdoby,
 Silna mojem ubóstwem, dumna z méj żaloby.
 O Francyo! jak ty biedna, jak ty krzepka, młoda!
 A gdy mię kto zapyta, co znaczy ta moda?
 Odpowiem z dumnym czołem: wamże pytać o to?
 Mój brat zażądał złota... i dałam mu złoto!

CZYŃ, COŚ POWINIEN.

OSOBY:

MARTA.

DANIEL, syn jój dziesięcioletni.

DANIEL, nauczyciel wiejski.

Rzecz dzieje się w Hawrze w bliskości portu.

SCENA PIERWSZA.

MARTA.—HENRYK.

(Marta w grubój żalobie siedzi przed wystawą naprzeciw morza. W porcie ruch wielki, majtkowie ładują okręty).

HENRYK. A więc dziś odpływamy?

MARTA.

Tak, dziś, drogie dziecię...

HENRYK. *(wesolo).*

Zwiedzać kraje nieznanne... ach! jestże na świecie
Większa radość?...

MARTA.

Trudno znieść już więcej,
Niżlim zniosła przez kilka ostatnich miesięcy!
Gdziekolwiek się obrócim, nie zbraknie nam chleba,
Płynmy więc pod nieznanne Ameryki nieba;
Tam, pracą nowe sobie utorujęm drogi,
Tu, kiedy spojrzę w przyszłość — cała drżę od trwogii
Śpieszmy więc.

HENRYK.

A czy będziesz tam, matko, spokojna?

MARTA.

Mam nadzieję, mój synu!

(Chłopak odbiega na morze, matka spogląda za nim).

Ta przeklęta wojna!

Och! wydarła mi męża, ojca wzięła tobie!
I gdybyż choć na drogim zapłakać mi grobie?
Gdzie ten grób? kto wie o nim? biednyż ty, sierotko,
Co uśmiechasz się do mnie tak wdzięcznie, tak słodko,
Twój-by los miał być taki? nie dopuść-że, Boże!
Kraju mój! gdzie mi pierwsze błysło życia zorze,
Twa mowa, jak czarownie potrąca mi ucho,
W niej to, słowo miłości wyrzekłam z otuchą,
W niej maleńki mój synek dał mi matki imię!
O! jakież to pociski sprawiły olbrzymie,

Że dziś mnie twe powietrze dławi tak grobowo,
Przez ciebie on sierotą, przez ciebie jam wdową!

HENRYK. *(powracając).*

Jakże huczą te fale: nie sięgnąć ich wzrokiem.
Wesoło-ć to po morzu żaglować szerokiem!
(wskazując na morze).

MARTA. Cóż to za chmura, matko? widzisz, jaka sina...

HENRYK. Statek dąży do portu, dym bucha z komina.
Dziwnieź to morze piękne! widziałem w przystani,
Jak się snują majtkowie wkoło spracowani.

Ładują nasz parowiec i gwarzą ochoczo,
Flagi z wiatrem na masztach jak wstęgi furkoczą,
Murzynek, mniejszy jeszcze ode mnie chłopczyzna,
W górę, istna wiewiórka, po linach się wspina.
Co tam ruch! co gwaru! zawalon brzeg długi:
Tu, beczki z owocami, tam, w klatkach papugi,
Powietrze przesycone olejem i smołą.
Gdzie rzuć okiem, na płótnie wypisane wkoło:
Walpareso, La Plata, Hawanna i Chili.

Popłynąć już na morze radbym w jednej chwili;
Niech burza szarpie żagle, niech maszty pokruszy,
Tém lepiej—na przygody mam dość hartu w duszy!
Niech rozbije się statek, ja przez wściekle fale
Na kruchym złomie masztu sam siebie ocalę.
Czytałem Robinsona... zapomnieć go trudno,
Gdy morze nas wyrzuci na wyspę bezludną,
Pobuduje ci chatkę z gałązek i trzciny;
W pracy długie nam lata zbiegną jak godziny
I będziesz tam szczęśliwsza niż tu w tłumie ludzi,
Radość może znów uśmiech na twych ustach zbudzi.

MARTA. Dziecko!

(na stronie). Jak się w tym wieku dziwne myśli plotą!
On zapomniał już ojca! biedny ty, sieroto!

HENRYK. *(głośno).* Nim statek naladują, pobiegaj tam jeszcze!
MARTA. Śpieszę, matko.

Chodź, synku, niechaj cię popieszcze!
(Całuje Henryka; potem chłopiec odbiega).

SCENA DRUGA.

MARTA *(sama).*

Ciężkie mi to wygnanie, lecz zachowam syna.
Czuwać nad nim, to święta powinność mateczyna,

W nim świeci mego szczęścia promyczek ostatni!
Na toż go mam wychować, by z paszczy armatniej
Zmiotła go pierwsza kula? Francyo, masz-że prawo
Żądać takiej ofiary? Ojciec spłacił krwawo
Dług za siebie i syna! I czegoż się trwożę?
On pod darnią grobową potępi mnie może!
On powie, że bezmyślnie oddalam się z wioski,
Gdzieśmy życia poranek przeżyli bez troski,
Że chcę gonić po świecie uludę zdradziecką,
Że od progów domowych odrywam to dziecko!
Dziś krwawą postać męża widziałam ja we śnie,
Ten obraz w myśli mojej tak utkwil boleśnie!
Ocalić go... to życia mego cel jedyny;
Czytam w głębi swęj duszy... nie widzę w niej winy;
Wszak miłość macierzyńska wszystko w niej zwycięża.
(sposstrzega zbliżającego się Daniela).
Co widzę? stary Daniel!.. tak... przyjaciel męża.

SCENA TRZECIA.

MARTA.—DANIEL.

DANIEL. Odplywasz?

MARTA. Dziś wieczorem.

DANIEL. I on?

MARTA. Nieinaczęj.

DANIEL. Posłuchaj mnie cierpliwie: w tój szkółce wieśniaczęj,
Gdzie uczą abecadła ubogie chłopięta,
W sercach tam dobra wola i prostota święta,
Co się w myśli urodzi, z ust wybieży łatwo!
Otóż gdy się rozeszła wieść pomiędzy dziatwą,
Że kiedy nasz widnokrag czarna chmura słońi,
Ty odjeżdżasz z Henrykiem... wynaleźli oni
Słowo, co rzecz określa w ich sposobie szczerym.
Jak zwą twójgo syna? zwą go dezterem!
Przyjacielu!

MARTA.

DANIEL.

Nie przeczę, chłopiec jeszcze mały,
Rozrządzać jego losem prawa moc ci dały,
Lecz powinność przed prawem, tu znaczy coś więcej.
Czyżes ty oświeciła ten umysł dziecięcy?

Czy z twych ust macierzyńskich posłyszał on, Marto,
 Że nam ziemię alzacką z pod serca wydarto,
 Że wzięto Metz i Strasburg! że my cierpim srodze —
 Ból, jaki cierpi wiarus w postradanéj nodze;
 Czy on wie, że dziś straszna przypadła nam dola?
 Że ojciec krwią obroczył Freswilleru pola?

MARTA. Wié, lecz to w nim ku matce uczuć nie zagłuszy,
 Zna całą moc miłości w méj zbolaléj duszy;
 Gdybym go stracić miał! włos staje mi z głowy.
 Marto!

DANIEL. Czy ty pamiętasz ten wieczór wrześniowy?
 MARTA. Mąż poszedł, na myśl o nim drżałam niespokojna,
 Tylko co się zaczęła ta nieszczęsna wojna,
 Ktoś we drzwi zakolatał... goniec smutnéj wieści
 Wręczył mi krzyż i pismo!... szalona z boleści
 Pobieglam do Henryka... spał... wsparta o łożo,
 Zawolałam w rozpaczy, ach! ocal go, Boże,
 Dla matki!

DANIEL. I dla Francyi, dodałem ja z cicha.

MARTA. Zamałoż to goryczy z jednego kielicha?
 Ona wzięła mi męża... to dość!..

DANIEL. O! nie tobie
 Nikczemnie zbiegać z pola.

MARTA. Wiem dobrze, co robię!

DANIEL. Zostań!

MARTA. Dzisiaj od ładu odbija nasz statek.

DANIEL. Niepodobna!

MARTA. Ja nie mam serca rzymskich matek!

DANIEL. Ty jutro pożalujesz chwilowego szalu.

MARTA. Wszak mam prawo do syna. Jadę dziś.

DANIEL. Pomału...

MARTA. On także synem Francyi.

MARTA. Ona pełną czaszą

DANIEL. Pije krew własnych dzieci.

DANIEL. Powinnością naszą

MARTA. Służyć jój!

MARTA. W jój dziś imię brat morduje brata!

DANIEL. Marto! mąż twój cię słyszy!..

MARTA. On sam z poza świata:

DANIEL. Uciekaj! — tajemnemi woła na mnie słowy.

DANIEL. Ty bluźnisz!

SCENA CZWARTA.

CIŻ I HENRYK.

HENRYK (*żywo*). Matko! Matko! już statek gotowy.

Para buchał — czas w drogę — mówili majtkowie.
 (*sposstrzegając Daniela*).

Pan Daniel tu!

DANIEL. Henryku!

MARTA. Nie wierz mu... on powie,
 Że trzeba nam pozostać... on w sprzeczności ze mną
 Nazwie ci tę żegluga włóczęgą daremną;
 On poszeptnie ci imię twój rodzinnéj ziemi,
 Myśl twą będzie kołysał złudy kłamliwemi.
 Nie słuchaj go, Henryku! on tobie wywróży
 Słoneczne dni pogody po kłęskach i burzy.

DANIEL. Wskaże ci mężne hufce, jak kroczą do granic,
 Łzy matek, życie synów, on wszystko ma za nie!
 Niechaj młodzież krew z serca do kropli wytoczy,
 By na chwilę przedłużyć jego sen uroczy!
 On ukaże ci naród splamiony niesławą,
 Rozbudzi proch umarłych pod grobowca trawą!
 Strzeż się! niech cię nie zwiedzie głos tego człowieka!
 Jesteś w błędzie... wiem, Marto... wiem... ciebie tam czeka
 Błoga cisza i spokój i pomyślność może...
 Płyn, niebo tak błękitne — tak łagodne morze!
 Poco zwłóczyć?... płyn, Marto! niech para skrzydlata
 Na przestrzenie nowego poniesie was świata,
 Kędy gleba słonecznym promieniem spulchniona,
 Ledwie tknięta lemieszem z żyznego wam łona
 Wyrzuci skarb w zapłatę pracowitéj dłoni,
 I złotemi wam kłosa na tryumf zadzwoni.
 O tak! złoto dziś wszystkiém.. czyż wahać się warto?
 Tam szczęście, nowy Eden! — płyn tam, biedna Marto!
 Dla człowieka, co liczy, co kocha sam siebie,
 Poco ścigać czeze złudy po marzeń gdzieś niebie?
 Siał, zbierać z jakiej roli, kto się troszczy o to?
 Ta, nie ta, każda dobra, skoro daje złoto.
 Mniejsza, czy kości ojców próchnieją w tej ziemi,
 To przesady odwieczne! czas nam skończyć z niemi,
 Szczęśliwy, kto nie patrzy w dniu kłęski i sromu,
 Na walące się w stopy belki swego domu,

Na krew z tysiąca piersi rzekami pociekłą:
Uchodź, Marto! wszak widzisz — Francya istne piekło!
(*po chwili z głęboką boleścią*).

Wiek żelazny szerokie roztworzył nam wrota.
Naród przyszedł do tego przełomu żywota,
Z którego Bóg go tylko może dźwignąć cudem.
Czy stanie się w przyszłości jeszcze wielkim ludem?
Nie wiem... to, na com patrzył własnymi oczyma,
Słabą daje otuchę! Czemuż Bóg mnie trzyma?
Lżejby mi na spoczynek zastąpić w trumnę cichą.
Ludu, zgrzęzły w ślepotcie, opętany pychą,
Gorzka prawdę z pod serca rzucę ci przed oczy!
Kiedy na szkolnych ławach dziatwa mnie otoczy
I gdy mnie zapytają pachołęta drżące:
Skąd na kraj nasz runęło tych gromów tysiące?
Tych plag ciężkich powody, wskażę z prawdą ścisłą,
Powie, ile łez wrzących z mych powiek wytrysło,
Niech osądzi ta dziatwa w swojej duszy prostej,
Ile był zasłużonym ten bicz bożej chłosty?
Powie, jak straszną siłą dał wicher szalony,
Nad krajem stratowanym cudzemi zagony,
Jak licznych klęsk nawaleń rozwścieczeni srodze
Miotali sobie w oczy żołnierze i wodze
Obelżywe zarzuty podłości i zdrady!
A gdy wielkiego miasta trzęsą się posady
Pod gradem bomb, ta gawiedz, co ma nad nim strażę
Czeka, rychło tryumfy w krwi bratniej pomaże!
Powie dzieciom, jak wobec już niechybnej zguby,
Szamoczą się stronnictwa, jak szaleją kluby;
Jak w tej ostatniej klęski i sromu godzinie,
Gdy strumieniem łzy płyną i krew rzeką płynie,
Gdy Paryż składa oręż pokonany głodem,
A zwycięzca jak wryty stoi tuż pod grodem
I wzrok wlepia w olbrzyma... i zdjęły go dreszcze,
Nie śmie stąpić... i pyta, azali żyw jeszcze?
W takiej chwili... och! lica rumieńcem mi płoną!
Krwawa tłuszczą pochwyca chorągiew czerwona,
Bez ojczyzny! bez Boga! obala ład stary,
Pełnemi sieje garściami mordy i pożary,
A Niemiec nasze zgliszcza przy łun blasku liczy,
I na cześć ich wychyla puhar biesiadniczy!

HENRYK. A więc wszystko przepadło! O! serce mi pęka!
Mów, mistrzu!

DANIEL. Nie przepadło! jeszcze boża ręka
Wydźwignie nas z odmetu! Ja, chłopce kochany,
Rozpalone żelazo przyłożę do rany
Mych dziełek, aby zniszczyć do gruntu tę pychę,
Co jady zatrutemi kazi serca ciche,
Gdy słuchać będą łzawi z pochyloną głową,
Z głębi serca pociechy wyrzucę im słowo.

HENRYK (*żywo*). Cóż im powiesz?

DANIEL. Ach! powiem, że w tej zawierusze
Świeciły czystym ogniem bohaterskie dusze,
Że w tej młodzi, co biegła od pluga na basło,
Ni barki nie omdlały, ni serce nie zgasto.
Powie, jaki do czynu skory duch w narodzie,
Jak Paryż bohatersko trwał w chłodzie i głodzie.
Jak nad marny dobrobyt cześć w wyższej miał cenie,
Powie, jak umierali dzielni w Chatodenie,
Jak z namiotów, sterczących po kraju szeregiem,
Szamotanych zamiecią, przywalonych śniegiem,
Żołnierz poglądał w górę, ku chmurnym niebiosom,
Za gwiazdą, co sprzyjała niegdyś naszym losom
I pewien, że z chmur błysnie, jadł z wiarą chleb czarny,
I podsycał wciąż ziemię zrojem krwi ofiarnej.
Te ostatnie narodu opowiem im dzieje,
I zbudzę w sercach dziatwy miłość i nadzieję,
Uczucie powinności wszczepię w nie od młodu.
I powstaną z tej dziatwy mściciele narodu!

HENRYK (*z zapalem*). Mściciele!

MARTA (*gwałtownie do Daniela*). Stój, niebaczny! odwołaj to słowo!
Nie przystałoż mu czuwać nad matką, nad wdową?
Wszak ty sam, gdyś obliczał nasze smutne klęski,
Przy okrzykach tryumfu gawiedzi zwycięskiej,
Zwątpiłeś o narodzie! chcesz, by mi wydarło
Ostatnią tę nadzieję?

DANIEL. Posłuchaj mnie, Marto,
Człowiek prosty, ja nie mam tej siły proroczej,
Co rozdziera mrok czasów, ale mi na oczy
Zimny całun niewiary nie upadł grobowo;
My po tych krwawych klęskach urośnięm w moc nową,
Przyćmiona gwiazda nasza znów ludom zaświeci.

MARTA (*ukazując Henryka*). To dziecko...

DANIEL (*do Daniela*). Przyszłość Francji w was spoczywa, dzieci!
Nim godzina uderzy, nam tylko przystało
Karmić w was święty zapal i wolę wytrwałą.

- A gdy nowa pobudka na hasło zadzwoni,
Czarny włos nasz, jak mleko zbieleje na skroni
I ręką wam zgrzybiałą nakreślím znak krzyża!
Już naród lekkomyślny do zguby się zbliża,
Poco w oczy nam rzucać tumanem uroczym?
Brakło serc!...
- MARTA.
- DANIEL. My szkół mistrze serca przeistoczym!
Dajcież synów, te płonki, jakie nagiąć łatwo;
Nasza święta powinność czuwać nad tą działywą —
Karmić ją zdrowém ziarnem.
- MARTA. Daremna otucha.
Próżny sen i nic więcej.
- HENRYK. Matko, skłońmy ucha!
DANIEL. Jeśli Francuz, odrodzon w tój próbie ogniowój,
Chce śmiałą wstąpić nogą w tor żywota nowy,
Jeśli zwodnych mamideł otoczon tysiącem,
Wzgardzi zatrutą księgą i słowem durzącem,
I przed prawa powagą sam karku nakłoni,
Jeżeli się w szalonej powstrzyma pogoni
Za krwawym i ohydny bezrządu potworem,
Jeśli szatański posiew zniszczy w sercu chorem:
Wtedy zmyjem policzek, co nam wrósł do twarzy,
I stary miecz Brenusa znów szalę przeważył!
Prawnuk dzielnych krzyżowców i oracz od pluga,
I kupiec spanoszony, wyrobnik i sługa,
Ogarnięci tym żarem, co gdy buchnie z duszy,
Roztopi lodowiska i skały pokruszy,
Na gruzach starych waśni złączy brata z bratem
I uświęci serc węzeł ofiary ebryzmatem!
- HENRYK. Matko! głos twój rozpaczy dał radę zdradziecką!
My uciekać nie możemy...
- MARTA. Szalone ty dziecko!
Coś uczynił, Danielu?
- DANIEL. To powinność święta
- MARTA (do Henryka). Chcesz tego?
- HENRYK. Matko! dziękil
- MARTA. Pierś moja ściśnięta,
Lecz z za chmur mi polyska lepszej doli zorze.
Panie, ocal mi syna!
- DANIEL (podnosząc ręce). Ocal Francję, Boże!

III. Z AUGUSTA BARBIER *).

Wzgórza Erynu.

W dniu, gdym pożegnał moich ojców ziemie,
Wzgórków Erynu tak uroczy cień,
Na pierś tęsknoty upadło mi brzemię.
Gdzie tych domowych zaczerpnąć już tehnień?
Wszystko tam cudne — i on strumyk wązki,
Co skrapia łąkę przez szczeliny skał,
Rosa, co srebrzy rankiem drzew gałązki!
Tychżebym czarów ja przepomnieć miał?

Pomnę, jak biedni pół nago i boso
Na pomost hurmem tłoczymy się wraz,
Niech okręt fale daleko poniosą,
Tam lepsza dola może spotkać nas!
Nędza tu nasze opustosza ściany,
Tu głód nas morzy wpośród własnych pól,
W mróz nam odzieżą dziurawe łachmany,
Których angielski nie doniszczył mół!

*) August Barbier ur. w r. 1805, zmarły w 1852. Pierwszy rozgłos zjednał mu satyra, wydane p. t. *Jamby* w krótkce po wypadkach lipcowych 1830 roku. Oстрым biczem chłoscze on tłumy kandydatów, wdzierających się na urzędy. W satyrze p. t. *La Curée* porównywa ten tłum do sfory gończej, chciwej krwawego łupu, poruszony nędzą i pracą nad siły robotników angielskich a szczególnie irlandzkich, odzywa się na rzecz ich, z głębokiém politowaniem, w imię znieważonej ludzkości.

Czemuż to drudzy — plon jedzą bogaty,
 Z posiewów naszych, gdy my cierpim głód?
 Dlaczego drudzy tkają miękkie szaty,
 Z bieluchnej wełny naszych licznych trzód?
 Ziemiaż to matka mlekiem nie wyżywi
 Działy zrodzonej z krwi jej własnych żył?
 Z obcego łona czemuż nieszczęśliwi
 Musimy do życia czerpać nowych sił?

Dawno wiatr zrodzon pod miesięczną gwiazdą
 Pcha nasze łodzie wśród bezbrzeżnych mórz!
 Dawno prom bije w nasze stare gniazdo,
 Czyni tę ziemię krajem wiecznych burz!
 Gniew i pogarda niby grad szalony
 W te żyzne pola wiecznie tną a tną,
 Miałżeby w końcu nasz Eryn zielony
 Stoczyć się w chłodne czarne dno?

Szczęśliwe trzody! dla was konieczyny
 Kwitną w rozdołach u stóp naszych gór,
 W cienistych lasach szczęśliwe ptaszyny
 O ranniej rosie wam zawodzić chór,
 Z łąki skoszonej woń siana tam bucha,
 Z trawą kryniczny pogwarza tam zdrój,
 Nad wodą kwitnie szczawik i rzerzucha,
 Jakżeś ty piękny — ach! Erynie mój!

L o n d y n.

Niezmierzona to przestrzeń, skrzydełby nie stało
 Jaskółce, by przez dobę przelecieć ją całą!
 Zdaleka, niby opok granitowe złomy
 Widzisz gmachy, pałace, pomniki i domy.
 Snadź wieki je bez ładu naniosły w stolicę.
 Widzisz czarne, kominy, przemysłu dzwonnice,
 Z paszczką wciąż rozwartą szeroko, przez którą
 Z żarzącego kadłuba dym wali się chmurą.
 Widzisz strzały gotyckie, jak w niebo wybiegły
 Przez tumany mgły szarej po nad góry z cegły,

I tę rzekę falistą, co swe brudne męty
 Przetacza wśród pagórków bystreimi zakręty.
 Straszna jak Styks piekielny — czy widzisz brzeg z brzegiem
 Łączą mosty na polach olbrzymim szeregiem,
 Jak rodyjskie kolosy, pod łuk ich w swobodzie
 Wpływają lasem maszty, okręty i łodzie,
 W świat roznosi szeroki ta przystań cuchnąca
 Plody pracy wytrwałej narodów tysiąca!
 Widzisz one warsztaty i sklepy, co chłoną
 Wszystkie ziemi bogactwa w swe potworne łono,
 Widzisz, jak na tém niebie kłęby chmur się kupią,
 Jak słońce na świat patrzy stąd źrenicą trupią,
 Jak strutemi wyziewy zasnuły wokóło
 Wychyla z pod całuna chorobliwe czoło.
 Widzisz, jak w tym szalonym ziemskich trudów steku
 Zwolna iskra promienna zagasa w człowieku:
 Tłum, zanurzony w ciemności, złych popędów słucha,
 Garścią chwyta za złoto — a zatracą ducha!

IV. Z EUGENIUSZA MANUELA *).

Do czytelnika sonet.

Pod osłoną mchu i trzciny,
Czasem wzrok twój napotyka
Tajemniczy prąd strumyka,
W którym poją pierś ptaszyny.

Kędyż strumyk ten pomyka
Z tych zielonych mchów i trzciny?
Wpóśród leśnej gdzieś gęstwiny,
Niedostrzeżon głucho znika!

I bez celu długo bieży,
I ogarnia coraz szerzej
Brzeg zielony a kwiecisty.

Tak mój strumień cicho płynie
Wśród murawy po dolinie,
Pij-że śmiało — wszak on czysty!

*) Eugeniusz Manuel urodzony w r. 1823, od młodu oddany zawodowi profesorskiemu, mimo licznych prac obowiązkowych, wyspiewał mnóstwo pełnych uroku pieśni. Zachęcony otrzymanym wieńcem akademickim, napisał jednoaktową komedię wierszem, p. t.: *Robotnicy*. Publiczność przyjęła z zapalem sztukę. Akademia przyznała pierwszą nagrodę autorowi. Nieco później Manuel wystąpił z nowym dramacikiem p. t. *Nieobecny*, obsypanym zarówno okłaskami. Od lat kilku mianowany głównym Inspektorem wychowawczych zakładów we Francyi, poeta umilkł, przyciśnięty wielkim nawałem pracy.

Uderz w skrzydła.

Ty cierpisz, ja zgaduję, co twa boleść znaczy,
Nie śmiesz zdruzgotanego podnieść w górę czoła.
Twoja dusza rozdarta, w bezsilnej rozpacz
Odrąca żal, co z prochu podźwignąć ją zdoła.

Gdy obliczasz skażone twego życia plony,
Oddajesz za wygraną: czyż walka skończona?
Twe serce kryje w głębi płomień niedotlony,
Ty musisz go rozdmuchać krzepkiem tchnieniem łona.

Uderz w skrzydła, otrząśnij tumany złowieszcze,
Duch gotów do polotu odrodzi się jeszcze.
Po nad gwiazdy— potężnie skrzydła go poniosą,
Nieraz piana powierzchni wód krynicznych splami
I w przelocie jaskółka dotknie jej skrzydłami,
Lecz w słońcu je osuszy wykapanę rosą.

S u k i e n k a.

Hałas i tartas w izdebce ubogiej;
Nigdy tam słonko nie padnie na ściany!
Ledwie nadedniem robotnik pijany
Z kłutwą na ustach powrócił w swe progi,
Zaspał też ranek, gdy ze snu ockniony
Dźwignął się z łoża, ciężko stopy wlecze,
Dobrego słowa nie rzeknie do żony,
Dobrego słowa żona nie odrzeczce.
Głodny, śniadania domaga się żwawo
Jedno i drugie w bezrozumnym guiewie.
Dobrze wie, czego wymagać ma prawo,
Lecz jak ma czynić, żadne o tém nie wie.
Oboje winni, starym też zwyczajem
Winy na siebie zwalają nawzajem.

— „Gdzieżeś to była? odpowiedz, niegodna!”

Mąż groźno pyta spieniczny od złości.

— „Gdzie? po robotę, jam od wczora głodna.

Tyś hulaj w karczmie, mnie chłód ściał do kości!”

— „Piłem, bo chciałem”...

— „Chodziłam, bom chcia

Kto mi zabroni?”.

— „Lataweze przekłęty!”

— „Nędzny pijaku!”

I walka zawrzała

Groźna i straszna, i zebrane męty

Z serc wybuchnęły przez usta potokiem.

Szydercze słowa kaleczą jak gady;

Sięgają w przeszłość rozżalonym wzrokiem.

Mąż wreszcie rzecze:

— „Skończmy raz te zwady,

Już tego dosyć, aż mi głowa pęka.

Sam chyba szatan skojarzył to stadło.

Takie pożycie, to hańba, to męka,

Raz-by te pęta rozerwać wypadło;

Z odrazą patrzę na te brudne ściany,

Gdzie się stóp moich czepliła niedola,

Człek tu jak w grobie żywcem pogrzebany,

Potrzeba skończyć!”

— „Uczyńże jak wola,

Lepiej się rozstać — kobieta odpowie—

Dawno to slysze, pogróżka to stara,

Przecie rzecz zawsze kończy się na słowie!”

— „Już cierpliwości przebrała się miara,

Za długom znosił!”

— „To śmierć!”

— „Istne piekło!

Lecz nie uciecze to, co się odwlekło!”

— „Precz więc z tych progów! kobieta zawoła—

Czas nam obojgu odetchnąć w swobodzie

Wyżywić siebie ta ręka podola,

Mam krzepkie siły, głód mi nie dobodzie.

Idź-że do szynku, pij...— hulaj tam śmiało,

A od tych progów waraj strzeż cię, Boże!

Chociaż-byś we drzwi kolatał noc całą,

Klamka zapadła — ja ci nie otworzę!”

— „Niech i tak będzie... toć rzecz nie skończona;

Półowa sprzętów, mnie z prawa należy

Jam ci se kupił, chcesz widzę, szalona,
Bym stąd nic nie tknął — prócz własnej odzieży!

Więc do podziału to moje, to twoje,

Śpieszmy co żywo”!..

— „Piękne mi podziały!

Kiedyś ty w karczmie marnował dzień cały,

Jam pracowała, ile sił, za dwoje;

Biedne me sprzęty!.. ale mniejsza o to,

Nic z twojej łaski nie chcę mieć, niecnoto!”

Poczęli dzielić dobytek ubogi

I pot obojgu ciecze strugą z czoła,

W izdebce wszystko zburzyli dokoła,

Mąż radby rzucił wnet obmierzłe progi,

Żwawo się krząta, milczący i blady.

Przewraca stolki, wyciąga szuflady,

Przyspiesza dzieło bezbożne a płocze.

Szarpią swe gniazdo, szamoczą je wzajem.

Byle ofiary i miłości trochę,

To gniazdo przecie mogło być ich rajem.

Na dużym stole, na łóżku, na ziemi

Pokładli graty, na poly się dzielą

Całą chudobą — sprzęty ubogiemi,

Szkłem i bielizną, farfurem, pościelą.

I wykonali oboje bez trudu

Smutny ten rozwód, co nieraz u ludu

Spełnia się, prawa nie wsparty wyrokiem.

Radzi oboje z niemilęj wyjść spółki,

Więc się krzątają, by skończyć przed zmrokiem.

A wtém robotnik zdjął z wysokości półki

Mały tobolek płótnem obwiniony.

Dawno go ręka nie tknęła niczyja,

Bo stęchl i pozółkl..

— Cóż to?—pyta żony,

I ręką skorą tobolek rozwija.

Patrzy... sukienka i czepeczek biały.

Wzrok ich się spotkał — krew się w żyłach ścina,

Toż to po zmarłej dziewczeczce ich małej

Spuścizna całal pamiątka jedyna!

Drżą... milczą... stopy wrosły im do ziemi,

Wskroś błyskawica serca im przeszywa,

Postać dzieciątka stanęła przed niemi

W tej sukieneczce — bieluchna, jak żywa;

— To moja własność!” rzecze mąż, przycisnie

Drogą pamiątkę do piersi wzburzonéj.

— „Ty jój nie weźmiesz?! wzrok jój gniewem błysnie,
I trupia bladeść twarz powlekła żony.

„Jam ją uszyła! — nie oddam jój?! rzecze.

— „Musisz?!“

— „Nie; nigdy! — wszak to skarb mój cały!

Zabieraj wszystko, szalony człowiecze,

Ale mi nie tknij téj sukienki białej.

Dziecinko moja, ty żyjesz u Boga

W gronie aniołków, a za twemi ślady

Szczęście odeszło od mojego proga,

Dziś tu inaczej, ha! nie ma już rady?!“

I z rąk mężowskich wyrwie jak liść drżąca

Drogą pamiątkę, on puścił ją z dłoni,

Z pod powiek matki łza spadła gorąca

Na zwiędłe lice i pamięcią goni

Cichego szczęścia dni zbiegłych niewiele,

Gdy w tę sukienkę, w tę czapczkę białą,

Śliczne dzieciątko stroiła w niedzielę,

Rozradowana sąsiadek pochwała.

I drżącą ręką, splakana i smutna,

Znów drogie skarby obwija w skraj płótna.

— „Czemż nie wcześniej — poszepnie do siebie,

Dziś już zapóźno?!“

„Nie późno, kobietol

Gdy to dzieciątko, co u Boga w niebie,

Wróciło do nas, i świętą p dnię

Tknęło nam serca, kiedy nam nieboże

Swoją chudobę rozkroić wzbronilo,

Odpuśćmyż sobie krzywdy w imię boże;

Drogą wspomnienia zjednoczeni siłą!

Ja stąd nie pójdę—ty przebacz mi, droga”

Siadł, snadź wyrzuty serce mu rozdarły.

—Ty drżysz! pobiegła ku niemu nieboga.

—Dziękujmy, szepną, dziecinie umarléj!

A l m a m a t e r.

Tysiące się rozbiegło w różne świata strony,
W ich sercu z mych posiewów zakwitł plon zielony.

Niech się zżyma sofista, wymyślać mu wolno,

Na spleśniałą rutybę, na metodę szkolną,

Niech grom rzuca na mistrza pedantyzm jałowy,

Że przebojem pcha uczniom łacinę do głowy,

Że gdy szumne wyrazy płyną mu przez usta,

Nie zadrgnie tętnem życia pierś chłodna a pusta,

Że w todze bakalarskiej, w doktorskim birecie

Rad z kostnicy wywłóczy historyczne śmiecie:

One widma zagrzęzłe w przeszłości dalekiej,

Co głucho pod całunem przespały dwa wieki.

Młodzieży! ty odpowiedz — z naszych czasów łona

Błysnęłaż po nad światem jedna myśl zrodzona?

Wzbił-że się okrzyk chwały, miłości lub gniewu,

Wybujal-że kłos jeden z świętych cnót posiewu,

Zabrzmiał-że chór pochwalny w cześć wielkiej ofierze,

Byśmy nie przyklasnęli gorąco a szczerze.

Wyprzedziłyż nas czasy? kto wyższe ma prawo

Że żyjem zagrzebani pod wieków kurzawą.

Zaprzecz, dzielna młodzieży, gdy powie bluźnierca,

Żesmy nie wykrzesali iskry z twego serca!

Bóg mi świadkiem od chwili, kiedy pelen wiary

Przyłożył pracę własną do wspólnej ofiary,

Świat w obrębie téj szkoły odbity ujrzałem,

Prawda była mi celem, pięknoi—dealem.

Dumny z cennej pszenicy, którą siać mi dano,

Rzuciałem ją na zagon z plew marnych owianą.

Bakalarka mi prostém nie była rzemiosłem,

Do zamierzczyłéj przeszłości duszą nie przyrosłem,

Nigdy świętego żaru w dziecka piersi żywéj

Rzymskiemi ni greckimi nie ściszał ogniwy.

Tylko prawo sternictwa tym ludom należy,

Jam szukał wszędzie krynic, skąd bucha zdroj świeży.

Jam wskazywał, badając sprzeczne dziejów chwile,

I strupiałych za życia i żywych w mogile.

Powiedzcie, młode druby, i wy bracia starzy

Czy z nas jeden z téj drogi cofnąć się poważy.

Mówcie, czy mnie unosi pycha godna śmiechu?

Jam wyrobnik, nic więcéj, jeden z tego cechu,

Co z miłością i wiarą tę dziedzinę mierzy,

Kędy skrzydła zaprawia lotny duch młodzieży.

Z myślą w przeszłość zwróconą, patrząc naprzód śmiało,

My wiemy jak rozdmuchać w żar iskierkę małą,

Jak wyryc obraz świata w wyobraźni młodej,
 Oznaczyć pochod wieków, rozróżnić narody.
 My w pierś zdolniejszych uczniów, jakby w świętą czaszę,
 Co dzień zdobyte wiedzy przelewamy nasze.
 Patrzym, jak z serce uprawnych siłą twórczą słowa
 Świeżą płonką na wiosnę kielkuje myśl zdrowa.
 Dzieło przez nas poczęte przyroda niech spełni,
 Dąb krzepkie swe konary rozpostrze tém dzielniej,
 Sam z siebie on dobędzie sił żywotne skarby
 Gdy dłoń mistrza w zbyt twarde nie ujmie go karby.
 Nasz duch pierwszy się wspina po gór wzniosłym szczycie,
 On z miłością w słonecznym kąpie się błękitcie,
 Tam, kędy nie dobiega walk stronnicych wrzawa,
 Gdzie wiedza niewzruszona zakreśla swe prawa.
 A kraj, któremu zdawna tyś oka zrenicą,
 Wie, ile ci zawdzięcza, poważna Wszechnico!
 Gdzież ta dziatwa przezemnie wyniańczona w trudzie,
 Com jęj rzucał przed oczy niegdyś cud po cudzie!
 Nauczał praw rozumu, tajemnie języka,
 Jak lud w dziejach się rodzi, przemienia i znika,
 Jakie na zgliszczach wieków imiona przetrwały,
 Mędrce, bohaterzy jakiej godni chwały,
 Jak świat cel swój uganiania w przestrzeniach bez końca,
 A Bóg wszystkiem kieruje od proszku do słońca.
 Dziś oczyma tej dzielnej nie zgonię już dziatwy
 Idą setki po drodze mozolnej czy łatwej,
 Wicher sprzecznych dążności nad głową im wieje.
 Przed nimi różne drogi, chęci i nadzieje.
 Patrzą w księgę żywota szeroko rozwartą,
 Co dnia wzrok zatrzymują nad nową jej kartą.
 Ale w głębi jęj serca żyje choć w połowie
 Prawda zakłęta w mistrza, w przyjaiciela słowie.
 Idą pieczęcią moją znaczeni od młodu,
 I tak przez lat dwadzieścia twardego zawodu,
 Gdy z wiarą sieję zagon mój błogosławiony,
 Bóg mnoży łaski cudem moje złote plony.

Do Dziecka.

Dziecię! ty rośniesz; skrzep moc w duszy twojej,
 Walcz, a gdy przyszłość twe nadzieje starga,
 Jeśli masz cierpieć — żalobie przystoi,
 Czasem żal cichy, ale nigdy skarga.

Pisz, mów, działaj wytrwale, bez trwogi,
 Oko w bezbrzeżnym zatapiaj wszechświecie,
 Możesz się zachwiać i upaść w pół drogi,
 Możesz pobłądzić — ale nie kłam, dziecię.

Gdy cię współszermiesz prześcignię do mety,
 Acz ku niej biegłeś szlachetniej i prościej,
 Możesz, pozbawion tryumfu podniety,
 Okazać smutek — lecz nigdy zazdrości.

Jaśli ukochasz, za uludy chwilką
 Długo się włoką zawady i bole,
 Gdy zbieży miłość niech zostanie tylko
 Rana w twém sercu — a nie wstydz na czole.

Złe się rozmogło na ziemi w pomroکہ,
 Gorycz udziałem tych, co w sercu czyści,
 Możesz ukazać i w słowie i w oku,
 Słuszną pogardę — nigdy nienawiści.

A gdy ci jasny zagaśnie brzask zorzy,
 Co ścieżki życia twego rozpromienia,
 Twój pyszny rozum poddaj woli bożej,
 Ach! uczuj boleść — lecz nigdy zwątpienia!

Żądanie.

Co mi znaczy to czoło ze śnieżną martwością,
 Jeżeli cień współczucia nigdy go nie zmroczy?
 Co mi znaczą te żarem palające oczy,
 Gdy z nich łza nie pociekła nigdy nad sierotą?

Co znaczą te paluszki, gdy dłoń spracowana,
 Nie ścisnęła ich nigdy w podzięką zadatek?
 Co znaczą te usteczka świeżuchne jak kwiatek,
 Jeśli im prawdy bożej skarbnica nieznana?

Kobieto! czarodziejko! powietrzny motylu!
 Cheesz zaliczyć mnie w grono holdowników tyłu
 I miód płynię z twych ustek, z oczu płomień tryska,
 Ale ja szukam duszy, tej duszy niewieściej,
 Co niezgasłym urokiem myśl i serce pieści,
 Co tu żyje na ziemi, a nieba już blizka!

K o l e b k a.

Tajemną drży radością serce młodej matki,
 Jak uczcić to dzieciątko, które Bóg jej zsyła.
 Cudnąż mu kolebeczkę w myśli wymarzyła,
 W takiej chyba królewskie spoczywały dziatki.
 Nie z giętkiej ta kołyska spleciona wikliny,
 Lecz z drzewa różanego perłami sadzona.
 Gdybyż była w jej mocy, kupiłaby ona
 Szczerozłotą kolebkę dla drogiej dzieciny!

Stoi sama łóżeczko w rąbki śnieżnej bieli,
 Gdy mu główkę na miękkiej ułoży pościeli,
 Niech aniołek jej zaśnie spokojnie i cicho!
 Przyszło dziecko — pociecha i chluba matczyną,
 Przyniesiono kolebkę — ach! kolebkę lichą,
 Z deszczuleczki dębowej — trumienkę dla syna!

D z i e j e d u s z y.

Z pośród tłumów, czasem skrycie,
 Bóg wybierze duszę czystą,
 I pomału ją przez życie
 Wiedzie drogą krzemienistą.

Jej dobrocią żywo tknięty,
 Wola, świata niedociekła,
 Tehnie w nią płomień uczuć święty,
 By tém więcej krwi z niej ściekło.

Dolę zsyła jej ubogą,
 Aby dusza ta wybrana
 Szła ku Niemu cichą drogą,
 Sama jedna niepoznana.

Twardą chłostą godzi w czoło,
 Co tę duszę w sobie mieści,
 By do walki sił jej stało,
 Poi gorzką łzą boleści.

Uciśnięta w twarde kleszcze,
 Próżne wznosi w niebo głosy;
 Gdy się żzyma — smaga jeszcze,
 Gdy się korzy — zdwaja ciosy!

W ukochane mierzy głowy,
 Bez wytechnienia, raz po razie
 Chłostą krzesze w niej hart nowy,
 Niby młotem skrę w żelazie.

Patrzy sędzia niezblagany,
 Zaliż próby jej nie znużą?
 Gdy zahuczają uragany,
 Czy w zapasy pójdzie z burzą?

A gdy widzi niezwalczoną
 W próbach, w ogniu, w łzach, w żalobie,
 Słodko bierze ją na łono,
 Tak Bóg duszę kuje sobie!

Narzeczoną Robotnika.

Gdzie to pędzisz? — kto cię goni,
 Robotniku z młotem w dłoni,
 Jakaż twoja narzeczoną?

— Młode dziewczę, istne ptasze,
Jój gniazdeczkiem to poddasze,
Izba ciemna, zadymiona.

Ma szesnaście tylko latek,
W jój umyśle dziwny statek,
Ale słaba, cierpi dawno.
Taka smukła jak lilija,
Wyziew miasta ją zabija,
Ciągłe szyje rączką wprawną.

Nad igielką tak się biedzi,
Nie widują jój sąsiedzi;
Ja ją kocham jak brat szczerze,
Śpiew czyżyków u niój słyszę,
To jój wierni towarzysze,
Wciąż im sypie ziarnka świeże.

Bez drew zbiegła twarda zima,
Mróz w okowach ziemię trzyma,
Brak pokarmu, brak wygody.
Piers jój ledwie że oddycha;
Mnie ta straszy mowa cicha,
I rumiane te jagody.

Długa praca zbyt ją męczy,
Z poza sinój téj obręczy,
Jakie oczy jój płonące!
Wszystko, panie, dałbym za to,
Gdyby mogła w skwarne lato
Po zielonój płąsać łące!

Radbym pojął ją za żonę,
Ale dziewczę to szalone,
Ani słyszeć chce, mój Boże!
Nie ma rady, ach! od wczora,
Ona bardzo, bardzo chora!
Pan doktorem jesteś może?

— Gdzie to pędzisz? kto cię goni,
Robotniku z młotem w dłoni,
Jak dziewczyna twoja droga?

-- Jutro w ziemi ją pogrzebię,
Jój ojczyzna teraz w niebie,
Za jój duszę prosimy Boga!

Do Henryka Reignault,

słynnego malarza, poległego w bitwie pod Paryżem w r. 1870.

„Chodź, bracie! smutnemi wołają nań słowy,
Brzmia hasła odwrotu, nam odejść czas;
Nie przebić się głową przez mur ten spizowy,
Ich zastęp tak silny, garść ledwie nas!”

„Umilkła pobudka, nie wytrwać nam dłużej,
Dość trupa zaslalo stoki tych wzgórz;
Mrok zapadł, nam stopy lgną w grzązkiej kałuży,
My krwawą dziś pracę spełnili już!”

On, w sennój zadumie pogrążon snadź cały,
Nie słyszy, lecz z sobą liczy się sam;
„O bracia! wy chyżo wracajcie na wały,
Mnie siła tajemna pcha jeszcze tam!”

I zadrzał, i oto skra z duszy ogniska,
Wybłyśnie na lica, rozploni wzrok,
Oburącz do piersi karabin przyciska,
Od braci piorunem odbieży w bok.

I rozległ się nagle w powietrzu świst głuchy,
I echem bezlistny odpowie las!
W poranku po sobie obejrzą się druhy,
Jednego, poszepną, brak wpośród nas.

Jednego wam brakło!... chybaży wiek cały
Siekł ludzkość piekielny z ołowiu grad,
Nim krwią-by tak drogą te pola skraśniały,
Nim cios-by śmiertelny w pierś taką padł!

Nieszczęsny żołnierzu! gdyś ręką szaloną
Wymierzył bezmyślnie karabin twój;
W to czoło, zwieńczone promieni koroną,
W to serce, skąd tryskał natchnienia zdrój!

Ach! gdybyś ty wiedział, co ręka twa czyni:
Na czole tém piętno wszak wyrzył Bóg!
Był wielkim już mistrzem w sztuk sławnéj świątyni,
Choć ledwie przekroczył tajemny próg.

Był naszą nadzieją, radością i chwałą,
Z niebiosów mu działem padł twórczy dar,
Pożarem wulkanu gdy serce mu wrzało,
Czarodziej na serca rozsiewał czar.

A żołnierz zza drzewa, zaczajon gdzieś skrycie,
Dał ognia i pocisk w to serce padł,
I gwiazda zagasła na ciemnym błękitcie,
Co miała promieniem ogarnąć świat.

* * *

Dzień twego pogrzebu jak wschodzi nam czarno,
Łzy z oczu tysięcy pociekły w bród,
Śpij lepiej w twéj trumnie pod ziemią cmentarną,
Dziś bram swych wrzeczadze roztwiera gród!

Ponuro nam bije dzwon twego pogrzebu,
Na czoło nam pada żaloby cień;
O! nigdy *Requiescat* nie biło ku niebu,
Tak straszno, jak w łzawy ten sromu dzień!

Prowadzim twą trumnę żalobnie i łzawo,
I serce nam pęka, ba tenże grom,
Co krzepką pierś twoją roztrzaskał dziś krwawo,
Wstrząsł również w posadach nas sławny dom!

W a m b u l a n s i e.

OBRAZEK.

Młody oficer francuski leży przykryty płaszczem, przy nim na krześle mundur i szpada. Młoda kobieta ubrana jak infirmerka z krzyżem czerwonym na piersiach stoi u wezglowia.

KOBIETA. Śpijże, biedny żołnierzu, śpijże jeszcze chwilę,
Tyś w szalonéj gorączce przecierpiał dni tyle,
Och! czy ty wiesz, jak twoje bolały mnie rany?
Lecz przyniosłam ci ulgę — tyś uratowany.

(przygląda się z zajęciem).

Budzi się... nie! *(słucha).*

Coś mówi... nie rozumiem słowa,
Puls jego przyśpieszony — ochłodziła już głowa...
Pomnę, kiedy biedaka wniesiono w te progi,
Ledwie duch w nim kołatał.. drzę jeszcze od trwogi!
I kiedyż ja, mój Boże! w moc serce uzbroję,
Wobec mordów spełnionych w święte Imię Twoje!
Złożono go na stronę, zbliżyłam się zcicha,
Straszny był... w krwi starzany, — pierś ledwie oddycha.
Przywalon stosem trupów, przeleżał noc całą,
Do posług już sił naszym i czasu nie stało!
Okropnaż to posługa, wśród trupów tysiąca
Wsluchiwać się, gdzie słabo uderza pierś drżąca.
Biedny! kula głęboko utkwiała mu w łonie,
Lecz słabiuchna iskierka jeszcze w sercu płonie.
Patrzy w oczy lekarza... on wiary nie traci,
Cudowna moc nauki! ależ tylu braci
Na pomoc biegłej ręki niecierpliwie czeka,
Gdy oko jego czuwa nad chorym zdaleka.
Niechże ktoś u wezglowia schylon dniem i nocą,
W każdej chwili rannemu pośpieszy z pomocą;
To zbliży do ust napój, gdy spragniony woła,
To uniesie poduszkę, to pot otrze z czoła.
To w bólu słodkiem słowem doda mu podniety,
Oto walk naszych pole, to tryumf kobiety.

Nie zawsze rany ciała nam goić przystało,
Lecz kojący łać balsam na duszę zbolałą,
Mówić tym o nadziei, o Bogu, o niebie,
Których ziemia w swém łonie może dziś pogrzebie,
Kiedy śmierć im na czole blade piętno znaczy,
Błogosławioném słowem ustrzedz od rozpaczny.

(*chwila milczenia*).

CHORY (*budząc się półsennie*).

Daj mi pić...

KOBIETA (*podając kubek*). Oto woda...

RANNY (*ukazując bok*). Jakież cierpię mękil

KOBIETA. Płaszcz ci pewnie dolega... usuńmy go...

RANNY. Dziękil

Wzrok mi razi to światło.

KOBIETA (*spuszczając firankę u okna*). Tak, lepiej ci może?

RANNY. O lepiej!.. chciałbym pisać do matki... mój Boże!

Biedna ona! w tój chwili widziałem ją we śnie,

Daj mi papier i pióro...

KOBIETA. Dziś jeszcze zawcześnie.

Ja za ciebie napiszę, podyktuj mi słowa,

Każde twoje życzenie jam spełnić gotowa.

RANNY. Ty siostró! (*otwiera oczy*)

Któż ty jesteś? co ten ubiór znaczy?

Wszak siostry miłosierdzia przywdziane inaczej;

Pomnę, z czeią nieraz czola chyliłem przed niemi.

KOBIETA. Ich zastęp dziś nie starczy, więc siły wspólnemi,

Lubo z światem związane my śpieszym ochoczo,

Służym męznym, co z piersi strumienie krwi toczą.

Doglądać ich w chorobie, nieść osłodę w bolu,

To nasz znak... patrz... czerwony krzyż na białém polu.

RANNY (*z podziwieniem*).

Was-że widok nędz ludzkich? was śmierć nie ustrasza?

KOBIETA. Francya tego żąda — to powinność nasza!

.

RANNY (*przypominając walkę*).

Pomnę tam... trup przy trupie jak trawa zsieczona,

Brózdami z pluskiem płynię powódz krwi czerwona,

Kilku drogich przyjaciół padło pod mym bokiem.

Nie czas płakać!.. pułk naprzód mknie rączym poskokiem,

Pędzim wewał przez ogrody, rowy, zgorzeliska,

Dym wygryza nam oczy, po krwi droga ślizka.

Byłem głodny, spragniony, zbieram sił ostatki,
Na sercu miałem portret ukochanej matki.
Myślałem właśnie o niej, gdy z stodołki małej
Błysło mi straszno w oczy, rozległy się strzały;
Padłem na wznak, plecyma przyparty do płota,
Aż tu nagle z zasadzki wyskoczy piechota,
Zrywam się, bom zasłyszał głos trąbki tak znany,
Daremnol krew gorąca wybucha mi z rany,
Zaszumiło coś w uszach, w zrenicach mi ciemno.
I odtąd już nie pomnę, co się stało ze mną.

(*słychać strzał w oddaleniu*).

Uciekaj! póki pora.

KOBIETA (*spokojnie*). Próżne twe obawy...

RANNY. Jutro tu, lub dziś jeszcze nastąpi bój krwawy,
Nieprzyjaciół stąd blisko! O! nie zwlekaj dłużej!
Gdy pomnę, co cię czeka, krew się we mnie burzy.

(*nowy strzał*).

Czy słyszysz?.. uchodź śpiesznie!..

(*strzały przybliżają się*).

Znów... uchodź co żywo!

To wojna, wróg cię gotów szarpać ręką mściwą!

(*ogień sypie się gwałtownie*).

Zapóźno już, niestety! Zostań... bądź spokojna..

Jam zdrow... ja cię obronię..

(*Zrywa się, zarzuca płaszcz, chwytą szpadę, lecz bszsilny opiera się o krawędz łózka*).

KOBIETA.

Nie trwoży mnie wojna,

Twój stan jedynym tylko powodem mój trwogi,

Nikt stopą świętokradzką nie wkroczy w te progi.

Ten krzyż na białém płótnie bezpieczną mi strażą,

Ręce krwią ubrozone tknąć go się nie ważą.

Siądź tu — dłonie twe płoną i twarz dziwnie blada,

Daj słowo, jeszcze w pochwie niech spocznie ta szpada.

(*Zmusza rannego, aby usiadł na łózku, poczem zabiera się do wyjścia*).

RANNY. Jakto? już mnie opuszczasz?

KOBIETA.

Tam może ktoś drugi

Dziś pilniejszej odemnie wymaga posługi.

RANNY.

Powiedz choć imię twoje, błagam cię na Boga!

KOBIETA. Na cóż ci o niem wiedzieć?
 RANNY. Niechże matka droga,
 Jeśli kiedy to imię z ust syna posłyszysz,
 Z błogosławieństwem niebu zasyła je w ciszy.
 KOBIETA. Próżno żądasz, tu imię nie rzeczy nie zmienia,
 Miłosierdzie niech w czynach żyje bez imienia.
 Bóg mnie zna! on modlitwy nie odrzuci szczerzej.
 Nie zstępujemy z wysokości ideału sfery:
 Ty cierpisz, ja uzdrawiam; to święte ogniwo
 Dziś serca siostr i braci łączy tak żywot

Poczta gołębia.

Wy, miłości słodkie posły,
 Gdzież się czasy te podziały,
 Na skrzydełkach gdyście niosły
 Utęsknionym liścik mały!

Widzę dziewczę, drżącą dłonią
 Szuka pisma w białym puszkę,
 Jakże lica jej się plonia,
 Jaka trwoga w jej serduszkul

Otóż liścik... zarem słońca
 Błyska nagle wzrok dziewczicy,
 I do piersi tuli gońca,
 Gońca wieści tajemniczej!

Do bram naszych w złą przygodzie,
 Pcha się nawał wstrętnych gości,
 W oblężonym wielkim grodzie
 Ktoby myślał o miłości?

Co dnia smutniej i boleśniej,
 Wstyd ku ziemi gnie nam głowy,
 Biesiadnicze zmilkły pieśni,
 Słyszym tylko grzmot działowy.

Zbladła doli naszej gwiazda,
 Czas i waszę zmieni dolę,
 Biedne ptaki, wam dziś z gniazda
 Na krwią złane lecieć pole.

Nie ku młodych sere uciesze,
 Nieś wam liścik z rąk dziewczicy,
 Wam tajemne nieś depeze,
 Wy narodu wysłannicy.

Bóg ukarał pychę naszą,
 O! bo naród grzął w niej długo!
 Dzisiaj tylko biedne ptaszę,
 Z chętną leci nam posługą!

Oto żrenie miliony
 Patrzą chciwie w przestrzeń siną,
 Chórem pyta gród stęskniony:
 Przyleciała-żes, ptaszyno?

Mów! czy Francya zbrojna cała?
 Czy podjęła oręż mściwy?
 Jak gołąbka z arki biała
 Czy nam niesiesz liść oliwy?

Mów, gołąbko, czy po lesie,
 Po winnicach wzdłuż zagonów,
 Wiatr jesienny z echem niesie
 Pacierz dzielnych legionów!

Czy ten hufiec chyżo wzrasta,
 Co nam śpieszy ku pomocy?
 Ślą-ż go włości? ślą-ż go miasta,
 Skąd? z południa, czy z północy?

Leci ptaszka lotem strzały,
 Na gniazdeczko padła drżąca,
 Oddaj!.. oddaj świstek mały,
 Na pociechę dusz tysięcy!

Dziecię w ogródku.

Chory ojciec zasnął przecie,
Idź, popłasaj, moje dziecię,
W ogródeczku tam!
Sen to długi, — nieprzespany,
Ty go nie znasz, mój kochany,
Ale ja go znam!

Weź-że piłkę i obręczę,
Nikt nie wzbroni ci — ja rękę,
Biegać, ile sił!
Niech swobodą wzrok twój błyska,
Domowego ich ogniska,
Tys nadzieją był!

Gość za gościem idzie nowy
Z pochyłemi wszystkie głowy,
Okrzykli próg!
Odskoż żywo zdala domu,
Niech spokojnie śpi ten, komu
Zamknął oczy Bóg!

Taki piękny dziś poranek,
Słońko świeci — zapleć wianek,
Z wonnych kwiatków w rząd,
Baw się, chłopcze, tam, na darni,
I nie pytaj, co ci czarni
Zabierają stąd!

A jeżeli w drzew gęstwinie
Przed twém okiem się nawinie
Jakiś drżący cień!
Gdy posłyszysz jęk rozpaczy,
Ty nie pytaj, co to znaczy,
Ach! dziś smutny dzień!

Oto słyszę łoskot młotka,
Biednyż, biedny ty sierotka,
Idź-że, chłopcze, już!

Od ścian domu odwróć oczy,
Niechaj skrzydły cię otoczy
Biały anioł stróż!

W i o s n a.

Lasy, pola drżą radosno,
Pękły lody, rzeki płyną,
Witaj, wiosno! słodka wiosno!
Szumi wietrzyk nad doliną.

Świat się budzi ze snu wszystkich,
Witaj, wiosno! szepeze ziarno,
I zielony puszcza listek
Przez skorupę ziemi czarną.

Czy słyszycie, wiosna gwarzy.
— „Kto przebolewał w życiu wiele,
Do innie, smutni, do mnie, starzy,
Miękkie łóżę wam uścielę”.

Niezabudki w dole rosna,
Konwalijka w lesie dzwoni,
Róża woła: „Witaj, wiosno!”
I wybucha kłębem woni.

Rumowiska bluszczy ocienia;
Wieńczy groby sploty swemi,
Dość bożę tylko technienia,
Aby wrócić radość ziemi.

Wszystko czeka dżdżu i rosy,
Szuka słońca, życia pragnie,
„Witaj, wiosno!” grzmiać odgłosy,
W lesie, w polu, w piasku, w bagnie.

Ach! gdy śpiewak zimę prześni,
Jak mu serce drży radosno,
Stroi lirę — czas do pieśni,
Witaj, wiosno! słodka wiosno!

Do zmarłego poety Teofila Gautier.

Komu szczerze nieba dały
Wieszczę ucho, oko wieszczę,
Goni, chwyta ideały,
Ach! nie schwycił tylu jeszcze!

Pierś artysty wiecznie kona,
Całe piekło w sobie mieści,
Każda piękność w niej zrodzona,
Tajemniczo z łez boleści.

Serce wieszczę wciąż rozdarte,
Rzeczywistość sny roztrąca,
Kreśli każdą księgę kartę,
Krwią, co z piersi zbiegła wrząca.

Tam pobudka hasło dzwoni,
Tu luk tęczy błysł nad głową,
Tyle dźwięku, tyle woni,
Gdyby wszystko zakląć w słowol..

Czyż te boskie cuda świata
Myśl pochwyci, czyż ogarnie?
Pierzcha złuda, pieśń odlata,
Ach! to męka nad męczarniel

P r z e c h a d z k a.

„Tędy, tędy, kochanku, nie bój się, maleńki” —
Ozwie się głos ochryplą starą babuleńki.
Ja nie widzę nikogo: rząd bujnych topoli
Słoni ich przed mém okiem. „Powoli, powoli!
Nie śpiesz tak, mnie za tobą nie zdążyć niebodze,
Czy widzisz ową kupę kamieni na drodze?
Gdy będziesz dokazywał, upadniesz jak długi.
Na prawo, patrz, tu pieniek, ostrożnie, tam drugi.

Mignęło coś, za chwilę spotkamy się prawie,
Ujrzę troskliwą babkę i wesole dziecię,

Widzę w myśli jęj postać schyloną ku ziemi,
I dziecko rozpląsane, jak stopki drobnemi
Z płomienistą żrenicą naprzód się wymyka,
Że babce nie podążyć w ślady swawolnika.
Stajemy oko w oko, ach! istne to dziwy!
Spostrzegam dwoje starców: on jak gołąb siwy,
Idą razem i splecione mocno ich ramiona,
Drżącego jak liś męża drżąca wiedzie żona.
Blade widma przeszłości w pamiątki bogatěj:
Oboje istne grzybki, pokurzeni laty,
Ostatnim blaskiem życia słabo wzrok ich płonie,
Co ujdą dziesięć kroków, tehu braknie im w łonie:
Stanęli: ja ich wzrokiem śledzę pilnie z boku,
Jednemu bez drugiego nie postąpić kroku.

Biedneż to, co zostanie, kiedy Bóg rozkaże
Na ziemi kochającěj rozdzielić się parzel
Na ich zoraném licu dopatrzeć już trudno
Tego, co było wdziękiem i krasą uludną.
Od zmarszczek, co im szpecą jagody i usta,
Przestraszona w popłochu zbiegła miłość pusta.

Słodki przecież ich uśmiech, — wiek uczuć nie ziębi,
Słowo, jak strumyk czysty, płynie z serc ich głębi,
Ona zwraca ku niemu wzrok rzewniěj i czulej,
Niż dziewczę, gdy jęj rękę oblubieniec tuli.
A on, co dni z nią przeżył szczęśliwie i zcicha,
Przy jęj boku rozkoszą dziecięcą oddycha.

Podążam za ich śladem i serce mi rośnie;
A gdy oni na słońcu gwarzą tak radośnie,
Kiedy patrzę na płomień, co z tych zgliszcz wybucha,
Na tlejącą w nich iskrę nieśmiertelną ducha,
Przed słodką ich nadzieją ze czcią głowę korzę,
O! miłości! jam odgadł twe tajniki boże!

THEOPH

WYDAWCA
KRAKÓW
1850

NIEOBECNY.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

OSOBY.

JUMELIN.

PANI JUMELIN

DOKTÓR.

PANI DOUGLAS.

JĘDRUŚ, pięcioletni synek pani Douglas.

SYDONIA, służąca.

(Teatr przedstawia salę jadalną w domu wiejskim. Obicia i sprzęty staroświeckie. W głębi drzwi oszklone wychodzą na ogród, z obu stron przez drzwi otwarte widać taras kwiatowy, dalej drzewa. Po jednej stronie sali kredens, po drugiej stolik do pisania, nad nim wiszący zegar. W pośrodku stół nakryty, przy nim dwa krzesła z poręczami. Słońce, pogoda. Zegar wskazuje dwunastą).

SCENA I.

(*Sydonia wchodzi niosąc wazkę z zupą — po chwili wchodzi pan Jumelin i pani Jumelin.*)

SYDONIA (*stawiając wazkę na stole z wyrazem zadowolenia*).

Gdzież oni są? za chwilę dwunasta uderzy.

Jaki z tego rosolu bije zapach świeży! (*podnosi pokrywę*).

Wyborny!... ale pytam, co się panu stało?

Zły jak chrzan! gotów zrządzić o drobnostkę małą...

Raptus, jakby w gorącej kąpany był wodzie,

Jedno kryje się w domu, a drugie w ogrodzie.

PANI JUMELIN (*wchodzi pomalu drzwiami od ogrodu*).

SYDONIA. Ha, przecie... proszę pani, już podałam wazę.

(*pociąga panią Jumelin do stołu*).

PANI JUMELIN. Tak prędko! do jedzenia mam jeszcze odrazę.

(*oddala się od stołu*).

SYDONIA (*do pana Jumelin, który wchodzi drzwiami na prawo*).

Panie, obiad gotowy... (*wskazuje krzesło*).

JUMELIN (*z niecierpliwością i roztargnieniem*).

Co ona tam plecie?

SYDONIA (*podniesionym głosem*).

Obiad...

(*Biegnie do pani Jumelin, która chce odejść*).

JUMELIN. Jeszcze nie pora!

SYDONIA.

Już dwunasta przecie,

Zupa skrzepnie, pieczyste na nic się wystoi.

PANI JUMELIN. Zostaw, niech każdy czyni według woli swojej.

JUMELIN (*ostrz*). Jam nie głodny...

PANI JUMELIN. Ja także.

SYDONIA. Już późno.

JUMELIN. Dość czasu.

SYDONIA. Mądry, kto tu dogodzi.

JUMELIN. Milez, dość już hałas!

PANI JUMELIN (*łagodnie do Sydonii*).

Przestań!.. nie o jedzeniu myśleć nam w tej dobie,

Ty o naszej rodzinnej nie myślisz żalobie,

To dzień dwunasty czerweca!..

SYDONIA (*zawstydzona*). Wyszło mi to z głowy!

PANI JUMELIN (*ukazując męża*).

Patrz... on dobrze pamięta...

SYDONIA. Lecz obiad gotowy.

(*przystępuje do pana Jumelin z naleganiem*).

Panie!..

JUMELIN (*ukazując żonę*). Jak ona smutna! wiecznie o nim marzy!

SYDONIA. Prawda! (*przechodzi do pani Jumelin*).

PANI JUMELIN (*ukazując męża*).

Boleść mu brzozy wyryła na twarzy.

JUMELIN (*na stronie*).

Przeklęty dzień! to widmo jakąż moc oddali?

SYDONIA (*niecierpliwie*).

Moja pieczeń barania na węgiel się spali!

PANI JUMELIN. Milez!..

SYDONIA (*smutno*). Wiem, co się dziś w sercach rodzicielskich dzieje,

Może on jeszcze wróci.. tak... miejmy nadzieję!

JUMELIN (*z poruszeniem*). On wróci?

PANI JUMELIN (*z trwożą*).

Drogi mężu!

JUMELIN (*gwałtownie*).

Powrócić nie może!

Bodaj się był nie rodził!

PANI JUMELIN.

Coś wyrzekł? mój Boże!

SYDONIA. Tak, ciężka to zgrzyzota, snadź w niebie sądzono,

Ale mam-że dać na stół pieczeń przypaloną?

(*Oboje siadają do stołu. Żona rozlewa zupę. Chce jeść, nagle wypuszcza z rąk łyżkę i wybucha głośnym płaczem; pan Jumelin rzuca serwetę na stół, Sydonia patrzy zdumiona*).

JUMELIN (*z gniewem do Sydonii*).

Precz stąd! (*patrząc na żonę*).

Co tu wylewać daremnych łez tyle!..

PANI JUMELIN (*do Sydonii, która stoi osłupiała*).

Odejdź stąd, ja cię sama przywołam za chwilę.

(*Sydonia odchodzi, oglądając się niespokojnie*).

SCENA II.

JUMELIN — PANI JUMELIN.

PANI JUMELIN (*siedząc u stołu*).

Ty kryjesz coś przedemną!.. to źle.

JUMELIN. Tobie raczej

Uczynioby ten zarzut...

PANI JUMELIN. Twe serce w rozpacz.

Nie złudzisz mnie tym gniewu kłamliwym pozorem.

Biedny ty!

JUMELIN. I tyś wczoraj płakała wieczorem,

Kazałem ci odegnąć to widmo złowieszcz.

PANI JUMELIN (*plącząc*).

Daj mi przykład, mój mężu!..

JUMELIN (*powstając z gniewem*). Jakto? płaczesz jeszcze!

Niewdzięcznik, czyż zasłużył na te łzy i żale?

Zamierzylimy o nim nie mówić już wcale!

PANI JUMELIN (*smutno*). Dziś jego urodziny!

JUMELIN (*chodząc z poruszeniem po pokoju*). Zapomnieć go trzeba!

Pięknym nas upominkiem obdarzyły nieba!

Dziesięć lat upłynęło, jak zbiegł gdzieś bez wieści,

Pewnie zamarł... tęp lepij!..

PANI JUMELIN. Drzę cała z boleści,

Kiedy z ust twoich słyszę te okrutne słowa!

On żyje!.. biedny Andrzej!.. Bóg mi go zachował!

JUMELIN (*z gniewem*). Ja nie chcę o nim słyszeć!..

PANI JUMELIN. Tyś twardy jak skała!

JUMELIN. A ty czuła do zbytku!..

PANI JUMELIN. Jam nie zapomniała,

Coś mówił przed trzydziestu-trzema laty.

JUMELIN. Żono!

My go nazbyt kochali... miłością szaloną,

Przez niego Bóg nas ciężko dziś karze za grzechy.

PANI JUMELIN. Pomniesz ty, przyjacielu, dni słodkiej pociechy,

Kiedy nam zakwiliło pierwszy raz to dziecko?

Jakąż to była radość!.. tyś o wszystkim w świecie

Przepomniał pochylony nad kołyską syna!
 W pieszczotach za godziną zbiegała godzina.
 Dziwnieź się nam od szczęścia serce rozszerzało!
 Pomnę, gdyś na kolana brał dziecinkę małą.
 Co śmiechu, pocałunków... trzymasz go za bok!
 On wesoło grzechocze... nuż w płasy i skoki.
 Nocą budzisz mnie ze snu: „Żono, Jędrus płacze,
 Może chory!..” i serce z trwogi ci kołacze,
 I śpiewasz ze mną razem „lulu, złotko, lulu!”
 Na samo to wspomnienie pierś pęka mi z bólu!
 Im bardziej wiek mnie ciśnie, chętniej myśl ulata
 W jasną przeszłość i goni jego ranne lata.

(Ociera oczy, Jumelin odwraca głowę, — żona idzie do stolika, wyciąga szufladę, dobywa z niej miniaturę i przykłada ją do ust).

Widzisz.. nie łaj mnie tylko, żal mi serce ścisła,
 Upominek od ciebie... och! przypatrz się zblizka,
 Miał zaledwie pięć latek..

JUMELIN. Precz z nim, bo roztrącę!

To mi zgasłych nadziei ożywia tysiące!
 On czarną nam goryczą struł życia ostatki,
 Zhańbił włos siwy ojca — rozdarł serce matki!

PANI JUMELIN *(chowając portret).*

I my, byliśmy winni...

JUMELIN *(żywo).* Winni? w czém u kata?

Za nasze długie trudy, piękna mi zaplata!
 Dzieckiem już zapowiadał, czém będzie ladaco.
 Miał przecie ze mnie przykład, wiedział, z jaką pracą
 Wydzwignąłem się z biedy, sam o własnej sile.
 Praca go przestraszała!..

PANI JUMELIN. Tyś wymagał tyle!

Pod twardą wolą twoją zginał się jak trzcina!

JUMELIN.. W czémże go tak krzywdziłem?

PANI JUMELIN. Pomnę raz, chłopczyna

Był słaby, a śnieg pada, wicher dmie na dworze,
 Psa z domu nie wypędzisz, on ledwie isé może;
 Ty, gwałtem go wyprawiasz do szkoły.

JUMELIN *(z niecierpliwością)* Cóż z tego?

PANI JUMELIN *(coraz bardziej wzruszona).*

Gdy wspomnę.. lzy strumieniem po licu mi biega!
 Wieczorem pisał do mnie, tak smętnie się żali!
 Mam ten list — ty się śmiałaś, — twoja pierś ze stali!
 Co dnia go narażałaś na próby wciąż nowe,
 Aż nakoniec mu progi obmierzły domowe,

Gorzki jad, do dna duszy po kropli składany,
 Rozjątrzył ją głęboko, nie zgoić téj rany.

JUMELIN. Gonił tylko zabawę...

PANI JUMELIN. Co chcesz? w jego wieku...

Rozum przecie powoli dojrzewa w człowieku...

JUMELIN. Baliki, przyjaciele, drzę cały od sromu,
 Rozpusta go z naszego wyganiała domu.
 Ty, matko, coś maleńkiem nianczyła go dzieckiem,
 Bronisz tych nędznych istot, co technieniem zbójcekiem
 Zatrują czyste serca, gdy w szpon je zagarną,
 I wytepią w nich nauk rodzicielskich ziarno!
 I posięją tam kąkol, gdzie my cześć posieli!
 Śmiesz bronić nikczemnika!.. matko — a jeżeli
 Chowasz listy dziecięce, które spalić warto;
 Ja chowam też pamiątkę i z duszą rozdartą
 Patrzę w ten list, co hańbą okrył włos mój siwy,
 Gdzie pod mojem imieniem... *(chee isé do stolika).*

PANI JUMELIN *(zatrzymując go).*

Milez! milcz, nieszczęśliwy!

JUMELIN. Com miał, wszystko oddałem, sypnąłem garść złota;
 Została mi na starość nędza i sromota.
 Takięj krzywdy przepomnieć trudno...

PANI JUMELIN. Poco tobie

Poruszać takie męty?

JUMELIN. Przeciwno chorobie
 Chciałem użyć lekarstwa, co wskros serce zmienia,
 Mogłem jeszcze gangrenę wyciąć do korzenia,
 Ale ty mi stawałaś zawsze wpoprzek drogi,
 Znadto byłaś słaba...

PANI JUMELIN. Tyś był nadto srog.

Zrażałaś go obejściem do zbytku surowem!

JUMELIN. Ty psułaś go do zbytku pobłażliwem słowem,
 Zawsze, pomnę, w winnego stawałaś obronie!

PANI JUMELIN. Możnaż rękę usuwać, kiedy dziecko tonie?
 O! ten dzień wszystkie serca odnowił mi rany!
 Pomnę, jak weń wlepiłaś wzrok nieprzeblagany.
 Drżał, lice mu pobladły od żalu i sromu,
 Wieczorem raz ostatni powrócił do domu.
 Próżno błagał litości niespokojnym wzrokiem,
 Odszedł do swéj izdebki w milezeniu głębokiem.
 Całą noc przeplakałam, rano idę z trwogą,
 Otwieram drzwi, w izdebce nie było nikogo...

Wtém przychodzi list z Hawru, ręka dobrze znana,
On błaga choć o słówko... padam na kolana,
Wolam: możnaż od sereca tak odrzucać dzieci?
Ty milczysz... przyszedł jeszcze list drugi i trzeci,
Proszę, błagam i stopy oblewam twe łzami,
Już nie potém nie pisał... zostaliśmy sami.

JUMELIN. Ta nędzna progi nasze okryła niesławą,
Jam wypędził oboje... miałem słuszne prawo.
Wyrzucać mi surowość przystoiż dziś tobie?

PANI JUMELIN. Dlatego trawim życie we łzach i żalobie!

SCENA TRZECIA.

JUMELIN, PANI JUMELIN, DOKTÓR, (potém) SYDONIA.

*Podczas ostatnich słów poprzedniej sceny, Doktor okryty kurzem, w słoni-
nym kapeluszu na głowie, ukazuje się po-za otwartém oknem, wgląda w głąb
pokoju. Gdy się odezwał, państwo Jumelin usiłują ukryć niepokój).*

DOKTÓR (wchodząc wesolo—ściskając rękę pana i pani Jumelin).

Witajcież, przyjaciele! włóczę się od wczora
Po wioskach okolicznych... smutny los doktora!
Wśród skarg, jęków i cierpień, wciąż się życie toczy,
Ten żali się na gardło, tamten znów na oczy,
Innemu zaszkoziła wieczerza oblita,
Ów skosił całe pole i za grzbiet się chwyta.
Febry, kaszle, katary, stek bólów i nędzy,
Głód męczy mnie okropnie, dajcież jeść co prędzej!

(Oddaje łaskę i kapelusz Sydonii, która weszła natychmiast po nim).

PANI JUMELIN (ocierając oczy).

Tém lepij...
Wczas przybywasz, rad ci jestem szczerze.

JUMELIN. A wy?

DOKTÓR. Jużeśmy zjedli...
JUMELIN. Daj żywo talerze,

DOKTÓR (do Sydonii).

I zupe; kęs chleba i kawał pieczeni.

Co wam jest? dziwnie jakoś oboje zmienieni.

*(Mówiąc to, zbliża się do pana Jumelin, tymczasem pani Jumelin i Sydonia
krzającą się około stołu).*

JUMELIN (pomieszany).

Chory jestem, doktorze...

DOKTÓR (z uśmiechem biorąc go za puls).

Ba! wiedziałem o tem.

JUMELIN. Jak?

DOKTÓR.

Na to lekarstwa nie kupię już złotem,

Tyś stary, przyjacielu—słabnie życia wątek!

(Nie przestając mówić, siada u stołu, je zupe, którą podała Sydonia).

Gdyby ci można ująć jakie lat dziesiątek,

Byłbyś zdrów! Trudna rada, wiek siadł ci na bary,

Znoś że go, przyjacielu—chorujesz, boś stary!

Leczę starych i młodych; jak umiem, tak radzę,

Ale komu poświęcam wszystkie myśli władze,

Komu chcę służyć, całą méj wiedzy potęgą,

Dla kogo noc nie jedną prześlęcę nad księgą,

Oto dla biednej dziatwy!

*(Jumelin porusza się widocznie, pani Jumelin i Sydonia, dają napróżno
znak doktorowi, on mówi ciągle, jedząc zupe).*

Nieraz sen mi spędza

Myśl o chorój dziecinie! kiedy życia przedza

W pierwszym ledwie zawiązku snuje się słabiuchno,

Smutno mi, gdy poglądam w twarzyczkę błdziuchną,

Gdy patrzę w gorączkowe tych źrenic połyski,

Gdy widzę zapłakaną matkę u kołyski!

Jakaś niewysłowiona trwoga pierś mi gniecie,

Jakbym rad na jój łono złożyć zdrowe dziecko,

Tę istotkę bez zółci, z kędziorki złotemi,

Co ma prawo przepląsać chwilkę po téj ziemi,

Choć nie zawsze kwiatami usłana tu ścieżka!

Oto niedawno podróżna, co blisko stąd mieszka,

Wezwala mnie do dziecka, zastabło jój w drodze,

Łzy płynęły strumieniem po licu niebodze,

Gdy głosem rozpaczliwym, drżąca jak osinka,

Pytała: wszak nie umrze? ocalisz mi synka?

Ze starem rzecz inna, słońce im zachodzi!

Możesz sprzątnąć ze stołu...

*(To mówiąc, oddaje próżny talerz Sydonii, która porusza ramionami i daje
ciągle znaki).*

JUMELIN (powstając).

Zbyt często się zrodzi

Owoc cierpki i gorzki na dnie tego kwiatka!

Nieraz krwawemi łzami zapłacze nań matka,

Nieraz ojciec grom kłątwy rzuci nad wyrodkiem.

Uśmiechaj się do dzieci, słowem pieś je słodkiem,

Lecz się nie żeń! ach! w ojców szczęście ja nie wierzę!
Od tej okropnej plagi niech cię Bóg ustrzeże!

PANI JUMELIN (*półylosem do doktora*).
Zdradza się mimowoli...

DOKTÓR. Z czém?

SYDONIA (*cicho do doktora*). Od pół godziny

Blagamy, byś pan mileżał...

DOKTÓR (*biorąc obie ręce pani Jumelin i spoglądając jej w oczy*).

Z jakiejże przyczyny

Te policzki czerwone? te nabrzękle lica?

(*spogląda na pana Jumelin i wstaje*).

U niego takim gniewem polyska żrenica!

Pewno nad nieobecnym radzili biedaki!

(*Do pana Jumelin*).

Co ci jest, przyjacielu? czy wypadek jaki?

Może wieść...

JUMELIN. Niéma żadnej...

PANI JUMELIN. Doktorze kochany,

To dzień jego urodzin, krew pociekła z rany.

DOKTÓR. Godzi-ż się wiecznie w serce wbijać gwóźdź złowrogi?

Pomówmy trochę o nim!

JUMELIN (*żywo*). Nie żeń się, mój drogi.

DOKTÓR (*wesoło wracając do stołu*).

Mnie małżeństwo nie w głowie, na to dziś nie pora,

Żona straszną przeszkodą w zawodzie doktora.

(*Dokończy obiadu*).

JUMELIN (*ponuro*).

Dzieci... bo widzisz dzieci—to skaranie boże!

Tracić je, rzecz okropna—lecz smutniej, doktorze,

Gdy widzisz, jak karleje ona plonka świeża,

Jak się życie zadaniu srodze przemienia,

Czuć taką rozpacz w duszy, taki srom na czole,

To piekielna męczarnia—ach! to ból nad bole!

Masz syna, on otuchą ci na przyszłość całą,

Spełni to, coś chciał spełnić, lecz sił ci nie stało,

Przez niego odrodzisz, uzacnisz twe życie,

On twe winy przed światem nagrodzi sownie.

Stargany zawodami, starością schyłony,

W nim ujrzyś twych posiewów kielkujące plony:

Nagle, przyszłość przed stopy rozpadnie się twemi,

To nikczemuik! niegodzien deptać świętej ziemi,

Wypędzisz go?... w sieroctwie przekwękasz lat wiele,

I nigdy ci nie wspomną o nim przyjaciele,

Aby rumieniec wstydu nie spalił ci lica!

Doktorze! oto cierpień moich tajemnica!

DOKTÓR (*wstając od stołu, ściskając rękę Jumelina*).

Tak, ja znam ją od dawna!

JUMELIN (*ciszéj*).

W tym trudnym zawodzie

Leczyłeś pewnie raka, co wnętrzości bodzie,

Chorobę, przeciw której nie znalazłeś sposobu,

Co wlecze swą ofiarę powoli do grobu.

Wbrew twym lekom, doktorze, chory gaśnie, kona,

Już na oczy śmiertelna pada mu zasłona,—

Taki to rak wnętrzości roztacza mi skrycie.

PANI JUMELIN. Mój mężu!

(*Sydonia sprząta ze stołu i odchodzi*).

DOKTÓR.

Najeżone kolcami to życie!

JUMELIN (*z boleścią*).

Nikt tyle nie przeboleł!—pamiętam przed laty,

Lubiłem moje pola, hodowałem kwiaty,

Dziś wszystkim mi obrzydło; wkoło pusto, glucho,

Serce moje okrutną dręczone posuchą!

(*wskazując ogród przez balkon otwarty*).

Z nim razem te bzy rosły—dziś ich nienawidzę,

Niech bez rosy te kwiaty zwiędną na lodydze,

Wszak on splatał z nich wianki!... te róże mi zbrzydły,

I gniewa mnie ten motyl z barwistemi skrzydły,

On, byłby gonił za nim i ujął go w dłonie!

Patrz, gną się pod owocem te stare jabłonie

Rumiane papierówki na gałązkach gniją,

On je lubił, dziś ręką nie tknięte nieczyją!

Miłe mi były książki... gdy otworzę kartę,

W oczach mi wiecznie stoi to widmo uparte,

Cheć czytać... niepodobna... przesłania mi zgłoski!

Niech jakiś obcy człowiek przybędzie do wioski,

Słyszę niby głos jego.. niczém go nie zgłoszę!

Ten syn... on mnie opętał... on zabrał mi duszę!

Ile-m wycierpieć musiał, wiecie-ż, znawce ludzi,

Gdy taki wstręt dziś we mnie każde dziecko budził

(*Siada na prawo*).

DOKTÓR (*do pana Jumelin*).

Uspokój-że się, ojcze! wiem ja, rzecz nie łatwa

Dziś wychowywać synów, umysł nam się gmatwa

W tym odmęcie!... Poblązać i pieścić niezdrowo!

Złe także drobne winy karcić zbyt surowo!

JUMELIN (*powstając żywo*).

Jam pragnał hart niezłomny widziéć w syna duszy,
By wyrósł jak dąb—olbrzym, co go wiatr nie skruszy,
Aby szedł drogą prostą do wielkiego celu,
Skarlała nasza młodzież—wyznaj, przyjacielu,
Z serc odbiegła swoboda i wesołość pusta,
Jakiś szyderczy uśmiech wykrzywił jęj usta.
Głos wielkiej powinności nie przemawia do niéj,
Umysł wiotki jak trzcina ku złemu się kłoni.
Zwątpienie zapał w sercu wyziębiło do dna,
Myśl rwie się gorączkowo, nowych wrażeń głodna.
Pomiata czczoną niegdyś zasługą i sławą,
I na miarę swych pojęć kuje własne prawo.

DOKTÓR. Podzielam twoje zdanie, nasza młodź zwichnięta,
Lecz za złych synów dobrze zapłacą wnuczeta,
Takie, takie malutkie...

(*Schyla rękę ku ziemi*).

JUMELIN (*smutno*).

Mało znaczy u mnie,
Co będzie, gdy na wieki zasną w cichéj trumnie!
Cierpię, i twoja wiedza mych cierpień nie przetnie.
(*Do pani Jumelin, która siedzi zamysłona*).

A tobie, co przyniosły lzy dziesięcioletnie?

PANI JUMELIN (*z prostotą*).

Przebaczanie! to ból sam, co nam serca koil

DOKTÓR. Święta prawda! więc nigdy, przyjaciele moi,
Nie była wieść o nim?

JUMELIN.

Nigdy... nigdy zgoła!

Jakaś podła istota, wytartego czoła,
Zajęła nasze miejsce w tém sercu... Doktorze,
Dajmy już temu pokój!...

PANI JUMELIN (*do doktora*).

On mówić nie może

Spokojnie,—jego dusza boleścią skwaszona,
Jam odważniej podjęła mój krzyż na ramiona,
Pomówimy jeszcze o nim—powróć, jeśli laska.

DOKTÓR (*biorąc kapelusz*).

Tak, wrócę niezadługo.. i gdzież moja laska?

(*Podczas, gdy doktor szuka laski, widać przez otwarte drzwi od ogrodu dziecię w czarnej sukience, biegnące po ogrodzie, za niem idzie młoda kobieta w żałobie z Sydonią*).

PANI DOUGLAS (*w ogrodzie*).

Jędrusin!

PANI JUMELIN (*przerażona*). Och!

(*Patrzy niespokojnie na męża*).

DOKTÓR.

Ktoś przybył...

JUMELIN (*z gniewem*).

Piekło śle nam gościł

Dziecko... dziecko w ogrodzie! ha, pęknię ze złości!

SYDONIA (*wchodząc*).

Pani!...

PANI JUMELIN.

Kto tam?

SYDONIA.

Ta obca, w żałobę przybrana,

Co chciała z panią mówić wczora jeszcze z rana.

DOKTÓR (*patrząc przez okno zdziwiony*).

A!

PANI JUMELIN.

Więc znasz ją?

DOKTÓR.

Dwa razy widziałem ją tylko,

To podróżna, o której wspomniałem przed chwilką,

Przybywa z Ameryki, ślicznego ma chłopca,

Był słaby... jak cierpiała ta kobieta obca

U wezłowia dzieciń!

PANI JUMELIN.

To imię, niestety!

JUMELIN. Mówilem raz... ja nie chcę widziéć téj kobiety!

(*do Sydonii*).

Powiedz, że pani wyszła..

DOKTÓR.

Jeśli tak powiecie,

Wróci tu za godzinę...

JUMELIN (*niecierpliwie do doktora*).

Poznałeś ją przecie...

Pomów z nią sam...

DOKTÓR (*wesoło*).

I owszem, tak miła i gładka!

PANI JUMELIN. Jednak, mężu...

Do smaku przypadła sąsiadka!

JUMELIN (*żywo*).

SYDONIA. Lecz ona tak nalega...

JUMELIN (*z gniewem do Sydonii*).

Idź do kuchni lepij.

(*do Doktora*).

Skończ krótko, węzłowato, niech się raz odczepi!

(*bierze kapelusz—do pani Jumelin*).

Chodźmy prędko do młyna... tedy... śpieszmy, żono.

(*Wychadzą drzwiami na lewo, Sydonia idzie do ogrodu—potém wprowadza panią Douglas z Jędrusiem*).

SCENA CZWARTA.

DOKTÓR, SYDONIA, PANI DOUGLAS (*trzymając za rękę Jędrusia*).

SYDONIA (*ukazuje drzwi od balkonu*).

Tu, proszę...

PANI DOUGLAS (*bardzo wzruszona, nie widząc Doktora*).

Ha! nakoniec wnijsię mi pozwolono!

Nogi tak drżą podemną, tak dziwnie się trwożę,

Brak mi tchu... co mi powiesz?

(*sposstrzegając Doktora*).

A... pan tu, doktorze!

DOKTÓR (*pomieszany, wesoło*).

Niema w domu nikogo, los pomyślny zdarza,

Mam odegrać w tych progach rolę gospodarza.

Witaj, pani...

PANI DOUGLAS (*z roztargnieniem oglądając się wkoło*).

Tak... oni pańscy przyjaciele.

DOKTÓR (*do Jędrusia, biorąc go za obie rączki*).

Jak się masz... chodź tu, mały... już śladów niewiele

Zostawiła choroba...

(*przypatruje się pilnie dziecku*).

PANI DOUGLAS (*niespokojnie*). On jeszcze tak błądy,

Nie prawdaż?

DOKTÓR.

No, zobaczmy, według mojej rady,

Leki mu niepotrzebne, niech natura działa,

Wszak cię już nie boli?

PANI DOUGLAS.

Tak mu główka pała.

DOKTÓR (*przykładając rękę do czoła*).

Boli cię tu?

JĘDRUŚ.

Nie, panie...

DOKTÓR (*kładąc mu rękę na serce*).

A tu?

JĘDRUŚ.

Trochę boli.

PANI DOUGLAS. On cierpiał na serce!

DOKTÓR (*siada na lewo, bierze chłopca przed siebie, podczas kiedy pani*

Douglas siada po prawej stronie).

Powolił powoli!

On wskazuje żołądek, pani nazbyt skora

Do strachu, wszak mu dałem rumbarbarum wczora,

(*puka w piersi chłopca*).

Zdrowe serce i płuca—odetchnij głęboko.

Tak!

PANI DOUGLAS. Czy widzisz, doktorze, to zapadłe oko?

DOKTÓR. Miał gorączkę z podróży, już mu nie w tej chwili,

Powiedz, chłopcze, zdrów jestem... doktor się nie mylił!

JĘDRUŚ (*biegnąc do matki*).

Tak, ja zdrów!

DOKTÓR.

Wypędziłem choroby ostatek.

PANI DOUGLAS (*pryciskając dziecko do piersi*).

Gdybyś mógł czytać, panie, w sercu biednych matek!

DOKTÓR. Wiem, urojona trwoga napróżno je toczy.

PANI DOUGLAS (*patrząc pilnie w doktora*).

Strasznym dla nich wyrokiem są doktora oczy!

Trwoga chodzi za niemi w ślad zawsze i wszędzie,

Powiedz mi, że on silny, że zdrów, że żyć będzie!

Że biedny jego ojciec nim umarł za młodu,

Nie przekazał mu zgubnej choroby zarodu,

Że na tém gładkiem czole z złoistemi włoski

Nie leży piętno śmierci...

DOKTÓR.

Nadaremne troski!

Zareczam, nie mu nie brak, ni zdrowia, ni siły!

PANI DOUGLAS (*tuląc z uczuciem syna*).

Gdybym ja krew z żył moich wlać mogła w twe żyły,

Wszystek żar mojej piersi i skry mego ducha!

W tobie jedyna dla mnie przyszłość i otucha!

DOKTÓR (*wzruszony*).

Kto choroby? syn, czy matka? mam receptę dla niej.

PANI DOUGLAS. Co?

DOKTÓR (*wydzierając jej chłopca*).

Mówisz, że go kochasz, a dusisz go pani!

Oto moja recepta...

PANI DOUGLAS.

Mów, doktorze, jaka?

DOKTÓR (*z kemiczną powagą*).

Co rano, dwa calusy w hożego buziaka,

Wieczorem można dozę podwoić czasami.

(*Do Jędrusia*).

Jędrusiu, idź, popłasaj trochę pod lipami.

(*do pani Douglas*).

Czyń pani, jak ja każę, a ręczę za skutek.

(*na stronie, patrząc za dzieckiem, które wybiega w płasach*).

Tęgi zuch! gdyby zawsze mógł zostać malutki!

(*Widać przez okno Sydonię, która idzie za dzieckiem. Podczas następnej*

sceny Jędrus ukazuje się od czasu do czasu w ogrodzie).

SCENA PIĄTA.

DOKTÓR, PANI DOUGLAS (*potém SYDONIA*).DOKTÓR (*ukazując przez okno Jędrusia*).

Patrz, pani, odrzuć z serca te zbyteczne trwogi.

PANI DOUGLAS (*z uczuciem*).

O! nie dziw-że się, panie! gdy przybyłam z drogi,
Okropną do zniesienia Bóg zesłał mi próbę,
Drzę jeszcze na myśl samę, gdy to dziecię lube
Omdlało mi w objęciach... mniemałam, że konał
Ukazano mi dom twój—wpadłam jak szalona,
Pewną byłam, że ujrzę starca z siwym włosiem.

DOKTÓR (*wesoło*).

Cóż wiek mój ma do tego?

PANI DOUGLAS.

Jakże dziwnym losem

Znaléć w wiosce skarb taki!... wszak to się nie zdarza.

DOKTÓR.

Alboż tu biednym chłopkom nie trzeba lekarza,
Co chciałby w nich coś więcej dopatrzeć niż bydło?
W zgiełku wielkiego miasta życie mi obrzydło,
Nie olśnił mnie blask sławy, ani kruszec złoty,
Przywdziałem dobrowolnie bluzę i saboty.
Pomnę lat kilka temu, gdym został doktorem,
Strasznym tę okolicę Bóg nawiedził morem:
Przybiegam, radzę, leczę, tu... sercem mi płacą,
Mógłżem się stąd oddalić, gdzie? poco? i naco?
(*Siada po prawej stronie stołu*).

PANI DOUGLAS. Pan widzę taki dobry!

DOKTÓR (*patrząc na nią z zajęciem*).

Lecz pozwól mi, pani,

Zapytać, jaki wioska ta powab ma dla niéj?

W jakim celu...

PANI DOUGLAS (*po chwilowém milczeniu*).

Pan żądasz, serce ci otworzę.

W trudném mnie położeniu zechcesz wesprzeć może...

DOKTÓR (*zdziwiony*).

Mów!...

PANI DOUGLAS.

Dotąd zapanować mogłam siłą woli

Nad biednem sercem mojm... teraz...

DOKTÓR.

Co cię boli?

Wyznaj szczerze.

PANI DOUGLAS.

O panie! jam sama, sierota,

Pragnę znaleźć rodzinę... kołaczę w te wrota...

DOKTÓR. Jakto?

PANI DOUGLAS (*wzruszona*).

Progi te dla mnie dziś przystanią świętą,
Drzę... ach! gdyby mnie od nich gwałtem odepchnięto!

DOKTÓR. Mów jaśniej...

(*chwila milczenia*).PANI DOUGLAS (*z boleścią*).

Syn ich umarł.

DOKTÓR.

Boleść dla nich nowa!

PANI DOUGLAS. To dziecię—to syn jego, a jam po nim wdowa.

DOKTÓR (*powstając żywo*).

Ty!

PANI DOUGLAS (*z uniesieniem*).

Bóg mi dziś pozwala spocząć pod tym dachem,
Żalobę i nadzieję wnoszę tu z przestraczem,
Jam u nich, za ich progim, wzrok mój wnet ich spotka,
Jak ta chwila bolesna, a razem jak słodka!
Co przyrzekłam zmarłemu, to wykonam święcie,
Nie zginie biedne dziecko w tym świata odměcie,
Główkę wnet mu ocieni strzecha ojców nizka.
Płomień mu domowego zaświeci ogniska,
O! niech się prochy ojca rozradują w trumnie!

DOKTÓR (*zdziwiony*).

Wdowa!

PANI DOUGLAS (*krążąc wokoło pokoju*).

Jak tu wspomnienia ścigają mnie tłumnie!

Te przedmioty choć obce, znane mi jak moje,
Ci starzy tak mu drodzy! Kocham ich oboje,
Zda się, jakbym przeżyła z niemi długie lata,
Wiem, z jakich się drobnostek każdy dzień ich splata!
Tyleż mi o nich mówił syn niegdyś kochany!
Malował te obrazki, co zdobią ich ściany,
Każdy rys w jego myśli odbił się głęboko;
Z mego okna za niemi, gdy powiodę oko,
Widzę, jak pod lipami kręcą się i gwarzą,
Oni zawsze tak smutni... matka z łzawą twarzą,
Ojciec z czołem pochurném... niekiedy za niemi
Chcę biedz, i niby stopy wrosły mi do ziemi!
Stoję w miejscu jak wryta, strach stąpić mi nie da!
Doktorze, jak tu skromnie, jaka w domku bieda!
Ja dostatkim otoczę ich starość zbolalą,
On tak cierpiał—mój Andrzej! czasu mu nie stało

Przebłagać ich za winy, lecz ja to uczynię,
Wróćę miłość i spokój nieszczęsnej rodzinie!
Tom ja u śmiertelnego przyrzekła mu łoża,
Po to z mým biednym dzieckiem przybyłam z za morza—
Czemu zwłóczyć?

DOKTÓR (*na stronie*). Rzec dziwna! ta mowa co znaczy?
Jam sobie tę kobietę wystawiał inaczej!

(*stoi zamyślony*).

PANI DOUGLAS. Co tak myślisz, doktorze?

DOKTÓR.

Twe nazwisko pani...

PANI DOUGLAS (*z prostotą*).

Wzięłam nazwisko ojca, wiem, jak ciężko zrani
Serca ich to spotkanie... trzeba działać zwolna.

DOKTÓR (*pomieszany*).

Wysnuć coś z tego wątku moja myśl niezdolna,
Jam na drugich kamieniem rzucać niezbyt skory,
Ale szanować jakoś należy...
Chciałbym... doprawdy... nie wiem...

(*zatrzymuje się chwilę*).

PANI DOUGLAS (*patrząc zdziwioną*). Mów jasno, doktorze!

DOKTÓR (*bardzo poruszony*).

Skoro tak — powiedz pani... lub nie... ja się trwożę,
Rozedrzeć tę zasłonę!... niech prąd niepamięci
Pochłonie dawne czasy... wiem... dobre twe chęci,
Powiniennem je wspierać... lecz jest czarna plama...
Bronisz sprawy nieczystej... rozumiesz to sama.
(*widzi, jak pani Douglas porusza się w milczeniu*).
Nie! po takiej przeszłości, po takim obłędzie,
Złamać słuszny gniew ojca nie łatwo ci będzie:
Ja wiem, jak trudno walczyć z ową duszą hardą,
Słowo bratniej pociechy odtrąca z pogardą,
Strzeż się... wiek twarde serca zacina tęp srożej,
A raz zamknięta furtka już się nie otworzy!

PANI DOUGLAS. O! czyż go nie przebłaga ta biedna dziecina?
Ten aniołek niewinny!

DOKTÓR.

Tu sęk się poczyna!

W otchłaniach jego duszy promyk już nie świeci,
Biedny starzec, on wszystkie zniemawidził dzieci!

PANI DOUGLAS. A matka?

DOKTÓR.

Biedna matka! nie radzę ci wcale

Budować swych nadziei na tak kruchej skale!
Ona, ta wiotka trzcina, to beczące jagnię,
Co nie wie, jak krok stawić, nie wie, czego pragnie,

Co drży na widok męża, wskroś przejęta trwogą,
Gotowa rzec „dziękuję”, gdy ją kopnie nogą.
(*pół głosem*).

Plemię dziś zatracone, osobliwość rzadka...
(*głośniej*).

Nie ludy się, nie ta biedna nie poradzi matka!

PANI DOUGLAS (*pomieszana*).

Co więc czynić, doktorze?

DOKTÓR.

Cierpliwości tylko...

Łatwo poplątać wątek nierozwagi chwilką.
Udaj pani, żeś obcą, że spełniasz jedynie
Obowiązek przyjaźni... kilka dni upłynie,
Schwyć ich tylko za serca; to nie skały przecie,
Resztę dzieła, jam pewien, dokona twe dziecie.

PANI DOUGLAS (*smutno*).

Odbierasz mi odwagę... co czynić? na Boga!

SYDONIA (*wbiegając żywo z Jędrusiem*).

Wracają!

DOKTÓR (*do pani Douglas*). Odejdź, pani!...

SYDONIA.

Już są tam, u progu.

DOKTÓR.

Ba! może tak i lepiej!...

(*Do pani Douglas, ukazując drzwi na lewo*).

Zostań na uboczu.

PANI DOUGLAS.

A mój syn?

DOKTÓR.

Niechaj dziecię nie wchodzi im w oczy.

(*do Sydonii*).

Wypraw go do ogrodu... pani tu zaczeka.

(*ukazuje drzwi na lewo*).

PANI DOUGLAS. Cała drzę!...

(*Słychać ostry głos pana Jumelin*).

SYDONIA (*odchodząc do ogrodu*).

Pan nadechodzi!

DOKTÓR.

Słyszę go zdaleka.

(*Pani Douglas wchodzi drzwiami na lewo. Widać przez okno chłopca biegnącego po ogrodzie*).

Wolałbym amputować rękę albo nogę...

Mam rozedrzeć dwa serca... odwłóczyć nie mogę!

Trudna rzecz!

(*Udaje, że wychodzi, spotyka we drzwiach panią Jumelin*).

SCENA SZÓSTA.

DOKTÓR, PANI JUMELIN, (po chwili wchodzi) JUMELIN (drzwiami w głębi).

JUMELIN (kładąc łaskę i kapelusz, pochmurzony).

Jesteś jeszcze?

DOKTOR (pomieszany). Jestem (na stronie). Biedni starzy!

JUMELIN (z gniewem).

Ten blondynek w ogrodzie moim gospodarzy,
Jak w własnym!... Czegoż chciała ta pani w żałobie?

DOKTÓR (z wahaniem).

Chciała... (na stronie) jak im to powiem?

PANI JUMELIN (niespokojna). Doktorze! co tobie?

Ty jakąś tajemnicę ukrywasz przed nami!

JUMELIN (szydłerczo).

Tajemnicę... no, proszę?

DOKTÓR (ze wzruszeniem). Bywają czasami

Dziwne jakies przecucia i nigdy nie myślą.

Mówiliście oboje o synu przed chwilą...

I oto...

PANI JUMELIN (przystępuje żywo).

Wiesz coś o nim? z twych słów, z mowy tonu

Zgaduję...

DOKTÓR (na stronie bardzo pomieszany).

W dniu urodzin posłyszają wieść skonu.

Biedni!

PANI JUMELIN (badawczo) Powiedz, doktorze!

DOKTÓR.

Tak, wieść odebrałem,

JUMELIN (ostro). Jaką wieść?...

DOKTÓR.

Owa pani, co z tém dzieckiem małym

Od wczora w wasze kołacze napróżno...

Poznała go...

PANI JUMELIN (rozpromieniona). Doprawdy? muszę z tą podróżną

Zobaczyć się natychmiast... poprowadź mię do niej,

O! niech mi powie wszystko, niech prawdę odsoni!

Ta kobieta, jak mówisz, zna biednego chłopca.

Czemu do mego domu kołacze jak obca?

DOKTÓR. Widziała twego syna!

PANI JUMELIN (żywo). Gdzie? kiedy, doktorze?

Czy żyje? czy powrócił... on powrócił może?

(widząc, że doktor zaprzecza znakiem głowy).

Coś kryjesz, więcéj mówią twe oczy, niż słowa!

Nie lękaj się, jam wszystko, wszystko znieść gotowa!

JUMELIN. On śmiałyby tu powrócić? nigdy!

PANI JUMELIN (stanowczo do męża). Dość téj męki,

Wolno tobie, gdy wróci, nie podać mu ręki,

Ale ja go z miłością przycisnę do łona.

Co mówiła ta pani? doktorze... gdzie ona?

(Doktor potrząsa smutnie głową).

JUMELIN (gwałtownie).

Syn wyrodny! on sprawca mych zgryzot i sromu,

Zaprawdę nie przekroczy progów tego domu!

Póki żyw, on pod klątwą!...

DOKTÓR (poważnie).

Ojczy nie szczęśliwy!

Przebacz-że dziś synowi!...

JUMELIN.

Coś rzekł?

PANI JUMELIN (z najwyższą boleścią do doktora). On nie żywy!

Czytam wyrok w twém oku!

DOKTÓR.

Zapłacz, matko biedna!

JUMELIN. Mój syn umarł!... (chwila milczenia).

PANI JUMELIN (łkając do męża). Okrutny, niech śmierć was pojedna,

Wyrzuć z serca nienawiść i pogrzeb z nim w grobie!

JUMELIN (ponuro)

Jam go przeklął, doktorze!

PANI JUMELIN (gwałtownie). Milcz, milcz! biada tobie!

Słowo straszne, gdyś z ust je wyrzucił zbójcecko,

Pobiegło tam w świat za nim! tyś mi zabił dziecko!

Gdyby nie ty, on byłby powrócił... O, Boże!

Zmiłuj się nad tą duszą zbłąkaną...

(pada na krzesło — płacze — po chwili)

Doktorze,

Chcę widziéć natychmiast...

(ociera oczy).

Choć dusza skrwawiona,

Mam dosyć na to siły, śpieszmy...

(Chce powstać, chwije się, upada znów na krzesło).

DOKTÓR (łagodnie).

Ot, i ona...

(Drzwi na lewo otwierają się, pani Douglas wchodzi pomału).

SCENA SIÓDMA.

JUMELIN, PANI JUMELIN, PANI DOUGLAS, DOKTÓR, SYDONIA (*na chwilę ukazuje się w głębi*).

PANI JUMELIN (*przystępując żywo do pani Douglas*).
O Pani!

(*Jumelin wstrzymuje żonę skinieniem*).

PANI DOUGLAS (*cicho do doktora*).
Jak mi ciężko rozranić jej duszę!
(*do pani Jumelin*).

Zlecono mi...

DOKTÓR (*cicho do pani Douglas*) Odważnie (*głośno*).
Opuścić was muszę!

PANI DOUGLAS (*błagalnie do doktora*).
Zostań pan!

(*Doktor ogląda się z wahaniem*).

PANI JUMELIN (*smutno do doktora*).

Zostań z nami!

DOKTÓR (*kładąc kapelusz na stole*). Ba! skoro tak chcecie...

PANI DOUGLAS (*na stronie*).
Jak zacząć?

JUMELIN (*przystępując do pani Douglas*).
Pani!

PANI JUMELIN (*przerywając*). Czekał!... i ona ma dziecię!
Zrozumie lepiej boleść, co me serce rani.

JUMELIN (*surowo*).
Dobrze...

(*Siada i opiera się w krzesło*).

PANI JUMELIN (*do pani Douglas*).

Siadaj, proszę, skąd przybywasz, pani?

PANI DOUGLAS (*siada, doktor staje za jej krzesłem*).
Z Bostonu.

PANI JUMELIN (*siadając przy niej bardzo wzruszona*).
Więc to prawda? ...

PANI DOUGLAS. Tak, prawda, niestety!

PANI JUMELIN. Potrzeba na to serca szlachetnej kobiety!
Zwracasz z drogi, umyślnie!

PANI DOUGLAS. O! jakże mnie boli...

PANI JUMELIN (*przerywając*).

Błogosławię cię za to... więc to z jego woli?

PANI DOUGLAS. Spełniam, co mi polecił...
(*spogląda w oczy doktorowi*),

DOKTÓR.

Tak.

PANI JUMELIN. Biedne chłopczyśko!

Pani go dobrze znałaś?

PANI DOUGLAS. Mieszkaliśmy blisko!

Połączeni przyjaźnią.

PANI JUMELIN (*z współczuciem*). Dziękuję ci, ach, dzięki!

Ta ręka dotykała często jego ręki,

Wiesz, co myślał, co mówił, co przecierpiał może!

PANI DOUGLAS. Wiem!

PANI JUMELIN. Nic mi nie ukrywaj — błagam w imię boże!

Każde słowo z ust twoich niebo mi odchyła.

Czy mówił kiedy o nas?

PANI DOUGLAS. Och! często, co chwila!

PANI JUMELIN (*do męża*).

Patrz, mężu — do ostatniej kochał nas godziny!

PANI DOUGLAS. Wyrzucał sobie często jakieś dawne winy.

PANI JUMELIN (*do męża*). A co?

PANI DOUGLAS. Nieraz rzewnemi zalewał się łzami!

PANI JUMELIN (*do męża*). Widzisz!

JUMELIN (*niecierpliwie*). Trochę za późno!..

PANI JUMELIN (*żywo do pani Douglas*). Może ci czasami

Wspominał zbiegłą przeszłość? objawiał swe chęci?

Co mówił? czego pragnął? poszukaj w pamięci!

JUMELIN (*z gniewem*).

Dość tych pytań!

PANI JUMELIN (*do męża z wyrzutem*) To syn twój!

PANI DOUGLAS. Zwykle był ponury.

Mało mówił, nie lubił rozdierać tej chmury,

Co ómiła jego przeszłość i tulactwa nędzę,

Pracował, wiecznie gonił sennych marzeń przedzę.

Chciał zniszczyć tego raka, co mu toczył łono,

Zawsze do was powracał myślą rozżaloną.

Kiedym przy nim w ostatniej czuwała chorobie

Pamiętam...

PANI JUMELIN (*z wybuchem żalu*). Czemuż matki nie było przy tobie!

PANI DOUGLAS (*coraz silniej poruszona*).

Dnia jednego, wieczorem, temu pięć miesięcy

Przywołał mnie do łóża...

PANI JUMELIN (*ze łzami*).

Mów pani; mów więcéj...

PANI DOUGLAS. Pamiętam już śmiertelne zbiegały go dreszcze,

W marzeniu gorączkowym o was mówił jeszcze,

Chciał pisać... jam czuwała przy nim do ostatka,

Kładę mu w rękę pióro: „Tam ojciec i matka

Żyją pewno, wyrzeczcie... choć milczą tak długo!
 Ty mi jedna z ostatnią przyjsię możesz posługą,
 Śpiesz do nich, gdy mi ziemia upadnie na oczy!
 Zrzuc z mej piersi ten ciężki wyrzut, co ją tłoczy!..”
 Przynęłam, radość lica krasą mu zapłoni,
 Nagle pióro w stygnącej zachwiało się dłoni...
 Zatopił w oczy moje wzrok pełen otuchy,
 Głos jego brzmiał tak smętny, tak słaby, tak głuchy,
 Chwytam z tych ust mi drogich każde zbiegłe słowo...
 Westchnął... nie nie rzekł więcej...
(z gwałtownym wybuchem płaczu).

I byłam już wdową!

JUMELIN *(powstając żywo).*

Wdową!...

DOKTÓR *(na stronie).* Dobrze!

PANI JUMELIN. Ty biedna!

PANI DOUGLAS *(płacząc).* Wiecie prawdę całą,
 Chciałam skryć tajemnicę — serce mnie wydało!

JUMELIN *(surowo).*

Ty byłaś jego żoną?

DOKTÓR *(na stronie).* Sprawa się zaczyna.

JUMELIN. I nosisz jego imię?...

PANI JUMELIN. To śliczna dziecina.

PANI DOUGLAS *(żywo).*

To nasz syn...

PANI JUMELIN *(do męża).*

To syn jego! bądźże względny dla niej!

JUMELIN *(odsuwając żonę).*

Daj mi powiedzié słowo.

(do pani Douglas).

Czego żadasz pani?

W jakim celu ta podróż, nie rozumiem weale.

Jestżeś-li tą, dla której w bezrozumnym szale

Ten nieszczęśliwy porzucił próg naszego domu?

Wolnoż ci ten próg święty przekroczyć bez sromu?

PANI DOUGLAS *(patrzając w oczy doktora).*

Jakto?

DOKTÓR *(pomieszany do pani Douglas).*

Wiedziałem o tém.

JUMELIN.

Sądziłaś szalona,

Iż ci wnet rodzicielskie otworzymy ramiona?

Że, skoro cię zobaczymy w żałobnej odzieży,

Silnym tętnem wspomnienia nasza pierś uderzy?

O nie! próżno w tym domu praw się dopomina,
 Ta nędzna, co do zguby przywiodła nam syna!

PANI DOUGLAS. Kto? ja!

JUMELIN. My do ogniska przyjąć was nie możemy.

Lepiej było na zawsze ukryć się za morzem!

Poco wracać do kraju?

PANI DOUGLAS.

Doktorze, mów z niemi!

Raz pierwszy moja stopa dotknęła tej ziemi!

DOKTÓR *(żywo, z radością).*

Więc on ciebie nie uwiózł?

PANI JUMELIN.

Odgadłam to sama!

PANI DOUGLAS *(wzruszona).*

O! nie na mnie to ciąży tak ohydna plama.

PANI JUMELIN. Prawdę mówią te usta... przecucie nie myli.

(biegnie do pani Douglas, ścisną ją z uczuciem).

PANI DOUGLAS *(trzymając ręce pani Jumelin).*

Lat temu sześć... czas nigdy nie zatrze tej chwili...

Ojciec żył wtedy jeszcze — było to w Bostonie,

Pomnę, przy jego boku stałam na balkonie,

Wtém, ktoś błdy jak widmo przemknął się pod ścianą.

PANI JUMELIN *(z boleścią).*

On głodny był!..

PANI DOUGLAS.

Wieczorem posiłek mu dano,

Znalazł pracę i spokój, i życzliwe dusze,

I to słowo współczucia, co w serca posusze

Staje się z nieba rosą...

(Jumelin słucha, siedząc ponuro na boku).

PANI JUMELIN *(z wahaniem).*

Czy był sam?

PANI DOUGLAS.

Tak, pani.

Z dawnych win i z obłądów bezdennéj otchłani,

Został mu wstyd i woli niezwalczona siła.

Inna mogła go zgubić... jam go ocaliła!

Jakaż to była rozkosz!.. — Czy wypowie słowo,

Gdym z czoła mu zegnała tę chmurę grobową!

Gdym żądło wydobyla z tej piersi skrwawionéj,

Gdym z chlubą mogła wyrzec: on już wyleczony.

PANI JUMELIN *(do męża).*

A co? uznasz-że teraz w niej córkę?

JUMELIN *(powstając z powagą i boleścią).*

Tém lepiej,

Że znalazł tam rodzinę... a my tu jak ślepi

Myśl wysyłali za nim w świat gdzieś tajemniczy,

Karmili się boleścią, pili łyzy goryczy.

Zgasłe iskry w piersi nie łatwo się zbudzą!

Śluszenie ta dla serc naszych pozostanie cudzą,
Która o nim zbyt późno przynosi nam wieści!
PANI DOUGLAS. Jam obca, ja, co chciałam ulżyć ich boleści?
Słodki balsam położyć na dawne serc rany,
Rozdmuchać ich ogniska płomieni zaniedbany;
Przebłagać ich za syna?.. — jam obca, mój Boże!

PANI JUMELIN *(do męża)*.

Co? twojego uporu ten głos nie przemoże?
Dość już byłam uległą; — nikt mi nie zabroni
Iść, gdzie powinność woła, gdzie serce się kloni,
Gdzie syn z grobu iść każe, tam ja póję śmiało!

PANI DOUGLAS *(z uczuciem)*

Pokołasz dziecię nasze?

PANI JUMELIN.

O! tak, duszą całą!
Jędrus... imię mu Jędrus — wezmę go pod skrzydła,
Dobrą będę babunią... samotność mi zbrzydła!
Jasny promyk nadziei do serca mi wnika.
Idźmy!..

(powstaje żywo, ciągnąc panią Douglas ku drzwiom ogrodu).

JUMELIN *(porywczo)*. I gdzież to idziesz?

PANI JUMELIN *(żywo)*.

Uściskać chłopczyka!
Nie pojmuję, że mogłam czekać do tej pory!
(wychodzą obie).

SCENA VIII.

JUMELIN, DOKTÓR.

DOKTÓR *(stając przed panem Jumelin)*.

A pan czego tu czekasz? bardziej jesteś chory,
Niż myślałem... szal... obłąd...

JUMELIN *(zabierając się do wyjścia na prawo)*. Jestem pańskim sługą...

DOKTÓR. Jedno słowo...

JUMELIN.

Nie nie chcę...

DOKTÓR.

Skończę rzecz nie długo.
Pan musisz mnie wysłuchać, nie ruszysz stąd kroku!
Godziło się tę biedną odtrącać od boku?
Pomiatać nią wzgardliwie było ci potrzeba?
Ona, czysta, niewinna, istny anioł z nieba!
Z jęć oblicza, z jęć czoła taki blask polyska,
Ona cześć utraconą wnosi do ogniska,
Błogosławieństwo boże rozlaczca nad progiem.

JUMELIN. A gdyby i tak było — w tym domku ubogim,

Ledwie starczym dla siebie, — tu nędza ją czeka,
W czym jęć tu rodzicielska pomoże opieka?
DOKTÓR. Ależ ona bogata.

JUMELIN.

Bogata... tęp gorzej!
Myśli, że złotym kluczem drzwi nasze otworzy?
Mamże duszę tak podłą i umysł tak płaski,
Bym chciał przyjąć jałmużnę rzuconą mi z łaski?
Abym nędzę i krzywdy długiego żywota
Pozwolił dziś okupić marną garścią złota!

DOKTÓR *(na stronie)*.

Straszny człowiek!.. *(głośno)*.

Lecz syn twój!..

JUMELIN *(zapalając się stopniowo)*.

Mało mi to znaczy,
Ze mnie skrzywdził, że przywiódł do nędzy żebraczęj,
Sroższe on mi wyrządził krzywdy i katusze,
On wysuszył mi serce, zubożył mi duszę.
Sumienie mi potarzał w plugawym barłogu,
Dał mi wątpić o ludziach, o sobie, o Bogu!

DOKTÓR.

Zostawmy zatęp syna, o rzecz chodzi inną.
Ale to biedne dziecko — powiedz, co ci winno?
(staje śmiało przed panem Jumelin).

JUMELIN *(uderzony myślą nową)*.

Dziecko!.. ha, zapomniałem... podobno syn jeszcze,
Na samę wzmiankę o tęp zbiegają mnie dreszcze...
Więc to syn!..

DOKTÓR *(niecierpliwie)*. Syn nieszczęściem, cóż na to poradzę?
Przemienić go na córkę przechodzi mą władzę.

(głosem rzewniejszym)

Tak, prześliczny chłopczyzna ze złotemi włoski,
Co jednym pocałunkiem spędzi z czoła troski.
Istny anioł pokoju... to zwiastun pociechy,
Co rychło w twęj pamięci zatrze ojca grzechy;
Jedyne, co cię łączy z umarłym, ogniwo.

JUMELIN *(siadając, z najwyższą boleścią)*.

Próżno, rana ta jeszcze została zbyt żywą!
Braknie miejsca w mém sercu dla matki i syna,
Kto przecierpiał zbyt wiele, krzywd nie zapomina!

DOKTÓR *(wzruszony, opierając się o poręcz krzesła)*.

To błąd, w księdze żywota czas zaciera karty,
Gniew staje się bezbożnym, kiedy grób otwarty.
Kończy się kara w chwili, gdy przestępny skona,
Dosyć już wycierpiałeś — twa czara spełniona.
(Jumelin porusza smutno głowę).

Bądź szczerym, przyjacielu, gdy rankiem na łące
Widzisz w chyżych poskokach dziatki płaszące,
Nie pomyślisz-że patrząc na malców pustoty,
Ze twoja broda siwa, zlakniona pieczęty!
Tych małych swawolników niepojęta władza,
W starca piersi zakrzepłej strumień krwi odmładza!
Ściany twoje tak zimne, twój próg tak ponury,
Starość wlecze za sobą wieczne mgły i chmury.
Od główki dziecka bije słońca promyk złoty,
Tobie dłużej nie wytrwać wśród takiej tęsknoty!

(Jumelin słucha głęboko zadumany).

Wiesz-li, skąd ci na serce te padły ciężary?
Starczy jednego słowa: tyś samolub stary!
A czemuś samolubem? starczy jedno słówko,
Brak tu czegoś, dzieciny z złotowłosą główką,
Zgryzota szpik żywotny wysysa z twych kości,
Twojego domu ściany kryje pleśń starości;
Próżno pytać o jutro! bojaźń serce więzi,
Jeśli pączek ze stariej nie puści gałęzi!
Ten ogródek, tak pięknie umajony w kwiecie,
Pusty, bo go małe nie ożywia dziecię;
Stary dąb pod konarem tuli gniazdko ptasie,
Wyście biedni strupieli... skrzepły serca wasze,
Jak dwa omszałe dęby wyschłe do korzenia!
Droga wasza bez celu, życie bez marzenia!
Człowiek, panie, w twym wieku musi zwać się dziadkiem!
To prawo mu otucha, na przyszłość zadatkim,
Trzeba dziadka wnuczkiowi, tak Bóg i świat każe;
Słaby starzec z dzieciną niechże idą w parze!

JUMELIN *(ponuro)* Znałem ten sen, doktorze! ach! sen to zwodniczył!

Szalony, kto mu wierzy, kto na niego liczył!
Już pieczęć położyłem na dni moich księdze,
Do grobu w samotności resztę chwil dopędzę.
Moje serce — sam widzisz — grób... martwa opoka,
Syn umarł, — a mnie nawet łza nie spadła z oka! *(wstaje).*

DOKTÓR.

Pycha cię opętała, nieszczęśliwy starcze!
Przeciw popędowi serca znalazłeś w niej tarczę,
Bóg ci promykem zorzy rozjaśnił noc czarną,
Dał rolę, kędy możesz posiać czyste ziarno.
A ty gardzisz tym darem? ty rozpaczą dumny,
Wolisz zgrybiałą starość sam dowlec do trumny!
Tyś trupem wprzód, nim ziemia twe kości pogrzebie.
Twa żona stokroć lepsza i mędrsza od ciebie!

JUMELIN *(gwałtownie)*. Skończyłeś?

DOKTÓR *(z gniewem)*.

Do pioruna! daremna to praca,

Ja radzę, a on wiecznie do swego powraca.
Szalony, kto sam sobie grób za życia kopie.
Wolno panu odepchnąć i matkę i chłopię;
Zbraknieź miejsca sierocie na tój bożej ziemi?
I poczciwa babunia pośpieszy za niemi,
W wnuczku gwiazdka nadziei zaświeci jój złota,
Z tobą zostanie tylko wyrzut i zgryzota!
Zgrybiejesz w pustych kątach sam z sobą w niezgodzie,
Będiesz z rana do zmierzchu trzymał wędkę w wodzie.
W twój piersi nienawiści niech się legną węże,
A kiedy ci podagra do serca dosięże,
Niech dusi, mnie nie będzie, bym przybiegł z pomocą.
Doktorze, dość już tego... przestań...

JUMELIN.

DOKTÓR.

Skończmy! poco
Chlastać napróżno słowem...

JUMELIN.

DOKTÓR

Zostaw mnie w spokoju.
(na stronie, odchodząc).
Pobił mnie — młody szermierz wystąpi do boju!

SCENA IX.

JUMELIN *(sam)* potem JĘDRUŚ.

JUMELIN. Dobrześ zrobił, żeś poszedł, mój panie doktorze!
Już mnie napół przelamał — byłbym uległ może.
(Idzie do biurka, wyciąga szufladę, przegląda listy, gniecie je, odrzuca na bok ..)
Na te świstki ja patrzeć nie mogę bez wstępu,
Jestem sam, wszystko muszę zniwezić do szczętu.
Tajemnic mego serca świat nie pozna wcale,
Te listy, te papiery... na proch je popalę.
(Otwiera inną szufladę, spostrzega miniaturę).
Ten portret... jak on patrzy... jak błaga!.. drzę cały!
(Siada, podczas gdy patrzy zadumany w miniaturę, dziecię wbiega żywo do pokoju, zatrzymuje się nagle).
JUMELIN *(spostzegając dziecię z gniewem)*.
Nie! poznaję go... przez ślad!
(przestraszony Jędrus chce odejść).

Nie, nie!... zostań, mały!
Przystąp tu, nie uciekaj... ja ci nie nie zrobię ..
Boisz się?... nie masz czego... niech się przyjrzą tobie...

(*Dziecię zbliża się pomału. Jumelin wstaje, potem siada po drugiej stronie, trzyma chłopca przed sobą*)

- JĘDRUŚ. Dziwnież to podobieństwo.. Jak ci imię, dziecię?
 Jędrus.
 JUMELIN. Chodź tu, Jędrusiu, pogadajmy przeciel!
 JĘDRUŚ. Dobrze!..
 JUMELIN. Ile masz latek?
 JĘDRUŚ. Pięć mówiła mama.
 JUMELIN (*wskazując miniaturę*). Czy go znasz?
 JĘDRUŚ (*zdziwiany*). Mały Jędrus!
 JUMELIN (*na stronie*). Twarzyczka ta sama...
 Serce mi drży... w tém wszystkim istny palec boski!
 (*głośno do chłopca*).
 Patrz na mnie... też oczęta — to czoło, te włoski.
 (*przeciąga ręką po głowie dziecka*).
 JĘDRUŚ. Bawisz się z włoskiem moim?
 JUMELIN (*na stronie*). To złuda prawdziwa!
 Cała przeszłość przedemną stanęła jak żywa! (*do chłopca*).
 Twój ojciec!.. czy go znałeś?
 JĘDRUŚ. Pytasz, czy go znałem?
 JUMELIN (*po chwili z wysileniem*). I kochałeś zapewne...
 JĘDRUŚ. Tak, bardzo kochałem!
 JUMELIN. Cóż on mówił, twój ojciec? powiedz, chłopcze, śmiało —
 JĘDRUŚ. Całował mnie i pieścił, ale mówił mało!
 JUMELIN (*bardzo poruszony*). Tuman z oczu mi spada na ten głos dziecięcy!
 Biedny! (*Jędrus chce wyjść*).
 Zostań, chłopczyno, powiedz mi coś więcej.
 Zdaleka tu przybyłeś?
 JĘDRUŚ. Z daleka przez morzel
 Co to tam było wody, co wody, mój Boże!
 JUMELIN (*z wahaniem*). A twój ojciec?
 JĘDRUŚ. On został, śpi w ziemi pod darną,
 I dlatego to noszę tę sukienkę czarną...
 JUMELIN (*na stronie*). Serce bije mi młotem... już wytrwać nie mogę. (*głośno*).
 Mów jeszcze!..
 JĘDRUŚ. Takieś liczne bajeczki przez drogę
 Opowiadała mama.. umiesz bajki, panie?
 JUMELIN. Ja? (*po chwili z boleścią*).

Znam jedną...

- JĘDRUŚ. Czy piękna?
 JUMELIN (*na stronie*). Już mi tehu nie staniel
 Ten wzrok... jak mnie urzekła ta biedna dziecinka. (*głośno*).
 Słuchaj, miał jeden ojciec maleńkiego synka,
 Z jasnym, z kręconym włoskiem, z twarzą różową...
 JĘDRUŚ. Jak ja?
 JUMELIN (*silnie poruszony*). Taki chłopczyna, taki słowo w słowo...
 Ojciec swym jedynakiem chlubił się radośnie,
 Ach! czasem dziecię ojcu na smutek wyrośnie.
 JĘDRUŚ. I cóż?
 JUMELIN. Próżno rodzice tulą go i strzegą.
 On posłuchał złej rady...
 JĘDRUŚ. I cóż?
 JUMELIN (*mieszając się coraz bardziej*). Dnia jednego
 Rzucił ojca i matkę i znikł gdzieś bez wieści!
 Czekali go rodzice we łzach i boleści,
 Nie wrócił... com ja wyrzekł?... on przedemną stoi...
 Młody, piękny, niewinny... to on! w duszy mojej
 Oblęd, szal... ten syn umarł! śpi w zimnej mogile,
 A jednak... (*patrzy z uczuciem na Jędrusia*).
 Biedny ojciec, on przecierpiał tyle!
 (*Wybuch głośnym łkaniem i przyciska dziecię do piersi*).
 JĘDRUŚ. Ty płaczesz?
 (*W tej chwili ukazuje się doktor, pani Jumelin wprowadza synową w próg, wszyscy patrzą wzruszeni na łzy starca — Jędrus biegnie do matki*).

SCENA X I OSTATNIA.

CIŻ SAMI, DOKTÓR, PANI JUMELIN, PANI DOUGLAS.

- DOKTÓR. Łzy to święte, już walka skończona!
 To krew krwi, kość twych kości... spadła z ocz zasłona,
 Zdrój wytrysnął ze skały...
 PANI JUMELIN (*do synowej, która zatrzymała się w progu*).
 Chodź.
 JUMELIN (*wyciągając obie ręce do pani Douglas*). Przystąp łaskawie,
 Na progu mego domu ja cię błogosławię!
 DOKTÓR (*biorąc Jędrusia za rączkę z powagą i uczuciem*).
 Chodź tu, dziecię, rozjaśnij tego domu ściany,
 Rozdmuchaj pod popiołem płomień zagrzebany,

Smutnego ich ogniska bądź iskierką bożą,
Bądź dla nich nadzieją, uśmiechem i zorzą!

PANI DOUGLAS (*do dziecka*).

Nie wiesz, ile dni oni przeżyli w żałobie,
Przeblągaj ich za tego, co spoczywa w grobie,
Serce ojca tam cierpi pod ziemią cmentarną,
Tobie z jego sumienia zmyć tę plamę czarną.

PANI JUMELIN. Zdejm klątwę z jego czoła!

DOKTÓR.

Czas ponowić próby.

Wiecie dobrze, co ojca przywiodło do zguby,
Bogaci doświadczeniem idźcie naprzód śmiało,
On będzie waszych trudów koroną i chwałą,
W nim plon waszych posiewów wznijdzie pożądany.

JUMELIN (*z uczuciem do dziecka*).

Chodź!

DOKTÓR (*do dziecka*). Powiedz mu: Dziaduniu!

JĘDRUŚ (*biegnąc do starca*).

Dziaduniu kochany!

(Zastona spada).

ROBOTNICY.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

MORIN.
MARCELI.
JOANNA.
HELENA.

Rzecz się dzieje w Paryżu.

SCENA PIERWSZA.

MARCELI (*sam*).

(*Wchodzi żywo i wesoło, trzyma w ręku doniczki z kwiatami i bukiety — patrzy wokoło siebie*).

Dzień dobry, matko! Co to? nie widać jęj wcale!
Nim powróci, nasz salon ozdobię wspaniale.

(*Sklada wszystko co ma w ręku na stole i na kredensie*).

Kto wie?.. może zaspalo poczciwe matczysko,
Ależ to się nie zdarza — już dziewiąta blisko!

(*Puka do jednych i drugich drzwi, otwiera je po kolei*).

Niema, łózko poslane, izdebka sprzątnięta,
Zapewne do kościoła poszła nasza święta.

Chciałem przybiedz, nim wstanie, — biegnę zadyszany,
Niepodobna, stąd blisko mila do Sekwany.

Nie żal mi przecież trudu. Matko ty jedyna!

Wiem, że przyjmiesz z radością wiązarek od syna,

Drogi dzień twych imienin uczcić mi należy...

Podleję tę rezedę — niech się wyda świeżej...

(*Bierze karfakę wody z kredensu i podlewa doniczki*).

Te kwiaty trzeba wczesnie poklaść w wazoniki.

Jakże pachną te róże, jak cudne gwoździki!

Gdybym mógł, chętnie wiosnę przyniosłbym jęj całą!

Kiedym biegał wśród kwiatów, oko mi pałało,

I czułem, jak mi serce uderza tajemnie;

Spostrzegły to kwiaciarki i śmiały się ze mnie

Cudna rzecz, w letni ranek, te kwiaty nad rzeką!

Coś długo nie powraca... snadź poszła daleko.

Tém lepiej, — niechże bukiet zastanie gotowy,

Wczora tak była smutna i łzawemi słowy

Szepnęła mi dobranoc... Cóż jęj to? mój Boże!

Ten dzień smutną pamiątkę nasuwa jęj może!

Dziś muszę ja to chmurne rozpogodzić czoło.
 Dopieroż jój zaśpiewam piosenkę wesołą:
(nuci następujące cztery wiersze).
 Stół gotów, muszę znaleźć obrus i serwety,
 Cudzych rządów w swym domu nie lubią kobiety.
 Cóż robić? dzień imienin idzie mi jak z płatka;
 Dobry ze mnie gospodarz — pochwali mnie matka!

*Nakrywa stół, dobywa talerze z kredensu, tymczasem Helena wchodzi,
 Marceli ogląda się).*

SCENA DRUGA.

MARCELI, HELENA.

(Helena z bukietem i koszykiem w ręku.)
 MARCELI *(zanim odwrócił głowę).*

To ty, matko! *(z radością).*

Co widzę! Helena... o nieba!

HELENA. Pan Marceli...

MARCELI. Do szczęścia tego mi dziś trzeba!

HELENA. I gdzie matka Joanna?

MARCELI. Rychło się ukaże.

HELENA. Maleńki upominek przyniosłam jój w darze.

MARCELI. Pamięć o dniu imienia jak będzie jój droga!

HELENA. Co? ja przepomnieć o niej mogłabym, na Boga?

(pokazuje mu fotografię oprawną w ramki).

Patrz pan...

MARCELI. O! twój portrecik — jak ślicznie oddana!

Siostrzyczkę i braciszka wzięłaś na kolana,

Uroczą i poważną jak matka rodziny.

Przecudowny obrazek...

*(przygląda się zblizka fotografii i przyklada ją do ust).*HELENA *(odbiera ją).* Dość już...

MARCELI. A dzieciacy

Czemu nie przyszły z tobą? czy jeszcze nie wstały?

Ślicznaż to dziewczyneczka, i chłopczek mały,

Zuch — aż miło!

HELENA. Pan zbytnią psujesz ich pieczętota,

Mają pilne zajęcia, — arcy ważne... oto

Douczają się wierszy na cześć pańskiej matki,

Wciąż mi brzęczą nad głową — *(podrzeźniając).*

Siostrzyczko, — daj kwiatki,

I ja chcę ponieść bukiet... prędko!

MARCELI.

Miła dziatwa!

HELENA.

Trafić z niemi do ładu, och! sprawa nie łatwa!
 Przez cały dzień tych maleców pełne wszystkie kąty,
 Dziś boso do mnie zrana przybiegły o piątój,
 Musiałam z niemi wiersze powtarzać po słowie,
 Nie dadzą chwili spocząc... aż mam zamęt w głowie!
 To szatanki!

MARCELI.

W ich wieku swawolić przystało.

HELENA *(zbierając się do wyjścia).*

Idę do nich, powrócę tu za chwilę małą. *(nawnie).*
 Czy pan będziesz tu jeszcze?

MARCELI.

Tak, będę i matka

Wnet przybędzie... Heleno, pomówmy bez świadka,
 Zostań tu, przecież wkrótce zaślubię mam ciebie.

HELENA.

Wróć...

MARGELI.

Gdy nam żyć razem przeznaczył Bóg w niebie,
 Słuszna rzecz, byśmy dobrze poznali się sami.
 Mnie słowa mrą na ustach gdy matka jest z nami,
 Bo czuję, że jój serce tajemnie zazdrości.
 Zostań chwilkę, Heleno — mówmy o przyszłości.

HELENA.

Skoro chcesz, to zostanę, wszak pomódz ci może,
 Daj mi z półki te szklanki, widelce i noże,
 Pokładę je na stole.

MARCELI.

Jakże w mojej myśli
 Obraz przyszłego szczęścia uroczą się kręślił
 Gospodarzmy więc razem...

HELENA.

Ha! ucztą nie lada.

*(rozstawiają talerze i szklanki).*MARCELI *(z dumą).*

Godnie dzień uroczysty uczeć mi wypada.

HELENA.

Dwa talerze?

MARCELI.

Heleno, połóż jeszcze trzeci,
 Błagam cię! zjeżdż-że na dół, przyprowadź tu dzieci.

HELENA.

Nie mogę... na rozmowie prędko chwile płyną,
 Zapomniałam, że z ważną przyszła tu nowina.

MARCELI.

Cóż się stało?

HELENA.

Pan Morin powrócił z podróży.

MARCELI.

Twój opiekun! tém lepiej, nie czekać nam dłużej.
 Czy mówiłaś już o mnie? cóż odrzekł? mów śmiało,
 Dziś-by go może jeszcze odwiedzić przystało?

HELENA. Przywołałam odwagę do serca i głowy!
Och! bo wciąż tak ponury jak dzwon pogrzebowy!
Byłoz mu przed podróżą wyznać chęci nasze!
Lecz miłość, gdy się budzi, trwożliwa jak ptaszę.
Teraz z jego powrotu korzystać nam pora.
Gdy przybył, w lot pobiegłam powitać go wczora,
Drżałam jak liść i lica dziwnie miałam blade,
Dla odwagi dziecinki zabrałam na radę,
Uściskał je serdecznie i zagadnął słodko,
Jak zwykle małą Bertę nazwał: moje złotko!
Do chłopca rzekł z dobrocią: wyrosłeś mi, zuchul
Wtedy jam się zbliżyła, ukrzepiona w duchu.
— „Ojeze drogi, zagadnę — mam powiedzieć słowo,
To wielka tajemnica!” — on spojrział surowo,
Oczy jego pierś moję przeszły jak noże.
— „Tajemnica! — zawołał — i cóż to być może?
Co tu zaszło, Heleno? nim się rzecz rozświeci,
Pozostańmy sam na sam — odejdźcie stąd, dzieci,
Zabraniam przy nich mówić!” Wybiegły za progi
Mnie stopy wrosły w ziemię — oniemiałam z trwogi!
— „No, teraz mów!” zagadnie z bojaźnią tajemną,
Cóż za nowe nieszczęście znów wisi nademną?
— „Nieszczęście? jam odrzekła, ach! nie, Bogu dzięk
Młodzian, jakich dziś mało, zapragnął mej ręki.
Mieszka z matką w tym domu...”

MARCELI. A więc rzecz skończona!

HELENA. „Oto jest tajemnica...” rzekłam ośmielona.
Chwilę słowa nie odrzekł, stał jak słup na grobie,
Potém zcicha zapłakał, — ale w tójże dobie,
Jakby ze snu ockniony, wciąż pyta i pyta,
Przymawia, żem dziewczyna nieszczera i skryta,
Chce naraz wszystko wiedzieć, gdzieśmy się poznali?
Czyś bywał w moim domu? co zamyślasz dalej?
Czy szczerze się kochamy? czy jak siostra z bratem?

MARCELI. A ty co?

HELENA. — „O nie, panie! nam nie przestać na tem!
A wszakże my oboje poślubić się chcemy...”
On na to rzekł z uśmiechem: „jutro zobaczymy!”

MARCELI (*poprawiając krawat*).
A więc dzisiaj mnie pozna... czy wyglądam ładnie?

HELENA. Bądź spokojny, wię o tём, że żyjesz przykładnie.

MARCELI. Nie więcj nie powiedział?

HELENA. „Zobaczymy” tylko.
Młodzi, dodał, zwiedzeni upojenia chwilką,
Gotowi wczesnie w jarzmo wprzadz swą przyszłą dolę,
I zwą nieraz miłością płochych serc swawolę.”
On się myli... wszak prawda?

MARCELI. Nie trwóz się daremnie,
Nigdy zmiany podobnej nie dostrzeżesz we mnie.
Słuchaj-no: kiedy bogacz, młodzieniec czy stary,
Równą sobie dobierze dziedziczkę do pary,
Dla spisania kontraktu przed sądem z nią stawa,
A urzędnik sądowy niezmiennie w moc prawa,
Pilnuje wiernie ładu, strzeże równowagi,
I żeni przedewszystkiém dwa równe posagi,
A gdy obliczył domy, dochody i włości,
Świat tuszy o szczęśliwej małżonków przyszłości.
Nie tak się serce sercu na wieki oddaje!
Spiszmy i my nasz kontrakt, gdy tak chcą zwyczaję;
Tam prawnik rzecz układa całą na papierze.
I my tész o warunkach raz pomówmy szczerze,
Ułożmy je pospołu, sami, bez przeszkody.

HELENA (*z uśmiechem podając mu rękę*).

O! ależ ty żartujesz.

MARCELI (*śmiejąc się*). Dalej... do ugody...
(*zasiadają ceremonialnie*).

Oto artykuł pierwszy, wspólność co się zowie...

HELENA. Ja młodość mam w posagu.

MARCELI. A ja, krzepkie zdrowie.

HELENA. Ja mam rok osiemnasty.

MARCELI. Ja dwudziesty trzeci.

HELENA. To za mało...

MARCELI. Tém lepiej, czas tak prędko leci;

Wiosna składa miłości daninę bogatą.

Nie spieszmy się... z kolei przyjdzie skwarne lato!

HELENA. Co dasz jeszcze?

MARCELI. Mam rylce do miedzi i stali,

Fajkę i półkę książek, nie widzę już dalej!..

A ty?

HELENA. Ja mam paluszków dziesięć do roboty,

I oczy przewyborne, za żaden skarb złoty

Jabym ich nie oddała!

MARCELI (*z uśmiechem*). Dochody z nich moje.

HELENA (*również z uśmiechem*).

Ubogie...

MARCELI (*patrząc na nią*).

Doś mi na tém, biedy się nie boję.

Teraz artykuł drugi: będziesz stała w wierze...

HELENA. A ty będziesz posłuszny; zapisz na papierze.

MARCELI. Artykuł trzeci, mamy pracować przy sobie.

HELENA. Z warunkiem, że ty zawsze pochwalisz, co zrobię,
I ja wzajem pochwałę twojej pracy plony.

Gdy szyc będę, ty z rylcem nad miedzią schylony,
Zechcesz czasem pogwarzyć z twoją wierną służką
I w uczoną mnie może zamienisz niedługo.

MARCELI. Zostań lepij, jak jesteś, dobrą, pełną wdzięku.
Czasem kupię sukienkę,— w twojem bieglém ręku
Zmieni się w istne cacko...

HELENA. To artykuł czwarty;
Ja nie mam nigdy nosić sukienki wytartěj,
Zawsze będzie, choć skromna, świeżutka i cała.

MARCELI (*wstaje, opiera się na poręczu krzesła, na którym siedzi Helena*).

Bądź mi ładną jak teraz. Czyś ty uważała,
Jak to dziewczeczki nasze do szesnastu latek,
Powiewne niby trzcinka, uroczę jak kwiatek,
Lada słówko im uśmiech sprowadza na usta,
W ich oku myśl przebiega wesola i pusta,
Lecz zaledwie ślubnemi skrępowane węzły,
Jakby w stęchlém niebogi bagnisku ugrzęzły,
Żadnej-byś nie poznała po ruchu, ni mowie,
Każda z chustką niedbale związaną na głowie.
Wciąż zrzędzą ci nad uchem z wieczora i zrana,
Każda co dnia szpetniejsza i brudniej odziana,
Starzeje się i więdnie, nim przejdzie wiek młody,
Że śladu nie dopatrzysz jej dawniej urody,
Jak drzewo, gdy je robak toczy od korzenia,
Usycha i marnieje... A cóż ją tak zmienia?
Czy domowe zabiegi? czy praca nad siły?
Czy troski na jej czole te brózdy wyryły?
Wyrył je mąż nikezemny samolub, co nie wie,
Jak żonę uszanować,— co w prostaczym gnicwie
Wciąż groźby i obelgi miota na niebogą,
Widzi w niej tylko służkę, chce ujarzmić trwożą!
Sam zimny, gburowaty, bez uczucia śladu,
Odrąca jej pieczętę, lecz żąda obiadu.
Słodkiem słowem jej urok zbudziłby nanowo,
Lecz on w sercu miłości zatracił już słowo.

On nie wie, że wygląda biedna coraz szpetniej,
Że zimą drży do kości w swój sukience letniej,
Bo wzrok od niej odwraca wiecznie zasępiiony,
Tak, od męża zależy cały urok żony!

HELENA (*powstając z uśmiechem*). Nie zupełnie.

MARCELI (*biorąc ją za rękę*). Ja tobie takie życie stworzę,

Iż bogacz nam niejedyn pozazdrościć może,
A gdy przyjdzie wiek starszy, kto wie, może z laty
Będziem mieć domek własny, chociaż nie bogaty,
Przy nim ładny ogródek, winniczkę i kwiatki,
I drzewka i ławeczkę darniową dla matki.
Czytałem ja niedawno, że w pobliżu miasta
Liczba tych małych dworków z każdym rokiem wzrasta,
Że porządny robotnik gdy składa miedziaki,
Może po latach kilku nabyć dworek taki;
Do naszego kontraktu i ten punkt zamieszczę.

HELENA. Zgoda, układ skończony.

MARCELI (*całując ją*). Podpiszmy go jeszcze.

HELENA. Och! Marceli!

MARCELI (*z udaném pomieszaniam*). Cóż złego?

HELENA.

Żle.

MARCELI.

Wszak to zadatek...

HELENA. No, przecie twoja matka wraca naostatek.

MARCELI. Słyszę ją... drzwi otwiera... ona... nie inaczej...

Usiądźmy, tu za stołem, czy nas też zobaczy?

(*Siadają między stołem a kredensem—Joanna wchodzi, nie spostrzegając ich wcale*).

SCENA TRZECIA.

JOANNA, MARCELI, HELENA.

JOANNA (*głęboko zamysłona*).

Śladów tego człowieka dopatrzeć nie mogę,
Jak się zowie?—gdzie mieszka? Dziwną czuję trwożę!
Spostrzegłam go... z oczu znikł mi w tejże chwili.
Skąd takie podobieństwo? przecucie nie myli!
Tak! to on! bezwątpienia... on! on! jak Bóg w niebie!

MARCELI. Hum .. hum...

JOANNA (*cicho—drżąc*). Syn mój!

MARCELI. Ja, matko, czekam tu na ciebie.

JOANNA. Dzień dobry ci Marceli. (*spozstrzega Helenę*).
Ty tu, miłe dziecię!

HELENA (*całując ją z uczuciem*).

Przyszłam panią uściskać...

JOANNA. I cóż mi powiecie?

MARCELI. Wiesz, pociśmy tu przybyli w godzinie tak rannéj!
Zajrzyj do kalendarza!

HELENA. Dziś świętój Joanny!

I ja pani życzenia chciałam złożyć moje.

JOANNA (*podrzeźniając ją*).

Bardzośmy się czekając znudzili oboje...

MARCELI. Żartuj, matko!... twój uśmiech o! jakże nam miły!

Patrz oto... (*całuje matkę, podaje szal i kwiaty*).

JOANNA (*siadając*). Niech odpocznę... brak mi tehu i siły.

Ha, brzydki marnotrawco! tobież to przystoi
Tak wyrzucać pieniądze... wszak od kasy twojój,
Kluczyk u mnie w schowaniu... wzięłeś go ukradkiem.

(*Do Heleny, która składa jej robótkę*).

I ty, widzę, prześliznym obdarzasz mnie datkiem,

Psujesz swoją sąsiadkę... twą pamięć jak cenię!

MARCELI. Jest dar piękniejszy, matko, podziękuj Helenie!

JOANNA (*wstając do Heleny, która podaje fotografię w ramkach*).

To ty... jakżeś podobna!... o dziatki kochane!...

MARCELI (*śógłosem do matki*).

Dasz mi to... prawda, matko... zrobimy zamianę...

HELENA (*do Marcelego*). Cicho! (*do Joanny*). Muszę już odejść...

JOANNA. Nie zostaniesz z nami?

Do tój uczytj wspaniałój — zasiądziemyż sami?

MARCELI. Jam o tém nie pomyślał...

HELENA. Nie kłam... trudna rada.

Śniadanie panu Morin przyrządzi wypada.

JOANNA (*obojetnie*). Więc powrócił?

MARCELI. Tak, matko, może nas odwiedzi,

Opowiem ci to wszystko...

HELENA. Jak blizy sąsiedzi,

Przybędziem tu dziś jeszcze... Stąd odejść nie łatwo!

MARCELI (*żartując*).

Śpiesz się... biedny pan Morin nie poradzi z dziatwą!

JOANNA. Uściśnijże oboje... wprzód, nim je popieszczę.

HELENA. Do widzenia...

MARCELI (*biorąc jej rękę*). Daj rączkę... zobaczym się jeszcze.

SCENA CZWARTA.

MARCELI. — JOANNA (*siada przy stoliku do roboty*).

MARCELI. Zostaliśmy sam na sam! prawda, matko droga,
Jakie to miłe dziewczę?... ty milczysz... na Boga!
Pomówmy dziś otwarcie... co twój smutek znaczy?
Nie, uśmiechasz się!... dawniej bywało inaczej.
(*kłęką u kolan matki*).

Co tobie?

JOANNA. Nie, mój synu, przychodzę z kościoła,
Modlitwa czasem z duszy smutną myśl wywoła.
Kiedyś powiem ci wszystko... nie trwoż się, Marceli...

MARCELI. Uściśnijmy się, matko, i bądźmy weseli.

JOANNA (*poruszona, biorąc w obie ręce głowę syna*).

Tak, twój uścisk serdeczny mój duszy potrzeba!

MARCELI (*całując ją*). Przyjmij moje życzenia...

JOANNA. Błogosławię niebo!

Jam nigdy nie doznała zmartwienia z twój strony...

MARCELI. Dość tych pochwał, mateczko... porzuć te androny.

JOANNA. Każdój matce z takiego pochłubić się syna.

MARCELI (*powstając*). Patrz, oto wnet dziesiąta nderzy godzina.

A jam głodny, od ruchu wszak apetyt wzrasta,

Przychodzę aż od rzeki, przebiegłem pół miasta,

Zjedzmy, co jest, a w końcu przy słodkim deserze,

O milutkiej Helenie pogawędzimy szczerze.

Cóż to?... znów czoło twoje tak się nagle chmurzy?

Czas nam jednak pomówić! po co czekać dłużej!

I tak się już dość długo te rzeczy przewlekły!

Jak na zakochanego, głód mnie trapi wściekły.

(*siada u stołu*).

Siądź-że... śniadanie czeka...

JOANNA (*na stronie*). Pomówić-bym chciała,

Ale brak mi odwagi... (*siada*).

MARCELI. Wszak ucza wspaniała!

Oto kurezę... (*kładzie matce na talerz*).

I Bordeaux (*nalewa wino*).

Matko! twoje zdrowie!

Pozwól, niech tu raz jeszcze życzenia ponowię!

Daj mnie się poweselić... mnie w sercu tak błogo!

(*zajada smaczno*).

Lesz szkoda, że u stołu niema jeszcze kogo.

Miły gość wnetby miejsce znalazł między nami.

Znów ta chmura na czole? Mateczko, choć sami,

- Zabawmy się wesolo... Pokosztuj-że wina,
Godzi się dobrej matce spełnić zdrowie syna!
Twój kieliszek nietknięty, — ja piję za dwoje...
Gotówbym się i upić... wszak święto dziś twoje. (pije).
- JOANNA. Dość tego, dość, Marceli... synu mój, drzę cała!...
MARCELI. Czyż mnie matka raz w życiu pijanym widziała?
Jeszcze kroplę, a serce głębiej ci otworzę,
Dziś to dzień wyjątkowy... (nalewa kieliszek).
- JOANNA (z pomieszaniem). Marceli... broń Boże!
(powstając, głosem stanowczym).
Zakazuję surowo!
MARCELI (zdziwiony). I skądże ta trwoga?
(Joanna siada).
Nigdy cię nie widziałem taką, matko droga.
JOANNA (z uniesieniem). O! przekłete pijaństwo!
MARCELI. Matko, — jak Bóg w niebie,
Wzięłaś mnie za innego...
JOANNA. Przebacz...
MARCELI. Mnież od ciebie
Przystoi taki wyrzut?
JOANNA. Chcę cię mieć bez wady!...
MARCELI (wesolo). Ożeń mnie, droga matko, nie ma innej rady!...
JOANNA (ustając od stołu). Poczekać nie zaszkodzi tobie i Helenie,
Znam was dobrze, mój synu, kocham was i cenię,
Lecz braciszek z siostrzyczką, to ciężar nad siły,
Czyżby na ich potrzeby twe ręce starczyły?
(Marceli usuwa stół w głąb sceny).
- MARCELI. Długoż mi tej opieki? rzeczy się ułożą,
Czyż ten się kiedy zawiódł, kto ufa w moc bożą?
Jam mniemał, że mnie, matko, twa wiara ukrzepił
Od czego przecież praca?
(Bierze rylce i siada przy swoim stoliku).
- JOANNA. Oblicz siły lepij!ł
MARCELI. Czy razem, czy z osobna, jeden trud nas czeka,
Szczęście w dwójnasób siły mnoży u człowieka;
A jakaż to po pracy sowita nagroda,
Kiedy w progu z uśmiechem żona rączkę poda!
JOANNA. Sądz jak człowiek dojrzały, nie jak dziecko ploche.
MARCELI. Matko, ja wiem, co mówię, posłuchaj mnie trochę.
Kto chce zwać się człowiekiem, potrzeba mu żony,
Potrzeba mu dom dźwigać krzepkimi ramiony,
Być ojcem, i wystarczyć na potrzeby dziątek,
Strzedz ładu, pracą mnożyć szczęście i dostatek.

- Pracowity robotnik, sam, w bezmyślnym tłumie,
Skarb szczęścia i miłości, godnie uczcić umie.
JOANNA (idzie do stolika, zabiera robotę, którą ma odnieść).
Goń że senną uludę, odrzuć zdrowe rady,
Zawróciły ci głowę książkowe zasady,
Zostawmy to na potem, muszę zebrać myśli.
(wiąże pakiet).
Później rzecz osądzimy rozważniej i ściślej.
Trzeba odnieść robotę, zostań tu, mój drogi,
Ja powrócę...
(Idzie ku drzwiom).
- MARCELI (bierze pakiet z jej ręki i kładzie go na stole przy drzwiach).
Nie, matko, nie wyjdiesz za progi;
Tym zęcnie wymyślonym pozorom nie wierzę,
Musim wszystko z pod serca wypowiedzieć szczerze.
- JOANNA. W stanowczy sposób mówisz...
MARCELI (po chwili milczenia). Trudno mi inaczej...
Poco nam czekać, matko? rozmówmy się raczej.
Opiekun tu Heleny zapewne przybędzie,
Możnaż z niego żartować? miejmyż go na względzie.
Gdy spostrzeże, jak mało przywiązujesz ceny
Do tych związków, on pewno nie da mi Heleny!
JOANNA (siadając na lewo przy stoliku od roboty).
Posłuchaj mnie, Marceli, wyznam prawdę całą.
Długom się ociągała, bo sił mi nie stało.
Tak, ja mam tajemnicę, chciałam ją sto razy
Wypowiedzieć... napróżno!... z ust nie szły wyrazy.
Wiedziałam, że goryczą zaprawię twe życie,
Więc w mój piersi rozdartej tłumiłam ją skrycie.
Mniemałam, że przed tobą mówić się nie godzi,
W jakiej to lez gorącej skąpałam powodzi
Twą kołyskę!...
(Marceli porusza się gwałtownie, przystępuje do matki, siada).
Niech wstydem twe lica nie płoną,
Z twoim ojcem przed Bogiem byłam zaślubioną.
- MARCELI. I czemuż raz tej ciemnej nie zedrzesz zasłony?
Czemuż nie dasz mi czytać w przeszłości zamglonej?
O mym ojeu tyś słowa nie rzekła ni razu,
W mych oczach nie skreśliłaś drogiego obrazu,
Tyś nigdy nie wysnuła, matko, z twój pamięci
Tych niezatartych wspomnień, które czas uświęci
Na wieki w sercu syna, kiedy matka wdowa
W czci ojca umarłego sierotę wychowa.

- Czyż on życie twe zatrul goryczą i łzami?
 Czy jaki czyn niegodny jego pamięć plami?
 Gdyś nieraz chciał zasłony zdzierać tajemnicze,
 Mówiłaś mi, on umarł — zwracając oblicze.
- JOANNA. Lat dwadzieścia, jak ojciec przepadł gdzieś bez wieści.
 Sama z tobą zstałam we łzach i boleści.
- MARCELI (*powstając*). Czyżby żył?
- JOANNA (*powstając*). Nie wiadomo.
- MARCELI. Nie dał znać o sobie?
- JOANNA. Nie...
- MARCELI. I nigdy nie pisał?
- JOANNA. Nigdy...
- MARCELI. Wszystko zrobię,
- Aby rzecz wyświecić...
- JOANNA. Jak?
- MARCELI. Poruszym głowę,
 A może nam się uda... więc nie jesteś wdową?
- JOANNA. Nie! mam na to dowody, on żyć może jeszcze.
 Wiesz, skąd mój niepokój? skąd te zimne dreszcze?
 O którym sądziłam, że grób go już trzyma,
 On tu!...
- MARCELI. Co mówisz, matko?
- JOANNA. Własnymi oczyma
 Widziałam go... któż inny wyglądać tak może?
 Krew ścierpla we mnie lodem, tak... to on! mój Boże!
 Kiedyż to było?
- MARCELI. Wczoraj... małym nie skonała.
- JOANNA. Tego nie nie rozumiem...
- MARCELI. Zatrzęłam się cała,
 Tchu zabrakło mi w piersi, serce bilo młotem.
 (*przechodzi pomalą na drugą stronę*).
- Szedł z pochyloną głową... on!.. nie wątpię o tem,
 To on!... choć wiek mu w brzozy zorał twarz głęboko,
 Te rysy... tu utkwily... nie zwodzi mnie oko!
- MARCELI. Poszłaś, matko, za nim? czy wiesz gdzie przebywa?
- JOANNA. Tak, synu, krok za krokiem wlekłam się pół żywa,
 Wreszcie przed jednym domem straciłam go z oczu,
 Może wszedł, może tylko zniknął mi w pomroczu,
 Noc zapadła... Dziś znowu obiegłam te kąty,
 Zgadniesz, czemu do domu przyszedłam po dziewięć!
- MARCELI. I cóż?
- JOANNA. Próżno...
- MARCELI. On, matko, czy poznał też ciebie?

- JOANNA. Nie wiem...
- MARCELI. Znajdę go, matko, znajdę, jak Bóg w niebie!
- (*chce wyjść*).
- JOANNA (*przestraszona*). Marceli, nie pójdziesz...
- MARCELI (*zdziwiony*). Matko, co to znaczy?
- JOANNA. Gdyby wiedział, że żyję, że znów mnie zobaczy!
- (*blagającym głosem*).
- O! nie szukaj go, synu!
- MARCELI. Znalesz go wypada.
- JOANNA. Biada mnie, jak go znajdziesz... i tobie też biada!
- MARCELI. Nakazać mnie milczenie, to nie w mocy twojej,
 Dziś posłuszeństwo ślepe już mi nie przystoi!
 Nazbyt mnie osobiście obchodzi ta sprawa.
 Syn, gdy został człowiekiem, ma także swe prawa.
 Dawno z nieświadomości wyrosłem dziecięcój.
 Zbyt wiele rzekłaś, matko, bym nie żądał więcej!
 Gdyś ty w niebezpieczeństwie, piersią cię zasłonię;
 Gdyś zboleła, niech głowę złożę na twém łonie.
 To moje święte prawa.
- JOANNA. Przestań już, na Boga!
 Myśli moje bez ładu, spletała je trwoga;
 Synu! bądź mi powolnym...
- MARCELI (*z poddaniem*). Tak, zawsze i wszędzie...
- JOANNA (*wychodząc*). Jak on ten próg przestąpi... to mnie tu nie będzie!
 (*wychodzi*).

SCENA PIATA.

MARCELI (*sam*).

- MARCELI. Poszła, — a ja nie wiem! zgasł promyk w iskierce.
 (*kładzie rękę na piersi*).
 Tu próżnia... raczej kamień rozsadza mi serce.
 „Twój ojciec!..” i uciekla, i nic nie zbadalem.
 (*Chwila milczenia, idzie do stolika swego, wybiera rylce, siada,
 a potem wstaje poruszony*).
 Głowa ledwie nie pęknie pod myśli nawalem.
 Ja tak byłem spokojny, szczęśliwy dziś rano!
 W świat marzeń wybiegałem myślą rozbujaną,
 I oto przyszłość moją czarna chmura słońi,
 Pierzchła moja wesołość... już nie myśleć o niej!
 (*zabiera się do pracy*).

Słowa matki świat nowy odkryły przedemną!
 Gdybym mógł zedrzcć wreszcie tę zaslonę ciemną!
 „Twój ojciec!” jakby gromem tknęły mnie te słowa,
 W piersi bucha płomieniem skra żywota nowa.
 Słowo wiatr! a jak serce do gruntu poruszył
 Jam sądził, że mam przecie więcej hartu w duszy.

(*znów chce pracować*).

Jest gdzieś człowiek, jam jego krwią z krwi, kością z kości,
 Któż on? czém jest? och! może ohydą ludzkości!
 Może piętno mu hańba na czole wyciska! (*zamysła się*).
 Bądź co bądź, muszę wiedzieć!... poznam tę rzecz z bliska.

(*Milczy chwilę — słychać pukanie do drzwi*).

Ktoś puka, to opiekun mój Helenki milęj;
 Wszystko się na raz zbiegło — trzeba zebrać siły.

(*idzie otworzyć*).

SCENA SZÓSTA.

MARCELI, MORIN.

MARCELI. Ha... proszę...

MORIN. (*patrzac na pokój i na Marcelego*).

Czy tu mieszka pani Franciszkowa?

MARCELI (*trochę pomieszany*).

Tak, panie, racz odpocząć, wnet będzie gotowa
 Przyjąć go, zaraz wróci...

MORIN. Wszak widzę jój syna?

MARCELI. Nie inaczej...

MORIN (*na stronie*). Znać umie wybierać dziewczyna.

MARCELI. Czy czasem nie pan Morin?

MORIN. Tak, sąsiad wasz z dołu.

Chciałem się z pańską matką naradzić pospołu
 W ważnej sprawie, tyczącej się Heleny i pana.
 Czy mówiła coś o tém, jak była tu z rana?

MARCELI (*podaje krzesło*). Tak jest... matce odwiedzić pana wypadło,
 Lecz tego opóźnienia, wszak przyczyną całą
 Jego nieobecność w domu od kilku miesięcy.

MORIN. Tak, jam gościem w Paryżu, po za domem więcej
 Przebywam niżli w domu, mój handel nie duży,
 Nie mając komisanta, czas tracę w podróży,
 Otóż wczora, gdym jeszcze nie wypoczął z drogi,
 Patrząc, wchodzi Helena, drży jak liść od trwogi.

Nie śmie spojrzeć mi w oczy, rumiane jój lice;
 Wyznaje, że ma w sercu wielką tajemnicę.
 Wysławia moją dobroć, wzrok wlepiła w ziemię.
 Zwietrzyłem pismo nosem, nie bity ja w ciemię,
 Zgadłem, że to kochanek wlaź w drogę, co pewno.
 Jam stary, na te rzeczy nieczuły jak drewno,
 Żartuj sobie, młokosiel!... tak... tak...

MARCELI (*na stronie*).

Dziwna postać!

MORIN. Kochasz ją... bardzo dobrze, więc chciałbyś ją dostać,
 I jój także serduszko dygocze nie żartem,
 Lecz ja dla nię na męża chcę człowieka z hartem,
 Statecznego do pracy, z tój szlachetnej gliny,
 Co się lepia z nię zacni ojcowie rodziny,
 Nie lalki malowane — jać ją wyniańczyłem,
 Wiem, jakiego jój trzeba, — gdy pomnę, czém byłem.
 W pewne ręce chcę złożyć ten towar bez ceny.

MARCELI. Jakże pan dobrze wartość ocenił Heleny!
 Z lica dziecię, aniolek, lecz spojrz w głąb jój duszy,
 To skała granitowa, której wiatr nie skruszy.

MORIN. Baj baj! mów to drugim, a toć znam ją przecie.
 I któżby mi był kazał przygarnąć to dziecię,
 Wychowywać sierotę rzecz to nie łakoma,
 Lecz ją znałem, więc tedy przed laty sześcioma...

MARCELI. Wziąłeś, panie, rodzinę, jój sieroctwem tknięty,
 Helena chowa w duszy dług wdzięczności świętęj,
 Nieraz mi swe przygody smutne rozpowiada,
 Błogosławiąc ci, panie...

MORIN. Trudnaż była rada!

Inaczejby robaczki zmarniały w barłogu.
 Pomnę przed sześciu laty, kiedy do ich progu
 Straszna śmierć kołatała dzień po dniu, dwa razy,
 Smutny to czas, tysiące padało z zarazy,
 Rzuciłem garstkę ziemi wraz na trumny obie,
 Widzę w pustém gniazdeczku tulą się przy sobie
 Te pisklęta bez matki, drżą skrzeple do kości,
 Patrzą, jakby oczyma wzywały litości.
 Człek nie kamień, gdy nad tém czuć nie ma komu,
 Rad nie rad niebożatka zabrałem do domu,
 Cieszyliż się sąsiedzi dotknięci tém żywo.
 Jam spostrzegł, że i człowiek ma stronę poczciwą;
 Trzebaż było jaskółki pielęgnować młode,
 Ha! miałem ci za trudy sowitą nagrodę!

Z początku, byle trochę mozołu i biedy,
Cóż na świecie przychodzi bez trudul... lecz kiedy
Po raz pierwszy tych rącząt słabiutkich kilkoro
Opłotło się wokół mojej głowy, skoro
Uczulem pocałunek tych ustek bez skazy,
Com doświadczył! czyż ludzkie określa wyrazy?
Boże słońko w mej duszy stopiło lód gruby,
Ludzie serca... to pierwsze w świecie samoluby! *(wstaje).*

MARCELI *(wstaje i podając mu rękę).*

Pozwól, panie, tę rękę uściskać czém prędzę!
Tyś troje biednych sierot uchronił od nędzy,
Ty byłeś opatrnością, zesłaną im z nieba,
Że ciebie błogosławią, dziwić-że się trzeba?

MORIN. Helenka, choć trzynastu nie liczyła latek,
A już w niej drugą matkę przeczułem dla dzieciak,
Lecz przeszła me nadzieje; od świtu do mroku
Krzęta się i dzieciaczki ma zawsze na oku,
Sprząta, pierze, obszywa braciszka i siostrę,
Nigdy z ustek jej słowa nie wybiegły ostre,
W gospodarstwie jej wszystko wywija się z płatka,
Gdy przyjdę, poszczębiocze istnie jak dzierlatka.
Nie zgadłbyś, z tej opieki com otrzymał w zysku,
Byłem dziki, ponury, jak wilk w legowisku,
I oto, cóż się stało? dziewczyna w lat kilka
Podobno mnie w człowieka przemieniła z wilka!

MARCELI. Więc byłeś nie żonaty... bez rodziny panie?

MORIN. Byłem wdowcem... sza o tém.

MARCELI *(na stronie).* To boże skaranie!
(głośno). Toż o rękę Heleny sercem proszę całem;
Od dawna ją miłością szczerą ukochałem,
I ona mi wzajemna... sędzę, że pozwoli
Opiekun na ten związek...

MORIN. Powoli! powoli!
Ptaszkiem słowo przysięgi przeleci przez usta,
Ale miłość chromieje, kiedy kieszeń pusta!
Młodość lekka, ciężarów domowych nie znosi.
Ileż dziennie zarabiasz?

MARCELI. Z dziesięć franków może.
Lecz wszedłem na postępu drogę rzeczywiście,
Dziś robotnik, niedługo zostanę artystą.
Kiedy serce szczęśliwe, myśl połyska świetniej,
Z czasem moje rzemiosło sztuka uszlachetni.

MORIN. Wierzysz w siebie?

MARCELI. Chęć moja wysoko ulata.

MORIN. Młodość pewna przyszłości...

MARCELI. Tak, jam młody w lata,
Lecz sieroty, my w duchu skupiamy się sami,
Wczas dojrzałem, bo matki oblewany łzami!
MORIN. Dobrze, ale w małżeństwie postać rzeczy nowa,
Spłoszy wiatr te zamiary i te piękne słowa,
Znam ja rzecz.. w domu nudno, kąty jakoś zbrzydły;
Człek jak ptak, w ciasnej klatce rozbija się skrzydły.
Nie rad z siebie, na życie patrzy coraz czarniej,
A chęćka coraz silniej ciągnie do winiarni.
Niech frasunki utoną w zapomnienia szale,
Wesołe towarzystwo, poniedziałki, bale,
To wędki na młokosów...

MARCELI. Nie na mnie.

MORIN. W twym wieku,
Przeciw tylu pokusom nie oprzeć się czleku...

Chcesz nie chcesz, musisz uleść, toć człowiek nie święty!
Ba! kawiarnia, kochanku, ma swoje ponęty!

MARCELI *(zdziwiony).* O życiu kawiarnianem nie myślę bez wstrętu.

MORIN. Bylibyśmy bez wady? szklaneczka absentu?...

MARCELI. Co? absentu? tej rozum trującej goryczy?...

Ta ogłupi człowieka, że trzech nie policzy.

Dziękuję, mnie nie szukać dla myśli spoczynku,

Ni w kawiarni sławnej, ani w brudnym szynku.

Piękna rozkosz, ów tuman, co myśl zdrową głuszy.

Trzeźwość piętno szlachetne wyciska na duszy;

Niech nędza łąnie z występkiem w kałużę błotnistą,

Nam trzeba w życie patrzeć myślą promienistą.

Wszak i tak ledwie starczą jej połyski złote,

By zbijać szal obłądny i zwalczać głupotę.

MORIN *(na stronie).* Takiego mi potrzeba... *(głośno)*

Słusznie, mój kochany!

MARCELI. A potem! mnie tak nęcą białe domu ściany,
To mój raj, cichy pokój zdala gwaru świata,
W nim stolik, krzesła, szafa w bieliznę bogata.
Półka książek i lampa wieczorem na stole,
Nad przepych kawiarniany, och! stokroć to wolę!
Cóż biednych robotników od domu odstrasza?
Oto, zgasłe ogniska i zaduch poddasza,
Gdzie zgnęła pleśń wnet ciała i ducha się czepi,
Niż w tej zatęchłej dziurze, być w karczmie im lepiej!

- MORIN. Prawda jasna jak słońce, ale bądźmy szczerzy;
Człeku chwila rozrywki także się należy.
- MARCELI. Chcesz pan, widzę, spowiedzi! nie kryję nikomu
Tajników mego życia, wyznam je bez sromu.
Jam jeden z tych, co marzeń snują przedzę złotą,
Kiedy ręka powszednią zajęta robotą.
A gdy umysł i ręka unużą się wreszcie,
Starą matkę pod ramię prowadzę po mieście.
Bo i matkom potrzeba dać rozrywki chwilę;
Często idę na kursa, wszak bywa ich tyle;
Rysuję, więc rad zwiedzam sztuki arcydzieła,
Skry z mózgu krzeszę młotem, by myśl nie spoczęła.
Z dobrą matką co wieczór poważne rozmowy
Nauczyły mnie cenić ten pokarm duchowy.
Zresztą — jam nie żonaty — jak się zwykle zdarza,
Mam w kilku towarzystwach tytuł sekretarza,
Bom otrzymał od nieba, mówię to bez pychy,
Wznioślejszy polot ducha nad mój zawód cichy.
Wszak godzi się rozumem i myślą podniosłą
Skromnego robotnika uznać rzemiosł
W twardej pracy hartować trzeba dłoń szeroką,
By z nędzą się zuchwale zmierzyć oko w oko.
Ach! trzeba, gdy nas fali porywa prąd chyży,
Wdzierać się w pocie czola, wciąż wyżej a wyżej.
Lud istny dąb, przyroda praw tu swych nie zmienia,
Sok żywotny do góry pędzi od korzenia!
- MORIN (na stronie). Skąd on to wziął? (głośno).
Do dyabła, mój mentorze młody,
Jabym się na tak mądre nie zdobył wywody!
Jam był jak drudzy błędnym otumanion szalem.
Jaką drogą doszedłeś tych prawd? mów...
- MARCELI. Czytałem,
I złe i dobre książki, choć która i zboczy,
Zawsze jakieś z niej światło uderza nas w oczy,
Zresztą od prawdy bije tak wielka potęga,
Rozum, gdy ją dostrzegł, wyżej po nią sięga,
Wszystko zawdzięczam książkom, a mam ich tu wiele,
Z niemi każdą bez nudów przepędzam niedługą,
One to w duszę moją wszczepiły myśl zdrową,
Otuchę mi i wiarę tchnęły w serce nową!
Głupota, mówi matka, w bydlę nas przemienia.
- MORIN (powstając). Dobrześ rzekł, na wasz postęp wszak ja nie nastaję,
Tak jest, inne dziś czasy, inne obyczaje!

- Mędrzej od starych ojców rozumują syny,
Ale to tylko słowa... tak, słowa...
MARCELI. To czyny.
- MORIN. Marzycie...
- MARCELI. My szukamy...
- MORIN. Urojeń.
- MARCELI. O panie!
Sam czas obsuwa góry, zapelnia otchłaniel
Równą miarą Opatrzność dary swe rozdziela,
Któż nie zaznał chwil słodkich szczęścia i wesela?
Mamy wszyscy ogniska, dom, rodzinę, dzieci,
Promień bożego słońka nad głową nam świeci!
Wystarczy nam tych skarbów, któżby wątpił o tem,
Każdy — dział swój odbierze, czy wiedzą czy złotem!
- MORIN. Prawdą!
- MARCELI. Dzielisz pan zdanie?
- MORIN (podając mu rękę). Sercem dzielę całem,
Na nieszczęście, zbyt późno tę rzecz zrozumiałem!
- MARCELI. Jesteś pan nieszczęśliwy?
- MORIN. Stare to przygody,
Co tobie wiedzieć o nich, przyjacielu młody?
(przechodzi na lewo, bierze kapelusze ze stołu).
Coś długo matka twoja do domu nie wraca,
Muszę iść, tam niejedna czeka w domu praca.
- MARCELI. I matka także rada pana poznać szczerze,
Dziś aby go powitać, sama się wybierze,
Słyszę ją, zacny panie, pomów z nią łaskawie,
W sprawie twojej Heleny i w mój także sprawie.
(Morin przechodzi na prawo — Joanna wchodzi).

SCENA SIÓDMA.

CIEŻ SAMI, JOANNA wchodząc kładzie szal na krzesło koło drzwi.

- MARCELI. Matko! z niecierpliwością czekam cię niemalą,
I pan także godzinę czeka blisko całą.
- JOANNA. Kto?
- MARCELI. Pan Morin, na wszystko on zgodzić się raczy.
- JOANNA (sposstrzegając Morina). Ha! to on!
- MORIN (patrząc na Joannę osłupiały). Ona żyje!... nieba!...
- MARCELI. Co to znaczy?

- MORIN. Joanna! powiedz pani także imię twoje?
 MARCELI. Znasz go, matko?
 JOANNA. Czy znam go? znamy się oboje...
 To twój ojciec!..
 MARCELI (*z radością, przybiegając do Morina*)
 Mój ojciec! prawdaż to? mój Boże!
 MORIN. Ja mam być jego ojcem? żarty dziś nie w porze...
 Wszak ja syna nie miałem nigdy...
 MARCELI (*zapytując matkę oczyma*). Nigdy, matko?
 JOANNA. Chciałby mnie obwinić?
 MARCELI. Dość już z tą zagadką.
 Mów wszystko, połóż koniec piekielnej katuszy.
 JOANNA. Czekaj, zaraz opowiem! Bóg świadkiem mej duszy,
 Wyznam prawdę!... ufności twój, synu, nie trzeba,
 Kilka słów starczy na to...
 MORIN (*pomieszany*). Co powiē? o nieba!
 JOANNA (*do Marcelego*).
 Kiedym została sama, niezłomna mu w wierze,
 Tych strasznych dni w pamięci, ślady jeszcze świeże.—
 Ja miałam zostać matką — on nie wiedział o tém,
 I jam też nie wiedziała... ty byleś mi potēm
 Osłoda w ciężkiej doli, żrenicą w mém oku;
 On cię nie znał!..
 MORIN (*bardzo pomieszany idzie ku Marcelemu*).
 Mój synu!
 JOANNA (*stawając pośród nich, do Morina*). Odstąp... (*do syna*).
 Ani krokul
 Zakazuję ci, synu, nie podasz mu ręki.
 Cierpiałam! niech on cierpi równe moim męki,
 Podnieś głowę, on swoją niech zegnje w ohydzie.
 MARCELI. Matko!
 JOANNA. Słuchaj, Marceli, nie wiesz, o co idzie!
 Nie zbliżaj się do niego, on tobie już niczēm!
 Wskazałam ci w przeszłości mroku tajemniczym
 Twój ród, aby ocalić moję cześć i twoją.
 MARCELI (*gwaltownie*).
 Niel ja wszystko chcę wiedzieć... mnie nie zaspokoją
 Te zagadki...
 JOANNA. Więc słuchaj...
 (*do Morina, który zabiera się wyjść*).
 Nie pójdziesz stąd wcale!
 MORIN. Bóg się mści...
 (*pochyla głowę—zaciska czoło w obie ręce*).

- JOANNA (*do Morina*). Tak lzy moje złożył Bóg na szalę.
 (*do Marcelego*).
 Od lat dwóch z tym człowiekiem łączyły mnie śluby,
 Raz czekałam go długo, pomrok nocy gruby,
 Odebrał mi odwagę, pochyłona smutnie,
 Przez lzy nie mogłam ściegów policzyć na płótnie,
 Boleść serce w żelazne ścisnęła mi kleszcze,
 Zegar uderzył północ... on nie wrócił jeszcze...
 Gdym ja we dnie i w nocy szyła bez spoczynku,
 On z fajką przy butelce czas marnował w szynku.
 I tak co dnia...
 MARCELI. On? matko!
 MORIN. Ha! nie wytrwam dłużej...
 JOANNA. I ja mogłam z nim w brudnej zagrzeznąć kałuży.
 Pomnę, nieraz z rumieńcem przyrosłym do czoła,
 Pijanego jak bydlę wywlokłam z za stoła,
 I powiodłam do domu — ha! dobrze, gdy za to
 Krwawa chłosta mi jeszcze nie była zapłata!
 W tę noc wszystką cierpliwość wyczerpałam do dna.
 W domu nędza i pustka, jam skrzepla i głodna,
 Chciałam uciec, lecz litość tę czułam, niestety,
 Co, kiedy miłość skona, trwa w sercu kobiety.
 Wzywałam śmierci... przyszła... och! przyszła bez zwłoki!
 (*z uniesieniem*).
 Ktoś wstępował na wschody, słyszę znane kroki.
 Słyszę głos. Och! głos straszny!
 MORIN (*blaga*). Dość już, nieszczęśliwa!
 JOANNA. Muszę skończyć... stąd jeszcze sączy się krew żywa!
 Lat dwadzieścia tej krwawej nie zgoiło rany,
 Tryśnie prawda z tej piersi boleścią wezbranęj...
 MORIN (*z postanowieniem do Marcelego*).
 Ja sam dopowiem resztę, bo serce mi pęka
 Pod wyrzutu ciężarem, bo straszna ta męka
 Trwa i trwa — istne piekło! stoi mi przed okiem,
 Ta noc czarna, okropna! pomnę, drżącym krokiem
 Przywlokłem się do domu, płonęła mi głowa,
 Za progiem belkotałem grubijańskie słowa.
 Nie mogłem drzwi domacać... o mało nie padłem,
 Otworzyła mi matka z obliczem wybladłem,
 Istny trup... widzę jeszcze... trzyma świecę w dłoni,
 Byłem wesół... ze śmiechem przybliżam się do niej!
 Ha! musiałem być straszny!.. (*wskazując Joannę*).
 Ona mnie odtrąca,

Widzę, jak się szamocze, zsiniała i drżąca.
 Od słowa rychło przyszło do kłótni zaciętej.
 Jam ryczał — och! bo pijak równa się z bydlęty!
 Pomnę, wnet jój wyrzuty sypnęły się gradem,
 Rumieniec gorączkowy błysł na licu bladym,
 Jój skarga w me sumienie sztyletem uderza,
 Z bydlęciami w drapieżnego przemieniam się zwierza.
 Gniew wściekły mnie ogarnął, — z ust piana się toczy, —
 Miotam się jak szalenciec, wtém — nóż błysł mi w oczy —
 Chwytam go... i podwakroć godzę w pierś...

MARCELI (*biegnąc do matki*) Na Boga!
 Więc on w ciebie ugodził?.. w ciebie, matko droga?
 (*do Morina*).

Tyś to zrobił..

(*na znak Morina pochyla głowę z boleścią*).

MORIN. Jam jeszcze postąpił niegodniej
 Zbiegłem jak tchórz... ha! trwoga tuż stoi przy zbrodni!
 A jednakże w poranku pchnięty dziwnym szalem,
 Pod progiem mego domu nagle się ujrzałem.
 Wieść przemkła już nad miastem lotem błyskawicy;
 Gdym jak widmo grobowe krążył po ulicy,
 Słyszę: — ludzie wołają, wskazując me progi,
 „Tu umarła kobieta”. Głos tłumu złowrogi
 Gromem spadł mi na duszę, rozdarł mi wskroś seree,
 Uciekłem wprzód, mim kara dosięgła mordercę.

MARCELI. Ha! nędzny!
 JOANNA. Wyznał prawdę. . nic nie przepomina.

MORIN (*przygnębiony*).

Co? jam mógł razem z matką zamordować syna?

JOANNA (*biorąc syna za rękę*).

Oboje oni żyją — snadź zrządzenie boże!
 W szpitalu mnie jak trupa rzucono na łożo.
 Kiedym przyszła do życia z raną w piersi krwawą,
 Sąd słuchał moich zeznań — tak żądało prawo,
 Ucieczka potępieniem twém była surowem.
 (*powstaje i wychodzi na środek sceny*).

Mogłam cię, nikczemniku, zgubić jedném słowem,
 Twoją zbrodnię przed sądem mogłam wyznać śmiało,
 Już mi serce dla ciebie w piersi skamieniało.
 Dość mi usta otworzyć — zbrodnia dowiedziona,
 Lecz mi to biedne dziecię drgnęło w głębi łona,
 Ono mnie przeblagało pierwszém życia tętnem,
 Za ojca!.. miałoż na świat przyjsz z ohydy piętnem?

Gdy sędzia wzrok badawczy utkwil mi w oblicze,
 Skłamałam... tych wykrętów już dziś nie policzę,
 Któremi zamaciłam ten wywód sądowy,
 I karę od przestępnój odwróciłam głowy!
 (*Morin siada na lewo przygnębiony*).

MARCELI. Tyś go więc zasłoniła przed hańbą i karą
 Twém sercem bohaterskiem!.. ty, biedna ofiara!

MORIN. Straszno mi przed oczyma stoi zbrodnia cała,
 Jam ją miał za przepadłą — ona tylko spała!

JOANNA. Wyzdrowiałam, i przyszedł czas, gdy dla nędzarzy
 Między biedą a wstydem los ciężko się waży.

MORIN (*cicho*). Wstydem!

JOANNA. Wtedy poznałam ogrom twojój winy.

Nieraz to w straszne nocy bezsennych godziny,
 Stojąc po nad przepaścią, wśród pokus bez liku,
 Z rozpaczą przeklinałam twe imię, nędzniku!
 (*Morin wzdryga się*).

I teraz gdy cię widzę, gniew mną jeszcze miota.
 Bez wsparcia, bez opieki, zostałam sierota,
 Z sercem niedoświadczoném, do walki zbyt młodem,
 A wiesz ty, co to wiecznie szamotać się z głodem?
 Z tęsknotą, gdy cię w sidła osnuła zdradziecko?
 Jedyném tylko wsparciem było mi to dziecko!
 W kołysce jego dla mnie tarcza i otucha,
 A wiesz, co mi to dziecko szeptało do ucha?
 „Nie trwóż się, biedna matko! ja czuwam przy tobie!”
 Rzuciłam własne strony, i w serca żalobie,
 Zabrałam się do pracy, by wyżywić syna.
 (*wskazując Marcelęgo*).

Odtąd nowe dni pasmo dla mnie się zaczyna.
 Tak, Marceli, przy tobie, pokryta twą tarczą,
 Wzięłam za cel, o ile siły mi wystarczą,
 W twoje serce, w twój umysł wlać prawdy zdroj żywy,
 Abyś życiem bez skazy poczcil włos mój siwy.
 Wiesz wszystko, teraz ojca powitaj-że, dziecię.

MARCELI (*powstając*). Ojca!

JOANNA. Śmiało, Marceli, nie wahasz się przecie?

MORIN (*powstając, głosem błagalnym*).

Mój synu!

JOANNA (*porywając syna za rękę*). Mów, Marceli, twoja dusza dzielna...

MARCELI (*wydzierając się matce, i ze łkaniem siadając na krześle w głębi*).

Zostawcie mnie oboje, to walka śmiertelna!

MORIN. Prawda, byłem bydlęciami starzaném w kałuży,

Lacz w tym ducha upadku nie mogłem trwać dłużej,
Jam żył— włos mi pobiełał, czas-że nie nie ściera?

(do Joanny, wskazując Marcelego).

On dobrze wie, że inny, niż był!.. — prawda szczerza,
Inne czasy, jam życiem odrodził się nowém!

JOANNA (przerywając).

Co? chciałbyś przy ognisku zasiąść tu domowém?
Chciałbyś na równi ze mną stanąć wobec syna?
Wczołgać się w czyste progi jak nędzna gadzina,
I pijanej rozpusty zabluzgać je błotem? (Marceli wstaje).

MORIN.

Och! już tego za wiele! — zapomniałaś o tem,
Iż gwałtem się w domowe nie wdzierałem progi,
Jam was przecie nie szukał, — lecz skorom wśród drogi
Znalazł żonę i dziecko, miałżebym niedbale
Porzucić taką zdobycz? (uderza gwałtownie pięścią w stół).

Nie rzucę jej wcale!

Jestem w własnej rodzinie, — wobec takiej wzgardy,
Dopomnę się praw moich, — będę jak głaz twardy!

JOANNA (rzucając się w objęcia Marcelego)

O! poznaję cię teraz... poznaję...

MORIN.

Być może!..

Lecz wróć do praw moich... tak... już ich nie złożę,
Mój dom tu... czy słyszysz?.. chcę syna!

(Joanna przestraszona tuli się do Marcelego).

MARCELI (osłaniając matkę do Morina).

Nie, panie!

— Matko, nie drżyl!.. to ramię za tarczę ci stanie —

Tak, matka moja wdową, jam sierotą jeszcze,
Wpółśród nas stoi widmo przeszłości złowieszcze.

Ona zna cię jedynie z dwuletniego sromu,

W którym tyś sponiewierał święty próg jej domu.

Z tych łez, w dwudziestoletniej wylanych goryczy,

Nie tobie zda rachunek, — sam Bóg je policzy.

Co do mnie, znam powinność, — jej rady mnie strzegą,

Dość wi spojrzeć w jej oczy, bym uniknął złego.

Jej to błogosławione ręce mnie niańczyły,

Ona cichą ofiarą, trudami nad siły

Chroniła mnie od głodu!.. O! matko ty święta!

Gdy wspomnę, jak ty przeszłaś skazą nie dotkniętą

Kolezastą życia drogę, niezłomna w boleści,

Wielbię hart bohaterski twój duszy niewieściój.

Gdyby nie twoje święte macierzyńskie skrzydła,

I mnieby też porwała ta powódź obrzydła,

Co tłum dzieciak w uliczne pogrążyła błoto;

Gdybyś ty nie czuwała nad biednym sierotą,
Byłbym jak te włóczęgi, co rosną, by z laty
Nieczystém piersi technieniem rdzewić więziń kraty!

(do Morina).

Twój przykład byłby na tę wprowadził mnie drogę.
Chciałbym wszystko przepomnieć!.. daremno... nie mogę!
Jam wzrósł pod dobroczynnym cieniem jej opieki,
Byłeś dla mnie umarłym... zostań nim na wieki!
Joanno, każ mu milczeć... skończmy raz to piekło!

MORIN.

(uderza ręką w pierś).

W okup za twoją ranę, dość stąd krwi pociekło.
Masz słuszność, mnie z tych progów oddalić się raczej,
Skoro żal mój niewczesny nie u was nie znaczy.
Precz stąd, nędzny zbrodniarzu! — precz, starcze szalony!
Tu przeczą nawet tobie prawa do obrony!
Przed chwilą — tu człowiekiem byłem, jakich mało,
Twój syn rad moją głowę uczył posiwiła,
Byłem przezacną duszą, opiekunem z nieba,
Nazywano mnie zbawcą, ba! i czegoż trzeba?..
Wtém wiatr zawiął z przeszłości, odkryła się karta,
W niwecz wszystko!.. cześć ze mnie do nitki odarta!
Nikt nie spytał, skąd idzie ten poczeiwy człowiek?
Ile mu łez palących wybiegło z pod powiek?
Jakie brzemie wyrzutów nagięło mu bary?
Jakim wysiłkiem ducha, jakimi ofiary
On wywalczył u świata zacne stanowisko?
Jak zdołał cześć odzyskać, upadłszy tak nisko?
Jakim ogniem wypalił ohydny trąd z serca?
Jaką siłą ten pijak, ten gbur, ten morderca
Odzyskał zacność duszy, myśl krzepką i zdrową!..

MARCELI.

MORIN.

Ależ...
Milez, nie przerywaj... tę prawdę surową
Z ust ja dwudziestoletnich rad słyszę i cenię.
Wobec zbrodni młodzieńcze wzdryga się sumienie,
Ty hardo wznosisz głowę, boś uniknął zguby,
Nigdyś jak ja z twardemi nie łamał się próby.
Matka wsiewała prawdę w twoją duszę prostą,
Moja matka mnie z domu wyganiała cłosta,
Zbiegałem ja radośnie za te zimne progi,
Nikt nigdy mi do szkoły nie pokazał drogi,
Przetarzałem w rynsztokach całą młodość moją,
Aż karczma pierwszą dla mnie stała się ostoją!
Młodzieńcze! droga enoty nie łatwa i ślizka,

Ty nie wiesz, co to znaczy wyrość bez ogniska,
Co to sypiać na drodze z kamieniem pod głową,
Wciąż słyszeć obelżywe z ust przechodnia słowo,
I pytać, gdy wewnętrzności głód pali i nęka,
Czy się gwałtu w noc czarną nie dopuści ręka?
Z takimi ja to próby darłem się w zapasy,
Wam szczęśliwym tak twardo nie walczyć w te czasy.
I czemuż jam nie runął w tę przepaść głęboką?..
Mogłem spaść jeszcze niżej!.. Czyjeż bratnie oko
Ostrzegło mnie o zgubie?.. Ha! iskierka mała
W sumieniu pod popiołem słabo jeszcze tłała,
Jam rozdmuchał ją w płomień; przy tej to pochodni,
Jam się sam wobec Boga wykupił z méj zbrodni.

(Marceli zrywa się, jakby chciał przystąpić do ojca).

Ale czara pokuty nie spełniona do dna.
Joanno, żegnam ciebie!.. ty żyj tu swobodna,
Przeżyłem sam tak długo... ha, niechże za karę,
Sam dowlekę do grobu moje kości stare,
Jam nie godzien z tą plamą niestartą na czole,
Umrzęd poczeiwą śmiercią w méj rodziny kole.

(Chce odejść, opiera się o stół, gwałtownie poruszony. Joanna osuwa się na krzesło przy kominie, Marceli stoi przed nią).

MARCELI *(patrzac w oczy matki błagalnie).*

Matko, jam pokonany, już nie wytrwam dłużej!

JOANNA. Marceli!..

MARCELI.

W mojej piersi wszystka krew się burzył

Czas otoczyć opieką to życie tulacze,

My okrutni, bez serca — patrz, matko! on płaczel..

(W chwili gdy Marceli zwraca się do Morina, Helena wbiega rozpromieniona od radości).

SCENA ÓSMA.

MORIN, JOANNA, MARCELI, HELENA.

HELENA *(wesolo)*. I cóż? skończona rada? *(zatrzymuje się).*

MORIN *(przystępując do niej)*.

Heleno!

MARCELI *(do Morina)*.

Na Bogal

Nie mów nic!

HELENA.

Cóż się stało?

MORIN *(biorąc ją za rękę)*.

Chodź, Helenko droga!

HELENA. Mów, ojcze... co tu zaszło?.. spojrzysz na mnie przecie!
(patrzac na niego badawczo).

MORIN. Trzeba nam się oddalić... chodźmy, biedne dziecię!

HELENA. Oddalić?

MORIN. Tak, w tej chwili... w niwecz tve zamiary!

Idźmy!.. zmysły się płaczą w mojej głowie starzej.

(Helena do Marceliego).

Jakto?.. mówże, Marceli!

MARCELI. Chciałbym — och, nie mogę.

MORIN *(żywo)*. Jam wygnany z tych progów, wyklęty, czas w drogę.

MARCELI *(do Heleny)*. Nie wierz mu...

HELENA *(do Marceliego)*. Tyś niebaczna znieważył go mową?

On tak zacny, szlachetny.

MORIN *(ściskając ją w objęciu)*. Dziecię, wyrzec słowo,

Powiedz, że mnie ich klątwa niestusznie dotyka,

Mów, że ja nie zasłużył na imię nędznika.

Powiedz, że iskra życia w mojej piersi płonie,

Żem te drobne pisklęta ogrzał na mém łonie,

Powiedz, że nie rozbójnik, nie krwawy morderca,

Żem był ojcem dla ciebie, ojcem pełnym serca.

HELENA. O, tak, tyś dobrym, ojcze, czyż dowodów mało?

Lecz błagam was na Boga, mówcie, co się stało?

Marceli, nie zwłócz dłużej, wszystko wiedzieć muszę;

Wyrządzona mu krzywda i mnie rani w duszę.

Ty mi nie odpowiadasz?

MARCELI *(zasłaniając oczy)*. Co cierpię, o Boże!

HELENA. Milczysz? *(do Joanny)*.

Matko, ty prędzej objaśnisz mnie może.

MORIN. Precz z tych miejsc, bo ta klęska cięży mi złowroga.

Chodź, córko!..

MARCELI *(żywo)*. Co? i ona?

MORIN *(po chwili milczenia)*. Ty, Helenko droga,

Możesz zostać w tym domu.

HELENA. Bez ciebie?

MORIN. Tak, z niemi,

Czyni, jak ci serce każe, nim odpoczne w ziemi,

Kędykolwiek tulacze kroki mnie powiodą,

Twoje szczęście jedyną będzie mi osłodą.

Zostań tu, jego miłość tarczą cię osłoni,

Ale o starym ojcu zapomnij... jak oni...

(głosem rzewnym i coraz słabszym).

Mnie w żalobie domotać wątek dni stargany...

Żegnam cię, ty miłością rozpromień te ściany.

HELENA (*biorąc go za rękę*).
Ojczy, ja pójdę z tobą.

MARCELI (*z rozpaczą*). O matko, litości!

MORIN. Chodźmy...

HELENA. Ojczy, co tobie? drżysz skrzepli do kości.

MARCELI (*przysuwając mu krzesło*).
Ledwie stoi na nogach... skostniała mu ręka...

MORIN (*upadając*).
Ja tego nie przeżyję... och, serce mi pęka.
(*traci przytomność*)

HELENA. Ha, czyście go zabili?..
(*Joanna po głuchém milczeniu, zrywając się nagle, biegnie do Morina z głośnym wykrzykiem*)

JOANNA. Niel.. nie! och! drzę z trwogil
(*wszyscy otaczają Morina*).

MARCELI. Biada nam, gdyby umarli..

HELENA (*zdumiona*). Wamże on tak drogi?

JOANNA (*wzruszona głęboko*).
To mój mąż!

MARCELI. To mój ojciec!

HELENA. On?

MARCELI (*wskazując Morina, do matki*). Przeklęta pycha!
Matko, Bóg nas ukarał.

HELENA (*klękając u stóp Morina*). Słyszysz... on oddycha.

MARCELI (*pochylony nad ojcem*).
Tak, on żyje...

MORIN (*otwierając oczy*). O Boże! co się ze mną stało?
Głowa pała mi ogniem, w oczach mi ściemniało.
(*sposstrzegając Helenę u stóp swoich*).
A, to ty? gdzie jesteśmy? czy mnie zmysły mylą?
Czym ja spał?.. tak, pamiętam... byłem tu przed chwilą.

MARCELI (*klękając*).
Przebacz! jam cię obraził... ciężka moja wina!
O! mój ojczy!

MARCELI (*ściskając go*).
Mój synu! więc jeszcze mam syna!

MARCELI (*przyciągając Joannę do Morina*).
Śpiesz się, matko!.. Bóg cię woła!

HELENA. Chodź, matko.

MARCELI (*widząc poruszenie matki*).
Och! dzięki!

MORIN (*z pokorą*). Joanno!

JOANNA (*zbliżając się do Morina*).
Drogi mężu! nie odtrąć tej ręki...
Jam téż była okrutna, przebac w imię boże!

HELENA (*wesoło*).
Tak, już nas żadna siła rozłączyć nie może!
Będziemy żyć szczęśliwi!
(*Morin spuszcza smutnie głowę*).

MARCELI (*patrząc na ojca z uczuciem*).
O! niech cię popieszczę,
Słodki uśmiech twe usta rozpromieni jeszcze!

(*Zasłona spada*).

V. Z JULIUSZA BRETONA. *)

Do rodzinnej doliny.

Piękna moja dolino! gdy przez tuman rosy,
Zachodzący promyczek w dzwonnicy odbłyska;
Gdy klonią się ku ziemi rozmodlone kłosa,
I dym jak z kadzielnicy bucha z trzęsawiska;

Gdy po łące zielonej rój dziewczeczek bosy,
Z pękiem chust od rzeczulki wraca do ogniska;
Kiedy wietrzyk swawoli z długimi ich kosy:
Jam nad to cudniejszego nie widział zjawiska.

Inni, gdy chcą o innym niechaj marzą cudzie,
Niech szarpią się szaleńcy w gorączkowym trudzie;
Twa piękność nie przemówi do ich duszy choréj!

*) Juliusz Breton, najznakomitszy malarz scen z życia ludu, równie jak pierwszorzędny poeta, urodzony w bliskości Pas de Calais we wsi Courrières, nie opuścił nigdy rodzinnego gniazda. Zrazu krytycy lekceważyli jego pieśni, utrzymując, że malarz powinien przede wszystkim pilnować pędzla. Odezwał się wreszcie za Bretonem głos pierwszego z krytyków, zmarłego dziś Pawła de St. Victor. Przytaczamy tu jego wyrazy: „Oryginalność Bretona właśnie na tém polega, że pisząc pozostaje malarzem: patrzy on na przyrodę okiem wprawnóm do chwytania najdelikatniejszych jej odcieni, każde jego słowo zaprawne harmonijnym czarem kolorytu, jego malownicza poezya, pełna ruchu, powietrza i woni, a co więcej gorącą ogrzana miłością, celem jej ziemia z całym swém bogactwem, ale stokroć bardziej człowiek, który uprawia tę ziemię i podsyca ją potem własnego czoła.” Oprócz wielu pieśni ulotnych, wyśpiewał Breton z życia ludu śliczną powieść p. t. *Joanna*.

Ty starczysz sercu memu; twój urok mnie żywi,
Chcę stapać, gdzie stąpali ojcowie szczęśliwi;
Po tychże samych ścieżkach letniemi wieczory!

P o k ł o s i e.

Dziecko pół, wyraz dumy z dzikością zmieszany
Odbija na jój czole; postać jój wspaniała,
Gdy porankiem przebiega pokoszone łany,
I nóżką bosą pyłu podnosi tumany;
Złotym światła odblaskiem upowita cała.

Krzepki oddech podnosi drgające jój łono,
Idzie po twardém rżysku... Nic jój nie ustrasza:
Dwie czarne jój źrenice niby gwiazdy płoną,
Zgrzebne płótno pokrywa kibić utoczona;
Cudby z niej utoczyło dłuto Fidyasza!

Lica jój ogorzałe od skwarnych promieni,
W rękę pęk złotych kłosów tryumfalnie trzyma,
Uboga jój spódniczka na słońcu się mieni,
Idzie dalej a dalej... już znika w przestrzeni;
A jeszcze mi jój postać świeci przed oczyma!

W i e c z ó r

(sonet).

Gdy przy zachodzie słońca, po zżętym zagonie,
Wóz o skrzypiących osiach pomału się toczy,
Gdy pod brzemieniem snopów gną się rosłe konie:
Wielkim pół majestatem poję myśl i oczy.

Z sierpem w rękę na snopach siadł żeniec ochoczy,
Spoczywa rozmyślając o bogatym plonie,
Jak kłosy pszenicznymi stodołę natłoczy;
A słońce na zgorzałe upada mu skronie.

Pracą zdobył zapaśnik on czarny kęs chleba:
Bóg téj wytrwałéj walce błogosławił z nieba;
Walce, bez krwi, bez trupów, nie marno straconej.

Lato płaszcz rzuca płowy na przestrzeń bez końca,
Na wodzie tryumfator siedzi, uwięziony
Koroną złotych kłosów i promieni słońca!

Z ł u d a

(sonet).

Dusza moja stargana walkami żywota,
Kiedy boleść jastrzębie utkwiła w niej kleszcze,
Leci na skrzydłach wspomnień za domowe wrota,
Kędy płomień ogniska w pamięci tli jeszcze.

Widzę owe gwoździki rozkwitłe u płota,
Napawam się ich wonią, oko barwą pieścę;
Złudąż było to wszystko? pytam ich sierota:
Tyleście przyrzekały... gdzie moje sny wieszczę?

Ach! przyszłość, w tém zwierciadle porankiem odbita,
Świeciła tak wspaniale, jak świeci snop żyta,
Gdy promieniem słonecznym każdy kłos goreje!

Złudą było to wszystko! przemkły błyskawicą
One sny niewyśnione, te zgasłe nadzieje,
Tém cudniejsze, gdy łzawą patrzym w nie źrenicą!

K r z e s i w o

(sonet).

Gdy wieczorem pomału, na ciche gór stoki,
Kłęb pary tajemniczy w ślad za kłębem sunie;
Gdy beczące owieczki o bieluchnym runie
Zbiegają się w gromadkę chyżemi podskoki;

Tam, kędy nad parowem wśród ciszy głębokiéj,
Tymianek z macierzanką rośnie przy piołunie;
Coś mi w oku majaczy, niby złom opoki:
To pasterz w swą brunatną przyodziany gunię.

Drży jak liść, słucha: wilki zawyły w oddali;
Wziął kamień i uderzył krzesiwem ze stali,
I zabłysła iskierka z pod ręki pastuszej!

Widziałem to, ja lirnik! serce mi zadrżało:
O! gdybyż to wykrzesać iskierkę choć małą
Z tych kamieni, co leżą na dnie mojej duszy!

N a r ó w n i n i e.

Moje to pole, moje to kłosa,
Moją ta piękna dolina;
Ten tłum żniwiarzy, co brzęczy w kosy
I pieśń wesolą śle pod niebiosy,
Gdy zboże rankiem zacina.

Moją ta brózda, gdzie świerszczyk szary
Dobywa głosu ostatek;
Moje te drzewa, co w letnie skwary,
Tulą ptaszęta swemi konary:
Mój ten wśród zboża bławatek!

I mój on przestwór słońcem ogrzany,
Gdzie bez was, szkolni nudziarze,
Duch twórczy leci z pęt rozkielznany,
Jak wichrem parte mkną uragany,
Po niezmiernym obszarze!

Ogień świętojański.

Drzemią sierpy w komorze,
Pomrok zapadł, noc blizka;
A dziewczeczki tam hoże
Tańczą wokół ogniska.
Ptak do gniazdka się chowa,
Lasy, pola już głuchną;
Tylko zorza czerwocowa
Świeci ziemi bledziuchno.

Przez tumany mgły ciemne,
Na przestrzeni szerokiej,
Wkoło widzę tajemne
Płasających poskoki.
Gdy dziewczątka urocze
Wiotką kibić przechyła,
Z bark chusteczka furkocze,
Jak skrzydełka motyla.
Pieśń radosnym brzmi chórem,
Iskra iskry potrąca;
Błysł na niebie ponurem
Sierp srebrzysty miesiąca.
Stoją chłopcy na boku,
W jedno grono skupieni;
Przyśpiwują w pomroku,
Jak rój brzmiających szerszeni.
O kij wsparta babina
Wlecze kroki powoli;
Tęskno w duszy wspomina
Dni dziecięcej swawoli!
A nietoperz, co z wieży
Na świat spojrzął w noc czarną,
Spłoszon pieśnią młodzieży,
Zbiegł w kryjówkę cmentarną!
Póki starczy płomieni,
Płasaj, dziatwo szczęśliwa;
Gdy brzask niebo zrumieni,
Pójdiesz z sierpem do żniwa!

B u r z a.

Słońce zatrutym jadem napuszcza swe strzały,
Pochyla wątłe kwiatki wśród trawy zgorzalej;
Liść zwisły na gałęzi traci barwy świeże,
A błękit, utopiony w duszącym eterze,
Nad ziemią szary całun rozpościera z góry;
Bzeczłuka wyschła do dna, a stawek ponury
Stał się brudną kałużą, gdzie po czarnej glinie
Pelzać tylko wylekłej w ciemności gadzinie.
Powietrze napełniły żyjątek tumany,
Wszelki twór drży, tajemnym postrachem targany;

Obumiera w milezeniu przyroda bogata;
Niebo w śmiertelną plagę zmienia piękność lata!

I oto na szerokięj bez końca przestrzeni
Wystąpił biały obłok: jeży się i pieni,
Z razu jak runo wełny, rośnie w mgnieniu oka,
Na czole widnokręgu stanął jak opoka.
Wolno, ciężko się toczy wśród powietrznój fali,
Oblóczy niby pancerz wykuty ze stali;
Wszerej i w podłuż rozciąga czarny kadłub smoczy,
Z potwornych bark olbrzyma sto lbów się wytoczy;
Grzbiet ohydny, żelazną najczon szczecina,
Cielskiem przeciał napoły niebios przestrzeń siną.

Zabłysło i strzał ryknął... drży ziemia struchlała:
Straszne hasło! wnet po niem grzmiały tysiączne działa,
I wichur się rozpasal!... w szalonym zapędzie
Uderzy w pierś olbrzyma, na karku mu siedzie;
Zbuduje groźny szaniec z warownemi brony,
Czarny wał, tysiącami strzelnie zdziurawiony;
Z poza wału wnet chmura junaków wybieży,
Skry sypią się z ich hełmów, lony z ich pancerzy:
Pędzą w cwał, nawalnicą. Wtém obłok się wzdyma:
Rzygnie siarką, i zastęp zniknął przed oczyma.
I tylko na wieżycy, wysoko u szczytu
Błyska jeszcze zwycięsko chorągiew z błękitu;
A potem wszystko, baszty, blanki i strzelnice
Pokryły chmur tumany, śemiły błyskawice.

Grom uderzył: zamczysko runęło z łoskotem;
Głuche ziemia odjękła, grzmot ustał, a potem
Wiatr zwinął czarne skrzydła i umilkł grobowo,
O! złowroga to cisza! i otóż na nowo
Ocknie się, wściekłym pędem przyskoczy do ziemi,
Uzbrojon do zapasu śrubby piekielnemi;
Straszną trąbą przez leśne pomyka obszary,
Wali stuletnie dęby, druzgocze konary;
Głuszy groźnym poświstem szalejące puszcze.
Mknie dalej... w łono morza skrzydłami zapluszcze:
Morze z trwogą zaryczy. O! próżno się zżyma,
Rozbukanemi wały nie przemódz olbrzyma!
W iatr, szalony niszczyiciel, wzdłuż zbiega przestworze,
Chmur żalobnym całunem skrył niebo i morze!

Wszystko znikło; na ziemię padła cisza głucha,
I tylko z nad wybrzeży dobiega do ucha
Żalonna skarga mewy!

Jutro z rannym świtem
Znow morze się wspaniałym ubarwi błękitem.
W przeczystym wód zwierciadle skąpią się niebiosy,
Na listkach znow zabłysną drzące krople rosy;
Krzew obwisłe gałązki wesoło podniesie:
Znow radosną piosenkę zakwili ptak w lesie,
A wśród trzciny, gdzie się leże kijanka obrzydła,
Konik wodny rozwinie promieniste skrzydła,
I z góry po kamieniach strumień rozpląsany
Potoczy się i pryśnie srebrzystemi piany!

W s p o m n i e n i a .

Obrazek wiejski.

Słońko zaszło — powoli mrok wieczorny wzrasta.
Na przyzbie, w progu chaty, podeszła niewiasta
Przędzie na kołowrotku — i wzrokiem tęsknoty
Goni na tle przeszłości wątek wspomnień złoty.
Wtém, z kościelnej wieżyczki dzwonek się odzywa,
Niewiasta wypuściła z ręki nić przedziwa,
Pochyla kornie czoło, usta pobożnemi
Szepcze cichą modlitwę za tych, co śpią w ziemi.
Umilkł dzwon, kołowrotek zawarczał na nowo,
Noc roztacza całuny niewieście nad głową;
Raz po raz nowa gwiazda na niebie zapłonie,
Ptaszęta już posnęły w gniazdeczkach na klonie;
W wiosce milkną pogwary, chwila dziwnie słodka,
Żal zadumanej prządce odbiedz kołowrotka...
I długo na tle nocy jej czepiec się bieli
Jej ręka coraz wolniej ciągnie nić z kądzieli,
Nić wspomnień coraz słabiej ciągnie myśl znużona,
A turkot słabnie, cichnie, i wśród nocy kona.

Jakaż to była przeszłość, co tej prządce stariej
Do duszy tak słodkimi przemawia pogwary?
Czemu z kryjówek serca pamięć wydobywa
Złożoną tam na wieki jasną nić przedziwa?

Czemu widok tych progów myśl jęj senną budzi,
 Gdy noc kołysze z cicha spracowanych ludzi?
 Bo z ubogą tą strzechą zrosło się jęj życie,
 Jęj prace, jęj uciechy, lzy, co biegły skrycie
 Z jęj powiek, walk, zawodów i boleści tyle,
 I w krótkim dni zaranku, słonecznych dni chwili,
 Wszystko to, jak w zwierciadle widzi stara prządka,
 Cień przeszłości z każdego wybiega zakątka.
 Stary klon coś jęj szepcze tajemnymi słowy
 I studnia, i okienko, i ten próg domowy.

Zaliż owa uboga izba nie pamięta,
 Jak lat i trosk ciężarem ta prządka dziś zgięta
 Dziecięcemi nóżęty w radości i trwodze
 Raz pierwszy po ceglanej stąpała podłódze?
 A oczy, niby modre na polu bławatki,
 Z uśmiechem kraśnych ustek zwracała do matki?

I nowa potęm chwila w pamięci jęj błyska:
 Noc... ogień jasnym słupem wybucha z ogniska,
 Drużki na wieczorynkę przybiegły ochoczo,
 W krąg izby kolowrotki rażno zafurkoczą...
 Co tu śmiechu, co gwaru! jaka radość pusta!
 Nagle, rzewna piosenka zbiega im przez usta,
 Het, na pola, na lasy smętnie dźwięki płyną;
 Usłyszał je Stefanek biegnący doliną.
 Hejże w cwał do okienka, — okryty pomrokiem,
 Z poza szybki na dziewczęę chcęwym patrzy wzrokiem.

Po zimie przyszła wiosna i lato gorące.
 Obciążona chustami, po skoszonej łące
 Ona idzie do rzeczki; coś migło jęj w oku.
 — Stefanek! — myśli dziewczęę i przyspieszy kroku,
 To zwolni... chusty ciężkie... chłopiec ośmielony
 Przybiegl: idą razem po łączce zielonęj,
 Gwarzą coś o słoneczku, o zmiennęj pogodzie,
 Jaskółki skrzydełkami muskają po wodzie,
 Będzie deszcz... a tu żniwa... potęm chłopię puste
 Rad podstępem dziewczynie zabrać z koszem chustę,
 Dziewczyna się opiera... och... już niedaleko,
 Ledwie parę poskoków... stanęli nad rzeką,

Chłopiec w nią wlepił oczy, jęj drgnęło serduszeko,
 — „Bodajbys ty o kamień potraćila nóżką!
 Wpadłabyś do rzeczulki! — Ona się zapłoni.
 — Chcesz, abym utonęła? — O! niech cię Bóg bronil
 Tacy jak ja, dziewczeczko, wody się nie boją,
 Ja-bym cię uratował i bałabyś moją!

Wieczorem, kiedy słońko zapadło w mgłę sinęj,
 Stefanek rażno stąpa u boku dziewczyny,
 Niesie chusty z ceberkiem, snadż ona pozwala,
 A światelko przez szyby połyskuje zdała.
 I wnet próg rodzicielskiej przestąpili chaty.
 Parę niedziel ubiegło, przyszły do dom swaty.
 Po żniwach, gdy zwieziono do stodoły zboże,
 Pleban ręce ich stulą związał w imię boże.

Cisza leśna.

Czy widzisz tę polankę tak cichą, zieloną,
 Niby okienko lasu odemknięte skrycie?
 Po świeżuchnej murawy miękkim aksamicie,
 Gwoździki purpurowe jak korale płoną,
 W tę ustron czasem słońca promyczek nieśmiały,
 Płając się przedziera przez tuman mgły białęj;
 Gdzie potraći murawę, ściele ją bogato,
 W rubiny i szmaragdy utkaną makatą.
 Cicho tu, nawet ptaszę w gniazdeczku nie kwili,
 Ani wietrzyk dębowym nie wstrząśnie konarem;
 W milczeniu nad kwiatami lata rój motyli:
 Tylko strumyk gaduła brzmi wiecznym pogwarem.

Wpośród jeżyn, dojrzałą pokrytych jagodą,
 Wężykiem przez zarośla drożyna się toczy;
 Poślij myśli z jęj biegiem: one cię powiodą
 Ku wiosce, poza krańcem tęg leśnej pomroczy.
 Lecz okiem dojrzysz tylko, gdy słońko lśni w górze,
 Rozsiane niby centki na tygrysięj skórze,
 W głębi cichęj polanki widzisz stawek mały,
 Otoczony granitem i bluszczów koroną,
 I w ciemnym wód zwierciadle odbity złom skały,
 Co wiecznie toczy wodę przez paszczę omszoną.

Tu dziewczątka młodzieuchne klękło na kamieniu,
 Wokół niej, gdzie rzuć okiem, las głuchy i czarny:
 Jój tylko wiotka kibić, odbita od darny,
 Utonęła w jaskrawym słoneczka promieniu.
 Czoło jój, upowite barwnym rąbkiem tęczy,
 A myślą słodko mota z nitki snów pajęczej
 Ten wątek, co go dosnuć na ziemi nie dano,
 I z cicha pochylila główkę zadumaną;
 I ugania oczyma w dziecięcój swobodzie,
 One kręgi srebrzyste, co błyszczą na wodziel

Powrót z pola.

Tajemnicza to chwilka,
 Po dniu pięknym przed nocą,
 W górze płonie gwiazd kilka;
 Słabo jeszcze migocą.

Wśród jęczmienia i żyta,
 Od rzeczułki w półkole,
 Ścieżka mocno ubita,
 Mknie wężykiem przez pole.

Tu przecina łąn wyki,
 Tu znów krąży ugorem;
 Kędy polne świerszczyki,
 Z cicha skrzeczą wieczorem.

Nogą krzepką, acz bosą,
 Kmiecie drózkę zdeptali;
 Tam do wioski, gdzie z rosą,
 Dzwon pobrzmiwa w oddali.

Dźwięki płyną, a płyną,
 Dzienna kończy się praca;
 Widzę, wązką dróżyną
 Do dom kmiotek powraca.

Na ramieniu szerokim,
 Czasem kosa zabręknie;
 Łan ogarnął w krąg okiem,
 Żyto kwitnie tak pięknie!

Stęka ciężko, powoli,
 Wkoło patrzy i słucha;
 Pije wyziew, co z roli
 Tak żywotnie wybucha.

Idzie, chata już blizka;
 Płomień w szyby uderza;
 Na kominie ognisko:
 Znać gotowa wieczerza.

Żona dobra .. w kobiecie
 Trudno znaleźć skarb taki,
 Wiek przyejska; niech gniece,
 Kiedy rosną dzieciaki!

Ot i kościół, mogiły!
 Skinął głową, nie pyta;
 Rad, że pola zrodziły
 Garść pszenicy i żyta!

Konik polny.

Gdy latem bez rosy schną trawki i drzewa,
 Gdy ziarno pszeniczne pod kłosem dojrzewa,
 Gdy maczek niziuchno ku ziemi schylony,
 Nie znosi brzemienia szkarłatnej korony;

Gdy pieśń już skowronka nie pieści nam ucha,
 Gdy gołąb leniwy na gniazdku nie grucha,
 Gdy w leśnej zaciszy omdlały ptak drzemie,
 A pożar słoneczny przepala wschoś ziemię:

Świat milczy, do pieśni, do ruchu nie zdolny;
 Lecz skwaru mój konik nie lęka się polny;
 Choć ziemia zgorzała na popiół schnie mialki:
 On trzepie skrzydełkiem w swe śpiewne cymbalki.

Gorącym natchnieniem pierś jego wezbrana,
 Wciąż dzwoni pobudką z wieczora i z rana;
 Posnęły ptaszęta, lecz on się nie leni,
 Czas mija: grajkowi nie przeżyć jesieni!

Słuchasz-li piosenki? on o to nie pyta,
Zaledwie go spędzisz z pszenicy lub żyta,
Przysiądzie na głogu, co kolcem się jeży :.
I dzielnie w cymbalki mój grajek uderzy.

Czy ostów pałacych, czy pokrzyw się czepi,
Gra coraz to rzewniej i głośniej i lepij:
Rozmaga w nim siły pożoga i susza,
Niedolę żywota piosenką zagłusza.

Aż zdarte skrzydełka rozpostrze on w końcu,
I czarne źrenice obróci ku słońcu;
Natchniony, promienny; ach!... słyszę go... widzę,
Jak kona śpiewając na wyschlęj lodydze!

VI. Z PAWŁA DEROULEDE'A *.

Dobry nocleg.

Co tam grzebiesz na kominie,
Starowinko ty pocziwa?
Zima rychło nie przeminie,
Może zbraknąć wnet łuczywa.
Mnie tak ciepło, odzież sucha,
Próżno wołam: „przestań-że!”
Ona w popiół co sił dmucha,
— „Ej, żołnierzu! ogrzej się!”

Jam nie głodny, starowino,
Jadłem obiad dziś obficie,
Schowaj szynkę, zabierz wino,
Zdejm ze stołu to nakrycie.

*) Paweł Deroulède ur. się w r. 1846. Pieśni żołnierza, wyspiewane w obozie i pochodach wojskowych podczas wojny 1870 roku, dały poecie niemały rozgłos. Uwieńczyła je Akademia. Później autor popróbował sił w sztuce dramatycznej. Pięcioaktowy dramat jego *Hetman* osnuty na wojnie kozackiej za czasów Władysława IV, przedstawiony w Odeonie — krótkim cieszył się powodzeniem. Nie dość, że pozbawiony zupełnie barwy ukraińskiej, ale co więcej fakta historyczne nakreślane według fantazyi autora. Później Deroulède rzucił się na pole zapasów parlamentarnych. Burzliwy umysł naraził go na liczne zatargi, nawet na krwawe zajścia. Po tych próbach opuścił Paryż, zamieszkał w cichej wiosce, gdzie przeżył jego dziad i ojciec. Świeżo wydał zbiór poezyj p. t. *Chants du Paysan*.—Opiewa w nich żniwa, młockę, winobranie, sianokos, z pełną wdzięką prostotą, maluje życie pracowitych rolników.

Mnie posiłku nie potrzeba,
Ona słyszeć nie chce, nie!
Leje wino, daje chleba:
— „Ej, żołnierzu, pokrzep się.”

— Komu znosić pościel białą,
Starowinko ty kochana,
Mnie w stajence spać przystało,
Dosyć dla mnie garstki siana.
Mamże w miękkim tonać pierzu!
Lecz zrozumieć nie chce mnie,
— Tyś strudzony, mój żołnierzu,
Pokrzep siły w smacznym śnie!

Zorza świta, — czas mi w drogę,
Za tornister chwytam żywo,
Cóż to? dźwignąć go nie mogę!
Na gosposię patrzę siwą!
Kiwnie głową starowina,
Po jej licu płyną łzy.
„Ja w obozie mam tu syna,
On żołnierzem, tak jak ty!”

D z i e w c z y n a.

Śmiało idziem przez wieś ludną,
Grzmią dobosze i trębacze,
Wtém dziewczuchę ujrzę cudną,
Już ja takięj nie zobaczę;
Stoi z boku zapłoniona.
„Naprzód! — woła — w cwał, żołnierze!
Mnie uściskać chętka bierze,
Skoczę, schwycę ją w ramiona,
I serduszko jej zadrżało.
„Całuj, szepnie, całuj, proszę!
Ja całuję duszą całą,
Grzmią trębacze i dobosze!”

Powracamy znów tą drogą,
Niedobitki po dniu kłęski,
Co tchu pędzimy gnani trwogą,
Tuż za nami wróg zwycięski.
Nasunąłem naprzód *kepi*,
Z czoła zimny pot mi płynie,
Patrzę w ziemię, umrzeć lepij,
Niżli spojrzeć w twarz dziewczynie.

— Precz z tej wioski! wy pobieci!
Oddaj całus! woła wściekła;
I twarz moję w zęby schwyć,
Aż mi z lica krew pociekła,
Zmilkły trąby i dobosze,
Hurmem z tyłu wróg przypada,
Już o całus nie poproszę,
Zwyciężonym biadaż! biada!

D w i e b o g i n i e.

Bój ustał, ziemia trupów pożarła tysiące,
Żaloba wkrąg roztacza swój całun złowrogi,
Ku niebiosom Ateńczyk ręce wznosi drżące,
Mieści bóstwo pokoju między dawne bogi.

Perykles, wróg przesądów wylęgłych na wschodzie,
Co z hartu odzieraają krzepkie Greków łono,
Napóżno głos podnosi w przerażonym grodzie;
Głos umilkł, woła Aten musi być spełnioną.

I świątynia wyrasta przy arenie dawniej,
Gdzie obozem stał Kserkses, tryumfator dumny,
Plan fasady nakreślił Iktynus przesławny,
Mnezykles dwurzędowe ustawił kolumny.

W śnieżystym Penteliku ciosano marmurze,
Zwarły gmach drzwi ze srebra wykute bez ceny,
Pod cieniem perystylu, na pochyłym murze,
Zeuksys namalował dwie wspaniałe sceny.

Jedna w słońcu kłosiste roztacza nam pole,
Świeżym liściem figowe zielenią się drzewa,
Radość na pracowników połyskuje czole,
Do taktu z lukiem cepów piosenka pobrzmiwa.

Pod sierpem kłos dojrzały pada na zagony,
Młódź pogwarza z dziewczęty, rozmowa ich słodka,
Lato hojnie złotemi posypała plony,
Niech przyjdzie twarda zima—głodnego nie spotka!

Tam scena winobrania, naród się gromadzi,
Na głowach robotnicy wielkie kosze niosą,
Rubinowe jagody zsypują do kadzi,
A dziatwa je w poskokach tłoczy stopką bosą.

Na ścieżkach do przybytku posadzono róże,
Niech dusza rozmodlona skąpie się w ich woni,
Zdała na widnokregu wzbierające burze
Kwiecisty szczyt Himetu przed oczyma słoń.

Stokroć wewnątrz świątyni wspaniałej połyska,
Złoto na ścianach błyszczy, klejnoty migocą.
To zorzy nieśmiertelnej promienna kołyska,
Dwanaście tam kagańców płonie dniem i nocą.

Ale wpośród filarów na płycie ołtarza,
Jakiż to kloc potworny niezgrabnie się mieści?
Kuty haniebnym dłutem lichego rzeźbiarza,
Cóż to? Bóstwo pokoju w postaci niewieściój?

Odblaskiem majestatu jej czoło nie płonie,
W padół ziemski wlepiła źrenice złowieszcze,
Jak bezwstydnie wyciąga złota pełne dłonie,
Skąd ten potwór? — W Atenach Fidyasz żywy jeszcze?

Tak, jeszcze mistrz grobowych nie przekroczył progów,
On mistrz, co chwały blaskiem świecić ma bez przerwy,
Bo umiał uszlachetnić lica samych bogów;
Podnieść wielkość Jowisza i piękność Minerwy.

Dla tegoż to potworu on gmach zbudowano,
Gdy mogło arcydzieło zdobić tron ze złota,
Czemu przed tym bałwanem tłum zgina kolano?
I skądże w takim ludzcie tak wielka ślepotą?

Azaliż swego mistrza—lud znudzon poklaskiem—
Jak niegdyś Arystyda z bram grodu wymiecie,
Słabszym-że Fidyasza oprómienia blaskiem,
Że brzemię sześćdziesięciu lat barki mu gniece?

A jednak gdy architekt wzniósł portyk wspaniały
I fronton błysnął w oczy nowym świata cudem,
Gdy Ateny po miastach gońce rozesały
Fidyasz pierwszy z grona wystąpił przed ludem!

Naradę odbywano w agorze zamkniętej,
Gdzie rzeczypospolitęj ważyły się losy;
Sztuka dla tego ludu cel wielki a święty,
Prawa piękna wolnemi rozstrzygano głosy.

Powstał tkacz, co dni długie przeżył za warsztatem,
Umię na watek słowa tkać myśli przędziwo,
Pokój dla niego polem zarobku bogatym,
Pragnie go, wojna klęską była dlań prawdziwą.

Głos jego z wolą tłumy pobrzmiwa dziś w zgodzie,
Nie zawsze takich mówców Ateńczyk rad słucha,
Lecz są chwile upadku i w dumnym narodzie,
Gdy rdza padnie na serca i zbezwładni ducha!

—Mistrz! zagadnie mówca, myśl ma swoje prawa,
Obok tych, jakie czerpiesz w boskich natchnień źródłu,
Niech znaczenie symbolu uświęci postawa,
Powiedz nam, jak wyrzeźbisz boginię pokoju?

—Ach, pokój daje chwałę, dzielność w sercach budzi,
Rzecz mistrz, ten szalony, kto lekce go waży,
Lecz ów szaleńszy jeszcze, najszaleńszy z ludzi,
Kto go ma i wytrwale nie czuwa na straży!

Ja stworzę w mej bogini Minerwy siostrzycę,
Na czoło tchnę majestat... miecz wzniesie do góry,
W widnokregu badawczą utopi źrenicę,
Gotowa złotem skrzydłem ulecieć w lazury.

Tkacz na to: W Peryklesa myśl takie symbole!
—Tak, rzecze mistrz, bo prawda w nich kryje się zdrowa,
Bogini ze skrzydłami, w szyszaku na głowie...
—Więc gotowa do boju?—Tak, walczyć gotowa!

—Mistrzu! twoja bogini nazbyt wojownicza!
Nie ostoją się trzody pod cieniem jej tarczy,
Naszój niech blasku tyle nie tryska z oblicza,
Ale na okup szczęścia niech złota dostarczy!

Drgnął Fidyasz, pierś z bólu mało mu nie pęknie,
On szlachetnych pobudek w sercu nie rozdziela;
Przed okiem jego *dobro* stoi tuż przy *pięknie*,
Żaloszny okrzyk wybiegł z ust obywatela.

— „Ludu mój! także nisko twe serce upadło?
Nie wierz, nie wierz w ten pokój, coby trwać miał wieczn
To uluda kłamliwa, to senne widziadło!
Zabrakłóż nam sąsiadów, aby żyć bezpiecznie?”

Szmer się rozległ i gniewem blysnął wzrok rzeźbiarza,
„Głos-że ludu odbrzmiewa w nędzném tkacza słowie,
Ta nizekzenna bogini, godna-ż li ołtarza?”
— „My takiój dziś pragniemy!” lud chórem odpowie.

Wtedy on, mistrz nad mistrze, uwieńczony chwałą,
Podniósł głowę, ramiona wyciągnął do góry,
Mierzy wzrokiem pogardy rzeszę oniemiałą;
W tym wzroku piorun gniewu błyska z po-za chmury.

— „Ja, Fidyasz, twórca bogów z licem promienistym,
Com z kamienia dobywał skrę życia niezgasła,
Ja, wierny sługa Aten, póki z sercem czystym,
Na pobudkę lud wielkie wydzwaniał mi hasło,

„Ja wam dziś zakazuję, wierne syny moje,—
I głos mistrza donośnie rozbrzmiewał w przestrzeni—
Kto z was w przybytku sławy kołacze podwoje,
Ktokolwiek moim uczniem w Atenach się mieni,

„Kto w przyszłości pod moje chce tulić się skrzydło,
Ja wam dziś zakazuję,—wiedźcież wszyscy o tem,
W ludzkie oblekać formy tę postać obrzydłą,
Służyc bezbożnej myśli rękoma i młotem.

„Wszak to bóstwo, symbolu odziane zasłoną,
Złotą maską pokrywa grób w piersi wychłodlęj,
Mój pokój mógł odrodzić Helladę zwątloną,
Wasz... zwać-że go pokcjem? to raczej strach podły!”

A jednak szpetny pokój piętrzy się w świątyni,
Lud woła Peryklesa, wśród krzyków szalonych,
Perykles woli Aten zadość nie uczyni,
On stopą nie przekroczy progów znieważonych.

W o d a.

Woda, co pada, woda, co bieży,
Radość nam obie przynoszą,
Gdziebądź je wietrzyk popędzi świeży,
Wszystko tchnie błogą rozkoszą.
Woda ożywia łąki i gaje,
Bez niej świat zmienion w pustynię,
Dziękujmy Bogu, On obie daje:
Co pada z nieba, co płynie.

Woda, co płynie w rączym przebiegu,
Ogarnia ziemię w ramiona,
Cudem wyrasta kwiat na jej brzegu,
Murawa nad nią zielona.
Dąb nią skrzepiony podnosi czoło,
Króluje w cichój dąbrowie,
Rzeka czy strumień rozsiewa wkoło
Życie, wesele i zdrowie.

Woda, co deszczem pada z niebiosów,
Gasi słoneczne pożary,
Karmi winnie, wieńcami kłosów
Złoci szerokie obszary.
Chłód dobroczynny jej krople niosą
Tam, gdzie gorzała spiekota,
Woda, co deszczem spada, czy rosą,
To nowy strumień żywota!

Woda, co pada, woda, co bieży,
Radość nam obie przynoszą,
Gdziebądź je wietrzyk popędzi świeży,
Wszystko tchnie błogą rozkoszą.

Woda ożywia łąki i gaje,
 Bez niej świat zmienion w pustynię,
 Dziękujmy Bogu—On obie daje:
 Czy tę, co pada, czy płyniel

Do słońca.

Ogrzewaj, stare słońko, galskie winogrady,
 Przez ciebie niech w jagodach dojrzewa płyn słodki,
 Co raduje nam serca, zgania smutek blady,
 Zagłusza łkanie w piersi wesołemi zwrotki,
 Ogrzewaj, stare słońko, galskie winogrady!

Ogrzewaj, stare słońko, galskie nasze niwy,
 Niech złote kłosa ziarnem sypną nam do syta,
 Niech lud nie łaknie chleba przy pracy poczeiwój,
 Na łonie zdrowej matki niech dziecię rozkwita,
 Ogrzewaj, stare słońko, nasze galskie niwy!

Rozpłomień chłodne serca! o ty, słońko boże!
 Tehnij w nie iskrę miłości twą potężną siłą,
 Niech brat u boku brata służy mu, jak może,
 Bodajby samolubom rodzić się nie było,
 Rozpłomień chłodne serca, o ty, słońko boże!

VII. Z ALBERTA DELPIT'A *).

Nad kołyską dziewczynki
 w oblężonym Paryżu.

Patrzałem na maleńką, gdy w kołysce spała,
 Spi niewinne dzieciątko, jak ptaszyna mała
 Na gałązce, gdy główkę pod skrzydełko złoży,
 Z czoła sennój dzieciny bije promień boży!
 Spi; odbłask zorzy rannój jagody jój pali,
 Niewinny uśmiech przyrósł do ustek z koralu,
 Zda się brzęku grzechotki rada we śnie słuca,
 A mnie piorun ognisty przemknął koło ucha.
 Z fortu waleryańskiego działa grzmi z loskotem;
 Dziewczynka spi spokojnie, ona nie wie o tem.

Jakże ona szczęśliwa, jak coś marzy słodko!
 I czemuż ja nie jestem tą drobną istotką?
 Swobodna, ani zgadnie, co się w czasie waży,
 Nie widzi łez, co strugą płyną mi po twarzy,
 Spi, pochylila główkę, gdy szaleje burza,
 Uśmiecha się nadobnie do Anioła Stróża,
 Ilekroć nad kołyską skrzydłem zaszeleści,
 A ja patrzę na śpiącą i płacząc z boleści.

*) Albert Delpit urodził w r. 1849, w Nowym Orleanie, stąd zwano go zawsze Amerykaninem, mimo, że przyjął narodowość francuską. Poezye jego, pełne uczucia, zjednały mu powszechne uznanie.

Kiedy za lat dwadzieścia z ojców naszych domu
 Czas zagładzi na wieki plamy krwi i sromu,
 Ta uśpiona dziecinka, wtedy już niewiasta,
 Gdy spojrzy w księgę dziejów, och! czyż sercem drżącym
 Odczuje ból, co wstrząsa dziś tych serc tysiędem,
 Pobłogosławi-ż pamięć tych obrońców miasta,
 Co konali na szanłach, gdy przy huku działa,
 Ona snem niemowlęcym w swęj kolebce spała?...

Kirasyerzy z Reichshoffen.

I.

Nas ledwie mała garstka,—ich dziesięćkroć tyle,
 Trzebaż było z leśnego wyprzeć ich parowu.
 Nasze działa czyż starczą przeciw takięj sile?
 Odparci, do ataku szykują się znowu,
 Pchają naprzód... wciąż naprzód... brną przez krwi kaluże,
 I szczyrby w tym żelaznym nie dopatrzeć murze.

Turkosy, w rączych strzałach wywęczone chwaty,
 Co z lwami puszez zapasy staczały olbrzymie,
 Jak niegdyś tropy zwierza wietrzą ich armaty,
 Po ciepłym nad chróstami bielejącym dymie,
 Czają się, i kocie mi rzucają podskoki
 Na działa, gdy grom bije z ich paszczy szerokięj.

Praojce lasu, dęby piorunem rażone,
 Na ziemię, w krwi skapaną, wałą się z łoskotem,
 Szeroko rozpostarły konary zielone,
 I obszar gęstym liści pokryły namiotem.
 Bo słonko, co tak jasnym świat złości polyskiem,
 Niezgasło nad tym straszném ziemi cmentarzyskiem.

Przez te zgłiszcza tlejące, przez te trupów zwaly,
 Szczelnie zwarta pierś z pierśią, z ramiony ramiona.
 Na siarczysty grad iglic, na armatnie strzaly,
 Nasza dzielna piechota szła nieustraszona.

Ludu mój! wielki duchem, wiarą tak podniosły,
 Cześć tobie! losy kraju do twych stóp przyrosły!

II.

Mac Mahon stoi, druhów otoczony gronem,
 Wartko rwie się do boju koń pod Mac-Mahonem,
 Z jego czarnej źrenicy jasny płomień bucha,
 Raz poraz wzrok badawczy zatoczy ku drodze.
 O niechybnym odwoocie prawią starzy wodze,
 Wśród młodzieży o zdradzie przebiega wieść głucha.

Kogo czeka Mac Mahon? czeka on, niestety,
 Tego, co w złą godzinę nie zdąży do mety,
 O! wydrzeć-by nam kartę potarzaną w błocie,
 Potargać-by na szmaty plan bitwy przebrzydły.
 Dzielny orzeł powstrzyman w zwycięskim polocie,
 Na złamanym proporeu już trzepocze skrzydły!

Nasze zamilkły działa,—zmiłkł ogień rotowy...
 —Gdy to wspomnę, włos dębem powstaje mi z głowy
 Słonce zgasło na chwilę za dymu oblokiem,
 Ujrzano, czego dawne lata nie widziały,
 Cofa się... kto? nasz zastęp... jakby w blasku chwały
 Cheiał skonać, idzie wolno, stąpa krok za krokiem.

III.

Zabrakło nam kartaczy! i bitwa skończona.
 I któżby śmiał powiedzieć, że zmógł Mac-Mahona?
 Czy wielka sił przewaga? Co mu liczba znaczy!
 On ją znał, on policzył i ludzi, i działa.
 Za liczbę starczy dzielność i wola wytrwała...
 Czyby las pokrył wroga? nie... zbrakło kartaczy!

Mrok zapadł, niby kula zbląkana ku górze,
 Błysnął ognisty księżyc na ciemnym lazurze.
 Piechota sformowała czworobok w pomroczy,
 Stał szczęka w dłoni dzielnych, żarem lica płoną,
 Gdy wróg zgromadza siły pod nocą zasłoną,
 Wojsko z wiarą wodzowi swemu patrzy w oczy.

Mac-Mahon z cicha skinął na pancerną rotę:
Zdolam-że godnie trącić w struny liry złote,
By ku czci bohaterów wydobyć z nich tony?
—Czy widzicie te, rzeczce, pagórki nad strugą,
Tam oni spoczywają, zabawcież ich długo.
—A gdzie droga? zapyta pułkownik zdumiony?

—„Tędy!”—rzecze Mac-Mahon i dał znak w pomroku,
Pułkownik ją zobaczył... ściemniało mu w oku,
„Rozumiem!—szepnie z cicha—uczynię, co mogę!
—„Ileż ich tam?—zapyta:—„bez liku! bez liku!”
—„Więc to śmierć?”—„Śmierć niechybna... idź, mój pułkowniku!
—„Idę, panie... jam ojcem... daj rękę na drogę!”

A bohater Magenty nie podał mu dłoni,
Lecz podniósł ją do czoła, włos siwy odsłoni,
Temu, co idzie na śmierć, zazdrości on skrycie,
Krzepkimi go ramiony z zapalem pochwyca,
Ostatni mu pocałunek wycisnął na lica,
Taki skon!—och, oręż stokroć mi droższy nad życie!

IV.

Szczęśliwi! których lotne unoszą bieguny,
Pędzone wichrem nocnym przez zgliszcza i lany,
Gdzie chwała czeka ich blizka.
Jak słońce o las jodeł, gdy szron go usnieży,
Tak o helmy walecznych, o stal ich poncerzy,
Promień miesięczny polyska.

O! piękni ci rycerze, mkną szybko jak burza,
Przebiegają w lot strzały parowy i wzgórza,
Czarny cień płąsa w ich ślady.
Wróg patrzy, mgła-ż to senna na oczy mu padła?
Przeciiera wzrok i pyta:—Nocne-ż to widziadła?
Czy bohaterzy ballady?

Otóż oni pod obóz podstąpili glucho:
Jak olbrzymi kłęb śniegu party zawieruchą,
Ściele łożyska potoku,
Tak, ściśniętym szeregiem, w lot, na wodza słowo,
Sypnie grad kul ognistych i w ścianę śpiżową
Wrąbie się hufce pomroku.

Nie zgonić ich oczyma, i tylko wiatr niesie
Kule strzałów, poszczęk stali, po wzgórzach, po lesie,
Lecz Bóg nie spuszcza ich z oka:
Tak szamocze się okręt, porwan skrzydłem burzy,
To prąd wypchnie go w górę, to w falach zanurzy,
Aż toń go schłonie głęboko.

Miesiącu! kiedy oni snem śmierci uspieni,
Srebrzyste im całuny utkaj z twych promieni,
Bo słońce może o świecie
Zblednie, że gdy walczyły bohaterskie roty,
Nie wstrzymało nad niemi swojej barwy złotej
Na lazurowym błękicie.

Długo tam, Mac Mahonie, zostali, och, długo!
Gdy świt odsłonił wzgórek obłany krwi strugą,
Zawalon ludzkimi ciałą,
Wróg zwiedziony zobaczył przez mgłę rannę rosę,
Jak na czele zastępu nasz wódz siwowłosey
Przeszedł bezpieczny i cały!

Skrucha *),

Zapisano to w każdym ówczesnym dzienniku:
Człowiek ten spełnił zbrodni i przestępstw bez liku!—
Gdy Paryż się szamotał, wściekłą siłą pchnięty,
W zapasów bratobójczych piekielne odmetry—
Rozstrzelał trzech żołnierzy, wiedzion zemstą czarną,
W bezbożną rękę głównię pochwycił pożarną,
Palił domy i kościół splądrował niekzemnie.

Ten człowiek dziwną litość budził jednak we mnie.
Matka mieszkała we wsi, gdzie ja był plebanem,
Widywałem ją często z licem zapłakanem,

*) Le Repentir, Récit d'un Curé de Campagne, poemat, uwieńczony przez
przez Akademię Francuskąw roku 1873.

Gorzką łą oblewała swego dziecka winy.
 Wyrostkiem się z opieki wylamał matczyną,
 Rzucił dom, jednym skokiem pomknął do Paryża,
 Tam utonął w rozpuście, co człowieka zniża
 Do bydła,—a zdolności nie brakło mu wcale,
 Dzień i noc pracowała wciąż matka wytrwale,
 Słała mu grosz, okupion krwawym czoła potem,
 Syn wyrósł—i niewdzięcznik, nie pamiętał o tem!

...Paryż! straszne ognisko, gdzie zawisć szalona
 Roznieca zgubny pożar tehem strutego łona!
 On poniósł do ust czaszę, ku złemu zbyt skory,
 Skosztował tego trunku, co rodzi potwory!

Lat szesnaście do matki nie napisał słowa,
 Przy samotném ognisku nieszczęśliwa wdowa
 Składała w sercu—grobie pamiętek prawdziwym,—
 Ciche lzy za umarłym, gorzkie lzy za żywym!

Dnia jednego, gdym świętej dopełnił ofiary,
 Po wotywie przystąpił do mnie sługa stary:
 —„Niewiasta przysła, rzecz, w żalobę odziana;
 Płacze i niecierpliwie pyta o plebana!”

Po chwili, gdym wstępował w mego domu progi,
 Poznałem biedną matkę!

Na lieu niebogi
 Znać brózd, wyłobione gorącą lez strugą,
 Długo widać płakała i cierpiała długo,
 Świadczą zwiędłe jagody i zbrękła powieka,
 Jakiś powiew niedoli wiał od niej zdaleka.
 Osłupiałem na widok tej strasznej boleści!
 Milczała chwilę biedna, aż z piersi niewieści
 Wydarł się ryk straszliwy!

—„Syn mój!... syn... ach, ojezel!”
 Ja nic na to nie rzekłem.

—„O czyny zabójcze,
 Obwinion, wyrok zapadł...”

Zabrakło jój siły,
 Chciała dodać: „on umrze!”—głos łkania zdławiły.

Po chwili znowu rzecz, cała jak liść drżąca:
 —„Czytałam ja opisy tych zbrodni tysiąca,

Jakie co dnia popełniał, szalem opętany,
 Palił, strzelał żołnierzy, mordował kapłany.
 Tych przestępstw ludzki język określić nie zdoła.
 Gdy pomyślę, włos dębem wstaje mi z nad czola,
 Próżno już o tём mówić! te słowa jak noże
 Krają mi pierś zbolalą: Co? być-że to może?
 Mój syn, jak potępieniec, jak zbrodzień przeklęty,
 Ma skonać skłócon z niebem, bez pokuty świętej?
 On bluźni... ach, śmiertelne zbiegają mnie dreszcze,
 Takich słów ludzki język nie wymówił jeszcze!”

Po chwili doda znowu:

„Ojce, ja nie tuszę
 Ocalić go, — chcę tylko uratować duszę!
 Zmiluj się, ja cię błagam na Chrystusa rany,
 Widzisz tę straszną boleść méj duszy starganej,
 Odbierz mi jój połowę...”

„—Ja mogę tak mało!”
 —„Śpiesz, ojce, do więzienia, kołacz w progi śmiało!
 Ponieś mu słowo boże, on ciebie posłucha,
 On, co nigdy krnąbrnego nie ukorzył ducha,
 Padnie u nóg twych, ojce, i lzy mu z ocz spłyną,
 Bo on ciebie niewinną znał jeszcze dzieciną.
 Święta siła wspomnienia rozbroi to serce,
 Złamiesz go, w pokutnika przemienisz mordercę,
 Śpiesz, ojce, nim ostatnia uderzy godzina!”

„—Ukój się, biedna matko! pośpieszę do syna.”

II.

Mrok zapadł, gdym w więzienne zakolatał progi.
 Gdybym słuchał rozumu, wróciłbym z pół drogi.
 To serce skamieniałe jakież głos poruszy?
 Jakby Bóg o przestępną zapominał duszy!
 Wchodzę...

Izdebka ciasna, spojrzę wkoło siebie,
 Listopadowe chmury kłębią się po niebie,
 Słaby dzień przez żelazne wnika ledwie kraty.

On śpi, twarz jego blada, włos czarny, kudłaty,
 Ocknął się i spojrział dziko... poruszył z barłoga.

„Mój synu, z cicha rzeknę, przynoszę ci Boga!

Nicnierzekł, gniew widocznie szamocze nim wściekły.
Jam zadrzał... lzy łitości z pod powiek mi ściekły.
Lecz nie tracę odwagi, nie cofnę już kroku,
Podniosłem krzyż drewniany—dostrzegł go w pomroku.
Milczy jak głaz...

Raz pierwszy jego wzrok uderza
To godło bożej łaski, święty znak przymierza.
Odwraca się ze wstrętem, obłąkany pychą.
Stałem u wezglowia i wyszepnę cicho
Po raz drugi:

—Mój synu—przynoszę ci Boga!

Chmura po śniadém lieu przemknęła złowroga,
Uniół głowę z pościeli, zaśmiał się i rzecze:
—„Może mi słowo łaski przynosisz, człowiecze?
Zapóźno... patrz, śmiertelna choroba mnie toczy.
Precz!... nie chcę nic od ciebie, daj mi zamknąć oczy!”

Twarz jego trupio-błada, wzrok dziko połyska,
Pot wystąpił na czoło, chwila skonu blizka...
Boleść snadź podkopała to życie głęboko,
Wzrok się nasz zbiegł—patrzymy sobie oko w oko,
Żrenica jego z razu wściekłym bucha żarem,
Poznał mnie... pierś zgnębiona niedoli ciężarem,
Drgnęła, oko piekielnym już gniewem nie świeci!
Jam w górę krzyż drewniany uniół po raz trzeci.
Przed otuchą w mém sercu ustąpiła trwoga.
I wyrzekłem:

„Mój synu, przynoszę ci Boga!”

Wstał i przywłókł się do mnie jak człowiek pijany.
—„Dzięki ojcze! wyszepnie, twój głos tak mi znany!
Gdzie biedna matka moja? Ach, księżu plebanie,
Jam zły syn, od lat tylu wciąż serce jój ranił
Przemennie ona ciężkie przeboleła męki,
Tyś był dla niej tak dobry!—dzięki za nią, dzięki!
Chcesz mnie uczyć, jak z śmiercią mam iść do zapasu,
Próżno, próżno, plebanie, na to szkoda czasu.—
Wywietrzały mi z myśli wasze brednie stare,
Jam wygnał z serca Boga, ojczyznę i wiarę,
Zostaw mnie... grałem w kości... przegrałem i kwita...
Zapłacę... niech się poi krwią cierń ta niesyta!

Trzeba było dni watek osnuć jakoś lepij,
Splątałem go, wiem... tuman oczu mych nie ślepi.
Jeśli zmarnotrawiłem puściznę bogatą,
Moja w tém rzecz, ty, ojcze, nie odpowiesz za to...
Mnie już nic nie potrzeba... nie chcę nic... idź sobie!”

—„Moje dziecię!”

—„Twe dziecię?”

—„Kto w ducha żalobie
Płacze, ten moim synem, kto w rozpaczę kona,
Gdy czarna nienawiści wzrok mu émi zasłona,
Staję nad nim z modlitwą, leczę pierś z rozpaczę,
W imię Boga! On winy zmaże i przebaczy!”
—„Nie! on łitości nie zna! zemsta jego prawem,
Jam mordował i łupił, jam się w morzu krwawem
Pluskał z dziką rozkoszą.”

I zaryczy wściekle...

„Tak, zawołam, mój synu, w nienawiści piekle
Tyś zanurzył twą duszę,—ich nauką nową
Tyś zbłąkan; Bóg, ojczyzna, dla nich puste słowo!
To wiekuiste słowo, co rozum i serce
Podnosi w nieskończoność, oni je bluźnierce
Nikczemnie zohydzili, pograżyli w błoto...
Pod szyderstw ich pociskiem tyś zgiął ze sromotą
Jasne czoło ku ziemi, tyś w zwątpienia grobie,
Zaprzeczał—ty zwątpiłeś o ludziach, o sobie,
O kraju, tyś kłął ojców pod darnią ementarną!
Złożone niegdyś w sercu zdrowej prawdy ziarno
Tyś ukrył pod całunem zawiści szalonej.
Kiedy wojna wybuchła, gdy obce zagony
Zalały pola nasze powodzią straszliwą;
Kto z was, by je powstrzymać, nadstawił pierś żywą?
Gdy boleść wobec klęski szarpała nam duszę,
Gdy w szale rozpaczliwym nowi Pompejusze
Walili mieczem w ziemię, by cudem z jój łona
Wytrysły legiony, gdy fala wzburzona
Moene domu naszego rozbijała węgly,
Gdy kruszyła przemocą to, co wieki spręgły,
I któż z was pobiegł z sercem do zapasów skorem,
By zwyciężyć lub umrzeć; tych walecznych torem,
Którzy, według starego praojców zwyczaju,
Strzegli w sercu czci Boga i miłości kraju!

Bez tchu, on moje słowa rwał uchem i okiem,
 Stał, niby słup kamienny, w milczeniu głębokiem,
 — „Francyo! głucho szepnie, i dłoń mi pochwyca.
 Policzek jój rzucony nie palił mi lica,
 Bo łatwo mnie już od niej oderwał prąd nowy!
 O! jak często mi stają w myśli ich rozmowy,
 Odkąd wiem, że dług krwawy zapłacić wnet muszę,
 Jakaś nieznaną siłą przemienia mi duszę!
 Pytam, czemuśmy wszyscy upadli tak nisko?
 Bo nam w sercach wytląło dawnych cnót ognisko!
 Bo nikt z nas powinności nie dopełnił świętej,
 Bo w głębi każdej piersi zgnilizna i męty.,,
 Każda, jak moja, kipi nienawiścią wściekłą,
 Zostaw mnie... co ci patrzeć w to bezdenne piekło?
 Odkupię duszę moją?... co tobie się marzy!
 Niebo patrzy z pogardą na takich nędzarzy.
 Zapóźno... jam zgubiony... odejdz stąd, plebanie!”

— „Bóg ożywia, mój synu, spiekle serc otchłanie.
 Dla niego nie zapóźno!... Wiész, kara cię czeka,
 Wstrzymać miecz nad twą głową nie w mocy człowieka,
 Lecz otwarty dla wszystkich strumień łaski bożej.
 Synu, ukorz twe serce!”

O porannej zorzy,
 Zbrodniarz modlił się jeszcze z kolany zgiętymi,
 Z głową kornie schyloną. Wreszcie powstał z ziemi.
 „Ojcie! wnet się dopełni, rzecze, wola boska!
 Jutro, przez usta twoje gdy dowie się wioska,
 Żem ja umarł, przez ciebie ukrzepion w moc nową,
 Powtórz braciom, plebanie, ostatnie me słowo:
 Wojna ich zubożyła, chaty pogorzaly,
 Zostały ledwie szczątki z chudoby ich całej!
 Każdy z nich ściga tylko odwetu nadzieję.
 Jeżeli się kraj niebaczny w poradach zachwieje,
 Powiedz mu, że na każdym straszna ciąży wina,
 Kto praw bożych i ludzkich grzesznie przepomina,
 Kto śmie nad ich powagą kark podnieść hardo...
 Bo narody padają, onych praw pogardą,
 Umrzeć za kraj, niedosyc—nie zbawią nas groby;
 Trzeba duszę z śmiertelnej uleczyć choroby!

Niech przykład mój, od złego braci zabezpiecza.
 Ja mieczem wojowałem, więc ginę od miecza!
 Niech nie gardzą domowym, jak ja, obyczajem,
 To główna moja zbrodnia, żem zerwał z mym krajem.
 Każdy, w tych dniach nieszczęsnych upadku i kary,
 Niech część winy powszechniej podejmie na bary.”

Umarł z Bogiem zjednany.

To, co rzekł przed skonem

Ów marzyciel nieszczęsny z pojęciem zmaconem,
 Nosilo pieczęć prawdy, wyrytą głęboko.
 Może pod skrzydłem śmierci jego wieszczę oko,
 Gdy łaska mu zabłysła u kresu żywota,
 Ujrzało bożą prawdę przez wieczności wrota!

D o ż o n y.

Dusza poety, ciekawa to księga,
 Wielu chce czytać skreślone w niej zwrotki,
 Jeśli w głąb mojej wzrok ludzki dosięga,
 Znajdzie tam ciebie, aniele mój słodki.

Byłem młodzieńcem; siłą tajemniczą
 Dwa sprzeczne prądy móm sercem targaly,
 I czułem usta, wczbrane goryczą,
 Zrodzoną na dnie mój duszy zwątpiałej.

I jam wspaniale upodobał mety,
 Ale przesiąkły na wskroś duchem czasu,
 Nazbyt do ziemi przyrosłem, niestety,
 Bym do wielkiego porwał się zapasu.

Sił nam dziś zbrakło, pomdlały ramiona,
 Daremnie naprzód zrywam się przebojem,
 Zgasł promyk wiary, pierś z posuchy kona,
 Lecz tyś ramieniem podparła mnie twojem!

Tys mnie powiodła na tor ścieżki bożej,
Biegnę do celu, skrzepion twą podniętą,
Ja go doścignę, mnie trud nie zatrwoży.
Gdzie czerpać siły? ty uczysz, kobieto!

Odtąd w niezłomną przyobleczon zbroję,
Szermierz Chrystusa toczy bój zażarty,
W promieniu zorzy widzę lica twoje,
Odblaskiem twoim ksiąg mi świecą karty.

Jeśli w dramacie, rzucone me słowo
Serca słuchaczom do głębi poruszy,
Świat wie, żem z ciebie wyczerpał myśl zdrową,
Że w duszy mojej drga cząstka twój duszy.

Czasem wśród pracy upadam znużony,
Tak oracz, letnią uznojon spiekotą,
Orze swój zagon, na niepewne plony,
Nim wiatr je zsiecze i burze rozmiotą.

Lecz ty się jawisz, czarodziejko miła,
I z bark mych cudem ciężkie spada brzemię,
Odwagę we mnie rozbudza twa siła,
Z nową otuchą zanurzam pług w ziemię.—

Kto ukolysze myśl moję w beładzie?
Kto z czoła mego zgania mętne chmury?
Kto słodki balsam na rany mi kładzie,
Wzrok mój w słoneczne kieruje lazury?

Dobra myśl z twego płynie mi natchnienia!
Wicher ku złemu pchał mnie skrzydłem chyżem:
Tak gisercowi potrzeba płomienia,
By lichy kruszec mógł uczynić spiżem.

Nad grobem Georges Sand.

W promieniach słońca kapie się dolina,
Dębów konary wiatr z szumem nagina,
Pszczoła na łące zbiera plon bogaty,
Wybiega z pieśnią skowronek skrzydlaty.

Wody rzeczulki parowem się toczą,
To pomaleńku, to pomkną ochoczo.
Wśród rozbudzonej przyrody czerwcowej,
Ciągnie poważny orszak pogrzebowy,
W sescu wybraném śmierć iskrę zgasiła!

Pomni przyroda, jak drogą ci była,
Ona wyprawia stypę godną ciebie!
Śpiwny skowronek, co buja po niebie,
To dusza twoja, obłokiem spowita,
A ta na łące pszczoła pracowita,
Wszak jój wytrwałym sprostałaś mozołem,
A dąb stuletni z pochyloném czołem
Przed gieniuszem zgina kark wspaniały.

Słusznie cię wieńczą one kwiaty świeże.
Wielu... tak, wielu...—ja do nich należę—
Twoje zasady potępią surowo,
Lecz tobie gieniusz rozpostarł nad głową
Szerokie skrzydła... ach! żyłaś w obłędzie.
Gdy z twój się piersi głos już nie dobędzie,
Niech ci przyroda nad grobem pogwarza,
Czci w tobie swego piewę i malarza,
Niech splot fijołków otoczy cię wiosną,
Niech bzy kwitnące ten kamień obrosną,
Co dla potomnych pamięci—kobieto!
Nazwał cię mistrzem, mężem i poetą!

Z JÓZEFA AUTRAN'A *).

Mój gość..

Błado słoneczko polyska jesienia,
 Błado się grzędy w ogródku zielenią,
 Raz po raz padnie liść suchy.
 Z miłym mi gościem gwarzę u komina,
 W lot za godziną mija nam godzina,
 My przyjaciele, my druby!

W jednej nam szkole zbiegły młode lata,
 Potem on pomknął gdzieś na koniec świata,
 Wędrował długo, daleko!
 Aż troski czoło w brózdki mu z orały,
 I włosy krucze przypórnszył śnieg biały,
 I wrócił ślepym kaleką!

„W długiej pielgrzymce, widziałem ja — rzecze —
 Wszystko, co zmysły raduje człowiecze,
 Co w duszy wielką myśl rodzi.
 Widziałem Romę, tę chwałę cesarów,
 Cudny Neapol, ów gród pelen cesarów,
 Skapan w słonecznej powodzi.

*) Józef Autran, urodzony w Marsylii w 1813 roku, umarł w rodzinném mieście, którego nigdy nie opuścił, w r. 1877. Dramat *Córka Eschilosa*, odegrany w Odeonie, uwieczniony przez Akademię, zwrócił oczy na utalentowanego Marsylijczyka. Liczne zbiory poetycznych utworów otworzyły mu drogę do Akademii. Oznaczają się szczególnie między niemi bohaterskie rapsody, p. t.: Legendy Paladynów.

Widziałem Stambuł upowity w zorzy,
 I w kryształowym odbite Bosforze
 Stu minaretów miesiące.
 A w cyprysowych gajów ciemnej głębi
 Widziałem groby i białych gołębi
 Po nad grobami tysiące!”

Widziałem piękne Hellady wybrzeża,
 Tu Olimp nęci, tam Korynt uderza,
 Z wiekowej chwały swęj dumny.
 Tam porywają sztuk pięknych czciciela
 Bogi wykute dłutem Praksytela,
 I Partenonu kolumny.

Dalej od Jafy brnę przez m6rz głębiny,
 Całuję drogą ziemię Palestyny
 Z miłością, chlubą i żalem,
 Gdy mi w pomroku błysło miasto boże,
 Istny krzyżowiec — jam wołał w pokorze:
 Zawitaj, o Jeruzalem!

Wielbłąd mnie zaniósł pustynią wśród spieku
 Do bram Damaszku, pod mury Balbeku,
 Gdzie słońce żarem polyska.
 Z piramid szczytu gonię wieków ślady,
 Przebyłem wszystkie Nilu wodospady,
 Zdeptałem Teb rumowiska.

I znów na okręt — wody zakipiały,
 Niosą mnie wartkie oceanu wały,
 Nademną równik... i oto
 Noc mi żalobne rozsuwa zasłony,
 I dyamentów sypnie miliony,
 Rubiny, perły i złoto!

Dalej mnie pędzi wiatr siłą szaloną,
 Świeżego tehnienia zaczerpnę tu wiono,
 Inne tu ptaki i drzewa.
 O Ameryko! twe cuda czyż zliczę?
 Błogo mi lasy twe szumią dziewicze,
 Inaczęj wiatr tu powiewa!

Com ja tam widział na ziemskim obszarze,
Ani spamiętam i w snach nie przemarzę,
A dziś — świat ciemny i pusty.
Tu, kędy nogi dowlokłem tułacze,
Psa twego budy nawet nie zobaczę,
Ni na twych grzędach kapusty!

Jam ślepy starzec! och! zapłacz nademną!
Mnie dziś na świecie tak straszno, tak ciemno,
Ty mi nie poskąp lzy bratniej.
Wstał... dłoń wyciągnął i omackiem zmierza
W stronę, gdzie smętnie o szyby uderza
Jesienny promyk ostatni!

Do starój sługi.

Łza nieraz rzewna z oka mi spłynie,
Gdy ciebie widzę, sługo pocziwa,
Jak przy tlejącym słabo kominie,
Ciągniesz z kądzieli nitkę przedziwa.

Wielkie ofiary nieznane światu,
Przetrwane próby, przebyte znoje,
W jakiś tajemny blask majestatu
Pokorne czoło zwieńczyły twoje!

W miarę, jak zegar godziny dzwoni,
Dzień się dla ciebie kołem obraca,
Jedną robotę wypuszczasz z dłoni,
A później nowa czeka cię praca!

Słodko pod jarzmem twój duch sięjkorzy,
I nigdy skarga nie zbiegnie z łona,
Myśl twa skąpana w promieniach zorzy,
Cudem miłości rozpogodzona!

Kornie z ubogim godzisz się stanem,
W modlitwie siły ty czerpiesz nowe,
Pocziwa sługo, zowiesz mnie panem,
A ja przed tobą pochylam głowę!

O k u p.

Z Legend Paladynów.

Wojsko w żałobie, waleczni lzy leją;
Trzej, którzy byli narodu nadzieją,
W padli w moc wroga, w pętach jęczą spolem.
Jeden Lancelot, przewany Sokołem
Za dzielne czyny, a światu on w cenie,
A drugi, Godfryd, urodzon przy Renie,
Ten umie dzikie ujeżdżać bieguny,
A trzeci Hektor — słonecznemi łuny
Twardy mu pancierz na barkach jaśnieje,
Kołyską jego strome Pireneje.

Gradoń Saracen pokonał te zuchy,
Karki w żelazne okuł im łańcuchy,
Płaczą druhowie, lza im oczy zaćmi,
— „I któż, pytają, połączy nas z braćmi?
Kto naszych dzielnych odbije z niewoli?
— „Ja — rzecze Roland — jeśli Bóg pozwoli.”
Rzekł, i do czynu zabiera się żywo;
Czém Saracena zmiękczyć duszę mściwą?
Na wozy kładzie złoto i bisior,
Śpieszy, gdzie stoją Gradonia tabory.

— „Gradoniu! woła, tyś królewskie plemię,
Ojciec twój Kappul dzierzył tracką ziemię.
Wysoko cenię twe rycerskie cnoty,
Za braci swoich niosę okup złoty.
Oddasz mi druhow, znam twe wielkie serce,
Oto bławaty i perskie kobierce,
Rzeźbione czary, szaty z złotogłowu,
Lotne sokoły zaprawne do łowu,
Sztuki bisioru i sukna postawy,
Zabierz te skarby, emirze łaskawy!”
A emir na to: „Pyszne dary twoje,
Lecz mam dość złota, o więcej nie stoję.
Wszystkie te datki jeden mi opłaci,
Jednym, baronie, okupisz twych braci!

Roland wzrok wlepił w oblicze Gradonia.

— „Mów, czego żadasz.”

— „Twego żądam konia!
Jego, wieść głosi, czarodziejskiej sile
Zawdzięczasz, wodzu, przesławnych walk tyle!”

„Żadasz, emirze, zbyt wielkiej ofiary
To wierny druh mój, towarzysz mój stary!
Na nim z wichrami pędziłem w zawody,
Na nim zdobyłem kappadockie grody.
Obozy wasze burzyłem ze szczętem,
Pod kopyt jego szalonym tętentem,
Drżał z trwogi Arraks.—On ze mną był wszędzie.
Ja go nie oddam!”

— „Więc zgody nie będzie!
Zatrzymam jeńców — ty zostań przy koniu.”

„Serce mi z piersi wydierasz, Gradoni,
Lecz przed ofiarą cofać się nie trzeba,
Weź go, emirze, tylko w imię nieba,
Zanim go stracę, błagam cię — niech jeszcze
Po raz ostatni oczy nim napieszczę.”

Emir wziął konia, w złoty róg uderzy.
Słudzy trzech młodych przywieśli rycerzy.
Szczękając w pęta naprzód Hektor idzie
Lancelot za nim, przy dzielnym Gotfrydzie.
Słowu zadosyć emir wnet uczyni.
— „Jesteście wolni — młodzi paladyni!”
Rzekł i łańcuchy sam z karków ich strąca.
Wolni, a żalność ich myśli zamąca,
Wiodą na wozach bławaty i złoto,
Roland wśród wiernych powraca pieczęcią!

Staął w obozie, już niebo się mroczy.
Cóż to? koń cwałem ku panu poskoczy.
Dzieje nie mówią, jak wielka, jak szczerza
Była w tej chwili radość bohatera.
Lecz zapisały przygodę.

Rzecz taka:

Gdy emir dosiadł pięknego rumaka,
On zwierz pokorny i słodki jak dziecię,
Ze wstrętem wroga wnet poczuł na grzbiecie.

Rozedmie nozdrza i grzywę najeży,
Wściekle kopytem o ziemię uderzy,
A gdy mu boki ostroga dobodła,
Wspina się dębem.

Spadł Saracen z siodła.

W krwawej kałuży potarzał się cały
A koń Rolanda pomyka w lot strzały,
W czterech poskokach, krwawym oblan potem,
Staął radosny przed wodza namiotem.
Cnoty Rolanda niebo szczodrze płaci,
Zachował konia — i ocalił braci!

Król Franków.

Z kępiastą brodą, z roslami bary,
Dzielnie wygląda Karloman stary!
Gdy w Akwizgranie swym odpoczywa,
Wzrokiem go rzesza ściga życzliwa.
Piętnaście piędzi wzrost jego liczy,
Oko ma jasne, pełne słodyczy,
Lecz niech źrenica zapłonie gniewem,
Drżysz, jak liść trącon wichru powiewem,
Mocny i krzepki, by lew w pustyni,
Wobec swych wiernych cuda-ć on czyni.
Rycerza w zbroi podniesie górą,
Na twardej dłoni trzyma jak pióro.

Ku służbie bożej zazwyczaj skory,
Chodzi na jutrznię i na nieszpory,
Sławi szczególnie wśród świętych grona
Dyonizego i Franków patrona.
Gdy wiernych druhów na bój nie wiedzie,
Ugania żubry — wali niedźwiedzie.
Gdy z łowów głodny powróci z rana,
Zjada ćwierć wołu i pół barana.
Popija wodą, lecz chętniej winem,
Lubi uczonych, z mądrym Turpinem
Pochód dziejowy pilnie rozbiera,
Czci Wirgilego, sławi Homera.

O dawnych bojach rozprawia długo,
 Każda mu rzeka—malańką strugą,
 Odkrywa drogi na mapie starój,
 Gdzie Aleksandry szły i Cezary.
 „Pirrus i Daryusz przez świat szeroki
 „Przemkli, jak pędzą z szumem potoki,
 „Chwała ich, mawiał, dziś marnym cieniem,
 „Bo ich mój Roland nie wsparł ramieniem.”

Dzieli Karloman z mistrzami trudy,
 Zakłada szkoły, oświeca ludy,
 W umysły uczniom wszczepić się stara
 Cześć Cycerona, miłość Pindara.
 Skoro przycichną wojenne burze,
 Śpiewa godzinki w kościelnym chórze,
 A gdy pieśń pomknie po łukach Fary
 Pękają szyby, drgają filary.

W poście odmawia długie pacierze,
 Króla Dawida miłuje szczerze,
 Dla Salomona nie ma tej cześci,
 Bo zbyt ulegał władzy niewieściej.
 „Gdy w żonie, mawiał, statek i cnota,
 Jedna-ci starczy na dnie żywota!”

Sprawy domowe wciąż miał na oku,
 Wstawał o świcie, kładł się o z mroku.
 Kiedy folgując znużonej głowie,
 Snem twardym zdjęty legł na wezglowie,
 Purpurowemi odzian makaty,
 Stu dzielnych mężów sprawuje czaty,
 Otoczą łoże kołem szerokiem,
 Nikt się nie ruszy, nie mrugnie okiem,
 Każden ku ziemi czoło nakłoni,
 Miecz ma u boku, gromnicę w dłoni.
 Głęboka cisza zaległa ziemię
 Usnął Karloman i świat z nim drzemie.

Gdy zagrzmią trąby, gdy hukną dzwony,
 Zrywa się mocarz, woła barony,
 Z króla w żołnierza przedzierzgnion cudem,
 Je czarny suchar z prostaczym ludem,

Dzieli z nim pracę, trud i mozoly,
 Lega przy koniu, na ziemi gołej,
 A kiedy posną młodzi i starzy,
 On sam w obozie czuwa na straży!

Dębowy las.

Gdy go bojowy ogarnął szal,
 Król w przeddzień bitwy sen straszny miał,
 Jakób Apostoł przystąpił doń,
 Palma zieloną trącił mu skroń,
 Płaszcz jego z białej utkany mgły:
 — „Pohaniec, rzecze, podzwania w kły.

Jutro stanowczy nastąpi bój,
 Walka ta ciężka, o królu mój!
 W pierwszym wam starciu zabraknie sił,
 Twym przednim strażom krew ściecze z żył,
 Ale Saracen nie zmoże was:
 Chwała poległym na wieczny czas!”

Zrana sen wiernym opowie król,
 Na czole troskę, w sercu ma ból,
 Słuchają męże, rycerstwa kwiat,
 Rwie się sokołem do pierwszych czat.
 Tam śpieszy Tybold z odwagi znan,
 Angelier bitnych Normandów pan,
 Anseci, Godfryd, dorodny Guy,
 I dzielnych jeszcze młodzieńców rój,
 Z tysiąca piersi wytrysła krew,
 Król wielkim głosem ryknął jak lew,
 „Dzień chwały Twojej, o Panie, zbliż!”
 Bóg ją wysłuchał: znów górą krzyż!

A gdy grzebano te stopy ciała,
 Uczcić poległych Karloman chciał:
 „Tym zuchom, rzecze, nie ująć już stąd,
 Sypmyż im kopce w podwójny rząd,
 Zatkniemy włócznie u sennych głów,

Kiedy w te kraje powrócim znów,
Niechże nam o nich świadczy ten znak!"

Jak król rozkazał, stało się tak.
Dębowy oszczep, gdzie leży trup:
Niby grobowy zatknięto słup.

Skończył się wreszcie ów krwawy dzień,
I nocny ziemię ogarnął cień,
Rycerski zastęp śpi trudu syt,
A gdy zajaśniał poranny świt,
Mężowie z ziemi zerwą się w skok,
Na kopce łzawy obróca wzrok.
Ach! cóż zobaczył rycerski lud?
Sennaż to złuda, czy boży cud!
Każden tam oszczep wrósł w ziemi głąb,
Z każdego wykwił zielony dąb!
I dziś z tych dębów rozrósł się las,
Szumić on będzie po wieczny czas,
I na wiek wieków walecznym w cześć
O sławnych bojach rozgłosi wieść!

IX. Z TEODORA BANVILLE'A *).

Do matki

(ballada).

Pieśni pragnę, jam pieśni złąkniony!
Dniem i nocą o niej śnię i marzę,
Choć grudniowe zmroziły mnie szrony;
Zwilżam usta w słodkim jej nektarze.
Pieśń od Boga spłynęła mi w duszę,
Gdym słoneczkiem rozradowan złotem
Pieścił ucho skowronków szczebiotem,
Ona rosy upadła kropelką
W serce moje, kiedy — ? — Ty wiesz o tem
Słodka matko, droga karmicielko!

Oddam chętnie za wawrzyn sielony,
Wszystkę rozkosz w mego życia czarze,
Niechaj tylko srebrnobrzmiące tony
Nie umilkną w mój złotój cytarze,

*) Teodor Banville, urodzony w Paryżu 1820 roku, zmarły w 1893. Liczą go do najwytworniejszych poetów tego wieku. Miłośnik starożytnej literatury greckiej, pięknością formy i czystością języka błyszczy jak rodowity Ateńczyk. Wśród jednoaktowych jego utworów dramatycznych, odznacza się komedia: *Sokrates i Ksantypa*. Z ulotnych poematów najwyżej ceniono jego *Ballady*. Przez balladę rozumie poeta odrębny rodzaj pieśni stworzony gieniuszem francuskim, rozkwitły w XV wieku pod piórem Villona i innych poetów, od owych czasów zagrzebany w niepamięci. Ballada, jak ją pojęli Niemcy w chwilach romantycznego odrodzenia, przyjęła tylko imię od ballady francuskiej, lecz nie ma z nią najmniejszej łączności. Banville zostawił trzydzieści sześć ballad, utworzonych na dawną modłę.

Pomnę, w natchnień południowym skwarze,
 Gdy mnie Pegaz rączył niósł polotem,
 Piorunowym ugodzony grotem,
 Czulem w piersi mojej ranę wielką,
 Krew z niej wrząca biegła... Ty wiesz o tem,
 Matko moja, droga karmicielko!

Dziś ogarniam przestwór niezmierny,
 Biję w skrzydła po modrym obszarze,
 Mam klejnoty, berła i korony,
 Jakich wielcy nie znają mocarze!
 Czcze uludy świata za nic ważę,
 Dość gdy twórczym uposażon młotem,
 Umiem złoto w formę przekuć wszelką:
 Ach to rozkosz — to czary, wiesz o tém,
 Matko moja, droga karmicielko!

Matko! syn twój w sieci nie złowiony
 Zlepił gniazdko u strzechy rodzonej,
 Jak jaskółka pod domową belką,
 Wiatr w bezdroża nie pchnął go szalony;
 Ty wiesz o tém, matko karmicielko!

Do Wiktora Hugo.

W wieszczce struny kto uderzy,
 Słońce w mętnej tonie mgie,
 Pieśń zawziętych ma szermierzy,
 Leez w posuchę śpiewać źle.
 Rój lirników mknie z ochotą,
 Dzwonią fletnie tu i tam,
 A na wyspie lirę złotą
 Ojciec pieśni dźierży sam!

Szczyt się góry stromo jeży,
 Droga ślizka jak po szkle,
 Ten wyrąbać chce tor świeży,
 Drugi w przeszłość oczy śle,

Szkolne więzy kark mu gniołą,
 Olimpijski rozwarł kram,
 A na wyspie lirę złotą
 Ojciec pieśni dźierży sam!

Inni hasło grzmia z moździerzy,
 Bo na przyszłych smugów tle
 Przechuwają snopek świeży,
 W ledwie wzrosłem trawki żdźble,
 Z nowych kwiatów wieniec plotą,
 Nowe prawa głoszą nam,
 A na wyspie lirę złotą
 Ojciec pieśni dźierży sam!

SOKRATES I KSANTYPA

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

SOKRATES.
KSANTYPA.
MIRRYNA.
ANTYSTENES.
PRAKSYAS.
EUPOLIS.
DRACES.
MELITA.
BACHIS.

Rzecz dzieje się w Atenach w roku 429 przed Chrystusem.

Teatr przedstawia mały dziedziniec wewnętrzny, w domu Sokratesa, drzwi po prawej i lewej ręce prowadzą do wewnętrznych pokoi. Wzdłuż muru z obu stron ciągnie się rząd małych kolumn, połączonych w górze wystającym gzymsem. W głębi gruby mur, a za nim taras pełen mirtów i rozkwitłych oleandrów. W środku muru większe drzwi prowadzą do sieni. Na lewo kilka stołków pokrytych poduszkami, na prawo stół i łożo do spoczynku. Za podniesieniem kurtyny Sokrates stoi nieruchomy, mówi zwolna, oczy podniósł w górę, jakby ścigał jakiś niewidzialny obraz.

SCENA PIERWZRZA.

SOKRATES, *potem* KSANTYPA.

SOKRATES. Szpetne ciało ponosi obelgi od świata,
Lecz dusza rączy pędem ku gwiazdom ulata,
I z niemi nieskończone przebiega błękity.
Potwór straszny i boski, oczyma pokryty,
Szamocze się w odmęcie, to z dreszczem zachwytu
Z łona czarnej otchłani zrywa się do szczytu,
I nawet przeciw śmierci ma ochronę pewną
W swęj cnocie!...

KSANTYPA (*wbiegając wola nagłos*). Sokratesie! (*na stronie*).
O, głuchy jak drewno.

Występuje na przód sceny i mówi do publiczności.
Patrzcie, obywatele, jaki z niego człowiek,
Zdarza się, przez noc długą nie zamruży powiek;
Martwy jak głaz, utopion w marzeniach bez końca,
Niedawno, od jednego do drugiego słońca,
Stał tak nierozbudzony jutrzemką różową,
Z okiem w słup, — z ust ni jedno nie zbiegło mu słowo.
Dziwak, po co mu gonić mary nieścignione?
Kto powie, że on młody, że młoda ma żonę?
Nie wie, czy je, czy pije, czy głodny, czy syty,
Ledwie ma lat czterdzieści!.. że niepospolity

Ma rozum, przyznać trzeba, — lecz co z niego będzie,
Gdy mu na głowę puchy upadną łabędzie?
Biegam, wołam, kołaczę, śmieję się... nie słucha,
Krzyczę, a tak mu głos mój dzwoni mimo ucha,
Jakby brzęczała pszczoła na Himetu szczycie!
Bądźcie chwilę cierpliwi, a wnet zobaczycie,
Przemówię w taki sposób, że ten człowiek z głazu,
Donośne moje słowa posłyszysz od razu. *(krzyczy)*.
Sokratesie, ty zdrajco, włóczęgo, szalony,
Sykofancie, złodzieju!

SOKRATES *(jakby zbudzony ze snu, łagodnie)*. To nic, to głos żony!

KSANTYPA. Piękneż to rzeczy słyszę...

SOKRATES. Mów... i cóż się stało?

KSANTYPA. Alcybiades, myślą uniesion wspaniała,
Śle ci złoto i srebro — z jakiej-że przyczyny,
Zwracasz dar? mów-że...

SOKRATES. U mnie cnota skarb jedyny.

KSANTYPA. Charmides niewolników przysłała nam w darze,
Ja śpiesznie im na pole do pracy iść każę,
A tyś ich porozpędzał, mnie na złość...

SOKRATES. Nikomu
Na złość czynić nie zwykłem, ale w naszym domu
Cóż po nich?

KSANTYPA. Niech pracują, niech przysporzą chleba.

SOKRATES. Ten prawdziwie bogaty, komu nic nie trzeba.

KSANTYPA. A czém będziemy żyli? czy wiatrem? czy rosą?
Ty włóczęsz się za miastem, gdzie oczy poniosą,
Aby tłumy przekonać — silisz rozum cały —
Że białym czarny kolor a że czarnym biały.
Jeszcze, gdyby tę mądrość, co im zmąsłył mam, i
Oplacali przybysze sówicie drachmami;
Ale nie, w tobie niema odrobinki dumy,
Twoją mądrość kupują te bezmyślne tłumy
Za nic... tyle też warta... gdyby cię choć zwali
Mistrzem!

SOKRATES. Niech się tak mienia ci ludzie zuchwali,
Co wierzą w swe mistrzowstwo.

KSANTYPA. Piękne mi rzemiosło!
Idź... gdy tak zdanie ziomek twą mądrość podniosło,
Idź z ręką podniesioną prawić im androny,
Nauczaj ich, że człowiek, z gliny ulepiony,
Subtelny demona kryje w swym rozumie,
Co dobrego i złego zaród poznać umie;

Idź, nauczaj tę zgrają mądrości spragnioną;
I czemu się nie ruszasz?

SOKRATES *(łagodnie wychodząc)*. Idę, idę, żono!

SCENA DRUGA.

KSANTYPA *(sama)*.

Wściekam się, odszedł cicho, kroki poważnemi,
Spokojny, pewien siebie... nie!... na całej ziemi
Taki los pewno żadnej nie przypadł niewieście!
(zwracając się do publiczności).

O! niewiasty ateńskie! jestże w całym mieście
Jak ja biedna istota! mam męża, co zrywa
Wszelkie, z życiem człowieka łączące, ogniwa!
Żaden go pocisk ostry dosięgnąć nie może,
Niczém go nie rozgniewam, niczém nie zatrwożę;
Szczęśliwsze wy odemnie! jeśli z drogi prostej
Zboczy która na chwilę, to nie ujdzie chłosty,
Mąż bije winną żonę — taka u nas moda,
Ale po krótkiej burzy jak miła pogoda!
Smutny dni moich wątek splata się inaczej:
Mój niedźwiedz... ten się nigdy rozgniewać nie raczy.
Próżno krzyczę, żółc wszystko wydobywam z siebie,
On mówi: to nie!... chmurka przemknęła po niebie,
To minie... lecz ja nie mam tak spokojnej duszy,
Sprawię tak, że Sokrates wreszcie się poruszy.
Wiem, co zrobię... za głównię pochwyć bez trwogi;
Mściwą ręką zapalę dom na cztery rogi,
A kiedy mój filozof zaryczy ze złości,
Dopieroż śmiać się będę!
Spostrzega Sokratesa, który idzie otoczony gronem uczniów i niewiast.

Idzie, chmara gości
Wlecze się w ślady za nim... ha! szalone zgraje!
Przestąpcie tylko progi, niechże się zaczaję,
A potem zobaczycie, jaką siłą wściekłą
Tchnęli wielcy bogowie w piersi mojej piekło!
Usunę się na chwilę...

SCENA TRZECIA.

SOKRATES, DRACES, ANTYSTENES, PRAKSYAS, EUPOLIS, MELITA,
BACHIS, OBYWATELE I NIEWIASTY ATEŃSKIE.

SOKRATES (*wchodząc pośród tłumu pełnego uszanowania*)

Drodzy przyjaciele!

Proszę wnijsć, kubek wina niech z wami podzielę,
Kto spragniony, niech pije, a kto prawdy chce,
Niech słucha! mówię szczerze...

DRACES. Strumień wiecznie żywy

Płynie przez usta twoje, mądry Sokratesie.
W owych czasach żaloby ręka twoja niesie
Jasną pochodnię światła,—twe natchnienia słowo
Rozprasza mrok i drogę nam wytyka nową.
Ja chętnie porzuciłem i trzody na łące,
I pola złocistemi kłosa falujące,
I me progi domowe, i Mirryny czary,
Jestem tu...

SOKRATES (*do Dracesa*). Jakże wielkie spełniłeś ofiary!
(*do Ateńczyków*).

Rozproszmy, drodzy moi, grobowe milczenie.
Co nam ciąży na duszy! (*do Antystena*).

Pytam, Antystenie!

Zaliż nam przyoblec nakazują nieba
Żalobę po Atenach?

ANTYSTENES. Mów, co czynić trzeba?

Napróżno z lwią odwagą i lwiami pazury
Zdobyliśmy warowne Solionu mury.

EUPOLIS. Złupili Argolidę.

DRACES. I dla świętej sprawy

Do Zacyntu spartańskie odepchnęli nawy!

EUPOLIS. Wczoraj mieliśmy wojnę, jutro krew zrumieni

Nasze wzgórza...

ANTYSTENES. Zwycięzcy w wawrzyn uwieńczeni,

A przecież Archidamos naostrza żelazo

Na kark nasz!..

DRACES. I Ateny dotknięte zarazą.

ANTYSTENES. Potrzeba żyć surowo!..

EUPOLIS. Niech nam się już nie śni

O ucztach i zabawach.

DRACES. O wesołej pieśni.

EUPOLIS. I sztuce, której świat nam oddawna zazdrości.

DRACES. Nie rzeźbić nam figurek ze słoniowej kości!

ANTYSTENES. Precz z lyra!

SOKRATES (*ironicznie*). Wasza mądrość na témże spoczywa?
(*do Praksyasa*).

Cóż ty na to, Praksyas?

PRAKSYAS. Szalony, kto zrywa

Nie złotą, co polyska w Aten życiu całym,
Ach! nam za promienistym gonić ideałem,
Z uroczych kwiatów sztuki splatać wieńce świeże,
Nie pogardzać wam sztuką, waleczni szermierze!

SOKRATES. Rzeźbiarzu, słusznie mówisz! tak Spartańczyk srogi

Szydziłby z nas, gdybyśmy zbiegli z naszej drogi,
A poszli jego torem. Ty, ateńska dziatwo,
Co wdziękiem i dowcipem szermierzysz tak łatwo,
Mistrze dłuta, poeci, których pieśń skrzydłata
Nad gajami rozkwitłych wawrzynów ulata,
Nie pozwalać Spartanom, by patrzyli z chlubą
Na chmurne lica nasze i na odzież grubą.
Co bądź los nam gotuje, tryumfy czy klęski,
W świecie sztuki Ateńczyk nad Spartą zwycięski.
Niech ją szczerze własnymi bogactwy obdzieli.
Ty nieś jój, mistrzu dłuta, bogów śnieżnej bieli,
A ty, Eupolisie, w komizm-tak bogaty,
Szczyptę soli attyckiej; — wy ozdobne szaty
Ślijcie spartańskim siostrom, hoże Aten córy,
Bo, kiedy promień piękna przyświeca nam z góry,
Niechże pod niebem naszym wdzięk cudnie rozkwita!
Niech uśmiech nie odbieży, choć leż dusza syta.
Bądźmy Ateńczykami! wszak nam w żyłach płynie
Krew bohaterskich ojców, słynnych w Salaminie,
Bądźmy jak oni dzielni, jak oni bez trwogi.
Kiedy nas twardą stopą Pers przyciskał srogi,
Gdy nad nami bogowie sami wiekuiści
Ronili lzy: kto konał najpiękniej?.. artyści!
Nie jeden, nim zrumienił krwią zapasów pole,—
Muza mu pocałunek złożyła na czole!
Kiedy pijany chwałą, na brzegi Attyki,
Kserkses nieprzeliczone rzucił zapaśniki,
Gdy Azya zalala powodzią kraj cały,
Wtedy rzeźbiarz i malarz i wieszcz pełen chwały
Bronili, o Pallado! dzielnie twego grodu.
Dzielnie legł on Eschilos poczczon od narodu,
Co na grobie swym kazał krótkie wyryc słowa:

„Znał go dobrze Med dziki z rozcochraną głową!”
 Gdy nam przyjdzie w pomroku szermierzyć z kolei,
 Niech nam przyświeca pamięć boskich propilei!
 Wkoło świętych przybytków niech krąży myśl nasza,
 Gdzie niebian odtworzyło dłuto Fidyasza.
 Aby nam duch nie upadł w prób stanowczej chwili,
 Czyńmy to, co przesławni ojcowie czynili.
 I dla nas do zapasu błyska nowa doba,
 Sofokles i Eurypid żywi jeszcze oba,
 Na czole im Esehila kwitnie bluszcz zielony.
 Niech nas uczy w teatrze poeta natchniony,
 Jak w kraju, co się rozrósł w dniach próby i klęski,
 Cudotwórcza pieśń wieszczów rodzi czyn zwycięski.
 Złote ziarno na każdym posiewajmy polu,
 Patrzą na nas bogowie z wyżyn Akropolu,
 Dalej mistrze za lirę, za pędzel i dłuto.
 Tkaczu, chwyć cewkę, niemi purpury nasnutą!
 Siejmy zboże na roli, w sadzie szczepmy drzewa,
 Niech nam kłosa falują, niech owoc dojrzewa.
 Opiewajmy olbrzymów, budujmy świątynie,
 A niech między żywymi cześć umarłych słyńie.
 Bądźmy wielcy jak oni, przykład ich bez ceny!

WSZYSCY. Niech nam żyje Sokrates!

SOKRATES. Niech żyją Ateny!

(*podnosząc pełną czarę*).

A teraz, przyjaciele górą pełna czasza!

Niechże światło rozumów obłądy rozprasza,
 Jak błyskawica chmury rozpędza na strony!

PRAKSYAS (*podnosząc czarę*).

Chwała ci, Sokratesie!

MELITA (*pijąc*) Bądź od nas poczczone!

(*podczas gdy wszyscy otaczają mistrza i przyklaskują mu z uwielbieniem,
 wpada Ksantypa z groźną postawą*)

SCENA CZWARTA.

POPRZEDZAJĄCY I KSANTYPA.

KSANTYPA. A Ksantypa? nikt-że to czary jój nie poda?

ANTYSTENES. Prosimy cię, chodź do nas... pij, Ksantypo młoda!

KSANTYPA. Raczej z gromadą wilków, co krąży po lesie,
 Niż z wami! cóż mi który z was do domu niesie?

Czy wino? czy oliwę? czy wory pszenicy?

Nic... nic... precz, darmojadi... zasie, Koryntczycy!

SOKRATES. Żono!

KSANTYPA. Precz... podruzgoczę amfory i czasze.
 (*zrzuca wszystko ze stołu.*)

I stół... (*obala stół*).

BACHIS. Na ziemię?

KSANTYPA. To moje, nie wasze!

Czynię, co chcę, jam panią w moim własnym domu!
 Precz, trutnie, filozofy, kobiety bez sromu...

MELITA. Jakiż to krzyk straszliwy...

EUPOLIS. Jak piorun uderza!

PRAKSYAS. Z postawy do trackiego podobna żołnierza.

ANTYSTENES. Byłaby dokonała cudów w Maratonie.

DRACES. Idźmy już...

BACHIS (*do Sokratesa*). Do widzenia...

PRAKSYAS (*do Sokratesa*). Zostań-że przy żonie!

SOKRATES. Dałem wszystko, co mogłem, przyjaciele mili,

Wino i słowo prawdy, co nigdy nie myli.

Poznaliście mą żonę, prawda trochę żywa?

Lecz w gruncie to kobieta zacna i pocziwa.

Powróćcie tu za chwilę, niechże was zobaczą.

Jak niebo, co na przemian śmieje się i płacze,

Ona wnet zlagodnieje, — po burzy gradowej,

Błyśnie słońko i naszej dokończym rozmowy.

Czekam was, przyjaciele...

KSANTYPA (*wypychając gości*). Ha, nędzne przybłądy,

Precz stąd! u tego papli taki gość ma względy,

Co mu nigdy nie przeczy, choć androny plecie,

Precz za drzwi, filozofy! — prędkoż stąd pójdziecie?

(*szydęrczo*). Przyjaciele!

(*Wszyscy wychodzą, Sokrates towarzyszy im*).

SCENA PIĄTA.

KSANTYPA, później MIRRINA.

KSANTYPA (*z boleścią*). Odeszli... Łza tryska mi z powiek,

On wcale się nie gniewał! to głaz a nie człowiek!

Nic-że go nie poruszy? krew aż kipi we mnie.

Co tu jeszcze obmyśleć?.. wszystko nadaremnie,

Od krzyku mało piersi na pół mi nie pękają!

(*spostrzega wchodzącą Mirrynę*).

Cóż to? widzę kobietę! młodziechną i piękną!
Kto tam?

MIRRYNA. Witaj, Ksantypo, zowię się Mirryna,
Chcę mówić z Sokratesem.

KSANTYPA. Jakaż to przyczyna
Tej schadzki?.. a ja nie chcę, zabronić mam prawo,
Sokrates wyszedł z domu.

MIRRYNA (*ocierając łzy*). Bądź na mnie łaskawą.

KSANTYPA. Nie będę!.. Stul-że, proszę, twe różowe usta.

MIRRYNA. Mnie trzeba...

KSANTYPA. Nic nie trzeba... Milcz ty, głowo pusta!

Znam cię, piękna Mirryno, chciałaś mu do czary

Wlać jak tamte pochlebstwa miodowe nektary.

Obejdzcie się bez tego. Sokrates ma żonę...

MIRRYNA. Mylisz się, moje serce ciężko rozżalone,

Przynoszę nie pochlebstwa, lecz gorzkie wyrzuty.

KSANTYPA. Ha! to rzecz całkiem inna...

MIRRYNA. W mój piersi zatrutęj
Kipi żar!..

KSANTYPA. Powiedz, proszę, co znaczy ta skarga?
Co uczynił Sokrates?

MIRRYNA. On mi serce targa!

Przez niego mój mążonek Draces z Anagiry

W jakieś filozoficzne uplątany wiry,

Wymyka się odemnie...

KSANTYPA. Biedna z ciebie żona!

MIRRYNA. Dotąd on mnie tak kochał! jam dziś opuszczona!

Tak chętnie orał zagon, hodował swe trzody,

Słodko nam dni płynęły wśród stałej pogody;

A dziś filozoficzne goni tylko mrzonki.

KSANTYPA. Zaniedbał gospodarstwa?

MIRRYNA. I młodej małżonki!

KSANTYPA. Gdyby Draces był szpetny, lżej-byś to znosiła...

MIRRYNA. Posłyszał Sokratesa, i wymowy siła

Przeszyła go piorunem, gdy w cieniu wawrzynów

Podnosił wielki odblask nieśmiertelnych czynów.

Draces, w tłumie ukryty, coraz to zażarciej

Śluchał go...

KSANTYPA. Jak i drudzy... wszyscy nie nie warcil

MIRRYNA. Odtąd za Sokratesem, jak pies w ślady pana

Włóczy się.. pod portykiem czatuje od rana,

Ślucha, co ten filozof do ucha mu kładzie,

Tymczasem w naszym polu, winnicy i sadzie
Wszystko schnie i marnieje...

KSANTYPA. Żonie lica bledną...

MIRRYNA. Godziż się, aby Draces opuszczał mnie biedną?

Zobaczę Sokratesa... to zimny szyderca,

Jak mówią; — wszystkie żale wyrzucę z pod serca...

KSANTYPA. Dobrze...

MIRRYNA.

Wypowiem prawdę, mnie on nie oślepi

Blaskiem mądrych wywodów!.. zwalczę go...

KSANTYPA.

Idź, spadnij nań jak burza, syp mu gradem w oczy,

Co dnia go ta czereda próżniaków otoczy,

Z moich progów domowych przemocą go bierze,

Na skaliste wybrzeża pędzi ku Falerze.

Tam, na słońcu i wietrze, wśród fal morskich szumu,

Mój przemądry Sokrates przemawia do tłumu.

Chłocz go, siecz bez litości, mową jak miecz ostrą,

A gdy zakipi gniewem, przywołaj mnie, siostró,

Oj! będzie to uciecha, naśmieję się obie.

Otóż i on nadchodzi — zostawiam go tobie,

Uderz nań wstępnym bojem, nie brak ci oręża,

Masz zęby...

(*odchodzi w głąb domu*).

SCENA SZÓSTA.

MIRRYNA, SOKRATES.

MIRRYNA. Sokratesie! wróć mi mego męża!

SOKRATES. Dracesa?

MIRRYNA. Tak...

SOKRATES. Zgubiłaś w nim klejnocik złoty,

Bezcenne bawidelko misternej roboty,

Czy tak?

MIRRYNA.

Tyś mi go wydarł, straszny Sokratesie,

Jakiś wicher szalony w twe ślady go niesie,

Twa wymowa w żelaznych okowach go trzyma,

Tyś mi go wziął, za tobą wciąż wodzi oczyma,

Chebie pożera słowa, co z ust twoich płyną,

Chee uczyć się mądrości... szalenięc...

SOKRATES.

Mirryno!

W tobie dorodny Draces znalazł wdzięk uroczy,
Włos złoty, hoże lica, płomieniste oczy...

MIRRYNA. I czego szuka więcej?...

SOKRATES. On spragniony ducha,
Co iskrę młodej piersi w żar wielki rozdmucha,
Łaknie myśli, co skrzydły orlemi tam leci,
Gdzie mieszka sprawiedliwość, kędy prawda świeci.
Chcesz go przykuć ogniwy, jakich czas nie skruszy,
Daj mu poznać twój rozum i piękność twój duszy!

MIRRYNA. Co mówisz?

SOKRATES. Słuchaj, proszę... Słodkie winogrady
Wzrosłe pod ciepłym słońcem na wzgórzach Hellady,
Wino, co w ustach naszych słowo rodzi wieszczę,
Smaczne figi Attyki, i tysiące jeszcze
Bezcennych skarbów, z łona wydobytych ziemi,
Nie starczą nam, wnet człowiek przesyci się niemil..
Dusza ma też swe prawa, też spragniona...

MIRRYNA. Lecz...

SOKRATES. Gdy cię Draces pojął, kiedy z róż korona
Gasła przy licu twojem, zali przy twym boku
Rad przebywał?

MIRRYNA. Tak, radość świeciła mu w oku!

SOKRATES. Cóż on czynił?

MIRRYNA. Uwielbiał me wdzięki urocze,
Pieścił złotem błyszczące mych włosów warkocze,
Upojony miłością wzrok topił mi w lica,
Odblaskiem niebios moja była mu żrenica.
Ach! bylam ja szczęśliwa! chwil tych nie przepomnę,
Dziś zmieniło się całkiem serce wiarołomne,
Myślałam, że do śmierci węzły te nie pękną!

SOKRATES. A ty, cożś czyniła?

MIRRYNA. Ja, chciałam być piękną!

SOKRATES. Ha!

MIRRYNA. By w sercu Dracesa karmić płomień żywy,
Złoty włos namaszczałam wonnemi oliwy.
Udatną moję kibić stroiłam purpurą,
Albo srebrzystym rąbkim, leciuchnym jak pióro.

SOKRATES. Dobrze, ja to rozumiem, lecz gdy Draces młody
Napił wzrok do syta czarem twój urody,
Cóżś wtedy mówiła?

MIRRYNA. Nic...

SOKRATES. Nic, to za mało...

MIRRYNA. Później, gdy Draces duszą utopiony całą
W smutnym swoim oblędzie, począł jak cień błądy,
Z tłumem innych szaleńców, deptać twoje ślady,
Gdy chciał mnie twoich zasad uczyć za powrotem,
Szeptalam: „przyjacielu, nie mówmy już o tem.
Do subtelnych wywodów nie zdolną ma głowa,
Jeśli piękną w twych oczach, po co próżne słowa?”
Miałam słusność — nie prawdaż?

SOKRATES. Tak, może być, ale

Jak się tym porozumiéć, co nie mówią wcale?
Na Cyprze, owój wyspie uwieńczonej w róże,
Mistrz dżudem arcydzielo wyrzeźbił w marmurze.
Szczęściem przyszła Cypryda: cudowna jej siła
Duch wstąpił w Galateę, drgnęła martwa bryła,
Inaczéj, wystygłoby serce Pigmaliona.

Patrz, twa szata w przesłizne kwiaty ubarwiona!

I któżby nie chciał róży poślubić uroczej,
Gdyby królowa kwiatów, co nam pieści oczy,
Otworzyć mu raczyła koronę różową,

I gdyby z kłębem woni wybiegło jej słowo?

Ależ ty, której głosik tak do serca wnika,
Jak piosnka ukrytego w zaroślach słowika,

Rzekłaś: „I co nam potem? Draces prosta dusza,

„Jeśli promień mych źrenic serce mu porusza,

„Jeśli patrzy z rozkoszą, gdy blask słońca złoty

İgra z promienistemi mych włosów oploty,

Pocóż mu jakieś mary uganiać złowieszczę!

Czego chce?” a ja mówię, on chce więcej jeszcze!

Jego oczy, zbyt długo na światło zamknięte,

Pragną dziś powinności znać prawidła święte.

On pyta: na co życie, na co śmierć nam służy?

Ja rozpraszam ten pomrok, co myśl jego chmurzy,

I na te go wyżyny prowadzę powoli,

Gdzie człowiek dotrzeć może siłą dzielnej woli.

(z przekonującą słodyczą).

Lecz kiedy w labiryncie ulgnie myśl splątana,

Słodką ją tylko pieśnią zbudzi Aryana.

MIRRYNA. Rozumiem...

SOKRATES. Już wié Draces, jak pełen zapału

Duch ludzki do boskiego rwie się ideału,

Wié, że z noty wypływa źródł pełen słodyczy,

Niech będzie mistrzem twoim: ten źródł tajemniczy

Niech ci Draces odsłoni, — jak poił rozkoszą

Twe serce. — Dziś, gdy skrzydła więcej go unoszą,
 Niech powie, jaka radość w duszy nieskończona,
 Gdy prawda jej zabłyśnie, gdy zwątpienie skona.
 Żyj z nim, myśl z nim, i badaj, i pracuj z nim razem,
 Niech będzie twoją siłą, twoim drogokazem.
 Ja to w pierś mu rzuciłem nieśmiertelne ziarno,
 On ma w inną pierś rzucić tę siebę ofiarną.
 Bądź-że ty rolę żyzną, niech posiew rzucony
 W twe serce, obfitemi rozrodzi się plony,
 I nakarmi zgłodniałych, gdy przyjdzie czas żniwa.
 W tém leży tajemnica Hymenu prawdziwa.
 Gdy powita cię rolnik z garścią zboża nową,
 Nie zrażaj go, do serca przyjmij prawdy słowo,
 Niechże ziarno nie rozprasza na dalekie strony,
 Strój, to rzecz barbarzyńska: powinnością żony
 Zdobić duszę, w tym celu niech siły wyteżą,
 A rozumem i sercem musi podbić męża.

MIRRYNA. Prawdęś rzekł—wielką prawdę... teraz widzę jasno,
 Marną rzeczą te wdzięki, co z czasem zagasną,
 Za czém gonił tak cheiwie Draces mój kochany,
 Znajdzie to za swym progiem, gdy domowe ściany
 Rozgrzeje święty płomień. Ty, coś odkrył w niebie
 Zdrój prawdy, — mistrzu drogi, błogosławię ciebie.
(w tej chwili Ksantypa ukazuje się na tarasie).

SCENA SIÓDMA.

MIRRYNA, SOKRATES, KSANTYPA *(ukryta)*.

KSANTYPA *(na stronie)*.

Cóż oni tam do siebie tak długo prawili?
 Posłucham ich ukryta...

MIRRYNA *(do Sokratesa)*. Czuję się w tej chwili
 Odrodzoną, szczęśliwą.

SOKRATES. Masz otwarte pole,
 Idź...

MIRRYNA *(wychodząc zwraca się z uwielbieniem i wdzięcznością)*.
 Niechże pocałunek złożę na twém czole.

*Bierze w obie ręce głowę Sokratesa i całuje go w czole, wpada na to
 Ksantypa i wściekła z gniewu przybiega do Mirryny.*

KSANTYPA. A co smaczny, Mirryno?

MIRRYNA.

Ksantypa!

KSANTYPA.

Ha, pięknie.

Czekam, rychło ten niedźwiedz przed tobą ukłęknie!
 Zbrodniarko nikizemna, złodziejko przebrzydła,
 Podłém kłamstwem w zdradzieckie złowiłaś mnie sidła,
 Ty miałaś go wychłostać palącemi słowy,
 Że nikizemnik wasz spokój zakłóca domowy.

MIRRYNA.

Mówiłam mu...

KSANTYPA.

Wiem wszystko, zbrodnia niesłychana,
 Chciałaś wyrwać mu z paszezy twojego barana,
 Dorodnego Dracesa, ha, serce niewieście!
 Skoro mąż ci opuścił, gotowaś nareszcie
 Poprzestać i na moim, jednego ci mało,
 Chcesz dwu, czterech. Z radości serce mi zadrżało,
 Gdyś rzekła: „chcę go schłostać”, ta chłosta nie lada,
 Rozczula się, lzy roni, w objęcia mu pada,
 Bezczelna zalotnica, bez eci i bez sromu,
 Poczujesz ty, gadzino, jak chłoszczą w mym domu.

*Ksantypa chce się rzucić na Mirrynę, ale Sokrates chwytą żonę za ramię
 i zatrzymuje z całą siłą.*

SOKRATES. Uspokój się, żono.

KSANTYPA *(chcąc się wyrzucić)*. Precz mi, precz mi z drogi,
 Filozof, niby mędrzec, a drży o nią z trwogi.

MIRRYNA *(nieśmiało)*.

Na czole Sokratesa położyłam usta,
 Lecz nie miałam złej myśli.

KSANTYPA.

Haniebna rozpusta,

Toż sama się przyznaje w prostocie gołębię.
 Piękne czole, co sterczy jak skała z wód głębi,
 Istna Nimfa z Satyrem; on łysy i brzydki,
 Ale mój, ja go nie dam, ja na takie zbytki
 W mym domu nie pozwolę. Tyżeś mi gotowa
 Skraść męża, ale słodycz z ust twoich wiadoma
 Nie przywabi amorka z kolezanem i strzałą,
 Gdy wątku do rozmowy nakoniec nie stało,
 Dalej-że w pocałunki. Zapłacisz, nędzniczo,
 Niechno cię moje szpony drapieżne pocałwyca,
 Poorzę w brózdki lica tej piekielnej hydrze.

*(Ksantypa wydziera się z rąk Sokratesa i z zacisniętymi pięściami rzuca się
 na Mirrynę).*

MIRRYNA *(cofając się przerażona)*.

Ksantypo!

Sokrates chwytą Ksantypę, i znów trzyma ją za ramiona.

SOKRATES (*do Mirryny*). Bądź spokojna, już mnie się nie wydrze.
 KSANTYPA (*szarpiąc się gwałtownie*).
 Puść-że mnie, Sokratesie, szarpię się daremno;
 Ugryzę ją...
 SOKRATES (*spokojnie*). Nie!...
 KSANTYPA. Mężu, miej litość nademną!
 SOKRATES. Nie mam jój...
 KSANTYPA (*patrząc na Mirrynę z nienawiścią*).
 Pocałuj-że tę nিকেzenną zmiję.
 Patrzcie, jak przechyliła w bok łabędzią szyję,
 Ja tę szyję ukręczę.
 SOKRATES. Ksantypo kochana!
 KSANTYPA. Żono!
 Niechże upadnie na oba kolana,
 Przedemną, niech zanurzę garść w te złote grzywy!
 A wyrwę wszystkie kudły, będzie obraz żywy
 Sokratesa, pięknego kochanka.
 (*z rozpaczliwem wysilenem*)
 Dlaczego
 Trzymacie mnie?
 SOKRATES. Bądź spokojna, Ksantypo!... dość tego!
 KSANTYPA (*dując się ze złości*).
 Ja chcę, muszę! krwi strugi do piersi mi płyną!
 Brak mi tchu! ja umieram... powietrza...
 (*upada na łożę blada i nieruchoma*)
 SOKRATES (*przerazony*). Mirryno!
 Omdlą!... wody... wody...
 (*Kłęką u stóp Ksantypy, cuci omdlą*)
 MIRRYNA (*przynosząc dzbanek wody*). Jak otworzy oczy,
 Powiem jój...
 SOKRATES. Zlejmy skronie, pot z czoła się toczy,
 Lica jój takie blade jak puchy łabędzie,
 Umiera... patrz, Mirryno!
 MIRRYNA. Nie... nie jój nie będzie!
 Nie trwóż się, my kobiety wiemy, co to znaczy.
 SOKRATES (*pochylony nad Ksantypą*).
 Ksantypo! spojrzij na mniel zbudź się... jam w rozpaczy,
 Miej litość, wyrzecz słowo... Mileczy... zimne ręce...
 Bogowie! ja nie wytrwam w tej straszliwej męce!
 Ratunku!
 (*Podczas gdy Sokrates mówił ostatnie słowa, wchodzi tłumnie Antystenes, Praksyas, Eupolis, Draces, Melita, Bachis i wszystkie osoby, które widzia-
 no w scenie czwartej*).

SCENA ÓSMA.

WSZYSCY POWYŻEJ WYMIIENIENI.

DRACES (*do Sokratesa*). Co się stało? jęczysz... twe łyzy płyną!
 MIRRYNA (*do Dracesa kładąc palec na ustach*).
 Milez, Dracesie!
 DRACES. Co widzę? tyżes tu, Mirryno?
 ANTYSTENES (*do Sokratesa*).
 Ty płaczesz?
 SOKRATES (*pokazując omdlą Ksantypę*).
 Patrz! Ksantypa!
 PRAKSYAS. Sen zwał jój powieki.
 SOKRATES. Umiera!
 MELITA (*przy patrzywszy się omdlą*).
 Nie wierz temu.
 BACHIS. Skon od nię daleki.
 Żyje, lekko oddycha...
 SOKRATES. Patrzcie, skrzepła cała.
 MELITA. To nie!
 MIRRYNA (*do obecnych, nie słyszana od Sokratesa*).
 Wpadła w szal wściekły i z gniewu omdlą,
 Nie trwómy się zbytecznie, lecz konieczność zmusza
 Do ratunku...
 SOKRATES. Drzę z trwogi, azali jój dusza
 Nie ubiegła już z ciała!...
 (*Kobiety otaczają Ksantypę, nie okazując niepokoju, Sokrates idzie do nich,
 Eupolis zatrzymuje go*).
 EUPOLIS. I to cię tak trwoży?
 PRAKSYAS. Płaczesz jój?...
 DRACES. Gdyby żyła, byłoby ci gorzej!
 ANTYSTENES. O moi przyjaciele! wartoż lać łez tyle
 Za kobietą szaloną!
 DRACES. Co mu wszystkie chwile
 Truła ciąglemi swary...
 EUPOLIS. Za jędzą złośliwą.
 ANTYSTENES. Nienawistną dla wszystkich...
 DRACES. Przewrotną i mściwą!
 EUPOLIS. Gorzką...
 ANTYSTENES. Co nim pomiata, stopami go gniecie...
 DRACES. Krzykliwą, jak ptak nocny!
 MELITA (*do Sokratesa*). Alboż to na świecie

Brak kobiet? tobie, mistrzu, słodkiej trzeba żony,
Twój grzbiet zgiął się pod jarzmem ciężkim pochylony,
Dosyć się nacierpiałeś... już tego za wiele...
Odtechniesz pełną piersią.

SOKRATES.

Milczcie, przyjaciele!
Bez niej osierocone mego domu ściany.
W mém sercu czas tej krwawej nie zagoi rany,
Bo jej gniew, jak bicz twardy z rzemiennemi sploty,
Wciąż dobroczynną chłostą budził mnie do enoty.
Stary Sylen biczyskiem łamał opór osła,
Tak i we mnie cierpliwość i siła wciąż rosła.
Jeżeli kto zdradzieckie stawił na mnie sidła,
Jeżeli zbyt szczerą dłonią sypał mi kadzidlą,
I pochlebstwa słodkimi chciał mnie poić miody,
Ksantypa dolewa hojnie morskiej wody
Do czary, by goryczą roztrzeźwić mnie trochę.
Czasami, przyjaciele, wasze słowo płocze
Sprawiało, żem od niebian wywodził me plemię:
Ksantypa mnie z tych wyżyn strącała na ziemię.
Jednym szyderezem słowem: „Tyś od zwykłych ludzi
Nie lepszy”!... Tak zaprawdę, pycha serce studzi,
A ona odganiała jej tuman z mej głowy,
Bo cnota, mili moi, — to rumak bojowy,
Co rychło zleniwieje na kwiecistej łące.
To też ja, kiedy w niebo gwiazdami błyszczące
Zapatrzon, przez noc długą marzyłem w spokoju
Krzyk Ksantypy jak trąba wzywał mnie do boju!

PRAKSYAS. Chodź z nami, Sokratesie!

ANTYSTENES.

Z więzów uwolniony,
Wiedz nas tam, gdzie Ilissus po łące zielonej
Wśród rozkwitłych wawrzynów swe przetacza fale,

BACHIS.

Może tam widok słońca ukoi twe żale,
I rozwiążesz zagadkę Sfinksa, nasz Edypie...

MELITA.

I ochłoniesz z tęsknoty po twojej Ksantypie!
(z boleścią głęboką).

SOKRATES

Jej miejsce pozostanie pustem u ogniska,
Nie ukoi nic bólu, co mi serce ściska.
Obok mojej Ksantypy, w tej dobie burzliwej,
Nie trwożyć mnie nie mogło, ani lud krwi cheiwy,
Ni grady, ni pioruny, ni wietrzne zamiecie,
Ani twardy mróz zimą, ni skwar słońca w lecie;
Bez niej, przepadła mądrość, zgasł mój rozum cały,
Przy tym głosie, co huczał jak potok u skały,

Jam czuwał, powtarzał w takt tego pokrzyku:
Myśl, ucz się, badaj, pracuj, nędzny niewolniku!

EUPOLIS.

Zadna jej nie dorówna kobieta z tej strony.

PRAKSYAS.

Głos jej rozpędzał burzę.

ANTYSTENES.

Odganiał Tyfony.

(Ksantypa budzi się, lecz nie widzą tego obecni, słyszy z podziwem słowa
męża, zachwycona wyciąga ku niemu ręce. Sama tylko Mirryna
jest przy niej).

SOKRATES

(ciągnąc dalej myśl swoje).

Ku głębokim otchłaniom, skąd światło połyska,
Gdzie świat ożywiający płyną zdrojowiska
Zbiega moja Ksantypa, a ja sercem całym
Płacze za nią... co chcecie?... ja tak ją kochałem!

KSANTYPA

(na stronie).

Co wyrzekł? to w mém życiu pierwszy dzień uroczy!
Kocha mnie!

MIRRYNA

(do Ksantypy). Gdy na światło rozwarłaś już oczy,
Niech przyjdzie tu, niech mary porzuci złowieszcze!
Sokratesie!

KSANTYPA

(kładąc jej rękę na ustach).

Daj pokój, niechże mówi jeszcze!

SOKRATES

(z głębokim uczuciem).

Kochałem ją, bo wierna, skromna i uczciwa,
Tkąła w krosnach lub snuła białą nić przedziwa,
Strzegła pilnie porządku, a za próg domowy
Napróżno nie lubiła wychylać swęj głowy,
Żyła ze mną i dla mnie, kochała mnie lepiej
Niż ci, których pochlebstwo oczy moje ślepi;
Kochałem ją i kocham!

KSANTYPA

(zrywa się i biegnie do męża). Sokratesie drogi!

Ty mnie kochasz!

SOKRATES.

Cof żywa!... nieśmiertelne bogi!

ANTYSTENES.

Snać piekło jej nie chciało!

KSANTYPA

(z uniesieniem do Sokratesa). Na tak słodkie słowa,
Jakże nie miałam odżyć?

SOKRATES.

Ty żyjesz! tyś zdrowa!

Ksantypo!...

KSANTYPA.

Ja do gruntu przemienić się muszę,
Jakiś obłęd piekielny ogarnął mi duszę.
Siałam postrach dokoła, gniew miotał mną wściekły,
Me słowa gromem były, gradem w oczy siekły,
Stekiem bezczelnych oszczerstw, w złośliwym zapędzie
Czerniałam gołębie i śnieżnie łąbędzie.

Byłam zła i okrutna, nikiemna, szalona...
 Bezczelna, stokroć gorsza od węża Pytona,
 Ukarz mnie, przyjacielu.

(*bierze kij, zanosi go do Sokratesa*)

Weź ten kij sękaty,

Za me czyny bezece, jam godna zapłaty.

SOKRATES. Co czynić mam z tym kijem?

KSANTYPA. Bij mnie, Sokratesie!

Wall...

SOKRATES. Za co?

KSANTYPA. Kto zawinił, niech karę odniesie.

Za krzyki, za niewdzięczność, za me krnąbrne serce,

Za to, że cię, drogi, miała w poniewierce.

Natychmiast, wobec tłumu, bij mnie, tak się godzi

Niech patrzą na tę chłostę i starzy i młodzi.

Kiedy ty mnie kochałeś, jam cię sama biła;

Teraz kolęj na ciebie, rzecz się odwróciła,

Ja cię kocham, więc bij mnie, bij-że, co się zmieści,

Tyś płakał, drogi mężu, pobladł od boleści...

Na myśl, że ja umarła... bij... błagam cię o to!

SOKRATES. Nie!...

KSANTYPA. Bij mnie, Sokratesie, bij-że, moje złoto.

SOKRATES. Ja ciebie nie uderzę!...

KSANTYPA. Jak o łaskę proszę,

Bij!...

SOKRATES. Nie mogę...

KSANTYPA. Patrz, ręce błagalnie podnoszę.

SOKRATES. Nigdy!...

KSANTYPA. Cierpliwość moją wystawiasz na próby.

Bij-że, mój Sokratesie!

SOKRATES. Ja nie chcę...

KSANTYPA. Mój luby,

Zaklinam cię...

SOKRATES. Na próżno!

KSANTYPA (*wkładając mu kij w rękę*). Ha! teraz zobaczę,

O ile ty mnie kochasz! bij mnie...

SOKRATES. Ona płacze!

Cóż ty chcesz?

KSANTYPA (*zanosząc się od łez*). Sto batogów.

SOKRATES. Niech bogowie strzegą!

KSANTYPA. Sto... czy słyszysz? ustąpić nie chcę ni jednego!

SOKRATES. Pomyśl-no... trzeba przecie...

KSANTYPA (*uderzając nogą w ziemię*). Bić mnie, bić potrzeba!

SOKRATES (*podnosząc ręce w górę*).

Apollo! twojém światłem zabłyśnij nam z nieba!

(*do Ksantypy*)

Dajmy już temu pokój...

KSANTYPA. Ściskam tve kolana...

SOKRATES (*słodko, ale stanowczo*).

Bić ciebie? to szaleństwo, żono ukochana!

KSANTYPA (*zapalając się coraz bardziej*).

Takiż zacięty upór w twém sercu szalonym?

Ty, coś łzami rzewnymi płakał nad mym skonem,

Gardzisz mną?... bić mnie nie chcesz? O! ja nieszczęśliwa!

Strzeż się!..

SOKRATES (*dobrodusznie*). Pięknie, Ksantypo, że twa dusza zrywa

Pęta, co ją trzymały tak długo w obłądnie,

Lecz chcesz odemnie chłosty, nie z tego nie będzie.

Gdy duch się twój odrodził... w tak poważną chwilę,

Byłoby to z Charybdy, stoczyć się na Scyllę.

KSANTYPA (*w uniesieniu*).

Na Scyllę?... wciąż ja potwór? ja chwytam żeglarzy,

W rozwartą mą paszczkę? co tobie się marzy?

Będziesz bił, czy nie będziesz? (*Sokrates milczy*)

Odpowiedz...

SOKRATES.

Nie będę!

KSANTYPA. Musisz... lub wobec tłumu wszelkiej czci pozbędę.

SOKRATES. Ratuj mnie, Herkulesie! twa siła tajemna

Niech mnie wesprze...

KSANTYPA (*zapalczywie*). Więc nie chcesz...

SOKRATES. Nie!

KSANTYPA (*rzuca kij — wymierza policzek Sokratesowi*).

Masz więc!...

(*przeżrana własnym czynem, jakby gromem uderzona, rzuca się do nóg*

Sokratesowi)

Nikezemna!

I znów szal.. i napróżno o poprawie marzę,

Twa Ksantypa, to piolun w twego życia czarze,

Pragnie iść nowym torem i z drogi się cofa!

I na cóż ja się przydam?

SOKRATES (*podnosząc ją i tuląc w objęcia*). Tworzysz filozofal

(*do Dracesa*)

A ty, dobry Dracesie, wiedz Mirrynę twoją,

Niechże się serca wasze w tej krynicy poją,

Gdzie prawda leży na dnie, oświeca i żywi,
A będziecie oboje mądrzy i szczęśliwi.

KSANTYPA *(w objęciu Sokratesa do publiczności).*

Wszelkie zło idzie z kobiet: zdrada, chciwość złota,
Próżność, swawola, zbytek, szalona pustota,
Cudne wdzięki ludzające ponętą zwodniczą,
Słodkie czasy zaprawne trującą goryczą,
Wszystko sprawą kobiety!...

SOKRATES.

Wielbimyż ją przecie!
Cóżby znaczyły bez niej wszelkie skarby w świecie?
Biada! czyje kolano przed nią się nie zgięło;
Bogowie ją stworzyli... to ich areydzieło!

ZASŁONA SPADA.

X. Z LECONTE DE LISLE *).

B e r n i k a.

Ukryta między góry skalistemi ściany,
Do damań cię samotna przynęca dolina,
Ludzkiemi na nięj stopy szlak niewydeptany,
Nie odbrzmieją tu morza kipiące bałwany,
Ni szmer ludzki. O świecie człowiek zapomina.

Wiatr kołysze powoje zdobne w dzwonki świeże;
W ich kielichu śpi błogo szerszeń! Miodu stepy,
Wał ostrych aloesów przystępu tu strzeże,
I słodko tonie ucho w żywych wód poszmerze,
Gdy zdrój przez rozpekane toczy się granity.

A gdy rzuci na góry świt rąbek różowy,
Owa rajska dolinka, zieleń umajona,
Spowija skał olbrzymich najeżone głowy,
Przed słonecznym promieniem w płat mgły fijołkowej,
Co chłodnemi tumany bucha z pieczar łona.

*) Leconte de Lisle, urodzony w r. 1818 na wyspie Réunion, nim zamieszkał stale we Francji, odbył podróż do Indyj Wschodnich. Tam, w zetknięciu z wyznawcami Budy, przesiał do gruntu nihilizmem. On pierwszy wprowadził Nirwanę do poezji francuskiej. W jego zbiorach poetycznych — wydanych w trzech wielkich tomach pod tytułami poezji *Starożytnych*, *Barbarzyńskich*, *Tragicznych*, pod najwytworniejszą formą, panuje nuta dzika, powiewa z nich jakiś chłód lodowy. W starożytnych poetach, nawet w Homerze, widzi Leconte de Lisle odbicie buddyzmu. Z Biblii upodobał sobie Kaina; opiewa go jako Prometeusza w walce z ciemnym pomrokiem.

Wśród tych chaotycznych pomysłów miał przecieź poeta chwile wyższego natchnienia. W r. 1856 utworzył poemat p. t. *Droga krzyżowa*, poświęcił go swęj matce. Wzniosły ten utwór wyrzucił z późniejszych edycji. W r. 1887 otrzymał krzesło po zmarłym Wiktorze Hugo.

Wspomnienie rodzinnej wyspy wydobyla rzewny ton z wystygłej piersi pesymisty. Umarł w roku 1894.

Gdy południe z błękitu białą lawę toczy,
 Jój żar wstrzyma w polocie konary ciemni,
 Deszczem dyamentowym pryska w drzew pomrocy,
 Po gałązkach zielonych drga promień uroczy,
 Zanim płamy ogniste rozwieje po ziemi.

Niekiedy koza dzika wesołym poskokiem,
 Z wytężonemi słuchy pomknie z wrzosów ciemni,
 Otrząśnie z grzbietu rosę, wkrąg zatoczy wzrokiem,
 Wodę, w korycie skały zebraną głębokiem,
 Pije chciwie, na drżącym oparta kamieniu.

I rój swawolnych ptasząt przelata w swobodzie,
 Z gałązki na gałązkę, z murawy na kwiatki,
 To piórka szmaragdowe trzepią w zimnej wodzie,
 To suszą pierś na słońcu, gdy chłód ją przebodzie,
 A na gniazdkach pisklęta tulą się do matki.

Uroczyste brzmia chóry po jasnym lazurze,
 Miłość słodko przynęca, tęsknota się żali,
 Śmiech, radość i wesele, pustota, serce burze,
 Tak cudnie się zlewają w harmonijnym chórze,
 Iż spokoju powietrznej nie zamącą fali.

Lecz dusza upojona tą chwilą szczęśliwą,
 Czarodziejskich uroków złoty wątek plecie,
 Czuje się ptakiem, kwiatem, światłem, wodą żywą,
 Chwyta z niebem ją niegdyś łączące ogniwo,
 I do Boga w milczeniu powraca jak dziecię.

XI. Z SULLY PRUDOMME'A *).

Wazon rozbity.

Patrz... werbeny kwiat w wazonie
 Zwinął listki, padł bez siły,
 Nieostrożnie białe dłonie,
 Szkło wachlarzem potrafiły.

Ledwie rysę dojrzy oko,
 Lecz ta rośnie coraz szerzej,
 W kryształ wgryza się głęboko
 Dno wazonu w krąg obieży.

I usycha w nim pomału,
 Kwiat, wilgoci nie dość syty,
 Woda sączy się z kryształu,
 Nie dotykaj, on rozbity!

Ukochana czasem ręka
 Zrani serce mimowoli,
 Potém z cicha serce pęka,
 Kwiat w niem uczuć schnie powoli.

Świat nie dostrzegł nawet zmiany,
 Łzy i bole przed nim skryte,
 Ale w sercu ład stargany,
 Nie dotykaj — bo rozbite.

*) Sully Prudomme ur. w r. 1839 — członek akademii francuskiej, jeden z najpierwszych współczesnych poetów. Utwory jego zadziwiają doskonałością formy, ale owiane pesymizmem, nie przemawiają do duszy czytelnika, nie budzą w niej zapału. Lira pusty, smutny, wydaje oddźwięk — opiewa tęsknotę i żal — za niedoścignionym ideałem. Widoczna to szczególność w dwóch ostatnich, obszernych poematach p. t. *La Justice* i *Le Bonheur*.

Myśl zgubiona.

W myśli słodkich czarów tyle,
Ach! najcudniej nęci ona,
Gdy zabłyśnie nam, na chwilę,
I uleci niewyśniona!

Puste serce tęskni do nięj,
Za ubiegłą dąży skrycie,
Czarodziejka w duszy dzwoni,
By ją schwycić — dałbym życie.

Próżno pytam, gdzie? do czego
Myśl rączemi pędzi loty?
Czemu z powiek lży mi biegą?
Gdzie mi zniknął sen mój złoty?

Połysek szczęścia zgasł przedwcześnie,
Znów go roztląć w sercu trudno,
Znałem radość tylko we śnie;
A sen tylko marą złudną!

Tu i tam.

Tu jesienią więdną kwiecie,
Z gniazd się ptastwo już zerwało,
A ja marzę o tym świecie,
Co trwać będzie wieczność całą!

Miłość w sercu gdy zagości,
Drga w niem ledwie chwilę małą,
A ja marzę o miłości,
Co trwać będzie wieczność całą!

W krąg tu groby i cmentarze,
Ileż ziemię łez oblało!
Ach! ja o tém życiu marzę,
Co trwać będzie wieczność całą!

We śnie i na jawie

(sonet).

Rolnik rzekł do mnie we śnie: „Ja nie dam ci chleba,
„Karm się sam, czas mi spocząć, weź lemiesz do ręki;”
Rzekł mi tkacz: „Oto krosna, oto włókna pęki;”
Rzekł mularz: „Weź sam kielnię, gdy ci domu trzeba.”

Patrzę wkoło: cierniskiem najeżona gleba,
Drzę jak liść i okropne czuję głodu męki,
Wyciągam obie ręce o litość do nieba,
Wtém lwy zaszły mi drogę z strasznemi paszczęki.

Rankiem przetarłem oczy, smutno jeszcze marzę,
Słyszę pieśni, po drabinach biegają mularze,
Warczą koła warsztatów, wieś ze snu się budzi,

Faluje kłosem niwa, brzmia fletnie pastusze,
Wielka radość w zboliałą wpłynęła mi duszę,
I odtąd całém sercem ukochałem ludzi!

Do Alfreda Musset'a.

Widziałeś płaskorzeźby ryte mistrzów dłonią,
Co wskazują początek i postępy sztuki?
Tu roje pszczół, tam woły pod jarzmo się kłonia,
Wobec poważnych starców orzą ziemię wnuki,
Gdzie rzuć okiem, na łanach podzwania kłos płowy,
W sadzie zgina się jabłoń owocem bogata,
Dziarski łowiec gna zwierza przez ciemne parowy,
Junak pochwyca w arkan krnąbrny kark bachmata,
Mędrzec tajemne głoski nakreśla na piasku,
Żeglarz rozwija żagle, pochwyca za wiosła,
Spiż pod młotem nabiera oglady i blasku,
Twarda bryła się zmienia w tarcze i topory.
Niewiasta w krosnach tkankę wyrabia we wzory,
Rzeźbiarz skreśli duszy własnej zabliznia w marmurze,
A pasterz, na śpiewaka namaszczonego w duchu,
Swoje żale i troski zawiesza tam w górze,
Wśród eterów powietrznych, na dźwięków łańcuchu.

Piękny obraz, dziś jeszcze przedstawia go życie,
Zmieniły się zdobycze, ten trud się nie zmieni,
Ojcowie go podjęli przy zorzy przedświcie,
My pracujem przy blasku słonecznych promieni!

Miłość zamordowana.

(sonet).

Jak nędzarz, gdy mu chleba okruchy nie stało,
W dziecko własne rękoma godzi morderczemi,
Wykopie grób w nieznanym gdzieś zakątku ziemi,
Drgające życia szczątkiem pogrzebie w nim ciało:

Tak ja, gdy serce moje ogniem rozgorzało,
Zamordowałem miłość z jej czary słodkiemi,
I grób jej przycisnąłem płyty kamiennemi,
I zdziwion móm zuchwalstwem odszedłem nieśmiało.

Co widzę? ona wiosną ubiegła z ukrycia!
Na grobie pół otwartym stoi pełna życia.
Wśród wonnych bzów jej lica błysły mi jak zorze.

Nieśmiertelnik nad białem zatknięty jej czołem.
„Czym umarła? patrz! słówkiem zagadnie wesołem,
To złuda, ręka twoja mnie zabić nie może!”

XII. Z EDWARDA PAILLERON'A *).

Rozmowa podsłuchana.

Dzieweczka na wizytę żartem się wybrała;
Udaje wielką panią, — uciecha jej szczerą,
Kładzie kapelusz z kwiatem i pióry strusiem,
Suknię matki jedwabną powłóczy po ziemi,
Chód jej pełen powagi, podniesiona głowa,
Wzrokiem zatacza wkóło, — dumnie jak królowa.
Uśmiecha się radośnie, widać jak powabny
Dla ucha jej ten szelest sukienki jedwabnej.

Gwarzy sama za dwoje: nie sama tu przecie,
Jak matka, co w objęciu niańczy miłe dziecię,
Ona tuli do piersi jakiś klocek mały,
Otulony w pieluszki, zużyty, zczerniały.
Była to niegdyś lalka, dziś rzecz bez imienia,
Lecz to uczuć dziewczeczki bynajmniej nie zmienia.
Wśród stu pięknych zabawek, ta jedna coś znaczy,
Dlaczego? tę zagadkę któż mi wytłómaczy?
Zajęta całą rolą tak ważną dziś dla niej.
— Puk, puk!

— Kto tam? wnijść proszę... co widzę? to Pani!
Witam, długo czekałam na tak miłą chwilę!
— „Nie wychodziłam z domu, mam zajęcia tyle!”
-- „Jakże zdrowie?”

*) Pailleron— członek akademii francuskiej, urodzony w Paryżu w roku 1834. Komedye jego szeroki znalazły rozgłos. Niektóre, jak *Świat nudów*, znane dobrze w Warszawie.

— „Nas kobiet często się źle czepił!”
 — A dzieci?”
 — „Były słabe, lecz teraz już lepiej.”
 — „Wiele ich jest?”
 — „Dwanaście!”
 — Po ileż lat mają?
 — „Po dwanaście.”
 — „To dobrze, razem się chowają,
 Razem uczą i rosna, i bawią się spolem.”
 — „Lecz to wielka niewola!”
 — „Znam się z tym mozołem;
 Ale jakże on drogi sercu dobrej matki!”
 — „O zapewne, że drogi! — i pani masz dziatki?”
 — „Jedno tylko maleństwo!”
 I swój klocek lichy
 Ukazuje z uczuciem macierzyńskiej pychy!
 — „Jakie śliczne dzieciątko, jak wesola minka!
 Czy pani masz córeczkę?”
 — „Nie, pani!”
 — „Więc synka?”
 — „I nie synka?”
 — „Cóż zatém?”
 — „To pieśzcotka mała,
 Jeszczem jęj w sukieneczkę żadną nie ubrała.
 Chłopiec to straszny psotnik, nie zgodzi się z nikim,
 Wiecznie bawi się z koniem i chłoszcze biczykiem.
 Córka znów na tysiące przygód narażona,
 Jeśli pójdzie źle za męża, biednaż, biedna ona!
 A ja tak pragnę szczęścia dla mojej pieśzcotki.”

I przytula swój klocek, uśmiech jęj tak słodki,
 Lica jęj zapłonęły miłością głęboką,
 W bezbarwne rysy lalki zatopiła oko.
 On nędzny zlepek skóry, gałganków i drewna,
 Opanował jęj serce, ona taka pewna,
 Że dziecię w macierzyńskim piastuje objęciu,
 I duszą utonęła w tém drogiem dziecięciu!
 Coraz to pieśzcotliwe zaszczebiocze słówko,
 Przymili się jak ptaszę i pokręci główką,
 I przyciśnie usteczka do potwornej twarzy,
 Swém dzieckiem tylko żyje, o niem tylko marzy.

Kropła gorzkiej zawiści w głąb serca mi padła,
 Moja córka bezwiednie swą przyszłość odgadła,
 Jakąś niezwyknięoną parta naprzód siłą,
 Wyrwa się z mych objęć, już jęj uderzyło
 Serce do tęg miłości, co wszystko zagłuszy,
 Któręj ziarno tak wcześniej kielkuje w jęj duszy!

A rozmowa tymczasem wpada na tor nowy.
 Dzieweczka coś cierpkimi wyraża się słowy,
 Już teraz nie o dziecku, lecz o mężu mowa.
 Przysłuchuję się pilnie, wszak nauka zdrowa.
 Nieraz z ustek dziecięcych płynie jak zdroj żywy:
 — „Gdzie mąż pani?”

— „Ja nie wiem... och! to gość prawdziwy

W domu swoim!

— „Mój także... zaledwie czasami
 Zajrzy do mnie na chwilę... oj, z temi mężami
 Wielka bieda! wszak każda z nas to samo powie.”
 — „Prawda, pani!... rzecz smutna... oj! oj! ci mężowie!”
 — „Jednak mąż mój mnie kocha, niekiedy mnie bierze
 Do lasku Bulońskiego, bylam z nim w Operze,
 Dwa razy na wieczorku, wśród milego grona,
 Lecz jak zacznę pracować, wtedy rzecz skończona!”
 — „I mój zupełnie taki, — próżno w drzwi kołaczę,
 Wołam słodziuchnym głosem: chodź, niech cię zobaczę!
 Ja tak pięknie cię proszę! — on zimny, jak z glazu...
 (Ten mąż, to ja podobno — odgadłem od razu.)
 Zawsze mi odpowiada: — nie mogę w tęg chwili,
 Wyjdziem potém, a potém goście przeszkodzili;
 Potém deszcz, o przechadzce już myślée daremno,
 Nigdy się nie zabawi, ani wyjdzie ze mną.
 Dlaczegoż on tak czyni, wszak mnie kocha przecie!”

Dlaczego? cheszli wiedzieć, ukochane dziecię?
 Nad piórem i nad księgą wiecznie się mozołę,
 Dlaczego pot kroplisty ścieka mi po czole?
 Dlaczego w twardej pracy godziny mi płyną,
 Gdy mógłbym je przy tobie, miłutka dziecino,
 Przepędzić tak swobodnie, popatrzeć w twe lica,
 Poić się twym uśmiechem, co mnie tak zachwyca,
 Jak w majowy poranek, brzask jutrzeńki złoty!
 Popieścić tęskne ucho twojemi szczebioty...

Ja-bym ci wytłomaczył wszystko, lecz się trwożę;
Dziś tego, co ci powiem, nie zrozumiesz może!

Chcę, by serce twe, pełne radości i dumy,
Uderzyło radością, gdy poszepną tłumy:
— Patrzcie, to jego córka! chcę, byś miała prawo
Pochlubić się rosnącą twego ojca sławą!
Pragnę potem, gdy wielka wybije godzina,
Kiedy o nieobecnych serce zapomina,
Kiedy zasną, nie tylko w mój trumnie dębowej,
Lecz i w pamięci twojej, — niech głos coraz nowy
Odżywia postać moją w twój myśli zatartą:
Dla tak wielkiej nagrody mozolić się warto;
Wtedy iskra się nowa z popiołu rozgrzebie,
Wtedy zrozumiesz, córko, jak kochałem ciebie!

A teraz klóć się z ojcem, zrzędz sobie do woli,
Kocham cię, błogosławię, rad z twojej swawoli.
Gdy cię widzę, gdy słyszę twój głosik dziecięcy,
Dość mi na tém, od świata nie żądam nic więcej,
Kto kocha, ten bogaty, wierz mi, mówię szczerze,
Szczęśliwszy ten, kto daje, niżli ten, kto bierze!

Sursum Corda!

Wykrzyk boleści wypowiedziany na poranku w teatrze francuskim — otwartym
po raz pierwszy, po klęskach w 1871 r.

. O nieba!
Ileż potwornych zbrodni odkupić nam trzeba!
Jak przebłagać, o Boże, święte Imię Twoje!
Widzieliśmy w tych murach bratobójcze boje,
I straszna wieżę Babel, — dzieło grzesznej pychy,
Braci... jeśli Kaina bratem Abel cichy,
Ludzi... jeżeli tygrys z niewiasty zrodzony,
Francuzów... jeśli godni zwać się ich imiony.
Te wyrodki, pijane krwią i wściekłym szałem,
Co nad matki półmartwem pastwiły się ciałem;
A gdy ją blada niemoc rzuciła na łożę,
W zszarpane jój wnętrzości strute pchali noże;

I kiedy już przedśmiertne wstrząsały nią dreszcze,
Jój łańcuch win brzemieniem obciążali jeszcze!
Oniż-to synów twoich imieniem się szczyca,
Gdy krew z żył twych staczali, matko męczennico!
I nad twoją w kałuży potieraną głową
Zapalili tę straszna tryznę pogrzebową,
A przez ohydne gwałtów i zbrodni koleje,
Zburzyli twoje prawo, zdeptali nadzieję.
Och! ten młot, który progi naszych świętych kruszy,
Burzy ład sumień naszych i świątynie duszy
Zawałił rumowiskiem, — błagamy więc, Boże,
Miłosierdzia Twojego!

XIII. Z WIKTORA LAPRADE'A *).

Nad brzegiem jeziora.

Ukryty pod dębów cieniem,
Spoglądam w jeziora fale,
Słonko złocistym promieniem
Odbija w jasnym kryształe.

Ten blask, co po wód przestworzu
Rozpryska smugi złotemi,
Nie powstał w jeziora łożu,
On rodem z nieba—nie z ziemi!

Jeziora chudoba cała:
Wód obszar tylko szeroki,
I fala przezczysto biała,
I łoże z twardej opoki.

*) Wiktor Laprade urodzony nad Loarą, przeżył całe życie w Lyonie, wykładał literaturę francuską w fakultecie tamtejszym. Z głębokim poczuciem sztuki starożytnej, umiał połączyć miłość sztuki chrześcijańskiej. Słusznie porównano jego poemata do urny ateńskiej, napelnionej kwiatami, uszczkniętymi na Kalwarii. Dano mu za godło *Sursum corda*. Z pomiędzy jego poetycznych utworów największą popularność poemat p. t.: *Pernette*. Jest to epopeja z życia ludu, stawiana przez krytyków obok Hermana i Doroty. Akademia francuska przyjęła do grona Lyonńskiego poety.— Umarł Laprade w r. 1883.

Gdy dusza twa niezmacona,
To promyk zorzy uroczy
Snadno ci wbieży do łona,
Cudne tam barwy roztoczy.

Jak śnieg, co góry przyprósza,
Jak biała perelka rosy,
Czystą być musi twa dusza,
By w niej odbłyśły niebiosy.

Chcesz-li ty, piewco natchniony,
Stać się zwierciadłem dla świata,
Poruszyć pieśnią miliony,
Sięgnąć, gdzie duch twój ulata?

Chcesz-li snuć przedzę tęczową,
Spleść w wieniec twój myśli kwiaty,
Przystroić wieszczę twe słowo
W błękit i drogie szkarlaty?

Chcesz-li, by naród twój chętnie
Ku pieśni naklonił ucha?...
Niech w każdym liry twój tętnie
Brzmi oddźwięk Bożego Ducha!

Chcesz-li radować nam oko
Obrazem cudnej przyrody,
Niech myśl twa świeci głęboko,
Jak czyste jeziora wody!

Do poezji ludowej.

Pieśni święta, co zbierasz słodki miód z tych wrzosów,
Córo mego narodu — i córo niebiosów,
Zwieńczona macierzanką i wonną bylicą,
Zbiegnij do boku mego, uroczą dziewico!
Rozprosz tę mgłę ponurą, co mi oczy ślepi.
Widnokrąg ziemi mojej niech ogarnę lepij;

Dodaj mi tchu, do bark mych pióra wszczep sokole,
 Niech spojrzę z pod obłoków na ojczyste pole,
 Rozszerz mi pierś ożywczém technieniem twego łona,
 Przynieś mi z gór Forezu—O ty! nieskażona!
 Żywiczny balsam jodeł, dla serca tak zdrowy,
 Co leczy pierś, a czarem nie odurza głowy.
 Niech drudzy, gdy w natchnieniu myśl ich się szamoce,
 Rwą w sadach Hesperidy zatrute owoce,
 Gdzie żmija wpośród kwiatów leże się i z cicha
 Pałace wsącza jady na dno ich kielicha;
 Ja wolę krzemieniste uprawiać zagony,
 Uboższe będą żniwa, ale zdrowsze plony.
 Ogrzane jasnym słonkiem, wykąpane rosą,
 Me kwiaty, acz bezbarwne, czystą woń rozniosą.
 I ubłogosławione me słowo, przez ciebie,
 Powie ludziom o prawdzie, o Bogu, o Niebie!

Ballada Foreska.

Jeszcze przez okienko
 Dzionek się nie bieli,
 Już młoda Pernetka
 Siadła do kązieli.
 Ilekroć w jej ręku
 Zafurknie wrzecziono,
 Żałośnie poduma,
 W łzach'oczki utoną.

A matka zapyta:

Czemu łzy tve płyną?
 Czy cię boli główka,
 Czy serce, dziewczyno?

— Nie boli mnie główka,
 Rzecz dziewczę z cicha,
 Ale me serduszko
 Z tęsknoty usycha.

— Nie płacz-że, Pernetko,
 Wyprawię ci gody,
 Przed ołtarzem z tobą,
 Stanie panicz młody!

— Nie chcę ja panicza,
 Matko, dzięki za to,
 Milszy Piotr, co siedzi
 W więzieniu za kratą.

— Napróžno do Piotra
 Twe serduszko bije,
 Kat mu postroneczek
 Już kręci na szyję.

— „Jak powiesz Piotra,
 Mnie umrzeć niebodze,
 Pogrzebiecie-ż nas w ziemi,
 Pod krzyżem przy drodze.

„Wiosną na mogile
 Róże się rozwina,
 Zobaczy je pielgrzym,
 Gdy pójdzie doliną.

„Przykłąknie pod krzyżem,
 Pomodli się w ciszy,
 I Pan Bóg modlitwę
 W niebiosach posłyszyn”.

Ustęp z powiastki Pernetka.

(Obrazek narzeczonej dziewczeczki).

Tak żyzna wasza rola i pięknie się ploni,
 W zielonym sadzie latem owoc na jabloni,
 Cudnie wietrzyk na polu złote kłosa zgina;
 Lecz wasza nad to wszystko cudniejsza dziewczyna,

Wysmukła jak topola, co rośnie nad wodą,
 Króluje nad innymi wzrostem i urodą.
 Wciąż śpiewa i szczebioce, niby w gniazdku ptaszę,
 Nie kryją tyle miodu mnogie barcie wasze,
 Ile ona słodyczy w cichém sercu mieści.
 Taka żona, to istny klejnocik niewieści,
 Ład w domu, wszystko u niej wije się jak z płatka.
 Pod okiem jej wesoło pracuje czeladka,
 Przez dzień cały ni chwili nie uroni czasu,
 Na wyścięgi ze słonkiem staje do zapasu,
 Ledwie pierwszy się promień przez okienko wkradnie,
 Już wymiotła izdebkę, czyściutko i ładnie,
 A wieczorem z czeladką, przy ognisku razem,
 Nim klęknie do modlitwy, przed Maryi obrazem,
 Zostawić pod jej okiem prządkaż się ośmieli
 Do nitki niedosnutą garść lnu na kądzieli?
 W oka mgnieniu na grządkach wschodzą jej posiewy,
 Pełne drobiu podwórko, pełne trzody chlewy,
 Pełno ziarna w komorze, pełno płótna w skrzyni,
 Bóg mnoży jakby cudem pracę gospodyni!

Obraz narzeczonego—młodziana.

Nie znaleźć w okolicy równego mu zucha,
 Z jego serca przez oczy żar słoneczny bucha.
 A oracz zawołany, niechno z plugiem stanie,
 Prostą skibę, jak strzelił, zaorze na łanie,
 Grzbiet jego do ziemi nie przygną ciężary,
 Dziesięć korecy on żyta zarzuci na bary.
 I bieży z nim, a oczy jak węgle mu świecą.
 Lubię patrzeć, gdy zręcznie kieruje on plugiem,
 Niechno żrebca za grzywę schwyty junak skory,
 Skoczy na grzbiet i siłą przywiedzie do sfory,
 Niechże machnie toporem, pień sosny powali,
 A wszakci on na drugich nie patrzy zuchwałej,
 Olbrzym siłą i wzrostem, nie pyszni się przecie,
 Przy starych zawsze cichy, potulny jak dziecko;
 Nie zadziera z młodemi i tylko gdy trzeba,
 Umie, jak Bóg przykazał, użyć daru nieba.

Pomnę ja pożar we wsi: drudzy mra z przestachu;
 On biega z wiadrem wody po płonącym dachu,

I oto znikł nam z oczu, owian w dymu kłęby,
 Już dogorzałej chaty zapadły się zręby,
 Nagle przy trzasku krokwi, przy niewieściem jęku,
 Widzę go znów—o, nieba!—coż on trzyma w ręku?
 Dwie maleńkie kołyski!—przy blasku płomieni,
 Twarz jego krwią nabiegła, straszno się czerwieni,
 Długie, płowe kędziory wiatr rozwał mu z czoła,
 Jam mniemał, że Michała widzę Archaniola,
 Gdy na progu otchłani, pański szermierz dzielny,
 Nogą na łeb nastąpił potworze piekielnéj!

Senne widzenie.

Lud w płasach do kościoła młodą parę wiedzie,
 Grajkowie na skrzypczkach rzępolą po przedzie,
 Furkoczą z wiatrem wstęgi dziewczynom u czoła,
 Rzędem ławy drużyna zasiadła wesoła.
 Rozległy się organy, dzwon bije radosno,
 Wśród światła, dźwięku, woni, w górę serca rosna.
 Do ołtarza z powagą zbliża się pan młody.
 Coż to? przybran do boju? czy na ślubne gody?
 Na ramieniu ma wstęgę, z boku kwiaty białe.
 Wtém kościół w las się zmienił, ołtarz niby w skałę,
 Oni klękli oboje wśród kwitnących wrzosów,
 Ptaszto hymn zaświegoce, a z jasnych niebiosów
 Spływa bieluchny obłok i na tym obłoku
 Pleban w złocistej kapie stoi ze łzą w oku,
 Błogosławiące dłonie kładzie im nad głową,
 Coś mówi... huk potoków głuszy święte słowo.
 A słońce się pochyla i krwawo rumieni
 Las i ziemię odblaskiem ostatnich promieni,
 I oto mrok zapada, coraz smętniej, ciszej,
 Nic oko nie dopatrzy, ucho nie posłyszysz,
 I rozwał się pomału we mgłę urok cały,
 Sen mara,—wszystko pierzełło, tylko łzy zostały!

Epilog do Pernetki.

Nad grobem męża zgasła już gwiazda jej doli,
 Ale głos powinności umrzeć nie pozwoli,
 Na twardą życia drogę wzywa ją surowo:
 Jej być duszą rodziny, jej być domu głową,

U ogniska na straży, dotrzeć do ostatka!
 Poszedł do Boga ojciec, poszła stara matka.
 Poszli dwaj przyjaciele — każdy pocisk nowy
 Wplata nową gałązkę w jej wieniec cierniowy.
 Lecz na wielkie boleści starczy serce dzielne.
 Patrząc w krzyż, trumnę jego oblały łyzy ludu,
 Lecz duch starca w Pernetce odżył siłą cudu,
 Młoda w lata, a przecież jak siwa matrona,
 Żyje w wiosce, tysiącem ust błogosławiona,
 Odgłos jej cichych stopek znany w każdym progu,
 Gdzie nędza ściele guiazdo, na garści barłogu,
 Na wezwanie biednego jej serce nie czeka,
 Ona ludzką niedolę odgadnie z daleka.
 Wielki ogień miłości, co w duszy jej płonie,
 Wciąż otwiera jej serce, i otwiera dłonie;
 Na rany, których zimne nie uleczy złoto,
 Drogi balsam pociechy leje ze szczodrota,
 Gdzie nie śmie nieść jałmużny — tam pracę podzieli,
 Modlitwę do śmiertelnej przynosi pościeli.
 Garść ziemi niesie zmarłym, żywym radę zdrową,
 A wszystkim słodki uśmiech i miłości słowo.

Do odpoczywających.

Idź do celu, co ludziom przyświeca tak jasno!
 Patrz, skra boża ożywia te światów ogrody,
 Które-ż słońca i gwiazdy w obrotach swych gasną?
 A ty w ruchu powszechnym chcesz stać niewzruszony!

Czekasz-li gnuśnie licząc, aż kryniczne zdroje,
 Spłyną z pustyni, by w spieku orzeźwić twe łono?
 By Pan, zstąpiwszy z nieba, kołatał w drzwi twoje,
 Nim Go sam szukać raczysz myślą utęsknioną!

Patrz! On wyciągnął ręce — idź sam — błagaj śmiało
 O jasny promień słońca, wśród życia pomrocy,
 Jeśli gdzie manna spada na duszę zgłodniałą,
 By ją zebrać, chciój tylko ze snu przetrzeć oczy.

Powstań dzielnie z upadku, trud siły twe zmnoży,
 Rośnij duchem w moc, wiarę i mądrość i cnotę;
 Wielki skarbiec przed tobą otwiera świat boży,
 Rozpoznaj go i wiedzy zbieraj plony złote.

Niech twą pracę żywiołów wspomagają ruchy,
 W twe jarzmo wprzęż zuchwale orszak tajemniczy,
 Duchy wiecznych lodowisk i kraterów duchy,
 Tytanie, rozszerz koło olbrzymich zdobyczy!

Wspieraj słabe twe ramię śmiałej myśli lotem,
 Wola dzielna, wszak dumne gór wierzchołki chyli,
 Choć znój skrwawi twe stopy, czoło zleje potem,
 Czołgaj się na czworakach, lecz nie spoczniј chwili.

Idź sam, choć brat cię własny opuści w pół drogi,
 Gdy bodźca świętych pragnień nie czuje on w łonie;
 Bóg wytknął ci w pustyni szerokie rozłogi,
 Twardy plug po nieznanym prowadź tam zagonie.

Cierpi walcz! po zwycięstwie wschodzi chwały zorza,
 Nie dość płakać, złe trzeba ujarzmić pomału.
 Musisz ścigać i gromić, przez lądy i morza,
 Smoka, co wiecznie strzeże bramy ideału.

Idź, a nie słuchaj głosu, który pierś tak ziębi,
 Mieniać kłamstwem nadzieję, co ukrzepia ciebie.
 Droga perła spoczywa w oceanu głębi,
 Serce na dnie boleści pociechę odgrzebie.

Za błogim snem młodości podążaj wytrwały,
 Widzisz, tam na wyżynach, Bóg w chwale bez końca,
 Twoja łódź o nadbrzeżne nie kruszy się skały,
 Nie darmo boskie oko lśni promieniem słońca.

Słuchaj, co szepczą dęby koroną wiekową,
 I szum wiatru i promień, co z przyszłości tryska,
 I marzenia poetów, i proroków słowo,
 To iskierki z tej prawdy wiecznego ogniska.

Napełniaj puchar wiedzy niestrudzoną dłonią,
W czystych krynicach pustyni, w źródłach miast i włości,
I przyroda, i księgi, cuda ci odsłonią,
Gdzież nie wyczytasz zgłosek piękna i miłości?

Z głębin wód, z ziemi łona, chwytaj poszmer cichy,
I ludzkim się przysłuchaj głosom połączonym,
Słuchaj, co szepeją kwiatów zroszone kielichy,
Wszak przyroda i ludzkość jednym gwarzą tonem.

Śpiesz do kresu, niech stroma nie nuży cię droga,
Bez spoczynku, bo cel twój daleko wytkniony,
Bo, duchu nieśmiertelny, masz na łono Boga
Ponieść palmy twych męczeństw i prac czyste plony.

Śpiesz, człowieku, bo twoje żniwo nie dojrzało,
Ledwie żeś wzrok zanurzył w oblicze przyrody,
Jeszcze-ś mało ukochał i pojął zbyt mało,
Jeszcze cię głos anielski nie wzywa na gody.

Śpiesz, choć świat na spoczynek z róż ściele ci łoże,
Nim staniesz znojny pielgrzym w wiekuistym proggu,
Niech praca lot twych skrzydeł potężnie rozmoże,
Byś otrząsnął proch ziemi i odpoczął w Bogu.

Do mojej pieśni.

Zwrotki nakreślone przed skonem.

Nie zapomnę ci, pieśni, coś przeżyła ze mną
Chwil tyle—coś słodziła mych boleści czarę,
Tyś ducha odradzała potęgą tajemną,
Twém tchnieniem moje kości ogrzewała stare.

Stapałaś przy mym boku, gdym snuł myśli przedzę,
Idź... zostaw mnie!... ból straszny w żyłach krew mi ścina,
Zapisałem ostatnią już kartę w mój księdze,
Idź... pomożesz mi umrzeć, gdy przyjdzie godzina.

Ci, co roztlili niegdyś skrę w mój piersi młodej,
Ojciec, matka, naddziady pomarłe przed wieki,
Powołani wraz z tobą, przyjdą na te gody,
Gdy słodką twoją ręką zamkniesz mi powieki.

Achl rozemkną się potem w tej sferze świetlaniej,
Gdzie anioł tajemniczą zasłonę odchyli,
Gdzie zabrmi chór serc wszystkich w jeden akord zlany,
Którego cudne dźwięki znał Dant i Wirgili.

Tam, złączeni na wieki ogniwą świętami,
Spoczniemy, długim życia utrudzeni znojem,
Tam upajać się będziem, zdaleka od ziemi,
Natchnienia i miłości nieśmiertelnym źródłem!

XIV. Z TEOFILA GAUTIER *).

Dziurawy trzewik.

Jedną z ulic paryskich, po zatęchłym błocie,
 Wśród wrzawy przechodniów, przy wozów turkocie,
 Z głową w niebo wzniesioną, w milczeniu głębokiem,
 Jakaż to dziwna postać sunie wolnym krokiem?
 Starzec rosły postawą, z barki szerokiemi,
 Płaszcz wytarty, od ramion spada mu do ziemi.
 Wzrok orli tryska żarem pod zwisłą powieką,
 Z czoła spada na skronie włos biały jak mleko.
 A taki w nim majestat, rzekłbyś cudem dłuta
 Głowa to Rzymianina ze spiżu wykuta,
 Każda bróзда na licu, w pasmie życia długiem,
 Jakby żelaznym myśli wyorana pługiem,
 A z pod mgły, co tę czarną przysłania źrenicę,
 Odczuwasz znikłe gromy, zgasłe błyskawice!

Starzec u drzwi ubogiej zatrzymał się szopy,
 Król Ludwik był w te czasy słońcem Europy,
 Narody chyłą głowy, świat kolana zgina,
 Oślepiiony nowego blaskiem Apolina.
 Od pieśni Boalowych powietrze rozbrzmiało,
 Mansard bóstwu świątynię buduje wspaniałą.

*) Teofil Gautier, ur. w r. 1811, wystąpił na widownię jako najzagorzalszy z wielbicieli Wiktora Hugo. On to przewodniczył młodzieży w gwałtownych manifestacjach na rzecz wielkiego poety, przy pierwszym przedstawieniu Hernaniego, co przyspieszyło tryumf romantyzmu. Na każdym polu literatury, w powieści, komedyi, opisach podróży, krytyce literackiej i artystycznej, wycisnął Gautier samodzielną pieczęć. Po wybrykach romantyzmu, utworzył nową szkołę poezji, zamkniętą w wytwornej formie. Dał wzór tej wytworności w ulotnych poezjach, wydanych p. t.: *Emaux et Camées*, pełnych kolorytu i delikatnej rzeźby. Umarł w roku 1872.

Przed kramem, bosy Kornel, syty lat i sławy,
 Czeka, rychło szewc trzewik załata dziurawy.
 W zaraniu wieków boso mógł Homer natchniony
 Stapać po ścieżkach Jonii swój błogosławionej,
 Jak posąg kuty ręką Fidyasa wprawną.
 Lecz wieki starszeństwa minęły już dawno!
 Dziś w Paryżu, na deszczu, sam Homer syt chwały,
 Byłby kazał podarte naprawiać sandały.
 Tak czyni wieszcz i wiernemi uwieńczon wawrzyny,
 Twórca Horacyuszów, Edypa i Cynny,
 On, co jak Michał Anioł rzeźbiarz niezrównany,
 Na modłę ducha swego odtwarzał Rzymiany.
 O! zaszczytne ubóstwo! i kogóż nie wzrusza
 Ta godząca się z nędzą bohaterska dusza?

Królu, coś promienistém słońcem był dla świata,
 Postać twa w moich oczach ćmi ohydna lata
 Na obuwiu poety! Wśród blasków tak wielu,
 Tyżes mógł o ubogim zapomnieć Kornelu?
 Twa purpura w srebrzyste utkana lilije,
 Zaliż tę szopę szewcką przedemną pokryje?
 Radbym z onęj purpury, co schlebia twój pysze,
 Oderwać szmat i w ubogie ponieś go zacisze,
 Gdzie gaśnie drżący starzec w niemocy i cieniu.
 Królu! na twojej chwały jaskrawym promieniu,
 Na tarczy twego słońca — to niestarta plama:
 Lecz darmo się oburzam... kolój wieków sama
 Przywróci równowagę! odmienią się losy;
 Nad królem mrok zapadnie, a wieszcz pod niebiosy
 Podniesie jasne czoło!... Wielka śmierci władza
 Mści krzywdy i na ziemię ład nowy sprowadza.
 Wersal stał się Palmirą tych, co trzęśli światem;
 Gieniusz zagórował dziś nad majestatem!
 Temu jutrenka wschodzi — tamten w cień zapada,
 Po wersalskich ogrodach błdzi zmora błada,
 A Kornel, blaskiem chwały wiecznie promienisty,
 Odbiera hold narodu na ziemi ojczystej;
 Potomność jak westalka, technieniem piersi dzielnej
 Podsyca ku czci wieszczca płomień nieśmiertelny,
 Gdy czas kruszy na kęsy Ludwików koronę,
 Wawrzyn wiosną wypuszcza gałązki zielone!

XV. Z ANDRZEJA LEMOINE'A *).

P o b a l u.

I.

Wróciła z balu, cóż jój się stało?
 Skąd te na licu ślady boleści?
 Zwiesiła głowę na rękę białą:
 Ona skończyła dziś lat trzydzieści!
 Ma lat trzydzieści! żałośnie liczy
 W dni swoich księdze kartę za kartą,
 Jak się dosnuje ten sen zwodniczy?
 O tém co przeszło, wspomnieć nie warto!
 Gdzież urok? — pyta — w poranku tylko
 Odblyski zorzy cudnie migocą!
 Młodość mi zbiegła chwilka za chwilką,
 Jak ją przeżyłam — czemu? i po co?
 Jedném się kołem bieg dni mych toczy,
 Letnie przechadzki... zimowe bale!...
 Jesienią w morzu zatapiam oczy,
 Lecz ja nie żyłam: nie żyłam wcale!

*) Andrzej Lemoine, urodzony w 1822. Liczba jego pieśni nie wielka, ale wszystkie odznaczają się wzniosłym idealizmem i pełną wdzięku formą. Ocenili to Akademia francuska. Na konkursie w r. 1894 przyznała mu wielkie promium za całość utworów poetycznych.

Gdzież wymarzone miłości czary,
 Gdzie snów dziecięcych gwiazdeczka złota?
 Wszystko mi pokrył jakiś mrok szary,
 A w duszy nuda, żal i tęsknota!
 Łańcuch zbyt ciężki okuł mnie biedną,
 Niemilą czarę wychylałam do dna;
 Dziś, jutro, zawsze jedno i jedno,
 A ja żyć pragnę, jam życia głodna!
 Po marzeń świecie myśl smutno goni,
 A ścieżka moja twarda i pusta;
 Złote owoce są na jabłoni...
 Gdyby raz do nich przyłożyć usta?
 Zaczém zapadnie ta noc głęboka,
 Co z lic mych spędzi urok niewieści;
 Dobędę iskrę z czarnego oka:
 Dziś albo nigdy!... mam lat trzydzieści!

II.

Czemuście, czemu, anioły stróże,
 Od wygasłego zbiegły ogniska?
 Zdala nam tylko w modrym lazurze
 Łabędzie skrzydło wasze połyska.
 Przeciw pokusom kto miecz nam poda?
 Kto w walce wesprze duszę zbolalą?
 Czemu zadrzała kobieta młoda?
 Oczy jój błysły, lice skraśniało!
 Dźwięk jój uroczy dobiegł do ucha,
 Głos-że sumienia nagle zbudzony?
 Wyciąga dłonie... patrzy i słucha,
 Cudnym dzwoneczkiem brzmiały srebrne tony.
 Drzwi się rozwarły, dziecinka bosa
 Z cicha po miękkim stąpa kobiercu,
 U rzes jój świeci lezka jak rosa,
 Chce przy matczynem ogrzać się sercu.
 Schwyci ją matka — tuli na lono,
 Oczy jój trysły zdrojem łez świętym;
 Łkanie rozdziera pierś rozżaloną,
 W głąb duszy własnej patrzy ze wstrętem.
 Łzami oblane dzieciątka włoski,
 Poco mu wiedzieć, skąd lzy te płyną?

Snać odgaduje cud jakiś boski,
 Bo tuli główkę pod pierś mateczyną,
 Jak kwiat, co latem, gdy burza minie,
 Krople z pełnego strząsa kielicha.
 Matka pochyla skroń ku dziecinie:
 „Straszny sen miałam!” poszeptnie z cicha.
 Boża już ścieżka wytknięta dla niej,
 Ofiarę spełnić ma do ostatka;
 Już przeboliała swe Getsemani,
 Słabą kobietę zwalczyła matka!

Strumień i dziewczyna.

STRUMIEŃ.

Co się tobie, dziewczę, stało?
 Gdzie twój uśmiech pusty?
 Czemu ręką tak niedbałą
 Pierzesz w wodzie chusty?

DZIEWCZYNA.

Ja, strumyku mój kochany,
 O téj łące marzę,
 Gdzie ty pędzisz rozpląsany
 Przy twych wód pogwarze!

STRUMIEŃ.

Tam zapewne, kędy rosna
 Te lipy nad rzeką,
 Gdzie słowiczek śpiewa wiosną?

DZIEWCZYNA.

O, nie tak daleko!

STRUMIEŃ.

Pewnie myślisz o jeziorze,
 Gdzie pomiędzy trzcina,

Moje prądy gubią łoże,
 Zaczém znów wypłyną.

DZIEWCZYNA.

Nieco dalej...

STRUMIEŃ.

Gdzie me wody
 Kręcą płynskie koła?
 Kędy w gaju rwie jagody
 Młynarka wesola?

DZIEWCZYNA.

Jeszcze dalej... gdzie półkole
 Zataczasz murawą.

STRUMIEŃ.

Gdzie kłosiste szumi pole,
 Od lasu na prawo?

DZIEWCZYNA.

Co tam słychać? mów, strumyku!

STRUMIEŃ.

Wczoraj tam wieczorem,
 Dziewcząt zbiegło się bez liku
 I chłopców pod borem.
 Święto-Jańska noc to była,
 Ogień buchał w górę,
 Jasna luna czerwieńla
 Czarną dymu chmurę.
 Oj, płasalyż tam dziewczęta
 Przystrojone w wieńce,
 Oj, płasaliz tam od święta
 Przybrani młodzieńce.
 I wesolo na ich tany
 Poglądali starzy,
 Jeden tylko zadumany
 Coś żalośnie marzy.
 Dźwięk ligawki go nie nęci,
 Piosnka mu nie miła;

Snadź mu w sercu i pamięci
 Smutna myśl utkwiała.
 Próżno wiankiem go oplotą
 Przecudne dziewoje,
 On nie stoi widać o to:
 Patrzy w wody mojej!

DZIEWCZYNA.

Gdzież to myśli jego płyną?
 Kogo czeka młody?

STRUMIEŃ.

Chcesz-li widzieć ją, dziewczyno?
 Patrz na dno mej wody!

XVI. Z OJCA DELAPORTE'A *).

Stary sługa.

Stary Jan wiernie służy; nie straszą go trudy.
 Jan duszę ma pocziwą, serce bez obludy,
 Krząta się, co sił starczy, rad z drugich i z siebie,
 Przyszła śmierć; Jan spokojny, wie, że Bóg jest w niebie,
 Pan jego, wielki bogacz, siadł przy łożu z blizka,
 Patrzy w twarz starca bladą; żal mu serce ścisła,
 Pocałował go w czoło i szepnie ze łzami:
 „Nie śpiesz się, dobry Janie, zostań jeszcze z nami!
 Tam zbraknie ci roboty i znudzisz się może!”

Jan na to: „Co pan mówi! znudzić się? broń Boże!
 Z górą ja ósmy krzyżyk dźwigam już na grzbiecie,
 Bóg dobry, co mnie stworzył—toć poznał mnie przecie,
 Niech-no tylko zobaczy, że się trochę nudzę,
 Obmyśli mi robotę, wezwie ku posłudze.
 — „Janie, rzecze, weź miotłę, zamieć-że niebiosy;
 Spuść deszczyk, biedna ziemia omdlała bez rosy,
 Janie, tęcza się chwieje—pobladła, znać chora,
 Niech się wody napije—zbliz ją do jeziora.

*) Ojciec Wiktor Delaporte urodzony r. 1846 w Normandji. Liczne dzieła jego, poświęcone sprawom religijnym, zarówno jak krytyce literackiej, wysokie zjednały mu uznanie. W dwóch tomach poezyj, odżywił mnóstwo dawnych podań, świadczących o duchu religijnym, głęboko zakorzenionym w sercu narodu francuskiego. Obecnie zajmuje się wydawnictwem przeglądu p. t.: *Studia religijne, filozoficzne, historyczne i literackie.*

Janie, rozbudź aniolki, co w obłokach drzemią,
 Niechże białe skrzydelka rozpostrą nad ziemią:
 Janie, patrz, swe żałobne już zwija zasłony,
 Pomóż jój — zamigotał dzionek rozbudzony,
 Rozemknij-że mu wrota, niech słoneczko wstanie,
 Gwiazdeczki na błękicie zagaś-że, mój Janie,
 Potém het, na północne ześlę cię obszary.⁷

I z uśmiechem na ustach skonał sługa stary.

Spotkanie Aniołów.

Na pół drogi, między ziemią a niebem bez końca,
 Wśród przestrzeni lazurowych i promieni słońca,
 Spotkały się dwaj Anioły na kwiecistej bloni;
 Jeden słodko uśmiechnięty, a drugi łzy roni.

Ten, co leci ku niebiosom, radosne ma lica,
 U drugiego smętne czoło, przyćmiona źrenica.

Pierwszy spyta: Czemu, bracie, łza krąży w twém oku?
 „Ach! dzieciątko się zrodziło tam w ziemskim pomroku,
 Ileż trudu i mozołu użyć mi potrzeba,
 Aby godnie wypiaستować duszyczkę dla Nieba.
 A Tyś wesół—lica twoje rumieni blask zorzy.”

„Ja z kołyski świeży kwiatek niosę przed tron boży!”

Pierwszy pług.

Kolo Nazaret, w cichéj dolinie,
 Marya z Józefem i Jezus mały,
 Skrzętnie pracują, czas w lot im płynie,
 Wtém Natanael, mąż posiwiwały,
 Wsparty o kosztur, stanie przed progiem,
 Słodko zagadnie: witajcie z Bogiem!

Wśród Izraela, starzec pouczony,
 Obchodzi żyzne swoje zagony.
 Dziedzie rozległych ziemi obszarów;
 Wciąż nowe plany na przyszłość kreśli,
 On tu przynosi dziesięć denarów,
 Za pług, młodemu synowi cieśli.

Wita rodzinę pokłonem głowy,
 Wielką radością oko mu płonie;
 Temi Józefa zagadnie słowy:
 — „Do czego tylko przyłożę dłonie,
 Rośnie mi w oczach, dziw to nad dziwy.”
 A Józef na to: „Pan szczodrobliwyl”

— „Na mém niedawno jałowém polu
 Ziarna nie dojrzeć było w kąkolu,
 Dziś bujnym kłosem falują niwy,
 Krze winogrodu pokryły wzgórze,
 Rumianych jagód nie zmiecie burza.”
 Józef odrzecz: „Pan miłościwy!”

— „Oliwki szczodrze pokryły drzewa,
 Soczysta figa w słońcu dojrzewa.
 Od mych zasiewów szarańcza stroni,
 Snopów na polu wzrok nie policzy;
 Łąka wybucha kłębami woni.”
 — „Pan, rzecze Józef, pelen słodczy!”

— „Zaliż, Józefie, znasz tajemnicę,
 Czemu te pola burza omija?
 Czemu na skałach pną się winnice?
 Gdzie rosły chwasty, kwitnie lilija?
 Czemu pszenica faluje złotem?”
 A Józef na to: „pan sądzi o tem!”

— „Ziemia pustkowiem leżała długiem,
 Aż gdy ja nowym zakroił plugiem,
 Co go strugało twoje pachole,
 Odtąd na dobre rzecz się odwraca.”
 Drgnął Józef—promień błysł mu na czole,
 Ten pług, —to pierwsza Jezusa praca.

Chórem z ust wszystkich zbiegła pieśń chwały,
Z rosą wieczorną w niebiosa płynie,
Wstał Natanael, mąż posiwiwały
Oddaje pokłon świętej rodzinie,
Wsparty o kosztur z klonu ciosany,
Swoje kłosiste obchodzi lany.

Drzewo Cedronu.

Modre skały Galilei zrumieniło zorze,
Tam się modli obok matki pacholątko boże.

W okno jesień zielonemi zagłada konary,
A wśród listków cudnie ptaszek przyśpiewuje szary.

Wtém gałązki zaszumiały, snadź wietrzyk powiewa,
I na ziemię drobne ziarnko strącił z wierzchu drzewa.

Bieży dziecię za próg chaty, rączki drobnouchnemi
Małe ziarnko jesionowe podejmuje z ziemi.

I w otwarty dziobek szarój wkłada je ptaszynie,
Rzuć je rzecze, miły ptaszku, tam, gdzie Cedron płynie.

Rwie się goniec, na wschód pomknie rączemi poloty,
Aż potrącił szarém piórkiem o skalę Golgoty.

Ledwie rzucił nad Cedronem ziarno w ziemię grzązką,
Wnet do góry wybujalo zieloną gałązką.

Biegna chyżo dnie i lata, z onój płonki małej
Sięgnął szczytem pod obłoki jesion okazały.

Powalono go na ziemię, odarto go z kory,
I krzyż ze pnia wyciosano twardemi topory.

Krzyż ten, zlany krwią przeczystą z żył Zbawcy pociekłą,
Sprzął na wieki ziemię z niebem i zwyciężył piekło!

Fra Angeliko.

Zwiastowanie! cudny przedmiot mistrz ogarnął wzrokiem,
Wielkie płótno, stoi, patrzy w milczeniu głębokiem,
Cały obraz nakreślony, dziw nieznanym w świecie;
Długa szata, lekki rąbek, lilia w pełnym kwiecie.
Święta księga, przy niej kądziel i wrzeciono z boku,
Anioł z góry na różowym zstępuje obłoku,
Wnet wyrzecze słodkie Ave goniec tajemniczy;
Obraz gotów, na nim tylko brak twarzy dziewiczej.
Angeliko próżno szuka na jawie i we śnie,
Nie nie znalazł — patrzy w płótno i duma boleśnie.

— „Na obliczu niech z uśmiechem łyzy smętnie się spleją,
Niech w przecuciu stanie żłobek, pospolu z Golgotą,
Na kolyskę niech upadnie żalobny cień krzyża;
Jam bezsilny... moja praca do kresu się zbliża,
W myśli zamęt... próżno, muru nie przebiję głową!
Co nakreślę, wnet zamażę — pocynam na nowo.
Już trzy doby się mozolę z wieczora do rana,
I przed płótnem Angeliko upadł na kolana.

Wśród modlitwy nowym ogniem pierś mistrza wybucha,
„Widzę, Maryo, Twe oblicze, widzę w głębi ducha
Twoję postać! i głęboko sercem się ukorzy,
Widzę czoło Twe oblane blaskiem rannej zorzy.
Jam Cię odgadł siłą wiary i miłości żarem,
Ale ręka mnie zdradziła... padłem pod ciężarem
Własnych uczuć, niemoc w twarde ujęła mnie kleszcze.”

Angeliko patrzy w obraz; wstrząsnęły nim dreszcze.

„Czym ja malarz? pyta siebie, pełen skruchy szczerzej,
Bazgrzę pędzlem, tak jak dziecko nakreśla litery;
I w lot bieży do kaplicy, gdzie Ukrzyżowany
Zbawca leje słodki balsam na sere ludzkich rany.
— „Miły Jezu, synu Maryi! Twych łask ja nie zliczę,
Ty mi odkryj Rodzicielki Twój boskie oblicze!

Tehnij iskierkę gieniuszu w moją pierś wychłodziła,
Wskaż piękności wiekuiściej nieprzebrane źródło!
Daj mi siłę, bym podołał barwy znikomemi
Oddać cudną Maryi postać, na podziw dla ziemi!"

Ukrzepiony wgłębi ducha mistrz do stalug wraca.

Patrzy w obraz, cud! cud boży! ukończona praca!
Na obliczu błogi uśmiech tonie wśród tęsknoty,
Obok żłobka staje widmo krzyżowej Golgoty.
Co wymarzył Angeliko we śnie i na jawie,
Ktoś wykonał niewidzialny; w Maryi postawie
Taka świętość, przy weselu taka trwoga w oku;
Aniół słodko się w różowym uśmiechnął obloku,
Jakby mówił: „tajemnica wieczna między nami.”

Angeliko przed obrazem padł zalany łzami.

XVII. Z JAKOBA NORMAND'A *).

Wystrzał

(opowieść starego wiarusa).

Szeroko jasny płomień w noc czarną połyska,
Wydobył krótką fajkę, — rozlitł u ogniska.

Ja — rzecze stary żołnierz — rogatą mam duszę,
I skóra na mnie twarda, ale wyznać muszę,
Jakie ja onęj nocy przetrwałem męczarnie,
Tego język nie powie, i myśl nie ogarnie.
Było to pod Rejchshoffen. Od brzasku dzień cały
Nasze rotty pancerne z Mac-Mahonem stały.
Wieczorem, kiedy słońce za wzgórzami gasło,
Zagrzmia trąby do szarzy... Złowrogie to hasło
Odtętniło nam w sercach, to hasło śmierć znaczy:
Aby ocalić wojsko, my umrzem! inaczej
Rejterada w bezładny popłoch się przemieni;
Ruszamy; odgłos kopyt zatętnił w przestrzeni.
Pomnę lica tej młodzi tak krzepkiej, tak gładkiej,
Pamięć o nich na sercu cięży mi ołowiem,
Widma ich wciąż mi we śnie krążą nad wezglowiem;

*) Jakób Normand, urodzony w Paryżu roku 1848 — poeta bardzo popularny.

Prusacy chmarą leśną zalegli podgórza,
 Stoją jak mur, my na nich pędzimy jak burza,
 Trzysta kroków nas dzieli, aż oto w pomrocy,
 Dziesięć tysięcy strzałów wyrzucą nam w oczy;
 Pierwszy pluton padł cały, trupy we krwi toną,
 Ściskamy się w szeregi za trupów zasłoną.
 Uderzymy znów naprzód: pada szereg nowy,
 Pijani krwią i szałem, z pochyłemi głowy,
 Koń z koniem, jeździec z jeźdźcem zbici coraz ściślej,
 Bez nadziei zwycięstwa, na oślep, bez myśli,
 Pędzimy prosto w ogień, siedemkroć odparci,
 Rzucamy się na wroga coraz to zażarciej!
 Do strzemiom krwią zbroczone przyrosły nam nogi,
 Brzuchy końskie porzemy twarde ostrogi.
 Trzy części naszych w krwi starzanych leży,
 W mym szwadronie zostało dwudziestu żołnierzy.
 — Za mną, dzieci — wódz rzece, — nie ujść nam z tej matni,
 Jesteśmy tu, by umrzeć; do kropli ostatniej
 Stoczym krew. Naprzód, dzieci! to powinność nasza!
 Zrywamy się do lotu, śmierć nas nie ustrasza,
 Zapal pierś nam rozsadza, żar lica czerwieni,
 Rzucamy się jak wściekli w to morze płomieni.
 Honor woła, więc idziem na śmierć!

Jak się stało,

Sam nie wiem, bój skończony, — a jam uszedł cało!
 Nagle, błysło mi w oczach i huk mnie zagłuszy.
 Powaliłem się z konia, padłem jak bez duszy,
 Gdzie i kiedy nie pomnę. Otrzymałem się rychło,
 Patrzę wokół i słucham... strzelanie ucichło,
 Jedna kula mi gardziel na wylot przebodła,
 Druga tkwi mi w goleni; daremno z pod siodła
 Radbym wy dobył nogę, nie wytrwać mi dłużej,
 Ręka we krwi się ślizga wśród wrzącej kałuży;
 Czuję, krew mi gorąca przez rany wybucha,
 Pociemniało mi w oku, żaden dźwięk do ucha
 Nie wnika już... omdlałem...

Nim rozwarłem oczy,

Przyszła noc i żalobne całuny roztoczy
 Nad onym cmentarzyskiem, gdzie społem na kupy
 Zwalone obok żywych leżą martwe trupy.
 Już zimne, wzrok mgłą zabiegł, lica sino-bladel
 Ale ręka skurczona ścisła jeszcze szpadę.

Przy żołnierzu druh wierny... koń wpół przestrzelony,
 Tarza się, cały zgrzęzły w kałuży czerwonej;
 A oto czarni krucy nad martwemi ciałami
 Ulatują z pokrakiem: wnet dziób krwi zgłodniały
 Zanurzą w piersi ofiar — biesiada już bliska,
 Tu owdzie ostrze szpady wśród błota połyska,
 Tam lufa karabinu, lub kirys stalowy.
 Czasem coś się poruszy... jęk zbieży grobowy
 Z piersi konającego nieochłodłej jeszcze;
 A potem cisza głucha, tylko miesiąc błądy
 Z za chmury srebrny promień wysyła na zwiady;
 Tylko ziemia drgnie czasem hukiem dział wzruszona.
 To wróg ściga napróżno hufce Mac-Mahona!

Teraz, kiedy myśl moja te przygody goni,
 Smutny ten obraz widzę żywo, jak na dłoni.
 Żadnego dziś szczegółu pamięć nie pomnie,
 Ale gdy się to działo, w tej strasznej godzinie,
 Byłem jak sęp, z ust moich nie wybiegło słowo,
 Przywalił mnie mój kary z roztrzaskaną głową.
 Napróżno chcę z pod siodła chorą wywlec nogę,
 Z piersi bólem ściśniętej, tchu dobyć nie mogę,
 Krew z rozdartej gardzieli wciąż strugą się toczy,
 Straszne widziadło śmierci stanęło mi w oczy;
 Za jedną kroplę wody oddałbym z ochotą
 Wszystko, com miał.

O wojnie dziwy ludzie plotą,
 Prawda—walka rzecz piękna, obraz to wspaniały,
 Gdy hufce do zapasu wystąpią w dzień biały,
 Gdy krew kipiącym tętnem drga w piersi junaczęj,
 Niczem wtedy huk armat, grad kul i kartaczy;
 Patrzysz w oblicze śmierci zuchwałą żrenicą;
 Ale, niech cię jej szpony za gardziel pochwycą,
 Lecz we krwi wściekłym bólu opętany szałem,
 Gdy dreszcz do szpiku kości potrząsa twém ciałem,
 Sam, wśród tysiąca trupów, powalony noc czarną
 Gdy straszne skrzydła śmierci wkoło cię ogarną,
 Gdy bicie serca twego wstrzyma śmierci ręka;
 Wierciecie mi—jam to poznał... piekielna to męka!

Jak długie w takim stanie przebolelałem chwile,
 Bóg wie... lecz jam pomyślał: lepiejby w mogile,

Spocząć raz, niż w tej nędzy trwać biednemu ciału.
 Jak? pałać w łeb i koniec... i sięgam pomalą
 Do siodła, chwytam w rękę pistolet z otuchą;
 Przykładam go do czoła, biorę spust... w tym głucho
 Coś w chróstach zaszeleści... słyszę ludzkie kroki,
 Czy to sen? nie! .. pochwygam wśród ciszy głębokiej
 Niewyraźne słów dźwięki, spostrzegam nareszcie:
 To dwaj bracia zakonni... są o kroków dwieście.
 Chcę wołać — och napróżno!... głos wybiedz nie może,
 Z przestrzelonej gardzieli... co czynić, mój Boże!
 Chcę się zwlec... niepodobna... ból piekielną siłą
 Pochwylił nogę w kleszcze... serce uderzyło
 Nowem tętnem, ja pragnę żyć!... mnie żyć potrzeba.
 Mnie umrzeć, skoro zbawców zesłały mi nieba?

Jak rozbitek gdy słabiej deszczulki się czepi,
 Oczy ma ich się czepiam, widzę coraz lepiej:
 Idą... to znów przystaną... i trupom na serce
 Kładą dłoń, czy nie tleje w ostatniej iskierce.
 Słabiuchny promyk życia, który miłość bratnia
 Wskrzęsi jeszcze. — Och! zgasła nadzieja ostatnia
 Gdy to mówię, drzę cały jak liść... miesiąc błyska!
 Z za chmury, — już mnie od nich dzieli przestrzeń blizka,
 Wyciągam ku nim ręce... napróżno, niestety!
 Nie widzą mnie... Odeszli z pochyłemi grzbiety,
 Z okiem wlepionem w trupy, brną przez krwi kałuże,
 A miesiąc twarz srebrzystą znów utopił w chmurze:
 Ich kroki coraz słabiej tętnią... coraz dalej...
 Odeszli, oni z sobą życie me zabrali!
 Com ja przetrwał! włos dębem staje mi nad głową,
 Tarzam się jak szalony, ręką gorączkową
 Porywam znów pistolet... sam nie wiem, co czynię
 Ściskam pięść... huk wystrzału rozgrzmiał po dolinie,
 Słyszą go! drgnęli oba, zwrócili wstecz kroki,
 Dobiegł mnie znów ich poszept wśród ciszy głębokiej
 Zabłysły mi czerwone ambulansu krzyże,
 Widzą mnie, zmysłom moim nie dotrwać w tym wir
 Myśl wątku nie wysnuje wrazeniem splątana,
 I upadłem omdlały w objęcia kapłana!

Dziś jam zdrów, choć kaleka, noga jeszcze boli,
 Przecież to — mówi major — ustąpi powoli;

Lecz ja nie ten, czém byłem, określę to słowy?
 Jam się całkiem odrodził w tej próbie ogniowej!
 Dawniej, stary bezbożnik, szydziłem zuchwale
 Z Boga, z prawa i wiary; — w bezrozumnym szale
 Kłąłem, na czém świat stoi, słowem rozpasanem,
 Uciekałem przed księdzem jakby przed szatanem;
 Dziś jam inny, ta chwila nie przeszła snadź marnie,
 Gdym one łazarzowe przecierpiał męczarnie,
 Sam, wśród trupów, gdym śmierci spojrział oko w oko,
 Och! ta noc w moją pamięć wryła się głęboko;
 Od tej piekielnej chwili wyznaję wam szczerze,
 Czczę kapłana i w Boga całym sercem wierzę!

XVIII. Z BORNIER'A *).

Trzy posągi **)

na dwóchsetną uroczystość Kornela, obchodzoną w Rouen roku 1884.

Dziś z rana chłodnym nocy opowity cieniem,
Gdy gwiazdy świt gasnącym witały promieniem,
Zbiegałem gród Kornela w zadumie głębokiej.
Patrzę, na starym placu, głowę pod obłoki
Podniósł spiżowy posąg, — serce mi zadrżało.
Czy Kornel?... do pomnika podchodzę nieśmiało,
Poznałem przy odbitej od świeczników łunie:
To Napoleon pierwszy... na czarnym biegunie.
Chcę ciemność tajemniczą wskroś przebić oczyma,
Zbiegł mnie dreszcz, obie stopy wrosły mi do ziemi,
Nagle cesarz przemówił usty spiżowemi.

„Te chorągwie, wyrzeczcie, tych wieńców tysiące
Te wybuchy radości, te wykrzyki grzmiące,
Wszystko to było dla mnie... los kołem się toczył
Nie dla mnie dziś do miasta biegnie tłum ochoczy,
Nowych prądów dziejowych nieprzepartą siłą,
Dziś słońce mojej chwały nagle się zaćmiło.
Mych spiżów i marmurów lud do zbytku syty.
Rzecz dziwna, że ten posąg stoi nierozbity.

*) Henryk Bornier, urodzony 1825 roku — uwieńczony kilkakrotnie za poetyczne utwory, przyjęty został w 1895 roku na członka akademii francuskiej. Piękny jego dramat *Córka Rolandowa*, przełożony był na nasz język przez Lucyana Siemieńskiego. Inne dramata -- *Attyla*, *Sephora*, *Apostoł*, zjednały też autorowi zasłużone oklaski.

*) W Rouen są trzy posągi: Dziewicy Orleańskiej, Kornela i Napoleona.

Za wojnę ludzkość wojną płaci mi wet za wet,
Takie prawo na ziemi, nie żalę się nawet.
Skoro dawne bożyszcze znudzonym obrzydło,
Musi szczerze sypane przyplacić kadzidło,
Zaczęć sąd tajemniczy w przyszłości dalekiej
Imię wielkich potomnym przekaże na wieki!

„Zaliż do tych należę? Bóg to wiel... dziś oto
Jam rozbitek, w powodzi trawiony tęsknotą,
Lecz patrzę bez zawiści, bez gniewu, gdy tłumy
Zwracają się ku drugim, i sam pelen dumy
Poklask do powszechnego przyłączam poklasku,
Gdy naród gotów uczcić imię pełne blasku,
Niechże dziś z dumą w sercu i z ducha weselem
Napoleon przed wielkim ustąpi Kornelem!
Raz, pomnę, rzekłem słowo, myśl niem dotąd pieszczę:
Gdyby dziś wielki Kornel na ziemi żył jeszcze,
Mianowałbym go księciem! gieniuszu siłą
On był nim: kto zaprzeczy?... i nie nie przyćmiło
Blasku jego purpury... ileż kroć poznałem
W zastępie mych szermierzy kipiących zapalem
Bohaterów stworzonych siłą wieszczęj myśli!

„I któż tę cudotwórczą potęgę określi,
Co prostego rzecznika wzniosła tak wysoko,
Że zdoła się z Rzymiany mierzyć oko w oko?
Że, gdy księga mu stara skrę w piersi zapali,
Nagle wierszem dźwięcznym niby poszczęk stali
Odtworzy zapal Cyda, duszę Pompejusza!
Szczęśliwi starożytni, gdy wielka ich dusza
W pierś poetów technie takie płomieniste żary!
Szczęśliwy stokroć Cezar i Horacy stary,
Gdy ich wieszcz nieśmiertelny na czasy bez końca,
Ku czci potomnym wiekom, odzijeje w blask słońca!

„Ach! mógłżebym się lękać niewagi czasowej,
Gdyby w obronie mojej stanął Kornel nowy!
Gdyby wolny od trwogi, od pochlebstw daleki,
Osądził mnie, jak tamten Augusta przed wieki!
Gdyby błysło w tym mroku, co serca rozdziela,
Słońce austerlickie pod piórem Kornela!
Precz, pycho, z serca mego! myśl sennie majaczy,
Joannę bohaterską ou uczyłby raczej!

Ona tam promienista!... w tój tryumfu chwili,
Przed wieszczem, widzę, czoło swe dziewicze chyli,
Słyszę ją, z marmurówj przemawia kolumny:
W górę serca, mój ludul swym Kornelem dumny,
Jego myślą natchniony, pierś napój do syta,
Niech siew jego cudowny w twój duszy rozkwita!
Kto zdoła pojąć wielkich, kto ich uczcić gotów,
Ten skrzydła do szerokich rozpostrze polotów;
Temu pomrok zwątpienia żrenie nie zaślepi,
Kto ukochał Kornela, kraj ukocha lepij.⁷

Droga do Damaszku

(ustęp z dramatu p. t. Apostoł).

Raz szedłem do Damaszku, do onego miasta,
Gdzie uczniów Chrystusowych liczba się rozrasta.
Otrzymałem od żydów zlecenie i prawo,
Szczęśliwy, że mam służbę, wnet wypełnić krwawą,
Idę... w miarę jak miasto do mnie się przybliża,
Wymyślam srogie męki na wyznawców krzyża;
Party siłą nieznaną, biegnę jak szalony,
Pod niebem ołowianém, po ziemi spalonj.
Nagle burza nademną groźna się rozsróży,
Słyszę głos tajemniczy, zaprawdę głos boży.
Z błyskawicą i gromem przeszedł mi nad głową:
„Czemu mnie prześladujesz, Szawle”... ach!... to słowo
Cud... cud żywy... upadam, biję w ziemię czołem,
Odtąd jam Chrystusowym został apostołem.
Niewiasty! niech dziś z wami ten cud się powtórzy,
Bóg woła na was głosem piorunów i burzy,
Na kolana! słuchajcie, co mówi Pan z nieba!
Niewiasty! wam szczególnież znać ten głos potrzeba,
Wam, niestety, ofiarom gwałtów i przemocy!
Od dnia, kiedy w pomroku długiej wicków nocy
Rzekł człowiek: „Ta kobieta własnością jest moją!”
Od tój chwili przekłętj, ci nawet, co stoją
Na świeczniku dziejowym, Izraela dzieci,
I Grecy i Rzymianie, wśród długich stuleci,
Miłość, dar boży, w hańbie starzali obrzydłj!
A kobieta, ów anioł z złamanemi skrzydły,

Od lat czterech tysięcy... wieczną niewolnicą!
Ojciec dowolnie młodą frymarczy dziewicą,
W domu nie władnie sobą; z rąk syna lub brata
Oby człowiek ją bierze, straszno nią pomiata,
Nie zna dla niój na świecie kresu tój niedoli,
Chyba śmierć dobroczynna związów ją wyzwoli!
Jedyną jej osłodą, gdy kornie schylona
Karmi swych przyszłych katów mlekiem swego łona.
Lecz przyszedł Ten, co skruszył jej więzy nareszcie
I roztlil jasną gwiazdę nad czołem niewieście,
A z onój niewolnicy, przemocą zgnębionj,
Uczynił wzór dobroci... cnoty nieskończonj!
By tём pewniój na wieki skruszyć ludzką pychę,
Do męża, co ją deptał jak robactwo liche,
Rzekł: tam, gdzie z gwiazd utkana ku niebiosom droga,
Króluję twoja Matka, obok twego Boga!

Chór myśliwców

(z dramatu Sefhora.)

PIERWSZY CHÓR.

Spiż — ognia syn dzielny
Zawładnąć mu wszędzie,
On z piersi śmiertelnj
Skrę twórczą dobędzie!
Kowane zeń pługi
Nakarmią plemiona;
Szablica krwi strugi
Wytoczy z ich łona!

DRUGI CHÓR.

Wre coraz zuchwalj!
Kto wstrzymać go może?
On lasy powali,
Opoki rozorze,
On złoto z ich wnętrzy
Dobędzie przeczyste,
Na murach upiętrzy
Wieżyce strzeliste!

PIERWSZY CHÓR.

Bez skrzydeł uleci
W powietrzne lazury,
Nim piorun zaświeci,
Spiż wydrze go z chmury.

DRUGI CHÓR,

Człek będzie zatrąta
Niesytą lwów tłuszczą,
Lwy z grzywą kudłatą
Powali na puszczy.

PIERWSZY CHÓR.

Przygnie kolanem,
Poszarpie na ćwierci.

DRUGI CHÓR.

Przy spiżu, człek panem
Żywota i śmierci!

OBA CHÓRY RAZEM.

Tygrysy, lamparty,
Z krwawymi pazury,
Lwów pomiot zażarty,
Kudłacze i tury.
Ta chmura straszliwa,
Co w morzu się plemi,
Co skacze, co pływa,
Co pelza po ziemi,
Moc uzna człowieka,
Zatrata je czeka!

Dwie szablíce

(ustęp z dramatu *Córka Rolandowa*.)

Francya w owe czasy dwie miała szablíce;
Tę dzierży dłoń monarchy — tamtą dłoń wasala,
Oblały je łask bożych przezczyste krynice,
Jedna zwie się Żojeza, druga Durandala!

Roland ma Durandagę, Karloman porusza
Swą przesławną Żojezą stare światła węgly,
W ich ostrzach tajemniczo drga żelazna dusza,
Wyroki je suadź boże do swych celów sprzęgły.

Jasność obie w słońcu płoną,
Z trwogą na nie patrzy świat,
I proporce z gwiazd koroną
Za obiema idą w ślad.

Gdy rozpoczną krwawe żniwa,
Chmura sępów z gniazd się zrywa.

Sakson, Duńczyk, Maur wściekły
Próżno sypią gradem strzał,
Krwi potoki z żył im ściekły,
Sterczą kupy zżętych ciał.

Tnie Żojeza Longobardy,
Durandala Maury tnie,
Kark poganin zgina hardy,
Każda mówi: „sławcież mnie!”
Obie idą przez świat wielki,
Promieniste krzywd mścicielki!
Kędy pomrok cień rozpostrze,
Wala, tuman cofną wstecz,
A nietknięte rdzą ich ostrze,
Jak nietknięty boży miecz!

Odmienne dziś ich losy, pierś nam pęka z żalu,
Żojeza jeszcze cała po dniach walk i klęski,
A gdy poległ bohater — w polach Ronsewalu,
Durandagę pohaniec wydarł nam zwycięski.

Gorzkie łzy leje naród, — czas ich nie osuszy,
Słuszna żądza odwetu żarem serca pali.
Nim uderzy godzina, jednaką ma w duszy
Miłość dla swój Żojezy i dla Durandali!

XIX. Z JANA AICARD'A. *)

Dziewczyna nad rzeczulką.

Szast, prast, bije o płótno kijanka z loskotem,
 A słoneczko po wodzie połyskuje złotem;
 Szast... i bieluchna piana do góry wytryska,
 Grubym kłębem z płytkiego rzeczulki łożyska,
 Prast!... iskierek tysiące do wody upadło,
 A woda tém weselsza, choć marszezy zwierciadło.

O dziewczeczki! gdy radość ogarnie was pusta,
 Gdy śmiech na koralowe upadnie wam usta,
 Wnet na krasnych jagodach dołączki oznaczy,
 I z wodą wiatr kwietniowy nie czyni inaczej.
 To wzdyma ją do góry—to gdzieś w głębi schowa.

Jaka śliczna bielizna, doprawdy jak nowa.
 Babka len przędła na nią... w takt jej kołowrotka
 Przez dzień cały za zwrotką biegła nowa zwrotka.
 Biedna... dziś na cmentarzu!.. cichutko tam leży.

I znowu o białą chustę kijanka uderzy.
 Szast, prast, miłoś mi będzie w sukieneczce świeżej
 Pokazać się w kościele, czyściuchno i pięknie,
 To nie trudno, gdy dziewczę pracy się nie zleknie!

Dobry, mówią, robotnik myśli o niedzieli!

Szast, prast! las już zielony, czeremcha się bieli,
 Gniazdeczko ulepiła nad oknem jaskółka,
 Nad kwiecistą murawą pobrzękuje pszczołka.
 Szast, prast! słowiczek leci—skrzydełka furkocza,
 Siadł nad brzegiem rzeczulki, zaczerpnął ochoczo
 Drobnym dziobkiem dla piskląt kroplę żywej wody,
 Patrzy, jak gdyby mówił:—już pora na gody!
 Zbiegł kwiecień, dni wiosenne jako woda płyną —
 Szast, prast, kolój na ciebie — nie czekaj, dziewczyno,
 Słowiczek wszystko widzi, wie, skąd wietrzyk wieje,
 Odgadł w twojem serduszku twogę i nadzieję,
 Zna imię, co się słodko do twój myśli czepli,
 Słowiczek ładnie śpiewa, kocha jeszcze lepij.

Usiadł, a dziewczeczka coś przemyśla smutno.
 Szast, prast! znowu kijanką uderza o płótno,
 Czemuż uciekł tak żywo słowiczek spłoszony?
 Bo ktoś idzie ku rzeczce tam, od drugiej strony,
 Kto? przed okiem dziewczyny onże się wysłiznie?
 Szast, prast! znowu kijanka skacze po bieliznie!

*) Jan Aicard, urodzony w Tulonie w r. 1848. Wydał parę zbiorów poezji uwieńczonych przez Akademię. Zamiłowany w ludowej poezji, przejął się jej wdziękiem i prostotą.

XX. Z EDWARDA GRENIER'A *).

Przyjaźń.

Znowu urok na ziemi, co w doli złowrogięj
 Dodaje sił,
 Ostoję, gdzie pielgrzym, znużony śród drogi,
 Otrząsa pył.

Znam źródło, gdzie wiecznie przybywa, jak czarem,
 Krynicznych wód.
 Gdzie dusza, stargana boleścią i skwarem,
 Pławi się w bród.

Znam balsam cudowny, co serce weseli,
 Woń świeżą znam.
 Ach! woni cudniejszej nie czerpią anieli
 U niebios bram!

I cóż tak raduje me serce, boleści
 Osnute mgłą?
 To urok niewinnej przyjaźni niewieścięj
 Czysty jak szkło.

*) Edward Grenier, ur. w roku 1819. Otrzymał kilkakrotnie wieńce w Akademii francuskiej, za zbiory rzewnych i pełnych wdzięku poezyj. Piękny poemat „Śmierć Linkolna” zjednał mu najwyższą nagrodę konkursową.

Padaj, śniegu!

Padaj, śniegu! leć do ziemi,
 Z wiatrem lekko z niebios wiej
 Welnistemi puchy twemi
 Ty mogiłę uściel jej.

Jak ty czysta — jak ty biała
 Śród nas przemkła — istny cień,
 Jak ty we mgłę się rozwiła,
 Ledwie jeden trwała dzień!

Ty i ona — tam w lazurze,
 Wasz domowy macie próg,
 Ciebie słońce wraca chmurze,
 Nam ją śmiercią zabrał Bóg.

Padaj, śniegu, leć do ziemi
 Z wiatrem lekko z niebios wiej,
 Welnistemi puchy twemi
 Ty mogiłę uściel jej!

Skarga.

Wietrzyk kocha się w kwiecie, kwiat patrzy z tęsknotą
 Na motyla, a motyl zakochan w lazurze,
 Lazur goni w przestrzeni swoją gwiazdę złotą,
 Gwiazda kocha się w morzu, co skały podnoże
 Bije bystremi prądy w szalonym zapale,
 Choć wie, że o tę miłość skała nie dba wcale.

Taką życie, niestety, kolejają się toczy,
 I czemuż ukochana sprzyjać mi nie może?
 Czemu inna z miłością zwraca ku mnie oczy,
 A ta, co jak poranne przyświeca mi zorze,
 Ku innemu zasyła westchnienie z daleka?
 Acz serce to niewdzięczne, ku innej ucieka!

Wietrze, gwiazdo, motylu i ty, biedny kwiecie,
 Gdy jednakiem się pasmem życie nasze plecie;
 Czas nam od sennych marzeń raz oderwać oko,
 Gońce nieskończoności! pasmem tajemniczem
 Złączmy nasze tęsknoty przed niebios obliczem,
 Szukajmy tam pociechy, znajdziem ją wysoko!

—
 D o s i e b i e.
 —

Zamknę serce w mej piersi, niby w skrzyni twardej,
 Niech dawne jego czary niepamięć pochłonie.
 Pod ciężkie jarzmo woli pochylę kark hardy,
 Mój pług śmiało zapuszczę po prawdy zagonie.

Jak w szczelinach rumowisk dąb wschodzi zielono,
 Niech powinność w me serce swój korzeń zaszczepli,
 Strząsnę myśl bezczynności tumanem zaćmioną,
 A wielką rozkosz pracy ocenię tém lepiej.

Na nowych prawach życia odrodzić się muszę,
 W ogniu szlachetnych pragnień wskroś przepalić duszę
 Siał ziarno, niechaj drugim da pochop do czynu!
 Wznies czoło! tobież plakać na własnym pogrzebie?
 Młodość przeszła, ty wykrzesz nową iskrę z siebie,
 Na znużoną skroń twoją potrzeba wawrzynu!

—
 Tam daleko.
 —

Tam daleko, u stóp wzgórza
 Kwitnie na uboczu,
 Kolo ścieżki — dzika róża,
 Cudnież pieści oczy!

Powiedz, blada różo dzika,
 Powiedz, wonny kwiecie,
 Czy przed ręką podróżnika
 Uchronisz się przecie?

Tam daleko nuci w lesie
 Ptaszek złotogłowy;
 Dźwięk piosenki rosa niesie,
 W górę pod niebiosy.

Ej, nie śpiewaj, ptaszku, dłużej,
 Obejrzyj się przecie,
 Czy gniazdeczka ci nie zburzy
 Jakie psotne dziecię.

Tam dziewczeczka zdala świata
 Wzniosła modre oczy,
 Utęsknioną myślą wzlata
 W kraj dumań uroczy.

Chwile ulud w lot przepłyną,
 Ach! powiedz mi przecie:
 Komu ręka twa, dziewczyno,
 Ślubny wianek splecie!

Tam daleko, w nocy cieniu,
 Świeci gwiazdka mała.
 Jakiż urok w jej promieniu,
 Jakim żarem pała!

Gdy jesienne wioną słoty
 Szeroko po świecie,
 Czyż się przedrze promyk złoty
 Przez śnieżne zamiecie?

—
 Głosy przyrody.
 —

Wiecznie przyroda pogwarza do ludzi,
 Ze snu ich budzi.

Gwiazda, co sieje odbłask promienisty,
 Mówi: „bądź czysty”.

Gdy zadmie wichur, woła krzak pół żywy:
„Bądź sprawiedliwy!”

Orzeł, gdy skrzydła rozpostrze nad chmurą,
Mówi: „leć górą!”

Gwarzy na łące pszczoła syta miodu:
„Pracuj od młodu.”

Mówią jesienią jabłonie, śliwy:
„Bądź szczodrobliwy!”

A szafir mówi: „nie gardź proszkiem marnym
Jam, proszku, ziarnem!”

A kwiatek mówi: „patrz, ja woń z kielicha
Rozsiewam z cicha!”

Rzeczulka mówi: „mych bystrych wód siłą
Skały rozbiła.”

Liść, strącon zimą, szeleści w dolinie:
„Śmierć was nie minie!”

Gwiazda, kwiat, pszczoła, wtórzą wiek za wiekiem:
Bądź że człowiekiem!

XXI. Z DELFINY GIRARDIN *)

Do cichéj nocy.

Noc milcząca w czarne zwoje
Upowija senny świat,
Z pierwszą gwiazdą serce moje
Kwitnie niby nocny kwiat.

Nocy cicha! tylko tobie
Ja otwieram serce w szerz,
O łzach moich, o żalobie,
Sama jedna tylko wiesz!

O! ty sama wiesz, co znaczy
Śmiech przyrosły do mych warg,
Co zagłusza jęk rozpaczy,
Tłumi wybuch gorzkich skarg.

Ty znasz piersi mej rany,
Z tobą płakać, cierpieć lżej,
Wobec ciebie śmiech kłamany
Nie wykrzywi twarzy mej.

*) Delfina Girardin ur. w r. 1804, zmarła w 1855. Całe pasmo jej życia literackiego ubiegło wśród tryumfów i owacyj. Jako młoda panienska, córka głośniejszej autorki, Zofii Gay, zbierała za deklamacje swych utworów liczne oklaski po salonach. Głośniejszym jeszcze oklaskiem obsypywano w teatrach jej dramata i komedye. Niektóre z nich dotąd ukazują się na afiszu. — Feljetony jej tygodniowe w dzienniku *Presse*, ogłaszane pod pseudonimem Wiktora de Launay, pełne humorystycznej werwy, poruszały cały Paryż. W salonie jej gromadziły się najznakomitsze osobistości. Mimo tych hołdów i wieńców, Delfina nie czuła się szczęśliwą, świadczą o tém smętne jej pieśni.

Próżna pycha, szal światowy,
W twarde jarzmo wprzęga nas,
Ty mi rozkrusz te okowy,
Zrzuć mi z piersi ciężki głaz!

Ach! dla myśli zrozpaczonej,
Kiedy pociech zdroje schną,
Jedną ulgą — twarde szpony
Wpoié w żywe serca dno.

Twój czar w tęskne moje łono
Tajemniczy spokój tchnie,
Jakże cudnie gwiazdy płoną,
Na żalobném twojém tle.

Już zbiegają z gniazd ptaszęta,
Wiatr roztrąca nocy cień,
Żegnaj, żegnaj, prawdo święta,
Trzeba klamać — ot już dzień!

XXII. Z CATULLE MENDÈS *)

Córka Domna **).

Po ziemi Dalmatów pładrują Mongoły,
Powietrze tchnie wonią żywicy i smoły,
Bo lasy jodłowe szeroko tam płoną,
I słońca nie dojrzeć za dymu zasłoną.
I płomień ogarnął przestrzenie tam całe,
Pochłonie winnice i zboża dojrzałe.
Tam starzec na zgliszczach domostwa bez dachu
Przygarnia rój dzieciaków półmartwych ze strachu,
I z cichą boleścią oblicza zdumiony
Zgorzałą chudobę, winnice i plony.

Czerń mordów niesyta uderza jak wściekła,
Po ziemi dalmackiej krew strugą pociekła.
Daremno się zrywa Dalmatów Domn stary,
Drży starzec.—Och! czemuż tak postrach nim miota?
Wszak dowlókl już kroki do kresu żywota,
Pogląda w grób śmiało, bo czémże mu życie?
Lecz przy nim jest dziewczęcę, kwiat cudny w rozkwicie,
Któż słabą gałązkę otuli ramiony,
Gdy padnie dąb w puszczy piorunem zwalony?
Drży starzec jak listek, mgłą zaszły mu oczy,
Wtém Mongoł brodaty ku niemu przyskoczy,

*) Catulle Mendès urodzony w r. 1840. Jego ulotne poczyty zalecają się pięknym stylem i wytworną formą. Szkoła parnasistów, założona w r. 1858 przez młodzież literacką, w celu doprowadzenia języka literackiego do możliwej doskonałości, liczyła Mendès'a do gorliwych adeptów swoich.

***) Domn, wódz starożytnych Dalmatów.

— „Jam han tu! zawola — ja władam tą rzeszą,
Liczniejsi molojce w me ślady tu śpieszą,
Niż kłosa w tych polach, niż drzewa w twym lesie.
Czy słyszysz, jak wichher okrzyki ich niesie?
Nie małoś ty skarbów nazgarniał w tve progi,
Już horda z twych progów unosi łup mnogi,
Tyś siedmiu miał synów, ich postać wspaniała,
Ja miałem psów siedmiu, te zżarły ich ciała,
I mnie też w tym zamku dań podjąć bogatą,
Masz cudną dziewczoję — mów, pyszny Dalmato,
Gdzie ona?

— Och, nigdy!

— Han każe, no, zgoda!

— Litości!

— Idź po nią!

— Ach ona tak młoda!

Padł starzec i siwą ku ziemi zgiął głowę
I oplótł ramiony kolana hanowe
I wokół raz po raz oczyma zatoczy.
Szlachetnyż tu mściciel nie przymknie z uboczy —
Lecz dzielnych zabrakło, a podli się skryli,
Dostawże mi, starcze, twą córkę w tej chwili,
Bo w gardziel niesforną tak szpony ci wpoję,
Że wykrzyk boleści przywoła dziewczoję.

Drzwi izby się nagle rozwarły z hałasem,
I luna czerwona zabłysła nad lasem
I w progi komnaty wszedł rycerz nieznany —
W spuszczonej przyłbicy — w kolezudze drucianej,
Na drzewcu topora swe dłonie wsparł obie.

„Jam mściciel twój dziewczki, ocalę ją tobie.
Uśmiechnął się starzec — łąą błysło mu oko.

A Mongoł pochwycił szablęc szeroką,
Zgrzytnęły zrdzewione dwóch kolezug ogniwa,
Miecz szczęknał o topór — wre bójka straszliwa,
I zwarli się obaj krzepkiemi ramiony.
Wtém jeden zakrzyknał — legł we krwi zbroczoney,
Na pierś mu han nogą nastąpił wnet hardą
I utkwil miecz w gardle, i z gniewną pogardą
Odtrącił precz szyszak, co cienił mu lica.

Cóż widzi, o nieba! Dalmacka dziewczica!
Wzdłuż piersi jój zbiega krew sznurem koralu,
Łzą jasną niebiosom tajemnie się żali.—
— Ach, ojeze, wyszepnie, błogosław... jam przecie
Z pazurów Mongoła wydarła tve dziecię!

D z i e c k o .

Noc to okropna, dmie wichher z łoskotem,
Czarnemi kłęby bałwaną się chmury,
Grubo zwieszzone pod nieba namiotem.

Tylko niekiedy w ciemności ponurój
Grom po przestworzu rozświetni szerokiem
I błyskawica zamigocze z góry.

To step, on ludzkim nie przemierzom wzrokiem,
Gdzie Bledo stare pokonał Giermany,
Ich siola zalał krwi wrzącym potokiem.

Któż ci dwaj starce? włos wichrem rozwiany
Białe jak mleko spada im z nad czoła,
Gdzie kroczą nocą wśród puszczy nieznanój?

Ciężko iść!—mówią—precz idźmy! pan woła.
Na grzbiecie Jana siła lat już cięży
Młodszy miał imię Piotra Apostoła.

Obadwaj starce w kapłańskiej odzieży
Pomiędzy Huny nieśli słowo boże,
Kryż kładli w dłonie zbroczone w krwi świeżej.

Carogród, w błędów uwiklan bezdroże,
Wypędził Jana, Piotr z Romy szedł starój
Gdzie gad zepsucia usłał czarne łoże.

Zdążają nocą przez puste obszary.
Już ślad ich drogi gdzieś przepadł bez wieści,
Lecz śpieszą naprzód zapaśnicy wiary.

W długie ich szaty wiatr głucho szeleści,
Jeden drugiemu w pochodzie powiada
Własne obawy, żale i boleści.

Piotr rzecze pierwszy: „Biada Romie, biada!
Szalony zbytek stumanil jój oczy,
Serca plugawi rozpusty szkarada.

Wielki i mały ku zgubie tam kroczy,
Piekło bezdennym pociąga odnętym,
Niechże raz kamień do dna się potoczy!”

„I temu miastu, rzecze Jan ze wstrętem,
Zgrzęznąć w otchłani, które mocarz wielki
U wód Bosforu wzniosł ramieniem świętem.

„Już się w posadach wstrzęsły grodu belki,
Już tron olbrzymów zasiadły tam karły,
W sercach nie stało czystej krwi kropelki.

„Pod ich to płaszczem w umysły się wdarły
Nestoryusza oblędy straszliwe,
Jedność kościoła na wieki rozdarły.

„Wstrzymajże, Panie, zdroje łaski żywe,
Złość się rozmogła — zbrodnia kroczy śmiało,
Dojrzał plon straszny, czas pokosić niwę.

„Ześlij Ty żeńca z prawicą wytrwałą,
Niech tnie, a rychlej pękna piekiel ściany
Gdy snop nieczysty zapcha otchłani całą.

„Niechby ten mściciel twą wolą wybrany,
Co złość przydusi bezeceństw potokiem,
W zwaliskach świata przepadł zagrzebany!”

Amen! — Piotr rzecze — i wolnym szli krokiem
Dwaj siwi starce — pełni bożej wiary,
Niesie ich burza po stepie szerokim.

I ujrzą nagle muru odłam stary,
Wiatr, tylko patrzeć, w gruzy go powali,
Już się z pogwizdem przedziera przez szpary.

Jan się odwrócił — postąpił krok dalej,
„Ten mur, Piotr rzecze, spadłby nam na głowę,
Mamyż się na śmierć narażać zuchwali?”

„Straszny uragan zniesie wnet budowę,
Kto pod jój tarczą chciałby przetrwać burzę,
Znalazłby w gruzach ostoję grobową.”

Prawda, Jan odrzekł. Obaj przez kałuże
Coraz to ciężej brną stopy znojnemi.
Wtém głos się ozwał: „Nie powal się, murzel!”

Głos to cudowny — z niebiosów czy z ziemi?
Straszny, a pelen niezuanęj słodyczy,
Bóg snąc czy anioł mówi dźwięki temi.

Poklękli kornie: sen-że to zwodniczy?
Cisną do piersi krzyż, i oto jeszcze
„Nie wal się, murzel!” głos rzekł tajemniczy.

Do kości szpiku przejęły ich dreszcze,
Nie drgnął mur stary, choć miota nim burza,
Choć nim potęgi wstrząsają złowieszcze.

W muru szczeliny Piotr oczy zanurza,
Wtém białe starca zjeżyły się włosy,
Patrzy, śpi dziecko u muru podnóża!

Jemuż to brzmiały tajemnicze głosy?
Z Janem Piotr czoło ku dziecku pochyła,
„Ktoś jest? — nad tobą czuwają niebiosy!”

Ocknął się chłopiec. „Ktoś jest? — „Jam Attyla!”

Ż o n a A r a b a .

Pasą się po dolinie hodowane trzody,
W skwar letni żona niosła ze źródła dzban wody.
Spoczęła w kraju Betel pod palmą zieloną
I taki sen nawiedził jój myśl rozmarzoną:

Zdało się, jakby spała, wtém posłyszysz kroki,
I Ahod rzecze do niej: żono, wstań bez zwioki!
Kupcom z Segor zeszłego sprzedałam ja lata
Sto owiec, za część trzecią należy zapłata,
Ale przestrzeń to wielka i starość mnie nuży,
I któż mnie w tej dalekiej zastąpi podróży?
Wiernego a sprawnego kędyż znajdę posła?
Chcę, byś trzydzieści syklów z Segor mi przyniosła.

I na skwar się nie żali, ni na drogę długą,
„Panie, rzecze, rozkazuj, — masz prawo nad sługą!”

Gdy on rękę wyciągnął i wyrzekł: „Tam droga!”
Wzięła płaszcz tkany z wełny i poszła nieboga.

Ziemia twarda, w kołczyste najeżona skały,
Z nóg krople krwi, z jój oczu łez krople spadały!
Lecz idzie w jasny dzionek, stąpa w nocnej ciszy,
Nic oko jój nie widzi, nic ucho nie słyszy.
Aż nagle głuchy okrzyk rozległ się w pomroku,
Czuje rękę na ustach, — przyskoczy ktoś z boku,
Płaszcz z jój ramion przemocą zedrzeć się ośmieli,
Uciekł, — nóż ostry tylko utkwił jój w gardzieli.

Sen był straszny... niewiasta zbudziła się młoda,
Patrzy... mąż stoi przed nią, słyszy głos Ahoda:
„Kupcom z Segor zeszłego sprzedałem ja lata
Sto owiec, — za część trzecią należy zapłata,
Ale przestrzeń to wielka i starość mnie nuży,
I któż mnie w tej dalekiej zastąpi podróży?
Sprawnego a wiernego potrzeba mi posła,
Chcę byś syklów trzydzieści z Segor mi przyniosła.”

Pan rzekł; wypełnię rozkaz, niewiasta odpowie,
Woła synów i kładzie starszemu na głowie
Drżące dłonie, a usta małemu na czoło,
Wdziała płaszcz tkany z wełny i poszła wesolo.

XXIII. Z EMILA GUIARD. *)

Liwingston.

.

Ty idziesz sam, w milczeniu idziesz, Liwingstonie,
Zapaśniku Chrystusa, nauki szermierzu!
Ty rozbijasz swój namiot na głuchém wybrzerzu,
By odkryć tajemnice ukryte w puszczy łonie.
A gdy miłość w twój duszy nowe siły budzi,
Zatknąć drzewo żywota w puste serca ludzi.
Zapory nie przełamią hartu woli męskiej,
Nie ustraszą jój trudy, nie złamią jój kłęski.
Twoim wrogiem śmiertelnym straszliwy żar słońca,
I piasek, co zaściela rozgorzałe stepy!
I orkan szalejący w przestrzeniach bez końca,
I człowiek od żywiołów stokroć bardziej ślepy!
Lecz gdy szermierz w myśl bożą raz oręż dobędzie,
Choć ostre mu pociski dosięgną w głąb łona,
Póki tehu, już mu w świętym nie ustać zapędzie,
Krew, co wytryska z piersi, nie próżno stoczona!
Szczęście okupić tylko bólem a ofiarą!
I żywot twój się stanie wielką niby czarą.

*) Emil Guiard—urodzony w Paryżu w r. 1852. Wystąpił po raz pierwszy w r. 1875, z poematem na cześć Liwingstona, na temat podany do konkursu przez Akademię francuską. Prześcignął licznych współzawodników i otrzymał pierwszą nagrodę. Z równém powodzeniem wystąpił w teatrze; wszystko mu rokowało najświetniejsza przyszłość, kiedy śmierć wytrąciła mu przedwcześnie pióro. Umarł w Cannes r. 1889.

W nięć tve lzy i nadzieje Opatrzność pomieści,
Nadzieje na dnie samém, z wierzechu lzy boleści.
Pelen Boga, ty zdążasz na kończyny świata,
Posiewać czyste ziarno tam w bezpłodnej roli,
Mniejsza, choć widmo śmierci nad tobą przelata,
Chcesz wyrwać do korzenia czarny chwast niewoli,
Podnieść plemię w odwiecznym sterane barłogu,
Dzikie serca i myśli skierować ku Bogu!

Zrozumieź twoję wiarę horda rozpasana,
Co nie czuła nad sobą nigdy ręki pana,
Co żyje niepoparta bezpieczną praw tarczą!
A skoro Bóg prawdziwy nie przemówił do nięć,
Przed czezym nawet balwanem głowy nie pokłoni,
Bo na pojęcie Bóstwa jęć myśli nie starczą!
I tak śpi pogrążona wśród nocy ponuręj
Nie szuka w niebie ulgi, gdy ją boleść gniecie.
Żrenie w ziemię utkwionych nie wzniesie do góry,
Na pociechę o lepszym nie zamarzy świecie.
Ach! okropneź to plemię owa czerń przebrzydła!
Bez rodziny, bez domu, bez pracy, bez cześci;
W jęć oczach własna dziatwa to gromada bydła!
Piers jęć zezwierzęcona nie drgnie od boleści,
Gdy nędznikom, co w kramach czyhają zdradziecko,
Za pałacy ją trunek sprzedaje swe dziecko!
Biada! och! biada temu, kto, litością zdjęty,
Chciałby promyczek światła wzniesić w tych serc odmęty,
One, rozmiłowane tak w bagnisku swoim;
Kto chce dźwignąć je z błota, isć musi przebojem.
Iluź to walk potrzeba, ile prac i trudu,
Aby nad poteraną głową tego ludu,
Gdy w samém dobrodziejstwie dopatruje zdrady,
Roztlić potęgą ducha jeden promyk błady!

Twój duch przecieź nie złaman zapasy twardemi,
Wiara twoja nie padła, lecz ramię omdlało.
Pośpieszaj, Liwingstonie, do ojczyścj ziemi,
Idź, tchnieniem jęć żywotném skrzep zwątlone ciało,
Skap ducha w jęć krynicach! po takiej kąpieli
Wystąpisz znów do czynu potężnięj i śmielęj!
Gdyby dotknęła ziemi Anteusza noga,
Bohater odrodzony pokonalby wroga.

Wszak matki pocałunek wnet uleczy dziecięć!
O! jakieź, za powrotem pod dach ojców święty,
Kochająca ta matka stawia ci ponęty!
Niech drudzy pasma przygód ścigają po świecie;
Niech depeczą stóp twych śladem owę puszcę skwarną,
Ty zostań! wszak spełniłeś twą czarę ofiarną,
Korona twęj zasługi dość i tak bogata.
I pocóż ci tam brodzić przez piaski jałowe?
Pod cień dębu wędrowiec znojną tuli głowę,
Ty, pod cieniem przeszłości, ukryj stare lata!

Oracz nad cichym pługiem gdy stąpa schylony,
Po za obręb zagonu nie sięgnie oczyma,
Dość, że jesień dojrzałe wydaje mu plony,
Dość mu, że ziemia matka na łonie go trzyma,
Wszystkie życia nadzieje posiał w żyźnej roli,
Jego dni zwolna płyną, jak w rzczechulce woda,
Dla niego całym światem domowa zagroda.
Snuje ubogi wątek szczęśliwy z swęj doli!

Och! dalej, bliżęj Boga twoja myśl ulata,
Czujesz się jeszcze więźniem na przestworach świata!
Żartki duch nieznanemi porywa cię tory,
Jak szamocze się w klatce jaskółka stęskniona,
Uderzasz dzielném skrzydłem w więzienne zapory,
Czego umysł zapagnie, wnet wola dokona!
Coraz nowy widnokrag potraça tve oczy,
Wspaniała cel przed tobą, jak cień, naprzód kroczy.
Nieskończoność bez granic twęj duszy potrzeba,
Jęć ziemia nie wystarczy, ona sięga w niebo!
Twem godłem, gdy pragnienie żarem pierś twą pali,
„Chrześcijaninie, patrz wyżęj, uczony, idź dalej!”
Rozrywać wiarę z wiedzą, to pycha szalona!
Kto z przyrody wydobył prawdy tajemnicze,
Ach! on raczeź z bożego zaczerpnął je łona,
Silny wiedzą, on w Stwórcy niech patrzy oblicze!

Bóg pozwolił ci zbiegać dalekie te stropy,
Gdzie dotąd nie powstały ślady ludzkiej stopy,
Z jego woli tve oko tajemnic docieka,
Zakrytych skrzydłem śmierci przed zmysłem człowieka!

Nie ciebie nie ustraszy, nie cię nie powstrzyma,
 Chciałbyś wdrzeć się jeszcze w głąb ciemnej pieczary,
 Wkroczyć nogą zwycięską w kryjówkę olbrzyma,
 Tam, skąd Nil, słonecznymi ożywiony skwary,
 Szeroko mętne wody na pola roztacza,
 I rozradza w sto kłosów posiewy oracza!

Lecz godzina twa bije, ty stopy znojnemi,
 Jak Mojżesz obiecaną nie dosięgniesz ziemi!
 Tyś upadł, pot śmiertelny pociął z twego czoła,
 Dzieło twe dokonane, pan cię wnet powoła.
 Rozwiś swobodnie skrzydła, leć w nieznane światy!
 Lot duszy twój więzienne tamowały kraty,
 Śmierć rozmyka na oścież tajemnicze wrota,
 Umierasz w pełni zasług i w pełni żywota,
 Umierasz za naukę, umierasz za wiarę!
 Niechajże pozadzroszczą twój doli szczęśliwej
 Ci, co jeszcze po ziemi włóczą kości stare,
 Umarli już za życia, gdyś ty w grobie żywy!
 Ogarną ziemię wokół promienie twój chwały,
 Bo ludzkość z nieśmiertelnych twoich prac korzysta,
 Twym rodem niech się szczyli Anglia macierzysta,
 Twą śmiercią, Liwingstonie, wzbogacą świat cały!

XXIV. Z AUGUSTA BRIZEUX. *)

Wspomnienie.

Jakże mi błogo, gdy zwrócę oczy
 W lat młodocianych obraz uroczy.
 Raz w Wielki czwartek — pomnę, jak wczora,
 Byłem w klasztorze, w celi przeora.
 Kiedy nieśmiało, z trwogą na czole,
 Łzami zalane wbiega pacholę.
 W licu mu żalność odbija szczerą
 „Ratunku! — woła — matka umiera!”

Kapłan, miłością nawskroś przejęty,
 Wziął chleb żywota i olej święty,
 Poszedł: ja za nim. Jakże radosny
 Promień podwójnej świecił mi wiosny!
 Bo lat poranek złocił mi głowę,
 I zorza siała blaski różowe,
 Kwiaty zasłały dolinę całą,
 Ptastwo poranny hymn świergotało.
 Rosa, strącona lekkim powiewem,
 Płynęła z wyżyn zarosłych krzewem,
 Czepiał się listków tuman mgły białej,
 Pszczoły z kwietników słodki miód ssały.

*) August Brizeux urodzony w Lorient w r. 1806. Zmarł w r. 1856. Zamiłowany w ludowej poezji Bretonów, czerpał w niej siłę i barwę oryginalną. Z utworów jego poetycznych, najcenniejsza powieść *Marya* zjednała mu wieniec akademicki. Zostawił wiele pieśni lirycznych i obrazków z życia ludu. Pisał także i w języku bretońskim.

I świeży urok rannej pogody
Rozwijał z pączka kwiat myśli młodej.
Otóż i chata... wchodzimy w progi,
Chora niewiasta w izbie ubogiej
Nędznie usłane zalega łoże.

Książd u wezglowia klęka w pokorze,
Słowem znojnego zasila ducha.

Chciwie słów bożych niewiasta słucha,
Przyjmuje olój i chleb żywota,
Kapłan niebieskie rozwarł jej wrota.
— „Szczęśliwaś! — rzecze — w dzień ów niedzieli
Grób twój odwałą boży anieli!”
I sam-by oddał wszystko w tej dobie,
By mógł, jak ona, odpocząć w grobie.

W nowe myśl moja biegła przestworza!
Na ziemi kwiaty, na niebie zorza
Karmiły ducha, poiły zmysły
W jeden je węzeł splatając ścisły.
Uniosłem w górę bezsilne dłonie,
Gdzie w ideału cudnej osłonie
Lśniaca piękności jasnym urokiem
Przyszłość przed senném zablęsa okiem,
Gdy iskrę w piersi zatliły nową:
Przyroda, wiara i święte słowo!

XXV. Z BERTY GAILLERON. *)

(ze zbioru pieśni niewidomej).

Do męża swego.

Ja cię widzieć nie mogę, jasny mój promyku,
Co budzisz nowe siły w mém sercu zakrzepłem,
I przyświecasz mi stale wśród cierpień bez liku!
Ja cię widzieć nie mogę, mój jasny promyku,
Lecz mnie ożywiasz twém ciepłem!

Ja nigdy nie zobaczę róż w pełnym rozkwicie,
Ale Bóg inne dary śle mi szczodra dłońią.
On karmi ducha mego, roznieca w nim ogień,
Ja nigdy nie zobaczę róż w pełnym rozkwicie,
Lecz żyję słodką ich wonią!

Nie mogę oka mego utopić w twém oku,
Wszak bluźnierstwem byłoby skarżyć się na męki,
Gdy czar twego spojrzenia odczuwam w pomroku!
Nie mogę oka mego utopić w twém oku,
Starczy mi uścisk twój ręki!

Oczy moje zawarte wśród nocy bez końca
Ja ciemności nie czuje, gdy pierś mi poruszy
Roztłony ręką bożą płomienny żar słońca;
Oczy moje zawarte w ciemności bez końca,
Lecz miłość słońcem dla duszy!

*) Niewidoma Berta Gailleron, córka znanego publicysty Callone. Matką jej była Polka z Warszawy.

XXVI. Z ADRYANA DERONCY. *)

S f i n k s.

Był to Sfinks bardzo stary: z nieugiętą głową,
Przetrwał żary słoneczne i cblotę wiekową
Szalonych uraganów; trzymał pod pieczęcią
Tajemnice Izydy, a zwalone głazy
Stu grodów, przytłoczonych wieczną³ niepamięcią,
U stóp jego świeżemi zakwitły oazy.

Owóz raz, gdy wieczorem zgasło ledwie zorze,
Józef przywiódł Maryę i Dzieciątko Boże;
U olbrzymich łap Sfinska, na płycie kamiennéj
Usnął on ciche gniazdko, śpią drogą znużeni,
Pustynia milczy: nagle z główki dziecka sennéj,
W cieniu nocy, snop jasnych wytrysnął promieni.

I niebieskich zastępów rozległy się chóry,
Jasnemi gwiazd oczyma pogładają z góry,
Mirady aniołów na Dziecinkę małą;
A Sfinks podniósł ku gwiazdom źrenice złowieszcze:
„Dlaczego — pyta — serce me z trwogi zadrżało?
Na widok tego Dziecka wskroś zbiegły mnie dreszczel!”

*) Poeta wziął myśl z prześlicznego obrazu Oliwiera Mersona *Ucieczka do Egiptu*. Widzimy tam Maryę z Dzieciątkiem Bożem na łonie, uspioną u łap olbrzymiego Sfinska. Promień, bijący od Dziecięcia, rzuca na cały obraz blask dziwnie tajemniczy.

Głos mu z niebios odpowie: „Dzień światu błysł nowy,
Wschodzi prawdy jutrzienka z ciemności wiekowej,
Bądź dumny, że piastujesz główkę złotowłosą;
Posiewu nienawiści zbyt ziemia już syta,
Siew miłości po świecie te usta rozniosą,
Tyś żył wiecznie wśród nocy, czy widzisz? dzień świta!
Wszystko, co z ziemi rodem, skona w swéj godzinie,
Tylko przez fale czasów, Duch Boży przepłynie
On jeden nieskończony, On pokona wieki.”

Przed oczyma potworu błysła tajemnica:
Uczuł, jak z pod kamiennéj wytrysły powieki
Dwie perły i na zimne stoczyły się lica!

XXVII. Z KSAWEREGO MARMIER *).

Wieczny Tułacz

z powieści wschodniej.

Wbrew niezbadanym prawom przyrody
Chinar był wiecznie krzepki i młody.
Czas go nie zużył — śmierć go nie zmiecie,
Niezmordowany chodzi po świecie.

„Szedłem ja, mówi, wieczornym chłodem
Szeroką drogą pod wielkim grodem;
Ku zachodowi słońce się kloni,
Patrzę... rwie starzec owoc z jabłoni.

— „Ojczy, zapytam, gołąbku biały,
Kto pobudował ten gród wspaniały?
— „Hej, niepamiętne przetrwał on lata,
I przetrwa jeszcze do końca świata!”

Zbiegło lat pięćset, o świecie rano,
Szedłem tu znowu drogą mi znaną.
Widzę, na łące pasą się trzody,
Struże fujarkę pastuszek młody.

— „Chłopcze, zagadnę, tu na téj łące
Wszak się piętrzyło domów tysiące.
Kędyż się podział ów gród bogaty?
— „Coby tu było, nie wiem, przed laty —

*) Ksawery Marnier ur. w r. 1809, w Pontarlier pod cieniem gór Jura, trzydzieści lat życia spędził w podrózach. Zwiedził Europę, Azję i afrykańskie wybrzeża Nilu. Z szczególnym upodobaniem zatrzymywał się w północnych krajach, dotarł aż do Spitzberga. Opisy tych podróży obejmują do stu tomów. Między temi parę tomów zajmują Listy z Rosyi, Finlandyi i Polski, drukowane w roku 1848. Długo przebywał Marnier w skandynawskich krajach, badał pilnie miejscową etnografię i literaturę. W późniejszych latach zamieszkał stale w Paryżu, pisał liczne powieści i rozprawy. Powołany na członka akademii francuskiej, nie składał pióra do ostatniej chwili życia. Zmarł w roku 1891.

Odśpiewa chłopiec — czas wszystko mieni,
Ja tu nie pomnę nic, prócz zieleni!”

Zbiegło lat pięćset — czas bieży skoro—
Szedłem znów tędy; patrzę... jezioro!
Woda na słońcu urocza świeci,
Rybak w głąb toni zapuszcza sieci;
— „Rybaku! pytam, ten obszar cały
Dawnoż jezi. ra wody zalały?”
A rybak na to potrząśnie głową:
„Ej, szkoda czasu na próżne słowo!
Odkąd świat światem, odkąd człek w pracy,
Łowim tu ryby biedni rybacy!”

Zbiegło lat pięćset — śpieszę, tym torem,
Patrzę, dolina zarosła borem.
Drę się gęstwina, gdzie wzrok poniesie,
Wtém głuchy łoskot posłyszę w lesie.
Schylon ku ziemi, kmieć widzę stary,
Wali siekierą w dębu konary
Drugi, na ściętej spoczywa sośnie.
— „Dawnoż, ojcowie, ten las tu rośnie?”
I widzę uśmiech na ustach kmieci.
— „Odkąd słoneczko na niebie świeci,
Jak ziemia ziemią, po wszystkie czasy.
Na téj dolinie bywały lasy!”

Zbiegło lat pięćset — idę w te strony.
Tu, gdzie szumiały dęby i klony,
Pyszne się gmachy białą zdaleka,
Pod miastem wielka przepływa rzeka,
A w mieście gwarno, szumno i ludno,
Przez wielkie tłumy przedrzeć się trudno.
Tuż się to pasły na łąkach trzody?
Tuż przepływały jeziora wody?
Tuż niedźwiedź leśne zalegał knieje?
Daremnie pytam! ten się zaśmieje,
Ów, żart złośliwie rzuci mi w oczy,
Ha! pomyślałem, tak świat się toczy!
Kiedy lat pięćset znów się przewinie,
Cóż tu zobaczę? proch i pustynię!

XXVIII. Z LEGOUVÉ'GO *)

Cześć starości.

Pozostał-że na ziemi obcój a dalekiej
Stary pomnik i kościół, coby przetrwał wieki?
Serce drga na wieść o nim, żar nam z lic wytryska;
Biegniem ze czcią wiekowe powitać zwaliska!
Gdy stajem u tych zrębów z pochyloną głową,
Brak nam tebu; i na ustach zamiera nam słowo,
I łza cicha z pod powiek na gruzy się stoczy.
Tak widok onych zwalisk rzewny a uroczy!
Bo wszystko budzi smutek, co zmierza do końca,
Drzewo żółkłe jesienią, zachodni blask słońca,
Zburzone dzieło sztuki, zwalony zrąb gmachu,
Budzi w duszy uczucie żalu i przestachu;
A człowiek! ta wśród tylu najdroższa na ziemi
Ruina, powalona rękoma bożemi,
Człowiek, on gruz, co cierpi i czuje się prochem,
Gdy pada, wżgardę budzi w waszém sercu płochem.
Wamże miotać pociski w to bezsilne łono?
W to czoło, ludzkiej myśli świątynię zburzoną?
Stójcie! uragać starcom niech się nikt nie waży!
Czas idzie... oni pomrą... wy będziecie starzy!

*) Ernest Legouvé ur. w r. 1807 — autor wielu dramatów wierszem, z tych *Medea* i *Adryanna Lecouvreur*, przedstawiano były w teatrze warszawskim. Główno w nich role odgrywała sławna Ristori. Liczne dzieła prozą Legouvé'go obejmują powieści, rozprawy literackie, zajmujące życiorysy i t. d. Starzec krzepki, mimo lat blisko dziewięćdziesięciu, jest dziś Nestorem akademii francuskiej, zasiada w niej przez lat czterdzieści. Dotąd nie złożył pióra.

XXIX. Z AUGUSTA DORCHAIN *)

Ku pamięci Aleksandra Dumasa.

Jak Artanian przed laty — wśród zgiełku i huku
Postawił śmiało stopę na paryskim bruku:
Nie ma złota, lecz w piersi ma żelazną wolę.
Zorza przyszłych tryumfów błyska mu na czole,
By zwyciężyć, dość na to młodości i wiary!
Walka wre, w dwóch obozach wicją dwa sztandary:
Klasycyzm z romantyzmem bój szalony toczy,
Szermierze gradem obelg sypią sobie w oczy.
Ci starym rzymskim mieczem siekają w pierś i wałę,
Tamci błyskają w słońcu tolekańską stalą,
Dla tych Rasyn wyroczną, tamtym Szekspir wzorem,
Ten ranny, tamten upadł powalony toporem!
Ku nowym ideałom szala się już waży,
Hugo czuwa z proporcem jak olbrzym na straży,
A przecież stoi baszta jeszcze nie zdobyta,
Klasycyzm rozpaczliwie jęć zrębów się chwytą;
Teatr ową strażnicą, wszak jeszcze w te progi
Nie wcisnął się przebojem romantyzm złowrogi.
Wtém Dumas z młotem w rękę uderzy na dzieła,
Wdziera się po szczełinach, pierś mu drży, wzrok pala.
Zdobylł gmach, nowy sztandar na bramach już świeci.
Tłum woła: „Góram Dumas! górą Henryk Trzeci!”
Mistrz przebił pierwsze loty, stawił stopę męską,
Tam, gdzie róg Hernani'ego zadzwoni zwycięsko!

*) August Dorchain, jeden ze współpracowników i sekretarzy Aleksandra Dumasa, gorący wielbiciel mistrza, dziś zasłużony autor.

On wiecznie złoty wątek snuje z duszy własnej,
 Czasami dla Tytana sam Paryż zaciasny,
 Woni żywicznych sosenu pragnie pierś szeroka,
 Przestrzeni oceanów trzeba mu dla oka.
 Rusza za Pireneje, czerpie nowe życie,
 Na wierzchołku Synai, tonącym w błękicie.
 Goni na Kaukazie ślad Prometeusza,
 Pod łukiem dział we Włoszech urasta mu dusza.
 A gdy nowemi czary napasł myśl i oczy,
 Przepływa morskie prądy, przez wąwozy kroczy,
 Dumny z plonów zdobytych, do kraju powraca.
 Ni godziny spoczynku...: co dnia nowa praca,
 On, niewolnikiem ludu: wciąż mu rozpowiada
 Czarodziejskie powieści, jak Szeherazada
 Sultanowi swojemu, i piętrzą się księgi,
 A trudy nie zużyły tej twórczej potęgi.
 Zawsze uśmiech na ustach, wciąż pogodne czoło.
 Wiecznie swym czytelnikom powtarza wesolo:
 „Piękném życiu! przy pracy dni płyną w swobodzie.”
 Zawieść go nie dotyka, pocisk nie dobodzie!
 Kto rękę doń wyciągnie, obsypie go złotem.
 Napotka li niewdzięczność? on nie myśli o tem.
 Żar, co tli w zacnej piersi... czyż ugaszą ludzie?
 Mędrzec przeżył dui życia w dziecięcój uludzie.

Ty nam zbolalą leczyleś duszę
 Cudowną kroplą ożywczych wód,
 Tyś poił serca zwiędłe w posusze,
 I pierś ogrzewał zakrzepłą w lód.

Dziś wiatr nam zgniły powiał nad głową,
 Z ust nam odgania wesolą pieśń,
 Książę tyle mamy... każde ich słowo
 Rzuca na duszę zwątpienia pleśń!
 Mistrzu! tyś wołał, wyżej wznos oko!
 Drudzy nas pehają w brzydoty świat,
 Ale nam w duszy utkwil głęboko
 Przez was zasiany czarowny kwiat!

My łakniem wiary, łakniem otuchy,
 O ideałach my pragniem śnić!
 Ty, wiedz nas, mistrzu, w tej nocy głuchój,
 Twém żywém słowem, ucz nas jak żyć!

Wróć nam na usta ów śmiech twój szczery,
 Co go nie zatarł szyderstwa jad,
 Teatr nasz kona, — twe bohaterzy
 Niech jeszcze tłumy porwą w swój ślad!

Niechże nas uczą, mężnie, bez trwogi
 Przez cierń żywota do celu iść,
 Choćby dał w oczy wichur złowrogi,
 Choćby wawrzynu nie błysł nam liść!

Tyś umiał serca natchnąć zapalem,
 Uzbrój nam ramię na przyszły bój;
 Wielki lud tęskni za ideałem,
 Wszak głos go jeszcze porusza twój!

XXX. Z MILLIENA *).

Jezioro

(sonet).

Jéj dusza, to jezioro — po tych wód kryształe
Przedświt za ledwie barwą odbija słoneczną,
Ziemia-by zagrzebała tu swe łzy i żale,
Gdyby na ziemi boleść nie miała być wieczną!

Tu ptaszęta znalazły kryjówkę bezpieczną,
Kwilą ranną piosenkę, — tu lilja wspaniale
Podnosi na łodydze swą koronę mleczną,
Błękitne niezabudki nie wiedzają tu wcale.

Krynico ty dziewczęta! wszystko w łonie twojem
Technie pogodą, miłością, modlitwą, spokojem;
Z ziół nadbrzeżnych woń słodka wybiega do góry,

Ku twój fali przeczystej kto głowę nakłoni,
Zobaczy tylko na dnie wśród pieśni i woni
Drżący słońca promyczek i nieba lazury!

*) Jan Millien urodzony w roku 1838 — uwieńczony był kilkakrotnie przez akademię francuską — za pieśni liryczne i poetyczne obrazki, technące życiem wioską, które sobie szczególnie upodobał. Umarł parę lat temu.

Stary oracz.

Znużone woły stąpają po parze,
Oracz ni letnim ogorzały skwarze,
Z pługiem i broną do chaty powraca,
Śpiewa piosenkę: skończona dziś praca!

Siwy jak gołąb, lecz z bary krzepkiemi
Zim siedemdziesiąt stąpa już po ziemi,
W lesie kij urznął, co go w ręku trzyma,
Wolki pod jego wyrosły oczyma.

Oraczu! pług twój na tój żyźnej roli
Zrósł się z twém życiem, z sercem zrósł powoli,
Długież on długie przetrwał z tobą lata,
Gwarzy do ciebie, niby brat do brata.

Twój stary ojciec, który śpi pod darną,
Jak ty dziś zorał skibę ziemi czarną.
Wraca, i staje w progu i słuca,
Płacz niemowlęcia dobiegł mu do ucha.

Tyś biedny kwilił na macierzy łonie,
Podjął cię ojciec w spracowanie dłonie,
Odtąd mu jasnym dni snują się wątkiem,
Dom ożywiła kołyska z dzieciątkiem!

Bawił się z tobą radośny, w dni święta,
Gdy stary kundel lizał twe nożęta,
A kiedy z pieluch wyrosłeś pachole,
Bieżysz za ojcem w poskokach na pole.

Czepiasz się pługa, ojciec patrzy w ciebie,
Wołasz na skręcie k'sebie wolki k'sebie,
Rośniesz i z ojcem dzielisz trud na polu,
On zagon orze, ty poganiaśz woły.

Smężna dziewczeczka.

W ogródku tak jasno, tak cudnie
 Wśród listków poszmeru, łąk woni,
 Kos gwizdże piosenkę w południe,
 I czemuż to dziewczęę łzy roni?

— Swobodne, dziewczeczko, twe lata,
 Dlaczegoż ty płaczesz? dlaczego?
 Wianeczek ci miłość zaplata,
 A łezki po licu twém biegą?

Do słońca się róża uśmiecha,
 Ni chmurka błękitu nie plami.
 — Ach! krótka im, krótka uciecha,
 Dziewczyna odpowie ze łzami!

Słoneczko pokryje wnet chmurka,
 Nad dobę nie potrwa kwiat dłużej,
 A miłość lotniejsze ma piórka
 Od ptaka, słoneczka i róży!

XXXI. ZE ZBIORU PANI PRESSENSE *).

Poeci bez głosu.

Iluż wielkich poetów żyje między nami!
 Pod ręką ich nie zadrży struna liry złota,
 Zwróćni ku niebiosom, patrzą tam ze łzami,
 By im raz anioł rozwarł promieniste wrota.

Zoane im żywe prądy przeczystej krynicy,
 Ale sztuka przed niemi oblicze swe chowa,
 Drudzy czynią igraszkę z bożej tajemnicy,
 A oni myśli wątku nie zaplątą w słowa!

Drudzy umieją składać rymowane zgłoski,
 Dzwoniące sennój ziemi bladym ideałem;
 Dla tych, co zasłyszeli głos natchnienia boski,
 Kochać, milczeć i cierpieć jest zadaniem całym!

— Mniejsza o to... ach! jeśli na dnie morskiej toni
 Leży bezcenna koncha w piasku zagrzebana,
 Jeśli perła się wymknie z nurka skrzepłej dłoni,
 Przetoż ona mniej piękną przed obliczem Pana?

Nigdyż zwarte zapory waszych serc nie pękną?
 Nie dojrzy-ż nikt, że w piersi tak szczelnie zamkniętą
 Wyście wiecznie karmili nieśmiertelne piękno?
 Że w tym cichym przybytku gorzał ogień święty?

Złożone w duchu waszym cudotwórcze ziarno
 Nie wzrośnie na dolinie, innych sfer mu trzeba;
 Czyż ziemskich mu ołtarzy pastwą być ofiarną?
 Anieli je na skrzydłach poniosą do nieba!

*) Pani Pressense — małżonka pastora paryskiego — Szwajcarka, urodzona w roku 1827 — autorka wielu dzieł pedagogicznych.

XXXII. Z LUDWIKI SIEFERD.

Do jodły.

Tyś miłsza mi, jodło, nad dęby i klony,
Z twém czołem poważném, krzepkiemi ramiony!
Skrzydlatych śpiewaków mijają cię roje,
Maj świeżą koroną nie zwieńczy ci głowy,
Nie zmiecie twój krasy wiatr chłodny grudniowy,
Do ciebie się miękkie nie tałają powoje.

Gdzie rośniesz, tam władnie mrok ciemny, szron wieczny,
I nigdy cię promień nie ogrzał słoneczny,
A jednak samotna panujesz nad borem,
Od młodu spowita w wilgotne chmur kłęby,
Prześcigasz ty czołem stuletnie puszez dęby,
Nim człowiek cię twardym powali toporem.

O jodło! ja serca podobne znam tobie,
Co w ciszy samotnej, w sieroctwa żalobie,
Wytrwale się w modre wzbijają niebiosą,
Co w groźnej zamieci zdobędą hart nowy,
Choć niemi wciąż wichry pomiatą grudniowy,
I nigdy majowa nie krzepi ich rosa.

XXXIII. HENRI MARTIN.

Wercyngetoryks.

(Ustęp z dramatu).

Słynny historyk, zamilowany w tradycjach galskich, pragnął upowszechnić je bohaterskim dramatem: osnuł go na ostatnich zapasach Gallów z Rzymem. Autor zestawia tu dwie idee, wstrząsające światem zarówno dziś jak i dwadzieścia wieków temu. Te dwie idee: władzy i indywidualizmu, uosabia w dwóch bohaterach; jednym z nich Juliusz Cezar — drugim Wercyngetoryks.

Przytaczamy tu ustęp z aktu IV. Gallowie pokonali Rzymian pod Gergowią. Zwycięski wódz Gallów staje przed Cezarem, aby ułożyć warunki przyszłej zgody. Cezar powściąga gniew z udanym spokojem, przyjmuje tryumfatora, celem jego zyskać na czasie. Wyprawił on Labienusa do Giermanów; jeśli barbarzyńcy przybiegną mu w pomoc, Rzym pomści hańbę, ujarzmi Galię i rozpostrze władzę nad światem.

Dwaj wodzowie stanęli wobec siebie.

CEZAR (do Wercyngetoryksa). Mów pierwszy... ta chwila
Twój przewagi nademną daje ci to prawo.
Przychodzisz tu, młodzianie, uwieniczony sławą.
Jak dźwigniesz los, co świetną drogę ci otwiera?
To szkopuł rosnącego w chwałę bohatera.
Mów!

WERCYNGETORYKS. Cezarze! posłuchaj z ust mych słów pokoju.
Nie była na nie pora, póki w krwawym boju
Parła Belga z Helwetą moc twa niezwalczona,
Póki kark wolny gięły celtyckie plemiona,
Ujarzmione twym mieczem! dziś mogę rzec słowo
Bez poniżenia Gallów; Cezarze, tą mową
Nie obrażę czci twojej! Z twych pęt rozwiązani
My dziś wolni bez pana, nie twoi poddani!
Lecz tyś zawsze Cezarem, olbrzymie twe ramię,
Choć twardego mych ludów oporu nie złamię,

Nie mniejszy z twego czoła bije promień chwały,
Przed blaskiem twoich czynów świat korzy się cały;
Przebiegłeś Alpy zimą przez śnieżne zakopy,
Przez przepaście nietknięte śladem ludzkiej stopy,
Tam orły z gór jak burza spadły w kraj szeroki
Jednym tehem wód szerokie przebrnąłeś potoki,
Nasze grody, skruszone twą krzepką prawicą,
Szły w gruzy... O! zaprawdę, wieki się poszczycą,
Że wydały Cezara!... lecz, wodzu, w tej dobie
Lud, olbrzymi zapaśnik, wystąpił wbrew tobie,
Bez tebu, bez sił; pogrążon już w pleśni grobowej,
On powstał i zwycięsko rozkuł swe okowy.

I z iskry, co przetrwała w głębi jego ducha,
Płomień życia i chwały silnie dziś wybucha,
To, o co się druidów zabiegi skruszyły,
Wykonał Cezar mieczem, on wskrzesił w nim siły!
Lud sprzeżon świętym węzłem dziś w swobody imię,
Jednego zapaśnika widzi tylko w Rzymie!
By z kraju nienawistne wypłoszył Rzymiany,
Z płomieniem puszcza grody i kłosiste łąny.
Łącząc z męstwem przezorność, umieją dziś Gale
Krok za krokiem do celu podążać wytrwale;
Pod jarzmo wodza sami poddają dziś głowy,
By wieczną kupić wolność, za przymus chwilowy!
Tak, Gallowie dziś wielec, przyznaj sam, Cezarze!

CEZAR. Nie!... jeden Gall jest wielkim, na całym obszarze
Tęj ziemi; jam cię sądził zbyt pysznym, twe słowa
Dowodzą, żeś zbyt skromny!... z tobą siła nowa
Wstąpiła w lud twój, stopą zwycięzcy zdeptany,
Niszczysz jednym zamachem rozległe me plony,
Twe ramię niedobitków w dzielny zastęp sprzęga,
Groźna pod technieniem twojem powstaje potęga,
Ty sam przeznaczeń Gallów trzymasz w ręku szalę.

WERCYNGETORYKS. Nie!... przemennie to raczej wszystko tworzą Gale!

CEZAR. Orla twoja żrenica nie olśniona chwałą;
Zabezpieczyć fortunę z ręcznie ci przystało!
Niejeden w pierwszym boju wódz przemógł nad Rzymem,
Lecz każdy legł w ostatnim zapasie z olbrzymem.
I Annibal nad Tybrem już rozbił obozy,
Na widok jego sioniów Rzym wstrząsł się od grozy,
Lecz wnet zmienna fortuny zważyła się szala,
Trucizna ocaliła wolność Annibala,

Jugurta był też wielkim, długo losu dary
Sprzyjały mu, aż w końcu...

WERCYNGETORYKS. W głąb czarnej pieczary
Rzym pogrążył go żywcem...

CEZAR. Ostrzeżon ich klęską,
Umiej w porę powstrzymać prawicę zwycięską.
Choć mnie zwalczysz, wnet siły nadeiagną tu nowe,
Drogą, com ją wydeptał przez Alpy lodowe.
WERCYNGETORYKS. By nas przemódz dziś: Rzymu już siły nie starczą,
Wiesz o tem, kiedy obcą zaslaniasz się tarczą,
Gdy na kark nam germańskie sprowadzasz zagony!

CEZAR (*żywo*). Wszak do tego mnie zmusił twój opór szalony!
WERCYNGETORYKS. Wiesz sam, że odtrącając Galle od przymierza,
W niebezpieczne Rzym ręce swe losy powierza,

Bądź ostrożny, Cezarze!... wybór to złowrog!
Zaparte przez Maryusza otwierasz znów drogi,
Te drogi na Rzym wiodą, a ręka twa burzy
Niebacznie święte szczątki odwiecznych przedmurzy;
Dawnoż Cymbr z Teutonem wskazał wobec świata,
Ze Rzym, co dziś brzemieniem narody przygniata,
Może z rąk puścić berło ciężące ludzkości!

CEZAR. Cymbrów, Teutonów zbieleły już kości,
Ich proch nasze winnice pół wieku zawala.

WERCYNGETORYKS. Długo jednak wątpliwa chylila się szala,
Niezawsze Maryusze ma Rzym lub Cezary!

CEZAR. Tak daleko ja państwa rozpostre obszary,
Że nigdy barbarzyniec tych Alp nie posiedzie.

WERCYNGETORYKS. I ja rzeknę: Cezarze! wstrzymaj się w zapędzie,
Jeszcze pora!... trwałemi złączmy się ogniwy,
Na głos mój, Galle z ręki miecz wypuszczą mściwy,
Naszych grodów w zwaliskach, naszych siół w perzynie
Przepomnim ci, Cezarze, i tej krwi, co plynie...
Wśród krajów naszych Alpy wznorsą białe szczyty,
Snadź bogowie dźwignęły te olbrzymie płyty,
By pod tarczą ich kwitła nasza ziemia święta;
Na ogniwa przyjaźni przekuj twarde pęta,
Co krepują kark wo nych. Różni obyczajem,
Różni duchem i mową, lecz zbratani wzajem
Węzłem odwiecznych podań i węzłem krwi blizkiój,
Wyniańczeni pospołu wśród jednej kołyski,
Złączmy się w jednym celu, — przy wspólnej pomocy,
Idźmy od Alp, od Rzymu, ku krańcom północy,

Z tych stropów barbarzyński powiew na świat zionie,
 Obie nasze ojczyzny powódź ta pochłonie,
 Gdy w działaniach, bratnimi rozdzieleni spory,
 Wylewom dziec północnych nie stawim zapory.
 To dzieło godne ciebie! Tak, wielki Cezarze!
 Ja, wierny syrzymierzeniec pójdę z tobą w parze,
 Będę żołnierzem twoim... północ nas przygniata,
 Zostaw Gallów wolnemi, a bądź zbawcą świata!

CEZAR. Umiesz dzielnie szermierzyć i mieczem i słowy,
 Twórczy duch cię prowadzi w tór przyszłości nowej.
 Lecz to próżne marzenia!... poszepty zuchwale,
 Na pewniejszej podstawie zbuduj przyszłą chwałę!
 Posłuchaj mnie, Celtilu, śmiertelny rak toczy
 Serce ojczyzny twojej!... zwróć nań pilnie oczy
 Ten rak nie mojem dziełem, nie zleczyć go tobie!
 Kraj przez ciebie dźwigniony musi legnąć w grobie.
 Tyś spoił serca Gallów dzielnemi ogniwy,
 Lecz cóż będzie po tobie? co mówię... tyś żywy
 Ujrysz gmach ten zlepiony twą prawicą młodą,
 Podkopany zepsuciem, zburzony niezgodą.
 Żywotność barbarzyńska już wysycha do dna
 W sercu twych starych Gallów, pierś ich krwi nie głodna,
 A jednak promień światła nie wyzwał w zapasy
 Pomroku, co przytłacza wasze ciemne lasy,
 Dobroczynny wpływ nauk jeszcze wam nieznany,
 To powolne, to groźne do zbytku twe klany,
 Zniszczą w samym zawiązku dzieło rozpoczęte...
 Ojczyzna twoja kona...

WERCYNGETORYKS. Waż, godło jój święte,
 On co rok z twardój skóry w nową się odradza!

CEZAR. Człowiek nie ma téj siły...

WERCYNGETORYKS. Próżno Rzym sprowadza
 Hordy dzikich Giermanów, próżno w pierś nam godzi,
 Gallja wszystko przetrwał...

CEZAR. Ona się odrodzi,
 Lecz wprzód skonać powinna... Tak, Rzym ją pochłonie,
 Rzym, który sto narodów piastuje w swém łonie;
 Wam pierwsze po Latynach miejsce w nim należy,
 Wszystkie wszystkim otworzymy! — u Tybru wybrzeży
 Wnet zasiądą do rady w senatorskiej todze,
 Z puszczonego na wiatr włosem dzielną Gallów wodze,
 Aż zadrgnie stare Forum .. O! wielka ta chwila!...
 Nie dawno ja tron Gallów miałem dla Celtila,

Lecz wspanialszy dziś zaszczyt za berło mu stanie,
 Obywatelem Rzymu bądź, zacny młodzianie!
 Niech Gall zamrze dziś w tobie, a świat ci otworzę,
 Będziesz synem Cezara... i... następcą może.

WERCYNGETORYKS. My przedzierzgnąć się w Rzymian!...
 (wskazuje w niebo). Tam ojcowie starzy
 Odtrąciliby synów!

CEZAR. Cóż się tobie marzy?
 Panuj ze mną na ziemi, niech ojce śpią w grobie!

WERCYNGETORYKS. Ja mówię o wolności, Cezarze, gdy tobie
 W myśli tylko zdobycze, i na ludy pęta!
 Sprzymierzmy się jak równi, lub walka zawzięta,
 Walka na śmierć!...

CEZAR (z gniewem). Celtilu! (spokojniej).
 Przez Alp lodowiska
 Mamże wieść me kohorty? Odkąd świt polyska
 Nad Rzymem — gdy Romulus w grubym wieków mroku
 Mienił Rzym swém imieniem, Rzym nie cofnął kroku!
 To szaleństwo!... (wchodzi goniec).

GONIEC. Cezarze!
 CEZAR. Któż śmie?... widzę gońca!
 GONIEC (podając list). Jam od Labienusa!
 CEZAR (żywo). Daj! (czyta).

„O zmroku słońca
 Naddięgną tu Giermanów niezliczone chmary,
 Jutro je pod Cezara przywiodę sztandary.” (na stronie).
 Ha! jeszcze gwiazda moja nie straciła błysku,
 Poruszyłem ohydne te męty w bagnisku,
 Niech po mnie ślepe losy wydzwigną Rzym z toni,
 Dziś Cezar losy świata trzyma jeszcze w dłoni!

WERCYNGETORYKS. I któż z nas dwóch w dziedziny oblędu złowieszcze
 Zapuszcza się marzeniem? Cezarze! czas jeszcze,
 Chceszli rzec się podboju w imię świętej sprawy?

CEZAR. Chceszli pod cieniem Rzymu dokupić się sławy?
 Lub w zwaliskach ojczyzny zagrzebać twe imię?
 Bądź co bądź, rządy świata zostaną przy Rzymie!

WERCYNGETORYKS. Nie Rzymowi ty służysz!... Och! cel twój mi znany,
 Gallów naprzód, Rzym potem chcesz oknie w kajdany.

CEZAR. Te słowa znać posłyszał Celtil z ust Katona,
 Tak jest, Rzym świat ogarnie w olbrzymie ramiona,
 Mocarz z poręki bogów nowy tor mu wskaże,
 Jam ramieniem Jowisza!...

WERCYNGETORYKS. Tobież to, Cezarze,

- Wspominać bogi Rzymu? traf ślepy twym bogiem!
Natchnione syny Gallów niech w marzeniu błogiem
Widzą niebo, dla ciebie czyż ziemia nie starczy?
- CEZAR. Dumaj więc o twych bogach pod cieniem ich tarczy,
Zbiegaj duchem odwieczne praojców mogiły,
W polotach w nieskończoność trwoń młodzieńcze siły,
Jam do ziemi tej przykuł pewniejsze nadzieje,
Będę ją miał...
- WERCYNGETORYKS. Czczą marę, którą wiatr rozwieje,
Potém nic... garść popiołu — dźwięk sławy przebrzmiałej,
Ot... wszystko...
- CEZAR. Jeśli jutro w proch zmienię się cały,
Ten proch jeszcze przez wieki zapanuje światu!
Na gmach, zlepił mą ręką, promień majestatu
Spłynie z czoła mojego, i czas go nie schłonie,
Zostawiam imię światu, a na wieków łonie
Przed blaskiem jego ludzkość upadnie olśniona,
I to imię plemionom przekażą plemiona!
Tak, w miejsce twoich bogów ja sam będę bogiem!
- WERCYNGETORYKS. Bóg złego, bóg nicestwa, obrzucon barlogiem,
Gdy padnie, kłatwą ludów obciążon do syta,
Gdy zacięży ludzkości... takiego zaszczytu
Doczekać takim bogom!... miecz w dłoni mój czysty;
Choć mnie przywałą gruzy mój ziemi ojczystej,
Moje imię zasłynie w przyszłości dalekiej
Z miłością ludu wiekom przekażą je wicki!
- CEZAR. Lud! tłuszcza to bezmyślna! Wszak na Grachów głowy
Spadło jego przekleństwo; lud, bluźnić gotowy
Tym, którzy go miłują, ezcieć tych, co zuchwale
Depeczą po jego karku! — jutro twoi Gale
Przepomną cię, żeś istniał, gotowi bez sromu
Wnieść mi ołtarz na zgłiszczach twego niegdyś domu,
Kędy grzmotem oklasków witano cię wczora!
Przyszłość do mnie należy...
- WERCYNGETORYKS. Tak, przyszłość upiora,
Któremu tron grobowe rebactwo roztoczy.
- CEZAR. Ziemia moja!...
- WERCYNGETORYKS. Niech ziemia spadnie ci na oczy,
Dla mnie światy bez granic i wieki bez końca,
Gdzie prawda nieśmiertelnym świeci blaskiem słońca,
Zatrą wieki na ziemi twój przemocy ślady,
Tę ziemię, którą wolne dzierżyły naddziady,

- Wywalczą syny mieczem, oni w późne czasy
Z twym rodem będą staczać olbrzymie zapasy,
Aż synów prochu zwalczy nieśmiertelnych plemię.
- CEZAR. Synom ziemi przystało odziedziczyć ziemię.
- WERCYNGETORYKS. Zwycięstwo temu czoło promieniem otoczy,
Kto z uśmiechem na ustach spojrzy śmierci w oczy.
- CEZAR. Kto chce żyć i zwyciężyć, temu losy starczą.
- WERCYNGETORYKS. Niech żelazo rozstrzygnie...
CEZAR. Pod fortuny tarczą
Jam pewny!...
- WERCYNGETORYKS Bóg naddziadów drogę mi ukazał!
(*zwracając się do wodzów galskich*).
Do klanów! — niech grzmią hasła!... czekam cię, Cezarze.
- CEZAR. Pomnij losy Jugurty, o Gallu zuchwały.
- WERCYNGETORYKS. Pomnę, jak orły rzymskie przedemną pierzchały!

Z POEZJI PROWANSALSKIEJ.

I. Z JASMIN'A *).

Moje wspomnienia (fragment).

Skoro przyrzekłem, niechże się stanie,
Gdziem się urodził, opowiem, panie,
Wiek już zgrzybiały schodził ze świata,
Miał on przed sobą tylko dwa lata,
Kiedy w zakątku uliczki starój,
W domu, gdzie szeszurów lęły się chmary,

W nędznej komorze, nagiej i pustej,
(Było to w czwartek, w same zapusty),
Z ojca garbuska, z matki kaleki,
Dziecię rozwarło na świat powieki,
Jam był tém dzieckiem... ja... miły Boże!

*) Jakób Jasmin, urodzony w mieście Agen w pobliżu Pirenejów roku 1798. Perukarz z profesyi, obdarzony darem poetycznym, śpiewał on po gaskońsku, w jednym z tych narzeczy, na jakie rozpadł się język *d'Oc*, panujący w całej południowej Francyi od Alp do Pirenejów. Ten język, tak wytworny w pieśni *Trubadurów* średniowiecznych, poszedł następnie w poniewierkę, przygłuszył go język *d'Of*, naprzód wyrobiony w pieśni *Truverów* północnych, a następnie pracą wieków doprowadzony do formy wytwornej.

Pieśni i poetyczne obrazki gaskońskiego śpiewaka stały się niespodzianką dla Francyi, przedmiotem podziwu dla filologów—przed laty pięćdziesięciu Paryż zapragnął poznać poetę. Za przybyciem do stolicy—perukarz z Agen zbierał oklaski i wieńce, tak w kołach literackich, jak i w arystokratycznych salonach. Akademia przyznała mu wielką nagrodę Monthion. Słynny filolog Villemain wręczył mu złoty medal, wyrzekł zaszczytne słowo: najwyższą cechą tego oryginalnego talentu jest nieskażona czystość: Bóg, rodzinna ziemia, dom, wierna i uczciwa miłość, szlachetna przyjaźń, litość dla sieroctwa i wszelkiej nędzy ludzkiej, oto pobudki ślicznych utworów gaskońskiego poety.

Jasmin umarł w Agen, w roku 1861. Rodzinne miasto uczciło go pomnikiem.

Gdy się królewicz rodzi bogaty
 Na powitanie grzmia mu armaty,
 A ja syn krawca, marne niebożę,
 Świat mnie z milczącą wita pogardą,
 I nikt nie uczi nawet petardą.

Acz nie grzmia trąby, nie biją działa,
 W ciasnej izdebce, wśród ciszy głuchej,
 Rośnie w kolebce dziecinka mała,
 Wkoło spowita w grube pieluchy,
 Pościółka cała w łąty i łatki,
 Ptasiemi pióry napehana lekko.
 Biedne chłopiątko, ale pierś matki
 Zdrowe na pokarm daje mu mleko,
 I pieśń mateczyna nianczy je przecie,
 Więc jak królewskie wyrasta dziecię.

Długo tak było, aż naostatek,
 Siedem okrągłych zbiegło mi latek,

Wy, rozmiękczone zbytciem pieszczochy,
 Ogrzane sztucznym ciepłem ogniska,
 Lada pustota, lada skok płochy,
 Krople wam potu z czoła wyciska,
 Nędzne cherlaki, a nam tak zdrowo,
 Biegać po dworze w zamieć zimową,
 Bośmy półnaczy, nie marzniem weale,
 Ale na letnim nie schniem upale,
 Gdy jak cyganki od słońca czarni,
 Po łąk zielonej harcujem darni.
 Tak mi dzień za dniem wesoło spływa,
 A gdy zadzwoni kłosista niwa,
 Gdy świętojańska zorza zaświeci,
 Zwawo na ostrów popędzim, dzieci,
 Daléjże w płasach wśród wrzawy pustej,
 Zbierać gałązki, wióry i chrósty,
 Na cześć świętemu, niechajże nocą
 Słupem ogniska wrząd zamigocą.

Choć mgła jesienna niebo przysłania,
 Zawsze pogodnie w mej duszy młodej,
 Kiedy nadeszły dni winobrania,
 Rączo dojrzałe zrywam jagody

Niech sobie zima pola ubieli,
 Niech opustoszy z liści winnicę,
 Niema zabawy nad wieczornicę,
 Prządki zasiadły wkrąg do kądzieli,
 U każdej w ręku warczy wrzeciono,
 Smolne łuczywa na ogniu płoną,
 My na ławeczce za piec ukryci,
 Z motka na klębek zwijamy nici,
 Kiedy ciekawie nadstawia ucha;
 W izbie cichutko, wtém głos podniesie
 Stara babinka, zgarbiona, sucha,
 Prawi nam duby o zbójcach w lesie,
 O czarownicy, której moc taka,
 Że człeka zmieni wnet w wilkołaka,
 O białych wiedźmach, jak w pomrok czarny,
 Chyłkiem wylażą z ziemi cmentarnej;
 Strwożony, nieraz tchu nie pochwyć,
 A kiedy zegar północ uderzy,
 Gdy naszą ciemną zbiegam ulicę,
 Niby éma duchów tuż za mną bieży,
 Wiedźmy chichoczą, wilkołak wyje,
 A ja uciekam na łeb na szyję,
 Ale niech rankiem pierzchnie mrok szary,
 Słonko rozpędza grobowe mary,
 I znów wieczorem siadam na ławie,
 Wytrzeszczam oczy, słucham ciekawie,

Długo tak było, aż złoty wątek
 Przerwał się nagle, nie dla mnie gody!

Lat mi dobiegał pierwszy dziesiątek,
 Płasałem z dziatwą pełen swobody,
 Bawim się w wojnę, harcujem żwawo,
 Bijemy w hębny, dzwonim w szabelki,
 Aż tu w ulicy tłum jakiś wielki.
 Jednym poskokiem zwrócę na prawo.
 Co widzę?.. starca dwaj ludzie niosą;
 Siedzi na krześle, jak gołąb siwy,
 Mój-że to dziadek?.. drży... ledwie żywy,
 Pot mu na czoło wypłynął rosa,
 Przy starcu idzie ojciec i matka,
 Krewnych i drubów cała gromadka,
 Łzy mi strumieniem z ócz się puściły,
 — „Tyżeś to — wołam — dziaduniu miły!”

Biegnę, do piersi głowę przytulę,
On cicho westchnął, objął mnie czule,
A gdy go smutny ściskam i pieszczę,
Łza mu z powieki spadła gorąca;
— Nigdy nie leż jego nie widział jeszcze,
I podniósł rękę... tak była drżąca,
Jak liść osiny...

— „Być-że to może?
Ty nas opuszczasz, dziaduniu drogi?
Tobie się nasze sprzykrzyły progi?”
— „W szpitalu, rzecze, usłane łożo,
Mnie tam ostatniej czekać godziny,
Nie płacz mi, dziecię — trudnaż bo rada,
Od niepamięci, z dziada, pradziada,
Tam umierają wszystkie Jasminy.”

Umilkł i zamknął błękitne oczy,
I cień mu jakiś czoło pomroczy.
Poszliśmy za nim do wrót szpitalu,
Serce mi w kęsy rwało się z żalu.
I po raz pierwszy, wtedy... ach wtedy,
Okropność naszej poznałem biedy.

P a p i l o t a.

Kładę podpis na papierze,
Przy podpisie kładę złoto,
Mam posiadłość... rad z niej szczerze,
Zwę ją moją *Papilotą*.
Długiem o niej marzył lata,
Dziś spełnione me nadzieje,
Jam szczęśliwy jak pan świata,
Niech się ze mnie, kto chce, śmieje.
Toż dziedziny nie znam takięj,
Istne cudo, żywy raj,
W dziesięć rzędów winne krzaki,
Dziesięć wiśni, to mi gaj.
Gdzie rzucę okiem, wszystko moje,
Te dwa wiązy, te orzechy,
Te kryniczne oba zdroje,

Ileż dla mnie dziś uciechy!
Moje obie te brzoskwinie,
I tych kwiatów słodka woń,
Zmień się, muzo, w gospodynię,
A ja pędzel ujmę wdioń.
Żywe cuda nim odtworzę
Macierzystej mojej ziemi,
Którą piękne słonko boże
Promykami złoci swemi,
Piers jej żyzną tylko wzrusz,
A plon złoty rośnie już.

* * *

Tam na północy piętrzą się wysoko
Mury zamczysków i kościołów strzały,
Praca człowieka, — gdzie poniesiesz oko,
Tam wycisnęła swój ślad wiecznotrwały.
Ale przyjdź latem na brzegi Garony,
A wzrok tu bożą napięścisz robotą,
Łąki, odziane w aksamit zielony,
Na polach szczere polyskuje złoto,
Rzeźwiący wietrzyk od gór nam powiewa,
Tu kwiat uroczy pod stopy nam rośnie,
Wieś pod Paryżem ma kwiaty i drzewa,
Lecz się do ciebie uśmiecha żałośnie,
Ta wielka pani z przymgloną powieką.
Pod niebem naszym inaczęj drga życie,
Tysiące domków bieleje nad rzeką,
Tysiące ptasząt pokwila o świcie,
Z uroczą pieśnią słowików tysiąca,
Głos stu pastuszków pomyka w obszary,
I chór wesoło powietrze roztrąca,
Bo głosi miłość i słodkie jej czary,
Wasza opera znikłaby zdumiona,
Gdy pod dotknięciem złotego przedświtku,
Żalobna nocy rozpęknie zasłona,
I błysnie słońce na łonie błękitu,
Gdy harmonijnie przed Pana obliczem
Dwa chóry pieśni w chór spłyną jedyny,
Z hymnem skowronków, z kwileniem słowiczem,
Dźwięki fujarek pastuszków z doliny.

* * *

Płynie w górę hymn wesoly,
 Uśmiechnęły się anioły,
 Ziemia niebu śle w pokłonie,
 Z rosą czyste kwiatu wonie.
 Coraz głośniej koncert brzmi,
 A ja chwytam pełną duszą,
 Pieśń słowiczą, pieśń pastuszą,
 W méj winnicy słodkoż mil

Syn wyrobnika.

Co dnia bladej słońce złote,
 Na puste pola mrok pada głuchy,
 Jaskółka rychłą przeczuwa słotę,
 Zbiega do cieplic pełna otuchy,
 Wichor żalostnie potrąca lasem,
 Z wierchołka dębów strząsa liść szary,
 I czarno sterczą nagie konary,
 Bo Wszystkich Świętych dzień już zapasem.

Późno pod wieczór z murów miasteczka,
 Gdy blade miesiąc na niebie świeci,
 Wybiegło dwoje ubogich dzieci,
 Żalostny chłopiec, łzawa dziewczuszka.
 Płaczą oboje w bólu i trwodze,
 Serca ich ciężkie przygniotło brzemię,
 Gdzie boża męka stoi przy drodze,
 Oboje kornie padli na ziemię.
 I milczą długo i blade lica
 Oblał im drżący promień księżycy,
 I u stóp krzyża uderzą czołem,
 W niebo utkwili wzrok pełen wiary,
 I pieśń pobożna z serc obu społem,
 Leci na skrzydłach w jasne obszary.

„Boga Rodzico, Panienko boża,
 Ześlij anioła z niebiosów bram,
 Niechże nam ojca podźwignie z łoża,
 Niech go uleczy i wróci nam.

„Niechże ukoi matkę zbolalą,
 I od sieroctwa uchroni nas,
 Złota Panienko, my duszą całą,
 Chwalić cię będziem po wszystkim czas.”

Marya na prośby skłoniła ucho,
 Działki pobiegły co tchu do miasta,
 Kołaczą we drzwi, — wyszła niewiasta.
 „Dziateczki moje, — rzece z otuchą,
 Śmierć ustąpiła z naszego progu,
 Gorączka straszną traci już siłę,
 Chodźcie wy ze mną, jagniątko miłe,
 Serdeczne modły wzniesmy ku Bogu.
 I wszystko troje klękli w pokorze,
 Z radością w sercu i pełni wiary,
 Modlą się Panu — patrzą na łożo,
 Gdzie śpi snem cichym ojciec Hilary,
 Niedawno żołnierz śmiały i dziarski,
 A dziś wyrobnik, sługa mularski.

Otóż i ranek, promień przedświtu
 Jasno izdebkę rozświetla małą,
 Wiatr mętne chmury zgania z błękitu,
 Z cicha, na palcach Albin się skrada,
 Nad łożem ojca patrzy nieśmiało,
 Patrzy... twarz jego zwiędła i blade,
 Na czole widać ślady boleści,
 Lecz słodki uśmiech usta mu pieści.
 Otworzył oczy, — spojrz na syna:
 — Sluchaj mnie, rzece, Albinie miły,
 W pracy otucha nasza jedyna,
 Bóg dobry jeszcze wraca mi siły,
 Bym was od ciężkiej uchronił nędzy,
 Ty lat piętnaście już liczysz z górą;
 Ciebie przynęca książka i pióro,
 Hejże do pracy, chłopcze, co przedzój,
 Wiem ja, żeś warty, nie myśl o tem,
 Byś walił w kuźni żelaznym młotem,
 Innych ci darów niebo użycza,
 Masz lica gładkie, postać panicza,
 Głowę otwartą, otóż ja wolę,
 Z księgą i piórem widzieć cię w szkole,

Lecz od przechwałek niech cię Bóg chroni,
 Każdy z nas równo wyrobnik boży,
 Czy miękkie pióro, czy młot ma w dłoni,
 Niechże do dzieła ręki przyłoży.
 Na różnych drogach służmy więc Panu,
 Jeno się pilnuj, chłopcze kochany,
 Abyś, z kmiecego wyszedłszy stanu,
 Miał się powstydzic ojca sukmany.
 Błyska zapalem oko Albina,
 Ojciec do serca tuli pachole,
 Cieszy się matka radością syna,
 Szczęśliwy chłopiec uczy się w szkole,
 Przez cztery doby w duszy mu rosna
 Młode nadzieje — by kwiaty wiosną.

Wicher wnet rozwiął urocze mary,
 W niedzielę rano przysłano gońca,
 Niech na robotę wraca Hilary,
 Gdy w poniedziałek o wschodzie słońca,
 Sam się nie stawia z kielnią do pracy,
 Postrada miejsce.

Jakby grom z nieba,
 Spadło na serca straszne to słowo,
 Ojciec bez pracy, dziatwa bez chleba,
 Twardego muru nie przebić głową,
 Gdzie się przzytulą biedni żebracy?

— Jam zdrów, rzekł ojciec, rwie się na nogi,
 Choroba kroku postąpić nie da,
 Zdołaż przekroczyć izdebki progi?
 Trzeba spoczynku... przekłeta bieda.

Praca mu życiem, lecz trud nad siły
 Wnet go powiedzie w progi mogiły,
 I cóż mu począć?

W młodzieńca duszy
 Połyska promień — skraśniały lica,
 Daremną trwogę nadzieja głuszy,
 Ogniem natchnienia płonie żrenica,
 Snadź wola męska myśl młodą lamie,
 I w moc dziecięce uzbraja ramię.

Wybiegł co żywo, pędzi w lot strzały,
 Rychło powrócił — jakaż w nim zmiana?

Gładkie jagody mocniej skraśniały,
 Pokojem świeci czoło młodziana,
 Z ócz tryska radość, a słodkie słowo
 Płynie z ust miodem.

Ojczel — zagadnie,
 Masz wolny tydzień, zaczącem na nowo
 Kielnią i młotem dłoń krzepka władnie,
 Druh cię zastąpi — a ty mu zato
 Oddasz wet za wet, równą odpłatą.

Otóż nazajutrz nasz Albin młody
 Bez żalu miłą pomija szkołę,
 Z robotnikami śpieszy w zawody,
 Za trzech pracuje chłopię wesołe,
 To gniecie wapno, to jak ptaszyna,
 Po rusztowaniu skacze radosno,
 Z szczebla na szczebel w górę się wspina,
 W twardych zapasach siły mu rosna,
 W oku przyświeca wesołość pusta,
 Raz po raz uśmiech zbiega na usta.
 Albin szczęśliwy... o jakże dzielnie
 Za ojca dźwiga żelazną kielnię!
 Pot mu kroplami spływa ze skroni,
 Rozkręca włosów kędziory złote,
 A towarzysze poklaskiem dłoni
 Wciąż podniecają dziecka ochotę,
 Drżą, gdy po linie pomknie wysoko,
 I lżą niejedno zabieży oko.

Szczęśliwy Albin, gdy mrok zapadnie,
 I całodzienna kończy się praca,
 Grono mularzy do dom gdy wraca,
 On w nowe szaty stroi się składnie,
 Śpieszy w poskokach jak żak ze szkoły,
 W domowe progi chłopak wesoły.
 Wieczorem z siostrą o książce gwarzy,
 A gdy lza płynie matce po twarzy,
 On na nią słodko patrzy i mruga.

Ubiegła doba jedna i druga.
 Wstał chory z łoża o trzeciej dobie,

Długim spoczynkiem wylżały nogi,
W czwartek przepomniał już o chorobie,
W piątek z południa wyszedł za progi.

Słońko tak ciepło przyświeca z nieba,
Wsparty na kiju śpieszy Hilary,
Wszak podziękować druhowi trzeba
Co się za niego trudzi bez miary.

Stanął na miejscu, dokoła wzrokiem
Po rusztowaniu powiódł wysokiem,
Kędyż mularze? — Cóż im się stało?
Wszak do wieczery daleko jeszcze...
Nagle dostrzeże gromadkę małą,
Z piersi mu zimne przebiegły dreszcze,
Majstrzy i czeladź zbiegli się społem,
Patrzą ku ziemi z pochylém czołem...
Pyta...

— Spadł mularz z gózy... o Boże,
To mój nieznany przyjaciel może?
Biegnie wśród ciżby z rozdartą duszą,
Tłum go odpycha szczerlnie skupiony,
Radzi nie radzi puścić go muszą,
Ciżbę krzepkiemi rozparł ramiony.

Nieszczęsny ojcze, biadaż ci, biada,
Ten druh, co twoje ocalił życie,
To mały Albin — twe własne dziecię,
Leży starzany we krwi potoku,
Pierś ledwie bije — twarz dziwnie blada,
Słabo tli życie w gasnącém oku.

Ryknął Hilary, w oczach mu ciemno,
Lud wkoło dziecka żywo się tłoczy,
Próżne zabiegi — wszystko daremno,
Czoło młodzieńca cień śmierci mroczy,
Pierś roztrzaskana ledwie oddycha.

„O bracia mili — wyszepnie zeicha —
Do was w ostatniej wołam godzinie,
Zastąpcie ojca, nim tydzień minie,
Niech biedna matka nie łaknie chleba”.

Hilary głośnym zaryknął płaczem,
— „Tyś-że tu, ojcze; ty tu... o nieba,

I blady Albin na ojca łonie,
Utulił głowę, podał mu dłonie,
I gdy krwi strumień z rany się toczy,
Skonał, z uśmiechem patrząc mu w oczy.

Nie stracił miejsca ojciec Hilary,
Z rąk mu tysiąca sypną się dary.
Na cóż mu złoto? och! już nie porai
Biedny snem twardym zasnął z wieczora.
Bolesé mu łzawe zwarła powieki,
Zasnął na długo — zasnął na wieki.
Dokonał pracy — bije godzina,
Spoczął wyrobnik przy boku syna.

II. Z ROUMANILLE'A *).

Ż ł o b e k.

W serafinów czystych gronie,
Rozśpiewanych pieśnią chwały,
Czemuż jeden chyli skronie,
Zwraca w ziemię wzrok nieśmiały?

Czemuż smętny między braćmi,
Czyż nie starczą mu niebiosy?
To mu lice pomrok zaćmi,
Jak lilijka schnie bez rosy!

*) Kiedy Jasmin ukazał się w Paryżu w r. 1842, Villemain nazwał go ostatnim trubadurem. Nie przewidział snadź wielki filolog, że ten ostatni trubadur pociągnie za sobą cały szereg nowych, nie odgadł, że pieśń jego to hasło skowronka zwiastującego wiosnę, nie zaś kwilenie łabędzia wobec grobu.

W lat dwanaście potem, r. 1854, u podnóża Alp zawiązało się Towarzystwo poetów prowansalskich; przewodcami ich byli: Roumanille, Aubanel i Mistral przyjęli nazwę Felibrów od nazwy miejscowego drzewa. Najstarszy z grona Roumanille urodzony nad Rodanem w r. 1818, był pierwszym karczownikiem pola zarosłego odwiecznymi chwastami. Syn ogrodnika St.-Remy, cierpiał on słysząc jak matka śpiewa przy kołowrotku rzewne piosenki językiem zupełnie zepsutym. Na wzór ich tworzył nowe, zachowując dawną prostotę i pełną wdzięku melodyą. Zbiór ten wydał pod tytułem *Stokrotek* (les Marguerites). Opiewa w nich życie przy domowym ognisku, trudy rolnicze, żniwa, winobranie, zbiór oliwek i t. p. Wątek ich rzewny, przeplatany swobodnym żartem, porusza do łez i pobudza do śmiechu. W jego pieśniach kołędowych drga dusza Prowancyi: W tym słonecznym kraju lud modli się wesoło. Pieśni Roumanilla rozpowszechniły się między ludem, pisał on również małe powiastki proza, maluje w nich życie prostaczków, wytyka z miłością ich wady.

Umarł Roumanille w roku 1891.

Skąd ta żalność i tęsknota?
I ten rąbek mgły nad czołem?
Wszak promienne kraju wrota
Nie zaparte przed aniołem!

Oto pomknął przed tron boży,
Zmilkły chóry, cisza głucha,
Do nóg Panu głowę korzy,
Cóż on powie? bracia słucha!

„Kiedy Jezus w Betlejemie,
Drżący z zimna ronił łezki,
Z woli Twojej, jam na ziemię
Zbiegł ku niebu stróż niebieski.

Mym uśmiechem łzy mu koję,
Tulę skrzydły drżące ciała,
Płomieniste technienie moje
Piers Dzieciątka ogrzewało!

Od pamiętnej oniej chwili,
Gdy usłyszę, dobry Boże!
Jak dziecinka smętnie kwili,
Serce moje znieść nie może!

Tam na ziemi, tyle dziątek
Drży od chłodu, kona wszędy,
Te jagniątko mrą bez matek,
Ślij mnie, Panie, tam, coprędziej!

Daj na ziemię wrócić jeszcze,
Ja podejmę te sierotki,
I ukocham i upieszczę,
Pocalunek dam im słodki.

I rozetlą im ognisko,
Gdy zamiecie dmą zimowe,
I posadzę nad kołyską,
Tych niebożąt — matki nowe!”

Przywłórzyły bratnie chóry,
Pan dał z nieba znak prawicą,
I serafin jasnopióry,
Zbiegł ku ziemi błyskawicą.

Kędy stąpił anioł boży,
Myśl powstaje w sercach święta,
Nowy żłobek się otworzy,
I przytuli niemowlęta!

Ślepa dziewczeczka.

Zapłacze dziewczeczka łezki rzewnemi,
Oj, cudaż tam cuda! w Betlejem ziemil
Wszyscy się wesela, a ja w żalobie,
Nie ujrzę dzieciątka na sianku w żłobie,
Wezmijże mnie z sobą, mateczko droga!

— Poczóż-byś tam poszła? zostań u proga!
Twe oczy pokryte czarną zasłonką,
Nie znane ci gwiazdy, ni złote słonko!
Powrócim tu jutro po zmierzchu zorzy,
Opowiem, co słyhać w stajence bożej!

— Niechaj-że i moja stopka tam stanie,
Gdzie zrodził się słodki Jezus na ziemi.
I znowu rzewnemi zapłacze łzami!

— Chodź, córko, powitaj Dzieciątko z nami!
Mateńka podała rękę niebodze,
By stopką nie utkła o kamień w drodze,
I weszły pobożnie w stajenki wrota,
Z po nad nich gwiazdeczka przyświeca złota,
Ukłękły przy żłobie, modlą się długo,
Blask bije na ściany światłości smugą,
I tylko dziewczeczce mrok oczy ślepi,
Omackiem do żłobu dłonie przyczepi.
I rączkę Dzieciątka schwyci w pomroku,
Na jedném, na drugim kładzie swém oku,
W tém drżąc jak listek główkę ukorzy,
Ujrzała oblicze Dziecinki Bożej!

Rodzinne gniazdko.

W niskiej chatce, otulonej w cień grusz i jabłoni,
Letnim rankiem, gdy na polu sierp i kosa dzwoni,
Po cichutku snuć począłem me dziecięcę latka,
Mój ojciec był ogrodnikiem — ogrodniczką matka.

Ze siedmiorga dziątek pierwszy rodzicom zesłany,
Jam wniósł promyk łaski bożej w ich domowe ściany.
Biedna matka nad kołyską śpiewała tak słodko —
„Lulaj-że mi, mój maleńki — śpijże, moje złotko!”

Zbiegły lata, ale domek jeszcze stoi cały,
Słonko wiosną na jabłoniach rozwija kwiat biały,
Ogródek się zazieleni — wszystko żyć poczyna,
Pszczołki brzęczą — tylko z gniazdka ubiegła ptaszyna.

Ja cię błagam, spraw to, Boże, w dobroci bez miary,
Gdy ostatnią połknę kroplę z połunowej czary,
Niech po długim znoju życia odpocznę w tej ziemi,
Com ją zdeptał w dni poranku stopki dziecięcemi.

III. Z TEODORA AUBANELA *).

Dziewąty Termidora.

Gdzie to idziesz? twoja ręka
Krwawym nożem ostro szczęka?
— „Gdzie ja stąpię, zadrży świat!
Ścinam głowy, bom ja kat!

— „Krew pociekła po twój szacie,
Obmyj ręce, straszny kacie!”

— „Po co zmywać! niech pociekła,
Jutro nowa spłynie rzeka,
Krwawe dzieło zacznę znów,
Mam do ścięcia tyle głów!

— „Nie znasz węzłów żadnych w świecie,
Nie zniewoli-ż ciebie dziecię,

*) Teodor Aubanel—urodził się w Awnionie, gdzie ojciec był księgarzem. Najczynniejszy z Felibrów, oddał się całkiem podjętej przez nich sprawie. W miarę, jak powstawały coraz nowe ogniska w południowej Francji, przebiegał je kolejno. Obecny na każdym zebraniu, śpiewał pieśni, przedstawiał dramata, drukował książki, wydawał kalendarze i dzienniki. Biegły mówca, porywał za sobą cały zastęp młodzieży, budził w niej zapał i wiarę w przyszłość. Miał na celu zarówno podniesienie języka jak i wywalczenie prowincjonalnych swobód, ściśniętych dwuwiekowym jarzmem centralizmu. Związany serdeczną przyjaźnią z Mistralem, przebiegał z nim góry, pola i wioski, w pogoni za czystą poezją, za żywym gieniuszem macierzystego języka. Tworzył jego pełne siły, dramata z życia ludu tchną samodzielną potęgą — przedstawiano je w Montpellier, przy gorącym pokłasku tłumów. Aubanel umarł w r. 1886, w całej pełni talentu i działalności.

Gdy twa siecze dłoń zawzięta,
Obok matek niemowlęta,
I młodzieży cudny kwiat?
— „Ścinam głowy, bom ja kat!”

— „Ziemia trupem w krąg zasłana,
Kto żyw pada na kolana,
Masz-li, kacie, ludzką duszę?”
— „Milez, dokonać pracy muszę,
Precz odemnie— szkoda słów,
Mam do ścięcia tyle głów!”

— „Gdy spragniony pijesz w skwarze,
Krew się pieni w twym puharze,
Chleb, dotknięty twoją dłonią,
Straszno cuchnie trupią wonią.
Śmierć powiewa od twych szat!”
— „Ścinam głowy, bom ja kat!”

— „Pot ci strugą trysnął z lica,
Ręka jeszcze nóż pochwyca,
Nadaremno! szczyrba w stalil...
Stój! nie pójdziesz kroku dalej!
Z rąk ofiara twych wypada,
Jeśli chybisz, kacie, biada!”
— „Moją siłę pozna świat,
Ścinam głowy, bom ja kat!”

„Tak, ofiara ocalona!
Straszny odwet się dokona,
Ty wyciągnij, kacie, szyję,
Twa godzina wnet wybije!
Nóż nad twoją błysnie głową,
Trzeba-ż ostrzyć go na nowo,
Sprawiedliwość pozna świat,
Niech pod nożem padnie kat!”

R z e ź d z i a t e k.

Obrazek biblijny.

Zamykajcie szczelnie progi,
Rozbójników pełne drogi,
Kędy śpieszą? ach! czyż wiecie?
Biedna matko, ukryj dziecię;
Do ciemnicy znieś z kołyską!
Ciągnie tłuszcz, już tu blisko,
Nie zwłócz chwili, matko młoda,
To wysłańcy od Heroda!
Płacz, ni skarga nie pomoże,
Oni ostrzą wielkie noże,
Ukrywajcie drobne dzieci,
Nim Heroda nóż zaświeci.

Wszystkie siły zbierz, niewiasto,
Lotem strzały pędź przez miasto,
Bieź, co nogi starczyć mogą,
Przed siepaczów ćmą złowrogą.
Leć przez góry i doliny,
Ślům pieszczotą krzyk dziecińcy,
Do drżącego tul je serca,
Nim posłyszysz płacz morderca.
Śpiesz, tyś jedną mu obroną,
Widzisz pogoń tam szaloną,
Zbiedz przed niemi rzecz nie łatwa,
Hurmem krzyczą: „kędyż dziatwa?”

Hej za młoty, za topory!
Szczelnie zwarte drzwi komory!
Walą w rygle, pękły wreszcie.
Jakież widmo tam niewieście?
Staje w progu— drżąca wola:
„Ja dzieciątka nie mam zgoła!”
— „Kłamiesz, matko! słyszym przecie,
Na poddaszu kwili dziecię!”
Po drabinie tłum się wspina,
Pęka z bólu pierś matczyną,

Wnet u dziecka sennęj głowy
Nóż zaświecił Herodowy!

Wala, sieką, rośnie wrzawa,
Jak pod kosą pada trawa,
Na zielonęj ścięta łące,
W krwi padają ciała drżące,
Patrzcie! matka istna lwica,
Z ręki zbirów nóż pochwyca,
U jęj piersi obnażonęj,
Leży synek wpół uśpiony.
Ramię matki, dziecku tarczą,
Ach! czyż siły jęj wystarczą?
Dłoń omdlała, choć duch skory,
Kat ją schwył za kędziory,
Nóż z rąk wydarł jęj zdradziecko,
W dwoje rozciął sennie dziecko!
„Kędyż, kędyż niemowlęta?
Moc Heroda nieugięta!”

Głucha cisza: w nocnej mroczy,
Sam król Herod pyszno kroczy,
Patrzy, wyrok li spełniono?
Brodzi rzekę z krwi czerwona.
Martwych ciałek sterczą kupy,
Herod stopą depeze trupy.
— „Jak mi błogo! szepnie z cicha,
Tu pierś żywa nie oddycha,
Tu nie zabrzmi ludzkie słowo!”
Szał wstrząsł piersią Herodową.
„— Kędyż dziatwa?” — „Wszystka ścięta,
We krwi były niemowlęta!”

O Herodzie! w tęg godzinie,
Tyś tu panem! niech krew płynie,
Niech Betlejem łzami ścieka,
W twym pałacu łoża czeka,
Idź, odpocznij, władcę kraju,
Na bieluchnym gronostaju,
Kres niedługo przyjdzie tobie,
Wnet cię robak stoczy w grobie:
Nie pomoże tron wysoki,
Choćbys sięgnął pod obłoki.

Moc niewinnych padła dziątek,
Kraj zalany łzami matek,
Pordzewiały od krwi noże,
Lecz nie padło Dziecię boże!

P u s t y d o m.

Pusta dziś izdebka mojęj ukochanęj,
Nic-że mi te białe nie powiedzą ściany?

Wszystko, na co spojrzę, myśl w zakłęciu trzyma,
Próżno po zwierciadle zawodzę oczyma,
Ukaż mi zwierciadło, ukaż dziewczę młode,
Ty, co jęj prześliczną widziała urodę!

Widzę ją porankiem, nad wodą pół zgięta,
Myje hoże lica i białe rączęta,
Pusta i wesola, jak w polu skowronek,
Piosnką pogodną rozpoczyna dzionek.

Kruczy włos dziewczeczki w pierścieniu się wije,
Słoni wiotką kibić i łabędzią szyję,
Sięgnie po książeczkę, przed Bogiem się korzy,
Rozwiął nad nią skrzydła cichy anioł boży.

Widzę na kominie książkę tę otwartą,
Miejsce, gdzie jęj oczy spoczęły nad kartą,
Po za oknem wietrzyk głucho coś szeleści,
Słucham... próżna złuda, przepadła bez wieści!

Przeszły już te chwile wesolych pogwarów,
I radosnych pieśni, i piasów, i czarów;
Krucze jęj sploty obcięły nożyce,
Biały rąbek pokrył jęj różowe lice.

Odeszła stąd rankiem, świtał dzionek biały,
Łezki jak perełki z jęj oczu spadały,
Ani spojrzny na bok, nie zawróci z drogi;
Wbiegła lekką stopką za klasztorne progi.

Pusto dziś w ogródku, słowik nie zaśpiewa,
Róże nie zakwitły,—smutno szumią drzewa,
Próżno ślady gonię dziewczeczki kochanej,
Próżno w jój zwierciadło patrzę zadumany!

Spotkanie pierwsze.

To nie królowa, co w sług orszaku
Rączo na śnieżnym pędzi rumaku,
Gdy rozpasany wichur po lesie
Tuman kurzawy w ślady jój niesie;
To nie królowa, co wzrokiem dumy,
Na pęłzające pogląda tłumy,
A kędy groźną utkwi źrenicę,
Śmiertelna bladeść pada na lice.
O! nie! to jakieś ubogie dziecic;
Tępy osiołek na płowym grzbiecie
Niesie niebożę wążiuchną steczka,
Tam się raz pierwszy spotkał z dziewczeczka.

—„Na bok”, grzeczne mi zagadnie słowy,
Bo mój osiołek wierzgnąć gotowy!
„Ruszaj pan naprzód”, ze śmiechem doda,
I wstrzyma uzdę dziewczynka mloda,
Osiołek z cicha na bok uskoczy,
Ja w czarodziejkę utkwilem oczy.
Cudne to dziecic... wątła i cienka,
Miała gorsecik szary z płócienka,
Kibić jój kształtna, jak utoczona,
Szczupłe jój lica, krągłe ramiona,
Słonko się iskrzy biednej nad głową,
Chłodzi jagody różczką morwową,
Ociera z czoła kroplistą rosę,
Zwisły ku ziemi nóżki jój bosc.

—„Jak ci na imię?—powiedz mi, mała!”
—„Co panu po tém?”—w głos się rozśmiała,
Rumieńcem śniade spłonęło liczko,
—„Jam Różia, matka zwie mnie różyczka.”

—„A twój osiołek?”—„Zwą go Bielaskiem,”
—„A gdzie ty mieszkasz?”—„Het... po za laskiem.
Jest wiec, tam mieszka ojciec i matka.”
—„Wieleż was dzieci?”—„Cała gromadka,
Wszystkich pięcioro jest z laski nieba.”
—„Czyście wy biedni?”—„Mamy kęs chleba,
Ojciec pracuje od świtu do nocy.
—„A bracia?”—„Z braci nie ma pomocy;
Starszy od roku uczy się w szkole,
Rwie się do książki drobne pachole,
W chacie swawoli dwoje bliźniętek,
Aż miło, pełen ich każdy kątek.
Czwarty maleńki u piersi jeszcze,
Ja go kołyszę do snu i pieczęzę,
Śliczny aniołek, taki wesoły!”

—„I ty zapewne chodzisz do szkoły.”
—„Już tam chodziłam przez parę latek,
Umiem, co trzeba dla wszystkich dzietek,
W kościele czytam na książce gładko,
Piszę, rachuję, krzątam się z matka.”
—„Kędyż to śpieszysz?”—W pole do żniwa,
Matka od głodu pewnie pół żywa,
A ja tu gwarzę!”

I żwawo dziecicę,
Różczką osiołka zatnie po grzbiecie,
Bielasek dziarsko na bok ubieży,
Ja ścigam okiem ten pączek świeży,
Pełen niewinnej krasy i woni.
Zdała jój piosnka w powietrzu dzwoni.

IV. Z FRYDERYKA MISTRALA *).

Stary żniwiarz.

„Żwawo, dziewczęta! zgarniajcie kłosa,
Nim wiatr wykruszy z nich ziarna,
Straszliwym żarem pieką niebiosy,
Płakać nademną rzecz marna!
Śpieszcie, nim bujny płon waszj pracy
Rozniosą mrówki, wydziobią ptacy”.

*) Fryderyk Mistral, ur. we wsi Maillano u podnóża Alp w r. 1830. Przerósł on wszystkich Felibrów, tak pięknością języka jak i potęgą twórczą.

Syn rolnika, uprawiającego zagon ręką własną, nie jest on przeciw samoukiem. Ojciec, widząc w nim popęd do nauki,łożył chętnie na jego wykształcenie. Kiedy młodzian ukończywszy kurs prawa w Aix, powrócił do zagrody z otrzymanym licencjatem, zagadniony przez ojca, jaki chce obrać zawód? „zostanę z wami”, odrzekł, zawiesił, jak mówi, na kolku toę advokacką, i utonął w tém, co gorąco ukochał, w blasku słonecznej Prowancyi.

Wkrótce potem zawiązało się Towarzystwo Felibrów. Mistral stanął na czele. Spisał pieśni jak kwiaty. Ośmielony poklaskiem, wziął się do obszerniejszej pracy. W cudnym poemacie *Mirella* (*Mircio*) dowiódł, do jakiej potęgi może się wzniesić język prowansalski, kiedy mistrz nim zawładnie.

Poemat *Mirella* ukazał się w r. 1859. Przyjęto go z zapalem. Lamartine odczytawszy ludową epopeję, zawołał uniesiony radością: „otóż mamy Homera!” Słowa te zapisał w literackich rozprawach swoich.

Paryż zaprosił poetę. Akademia nwieńczyła *Mirellę* jako utwór wielkiego talentu. Wkrótce poemat ukazał się na scenie z muzyką Gounoda. Na język polski przełożył go Adam M-ski i wydrukował w „Bibliotece najcenniejszych utwor.”

Obok innych utworów potężnych, jak *Polendal*, żywy symbol słoneczny Prowancyi, Mistral podjął mozolną pracę nad słownikiem języka *d'Oc*, panującego z różnemi odmianami w całej Francji południowej. Wykonał dzieło w ciągu lat dziesięciu — otrzymał za nie wielką nagrodę akademicką.

Mistral nie opuszcza rodzinnej zagrody. Ożywia Felibrów, przewodniczy ich uroczystym zebraniom, niekiedy odwiedza i Paryż, gdzie pod jego kierunkiem powstała nowa gałąź towarzystwa, pod nazwą *koników polnych* (*Cigaliens*). Należą do niej wszyscy południowcy, osiedleni w Paryżu.

Tak na żniwiarki stary kmieć woła,
Zgorzale ku nim wyciąga dłonie,
Płacz się rozlega rzewny dokoła,
Biedny przodownik padł na zagonie!
Krew mu przez usta strugą się toczy,
Lica ma blade, wpół zgasłe oczy.

Żeńce jak wryci stoją z sierpami,
Patrzą na druha, zalani łzami.

Ale żałościę z piersi niewieściej,
Pobrmiewa chórem okrzyk boleści:
„Sen-że to złudny, czy oczy mylą,
Tenże to starzec, który przed chwilą
Tak żartko pędził druhy do żniwa,
Tak dzielnie krzepił serca młodzieży,”
Krwia przodownika pociekła niwa,
On-że to w brózzdzie półmartwy leży?

Stalowe sierpy w słońcu migoczą,
Starzec przoduje żeńcom ochoczo,
Żar południowy lica mu pali,
On nie ustaje: dalej-że, dalej!
Im krew zakipi w żyłach goręcjej,
Pada pod sierpem kłosów tém więcjej!

Żeniec za żeńcem zgjęty ku ziemi,
Zgarnia pszenicę garściami pełnemi,
Pot im kroplisty z czola wytryska,
Za nimi sterczą puste ściernika;
Tną, jakby siłą parci szaloną,
Ziemia im nagie odkrywa łono,
A siwy starzec z sierpem po przedzie,
Wierną gromadkę za sobą wiedzie.

Młódz nie ustaje, siły w niej rosna,
Kiedy pracuje, nie zbieć jęj z drogi,
Garście na garści wali radosno,
Lecz się pod starym zachwiały nogi,
I sierp mu z ręki wypadł na ziemię;
Czolo splonęło rumieńcem sromu:
Przeklina twarde starości brzemię,
On, co się nie dał ubiedz nikomu!

A młódź z czołem pochyłonym,
 Zgarnia dzielnie plon za plonem,
 Co napotka, siecze, wali,
 Pełną garścią rzuca zboże,
 Pędzi naprzód, — jak przez morze,
 Z pluskiem fala mknie po fali.
 Słońce strasznym piecze skwarem,
 Młodzież zgarnia kłosy śmiało,
 Niestrudzona, jakby czarem,
 Słonko za nią pracowało.

„—Naprzód, hej naprzód, dziarska młodzieży” —
 Spiekłemi wargi starzec bełkocze,
 Serce do pracy rwie się ochocze,
 Lecz z piersi skrzepłej głos nie wybieży.
 Słyszy go jednak wierna drużyna,
 Coraz to zwawiej kłosy podcina!

Znów stary ujął sierp w drżące dłonie,
 Ręką znów plowe zagarnia kłosy,
 Za nim w te tropy żnie na zagonie
 Dzielny robotnik, parobczak bosy.
 Czarny jak cygan, olbrzym postawą,
 Nie rzuci wzrokiem w lewo, ni w prawo,
 Podąża naprzód, wciąż... krok za krokiem,
 A sierp migocze w dłoni żylastój.
 Wtém upadł starzec, krzyknął niewiasty,
 I krew na ziemię trysła potokiem.
 Stary przodownik legł na zagonie,
 Zgorzałe w górę podnosi dłonie,
 Już mu od ziemi nie dźwignąć głowy,
 Słodkimi rzeczce do dziewcząt słowy.

— „Po co wam łzami rosić powieki?
 Wstecz nie popłynie koryto rzeki!
 Jam na zagonie przodował zawsze,
 Snadź też niebiosą na mnie laskawsze,
 Pan Bóg do siebie naprzód mnie wzywa,
 Jam pierwszy mego dokonał żniwa.

„Tam, gdzie mnie wiodą wyroki boże,
 Gdy zgaśnie słońko w wieczornój ciszy,
 Do waszój pieśni zatęsknić może,
 Ucho tych dźwięków czyż nie dosłyszysz,

Co je ku niebu z przezczystą rosą,
 W darze od ziemi anieli niosą.

„Daremne skargi, dobrze się stało,
 Ten, co naszymi rozrządza losy,
 Widział pszenicę w polu dojrzałą,
 Dalej-że sierpem zagarnąć kłosy!
 Przed okiem mojem słońeczko znika,
 Gdy wóz drabiasty przyciągnął woły,
 By suche snopy zwieźć do stodoły,
 Złóście na wozie i przodownika!

„Nieraz widziałem na łące wiosną,
 Kędy się owce pasły gromadnie,
 Ledwie jagnięciu różki wyrosną,
 Już do rogacza cwałem przypadnie.

„To mu żartko na grzbiet skoczy,
 To łbem palnie między oczy.
 Stary zrazu mu dotrzyma,
 Wciąż nadstawia łeb rogaty,
 Czyż jagnięciu zmóźdz olbrzymą?
 Ale jagnięć wzrosło z laty,
 Jak starego przyprze z blizką,
 We łbie rogiem kość przewierci,
 Mózg przez czoło mu wytryska,
 Pobitemu nie ujęć śmierci!
 Ziemię broczą strugi krwawe,
 A owieczki skubią trawę!
 Obraz śmierci ich nie straszy,
 I gdy nowy mrók zapada,
 Do owczarni swój gromada,
 Nakarmiona, wraca z paszy!”

Tak mówi starzec. Bledną mu lica,
 We mgle świetlanój gaśnie żrenica,
 Umilkł, już w piersi tehu mu nie stanie,
 Wokół zabrzmiało niewieście łkanie,
 Stoją żniwiarze całą drużyną,
 Łzy ich rześiste z pod powiek płyną.

Stary na słomie pół martwy leży,
 Dzbanek mu wody podano świeżej.

Ukrzepion, patrzy na kłosy płowe,
Potém ku słońcu obrócił głowę,
Co raz to niżej słonko się chyli,
Za las oliwny wejdzie po chwili,
Na pożegnanie otula góry,
Płaszczem królewskiej purpury.

Ku niebu starzec wyciągnął ręce,
Po téj bolesnej konania męce,
Znów oko blaskiem się żarzy,
Z czoła śmiertelne zbiegły znów męty,
Krzepko zawoła: „O, Janie święty,
Patronie biednych żniwiarzy!
Ty, co tam w jasnym zasiadasz niebie,
Niech głos mój dojdzie do ciebie!

„Mam ja na wzgórzu oliwne drzewa,
Sam je na twardej sadziłem skale,
Niech im rzeźwiejszy wietrzyk powiewa,
Niech na tym strasznym nie sebną upale.
Biedne oliwki ocalisz cudem,
Ty, co masz litość nad ludem.

„Tam, w naszych górach, po za mgłą siną,
Żona nad młodą czuwa rodziną,
Wygląda biedna u wrót zagrody,
Rychło z letniego wróca zarobku,
Ach! sama z dziećmi, gdy przyjdą gody,
Będzie kolędy śpiewać przy żłobku!
Czuwaj nad niemi, o Janie święty,
Bezsilna ręka matczynej!
Chroń dziewczę moje, pączek nietknięty,
Dzielnie wychowuj mi syna.

„Jeżelim sarkał wśród ciężkiej biedy,
Przebacz, o święty nasz Janie!
Toć i sierp twardy sarknie niekiedy,
Gdy kamień w drodze mu stanie,
O, święty Janie! Ty boży druhu,
Wyciągam ręce do ciebie,
Ojcze żniwiarzy, ukrzep mnie w duchu,
Pamiętaj o mnie w twym niebie!”

Umilkł i oczy stają mu słupem,
Lica jak marmur zbieleły,
Chwilę niewiasty płaczą nad trupem,
Jęk po przestrzeni brzmi całej.

I znów żniwiarze za sierpy schwyca,
Bo kłos marnieje na suszy,
Trzeba z dojrzałą uciec pszenicą,
Nim się z niej ziarno wykruszy!

Dobosz z pod Arcole.

I. Prolog.

„Idźmy, wierne Francji syny!”
Marsylianka brzmi rozgłośnie,
Drgnęły wzgórza i doliny,
W młodych sercach zapał rośnie.
Głos do głosu dostrojony,
Prowansale i Bretony,
Normandowie i Alzacy,
Pieją wspólny hymn ojczysty,
A nad głową wiernych braci,
Szumi sztandar trójbarwisty,
Cel ich jeden—jedna droga,
Za Ren wygnać z kraju wroga!

Grom uderzył—światło błyska,
Do jedności droga bliska,
Zrozumiały Francji ludy,
Ze winnice ich zielone
Pod wspólnymi wzrosły trudy,
Wspólnym potem użyżnione.
Jedność wielka to potęga,
Ten, ów, mądre daje rady,
Niech się ręka z ręką sprzęga!
Dojrzewają winogrody,

Przygotujmy każdą jedyną,
Zlejmy do niej wszystko wino.
Snadniej ustrzedz jednej kadzi,
Toć jej obcy nie poradzi.

Jak wyrzekli, tak się stało,
Młode wino zaszumiało,
Wokół pełna krąży czasza;
— „Niech trwa wiecznie jedność nasza!
Hej popląsać nam po łące.”
Przyklasnęło rąk tysiące,
Tramle zmącił zmysł gawiedzi!
Dopatrzyli to sąsiedzi,
Niemiec rzuca z dzbanem piwo,
Szablę chwyta ręką mściwą,
Z prądem Renu puszcza łodzie,
I z książęty płynie swemi.
— „Ha! pijany ty narodzie,
Płasaj skoki szalonemi,
Nam poskromić te swawole!”
„Kto was, Niemcy, o to prosi?
Niechaj każdy swoje pole
Sam posiewa i sam kosi!”

II.

Bitwa.

W wojsku rzeczypospolitej,
Służy dobosz, chłopczę młody,
Rwie się w pole, walk niesyty,
Jak się ręka rwie do wody.

Pod Wokluzy zrodzon skałą,
Wyniańczony krynie szumem,
Wcześniej serce w nim zagrało,
Bronić kraju bieży z tłumem.

Śmiało naprzód wiara kroczy,
Brat dodaje ducba bratu,
Świat im parsknął śmiechem w oczy,
Oni śmiechem parskli światu!

Wróg ich rozbił w dwa zastępy,
Do ataku trąby dzwonią;
Pokrakują głodne sępy,
Snadź znęcone trupią wonią.

Każdy zastęp innym polem
Drze się naprzód z żartką duszą,
Tu, na moście pod Arkolem,
Oba razem zbiedz się muszą.

Szereg armat mostu strzeże,
Już rozwarły paszczę piekielną,
Ale mają pierś żołnierze,
A w tej piersi wolę dzielną!

Pierwszy oddział brzmi wśród fali,
Wtém ogniste hukną działa,
O! nie przebrnąć im już dalej,
Od krwi woda zecerwieniała.

Drugi zastęp pomknie żwawiej,
Działa straszniej zagrzmia jeszcze,
Setka trupa w krwi się plawi,
Pierś walecznych zdjęły dreszcze.

Lecz wódz serce ma zażarte,
W dzielnym rękę błysła szpada,
„Naprzód! woła Bonaparte,
Most nam szturmem wziąć wypada!”

— „Za mną, wierne grenadyery!”
Cóż to? niktże się nie ruszy?
Widać postrach z bladej cery,
Skra zapalu zgasła w duszy!

Biedna Francyo! twym-że synom,
Wobec wroga zbiedz przed bojem?
Nie zakwitnąć-że wawrzynom
Na steraném czole twojem?

Patrzmy... dobosz... biedne chłopię,
Ciężki bęben czyż dotrzyma?
Czy przez ciźbę się przekopie?
Wodza ściga wciąż oczyma.

Duch w nim dzielny, acz mdłe ciało,
Drze się naprzód... dalej!... dalej!...
Dopadł wodza, stanie śmiało,
Pałeczkami w bęben wali.

Młodą pisklę, puch na twarzy,
Słabe, wątłe to niebożę,
Ale bęben straszno gwarzy,
O waleczności, honorze!

Gwarzy bęben szalem wściekły,
Ogień pryska w każdym słowie,
Brzmi o bojach, o krwi ścieklęj,
Powstał wszystkim włos na głowie.

I tchórzliwe te młodziany,
Co żaliły się z przekąsem,
I zalękle weterany,
Co mamroczą coś pod wąsem.

Kiedy bęben grzmi do szarzy,
Nagle płomień z lic im bucha,
Głos się żaden nie poskarży,
Pędzą, istna zawierucha.

A na moście, z obu brzegów,
Wrzęd ogniste biją działa,
O, nie wstrzymać tych szeregów,
Wali hurmem ciżba cała!

We krwi pada trup za trupem,
Wrzawa, zamęt, wir szalony,
Po za grubym dymu słupem
Śmierć obfite kosi plony.

Marsylianka brzmi rozgłośnie,
Dobosz w bęben wali z siłą,
A walecznym serce rośnie,
Dzielne wojsko most zdobyło!

III.

P a n t e o n .

Pod okiem wodza kroczy pułk pieszy,
Pole szerokiem okrąża kołem,
Wesoly dobosz po przedzie spieszy,
Chwała nad młodem polysku czołem.
Wódz dwie pałeczki w ręce mu kładzie,
Z kości słoniowej, w złotej obsadzie.

Imię dobosza z ust do ust bieży,
Wnet je rozniosły pisma po świecie,
Mistrz je powtarza szkolnej młodzieży;
Kto żyw, wysławia prowankie dziecię,
Wieszcz jego imię pieśnią przekaze,
Jego posagi kują rzeźbiarze.

Zabłysła dola rycerskich czynów,
Rozbrzmiał po świecie buk dział szalony,
Szybuje orzeł syty wawrzynów,
Gdzie dotknie skrzydłem, druzgocze trony,
W tym blasku słońca, wśród walk odmętu,
Gwiazda dobosza zgasła do szczętu!

Runął bohater pod dziel ogromem,
Korab' od brzegów powódź uniosła,
Wielcy pochyla czoła ze sromem,
Słabym rozbitkom nie schwycić wiosła!
W maluczkich tylko piorun nie godzi,
Szczęśliwie dobosz wybrnął z powodzi!

Ubiegły lata: z zagasłem okiem,
Siwy jak gołąb, z szramą na twarzy,
Chodzi po mieście chwiejącym krokiem,
Opuścił głowę, smętnie coś marzy,
Przed okiem starca, strugi krwi płyną,
Zobaczył króla pod gilotyną.

Słyszy zwycięskie ludu okrzyki,
Mota na wątek nie wspomnień słabą,
Brzmia pieśń pożarną marsylizeyki,
Pioruny słowa rzuca Mirabo!
Szczękają miecze, szumią sztandary,
Od krwi niemieckiej wezbrał Ren stary!

Pomni, jak niegdyś na wodza hasło
Młodzieńczą ręką w bęben uderzy,
Jak z piersi krzesze iskrę wygasłą,
Jaki tchnie zapal w serca młodzieży!
Myśl z myślą, dusza zlewa się z duszą,
Karły w olbrzymy wyrosnąć muszą!

Dobosz utonął w przeszłości cały,
Liczy sokole one pisklęta,
Co je popędził do szczytu chwały,
On po imieniu wszystkich pamięta.
Był tam Massena mąż niezwalczony,
I Lan, Gaskończyk od wód Garony.

Był tam Bernard, co zwalczać umie
Siłą ramienia losy uparte,
Był tam król Murat, co wyrósł w tłumie,
Był olbrzym wieków, był Bonaparte,
A biedny dobosz? starość go gniecie,
Umrze doboszem!... tak to na świecie!

Cóż mu przypadło? na ciele rany,
I głębsza rana pod sercem na dnie,
I cóż go czeka? grób zapomniany!
Łza nań gorąca z oka nie spadnie!
Chwała sen marny... czeka bańka z mydła,
A po niej męty — piana obrzydła!

„Lepiejby, lepiej — kiedym był młody,
Spieszyć do wioski, rzucić te boje,
Pić mój Durancyi przeczyste wody,
Spokojnie grzędę posiewać swoje,
Z żoną i dziećmi — żyć w ojców progach,
Niżli się w obcym tarzać barłogu!”

I łza na zwiędłe upadła lice,
Z dręczącą myślą starzec się biedzi,
Pomija kręte miasta ulice,
Nie słyszy nawet gwaru gawiedzi,
Z duszą zbolalą, czołem schylonem,
Stanął kaleka przed Panteonem!

Nad nim w powietrzu, jak wzrok dosięże,
Zdobia wspaniale przybytku czoło,
Świeżo wykuci z marmuru męże,
Wieńce z wawrzynów pną się wokół,
Powyżej napis przyświeca złoty:
„Wdzięczna ojczyzna cześci wielkich cnoty.”

„Stary wiarusie, czoło do góry!”
Głos mu nieznany poszeptał z boku,
Ocknie się dobosz, spojrzysz na mury,
Słońce, ukryte w mglistym pomroku,
Nagle, przed starca olśnionym wzrokiem,
Oblało Paryż światła potokiem.

I widzi żołnierz na tle błękitu
Kształty kopuły odbite jasno;
Cóż to? wśród mężów kutych z granitu,
Kogo zobaczył?... postać swą własną!
Pod okiem wodza, z dumą na czole,
W bęben do szarzy bije pacholę!

Pijany szalem, widzi tam w górze
Siebie, w słonecznym blasku promieni,
Wyżej nad gromy, wyżej nad burze!
Oblicze starca nagle się mieni,
Na wątłe siły — zbyt ciężkie brzemie,
Martwy bohater, upadł na ziemię!

Wodociąg w Arlezyi.

W Arlezyi przed laty
 Żyła cudna królewna,
 Kwiat uroczy nad kwiaty,
 Jak lilijka powiewna.

Cesarz rzymski rzekł do niej:
 — „Patrz, ja cierpię i płaczę,
 Weź koronę z mej dłoni.”
 Ona rzekła: „Zobaczę!”

— „O! gwiazdeczko ty biała,
 Duszę oddam ci własną,
 Za ten promień, co pała
 Z czoła twego tak jasno!

„Rozkaż, wszystko uczynię,
 Dam, co człowiek dać może,
 Gdy nadzieja mnie minie,
 Chyba w grób się położę!

— „Zadość tobie niech będzie,
 Dam ci rękę z tym krajem,
 Lecz miej, panie, na względzie,
 O co proszę nawzajem.

„Przez opoki Trebonu,
 Przez Kraony pustynie,
 Niech do twego tu tronu,
 Zdrój Wokluzy dopłyne.”

Rzymski cesarz rad w duszy,
 Nie żałować mu trudu;
 Sam w te pędy wyruszy,
 Sto tysięcy gna ludu.

Jedni schwyca łopaty,
 Drudzy dalej do młota,
 Pan nie szczędzi zapłaty,
 Żwawo idzie robota.

Dnie i noce w niej płyną,
 Mozół ludzki wytrwały
 Równa góry z doliną,
 Zmiata z drogi zawaly.

Łamie twarde opoki,
 Suszy stęchłe bagniska,
 Gdzie las szumiał głęboki,
 Już słoneczko połyska.

Pzez zielone alpille,
 Przesłonięte mgłą siną,
 Rów przekopan: za chwilę
 Już nim wody popłyną.

Nie żal srebra, ni złota,
 Ni mozołu, ni trudów,
 Dokonana robota:
 Oj będziez-to cud cudów!

Otóż w jasny poranek,
 W arlezyjskie tam mury,
 Przed królewny krużganek
 Zdrój potoczy się z góry.

Lud wesoło przypada,
 Chmurą pędzi tak liczną,
 Niby owiec gromada,
 Pije wodę kryniczną.

Cesarz głowę pokłoni
 Przed królewną, swą piękną.
 „Bądźże moja, rzekł do niej,
 Zwarte rygle niech pękna.

„O! gwiazdeczko ty biała,
 Rozsięj blaski uroczę,
 Gdy Wokluza zbyt mała,
 Wnet Erydan przytoczę!”

„Nie dla ciebie te gody,
Rzecz piękna z krużganku,
Arlezyjczyk tu młody
Wodę nosi mi w dzbanku.

Ja orzeźwiam nią lica,
Nią w pragnieniu się poję,
Milsza własna krynica,
Niżli obce twe zdroje.”

Umarł cesarz, pan świata,
Wyschły wody Wokluzy,
Wiotki powój oplata
Wodospadu dziś gruzy.

Święci kamienni.

Ze spuszczeniemi w ziemię oczyma,
Schody świętego mija Trofima.
Ściany kościoła w pomroku toną,
Nieszporne świece właśnie gaszono.

Święci kamienni, co strzegą proga,
Błogosławili ją w imię Boga.
Oko ich pilnie jęj towarzyszy,
Gdy ku domowi podąża w ciszy.

Wdzięk jęj niewinny oczy pochwyca,
Przezysty promień bije z jęj lica,
W kościele na bok nie zwróci głowy,
Ani zagadnie próżnemi słowy.

A gdy z poważnym brzmieniem organu,
Psalmy po łukach płyną ku panu,
Dusza dziewczęcia tak się weseli,
Jakby ją w niebo nieśli anieli.

Święci kamienni patrzą co rano
Jak w domu bożym zgina kolano,
Z pokornym cercem, w skromnej odzieży,
A potem skrzętnie do pracy bieży.

Gotowi tarczą być jęj w potrzebie,
O łaskę dla niej błagają w niebie,
A gdy noc ziemię kirem zasłoni,
U drzwi kościelnych tak radzą o niej:

„Radbym ja szczerze, mówi Jan święty,
Aby rzuciła ziemskie ponęty;
Świat serce pychą zarazić może,
Takięj lilijce kwitnąć w klasztorze!”

A święty Trofim odpowie na to:
— „Łatwiej dni przeżyć za cichą kratą,
Lecz blaski słońca na ziemi gasną,
Niechże jęj świeci gwiazdeczką jasną.”

Święty Hieronim rzecz po chwili:
— „Gdy po północy, o bracia mili,
Księżyc roztoczy promienie drzące
Nad rzeką naszą po cichęj łącz!”

„My z naszych kolumn zbieżym ku ziemi.
Pan dziś uctuje ze sługi swojemi:
Tam w Alikampie przed swą drużyną
Chrystus poświęci sam chleb i wino.”

A święty Łukasz odpowie: „Zgoda,
Niech pójdzie z nami dziewczeczka młoda,
Na gody suknię damy jęj białą
W rąbek błękitny odziejem całą.”

Wybiła północ z kościelnej wieży,
I każdy święty z kolumny zbieży,
Na bożą uctę gromadka rusza,
Poszła z nią czysta dziewczeczki dusza.

Nazajutrz zrana gdy błysnął dzionek,
Ona się zrywa, istny skowronek;
Rozpromieniona wstaje tak wcześniej
Cudowneż gody widziała we śnie!

Tam w Alikampie stół zastawiono,
Aniołów roje w błękicie toną,
Chrystus chleb trzyma w przezystej dłoni,
A święty Trofim dzwoni a dzwoni!

Na cześć Jasmin'a

przy stawianiu pomnika w gaskońskim mieście Agen.

Wielka uderza dla nas godzina,
Tryumfem naszym tryumf Jasmina!
W imię oraczy, co wiodą plug,
Po naszej stariej prowancekiej ziemi,
I przyśpiewują dźwięki swojskimi,
Trubadurowi niech splecą dług!

Witajcie naprzód, bracia Gaskony,
Z wyciągniętymi ku nam ramiony,
Od wód Rodanu przychodzi brat!
Próżno w was była powódź szalona,
Technieniem waszego wykarmion łona,
Mowy ojczyściej nie uwiądl kwiat.

Dziękuj ci, dzięki, waleczne plemię,
Gdy nam posucha paliła ziemię;
„Ratujcie! krzyczym, dopóki czas!”
I oto pieśni strumień uroczy
Od waszych krynic ku nam się toczy,
Blaskiem słonecznym oświeca nas!

Pieśń Jasminowa prosta i szczerą,
Łzy nam wyciska, serca otwiera,
Karmi nas, pieści, — skądże ten cud?
Bo jak on Pindar, Tebańczyk boski,
Jasmin opiewał rodzinne wioski,
Swe góry, rzeki, swój kraj, swój lud!

Gdy szkolny mędrak rzecze doń sucho:
— „Twój gwar gaskoński razi nam ucho,
Poeto, nowych poszukasz dróg!”
— „Nigdy, ach! nigdy! śpiewak zawoła,
Strzedz mi dzwonnicy mego kościoła!
Tu mnie na czatach postawił Bóg!”

Jak stary pątnik rozdaje słodko
Ziarna różańca — zwrotkę za zwrotką,
Rzuca dla braci i słucha go tłum.
I swobodniejszą pierś oddechą,
I pije chwałę z jego kielicha,
Karmi się dźwiękiem ojczyństwych dum!

Z tych pirenejskich oto krawędzi,
Gdzie wzrok dosięże, gdzie myśl popędzi,
Mrowisko ludu nadciąga w krąg.
Chwałą śpiewaka naród dziś dumny,
Wnet u spizowej onej kolumny
Sypną się wieńce z tysiąca rąk.

Słuszne te hołdy — te wieńce chwały,
Przez ciebie język nasz zmartwychwstały
Błyszczy, z wiekowych otarty skaz.
W takt mu Atlantyktwórzy wspaniale
I wód śródziemnych wtórzają mu fale,
Wielki Jasminie! tyś pomścił nas!

Przemiany.

— „Magali ty moja — odemknij okienko,
Zagram ci na skrzypkach, powitam piosenką.

— „Złociste gwiazdeczki migoczą na niebie;
Poblednę ze wstydu, gdy spojrzę na ciebie!”

— „Jak listek, co nocą na drzewie szeleści,
Tak twoja piosenka przepadnie bez wieści.

— „Ucieknę ja od niej, popłynę het morzem,
Przysiądę na skale i będę węgorzem.”

— „Bądź sobie węgorzem — rybakiem ja będę,
I rybkę z nienacka pochwycę na wędę!”

— „Ja zmienię się w ptaszka z leciuchnymi pióry,
Rozwinę skrzydełka, ulecę do góry.

— „Bądź sobie ptaszyną — gonić chmurki sine,
Ja stanę się strzelcem — ułowię ptaszynę!”

— „Zastawiaj ty sidła na przepiórki drzące,
Ja będę stokrotką na zielonej łące.”

— „A ja się przemienię w krynicę zdroj czysty,
Roztoczę me wody po łące kwiecistrój!”

— „Bądź sobie krynicą — ja będę obłokiem,
Popłynę swobodnie po niebie szerokiem!”

— „Ja stanę się wichrem, co ciągnie od morza,
Pogonię za chmurką, w dalekie przestworza!”

— „Ja będę promykiem, co jasno polyska,
I wiosną zimowe topi lodowiska!”

— „Bądź słonkiem, ja w drobną jaszczurkę się zmienię,
Wypiję na łące słoneczka promienie.”

— „A ja się przemienię w jasny sierp miesiąca,
Zaświecę na niebie wśród gwiazdek tysiąca!”

— „Świeć że ty na niebie, ja będę mgłą białą,
I w rąbek srebrzysty obwinę cię całą.”

— „Nim jasny się miesiąc w mgle białej zanurzy,
Ja błysnę w ogródku cudnym kwiatem róży.”

— „A gdy się różyczka na krzaku zapłoni,
Ja będę motylkiem, co za różą goni.”

— „Nim wietrzyk do róży motylka przyniesie,
Ja dębem zielonym będę w ciemnym lesie!”

— „A ja się co żywo przemienię w mech szary,
I wkoło dębowe oplotę konary!”

— „Nim czoło pokryjesz dębu rosochate,
Ja zbiegnę daleko za klasztorną kratę!”

— „Nie zbiegniesz odemnie ty, śliczna Magali,
Żelazna cię nawet krata nie ocali.”

— „Nim stopa twa harda próg święty przekroczy,
Wprzód siostry całunem przysłonią mi oczy!”

— „Gdy umrzesz, na wieki zostanę przy tobie,
Przyłożę mię ziemią na twym cichym grobie.”

— „Nie z płochęj ty, widzę, przemawiasz pustoty,
Masz oto z méj ręki pierścioneczek złoty!”

— „O dzięki, Magali! gwiazdeczki na niebie
Poblady z zazdrości, gdy ujrzały ciebie!”

Spotkanie.

Płynąłem ja w burzę,
Brzeg sterczy opoką,
Tam w zamku na górze
Widzę czarnooką.

Przepaść między nami,
Drzwi zwarte nie pękna,
Lecz w oknie czasami
Widywałem piękną.

Był to sen, wysniony
W marzeń moich niebie,
Miłością szalony,
Wołałem: „Mam ciebie!”

Skraśniały jój lica,
Pochwyci dłoń moję,
„Patrz, słonko przyświeca,
Idźmy tam oboje!”

Dolina tchnie całą
Kwiatów aromatem,
Ach, ona się stała
Całym dla mnie światem!

Niech sobie ten parów
Rzucą ptacy leśni;
Do dębu konarów
Przyrosły me pieśni!

I myśli i gwary,
I dłoni uściski,
Uśmiechów jój czary,
I żrenie połyski.

Jój słówka palące,
Łzy z pod jój powieki,
Mych westchnień tysiące,
Tu wrosło na wieki.

Kwiateczki, co rosną
W téj ciszy głębokiej,
Gdy sycą je wiosną
Alpejskie potoki, —

Ich zapach mniej świeży,
I miód ich mniej słodki,
Niż słówko, co zbieży
Przez usta szczebiotki.

Ten grom, co roztrąca
Twarde łono skały,
Dąbrowa szumiąca,
I Alp lodozwały, —

Ich słowo złowieszcze
Ach! kogóż nie wzruszy,
Lecz straszniej grzmiał jeszcze
Huragan w méj duszy.

Dziś pomrok tak blady
Owiał cię, dolino,
Już stóp naszych ślady
Zarosły darnią.

Zbiegła gwiazda złota
Skoki powietrznemi,
A mną wicher miota,
Po téj pustej ziemi!

Na weselne gody bratanka.

Koronę ze zwrotek niosę wam na gody,
Dorodna dziewczeczko, rzeźki panie młody!

Z jednego wy dębu dwie odrosłe nowe,
Niech wami się drzewo poszczyci rodowe.

Pocziwi ojcowie, w pasmie wieków długiem,
Niemaly kęs ziemi zaorali plugiem.

Prababki kołaczce piekły z mąki białej
I płótna niemało na krosnach utkaly.

Barczyste junaki rosna w naszym domu,
Na czole dziewczeczek nie dopatrzysz sromu.

Niedarmo ojcowie w Narodziny Boze,
Kolendy nad żłobkiem śpiewali w pokorze.

Niedarmo kropili ogień świętą wodą,
Gdy gwiazdka nad cichą świeciła zagrodą.

Jak dawniej świeciła i dziś ona świeci,
Ich błogosławieństwo spłynęło na dzieci.

Kłos piękny ta siejba zrodziła ofiarna,
Wy oto, z ich plonu dwa młodziuchne ziarna!

Nie dajcież płołonom wyrosć na zagonie,
I w sadzie ojczyście hodujcie jabłonie.

Na łące, czy w polu, pamiętać wam o tem,
Że każda piędź ziemi złana ojców potem.

Niech w domu się waszym odrodzi dąb stary,
Niech w górze nowemi zaszumi konary.

Niech miłość wzajemna jasno wam połyska,
Jak w noc świętojańską na górach ogniska.

4192

Głos skruchy po klęskach 1871 r.

W imię tych, Panie, wiernych żołnierzy,
Co z piersi wrzającą stoczyli krew,
I czystym źródłem posoki świeżej
Zżyźnili święty przyszości siew!

W imię tych matron, co ślą w rozpacz
Do tronu Twego błagalny głos,
Gdy wzrok ich synów już nie zobaczy,
Zsieczonych w polu jak marny kłos!

W imię, o Panie, ciężkiej boleści,
Z jaką ten zastęp żałosnych wdów
Śpiące w kołyskach sierotki pieści,
Podźwignięm łzami zdławionych słów!

W nieznanie świata prostaczków imię,
W imię tych mężów potężnych sił,
Których złamały trudy olbrzymie,
Gdy krew do kropli zbiegła im z żył;

Przez te boleści, tych łez potoki,
Przez rumowiska zgorzałych miast,
Przez posian kośćmi on kraj szeroki,
I zgliszcze wiosk zarosłe w chwast;

Przez te żaloby, przez te pioruny,
Co straszno biły w nasz stary dom,
Przez owe krwawe pożarów łuny,
Przez wypalony na czołach srom:

Miecz twego gniewu odwróć, o Panie!
Patrz na ten padół krwią ściekły wbród,
Niech już Twa ręka chłostać przestanie
Twemi pociski zgnębiony lud!

SPIS RZECZY.

Str.

I. PRZEKŁADY Z WIKTORA HUGO.

I. Z LEGENDY WIEKÓW.

1. Aymerillot	3
2. Lwy	11
3. Wskrzeszenie Łazarza.	15
4. Biwar	17
5. Ojciec i syn (La Paternité)	19
6. Biedni ludzie.	27
7. Mściciel	34
8. Pawełek	34
9. Wstęp do Legendy wieków II-ój seryi	41
10. Pochód Kserksesa	42
11. Kassandra	43
12. Marzore	45
13. Król Perski	46
14. Kto poeta?	47

II. Z ROKU STRASZLIWEGO 1871.

1. Wykup ziemi (Libération du Sol)	49
2. Wykrzyk boleści podczas walki domowej 1871	50
3. Do chorej wnuczki Joalki podczas oblężenia Paryż.	51
4. Gallowie i Germany	52
5. Kto winien?	53
6. List do pani... posłany balonem 10 styczn. 1871 r.	55
7. Umarli	57
8. Po zwaleniu Kolumny Vendôme	57

III. Z WIERSZY RÓŻNYCH.

1. Do Joalki	59
2. Spotkanie pod lasem	60



11603

P.
1967

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu

	<i>Str.</i>
3. O zachodzie słońca	61
4. Dom bez dzieci	62
5. Dzwon i młot.	63
6. Rozmowa z dziaduniem	63
7. Zapóźno	64
8. Rozmowa z tułaczem	64
9. Pieśń wygnańca.	65
10. Oto wiosna	66

PRZEKŁADY ZE WSPÓŁCZESNYCH POETÓW FRANCUSKICH.

II. Z FRANCISZKA COPPÉE.

Żniwo mieczów	71
Senacheryb	72
Rozbitek	74
Powoje	78
Deszczulka	84
Dość już krwi	88
List	90
W urodziny Wiktora Hugo	93
Dzwonek na przedmieściu	93
Ławka	96
Pater — obrazek dramatyczny	99
Odwiedziny w pracowni malarza	117
Skarb. Komedya w jednym akcie	133
Bezrobocie kowali	155
Klejnoty. — Monolog	165
Czyń, coś powinien	171

III. Z AUGUSTA BARBIER.

Wzgórza Erynu.	181
Londyn	182

IV. Z EUGIENIUSZA MANUELA.

Do czytelnika sonet	184
Uderz w skrzydła	185
Sukienka	185
Alma mater	188
Do dziecka	191
Żądanie	191
Kolebka	192
Dzieje duszy	192
Naręczona robotnika.	193
Do Henryka Reignault	195

	<i>Str.</i>
W ambulansie. Obrazek	197
Poczta gołębia	200
Dziecię w ogródku.	202
Wiosna	203
Przechadzka.	204
Nieobecny. Dramat w jednym akcie	207
Robotnicy. Dramat w jednym akcie	239
V. Z JULIUSZA BRETONA.	
Do rodzinnej doliny	271
Pokłosie	272
Wieczór	272
Złuda	273
Krzesiwo	273
Na równinie.	274
Ogień Świętojański	274
Burza	275
Wspomnienia	277
Cisza leśna	279
Powrót z pola	280
Konik polny.	281
VI. Z PAWŁA DERÓULEDE'A.	
Dobry nocleg	283
Dziewczyna	284
Dwie boginie	285
Woda	286
Do słońca	288
VII. Z ALBERTA DELPIT'A.	
Nad kołyską dziewczynki	291
Kirasyerzy z Reichshoffen	292
Skrucha	295
Do żony	301
Nad grobem George Sand	302
VIII. Z JÓZEFA AUTRAN'A.	
Mój gość	306
Do starej sługi	307
Okup	307
Król Franków	309
Dębowy las	311
IX. Z TEODORA BANVILLE'A.	
Do matki.	313

	<i>Str.</i>
Do Wiktora Hugo	314
Sokrates i Ksantypa. Komedia w jednym akcie	317
X. Z LÉCONTE DE LISLE.	
Bernika	339
XI. Z SULLY PRUDOMME'A.	
Wazon rozbity	341
Myśl zgubiona	342
Tu i tam	342
We śnie i na jawie	343
Do Alfreda Musset'a	343
Miłość zamordowana	344
XII. Z EDWARDA PAILLERON'A.	
Rozmowa podsłuchana	345
Sursum corda	348
XIII. Z WIKTORA LAPRADE'A.	
Nad brzegiem jeziora	350
Do poezyi ludowej	351
Ballada Foreska	352
Ustęp z powiastki „Pernetka”	353
Do odpoczywających	356
Do mojej pieśni	358
XIV. Z TEOFILA GAUTIER.	
Dziurawy trzewik	360
XV. Z ANDRZEJA LEMOINE'A.	
Po balu	362
Strumień i dziewczyna	364
XVI. Z OJCA DELAPORTE'A.	
Stary siuga	367
Spotkanie Aniołów	368
Pierwszy plug	368
Drzewo cedrowe	370
Fra Angeliko	371
XVII. Z JAKÓBA NORMANDA.	
Wystrzał	373
XVIII. Z BORNIER'A.	
Trzy posągi	378
Droga do Damaszku	380
Chór myśliwców	381
Dwie szablíce	382
XIX. Z JANA AICARD'A.	
Dziewczyna nad rzeczuką	384

	<i>Str.</i>
XX. Z EDWARDA GRENIER'A.	
Przyjaźń	386
Padaj, śniegu!	387
Skarga	388
Do siebie	388
Tam daleko	389
Głosy przyrody	389
XXI. Z DELFINY GIRARDIN.	
Do cichéj nocy	391
XXII. Z CATULLE MENDES.	
Córka Domna	393
Dziecko	395
Żona Araba	397
XXIII. Z EMILA GUIARD.	
Livingstone	399
XXIV. Z AUGUSTA BRIZEUX.	
Wspomnienie	403
XXV. Z BERTY GAILLERON.	
Do męża mego	405
XXVI. Z ADRYANA DERONCY.	
Sfinks	406
XXVII. Z KSAWEREGO MARMIER.	
Wieczny Tułacz	408
XXVIII. Z ERNESTA LEGOUVEGO.	
Cześć starości	410
XXIX. Z AUGUSTA DORCHAIN.	
Ku pamięci Aleksandra Dumasa	411
XXX. Z JANA MILLIENA.	
Jezioro	414
Stary oracz	415
Smętna dziewczeczka	416
XXXI. Z PANI PRESSENSE.	
Poeci bez głosu	417
XXXII. Z LUDWIKI SIEFERD.	
Do jodły	418
XXXIII. Z HENRI MARTIN.	
Wercyngietoryks	419
Z POEZYI PROWANSALSKIEJ.	
I. Z JASMIN'A.	
Moje wspomnienia (fragment)	429
Papilota	432

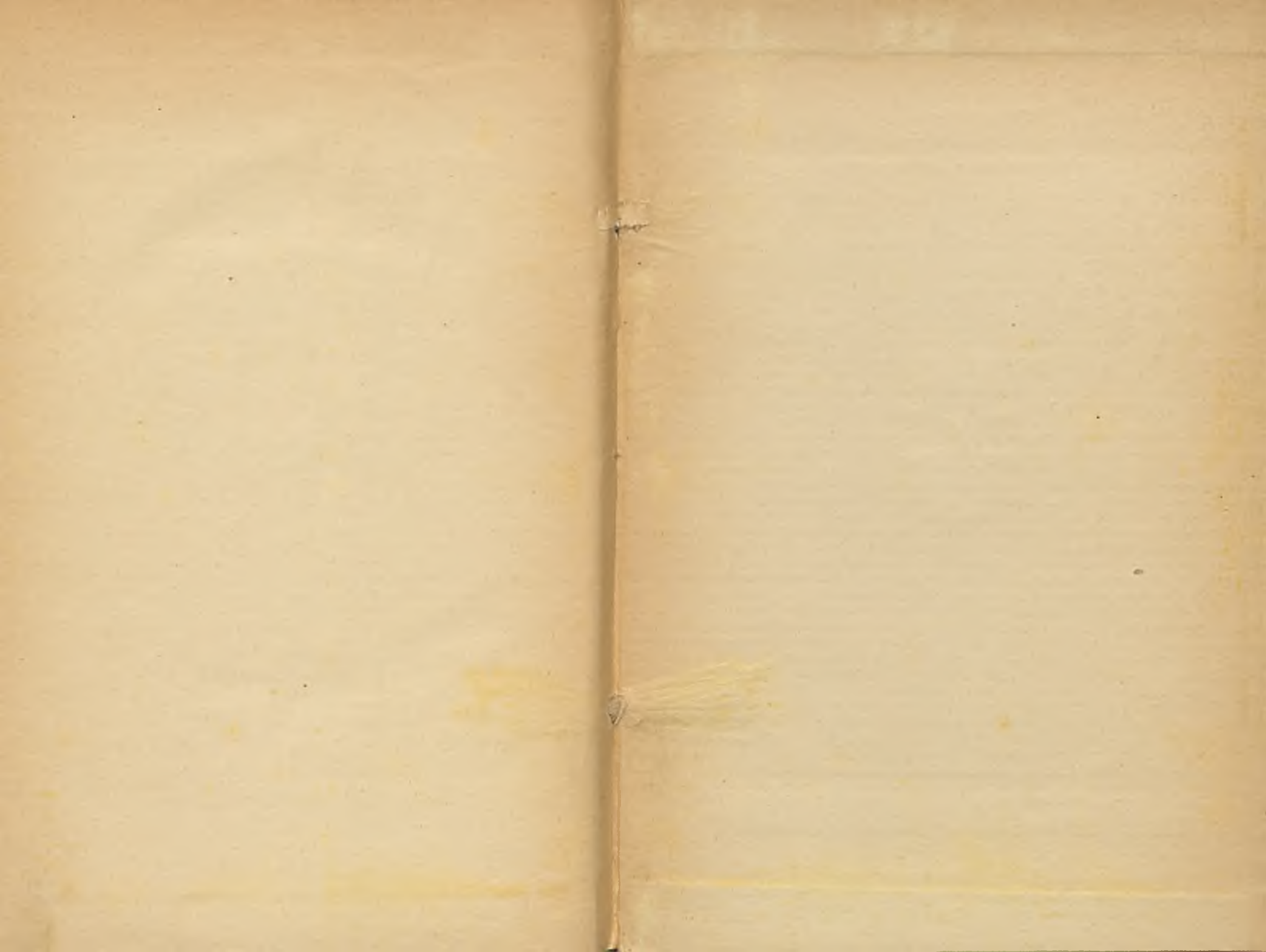
	<i>Str.</i>
Syn wyrobnika	434
II. Z ROUMANILLE'A.	
Żłobek	440
Ślepa dziewczeczka	443
Rodzinne gniazdko	444
III. Z TEODORA AUBANELA.	
Dziewiąty Termidora	445
Rzeź działek	447
Pusty dom	449
Spotkanie pierwsze	450
IV. Z FRYDERYKA MISTRAL.	
Stary żniwiarz	453
Dobosz z pod Arcole	457
Wodociąg w Arlezyi	464
Święci kamienni	466
Na cześć Jasmin'a	468
Przemiany	469
Spotkanie	471
Na weselne gody bratanka	473
Głos skruchy po klęskach 1871 r.	474

MIEJSK
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Krakowie

~~P. 1967~~

~~P. 28083~~

P. 32537



Историческая А. ГРИЗЕР Maxfiska B